Sczytanie: Bronius Makauskas
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1920 (marzec-listopad)
Michał Romer
Łomża, 16.III.1920
Tom XXVII.

16 marca, rok 1920, wtorek
Do szeregu miłych pamiątek, które w postaci breloków wiszą mi u złotego łańcuszka mego pięknego zegarka, przypominając mi różne epizody ubiegłego życia, przybył mi dziś nowy brelok pamiątkowy. Ofiarowały mi go dwie moje pracownice z wydziału apelacyjnego karnego w sądzie, z którymi łączy mię stosunek serdecznie przyjazny – Lusia Roszkowska i Julia Jurago. Brelok ten ma postać blaszki srebrnej w kształcie naśladującym bilet wizytowy o zagiętym rogu; blaszka ma wymiar duży, znacznie większy od wszystkich innych moich breloków. Na jednej blaszce wyryte są skośnie dwa imiona: „M. Roszkowska, J. Jurago"; na drugiej stronie napis skośny: „Łomża, 15/III 1920 r. w dowód szczerej sympatii". Byłem szczerze wzruszony tym dowodem – pamiątką, ofiarowanym mi przez te dwie dziewczyny.
W sądzie wykończyłem wszystkie roboty; motywowałem ostatnie wyroki z sesji sobotniej. Jutro zajmę się przejrzeniem szczegółowym i posegregowaniem zbioru moich listów i papierów, które się nagromadziły od r. 1917 (ostatnie czasy Legionów, Szczypiorna, Kolno, Łomża), z których niemal wszystkie pozostawię na opiece Lusi Roszkowskiej, zabierając ze sobą tylko to, co mi jest niezbędne potrzebne. Pojutrze poświęcę dzień na wizyty pożegnalne, piątek – na pakowanie rzeczy, sobota – wyjazd. Przepustkę na wyjazd do Wilna – i do Wilejki (do Elwiry[1] do Obodowiec) – dziś otrzymałem w starostwie; również otrzymałem pozwolenie na przejazd koleją, ponieważ teraz dowolny ruch osobowy na kolejach znów został na czas nieograniczony, wstrzymany.
Z listu Karola O'Rourke'a do Kotuni[2] dowiaduję się, że Papa, który wciąż bawi w Warszawie, wybiera się w podróż do Torunia i Poznania, a potem myśli o kuracji na Węgrzech. Wnioskuję stąd, że nie prędko wróci do Bohdaniszek.

17 marca, rok 1920, środa
Dzisiejszy dzień był bardzo nudny. Nie lubię w ogóle takich dni, gdy się jest na wyjezdnym i gdy trzeba likwidować swoje stosunki, swój tryb życia itd. Człowiek czuje się wtedy wykolejony, nieswój, bez punktu oparcia, jak na postoju w zajeździe. O ile lubię podróżować i być w ruchu, o tyle nie lubię momentu wybieranie się, a właściwie ostatnich likwidacyjnych dni przed wyjazdem, szczególnie gdy wypada nie wyjechać na czas pewien, ale na stałe z jednego miejsca w inne. I w rzeczach, i w myślach, i trybie życia jest wtedy nieład i rozprzężenie. Podróżować lubię bardzo, ale nie wybierać się w podróż. Zresztą przyjemnie jest podróżować tylko bez rzeczy albo z minimalnym ich balastem. Podróżować z rzeczami, przenosić się z całym swoim kramem – to rzecz nieznośna. Człowiek w takiej podróży staje się niewolnikiem swoich rzeczy. W obecnych czasach, kiedy nie ma ani śladu dawnego komfortu podróży, podróż, szczególnie z rzeczami, jest męką. Zabieram ze sobą jak najmniej; większą część gratów i sprzętów, jakie mam, posprzedaję, mimo że dziś na tym się dużo traci, bo

[1] Elwira Mieczkowska, siostra, czasowo zamieszkała w Obodowcach.
[2] Kotunia Pruszanowska, siostra, czasowo mieszkała w Łomży.

każda najbagatelniejsza rzecz więcej warta od pieniędzy, które się za nią otrzyma, pomimo że się sprzeda drogo. A jednak zbierze się dużo rzeczy do wiezienia – pościel, ubranie, bielizna, trochę dzienników. Listy i papiery prawie wszystkie zostawiam – na przechowanie u Lusi.
Segregowałem dziś papiery i listy z lat ostatnich (od r. 1917 do czasów ostatniej chwili). Listy i papiery z moich czasów legionowych od r. 1915 do r. 1917 (do Szczypiornej) – niestety, poginęły mi w Warszawie (oprócz dzienników, które ocalały). Były one na przechowaniu u Ludwika Abramowicza, skąd je podczas jakiejś rewizji na początku roku zeszłego zebrali żandarmeria czy milicja i zagubiła wszystko. Przy przeglądaniu dziś papierów odnalazłem z wielką radością mój dyplom na odznakę „za wierną służbę" z I Brygady Legionów Polskich z podpisem Piłsudskiego, moją kartę wojskową z Legionów na imię Mateusza Rzymskiego (mój pseudonim) i kilka fotografii – w tej liczbie fotografię rozbrojonych żołnierzy I pp. w przemarszu przez Kalisz z dn. 18.VIII.1917 po drodze do Szczypiornej. Dobrze, że choć tych kilka pamiątek ocalało. Szkoda zagubionych wszystkich listów z czasów Legionów, szkoda mi też szczególnie jednej fotografii – grupy moich rekrutów z VI kapralstwa w kadrze w Zegrzu ze mną na czele.
Lusia mi dziś dała od siebie samej jeszcze breloczek – małe serduszko srebrne, miłą pamiąteczkę od drogiej dziewczynki. Żal mi porzucić Lusię. Poczciwa to dziewczynka, przywiązana do mnie.

18 marca, rok 1920, czwartek
Dzień poświęcony wizytom pożegnalnym. Ułożyłem zawczasu listę osób, których miałem wizytować, a Lusia Roszkowska odpisała mi na liście adres każdej osoby. Lista ta obejmowała wyłącznie sądowników, w tym bowiem jedynie środowisku zamykała się sfera moich stosunków w Łomży. Na liście więc tej znalazły się następujące osoby: prezes Sądu Okręgowego Filochowski, sędziowie okręgowi Skarzyński, Duszyński, Makowski i Chełstowski, sędziowie pokoju hr. Łubieński i Piwkowski, sędzia śledczy Wojcht, prokurator Sienicki, podprokurator Maciejewski, pisarz hipoteczny Mikułowski, adwokaci Hanusowski, Wołodkiewicz, Lachowicz, Krasnodębski, Winnicki, Ryntflein i Czerwiński, obrońcy sądowi Kordaszewski i Kulkin i wreszcie kierownicy kancelarii czterech wydziałów sądu okręgowego, a mianowicie sekretarz Brynczak (wydział karny I instancji) i podsekretarze Mikucki (cywilny I instancji), Flery (karny odwoławczy, to znaczy były mój) i Kamiński (cywilny odwoławczy). W liście tej spośród sądowników pominięci zostali przeze mnie: sędzia okręgowy Chabowski, sędzia pokoju Wysocki, podprokurator Szydłowski i obrońca sądowy Potyński, a to dlatego, że ci czterej panowie, przybyli do Łomży później ode mnie, nie złożyli mi wcale wizyty.
Poza sądownikami złożę wizyty tylko p. Komarowej i może także p. Jarmuszkiewiczowej. Poza tym nikomu, bo z nikim, poza światem sądowym, nie łączyły mię żadne bliższe stosunki osobiste. Niezależne od tego będę jutro u Lusi Roszkowskiej – po raz pierwszy w jej domu – i u panny Julii Jurago. Z tymi dwiema dziewczynami byłem na stopie przyjaznej. Breloczek-serduszko, ofiarowane mi przez Lusię wczoraj, jest miłym i wzruszającym suwenirem. Dane mi ono zostało oczywiście symbolicznie, bo nie jest to właściwie breloczek, jeno jakieś staroświeckie cacko o przeznaczeniu religijnym: na jednej stronie ma nadpis francuski „Jésus", na drugiej „Marie" i składa się z dwóch połówek na zawiaskach, które się otwierają i we wnętrzu są wgłębienia, obecnie puste. Lusia wyszukała dla mnie ten drobiazg gdzieś ze starych gracików rodzinnych, a dała mi go dla jego kształtu, który jest serduszkiem. Kocham dziewczę!

Przez cały dzień byłem na nogach – za wizytami. Jednych nie zostałem w domu, innych zostałem osobiście lub ich żony. Byłem ożywiony i wizyty zeszły przyjemnie. Ponieważ były to moje wizyty pożegnalne, więc rozmowy potrącały nieraz o moją osobę. Poza banalnymi wyrazami żalu i komplementów, mogłem jednak z niektórych rozmów wyłuskać coś niecoś z prawdziwych o mnie opinii i nastrojów sądowników w związku z moim wyjazdem. Liberalniejsze elementy, czyli, że tak powiem, lewica sądownictwa naszego nieliczna, odczuwa mój wyjazd jako stratę poważną, która się przyczyni do wyjaskrawienia dążeń i piętna reakcyjnego w sądzie łomżyńskim. Instynkt reakcji, reprezentowany zwłaszcza przez Starzyńskiego, który jest filarem endecji, i wyrażanej także przez Filochowskiego, b. esdeka, oraz takich sędziów, jak Duszyński i Chełstowski, będzie mógł się swobodniej rozwinąć, bo ze mną się liczono i mitygowano się; Starzyński zwłaszcza ma popęd czynienia z sądu narzędzia reakcyjnych prądów, a przeciwwagi nie znajdzie. Druga kwestia, której wciąż w tych rozmowach dotykano bądź wprost, bądź wyczuwalnie – to sprawa urzędowego pożegnania mnie. Sprawa ta ugrzęzła ze względu poniekąd na... trudności, poniekąd zaś ze względu na cichą niechęć niektórych czynników (Filochowski) do mnie i na dogodny pretekst, że wyjeżdżam na razie przecie tylko na „urlop”. Są jednak ciągłe tarcia i wahania w tej kwestii. Jedni nakłaniają się do tego pragnienia, inni uważają je wobec tylko urlopu za zbyteczne lub są mu wprost niechętni. Okazuje się, że i w adwokaturze rzecz ta była omawiana i wywoływała sprzeczne zdania. Niektórzy adwokaci (przypuszczam – Ryntflejn i zapewne jeszcze paru innych), występowali niechętnie, dając wyraz żalu do mnie za to, żem przestrzegał kolejki spraw i na sesjach nie wywoływałem przed innymi specjalnie spraw adwokackich. Największą sympatię mam, zdaje się, wśród pracowników kancelarii sądowych.

19 marca, rok 1920, piątek
Ostatni dzień, który w całości spędzam w Łomży. Przed obiadem Kotunia udała się do mojego mieszkania i tu z pomocą służących – swojej i p. Komarowej – spakowała wszystkie moje rzeczy, które mam zabrać ze sobą.
Po obiedzie miałem jeszcze różne sprawuneczki na mieście, a potem pod wieczór byłem u Lusi Roszkowskiej, która mię przyjęła herbatką, i u panny Julii Jurago – z pożegnaniem.
Smutny mi jest ten ostatni dzień przed wyjazdem z Łomży, mimo że spełnią się przez to moje własne życzenia. Nie chodzi mi o to, abym żałował opuszczać Łomżę. Gdybym miał znowu swobodny wybór między pozostaniem tutaj a powrotem do kraju, wybrałbym przecież powrót, choć jadę na niepewne i nie wiem, co mię tam czeka. Taką jest siła mego przywiązania do kraju i takim – czucie mego obowiązku! Mam jednak pewien niepokój w chwili tego powrotu, niepokój, którego bym jednak nie zamienił na spokój zrównoważonej pracy zawodowej sędziowskiej w Łomży i Polsce nadal. Ale ten smutek tkwi nie tylko w tym niepokoju. Tkwi on także w tym, że nie czuję w Łomży gorącego i serdecznego pożegnania, które by ozdobiło ten mój wyjazd. Zasadne być mogą motywy, dla których sądownicy zaniechali uroczystego żegnania mię za względu na to, że formalnie wyjeżdżam tylko – na „urlop”. Ale gdyby żywiej przemówiło uczucie, to znalazłby się może forma dla pożegnania pomimo zasadności formalnej powyższych względów. Wiem, że są wśród sądowników ludzie, którzy mi są szczere przyjaźni bez względu na kierunek politycznych przekonań, ale jednak zbiorowego odruchu serca na moment pożegnania nie było. Inaczej się rzecz miała w Kolnie, gdym je opuszczał. Tym więcej też cenię żal i przyjaźń pracowników kancelarii mojego wydziału, zwłaszcza kochanych panienek, które serdeczne i szczerze garną się do mnie na pożegnanie. Świat jednak wyższych kół sądownictwa i adwokatury na wyraz

zbiorowy uczucia się nie zdobył i to mię jednak w chwili wyjazdu boli. Wiem, że w ostatnich czasach były pod tym względem różne uwikłania i roztrząsania, ale skończyło się na niczym. Łudziłem się do końca wgłębi serca, że na ostatku zwycięży odruch sympatii i żalu. Wiem, że niektórzy adwokaci, jak Wołodkiewicz, i niektórzy koledzy sędziowie, jak Duszyński, Makowski, Łubieński, gorąco brali do serca sprawę pożegnania mię. Ale połowiczność przeważyła. Zabrakło odruchu zbiorowego. Skończyło się na tym, że jutro w południe ma być w gabinecie prezesa Filochowskiego fotografia koleżeńska (bez adwokatury).
Jednak z żalem i serdeczną sympatią żegnam sądownictwo polskie, któremu poświęciłem rzetelnie te parę lat pracy i któremu osobiście zawdzięczam dużo, bo było ono dla mnie szkołą w życiu, która z pewnością na marne nie pójdzie. Zamykał się dziś okres mojego życia.

20 marca, rok 1920, sobota
Dzień wyjazdu z Łomży – chyba już na zawsze.
Byłem niewyspany, ale mimo to czułem się dobrze i pogoda piękna mię żegnała na drogę. Niewyspany byłem, bo nocy wczorajszej spotkałem się z wieczora w Klubie Wioślarskim, do którego na gazetkę i na szklankę herbaty zaszedłem, kolegę Chabowskiego i adwokata Winnickiego. Z powodu mojego wyjazdu Winnick*i* zafundował węgrzyna, po którym przyszła kawa a wreszcie – wbrew logice trunków – wódka z przekąską. Na miłej gawędce przy podochoceniu czas szybko upłynął. Zwierzyłem się Winnickiemu i Chabowskiemu, że mi jest przykro, iż sądownictwo i adwokatura nie znalazły w sobie odruchu zbiorowego sympatii dla pożegnania mię bez względu na formę tegoż, i że zaprojektowana w ostatniej chwili fotografia zbiorowa, jako wymęczony kompromis, nie zadawala mię. Chabowski usprawiedliwiał kolegów, tłumaczył, że te ciągłe wahania w sprawie mego pożegnania były wynikiem tylko nieporozumienia i niemożności zorientowania się, czy to tylko urlop, czy już wyjazd zupełny, ale że dobra wola i serdeczność stosunku kolegów do mnie nie może być wskutek tego zakwestionowania. Winnicki inaczej się na to zapatrywał, rozumiejąc moje uczucia i zarzucając moim kolegom sędziom brak gorącej woli do pożegnania, tłumacząc natomiast, że adwokatura pierwsza inicjatywy pożegnania brać nie mogła, gdy moi najbliżsi koledzy sędziowie niczego nie zainicjowali. Obaj – Chabowski i Winnicki – byli bardzo serdeczni dla mnie, toteż wieczór ten upłynął mi bardzo mile. Do godz. 9 w nocy zabawiliśmy w Klubie. Gdyśmy wyszli, pożegnałem Chabowskiego i Winnickiego. Rzeczy moje były już spakowane, mieszkanie moje ogołocone ze wszystkiego, tak że łóżka już nawet nie było, bo zostało sprzedane i wyniesione do p. Komarowej. Miałem tą ostatnią noc przespać u Kotuni, ale o tak później porze nie mógłbym się już do niej dostać. Miałem nocować w hotelu, ale w paru hotelach, do których spróbowałem wstąpić, nie znalazłem miejsca. Nie miałem więc przytułku i wobec tego postanowiłem wrócić do Klubu, gdzie jeszcze przy świecach spóźnieni goście grali w karty; tam chciałem doczekać się rana. Przy jednym ze stolików zastałem czterech panów znajomych, którzy wkrótce dokończyli gry. Gdy się dowiedzieli o moim kłopocie, jeden z nich, aptekarz Liniewicz, był tak uprzejmy, że zaproponował mi udać się do jego mieszkania i przespać się do rana na kanapie, z czego też skorzystałem. Raniutko, przed g. ósmą, wstałem z kanapy, wykonałem moją codzienną gimnastykę i wyszedłem na miasto. Byłem u Kotuni, złożyłem jeszcze wizytę pożegnalną p. Komarowej, podjąłem moje pieniądze z banku (*notabene* w sądzie wypłacono mi pensję za kwiecień, wobec czego mam ze sobą ogółem przeszło 5 ½ tysiąca marek), załatwiłem parę ostatnich sprawunków na mieście i poszedłem do sądu. Tam obszedłem z pożegnaniem wszystkie kancelarie, wstąpiłem na salę posiedzeń, gdzie Chabowski

prowadził sesję apelacyjną karną, posiedziałem trochę, przysłuchując się rozprawom, aby po raz ostatni wchłonąć wrażenia sali sądowej na rozprawie i wreszcie z całym gronem sądowników udałem się do fotografa dla grupy pożegnalnej. W fotografii wzięli udział: prezes Filochowski, sędziowie okręgowi Skarzyński, Duszyński, Makowski, Chabowski i Chełstowski, sędziowie pokoju Łubieński, Wysocki i Piwkowski, sędzia śledczy Wojcht, prokurator Sienicki, podprokurator Maciejewski i pisarz hipoteczny Mikułowski – cały komplet kolegów-prawników z sądownictwa. Nastrój był sympatyczny i na ogół serdeczny. Wyczuwało się jednak zakłopotanie kolegów z powodu niedojścia do skutku pożegnania uroczystego. Jedni się usprawiedliwiali i tłumaczyli to zaniedbanie nieporozumieniem, inni – Skarzyński, Makowski, Łubieński – tym goręcej i szczerzej okazywali mi serce, wzruszając mię zaprawdę swoim niekłamanym uczuciem. Ci koledzy, którzy właściwie najbardziej przyczynili się do zaniedbania pożegnania i którzy z prezesem na czele najmniej w istocie mię żałują albo też nie żałują wcale, najgłośniej wyrażali żal i namawiali mię do zostania choćby do jutra, aby móc mię dzisiaj „pożegnać". Wszak mogli to uczynić jeszcze wczoraj, toteż oczywiście odmówiłem pozostania, choć dla mnie byłoby to zupełnie możliwe. Oczywiście nie życzyłem sobie takiego pożegnania, dla którego bym musiał umyślnie opóźnić wyjazd, bo byłoby ono wyżebrane, a wiedziałem aż nadto dobrze, że najmniej sobie tego życzą ci, którzy teraz najgłośniej to manifestują; dla obłudy tej nie miałbym zasady pozostawać, bo zresztą byłoby to nie tyle pożegnanie, ile czcza wypitka, zabarwiona obłudą symulowanych uczuć.

21 marca, rok 1920, niedziela
Wczoraj po fotografii uściskałem się ostatecznie na pożegnanie ze wszystkimi kolegami z Sądu Okręgowego i po zabraniu rzeczy z mieszkania ruszyłem furmaneczką na stację kolejową. Miałem do pociągu, który odchodzi po godz. 3, z półtorej godziny czasu. Wkrótce po moim przybyciu na stację przywędrowała tam na pożegnanie za mną cała kancelaria mojego wydziału apelacyjnego w osobach Flerego i panien Lusi Roszkowskiej, Heleny Mścichowskiej i Julii Jurago oraz dwaj kanceliści z wydziału karnego I instancji – Kraszewski i Saniewski. O tym, że przyjdą mię odprowadzić na kolej panienki, byłem uprzedzony zawczasu i bardzo z tego ostatniego jeszcze dowodu sympatii zadowolony. Wkrótce ujrzałem nadchodzącego podprokuratora Maciejewskiego, mojego przyszłego następcy na stanowisku sędziego okręgowego, niebawem znów nadszedł sędzia Makowski, wreszcie – sędzia Skarzyński. Miałem więc cała grono odprowadzających, dobór tych kolegów i współpracowników, którzy mi byli najżyczliwsi i najserdeczniej mię pożegnać pragnęli. Nie zapomnę im tego. Przed odejściem pociągu przyszła na stacją p. Jarmuszkiewiczowa z synem, aby odprowadzić na kolej odjeżdżającego na front z urlopu młodego pupila i przyjaciela swego, podporucznika Rowińskiego, z którym mię na peronie zapoznała i który potem był moim towarzyszem podróży aż do Wilna. Panny moje – Lusia, Mścichowska i Jurago – wpadły na pomysł, aby skorzystać z obecności p. Jarunszkiewiczowej i pod jej formalną opieką odprowadzić mię jeszcze kawałek koleją aż do najbliższej stacji – Śniadowa. P. Jarnuszkiewiczowa z wielką ochotą przystała na ten projekt. Byłem zachwycony tym pomysłem kochanych dziewczynek, dającym mi pewne przedłużenie ich miłego towarzystwa i możności lepszego pożegnania ich przywiązanych serduszek, bo na dworcu ze względu na obecność większej ilości osób musiałem się dzielić między wszystkich i nie mogłem tym panienkom się wyłącznie oddać. Niebawem pociąg ruszył. Jak mig przeleciał krótki dystans do Śniadowa opromieniony uroczym towarzystwem kochanych dziewczątek. Przyszło rozstawanie w Śniadowie. Panny z panią Jarunszkiewiczwą zostały na stacji, mnie pociąg uniósł dalej. Nie mogę wyrazić

wdzięczności i wzruszenia, jakimi pełne jest moje serca dla tylu dowodów przywiązania i serca ze strony tych dziewcząt. W połowie pobytu mojego w Łomży jest to kwiat jeden z najpiękniejszych, jeden z najdroższych w pamiątkach mojego serca.
Podróż odbyłem do Wilna w towarzystwie podporucznika Rowińskiego, który okazał się bardzo miłym towarzyszem ...i sympatycznym. Jest to piłsudczyk ze szkoły I Brygady i POW o najlepszych tradycjach żołnierza-obywatela, w przekonaniu swoim rycerz wolności i sprawy ludowej, człowiek idei i czystego serca. Wraca on z krótkiego urlopu do pułku swego na linię pod Lepel. Jest w 33 (łomżyńskim) pułku. Dzięki niemu miałem podróż ułatwioną, dobra miejsce i brak jakichkolwiek kłopotów z rzeczami, bo Rowiński miał ze sobą ordynansa, a jako wojskowy miał zawsze w drodze atuty nad cywilami, z czego i ja skorzystałem. Podróż do Wilna nie jest zresztą wcale tak uciążliwa i długa, jak mi się zdawało. Przesiada się raz tylko, w Łapach, gdzie trzeba czekać 6 godzin, od godz. 8 wieczorem do godz. 2 po północy. Stamtąd jedzie się już prosto. Żadnej rewizji w rzeczach nie było. Rzeczy ręczne i w bagażu przyszły do Wilna w całości. Miałem zamiar zatrzymać się po drodze w Grodnie, aby odwiedzić staruszkę p. Wilhelminę Kościałkowską, która mię o to prosiła, bo ma nawet interes do mnie w sprawie swego testamentu. Ale nie wysiadłem w Grodnie, bo obliczyłem, że nie wypadnie mi drożej, jeżeli osobno z Wilna przyjadę do Grodna bez żadnych rzeczy, nie mówiąc o wyjeździe. Około południa przyjechałem dziś do Wilna.

22 marca, rok 1920, poniedziałek
Od wczoraj w południe jestem w Wilnie. Myślę zabawić tu parę dni i wyjechać do Elwiry do Obodowca w interesach lasu wiązowieckiego, zabawić tam tydzień lub dni 10 i wrócić albo na święta Wielkiejnocy albo zaraz po świętach, następnie wpaść jeszcze na dzień jeden do Grodna i wreszcie, mniej więcej pod koniec tygodnia świątecznego, przekroczyć linię demarkacyjną do Litwy Kowieńskiej.
Straszyli mię tu ludzie, których widziałem po przyjeździe do Wilna, że Litwini mię nie wpuszczą i że chyba zmuszony będę przejechać przez linię demarkacyjną drogami bocznymi tajnie, na przykład przez Turmont, skąd można się furmanką pokątnie przemycić na stronę litewską. Istotnie Litwini zarządzili zamknięcie granicy na parę tygodni na czas wyborów do Konstytuanty i nie wpuszczają jadących drogą nawet za przepustkami. Były wypadki, że ludzie jadący przez Jewje, pomimo że posiadali przepustki nie tylko od władz polskich na wyjazd, ale i od Komitetu Litewskiego[3] na wjazd do Litwy, musieli z Jewja zawracać z powrotem (między innymi, zdarzało się to Eugeniuszowej Römerowej i wielu innym).
Jednak dzień dzisiejszy rozproszył co do mnie wszelkie obawy pod tym względem. Z obydwóch stron – polskiej i litewskiej – zapewniłem się co do możności przejazdu. Miarodajnymi pod tym względem są dwaj ludzie: ze strony polskiej – młody kapitan Marian Kościałkowski, syn Karola Kościałkowskiego z Ponedela (właściwie przeto – obywatel Litwy Kowieńskiej, bo Ponedel leży po stronie litewskiej), obecny kierownik tzw. Oddziału II (politycznego) Dowództwa Wojsk Polskich, następca Sławka na tym stanowisku, ze strony zaś litewskiej – Michał Biržiška, który jest dyrektorem gimnazjum litewskiego w Wilnie i redaktorem „Echa Litwy", ale zarazem ześrodkowuje całą politykę litewską w Wilnie, jest tu jej rzecznikiem i prezesem Komitetu Litewskiego. Byłem i u Biržiški, i u Kościałkowskiego. Kościałkowski, od którego należy wydawanie przepustek na przekroczenie linii demarkacyjnej i który stoi na czele wydziału tzw. defensywy i ofensywy wojenno-politycznej, stanowiącej poniekąd wydział polityki zagranicznej Dowództwa, zapewnił mię, że przepustka

[3] Mowa o Tymczasowym Komitecie Litwinów Wileńskich (Laikinasis Vilniaus Lietuvių Komitetas) powstałym dla reprezentowania interesów litewskiej ludności Wileńszczyzny w 1919 r.

będzie mi wydana w ciągu jednego dnia bez żadnych przeszkód, gdy tylko jej zażądam i gdy złożę dwie fotografie. Biržiška zaś, który o mej jeździe do Litwy od dawna był powiadomiony, obiecał mi wydać taką kartkę na wjazd, która wszelkie trudności usunie i wszelkie zakazy w stosunku do mnie zniesie. Wyjaśnił mi, że gdy do niego się zwracają osoby, chcące przejechać przez linię demarkacyjną, o których niewiele wie, to wydaje im kartki, że przeszkód nie ma, co jednak nie przesądza o ewentualnych przeszkodach ze strony władz litewskich na linii demarkacyjnej, które się kierują rozporządzeniami z Kowna. Ponieważ władze polskie w Wilnie nie uznają urzędowego charakteru jakichkolwiek organów litewskich w Wilnie, więc formalnych przepustek nikt z ramieniu Litwinów tu wydawać nie może, a kartki wydawane przez Biržiškę, mają jeno wagę kartek prywatnych. Gdy jednak Biržiška wie o kimś z całą pewnością, że ten jedzie nie dla celów wrogich, że jest Litwinom życzliwy i że wraca do kraju, jak ja, to w takim razie daje taką kartkę, która gwarantuje przejazd bez żadnych trudności. Taką mi kartkę da, toteż mogę być spokojny o dobry skutek. Co do obecnego zamknięcia granicy demarkacyjnej przez Litwinów, to wywołana ona została, jak mi wyjaśnił Biržiška, obawą, że elementy polskie wojskowe tzw. kierunku federacyjnego, dla których zwołanie Konstytuanty Litewskiej w Kownie jako czynnika kształtującego obecną państwowość Litwy jest niepożądane, usiłują rzekomo znów organizować w Kownie akcję POW, aby przez wywołanie rozruchów i ewentualnie prób zamachowych czy powstańczych złamać wybory, nie dopuścić do Konstytuanty i sprowokować przed jej zgromadzeniem się interwencję zbrojną polską, ażeby po tym pokonanej Litwie Kowieńskiej narzucić wybory do Konstytuanty w Wilnie, mającej pod protektoratem Polski objąć całą Litwę historyczną.

23 marca, rok 1920, wtorek

Zamieszkałem w Wilnie, jak zawsze, u Maryni[4]. Myślałem, że poznam u niej jej „narzeczonego", majora Trześniowskiego (pseudonim legionowy – Tatar). Ale go nie zastałem, jest bowiem na linii i tylko czasami przyjeżdża do Wilna na urlop. Marynia bardzo go chwali; na fotografii też wygląda sympatyczne. Jest to człowiek już starszy, w wieku lat mniej więcej 50, stosownym do wieku Maryni, która kończy rok 42. Ma być człowiekiem bardzo zrównoważonym, pogodnym, łagodnym, ale zarazem energicznym. Marynia z majorem Trześniowskim kochają się miłością piękną, spokojną, świadomą siebie, właściwą ludziom dojrzałym. Są narzeczeni nie na żarty. Marynia wpierw sądziła, że brak wieści od jej męża Witolda Römera, który zginął w Rosji i jego schorowanie, czyniące prawdopodobną śmierć jego, da możność ustalenia jej wdowieństwa dla powtórnych związków małżeńskich. Potem liczyła na rozwód. W jednym z ostatnich listów do mnie do Łomży pisała, że już z majorem rozpoczęła starania o rozwód. Wiedziałem, że w kościele katolickim rozwód jest wykluczony, a tzw. unieważnienie małżeństwa w lat przeszło 20 po ślubie, gdy to małżeństwo zostało w swoim czasie spełnione między małżonkami i gdy owocem jego jest dwoje żywych i dorastających dzieci, jest także niedopuszczalne. Jeżeli zaś małżeństwo miałoby być rozwiązane na podstawie zaginięcia jednego z małżonków, skutkującego domniemanie śmierci, to niewątpliwie byłaby niezbędną specjalna długa procedura, ustalająca zaginięcie za pomocą publikacji, wyczekania dłuższego czasu itd. Rzeczywiście Marynia i major rychło się przekonali o nieziszczalności katolickiego rozwodu. I konsystorz, i adwokat wykazali niewykonalność tego przedsięwzięcia. Adwokat wskazywał na rozwód i zawarcie nowego małżeństwa w drodze zamiany wyznania, ale Marynia ze względów uczuć religijnych oraz samego poczucia etyki nie życzy uciekać

[4] Marynia Römerowa, siostra, mieszkała w Wilnie.

się do tego sposobu, który zresztą, jak sądzę, byłby również mało skuteczny, skoro druga strona – Witold Römer – jest nieobecny. Bez drugiej strony czy w ogóle rozwód byłby możliwy. Marynia jednak z majorem nie zrazili się przeszkodami. Byłem zdziwiony, gdy mi oświadczyła, że nie chcąc zmieniać wyznania dla pozorowania w oczach ludzkich legalizmu małżeństwa i nie mogąc otrzymać rozwodu, zdecydowali się złożyć sobie ślubowanie wzajemne w obecności świadków najbliższych, jak ja i ktoś z rodziny majora i połączyć się bez ślubu kościelnego i bez formalnego zalegalizowania związku, a następnie wyjechać gdzieś daleko, gdzie ich nie znają – mają na myśli Pomorze – i tam żyć po małżeńsku. Ludziom tu można będzie powiedzieć, że Marynia otrzymała rozwód i że się gdzieś daleko pobrali, a jeżeli nawet krewni i znajomi zaczną się domyślać prawdy i gorszyć, to z daleka zgorszenie to nie będzie dla Maryni bolesne, a zresztą pogadają i – zapomną. Marynia jest na to zdecydowana stanowczo i tej jesieni myśli z majorem to wykonać. Wyobrażam sobie, jakie to wywoła w Wilnie i w rodzinie zgorszenie i plotki, ale uważam, że istotnie jest to droga szlachetniejsza od zmiany wyznania, która zresztą w naszej rodzinie, do szpiku katolickiej i klerykalnej, wywołałaby potępienie i zgorszenie prawdopodobnie jeszcze większe.
Poznałem tu narzeczonego Ewy, Konstantego Meyera, młodego podporucznika z karabinów maszynowych. Zastałem go tu na urlopie; obecnie już wyjechał z powrotem na linię. Małżeństwo, o którym Marynia pisała, że się zerwało, jednak dochodzi do skutku. Meyer jest chłopcem bardzo pięknym fizycznie; piękność jego ma wybitne cechy zmysłowe; mam wrażenie, że tym głównie zdobył Ewę.

24 marca, rok 1920, środa
Spostrzegam, że pod bardzo wielu względami moje pojęcia o stosunkach na Litwie posiadały duże braki i niedokładności. Wiele rzeczy, które mi się wydawały z daleka proste i układające się w pewne schematy, gdy się o nich myślało z daleka, teraz z bliska wydają się o wiele bardziej skomplikowane. Dość kilka dni pobytu w Wilnie, aby się przekonać, jak problem litewski jest doprawdy trudny do rozwiązania i jak głębokie tu zachodzą sprzeczności w różnych procesach, zmierzających do różnych rozwiązań. Ze spotkań i rozmów z poszczególnymi ludźmi różnych obozów i kierunków wynoszę wrażenie, że najbardziej optymistycznie i mocno są tu usposobieni Litwini i endecy; i jedni, i drudzy są pewni siebie, przekonani o słuszności i rychłym zwycięstwie swojej sprawy, toteż, moim poczuciem moralnym, idą prostą drogą do swoich celów, pełni energii i woli działania. Choć diametralnie różne są względem Wilna ich cele, bo podczas gdy Litwini chcą i wierzą w państwowość litewską w Wilnie, endecy chcą i wierzą w inkorporację Wilna do Polski, jednak i jedni i drudzy czynią wrażenie prądów zdrowych. Natomiast obóz demokratów polskich czyni wrażenie wykolejeńców; mam tu na myśli elementy demokratyczne lokalne, które stoją pod sztandarem zasady federacyjnej. Akcja ich jest nikła, wiara w zasadę własną chwiejna. Toteż wykonywanie polityki, wyrażającej zasadę federacyjną, przeszło z rąk elementów demokratycznych miejscowych w ręce elementów polskich napływowych, których rzecznikiem w prasie jest „Nasz Kraj".
Wieczorem wyjechałem z Wilna w stronę Mińska. Jadę do Obodowców do Elwiry. Pociąg był przepełniony; nie mógłbym się dostać do wagonu, gdybym w ostatniej chwili nie dokupił plackarty[5] do wagonu z miejscami numerowanymi.

25 marca, rok 1920, czwartek

[5] Plackarta – miejscówka.

Choć miałem miejsce numerowane z plackartą i jechałem względnie wygodnie, bo w wagonie osobowym, to jednak nie spałem wcale. O położeniu się nie było mowy, ale i siedząc drzemać nie mogłem, bo nie miałem żadnego oparcia. Większość wagonów w pociągu składała się z towarowych, które były przepełnione żołnierzami i częściowo ludnością cywilną. O godz. trzeciej po północy przyjechałem do Mołodeczna. Niedługo wypadło czekać na pociąg, idący stąd na Wilejkę i dalej w kierunku frontu pod Połock. Spotkałem się w Mołodecznie z doktorem Antonim Borowskim, którego poznałem z twarzy, aczkolwiek postarzał bardzo i jest sparaliżowanym kaleką, ledwie włóczącym nogami. Pociąg z Molodeczna pod Połock składa się wyłącznie z wagonów towarowych. Na dworcu w Mołodecznie i w pociągu – tłumy żołnierzy. Czuć już tutaj sąsiedztwo frontu. Myślałem o najęciu furmanki wprost z Mołodeczna do Obodowców, ale wybito mi to z głowy, gdym się zaczął rozpytywać. Z obawy przed rekwizycją żadna furmanka nie ośmieli się podjechać pod Mołodeczno.
O wschodzie słońca przyjechałem do Wilejki. Mroźnym słonecznym rankiem udałem się pieszo z dworca kolejowego do miasta. Dziwnie wyglądają mi w białoruskiej Wilejce chorągiewki o barwach polskich, tarcze z orłem polskim na drzwiach urzędów i instytucji, nazwy ulic, wypisane na tabliczkach, o brzmieniu polskim... Nie byłem w tych stronach od czasów przedwojennych, kiedy wszystko tu jeszcze miało piętno panowania rosyjskiego. Wstąpiłem do znanego mi dobrze z dawnych lat hoteliku tzw. Ester-Leji (od imienia Żydówki, która już dziś nie żyje, ale której mąż jest jeszcze właścicielem hotelu). W hotelu dowiedziałem się, że mieszka w nim Janusz Tukałło, który jest inżynierem powiatowym w Wilejce. Zaszedłem do niego i wypiłem herbatę; Janusz, która z mocy testamentu śp. wuja Ignacego Tukałły, zmarłego przed paru lat w Finlandii, jest właścicielem Ościukowicz, ogromnego majątku ziemskiego i ślicznej rezydencji pańskiej, a przeto człowiekiem bardzo bogatym, po wielekroć milionerem, nie może jednak dojść do posiadania majątku, bo dożywotnicą jest na nim wujenka Hela Tukałłowa, która, choć sama w Ościukowiczach nie mieszka, nie dopuszcza do zarządu. Zresztą Janusz Tukałło jest także właścicielem Pierekarki, schedy nieboszczki cioci Cesi Tukałłowej z działu Mamyłów, którą chce spieniężyć z lasem i ziemią. Od Janusza Tukałły udałem się do Gienia Falkowskiego, który w szarży kapitana jest szefem miejscowego wojennego sądu polowego. Z przyjemnością spędziłem parę godzin w towarzystwie Gienia, którego bardzo lubię i z którym rozmowa jest prawdziwą przyjemnością, bo jest to umysł światły, trochę może paradoksalny, ale ujmujący wszelkie zagadnienia kulturalne i w szczególności społeczne zupełnie po europejsku, co go czyni o całe niebo wyższym od powszechnego poziomu umysłowości obszarników. Taki Genio Falkowski jest pod względem kultury umysłowej białym krukiem w środowisku agrariuszy naszych. Gienio Falkowski pomógł mi znaleźć furmankę, którą za 35 rubli (carskich = ± 70 marek) nająłem do Kasuty. Kasuta jest zupełnie zniszczona przez wojnę. Wielki i ładny dom mieszkalny spalony – sterczą nagie ściany szkieletu – inne zabudowania zrujnowane. Pozostała tylko oficynka. W niej mieszka rządca i parę rodzin byłych parobków. Zresztą w Kasucie, jak we wszystkich innych majątkach Mieczysia Bohdanowicza, dwór nie prowadzi wcale gospodarki i nie posiada inwentarza. W roku bieżącym Mieczyś będzie gospodarzył za pomocą zapaszników. W Kasucie nająłem konia od parobka za 50 rubli do Obodowców, dokąd przyjechałem o zachodzie słońca. Zostałem w Obodowcach Elwirę, Stefana, ich dzieci, i brata Stefana – p. Tadeusza Mieczkowskiego, który po 15 leciech wrócił z Ameryki do Polski.

26 marca, rok 1920, piątek

Mieczkowscy mieszkają w Obodowcach sami. Właściciel Obodowców, Mieczyś Bohdanowicz, mieszka przeważnie w Wilnie, a zresztą dużo rozjeżdża, bo, jak zawsze, prowadzi wielkie interesy majątkowe, leśne i inne. W Obodowcach Mieczyś bywa rzadko. Tylko na lato ma przyjechać do Obodowców cała rodzina Mieczysia, a więc jego córeczki, które się uczą w Lublinie, jego matka – ciocia Masia Bohdanowiczowa, i jego siostra Mania Ordzina z mężem Michasiem Ordą i córeczką Renią (Ordowie mieszkają obecnie z ciocią Masią w Lublinie, majątki Michasia Ordy – Berezicze na Polesiu nad Stochodem i Mokra Dąbrowa w gub. grodzieńskiej – są zniszczone kompletnie podczas wojny). Żona Mieczysia Nusia, Falkowska z domu, rozstała się z nim wreszcie; stara się ona w Warszawie o rozwód, zmienia w tym celu wyznanie i wychodzi za mąż za swego wieloletniego kochanka Jasia Borowskiego. Stefan Mieczkowski jest rządcą generalnym Mieczysia Bohdanowicza na wszystkie jego w tych stronach majątki ziemskie, z których główne są: Obodowce (spadkowe Mieczysia po ojcu), Starzynki (skupione przez Mieczysia z działu po babuni Zuzannie Tukałłowej), Kasuta (kupiona od wuja Ignasia Tukałły po śmierci Babuni), Rajówka (kupiona od Jasia Hrehorowicza), Łowcewicze (spadkowe po stryju Mieczysia, Henryku Bohdanowiczu, dotąd nie podzielone) i jeszcze jakieś. Do Stefana należy ogólny kierunek administracji i dozór nad lasami. Jak wspomniałem, Mieczyś w majątkach swoich obecnie gospodarstwa na własną rękę nie prowadzi. Za czasów okupacji niemieckiej, która w tych stronach trwała krótko, bo tylko od Traktatu Pruskiego do rewolucji niemieckiej, to znaczy w r. 1918, Mieczyś zaczął zagospodarowywać swoje majątki, zakupił inwentarz, rozpoczął uprawę pól regularną, najął parobków. Gdy po upadku Niemców mieli tu wkroczyć bolszewicy, Mieczyś chciał całe bydło wypędzić do Wilna, ewentualne dalej – do Polski, aby je ustrzec od rabunku i rekwizycji. Ale po drodze bydło zostało w jakiejś wsi zatrzymane i rozchwytane przez chłopów, a konie przez czas rządów bolszewickich pozdychały z braku dozoru. Toteż teraz Mieczyś, nauczony doświadczeniem, nie chce wznawiać gospodarki, dopóki się stosunki polityczne nie uregulują ostatecznie, aby się znowu nie narazić na straty. Grunta uprawiać i obsiewać mu będą „zapasznicy”, to znaczy coś w rodzaju dzierżawców pierwotnych, którzy uprawiają grunt swoim kosztem i własnym inwentarzem, obsiewają własnym ziarnem, z plonu zaś pewną część obowiązani są wydać w naturze właścicielowi. System zapaszników jest stanowczo uwstecznieniem rozwoju i trybem gospodarki dworskiej, ale trudno jest zresztą się dziwić, że właściciele, którzy tyle doświadczyli w tej wojnie, nie kwapią się teraz, gdy jeszcze najbliższa przyszłość może przynieść różne niespodzianki, do zakładania regularnej gospodarki dworskiej. Straszą ich takie rzeczy, jak ewentualny powrót bolszewików, oczekiwanie reformy agrarnej, nie ustalenie prawno-państwowych losów kraju itd.

27 marca, rok 1920, sobota
Wczoraj wieczorem Stefan Mieczkowski ze swym bratem Tadeuszem wybrał się na polowanie na głuszca. Lasy obodowieckie i zwłaszcza sąsiedzkie starzyńskie obfitują w zwierzynę i zwłaszcza słyną z głuszców. Przed lato 10 tutaj trafiały się nawet niedźwiedzie. Teraz już ich tutaj nie ma, z grubego zwierza liczne są tu wilki i sarny; o łosiach nie wiem; trafiają się też rysie, liczne są i naturalne pospolite zające; są też wydry nad Wilią, są zwierzątka drobniejsze, trudne do upolowaniu, jak kuny, gronostaje, łasice; ze świata ptasiego najgrubszą zwierzyną jest piękny głuszec. O ile wojna sprzyjała rozmnożeniu wilków, o tyle dla głuszców była ona zgubna, bo oficerowie różnych armii, a w szczególności Niemcy w r. 1918, polowali namiętnie na te rzadkie ptaki. Toteż liczba głuszców bardzo się w lasach tutejszych zmniejszyła; jednak są one dotychczas; obecnie właśnie rozpoczynają się toki wiosenne tych ptaków,

jedyny czas właściwego polowania na nie. Pan Tadeusz Mieczkowski, gość z dalekiej Ameryki, urodzony w Królestwie Polskim, głuszców nie widział nigdy, toteż Stefan chciał mu dać tę jedyną okazję, a ponieważ Tadeusz Mieczkowski dziś na wieczór wyjeżdża, więc ostatnia noc była poświęcona temu polowaniu, raczej jego próbie, bo, jak twierdzą znawcy, jeszcze jest cokolwiek na toki głuszców za wcześnie; głuszce dopiero zaczynają tokować. Choć nie jestem myśliwym, jednak wybrałem się ze Stefanem i p. Tadeuszem, aby ewentualnie zobaczyć żywego tokującego ptaka lub przynajmniej usłyszeć na własne uczy słynny śpiew (tok) głuszca, którego dotąd widziałem tylko zabitego albo już na stole. Pod wieczór wybraliśmy się więc wraz z leśnikiem Michałowskim, wprawnym myśliwym i znawcą polowania na głuszca, do lasu w kierunku Sosenki nad Wilią. W lesie Michałowski wyznaczył dwa stanowiska: na pierwszym stanął on ze mną, na drugim – bracia Mieczkowscy. Pierwsza część polowania polega na tzw. „posadzeniu" głuszca; myśliwy staje przed zachodem słońca w takim miejscu w lesie, gdzie przypuszczalnie głuszec nadleci i usiądzie z wieczora na gałęzi; myśliwi znają dobrze takie ulubione miejsce głuszców. Są to odcinki suchego boru sosnowego, rosnącego dość rzadko bez podszycia młodego u dołu, położone w pobliżu szuwarów nadwodnych; głuszce, które przebywają przeważnie w gąszczach nad rzeczkami i stawami, w porze toków zlatują ma wieczór w pobliski las suchy, siadają na gałęzi jakieś wielkiej sosny i, sadowiąc się, łopoczą głośno skrzydłami, bijąc nimi po bokach; łopotaniem tym zawiadamiają samice-głuszki o swojej obecności; jednocześnie wszakże zdradzają swą obecność przed ukrytym w pobliżu myśliwym. Czasem, w pełnym rozwoju toków, głuszce nawet parę razy z wieczora swoją pieśń ciągną, następnie – zasypiają, a myśliwy, który „posadził" ptaka, to znaczy stwierdził jego usadowienie się, odchodzi, by powrócić przed świtem. Przed wschodem słońca głuszec zaczyna tokować: wydaje kilkakrotne dźwięki dziobem – „tak-tak", „tak-tak" – i kończy chrapliwym dyszeniem, jakby starczym, gardła, potem słucha i znów swoją pieśń powtarza; po dłuższym tokowaniu, gdy się już zlecą głuszki, ptak zlatuje z gałęzi na suchą ziemię i roztaczając skrzydła i ogon, zaleca się samiczkom podobnie do indyka i wreszcie spółkuje z nimi. Głuszec jest niezwykle czujny i wbrew swojej nazwie ma słuch niezmiernie ostry; tylko w krótkich chwilach chrapliwego sapania ptak, ogarnięty spazmem, znieczula się słuchowo.
Sztuka myśliwego polega na szybkim podbieganiu w chwilach chrapania ptaka i na zamieraniu nieruchomym po każdym takim podskoku.

28 marca, rok 1920, niedziela
„Polowanie" nasze na głuszca trwało aż dwa dni. Pozawczoraj, na żadnym z naszych dwóch stanowisk nie „posadziliśmy" głuszca. Wystaliśmy do późnego zmroku, ale głuszca nie posłyszeliśmy. Michałowski tłumaczył to tym, że jeszcze na toki trochę za wcześnie i że dopiero chyba stara głuszce mogą już zaczynać tokować, a zresztą głuszców już jest w tych lasach niewiele. Pomimo to mieliśmy nazajutrz o świcie znów iść w las próbować, może nam szczęście zabłyśnie i usłyszymy pieśń głuszca. W tym celu zanocowaliśmy w leśniczówce nad Wilią, położonej naprzeciwko Sosenki. W leśniczówce posililiśmy się mlekiem słodkim i kwaśnym z kartoflami, chlebem i sucharkami pszennymi. Leśnik przyniósł nam siana, kobiety leśnika zasłały je poduszkami, prześcieradłami i deskami. Od tegoż leśnika dowiedzieli się nasi myśliwi, że poprzedniego ranka o świcie natrafił on przypadkowo na głuszca w chwili jego zalotów na ziemi; to dodało otuchy, toteż postanowiono udać się w to samo miejsce. O godz. 3 rano Stefan z Michałowskim i Tadeuszem Mieczkowskim wstali i udali się do lasu. Mnie odradzili wstawać, ponieważ nadzieja na głuszca była mała, mieliśmy zaś po wyprawie na głuszca w razie jej niepowodzenia spróbować podejść cietrzewia.

Pozostałem więc, a oni poszli. Szkoda, że nie poszedłem razem, bo głuszca słyszeli, a nawet, choć go nie upolowali, Stefan z Michałowskim zbliżyli się do niego o 17 kroków i widzieli go w całej krasie i okazałości na gałęzi, jeno go spłoszyli, zanim Stefan zdjął fuzję z ramienia; Tadeusz Mieczkowski głuszca nie widział, bo z powodu błota i dziurawych butów zaniechał podchodzenia, ale przynajmniej słyszał jego pieśń leśną. Po ich powrocie do leśniczówki wróciliśmy do Obodowców. Wracając przez las, słyszeliśmy tokującego cietrzewia, ale gdyśmy podeszli i spróbowali podpatrzeć ich, znikły w lesie. Tegoż dnia po obiedzie p. Tadeusz Mieczkowski wyjechał, my zaś ze Stefanem i leśnikiem Michałowskim postanowiliśmy znów się udać na noc na głuszca. Zdawało się nam, że tym razem wyprawa nie chybi, bo wczorajszy głuszec znów gdzieś w pobliżu tokować będzie. Rozstawiliśmy się znów z wieczora na stanowiskach, każdy osobno, ale żaden z nas głuszca nie posadził. Spłoszyliśmy wprawdzie parę głuszek, idąc na stanowiska, ale sadowiącego się głuszca nie usłyszeliśmy. Ładnie jednak było w lesie. Różne głosy lasu dochodziły uszu naszych, bór pachniał, raz odezwało się krótkie wycie wilka, dzikie kaczki stadkami, parami i w pojedynkę przelatywały nad lasem, gdzieś od moczarów biegł głos żałosny spłoszonej kaczki może przez lisa. Na noc znów udaliśmy się do leśnika i o godz. 3 przed świtem poszliśmy w las. Chodziliśmy cicho, przystawaliśmy, wsłuchiwaliśmy się w szmery uśpionego lasu, ale śpiewu głuszca nie posłyszeliśmy. Zalatywały nas dalekie nawoływanie zajęcy, czasem skrzyp drzewa; niebawem las się budzić począł i dźwięczeć mnogimi głosami ptaków-śpiewaków. Wróciliśmy z pustymi rękoma do Obodowców. Wyprawa dwudniowa pozostała bez plonu. Po obiedzie jeździłem ze Stefanem do pobliskiego miasteczka Ilii. Poza tym cicho mi tu upływa czas. Elwira zabiła przed paru dniami wieprza, z którego mieć będziemy przysmaki na święta; trochę jednak i teraz smaczności nam kapie – tak oto uraczyła nas Elwira pasztetem z wątroby wieprzowej i kiszkami kartoflanymi na krwi.

29 marca, rok 1920, poniedziałek
Wczoraj rozmówiliśmy się ze Stefanem i Elwirą o lesie wiązowieckim. To było nawet poniekąd celem mojego przyjazdu do Mieczkowskich. Stefan od dawna pcha forsownie do sprzedaży całego lasu w Wiązowcu i ziemi, Elwira zaś jest temu przeciwna i nie chce się Wiązowca pozbywać, jeno chciałaby jakiejś drobnej detalicznej sprzedaży lasu, aby zdobyć trochę gotówki bieżącej. Chodzi o to, że Stefan chciałby sprzedaży całości, aby mieć gotówkę w ręku i móc ją użyć na spekulację, do której ma żyłkę. Stefanowi zawsze imponował pieniądz, kapitał, dający możność spekulowania, rzucania się na różne przedsięwzięcia ryzykowne i szybkiego wzbogacenia się. Zdaje się, że bogactwo jest jednym z głównych ideałów i bodźców energii u Stefana. Jeżeli miał on to zawsze w dużym stopniu i jeżeli myśl o tym była jednym z motorów jego małżeństwa z Elwirą i przyświecała mu w sprawie nabycia przez Elwirę Wiązowca w dziale po Mamie, to teraz wojna jeszcze bardziej w nim ten popęd spotęgowała. Przykłady szybkich wzbogaceń się spekulacyjnych na wojnie lub w związku z wojną na gruncie wytworzonych przez nią stosunków gospodarczych i osobiste rozwałęsanie się jego w ostatnich latach (służba rządowa przy wojsku rosyjskim w latach 1916 i 1917, jej próżniactwo, potem doraźne zarobkowanie w dobie bolszewizmu) bardziej niż kiedykolwiek nauczyły Stefana pogardzać systematyczną moralną i wytrwałą pracą i marzyć o spekulacjach, wzbogaceniu się i zdobyciu stanu wielkopańskiego. Wiązowiec jako taki, jako własność stała, jest dla niego kulą u nogi; natomiast tenże Wiązowiec jako las do spieniężenia i jako towar w ogóle, jest dla niego źródłem pozyskania pieniędzy, pierwszego szczebla do wymarzonej kariery spekulacyjnej, uwieńczonej ideałem bogactwa i próżniactwa. Ciąży Stefanowi praca na posadzie rządcy u Mieczysia Bohdanowicza, ciąży też w ogóle ten byt powolny i pracowity, na który jest

bez bogactwa skazany. O Wiązowcu, jako samodzielnym własnym warsztacie pracy, nie chce nawet myśleć. Dla tych właśnie względów, dla których Stefan chciałby przeforsować spieniężenie Wiązowca, Elwira jest temu przeciwna. Boi się ona żyłki spekulacyjnej i próżniaczej Stefana, nie ufa jego metodom wzbogacania się. Zna ona wpływowy charakter Stefana, jego brak wytrwałości, łatwe zniechęcanie się i przerzucanie z jednego w drugie i zwłaszcza boi się wpływu szwagra Stefana, p. Jana Staszyńskiego, który wciąż napompowuje Stefana rozmaitymi projektami i poza tym, jak Elwira posądza, chce go wyzyskiwać. Wzgląd na dzieci, aby ustrzec ich fortunę od ruiny niepewnych spekulacji, skłania Elwirę do energicznej obrony w celu zachowania Wiązowca. Tylko dla gotówki bieżącej chciałaby ona cokolwiek sprzedać, ale chodzi jej tylko o detale; Stefan zaś jest stanowczo sprzedaży detalicznej przeciwny i nie chce do niej dopuścić. Oprócz tego, Elwira ma jeszcze wzgląd ten, że stosunek jej ze Stefanem bynajmniej doskonały nie jest i że nawet nie jest ona zupełnie pewna trwałości tegoż: miłość z obydwóch stron już wygasła kompletnie i gdyby nie troje dziatek, nic by już dziś chyba małżonków tych nie łączyło; pożycie ich jest bardzo ciężkie. Otóż Wiązowiec, który jest własnością Elwiry, stanowi jej siłę w małżeństwie i zabezpieczenie materialne jej i dzieci. Gdyby został spieniężony, gotówka dostałaby się do rąk Stefana; Elwira zdaje sobie sprawę, że nie byłaby w stanie sama przeprowadzić tej sprzedaży i usunąć Stefana od gotówki. Wtedy nie tylko, zdaniem Elwiry, fortuna byłaby narażona na niebezpieczeństwo spekulacji Stefana, ale i ona sama, Elwira, straciłaby osobistą niezależność swoją wobec Stefana. Na tym punkcie Wiązowca ścierają się przeto od pewnego czasu ostro dążenia Stefana i Elwiry. Ponieważ ja jestem w 1/7 części wspólnikiem Elwiry w Wiązowcu, więc w tym sporze ze Stefanem odwołuje się ona do mnie i dlatego też mnie od dłuższego czasu wzywała, bym przyjechał. Dokończę jutro.

30 marca, rok 1920, wtorek
W pierwszych paru dniach po moim przyjeździe, dopóki był brat Stefana, Tadeusz Mieczkowski, Stefan nie rozpoczynał ze mną rozmowy o projektach na Wiązowiec. Dopiero pozawczoraj, po wyjeździe Tadeusza Mieczkowskiego, Stefan zainterpelował mnie w obecności Elwiry w tej sprawie. Gdy Elwira zaoponowała przeciwko sprzedaży całkowitej, a ja ją także poparłem, mówiąc, że mnie nie chodzi o spieniężenie szybkie mojego udziału, Stefan się zaczął unosić; zastrzegał też, że wobec tego on jednak w każdym razie sprzeda „swoją część" lasu. Chodzi o to, gdy Elwira spłacała siostry i zabrakło jej gotówki na spłacanie 8000 rubli na schedę Kotuni, Stefan dał jej na to 8000 rubli, zastrzegając, że za to nabywa udział w lesie, równy 1/8 części, to znaczy jednej schedzie. Elwira wtedy nie zaoponowała temu i tą drogą Stefan stał się faktycznym współwłaścicielem. Gdy Stefan zirytowany wyszedł, rozmówiłem się z Elwirą, poradziłem jej, aby nie przeszkadzała Stefanowi w sprzedaży 1/7 części lasu na „jego udział", a nawet jednocześnie sprzedała drugą siódmą część z jej własnych części; tą drogą ułatwi Stefanowi transakcję, bo wygodniej mu będzie sprzedać większą przestrzeń lasu, i jednocześnie sama zdobędzie pewną rezerwę gotówki w ilości może nawet do 200 000 marek, której obecnie nie posiada. Ewentualnie może i ja bym się zdecydował na spieniężenie mojej 1/7 części lasu, gdyby warunki sprzedaży były dogodne. W ten sposób można byłoby sprzedać do 3/7 ogółu lasu w Wiązowcu. Gdym to Stefanowi zakomunikował, uspokoił się i ucieszył. Wtedy i on by zdobył pewien zapas gotówki, Elwirze zaś zostałaby jeszcze większa część lasu nietknięta i czysta od udziałów, a jednocześnie miałaby dość rezerwy gotówki na swoje potrzeby, nie zależąc od łaski Stefana, i mogłaby ją zużyć na jakąś dzierżawę czy nawet na zagospodarowanie Wiązowca, a ja, po spieniężeniu mojej części lasu, zrealizowałbym

wtedy i mój udział w ziemi w Wiązowcu. Tak się zarysowują nasze plany na Wiązoweic. Zresztą, Stefan liczy, że dopiero w jesieni można się spodziewać transakcji sprzedaży leśnej. Wiązowec jest położony dalej od kolei, a do spławu jest też wiorst z 10 do kilkunastu i spław jest niezbyt dogodny; przy obecnych trudnościach komunikacyjnych i drożyźnie środków przewozowych wywóz lasu jest bardzo utrudniony i kosztowny. Warunki też polityczne, bliskość frontu bolszewickiego, niepewność najbliższego jutra, zarządzenie wojenne – czynią, że kupcy nie bardzo się odważają na ryzyko kupna lasów, położonych głębiej na wschód od kolei i spławu.
Wczoraj znowu pojechaliśmy ze Stefanem i Michałowskim na polowanie na głuszca. Tym razem udaliśmy się do Starzynek. Lasy starzyńskie dawniej słynęły z głuszców szczególnie. Pojechaliśmy przez folwark Pożaryszcze, mimo dworu Starzynek do starego leśnika Bronisia w leśniczówce, położonej w pobliżu Wilii. Stary przeszło 70-letni leśnik Broniś, który niegdyś polował jeszcze z dziaduniem Mieczysławem Tukałło, a następnie przez szereg lat z wujem Ignasiem Tukałło, z którym jeszcze bił w lasach Ssarzyńskich niedźwiedzie, zmroził nasze nadzieje, uprzedzając, że głuszców musi być bardzo mało i że ich nie słychać wcale. Jakoż polowanie i tym razem chybiło. Nad ranem, gdyśmy chodzili po lesie, Stefanowi zdało się, że usłyszał pieśń głuszca, ale dalej nic słychać nie było. Piękną była tylko ponura pieśń wilków, która nad ranem przeciągłym wyciem z różnych stron lasu napełniły bór charakterystycznymi dźwiękami dzikiej, dreszcz budzącej, ale uroczej melodii boru.

31 marca, rok 1920, środa
Byłem ze Stefanem w Ilii. Ponieważ zamierzałem wyjechać stąd po świętach na Radoszkowicze, przepustkę zaś mam tylko przez Wilejkę, więc chciałem otrzymać od naczelnika rejonu w Ilii osobne pozwolenie na wyjazd przez Radoszkowicze. Nie dało się to jednak zrobić, bo pozwolenie takie mocen jest wydać tylko starosta (naczelnik powiatu) w Wilejce, nie zaś naczelnik rejonu.
W Ilii był dzień targowy. Na targu ożywienie – duże, pełno wózków chłopskich, ludzi – gromada, ruch i handel – wielkie, większe, niż bym się spodziewał ujrzeć w miejscowości, która od kilku lat jest trapiona wojną i rewolucją. Przez kraj ten toczyły się nawały różnych armii, znosił on rozmaite najazdy i dotychczas jest terenem operacyjnym, bo zaledwie o jakieś 50 wiorst stąd toczy się dziś jeszcze wojna. Przyszłość polityczna i przynależność państwowa tego kraju są nieokreślone, stosunki społeczne są zachwiane i cały ustrój kraju jest trawiony gorączką prądów rewolucyjnych i kataklizmu gospodarczego wojny. Administracja kraju jest ledwie sklecona i ma charakter doraźny, na którym się wyczuwa tymczasowość okupacji wojennej. Naczelnikiem rejonu jest jakiś p. Stankiewicz z pow. wiłkomierskiego, pomocnikiem jego, który dziś w jego zastępstwie urzędował, jakiś młody człowiek, prawie chłopiec, pochodzący z ludu miejscowego, który był też urzędnikiem za czasów bolszewickich i umie się widocznie do każdego systemu rządów zastosować, a który w rozmowie z sierżantem żandarmerii w mojej obecności doradził mu wymuszanie zeznań od zaaresztowanych podejrzanych osobników za pomocą tortur. Żandarmi, czy też może raczej policjanci, chodzą po Ilii z charakterystycznym nahajem w ręku, symbolem samowoli i „silnej władzy", wymierzającej sprawiedliwość bezpośrednio bez obrzędów i formalności prawnych. Łapownictwo, niestety, kwitnie, samowola kojarzy się z prywatą i gwałtem. Stosunki administracyjne i prawne są tu bardzo przykre. Trudno się zresztą temu dziwić, dopóki losy kraju nie są przesądzone; nie ma kontroli przedstawicielstwa narodowego i rządy są zorganizowane z góry i z zewnątrz, metodą bądź co bądź okupacyjną, bez pierwiastka odpowiedzialności przed krajem. Z przywileju nieodpowiedzialności korzystają ci, którzy mają władzę faktyczną, i

korzystają też możni, którzy mają środki do operowania korupcją. Jeżeli stosunki administracyjno-prawne są jeszcze bardzo niedoskonałe w Polsce, to o ileż gorsze i smutniejsze są one tutaj, gdzie pomimo usiłowań kontroli zwierzchniczej z góry, każdy naczelnik rejonu i każdy niemal żandarm jest faktycznie samowładnym kacykiem. Kontrola hierarchiczna jest tylko paliatywem bardzo niedoskonałym, bo trudno jej przeniknąć w głąb nizin administracyjnych, które umieją zorganizować odporność solidarną metodą formuły „ręka rękę myje"; tylko kontrola z dołu, kontrola z łona zainteresowanej ludności, kontrola sejmowa – jest w stanie skorygować i ujarzmić rozpanoszenie się samowoli. Dwory umieją tu znakomicie siać korupcję i, operując czynnikami narodowymi i zwłaszcza materialnymi, czynią administrację lokalną i wszystkie lokalne narzędzia władzy narzędziem interesów własnych.

1 kwietnia, rok 1920, czwartek
Prima-aprilis i Wielki Czwartek. Nikt mię jednak nie okłamał, a Elwira dała na podwieczorek galaretę mięsną, więc ani prima-aprilis, ani Wielki Czwartek nie były należnie podług tradycji zachowane.
Wczoraj wieczorem był niepokój w Obodowcach. Lokajczuk Oleś był posyłany do Starzynek i po powrocie stamtąd opowiadał, że do Ignasia Strzelickiego, byłego długoletniego lokaja babuni Tukałłowej w Kasucie, zamieszkałego obecnie w wiosce Starzynkach na podarowanym mu przez babunię placu, zwracał się jakiś przyjezdny żołnierz i zapytywał, czy rządca z Obodowców, Mieczkowski, jest człowiekiem bogatym. Żołnierz ten przyjeżdżał konno. Ponieważ w okolicy Chocieńczyc, pobliskiego miasteczka, grasuje od dłuższego czasu kilku bandytów, którzy postępują niezwykle śmiało, przebierają się za żołnierzy, rekwirują furmanki, to znów podają się za urzędników i bywały nawet wypadki, że otrzymywali dla przejazdu na cele bandyckie furmanki urzędowe od władz, umiejąc je podejść, powstało podejrzenie, że żołnierzem tym był jeden z opryszków i że może gotują oni napad na Obodowiec na Mieczkowskich. Do gminy chocieńczyckiej została przed kilku dniami wysłana umyślna ekspedycja karna dla ujęcia zuchwałych bandytów, którym dotąd udawało się operować bezkarnie. Stefan był bardzo zaniepokojony; chciał nawet posyłać do Ilii, by uprzedzić żandarmów, ale że sam się o tym dowiedział dopiero późnym wieczorem, więc zaniechał tego. Niebezpieczeństwo na wypadek napadu potęguje się przez to, że służba dworska, a raczej rodziny parobków, zamieszkałych we dworze, jest cała dworowi niechętna, przepojona sympatiami bolszewickimi, wroga zarówno właścicielowi majątku, jak rządcy z jego ramienia, zwłaszcza takiemu, który, jak Stefan, jest spowinowacony z właścicielem, a więc trzyma jego stronę. W razie napadu nie można w tych warunkach liczyć na pomoc służby, która ani by zachciała bronić napadniętych czynnie, ani nawet zaalarmować sąsiadów i władze w Ilii. Noc jednak minęła spokojnie. Niepokój był próżny. Co do mnie – w razie napadu bandyckiego na dwór, lękałbym się tylko o mój piękny zegarek złoty pamiątkowy.
Wśród ludności tutejszej nastroje bolszewickie są bardzo silne. Właściwie ściśle rzecz biorąc – nastroje bolszewickie są tylko legendą, która kwitnie w umysłach przemożnych ziemian i może też w raportach urzędników, którzy chcieliby uzasadnić nią wobec władz wyższych konieczność zarządzeń wyjątkowych. W istocie bowiem chłop jako taki nie jest bynajmniej wyznawcą ideologii bolszewickiej. Chłop białoruski nie różni się pod tym względem zasadniczo od chłopa polskiego lub litewskiego. To, czego on pragnie – to reformy rolnej, która by przelała w jego ręce ziemię majątków obszarniczych i – rządów, opartych na chłopie. Słowem – pragnie on silniej demokracji chłopskiej, nie zaś bolszewickiej dyktatury proletariatu. Toteż w istocie obce są i tutaj chłopu nastroje bolszewickie w ścisłym znaczeniem słowa. Natomiast w walce

konkretnej zbrojnej, która się toczy na tych ziemiach między Rosją bolszewicką a Polską, masa chłopska białoruska w tych stronach, w większości prawosławna, sprzyja istotnie raczej bolszewikom. Ale to tylko dlatego, że zwycięstwo Polski i wojska polskiego symbolizuje dla chłopa białoruskiego powrót „panów" i kojarzy się w ich przekonaniu z groźbą znienawidzonych rządów „pańskich" i upadkiem ich tęsknoty do ziemi dworskiej.

2 kwietnia, rok 1920, piątek
Dla tutejszego chłopa białoruskiego Polska to – „pany". A że „panów" nie lubi, bo przypominają mu oni czasy niewoli, które utkwiły głęboko w jego pamięci, i pożąda ziemi „pańskiej" – więc stąd żywi niechęć do wojska polskiego i do Polski. Widzi on wyraźnie jedno: gdy byli bolszewicy, to „panów" nie było, bo uciekli; choć bolszewicy ziemi dworskiej nie dzielili i nie obiecywali jej chłopom, ale przynajmniej wymietli skutecznie „panów", to znaczy obszarników; chłop tej teorii i koncepcji bolszewicko-proletariackiej nie podziela i nie bardzo rozumie; bolszewickie papierki (pieniądze), drożyzna, nędza, brak soli, porządki czy nieporządki – nie zachwycają go bynajmniej; ale panów nie ma, dwory od nich odebrane, a chłop spodziewa się, że prawowitym spadkobiercą dworów będzie w ostatecznej konsekwencji przecież nie kto inny, jak on, chłop; tymczasem z chwilą ukazania się wojsk polskich, ukazują się wnet z powrotem i „panowie", którzy ciągną bezpośrednio za wojskiem i obejmują majątki. Odium panów-obszarników rozciąga się przeto w umyśle i sercu chłopa białoruskiego na wojsko polskie i Polskę; wojsko polskie nazywają oni wojskiem „pańskim", wojskiem, które służy panom. W głębi wiosek białoruskich błąka się nawet legenda, że wojsko polskie to – przebrani panowie i sługi pańskie i że sprowadzili je panowie. Stąd niechęć do Polaków, stąd w drodze kontrastu – pozory sympatii i nastrojów bolszewickich. Głównie stąd. Oczywiście gra tu pewną rolę i prawosławie, i niektóre jeszcze inne względy. Nie jest to jednak ideologia bolszewicka, która może jest jeszcze bardziej obca chłopom białoruskim, niż ideologia państwowości polskiej. Gdyby chłop tutejszy miał wybierać swobodnie między Polską a Rosją, może by istotnie wybrał Rosję nawet bolszewicką, byle nie rządy „pańskie" swoich krajowych obszarników. Gdyby zaś miał wybierać w Rosji między Rosją bolszewicką a carską, zapewne wybrałby tę ostatnią. Wszakże to, co w rzeczy samej odpowiadałoby najgłębiej i bezpośrednio jego sympatiom – to ani Polska „pańska", ani Rosja czy bolszewicka, czy carska, lecz jakie bądź rządy, byle chłopskie swojskie i takie, które by zrealizowały jego upragnioną reformę agrarną. Gdyby Polska przedstawiała się w wyobraźni chłopa tutejszego nie w obliczu rządów „pańskich", lecz w aureoli władzy chłopskiej, która rzetelnie i twardo niesie na sztandarze swej wojny z bolszewikami reformę rolną, stosunek chłopów białoruskich do Polski i wojsk polskich byłby zupełnie inny; wtedy o tych sympatiach czy nastrojach bolszewickich nie byłoby mowy, a przynajmniej zmalałyby one do jednostek i co najwyżej szukać by je należało chyba iż tylko w sferze parobków dworskich, których aspiracje są od chłopskich wielce różne.
Dziś – Wielki Piątek. Wypościliśmy rzetelnie. Post wielkopiątkowy jest tym istotniejszy, że się pości wśród pokus, jakie sprawia przyrządzanie święconego. Pieką się bułki, szpekuchy, pieką się mięsiwa, powonienie drażnią aromaty smakowitych dań. Choć święcone obecnie jest bardzo dalekie od święconych przedwojennych, jednak szykuje się ono i obecnie.
Dotarły tu wieści, że zjazd przedstawicieli Polski z przedstawicielami bolszewickiej Rosji dla zapoczątkowania układów pokojowych wyznaczony jest na 6 kwietnia w Bobrujsku. Gazet tu w Obodowcach niema – wieść ta dotarła pocztą pantoflową.

3 kwietnia, rok 1920, sobota
Dzieci Stefana i Elwiry Mieczkowskich jest troje: Helcia, urodzona w r. 1911, Aniuś (Andrzej), urodzony w r. 1913, i mały Michaś, urodzony w r. 1919 w lutym. Helcia jest dziewczynką, która zapowiada się ładna; jest miła, bardzo wrażliwa, rozwinięta umysłowo, niezmiernie ambitna; na pierwsze wrażenie zdawała mi się wcieleniem wszystkich cnót; pomaga matce, jest bardzo uważna, bardzo rozsądna, ma bardzo dużo taktu, zadziwiającego w tak młodym wieku (9-letnia dziewczynka); a że do tego jest ładna, ma twarzyczkę nerwową i wyrazistą, figurkę zgrabną i smukłą na wysokich nóżkach, przeto efekt sprawia bardzo dodatni zarówno w stosunku do zalet fizycznych, jak psychicznych i moralnych. Trochę przypomina mi czasem z pewnych ruchów i intonacji głosu Zitkę Komorowską, ale „*en beau*”;[6] miewa też nieraz w wyrazie coś przypominającego Elwirę. Przy bliższym jednak poznaniu w ciągu kilku dni dodatni efekt pierwszego wrażenia trochę się zaćmiewa cieniami cech ujemnych. Sprawdza się to, co Marynia mi o Helci Mieczkowskiej mówiła: jest ona zazdrosna i w gruncie rzeczy kocha się w sobie; jest egoistką, ale nie tego typu, co to myśli tylko o dogadzaniu sobie, nie dbając o ludzi, jeno przeciwnie – zajęta jest ciągle myślą o podobaniu się i każdy jej ruch, każdy jej krok i czyn jest aktem spekulacji, bardzo starannie obliczonym na przypodobanie się bądź matce, bądź ojcu, bądź gościom, służbie; ma ambicję podobania się, dba niezmiernie o opinię ludzką, jest niezmiernie czułą na wrażenia i efekt, które sprawia na osoby ze swego stoczenia; każdy odruch jej jest podyktowany chęcią podobania się; jeżeli coś robi dobrego, to nie z pobudek bezpośrednich, ale dla efektu, aby być pochwaloną i przedstawić się dodatnio; stąd też ta jej zazdrość, skarżenie częste braciszka, mściwość pewna w charakterze, skłonność do insynuowania, wyrobienia wielkiego taktu; jest to natura wrażliwa i nerwowa, subtelna i bardzo ambitna, ale niezupełnie szczera. Zresztą jest dziewczynką miłą, która potrafi się podobać, a że jest z natury miękką, więc będzie zapewne kochliwą. Inny typ psychiczny jest Aniuś. Jest to chłopczyk bardzo żywy, swawolny, urwis całą gębą, ale natura bardzo szczera i wystarczająca sobie, a więc z gruntu samodzielna. Ten nie robi nic dla oka ludzkiego, jeno zawsze i wyłącznie z własnej ochoty i dla własnego zadowolenia. Obrywa ciągle, dostaje klapsa lub klęczy za pokutę, ale niewiele sobie z tego robi. Nie widziałem go płaczącego, w ogóle też niczym się, zdaje się, nie przyjmuje zbytnio: żyje chwilą bieżącą. Jest bardzo ciekawy, z natury bardzo czynny, bo ani chwili nie posiedzi bez ruchu lub jakiegoś zajęcia, a przy tym ma tę cechą oryginalną, że potrafi robić najzabawniejsze figle lub zadawać najdziwaczniejsze pytania z miną poważną i najgłębszym skupieniem wyrazu, jak filozof, który jednocześnie bada jądro rzeczy, którą robi lub o którą pyta. Z twarzy i figury przypomina bardzo fizyczny typ Mieczkowskich, ale czasami przypomina mi też Gienia Pruszanowskiego i Henrysia Wołłowicza, gdy oni byli mali. Wreszcie trzecie dziecko Mieczkowskich, mały Michaś, jest jeszcze niemowlęciem, o którym nic określonego powiedzieć nie mogę, chyba to, że jest dzieckiem bardzo cichym i grzecznym.

4 kwietnia, rok 1920, niedziela
Dzień Wielkiejnocy. Elwira uraczyła nas święconym, które, choć skromne w stosunku do dawnych przedwojennych święconych, dostarczyło jednak obfitego i smacznego jadła. Jest szynka, doskonała cielęcina solona i podwędzona w „maćku”, to znaczy w żołądku wieprzowym, kogut, galareta z głowizny i nóg wieprzowych, kiełbasa domowa wędzona, jaja farbowane, bułki i szpekuchy. Oczywiście, nie ma tradycyjnego indyka, prosięcia, żadnych babek, tortów ani mazurków, ani też w ogóle słodkiego ciastka, na

[6] (fr.) en beau -

czasy obecne byłby to zbytek ponad możność. Co do ciast zresztą, to absolutny brak cukru uniemożliwia radykalnie pieczenie tychże. Nie ma też wódki ani żadnych win lub piwa – są to też w tych stronach artykuły prawie że niedostępne. W każdym razie, mięsa było dość i jadło było bardzo sute, toteż Wielkanoc, jak zwykle, upłynęła pod znakiem żołądka.
Pod wieczór młodzież folwarczna przyszła do Mieczkowskich z życzeniami świątecznymi i śpiewem pieśni okolicznościowych. Wpierw zaśpiewano jakąś długą monotonną pieśń kościelną katolicką po polsku w rodzaju jakiejś kantyczki wielkanocnej. Stefan i ja daliśmy śpiewakom 40 rubli gościńca, a Elwira na prośbę moją poprosiła ich aby zaśpiewali coś ze swoich pieśni miejscowych. Wówczas zaśpiewali kilka piosenek, stanowiących życzenia wielkanocne dla panienki i dla panicza, skierowując je do Helci i Aniusia. Były to piosenki z polska białoruskie, prawdopodobnie dworskie, układane i śpiewane kiedyś dla panienek i paniczów po dworach polskich na Białej Rusi przez służbę i czeladź. Język tych piosenek stanowi gwarę polsko-białoruską, a w życzeniach dla panicza jest mowa o wierzchowcu z ziemi tureckiej, o szabelce na wojenkę z ziemi niemieckiej i o dziewczynie na żonę z ziemi mińskiej, w życzeniach zaś dla panienki – o chłopcu z Krakowa.

5 kwietnia, rok 1920, poniedziałek
Przed wyjazdem z tych stron wybrałem się dziś z Elwirą do Wiązowca. Chciałem bowiem rozejrzeć się w lesie wiązowieckim, odświeżyć w pamięci znajomość tego lasu, przekonać się osobiście o jego stanie obecnym, a jednocześnie zaznać przyjemności pobytu w Wiązowcu, którym się kiedyś zajmowałem bezpośrednio i który właściwie jest poniekąd moim działem, bom w dziale po babuni Tukałłowej sam wybrał tę schedę, potem sam ją zabudował, doglądał przez lat kilka, sprzedawał las, troszczył, przyjeżdżał często, wypoczywał tam i ukochał. Wiązowiec był dla mnie zawsze miejscem zarówno pracy, jak przyjemności. Piękno tego prześlicznego lasu, moja malutka gospodareczka, leśniczówka, Biesiekierscy, mój konik Sekund, wierny pies Bryś, moje przyjazdy, kilkakrotne towarzystwo Aninki najdroższej w tych wizytach wiązowieckich, wszystko to mię wiąże z tym lasem serdecznie, uczuciowo, jak z czymś, w co jest zaklęta cząstka mojej własnej przeszłości.
Jednocześnie też chodzi i o względy materialne, bo być może, że będę mógł się przyczynić do sprzedaży lasu w ręce bądź Anglików (za pośrednictwem Karola O'Rourke'a), bądź kupców kowieńskich, jeżeli będzie możliwość wystarania się o skierowanie towaru spławem przez linię demarkacyjną litewską na Kowno.
Wyjechaliśmy z Elwirą koło godz. 10 z Obodowiec furmaneczką jednokonną prostym wózkiem chłopskim. Dziś nikt tu, nawet z najzamożniejszych ziemian, nie jeździ inaczej, jak prostymi wózkami; świetne zaprzęgi, konie stajenne, powozy – znikły, zmiecione katastrofą wojny i rewolucji. Za furmana mieliśmy lokajczuka Olesia, który, jako biegły w ślusarstwie, miał nam w Wiązowcu otworzyć tę część domu, która była zajmowana dawniej przeze mnie, obecnie zaś stoi zamknięta na klucz, a klucze stracone; w tej części domu w końcu roku 1918, przed powrotem bolszewików, ktoś z chłopów powyjmował okna z szybami; okna te zostały potem przez nowego mieszkańca Wiązowca, Kuczyńskiego, który jest obecnie leśnikiem, zasłonięte z wewnątrz okiennicami, z zewnątrz zaś zadrutowane drutem kolczastym; w pokoju moim pozostały moje dawne meble, ale z braku klucza nie można było wejść. Przez Ilię, Chocieńczyce, Łowcewicze, po bardzo złej drodze dotarliśmy z Elwirą zaledwie po godz. 3 do lasów mamyłowskich. Tu rozstaliśmy się: Elwira pojechała wprost do Mamyłów, gdzie mamy nocować, i już dziś do Wiązowca się nie wybrała, bo ją głowa od podróży bolała, ja zaś wysiadłem i poszedłem pieszo. Przede wszystkim, wstąpiłem

do pobliskich Zaściszek do starego Czebotara, mojego dawnego znajomego, który od wielu lat tu mieszka na kawałku ziemi mamyłowskiej; Czebotar mi przed laty 8 wybudował domek w Wiązowcu i w ogóle miałem z nim zawsze różne stosunki w lesie; w latach wojny Czebotar owdowiał i ożenił się powtórnie; jeden z jego synów – Antoś – był czynnym bolszewikiem, miał być potem aresztowany po wejściu Polaków, ale został uratowany dzięki wstawiennictwu Mieczkowskich, obecnie zaś ożenił się i wywędrował do żony gdzieś pod Kurzeniec. Czebotar serdecznie się ucieszył, gdy mnie ujrzał, potraktował mlekiem, miodem i chlebem, a wieczorem, gdym wrócił do niego z Wiązowca, odwiózł mię koniem do Mamył. Od Czebotara poszedłem do Wiązowca, wziąłem leśnika, przeszedłem się z nim po lesie, oglądając i wymierzając poszczególna sztuki sosen, następnie udałem się do wsi Trusewicz, gdzie odwiedziłem dwóch znajomych chłopów – Michasia Nowika i „starostę" (sołtysa) Antona Waszkiewicza. Wszędzie byłem uprzejmie i nawet serdecznie przyjęty. Ze wzruszeniem oglądałem las, leśniczówkę, znajome widoki dokoła. Nie mogę pozbyć się uczucia, że ten las nie jest już moim, że te widoki, do których przywykłem, ta leśniczówka, te wszystkie rzeczy, cząstki ziemi, sosny niebotyczne – są dla mnie dziś taką samą rzeczą obcą, jak wszystko inne na ziemi gdziekolwiek bądź. Wspomnienia tłoczyły się i mieszały z żalem i tęsknotą, zaprawioną jakąś rozkoszą przeszłości. Boć teraz, choć dotąd nie spieniężyłem mojego udziału w Wiązowcu, nic w nim realnie nie należy do mnie: mam tylko prawo do pewnej części jego wartości, idealny udział w eksploatacji, prawo pijawki, ale nie prawo gospodarza. A jednak, choć nie jest on dziś realnie moim, mam dla niego miłość ojcowską, toteż żałuję zniszczenia i zmarnowania tego pięknego kochanego mająteczku. Dlatego też nie mogę się pogodzić z tendencją Stefana do „spłukania" Wiązowca i sprzyjam tendencji Elwiry, która podobnie do mnie miłuje Wiązowiec uczuciowo. Przekonałem się zresztą po obejrzeniu lasu i próbkach wymiarów, że towaru jest dużo i że racjonalniej i zyskowniej będzie sprzedaż towaru na całym lesie, niż, jak by chciał Stefan, rąbać w pień.

6 kwietnia, rok 1920, wtorek

Znów rano po przybyciu z Mamyłów do Wiązowca chodziłem po lesie z leśnikiem Kuczyńskim z miarą w ręku, aby na próbą wymierzyć grubość poszczególnych drzew i zdobyć przeto dokładniejsze podstawy do zorientowania się w towarze. Z przyjemnością przekonałem się, że towaru do sprzedaży jest w lesie o wiele więcej, niż wyobrażałem sobie. Od czasu ostatniego cięcia lasu przez kupca Morgensztarna w latach 1912-1914 – przyrost grubości na sosnach i jodłach jest bardzo wielki. Morgensztern wyrąbując 5000 sztuk, zabierał na ostatku już sztuki 7-werszkowe[7]. Obecnie dużo jest sztuk 8-werszkowych, sporo – ponad 8 werszków, po 8 ½ i nawet do 9, a ilość 7- i 6-werszkowych jest ogromna. Liczę, że na całym lesie sztuk sosen i jodeł od 6 werszków i wyżej wypadnie przeszło 10000. Wobec nadzwyczajnej wyniosłości drzew w lesie wiązowieckim (można liczyć, że przy grubości 8 ½ werszków jedna sztuka da bez kory jeden całkowity festmetr[8] masy drzewnej towaru) – towar ten stanowi sam przez się bardzo znaczną wartość i może być przeto samodzielnym przedmiotem grubej transakcji bez potrzeby wycinania lasu w pień, a cena jego sprzedaży byłaby bez żadnego porównania wyższa, gdyby sprzedaż mogła się odbyć na warunkach wolnego spławu przez Kowno. W rezultacie więc moich spostrzeżeń w lesie było dojście do przekonania, że w interesie Elwiry, której, w przeciwieństwie do Stefana, nie chodzi o „spłukanie" Wiązowca i wyeksploatowanie go do ostatniej grudki ziemi, lecz o zachowaniu go jako swej własności i zagospodarowania, byłaby to raczej

[7] Werszek – miara grubości drzewa.
[8] Festmetr (niem.) – metr sześcienny.

sprzedaż towaru na całym lesie, niż wytrzebienie 55 czy 70 dziesięcin, tym bardziej, że zapewne i kupiec wolałby jednolity towar, niż wycinanie w pień, gatunkowanie i wyprzedawanie drobiazgu na drzewa, Elwira zaś mogłaby niezależnie od tego wytrzebić sobie na założenie folwarku rolnego jakichś ze 20 czy więcej dziesięcin dobrej ziemi w kierunku od leśniczówki do serwitutów, zachowując na reszcie las młodszy, który dziś przy wyrębie w pień nie będzie nic ceniony albo też znikomo mało, a za lat 10 naprośnie i znów jej da możność spieniężenia. Tą drogą Elwira uniknęłaby też niebezpieczeństwa ze strony dążeń Stefana do „spłukania" Wiązowca i miałaby mały folwarczek rolny, gospodareczkę i las, a sprzedaż obecnego towaru pozwoliłaby jej prawdopodobnie spłacić i część Stefana, i moją, i jeszcze dałaby jej dość gotówki na zagospodarowanie folwarku. Mnie to się podoba jeszcze przez to, że ocaliłoby ten ukochany las, który żałuję i kocham dla niego samego, bezinteresownie, nawet gdy on już nie jest moim. Zakomunikowałem moje wnioski Elwirze, która je bardzo chętnie przyjęła jako w zupełności odpowiadające jej dążeniom i zarazem zgodne z zasadami interesu. Obawialiśmy się, że Stefan, gdy się o tym dowie, będzie temu przeciwny i znów, jak zwykle, oświadczy, że w takim razie on się sprzedażą zajmować nie będzie. Postanowiliśmy jednak nie zrażać się jego odmową, bo choć ja, przenosząc się na Litwę, nie będę się mógł sam tym interesem zajmować, co czyniłem niegdyś za życia Mamy, mieszkając w Wilnie, to jednak, mając na sprzedaż towar, można kupca wyszukać i bez Stefana, a sprzedać potrafi ostatecznie i Elwira przy pomocy ewentualnie Mieczysia Bohdanowicza. Zresztą nawet co się odwlecze, to nie uciesze. Jeżeli się nie sprzeda, co przecież las może jeszcze nie zginie. Ostatecznie i Stefan się ujmie, gdy zobaczy, że gotowi jesteśmy obejść się bez niego. Okazało się jednak, że gdy po powrocie z Wiązowca do Obodowiec wspomniałem Stefanowi o ewentualnym proficie sprzedaży towaru zamiast wyrębu w pień, Stefan nie oponował zasadniczo. Stanęło na tym, że będzie się traktowało bądź o sprzedaży towaru na całym lesie, bądź o wyrębie części w pień, a zrobi się tak, jak się okaże zyskowniej, zależnie od kupców i cen. Ja także będę czynił starania o kupców.
W Wiązowcu znalazło się sporo jeszcze moich mebli i sprzętów. Dziś wszelkie rzeczy, a szczególnie meble są bardzo cenne. Poszczęściło mi się, bo i to, i jeszcze więcej u Maryni w Wilnie znalazło się moich rzeczy rozmaitych i mebli. Jestem, jak się okazuje, wcale zasobny, o czym nie pamiętałem. Najgorzej tylko to, że jest bardzo trudno, a na razie nawet niepodobna przewieźć rozproszone rzeczy.
W drodze powrotnej z Wiązowca do Obodowiec miałem bardzo miłą niespodziankę: zatrzymaliśmy się w Łowcewiczach, gdzie Elwira na początku wojny przez lat parę przemieszkała i gdzie miała zabrać kilka pozostawionych tu gratów swoich; Elwira wstąpiła do rządcy Dowgiałły, a ja poszedłem do ganeczku wejściowego koło domu; spostrzegłem budkę psią, a w otworze w daszku budki ujrzałem przednią część ogromnego łba psiego, ale nie warczącego nawet wcale, lękałem się, że olbrzym pies wyskoczy, a jeżeli nie jest na uwięzi, to rzuci się na mnie; po chwili wyszła Elwira i w tej chwili z budki wybiegł pies, spostrzegliśmy z Elwirą, że jest to mój stary wierny Bryś z Wiązowca, którego stosownie do relacji Elwiry miałem za utraconego. Przypuszczano, że Brysia w r.1918 za okupacji niemieckiej w tych stronach pożarli żołnierze niemieccy, którzy, będąc bez pożywienia, często zjadali psy, których im się udawało schwytać. Okazało się, że Bryś w roku ubiegłym sam przybiegł do Łowcewicz i odtąd tu pozostał. Wygląda wspaniale, jest tłusty, sierść ma lśniącą, pełny życia i ruchu, jak zawsze. Bryś poznał Elwirę i mnie, a szczególnie mnie. Spuszczony z łańcucha, przywitał się za mną gorąco, zaczął lizać, łasić się i podskakiwać. Co za dziwny instynkt pamięci, wiernego przywiązania u takiego psa. Ucieszyłem się szczerze i żałowałem jeno, że go zabrać ze sobą nie mogę. To pies, który ma życie pełne wrażeń,

obraca się w świecie jak z bajki. Nawet Elwira kiedyś stwierdziła, że jednak kocha tylko mnie jednego.

7 kwietnia, rok 1920, środa

Dziś po południu pożegnałem Mieczkowskich i opuszczam już te strony. Jazdę końmi do Wilejki miałem nie arcyprzyjemną. Deszcz padał, w niższych miejscach bagno od roztopów wiosennych tak wielkie, że pod Raduniem nad Wilią koń zapadł się i trzeba było go odprzęgać i wyciągać, zapadając w bagnie po kolana. Koni dworskich teraz nie ma, Mieczkowscy mają wprawdzie dwa konie, ale oba są chore na te przeklęte parchy, których zarazę upowszechniła wojna. Wobec tego jazda odbywa się w ten sposób, że dwór, wysyłający odjeżdżającego gościa, nakazuje parobkom, względnie zapasznikowi – dostarczyć furmankę. W ten sposób parobczańską furmanką dojechałem do Kasuty, skąd znów miejscowy leśnik miał nakazane odwieźć mię dalej – do Wilejki. W Kasucie, która jest zupełnie zniszczona, zwiedziłem ruiny pięknego niegdyś pałacu, którego tylko nagi szkielet murów świeci otworami okien i pustką wnętrza, strawionego pożarem. Ocalała w Kasucie tylko stara oficynka, w której gnieżdżą się rodziny parobków, stajnia i piekarnia na folwarku. Dwór przecina linia drutów kolczastych i w różnych częściach ogrodu i dziedzińca niedokończone fragmenty rowów strzeleckich. Do Wilejki na stację kolejową dojechałem na wieczór. Przyjechałem do Obodowiec bez rzeczy, wyjeżdżam zaś z dużym kufrem, w którym wiozę siodło damskie dla Maryni, moją burkę i poduszkę z Wiązowca. Oprócz tego, wiozę mój materac, zaszyty w rohoży[9]. Podróż z rzeczami jest teraz męką, ale cóż robić, gdy trzeba. Z Wilejki do Mołodeczna zabrałem je ze sobą do wagonu (oczywiście wagonem się jedzie towarowym); w Mołodecznie zaś zaryzykowałem oddać je na bagaż, co nie jest bezpieczne, bo kradzieże kolejowe są bardzo pospolite, a zarząd kolejowy za straty nie odpowiada.

Słówko jeszcze o stosunkach w stronach, które opuszczam – na Białej Rusi prawosławnej. Charakterystycznym wskaźnikiem nastrojów ludności są zjawiska ruchów bandycko-partyzanckich, wybuchających w pewnych okolicach. Znajdują się jednostki z ludu miejscowego, które się porywają do organizowania band i grasują z nimi bezpośrednio na tyłach wojsk polskich, w strefie wszechmocnej żandarmerii polowej. Na czele band, zresztą luźnych, które się nagle gdzieś kojarzą i znów rozsypują po szeregu napadów, wsiąkając w masę ludu, aby wnet powstać gdzieś indziej, stoi jakaś jednostka, której imię staje się w ustach ludu legendą i o której wieść głosi nie tylko czyny przez nią spełnione, ale i nie spełnione, fetyszyzując ją i przypisując jej nie tylko niezwykłe bohaterstwo i odwagę, olśniewającą psychikę ludową, ale także pobudki i intencje szlachetne, pełne wielkiego serca i rycerskiej obrony uciskanych. Taką postacią opryszka-bandyty i zarazem bohatera sprawy ludowej, człowieka żywego i zarazem legendy – jest głośny Mińczonok (syn Mińki, młody chłop z dawnych poddanych Biesiadzkich), który grasuje od miesięcy na pograniczu gminy chocieńczyckiej. Imię Mińczonka jest w promieniu około 100 wiorst na wszystkich ustach. Dla jednych jest on postrachem, wyrazem terroru, dla innych – poetycką legendą lub tęsknotą zemsty i ideałów ludowych. Mińczonok, bandyta i bohater ludowy białoruski, jest wszechobecny i nieuchwytny, jak również jego towarzysze, których ma wszędzie. Nie pomagają ekspedycje karne, wyprawy, cały wysiłek żandarmerii. Lud kocha Mieńczonka bardziej, niż się go obawia.

Cuda opowiadają o jego odwadze, sprycie, czynach. Prawdopodobnie w legendzie przypisują mu rolę i czyny większe, niż on o tym marzy. *Vox populi*[10] czynił go nie

[9] Rohoża – grube płótno workowe.
[10] Vox populi (łac.) – głos ludu.

tylko bandytą, ale także mścicielem krzywdy ludowej, pogromcą śmiertelnym „burżujów", to znaczy panów i tych, którzy sprawie pańskiej służą. Mińczonok – to nie tylko oprych, to także popularny ludowy partyzant białoruski.

8 kwietnia, rok 1920, czwartek
Całą drogę z Mołodeczna do Wilna, która trwała od godz. 2 ½ po północy do godz. 10 rano, przestałem w wagonie, nie mając gdzie nawet na chwilę usiąść; wszystkie miejsca siedzące na ławach i leżące na półkach górnych w starym wagonie IV klasy rosyjskim, do którego się dostałem, były zajęte, a tłok był tak wielki, że nawet przecisnąć się w głąb wagonu na korytarz nie było można. Toteż podróż ta bardzo mię zmęczyła. Ogromna większość podróżnych składała się z żołnierzy; cywile należeli do wyjątków, oczywiście upośledzonych pod wszelkimi względami, jak to bywa zwykłe w pasie przyfrontowym. Nie powiem też, aby towarzystwo żołnierzy w wagonie należało do przyjemnych. Żołnierz polski, choć się bije znakomicie i jest w linii pełny brawury, nie może jednak świadczyć dodatnio o kulturze narodu, który go wydał. Stykałem się i podróżowałem nieraz z gromadami żołnierzy rosyjskich, polskich, litewskich i niemieckich. Jakaż jest ogromna różnica w zachowaniu się żołnierzy niemieckich a polskich, rosyjskich lub litewskich! Ordynarne wyzwiska i przekleństwa, ordynarne żarty, gruboskórne obejście się cechują naszych rodaków polskich i litewskich i pobratymców słowiańskich, podczas gdy żołnierz niemiecki, choć musi być brutalniejszy może nieraz i twardszy, jednak zachowuje zawsze powagę i karby cywilizacji formalnej. W dawnych też Legionach Polskich do wyuzdania nigdy nie dochodziło do tego stopnia, co w masie żołnierzy polskich obecnie. W szczególności zaś niesłychanie przykrym i rażącym jest stosunek w pociągu żołnierzy do Żydów. Żyd, który musi podróżować obecnie z żołnierzami polskimi, jest prawdziwym męczennikiem. Kryje się on zwykle gdzieś po najgłębszych zakątkach wagonu, stara się być niewidoczny, najlepiej się czuje na platformach wagonów lub u samego wejścia, najdalej od środka tłuszczy żołnierskiej. I to jednak niewiele pomaga, bo go zawsze jakiś łobuz żołnierski wykryje, a wtedy zaczyna się ohydne szczucie, a jeszcze częściej drwiny, rubaszne żarciki, wołanie, w których bierze udział cały wagon żołnierzy, utrzymane nawet w tonie nie tyle nienawiści, ile jakiejś rubasznej żartobliwości, która przypomina znęcanie się uliczników nad jakimś biednym szczeniakiem czy kotem: z lekkiej ręki hallerczyków upowszechnił się w wojsku polskim dziki zwyczaj obcinania bród Żydów; obcinanie bród żydowskich w pociągach, a gdzieniegdzie i w miastach na ulicy, jest słodzoną modyfikacją dawnych pogromów rosyjskich; zamiast mordowania i męczenia fizycznego – znęcanie się przez obcinanie bród: upokorzenie moralne i gwałt fizyczny, acz niebolesny; jednak od fizycznego obcinania bród o wiele częstsze i pospolitsze jest drwienie z Żydów przez grożenie im takim obcięciem; stało się to po prostu nałogiem i dowcipem hultajskim żołnierzy przy spotkaniu Żyda. Zaiste będąc obecnym przy tych drwinkach i znęcaniu się nad Żydami, bezbronnymi i bezradnymi, rumienić się musiałem wobec tych Żydów jako aryjczyk i Polak. Są to rzeczy bolesne, pełne upokorzenia i ohydy. W Nowej Wilejce pod Wilnem, gdym się przechadzał po peronie w czasie postoju pociągu, widziałem przez drzwi otwarte wagonu towarowego, w którym jechali podróżni, scenę taką: stoi na środku wagonu niski średniego wieku ubogi Żyd; dokoła – zgraja żołnierzy roześmianych, urągających mu i znęcających się nad nim dowcipami i wysiłkami dowcipu; jeden z żołnierzy trzyma Żyda za brodę, udając, że mu ją chce obciąć; bezradny Żyd, nie mogąc się wobec takiej zgrai bronić i nie śmiejąc wykazać niezadowolenia, udaje, że się sam też bawi konceptem swych prześladowców; na twarzy ma uśmiech, symulujący rozbawienie, ale w sercu musi mieć

jad upokorzenia i nienawiści. I w naszym wagonie były inne, choć mniej przykre, sceny hultajskiego prześladowania Żydów. Smutne tą są rzeczy.
W Wilnie w mieszkaniu Maryni zastałem całą gromadkę listów do mnie z Łomży, bardzo serdecznych, miłych, które mi wielką przyjemność sprawiły. Swoją drogą, tęsknię do moich przyjaciół łomżyńskich w sądzie, gdzie mam sporo serc bardzo życzliwych i bardzo mi oddanych. Były tam listy od hr Łubieńskiego, od Kotuni Pruszanowskiej, od p. Julii Jurago, parę od Lusi Roszkowskiej, tej najwierniejszej.
Maryni chwilowo nie zastałem w Wilnie. Bawi w Landwarowie, gdzie uprawia swoje ogrody. Przyjedzie jutro. Ewa pokazało mi list Hektora Komorowskiego[11] do Maryni. Prosi on i zaklina, abym co najprędzej przyjeżdżał do Bohdaniszek do sprzedania lasu i „ratowania" funduszu, zagrożonego reformą rolną.
Ziemiaństwo kowieńskie przeżywa panikę reformy rolnej, która jak chmura zbliża się groźnie wraz ze zwołaniem Sejmu w Kownie.

9 kwietnia, rok 1920, piątek
Sprawa rokowań pokojowych z bolszewikami nie jest na dobrej drodze. Na propozycję Polski, aby zjazd pełnomocników stron odbył się w Borysowie w dniu 10 kwietnia, rząd Sowietów notą komisarza do spraw zagranicznych Cziczerina odpowiedział, że Borysów, położony na odcinku frontu, uważa za niewłaściwy i proponuje natomiast którekolwiek z miast neutralnej Estonii, której rząd się na to zgodził, i że uważa za wskazane, aby rokowaniom pokojowym towarzyszył rozejm na całej linii frontu. Nota Cziczerina, jak wszystkie noty dyplomatyczne Sowietów, jest zabarwiona zwrotami agitacyjnymi, czyniącymi z niej nie tylko ścisłą odpowiedź urzędową, ale zarazem i proklamację do ludu polskiego ponad głową rządu Rzeczypospolitej. Opinia polska jest skłonna uważać odpowiedź Cziczerina za wykręt, świadczący o braku szczerości ze strony bolszewików i braku woli do istotnego rokowania z Polską, tym bardziej, że jednocześnie Rosja skomunikowała się co do rokowań osobnych z Łotwą na zasadzie zrzeczenia się na rzecz tejże Łatgalii i do rokowań z Rumunią na zasadzie zrzeczenia się Besarabii, bodajże nawet z Odessą. I Łotwa, i Rumunią zdają się przyjmować skwapliwie okazję do pokoju separatnego, dającego im spełnienie całkowite ich ambicji i postulatów terytorialnych i narodowych. Przez to samo Polska została osamotniona. Dążenia dyplomacji polskiej do tego, aby rokowania pokojowe z bolszewikami były prowadzone solidarnie przez blok państw kresowych (Finlandia, Łotwa, Rumunia) wraz z Polską i poniekąd pod jej moralnym protektoratem, aby uczynić z Polski rzeczniczkę i rozjemczynię w likwidacji spraw wschodnich, co by podniosło polityczną wagę Polski, zaspokoiło jej ambicję mocarstwową i zapewniło jej przewagę w kompleksie państw od Bałtyku do Morza Czarnego, cementując umiłowany przez Piłsudskiego i pracowicie przygotowywany blok tychże państw z Polską na czele – zostały faktycznie rozbite. Dyplomatycznie bolszewicy odnieśli sukces duży, który co najmniej równoważy jakość militarnych usiłowań ofensywy na froncie. Warszawski minister spraw zagranicznych Patek[12] odpowiedział na notę Cziczerina krótką zwięzłą notą, w której utrzymuje Borysów i uchyla rozejm, stwierdzając, że dalsza dyskusja w kwestii tych dwóch punktów jest bezcelowa, i żąda odpowiedzi ostatecznej: tak albo nie. Ale jeżeli nawet bolszewicy zgodzą się na Borysów i na rokowania bez rozejmu, to już wobec faktu osobnych rokowań z Łotwą i Rumunią, rokowania polsko-bolszewickie stworzą tę wagę generalnej regulacji spraw wschodnich, jaką im dyplomacja polska nadać chciała. A w takim razie i żądania polskie zrzeczenia się przez Rosję granicy r. 1772 zyskają na mocy, albowiem przestawią się w innym świetle; gdy Polska występuje tak, jak chciała

[11] Komorowski Hektor, syn siostry Elizy.
[12] Patek S. – minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej.

i marzyła, w roli regulatorki spraw wschodnich, a poniekąd mandatariuszki bloku ludów od Bałtyku do Morza Czarnego, żądanie granicy r. 1772 nie ma pozorów imperializmu, bo wyraża zasadę wolności samookreślenia ludów (Białej Rusi, Ukrainy) wewnątrz granic. Gdy jednak paktują oni z Rosją jako indywidualne państwo z drugim państwem, i nie ma to charakteru rzeczniczki jakiegoś kompleksu spraw wschodnich, wtedy postulat granic r. 1772 tchnie imperializmem, jeżeli już nie zaborem. To jest właśnie porażką dyplomatyczną Polski. Trudno się oprzeć wrażeniu, iż jest w tym ręka Anglii, która w sprawach ziem bałtyckich i czarnomorskich nie chce dopuścić Polski do roli arbitra, rezerwując rolę tą dla siebie i dla własnego imperializmu.

10 kwietnia, rok 1920, sobota
Używam Wilna. Dobrze mi tu jest i przyjemnie. Rano wychodzę z domu i po całych dniach jestem na mieście. Odwiedzam znajomych, innych spotykam przygodnie na ulicy, gawędzę, rozglądam się, poznaję usposobienie ludzi, stosunki, bolączki publiczne, prądy i dążenia, słowem – orientuję się i znowu uczę problemu Litwy. Żadne wnioski logiczne, snute z daleka, nie zastąpią bezpośredniego zatknięcia z życiem, które jest mistrzem wszelkiego poznania; byle umieć w nim dostrzegać kiełkujące procesy, to stopniowo uwydatnią się i rozwiązania. Poza tym, niezależne od korzyści orientowania się, mam przyjemność w samym widzeniu się z różnymi przyjaciółmi, towarzyszami niegdyś różnych prac wspólnych, znajomymi. Chodzę więc po mieście, zaglądam do kawiarni, zachodzę do domów znajomych, włóczę się po różnych ulicach Wilna, gdzie tyle wspomnień serdecznych wiąże mię z każdym niemal zakątkiem, odbywam pielgrzymkę miejsc uświęconych dla mnie pamięcią naszego szczęścia z Aninką. Nie śpieszy mi się jakoś z wyjazdem z Wilna. Czuję się tu ptaszkiem wolnym, bez trosk i obowiązków. Gdy stąd wyruszę, gdy się znajdę w Kownie i Bohdaniszkach, położenie moje się zmieni. Będę musiał się na coś decydować, imać jakiejś roboty, wybierać wśród różnych ewentualności, które się jeszcze chaotycznie zarysowują i które zwłaszcza mają każdą swoją stronę odwrotną, i – ujemną. Cieszę się, że wracam do Litwy i widzę, że jest to potrzebne, ale nie opieram się energicznie pokusie przedłużenia jeszcze o kilka dni mojej próżniaczki w Wilnie. Po wielu miesiącach nieustannej monotonnej biurowej pracy sędziowskiej w Łomży próżniactwo i swobodna niczym nie krępowana, nie licząca się z żadnymi godzinami włóczęga po Wilnie ma dla mnie urok wielki. Są tu moje wakacje. Pogoda jest śliczna, wiosna w pełnym postępie, ciepło. W Wileńku czuję się jakby młodszym, odzyskuję samego siebie z lat dawnych, a w związku z tym odzywają się we mnie instynkty erotyczne, pragnienie kobiet, tęsknota rozkoszy zmysłowych. Po Łomży Wilno zyskuje bardzo. Jest też w Wilnie rozlany i działający o wiele ostrzej ten wabik kobiecy półświatka, którego w Łomży nie ma. Wspomnienia dawnych zabaw, związane z Wilnem, podniecają też instynkty zmysłowe. Miałem dziś już otrzymać przepustkę na wyjazd do Litwy Kowieńskiej, ale okazała się jeszcze nie podpisana przez Kościałkowskiego.

11 kwietnia, rok 1920, niedziela
Spotkałem Wiktora Wąsowicza, który jest oficerem łącznikowym polskim w Kownie. Zaproponował mi on, abym dla jazdy do Kowna skorzystał z jego automobilu. Gdybym mógł wyjechać już jutro rano, mógłbym pojechać automobilem z nim razem. Ale niezależnie od tego ofiarowuje mi on swój automobil na inną okazję. Jutro rano jedzie on do Kowna, skąd po kilku dniach wysyła tymże automobilem kuriera do Wilna, a gdy następnie automobil znów będzie wracał do Kowna, co nastąpi mniej więcej za dni 7, będę mógł się nim zabrać. Dla okazji tak dogodnej jazdy gotów jestem chętnie tu dni 7 zabawić, tym bardziej, że mi w Wilnie dobrze. Boję się tylko, aby coś temu po tym nie

przeszkodziło i abym, zmarnowawszy czas na czekanie, nie osiadł po 7 dniach na mieliźnie. Te kilka dni mam się w sprawie tego automobilu dowiedzieć u Mariana Kościałkowskiego, którego Wąsowicz obiecał uprzedzić o tym.
Dzięki Bogu i Maryńce, że jeszcze pobyt w Wilnie jest dla mnie względnie mało kosztowny, bo mam w jej mieszkaniu bezpłatną i bardzo wygodną lokatę. Kosztują mię tylko obiady (z piwem i chlebem oraz procentem za usługę kosztują mię one w restauracji Bristolu przeszło 90 rubli dziennie), no i kawiarnie, śniadanie, gazeta i papierosy, co ogółem wynosi dzienne ponad 50 marek.
Wieczorem byłem u Heli Ochenkowskiej, u której trafiłem na herbatkę. Byli na niej: p. Tadeusz Wróblewski, który jest notariuszem w Wilnie, p. Stanisław Łopaciński z Sarii, znany ziemianin z gub. witebskiej i działacz społeczny, były poseł do Rady Państwa w Petersburgu, człowiek światły i umiarkowanie postępowy, ale już mocno stary, obecnie – sędzia Sądu Apelacyjnego w Wilnie na wydziale karnym, i Ludwik Abramowicz. Wieczór spędziłem przyjemnie. Staruszkowie Wróblewski i Łopaciński silili się na kawalerskie słone dowcipy, ćwicząc język na sprośnych kalamburach i anegdotach. Dobra była szczególnie jedna anegdotka o jakimś najnowszym tańcu, modnym, którego nazwy nie pamiętam, a który ma być jaskrawie nieprzyzwoity, kopiujący wprost gesty spółkowania; jakaś pani w średnim wieku, która po raz pierwszy widziała ten taniec, po przyjrzeniu mu się miała się wyrazić do swego otoczenia: „Ależ to ja przez lat dwadzieścia robiłam z moim mężem i nie wiedziałam wcale, jak się to nazywa!”.
Co do Ludwika Abramowicza, to po przyjeździe do Wilna połączył się on z żoną (Julią z Salmonowiczów z Gudziszek), z którą się był przed laty około 10 rozstał; ma więc teraz swoją rodzinę, żonę i dzieci. Z Helą Ochenkowską jednak nie zerwał; widuje się z nią zawsze i przebywa często u niej. Jego stosunek z Helą oparty jest na miłości wzajemnej, stosunek z żoną – na ognisku rodzinnym i dzieciach, ale bez miłości.

12 kwietnia, rok 1920, poniedziałek
Bawi w Wilnie Mieczysław Niedziałkowski, Wilnianin, dawny sprzed lat 10 „Mek” (pseudonim) z kółek młodzieży postępowej – polskiej w Wilnie, syn Karola Niedziałkowskiego, byłego wiceprezydenta Wilna i obecnego komisarza na okręg Wileński Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, obecnie – poseł do Sejmu Ustawodawczego w Warszawie z ramienia PPS. Mieczysław Niedziałkowski, choć jest posłem z okręgu płockiego, na równi co najmniej, jeżeli nie więcej od spraw społecznych w Polsce zajmuje się w Sejmie i w swej działalności publicznej sprawami, związanymi z polityką polską na Wschodzie i bardzo też często bywa w Wilnie. Zresztą Niedziałkowski, jak się raz wyraził o nim w rozmowie ze mną Ignacy Daszyński, jest w Polsce socjalistą, natomiast za Bugiem jest endekiem. Jest to skądinąd zjawisko u PPS-owców bardzo pospolite i ci socjał-patrioci, będąc socjalistami w wewnętrznych stosunkach w Polsce, tchną nacjonalizmem, gdy dotkną stosunków Polski zewnętrznych i w szczególności spraw Litwy i Rusi. Co prawda, nie jest to przywilej wyłącznie socjalistów tego pokroju polskich. Socjaliści na przykład litewscy prawego skrzydła przejmują się tak samo nacjonalizmem, gdy chodzi o sporne kresy Litwy narodowej. Otóż młody poseł PPS-owski Mieczysław Niedziałkowski bawi w Wilnie w powrocie z Rewla ze zjazdu socjalistów państw „kresowych”, to znaczy oderwanych od Rosji; na zjeździe tym były reprezentowana Polska, Litwa, Białoruś, Łotwa, Estonia i Finlandia. W piątek ubiegły Niedziałkowski referował o tym zjeździe w Rewlu na zebraniu w redakcji „Naszego Kraju”, gdzie co piątek odbywają się zebrania dyskusyjne lub referaty i pogadanki, w których udział przeważnie biorą elementy demokratyczne. Żałuję, że nie byłem na tym zebraniu, bo mię oto nawet zaproszono, ale się nie wybrałem: podobno referat Niedziałkowskiego ze zjazdu rewelskiego i wycieczki do

Estonii i Łotwy był bardzo ciekawy. Widziałem się jednak z Niedziałkowskim w kawiarni i tu się od niego trochę o tym zjeździe i o spostrzeżeniach jego dowiedziałem. Otóż jedną z rzeczy, które on stwierdza, to jest ta, że u Łotyszów i nie tylko u socjalistów, ale i w burżuazji bynajmniej koncepcja bloku od Bałtyku do Morza Czarnego pod przewodem Polski nie jest tak popularną, za jaką była przedstawiona w Polsce pod inspiracją czynników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przeciwnie – Łotysze pozostają pod dużym i widocznym wpływem kultury rosyjskiej i popularną jest wciąż u nich koncepcja kontaktu z przyszłą Rosją, którą po okresie bolszewizmu przewidują demokratyczną i burżuazyjną. Mogli oni skorzystać z militarnej pomocy Polski dla zdobycia w wojnie z bolszewikami Łatgalii (Inflant Polskich), ale bynajmniej nie tęsknią do stałego bloku czy też ligi polonofilskiej „od morza do morza", wymierzonej przeciwko Rosji. Tym się też tłumaczy w dużym stopniu owe fiasko obecnie solidarnych dawnych pod przewodem Polski rokowań pokojowych z Rosją, które stanowisko polityczne Polski na wschodzie na taką naraziło kompromitację. Niedziałkowski stwierdza, że ludowa Łotwa dość nieufnie traktuje Polskę, która na wschodzie (powiedzmy wyraźnie – na ziemiach litewsko-białoruskich) stanowi czynnik antydemokratyczny. Ciążenie Łotwy do kontaktu z Rosją, nie wykluczającego w przyszłości nawet federacji, jest zresztą – dodam od siebie – zgodne, jak się zdaje, z polityką angielską, która jest czynnikiem pono decydującym na Bałtyku i która, jak się to coraz wyraźniej uwypukla, dąży do tego, aby uczynić z małych republik Litwy, Łotwy i Estonii, poddanych jej wpływom, swoje faktorie do handlu z Rosją. Litwa, Łotwa i Estonia są tworami, które ze stanowiska angielskiego mają być punktem oparcia handlowego Anglii. Chodzi więc jej o to, aby państewka te graniczyły bezpośrednio z Rosją i zapewne o to, aby nikt trzeci (Polska) wpływami swymi blok od morza do morza nie mógł wytworzyć układu politycznego, przeciwstawiającego się Rosji i brużdżącego w angielskiej organizacji politycznej handlu bałtycko-rosyjskiego. Niedziałkowski dziwi się, że poseł polski w Rydze, Boufał, był tak ślepy i mógł tak optymistycznie naiwnie, wbrew oczywistości, po prostu ziejącej z prawdy łotewskiej informować Warszawę o usposobieniu Łotyszów: Niedziałkowski czyni za to odpowiedzialnym Boufała, ja zaś uważam, że tu najwięcej zawinił Leon Wasilewski, który najwięcej się przyczynił do pęknięcia polityki polskiej na wschodzie względem zarówno Litwy, jak Łotwy, na błędne drogi i jest właściwym winowajcą obecnych niepowodzeń Polski, które mogą mieć dalsze konsekwencje.

13 kwietnia, rok 1920, wtorek

W ostatnich dniach są takie gorąca, jak w upał latem. Po ulicach ludzie chodzą już bez paltotów. Wczesną mamy wiosnę, boć to podług starego stylu mamy jeszcze dziś ostatni dzień marca.

Przepustkę na przekroczenie linii demarkacyjnej od władz polskich już mam; jutro zwrócę się o przepustkę do Komitetu Litewskiego. Ale z samym wyjazdem mam kłopoty i nie wiem, kiedy i jakim sposobem przedostanę się z Wilna do Kowna. Najlepiej byłoby, gdyby mi się udało skorzystać z automobilu Wąsowicza, który za dni kilka znów prawdopodobnie będzie w Wilnie i pójdzie stąd do Kowna. Jazda automobilem jest wygodna i bezpłatna, ma jednak tę wadę, że nie można zabierać dużo rzeczy. Ostatecznie z rzeczy bym zrezygnował, abym tylko był pewny tego automobilu. Będę musiał się jeszcze upewnić o tym u Mariana Kościałkowskiego. Gorzej będzie, jeżeli automobil mię zawiedzie. Z Wilna do Kowna można czasem pojechać furmanką, gdy się ją znajdzie okazyjnie, ale taka podróż kosztuje od 1000 do 1500 rubli carskich, to znaczy do 3000 marek polskich, podczas gdy mi zostało ogółem już tylko około 4000 marek polskich i za te pieniądze muszę co najmniej dojechać do Kowna i z Kowna do

Bohdaniszek. O najęciu umyślnej furmanki do Kowna lub do Koszedar, ewentualnie do Bohdaniszek nie ma co marzyć, bo kosztowałoby to sumy bajońskie. Co do komunikacji kolejowej, to regularnej między Wilnem a Kownem nie ma. Pociągi polskie regularne dochodzą tylko do Landwarowa, a po stronie litewskiej tylko do Koszedar. Od Landwarowa do Koszedar jest więc luka bez komunikacji regularnej. Czasem, nieregularnie, raz na kilka dni, zależnie ot potrzeby – pociąg polski dochodzi do Jewja (linia demarkacyjna), ale nie ma pewności, że w Jewju się natrafi na pociąg litewski do Koszedar. Podróż więc koleją z Wilna do Kowna, zależnie od przypadku i szczęścia, może trwać od jednego dnia do jednego tygodnia i dłużej.
Z każdym dniem staję się w Wilnie coraz bogatszy w znajomość stosunków, prądów i perspektyw. Spotykam się tu ze znajomymi, ludźmi różnych obozów. Jest ogólne niezadowolenie wszystkich badaj kierunków z systemu rządów, panujących na tych „ziemiach wschodnich”. Wszyscy, zarówno na prawicy, jak na lewicy, utyskują na okupacyjny charakter tych rządów. Zdaje się, że jedyni, którzy są zadowoleni, ale zadowoleni tylko ze siebie samych – to są dygnitarze Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich wielkorządcy p. Osmołowskiego. Dygnitarze ci z personelem biur i urzędów centralnych wyrodzili się jednak, jak się zdaje, w zwartą, oderwaną od życia i niepopularną w społeczeństwie biurokrację. P.p. Iwaszkiewiczowie, Downarowiczowie, Klottowie, pochodzący niegdyś z obozu postępowej lub nawet „radykalnej” inteligencji, dziś zmechanizowali się już zupełnie w klasyczną bezduszną papierową biurokrację. Zresztą i w kołach urzędników tego zarządu jest wielu niezadowolonych, którzy czują, że robota ich jest jałowa i żadnych podstaw budowy krajowej nie tworzy, a jest jeno pospolitym aparatem okupacyjnym, ciążącym na kraju i mniej lub więcej dobrym, mniej lub więcej złym, lecz nie organizującym siły krajowe. Społeczeństwo polskie i w szczególności inteligencja rozpada się tu na dwa wielkie obozy: obóz endecki, złożony bynajmniej nie tylko z partyjnych endeków, ale z szerokich przeciętych rzesz, usposobionych nacjonalistycznie i idących pod przewodem Narodowej Demokracji, wyznający zasadę inkorporacji Wilna i ziem litewsko-białoruskich, zajętych przez Polaków, do Polski, i obóz, który w ogólnych zasadach stoi na stanowisku tzw. programu Piłsudskiego, to znaczy wyznaje zasadę federacji Litwy historycznej z Polską. Do drugiego z tych obozów należą tzw. demokraci, prawica ziemiańska i pewne elementy wojskowe, rekrutujące się z gorących piłsudczyków i peowiaków. Nieco odrębne, a może raczej niezdecydowane stanowisko w sprawie dylematu inkorporacji czy federacji zajmują socjaliści polscy w Wilnie. I aneksjoniści, i federaliści utyskują na system rządów o charakterze okupacyjnym i szukają wyjścia z tego prowizorium.

14 kwietnia, rok 1920, środa
Dziś w Kownie, a właściwie w całej Litwie Kowieńskiej, odbywają się wybory do Sejmu. Bardzo ciekaw jestem, jaki będzie ich rezultat. Dla federalistów wileńskich, dla których państwowość Litwy Kowieńskiej jako osobnego tworu i jako dzieła znienawidzonej Taryby jest solą w oku, ponieważ istnienie tej Litwy przeciwstawia się upragnionej przez nich formacji państwowej całej niepodzielnej Litwy historycznej, ten Sejm w Kownie, a więc i wybory do niego – są nienawistne, bo Sejm, jako wyraz czy też fikcja woli ludu, daje państwu litewskiemu narodowemu, daje dziełu Taryby – podstawę prawną i przez to samo utrwala formację. W koncepcji bowiem federacyjnych formacji państw narodowych na terenie ziem byłego W. Ks. Litewskiego przeciwstawia się formacji państwowości jednolitej ze stolicą w Wilnie, sfederowanej z narodowym państwem polskim. Inaczej traktują Litwę Kowieńską i np. wybory do Sejmu w Kownie – endecy. Dla nich Litwa Kowieńska jest w zasadzie obojętna. Ponieważ sami dążą li tylko do państwa narodowego polskiego, do którego chcieliby wcielić Wilno z częścią

ziem litewsko-białoruskich, więc Litwę Kowieńską, budowaną również na zasadach państwa narodowego, gotowi byliby nawet uznać, gdyby ona ambicjami swymi poza ramy linii demarkacyjnej obecnej nie wykroczyła, a tym bardziej gdyby jeszcze nieco wstecz się od tej linii cofnęła; jeżeli ją nienawidzą i zwalczają, to nie dlatego, że istnieje, ale dlatego, że sięga po Wilno i po część terenów, które oni chcą Polsce przywłaszczyć, i że gotowa jest dla zrealizowania tych swoich pożądań i dla przeszkodzenia realizacji pożądań polskich, nie mając innej drogi, oddać się Anglikom, a choćby nawet, jak im się zdaje, Niemcom, słowem – każdemu wrogowi Polski, każdemu z potężnych, kto dla tych czy innych względów aspiracjom Polski na wschodzie tamę kładzie.
Spędziłem dziś w kawiarni „czerwonego” Sztrala parę godzin na rozmowie z Marianem Świechowskim, jednym z gorących i czynnych rzeczników programu federacyjnego, z którym mię wczoraj zapoznał dr Adolf Narkiewicz, mój dawny znajomy i współpracownik z „Gazety Wileńskiej” z r. 1906, człowiek stronnictwa demokratycznego i sam także federalista, służący obecnie w Wojsku Polskim jako lekarz, w szarży kapitana. Ciekawie słuchałem wywodów Świechowskiego. Niektóre pomysły taktyczne federalistów są dla mnie nowość zupełną, o której dowiedziałem się dopiero w Wilnie, a jeżelim się nawet domyślał kiedykolwiek pewnych skrajnych tego obozu koncepcji taktycznych, to nie przypuszczałbym, aby były brane tak na serio, jak tutaj brane bywają lub bywały. Wśród federalistów są różnice skrzydeł i odcieni tak co do form budowy państwowej Litwy (Litwa historyczna jednolita od Kłajpedy do województwa mścisławskiego za Dnieprem, Litwa kantonalna, złożona z trzech narodowo-autonomicznych części – litewskiej, polskiej lub polsko-katolicko-białoruskiej, czyli Wileńskiej i właściwej białoruskiej, oraz odcienie form pośrednich), jak co do taktyki i metod realizacji, jak wreszcie co do założeń historyczno-narodowych i co do istoty celów, którym ma służyć program federacyjny. Pod tym ostatnim względem jedni dochodzą do programu federacyjnego z Polską i państwowo-litewskiego z założeń krajowych, widząc w tym jedyną logiczną budowę, godzącą interesy mieszanej ludności kraju i służącej sprawie wolności ludów Litwy (do tych należy np. Zygmunt Jundziłł, dr Narkiewicz, z socjalistów Zasztowt), drudzy dochodzą do tegoż programu z założeń raczej narodowych polskich, raczej jednostronnie nacjonalistycznych, wierząc, że będzie to najlepszym i najracjonalniejszym, a jednocześnie najskuteczniejszym oparciem dla wpływów polskich i bodaj nawet dla polonizacji kraju, dającej się w tych ramach pogodzić z zasadami demokracji i swobodnej emulacji[13] kultur narodowych w kraju (Świechowski, kapitan Marian Kościałkowski i wielu innych). Pośrednie co do założeń stanowisko zajmują tacy krajowi demokraci dawnego wileńskiego („przeglądowego”) pokroju, jak na przykład Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski.

15 kwietnia, rok 1920, czwartek
Z przepustkami na wyjazd do Litwy Kowieńskiej mam już wszystko gotowe. Mam przepustkę polską i mam przepustkę od Komitetu Litewskiego w Wilnie. Teraz cała kwestia – jak przejechać, jaki znaleźć środek lokomocji. Nie tracę nadziei i na automobil Wąsowicza. Marian Kościałkowski, którego spotkałem na ulicy, powiada, że być może w sobotę automobil pójdzie, ale jeszcze do dnia wczorajszego nie był wrócił z Kowna. Kościałkowski powiedział, abym jutro zgłosił się to niego o godz. 11 dowiedzieć się w tej sprawie. Dajże Boże, abym mógł już w sobotę wyjechać. Nie jest mi źle w Wilnie, ale już wszystkich, kogo chciałem widzieć, widziałem, i więcej nie

[13] Aemulatio (łac.) – współzawodnictwo, rywalizacja.

bardzo tu co mam robić; natomiast drżeć zaczynam o to, aby mi pieniędzy starczyło. Wczoraj kupiłem w Banku Handlowym 1000 ost-marek litewskich za 2800 marek polskich; czy to marki polskie padają, czy też ost-marki się podnoszą, ale to jedno, że 1000 ost-marek kupiłem wczoraj, a nie pozawczoraj, kosztowało mię już 100 marek polskich, bo pozawczoraj mogłem je jeszcze w tymże banku kupić za 2700 marek polskich. Dziś dokupiłem jeszcze 100 ost-marek drobnymi po cenie już 285 marek polskich. Pozostaje mi więc 1100 ost-marek i około 600 marek polskich. Zaczyna mię to trochę niepokoić, czy nie będzie za mało. W ostateczności, gdyby się mój wyjazd opóźniał, mógłbym coś sprzedać z mebli moich lub cenniejszych sprzętów w Wilnie, ale mam jeszcze nadzieję, że się obejdzie bez tego. Markami polskimi zdawało się, że mam niemało pieniędzy, przy zamianie wszakże na ost-marki ma się wrażenie, że jest bardzo mało. Szczęściem – na Litwie Kowieńskiej wszystko jest znacznie tańsze. Mam też nadzieję, że mi coś z Łomży jeszcze kapnie. Wyjeżdżając, dałem upoważnienie Chabowskiemu do podejmowania na rzecz moją wszelkich poborów, jakie będą wypłacane z kasy sądu, a panna Julia Jurago przyrzekła mi przysłać niezwłocznie do Wilna wszelkie pieniądze, podjęte przez Chabowskiego. W gazetach warszawskich przeczytałem, że między 10 i 20 kwietnia ma być wszystkim urzędnikom państwowym w Polsce wypłacona trzynasta pensja miesięczna. Napisałem dziś do Chabowskiego, aby, jeżeli tylko dymisja moja jeszcze nie podpisana, podjął dla mnie pieniądze, gdy je wypłacać będą i przesłał do Wilna na imię Ewy. Chodzi tylko o to, że te pieniądze mogą przyjść do Wilna już po moim wyjeździe, a wtedy mała mi z nich będzie korzyść. Przyjechała dziś do Wilna ciocia Rózia Tukałłowa, której nie widziałem od roku 1915. Z rodzeństwa Mamy żyje tylko ciocia Rózia i ciocia Masia Bohdanowiczowa. Ciocia Rózia wygląda nieźle, to znaczy, że się nie zmieniła i jak wyglądała staro, tak wygląda obecnie. Przez czas wojny, różnych okupacji i rewolucji – ciocia tułała się ze swą córką młodszą Niusią po różnych miejscowościach (w Witebsku, w Petersburgu, w Mińsku, w Wilnie, za bolszewików w Warszawie). Ale zresztą ciocia Rózia przez całe swoje życie – i przed wojną – włóczyła się zawsze z miejsca na miejsce jak Cyganka, wszędzie wszystko gubiąc po drodze, marnując fortuny, żyjąc z dnia na dzień, nerwami, jak Żyd wieczny tułacz. Teraz jedzie ciocia z Warszawy do majątku syna, Mieczysia – Boracina w powiecie nowogródzkim. Starsza córka cioci Rózi – Zyla – wyszła na początku wojny za mąż w Witebsku za niejakiego p. Przybyszewskiego, ziemianina z Podola, którego majątek ziemski zresztą jest obecnie zniszczony i podzielony między chłopów, a położony w tej części Podola, która jest podobno w rękach bolszewików, o ile nie w rękach Ukraińców lub Rumunów. Młodsza córka – Nunia – dziewczyna brzydka i schłopiała, nie lubiąca form towarzyskich i nie uznająca kultury salonowej, ale energiczna, dzielna, nawet awanturnicza, szczera, pełna serca i temperamentu, prawdziwy Kozak – za czasów bolszewickich w Wilnie miała konia i furmanowała, wożąc podróżnych z Wilna do Kowna i Grodna, a potem wstąpiła do wojska i była legionistką polską w Legii Kobiecej we Lwowie; obecnie porzuciła wojsko i jest w Warszawie.

16 kwietnia, rok 1920, piątek
Zdaje się, że będę mógł wyjechać jutro automobilem. Kapitan Marian Kościałkowski, do którego się dziś udałem, oświadczył, że choć oba automobile II oddziału, w tej liczbie i kowieński Wąsowicza, są zepsute, to jednak on czyni starania, aby otrzymać automobil dla posłania do Kowna, mając tam pilny interes, i że spodziewa się, iż automobil pozyszcze i jutro do Kowna wyśle. Jutro mam jeszcze rano o godz. 10 dowiedzieć się u Kościałkowskiego. Jeżeli automobil pójdzie, to się będę mógł zabrać.

Bardzo mi jest niewygodnie, że muszę nawet najpotrzebniejsze rzeczy pozostawiać w Wilnie, nie mówiąc już o gromadzie moich dawnych rzeczy, leżących w Wilnie sprzed wojny, ani tym mniej o meblach. Dopóki wszystkie rzeczy wraz z meblami leżały we wspólnym mieszkaniu Maryni, to się ich większość przechowała, nie licząc tych, które za czasów okupacji niemieckiej Stefuś, syn Maryni, pokradł i posprzedawał. Od jesieni Marynia zwija swoje mieszkanie w Wilnie, a od tego czasu z pewnością stosunki kowieńsko-wileńskie jeszcze się do tego stopnia nie unormują, aby móc przewieźć meble i bagaż, nie mówiąc już o kosztowności przewozu.
Przy likwidowaniu mieszkania, przenoszeniu i rozdzielaniu rzeczy mnóstwo drobnych się pogubi i pomarnuje, a dziś każdy drobiazg jest nieoszacowany. Opiekę stałą nad moimi meblami i rzeczami zleciłem naszej wieloletniej służącej Anusi Dyržisównie, która ma czuwać nad niemi, ewentualnie wynajmując komuś meble. Nie będę mógł zabrać nawet tak potrzebnych artykułów pościeli, jak poduszki i materac. Co do kompletu dzienników moich, to, nie decydując się na zabranie ich z obawy, aby rewizja na linii demarkacyjnej nie zakwestionowała ich legalności, skutkiem czego mogłyby się zawieruszyć i zaginąć, złożyłem je w dwóch paczkach i wręczyłem p. Tadeuszowi Wróblewskiemu (dziś – notariuszowi), jako depozyt do Biblioteki imienia Eustachego i Emilii Wróblewskich (są to imiona rodziców p. Tadeusza, którymi ochrzcił on swoje wielkie i cenne zbiory, fundując z nich bibliotekę jako instytucję publiczną). Uczyniłem w akcie depozytu zastrzeżenie, że w razie mojej śmierci dzienniki te przejdą na własność biblioteki, pod warunkiem, że nie będą na stałe wywiezione z Wilna i że w ciągu 40 lat od dnia mojej śmierci dzienniki te mogą być dostępne li tylko dla moich spadkobierców w linii prostej zstępnej, a dopiero po upływie lat 40 może być z nich czyniony dowolny użytek publiczny. Chodzi mi o to, że ponieważ w dzienniku dotykam nieraz osób, więc nie chcę, aby mię mogła krępować ta myśl, że osoby te mogą kiedyś się osobiście dowiedzieć, co o nich piszę. 40 lat – to będzie czas dostateczny na wymarcie tych, o których w dzienniku pisuję. Złożyłem też do tejże biblioteki w depozyt, ale nie warunkowy – zbiór wycinków moich artykułów z różnych pism wileńskich i grupę pamiątkową redakcji „Gazety Wileńskiej"
Prawdopodobnie więc jutro już pożegnam Wilno. Będę miał jeszcze niejedno do zanotowania w dzienniku z tych stosunków i zjawisk, które w Wilnie zaobserwowałem. Wszyscy w Wilnie pożądają zmiany. Nie ma, zdaje się, nikogo, prócz chyba jakichś spekulantów, bogacących się w tej chwili i prócz może dygnitarzy Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, kto by był zadowolony z istniejącego stany rzeczy. Litwini i Żydzi są przeciwni panowaniu polskiemu w Wilnie. Białorusini, których ośrodkiem działania jest zresztą obecnie Mińsk, są trochę mniej przeciwni, ale to tylko dlatego, że spodziewają się coś od Polaków dla Białej Rusi wytargować i że na gruncie okupacji polskiej i specyficznych tendencji programu Piłsudskiego kiełkuje wciąż i pleni się „aktywizm" białoruski, jak niegdyś za okupacji niemieckiej kwitły różne aktywizmy, których terytoria były w ręku niemieckim. Co zaś do Polaków miejscowych, to wszystkie pono kierunki i odcienia są w opozycji do Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich i są niechętne istniejącemu prowizorium, upatrując w okupacyjnym charakterze tegoż wielki uszczerbek jedni – dla kraju, inni – dla sprawy polskiej lub sprawy ich postulatów – bądź programu wcieleniu, bądź programu federacji.

17 kwietnia, rok 1920, sobota
Nie wyjechałem. Automobil był, ale nie zdecydowałem się nim jechać, bo, po pierwsze, był defektowny i było wątpliwe, czy w ogóle zdoła dojść do Kowna, a zwłaszcza dlatego, że automobilem tym miało jechać zbyt dużo osób i że nie mógłbym przeto zabrać wszystkich moich rzeczy, które koniecznie mieć muszę; nie wiem nawet, czy by

mi się udało zabrać węzeł z bielizną, a już o futrze i burce nie ma mowy, gdy tymczasem futro i burka są mi konieczne, bo posłużą do restauracji mojej garderoby. Chociaż więc nie opływam w nadmiar gotówki, wolałem zaniechać bezpłatnej jazdy automobilem. Dojadę częściowo koleją, częściowo końmi. Choć to wypadnie drożej, ale co do rzeczy wygodniej, a to najważniejsze jednak.
Malarz litewski Varnas[14] nastręczył mi towarzysza podróży w osobie niejakiego Bitowta, młodego Litwina, pracownika księgarni Zawadzkiego. O ile jutro nie znajdziemy możności wyjechać do Jewja koleją, wyruszymy z Bitowtem w poniedziałek rano tamże końmi.
Już się niecierpliwię tym siedzeniem w Wilnie. Najwyższy czas wyjeżdżać.
Z kapitanem Marianem Kościałkowskim, szefem II oddziału (dowództwo frontu litewsko-białoruskiego, obecnie – dowództwo 7 armii – oddział II) kilka razy się w sprawie przepustki, a potem w sprawie automobilu widziałem, ale ponieważ zawsze był on bardzo zajęty, nie miałem z nim dotąd rozmowy politycznej. Zresztą sam się do tej rozmowy nie kwapiłem, bo wiedziałem, że się z nim nie porozumiemy. Dziś jednak wszczął ze mną tę rozmowę i w kilka słowach zarysował swoje dążenia. Marian Kościałkowski gra w Wilnie dużą rolę polityczną, kto wie, czy nie większą, niż generalny komisarz Ziem Wschodnich Osmołowski. Zadaniem bowiem Osmołowskiego jest organizowanie zarządu cywilnego, mniej więcej biernego, nie narzucającego społeczeństwu żadnej kategorycznej koncepcji politycznej i nie forsującego specjalnie polityki własnej. Natomiast oddział II, choć formalnie jest tylko organem wojskowym, w istocie jest agendą *par excellence*[15] polityczną, bezpośrednio ulegającą Piłsudskiemu i stanowiącą ekspozyturę czynną polityki osobistej Naczelnego Wodza. Wiadomy jest program Piłsudskiego na Wschodzie: stworzenie pod przewodem Polski wielkiego bloku i kooperacji ludów od Bałtyku do Morza Czarnego, zorganizowanie wielkiego systemu politycznego na Wschodzie, opartego na państwach narodowych, zsolidaryzowanych ze sobą i odpornych wspólnie wobec Niemiec i Rosji. Ogniskiem i mózgiem tego systematu, jego kością pacierzową byłaby Rzeczpospolita Polska z wielkim wodzem Piłsudskim na czele. Elementami tego systemu byłyby: Polska z Litwą (i Białorusią) i Ukrainą, Łotwa, Estonia i Finlandia na północy ewentualnie Rumunia na południu. Jest to blok, przecinający Europę Wschodnią z północy na południe, od Skandynawii po Bałkany, od morza do morza. Jest on przeciwstawieniem innej koncepcji politycznych zespołów, idących w kierunku z Zachodu na Wschód i łączących Europę Środkową za Wschodem (koncepcja niemiecko-rosyjska, koncepcja czesko-rosyjska, względnie czesko-ukraińsko-rosyjska). Wyrazem tej koncepcji Piłsudskiego, której służy Ministerstwo Spraw Zagranicznych w osobie Patka z plejadą polityków, wiernych tej idei, wśród których jedną z ról wybitnych gra Leon Wasilewski, była zainaugurowana przez Polskę sieć specjalnych układów z Łotwą, Finlandią i Rumunią, w szczególności pozyskanie Łotwy przez zdobycie dla niej na bolszewikach Inflant Polskich (Łatgalii), przyznanych przez Polskę Łotyszom z wyrzeczeniem się wszelkich do nich państwowych roszczeń Polski, poprzedzenie rokowań z bolszewikami przez tzw. Konferencją Warszawską, która miała stworzyć podstawę do zbiorowych rokowań Polski, Łotwy, Finlandii i Rumunii z Sowiecką Rosją i której Polska umyślnie postarała się dać jak największy rozgłos, wreszcie – w perspektywie poczynającego się bloku – postawienie wobec Rosji tezy granic roku 1772, przez co Polska nadała sobie mandat regulatorki i arbitra budowy tworów państwowych wewnątrz obszarów byłej Rzeczypospolitej sprzed roku 1772. Zręczny jednak dyplomata Sowietów Cziczerin, węsząc trafnie tendencje Anglii,

[14] Varnas – malarz litewski.
[15] Par excellence (fr.) – w całym tego słowa znaczeniu.

przeciwnej koncepcji Piłsudskiego i nie pragnącej bynajmniej powstania silnego systemu politycznego na Wschodzie pod wodzą Polski, który by utrudnił jej panowanie na Bałtyku dla handlu z Rosją, postarał się skutecznie o rozbicie umowy politycznej, nawiązanej przez Piłsudskiego, pracę Leona Wasilewskiego, Patka i innych. Jeżeli tylko bezpośrednie rokowania Łotwy i Rumunii (a także Litwy z Rosją doprowadzą do układów separatystycznych przy równoległym rozbiciu rokowań polsko-bolszewickich i wypływającym stąd osamotnieniem Polski, to plan Piłsudskiego znów będzie daleki od realizacji i znów go trzeba będzie od początku zaczynać, ale już w warunkach dlań gorszych.

18 kwietnia, rok 1920, niedziela
Z moim towarzyszem podróży Bitowtem poszukiwałem dziś furmanki do Jewja, ale na próżno. Łatwo jest o furmankę na Wiłkomierz *via* Szyrwinty, ale to wypada drogo i wielki krąg, na Jewje zaś furmanek okazyjnych nie ma. Chodziliśmy też na dworzec kolejowy dowiedzieć się, czy się nie trafi pociąg okazyjny do Jewja. Poinformowano nas, że ani dziś, ani jutro pociągu takiego się nie przewiduje. Zdecydowaliśmy więc wyjechać jutro koleją do Landwarowa, skąd częściej bywają okazyjne pociągi, zwłaszcza wojskowe – do Jewja, a jeżeli pociągu i stamtąd dostać nie będziemy mogli, to z Landwarowa – nająć furmankę. Rozstaliśmy się z tym, że jutro spotkamy się o godz. 11 na dworcu kolejowym (pociąg do Landwarowa odchodzi w południe). Tymczasem, niestety, wieczorem dowiedziałem się, że ogłoszone dziś było w pismach zamknięcie prywatnego ruchu osobowego na kolejach na dni 10, od 17 do 27 kwietnia. Ogromnie mi się w tej podróży nie wiedzie, ale nie chcę tracić nadziei, że jednak wyjechać do Landwarowa jutro się uda, pomimo że nie ma specjalnego pozwolenia na jazdę koleją. Nieznośne są te coraz to częstsze 10-dniowe ograniczenia ruchu osobowego. Gdy raz tego w Polsce spróbowano, to coraz częściej zaczęto je stosować bez żadnych uprzedzeń zawczasu. Nie przypuszczałem, żeby było tak trudno dostać się do Kowna.
Dziś – pierwszy dzień dwudniowej uroczystości rocznicy oswobodzenia Wilna od bolszewików. Miasto – udekorowane; powiewają flagi o barwach polskich, z wielu balkonów, szczególnie na ulicach pryncypalnych i dzielnicach chrześcijańskich, zwieszają się dywany, na których tle – portret Piłsudskiego lub Orzeł polski; gdzieniegdzie, rzadko, obok Orła – Pogoń litewska jako symbol sfederowanej dwupaństwowości; Orzeł w ozdobach panuje wszędzie, Pogoń towarzyszy mu bardzo rzadko, co świadczy dobitnie, że federalizm jest mniej popularny od prostej koncepcji państwa polskiego, usymbolizowanej w Orle bez towarzystwa Pogoni; wiele wystaw sklepowych ozdobiono portretami Piłsudskiego, gdzieniegdzie też Kościuszki, ubarwionych zielenią, wstęgami polskimi, napisami; frontony gmachów publicznych ustrojone i iluminowane. Główna uroczystość – jutro; przyjedzie Piłsudski. Dziś i jutro – kwesta uliczna. Po obiedzie dziś pochód publiczny na Rossę na mogiły poległych zdobywców Wilna. Nie brałem w pochodzie udziału. Słyszałem o nim zdania różne. Jedni mówili, że ludzi było na pochodzie mało, utyskiwali z tego powodu, gorszyli się obojętnością Wilna i brakiem temperamentu Wilnian. Inni twierdzili, przeciwnie – że tłumy szły w pochodzie, a jeszcze większe tłumy były na samym cmentarzu. Na Rossie były mowy. Między innymi, opowiadano też o mowie jakiegoś robociarza, który mówiąc o tym, że przez całe życie marzył o widoku żołnierza polskiego, wołał dalej, że oto teraz, gdy lud wileński żołnierza tego ujrzał, gdy marzenie stało się rzeczywistością, gdy żołnierz ten przed rokiem zbawił Wilno i stoi wśród ludzi, lud ze zgrozą spostrzega, że jakieś czynniki usiłują przeszkodzić spełnieniu jego woli, że jacyś panowie i jakieś intrygi paraliżują od roku dzieło wcielenia Wilna do Polski i jakimiś konszachtami,

jakimiś knowaniami prowadzą Wilno wbrew woli ludzi do jakichś celów, ludowi nieznanych, do jakichś rozwiązań, które mu są obce i są mu narzucane. „Precz z Tarybą! My nie chcemy Litwy! My chcemy należeć do Polski!” – wołał mówca, a tłum oklaskiwał burzliwie wszystkie najjaskrawsze tej demagogicznej mowy zwroty. Mowy takie – to zjawisko powszechne w Wilnie i w całym zajętym przez Polaków kraju, zwłaszcza w połaciach katolickich. Pracuje nad spopularyzowaniem tego prądu polska część kleru katolickiego i szczególnie tzw. Straż Kresowa, wielkie i bardzo ruchliwe stowarzyszenie, doskonale zorganizowane i zasilone środkami propagandy, przenikające wszędzie, w najgłębsze masy ludowe, operujące demagogią i łączące zasadę wcielenia do Polski z hasłami społecznymi, a zwalczające prądy przeciwne straszakiem intrygi czynników, szukających panowania nad ludem. I robota Straży Kresowej, krzykliwa, gorąca, demagogiczna, jest w każdym razie lepiej rozumiana przez polskie lub spolonizowane masy ludowe, niż akcja federalistów, którzy nadal nie bardzo się odważają iść ze swą propagandą do ludu.
Wieczorem byłem u stryjenki Bolesławowej Römerowej, która w marcu owdowiała. Rozmawiałem ze stryjenką o mojej córce. Stryjenka nie widziała jej od r. 1911, ale z Reginą korespondowała stale. Dowiedziałem się, że Regina ma zamiar opuścić Cytowiany i zamieszkać w swoim majątku, w Łunnie, który po śmierci Jurka Romera jest własnością Reginy. Nie dziwię się Reginie, ale, niestety, właśnie wtedy, gdy ja wracam do Litwy, moja córka Litwę opuści. Znów będę od niej daleko. Stryjenka mi przyrzekła, że gdy Regina z córką będzie w Wilnie, to stryjenka się postara, aby była zrobiona fotografia Cesi i jeden egzemplarz zdobędzie dla mnie. Stryjenka dodała, że uważałaby za właściwe, aby Cesia[16] napisała do mnie, boć już umie pisać i ma zdawać egzamin. Co to by było za szczęście dla mnie.

19 kwietnia, rok 1920, poniedziałek
Od rana całe polsko-katolickie Wilno było w nastroju świątecznym: wielka uroczystość rocznicy wyzwolenia Wilna przez Wojsko Polskie od bolszewików, wielki hołd Piłsudskiemu i wojsku, wielka manifestacja narodowa na rzecz Polski. Pod tym uczuciem stanęło dziś Wilno, podniecone odświętnie, nastrojone, tchnące ogromnym kolorytem uczuć. Tu i ówdzie, jak to zwykle w podnieceniu bywa, z wezbranego uczucia wyzierały złe instynkty nienawiści do wszystkiego, co się z tym nastrojem uczuciowym nie solidaryzowało, co w sobie zawiera zaród przekory lub przeciwstawienia prądowi popularnemu, obchodzącemu dziś święto swoje. Wszelka namiętność jest zaborczą, nie szanującą niczego, co się w niej nie mieści, nietolerancyjną, gwałtowną i wyłączną. A uczucie polskie tłumu wileńskiego w tym dniu obchodu i rozpamiętywania rocznicy, podsycane widowiskiem, barwami, dekoracją, stopione z fanatyzmem religijnym, rozpalone są do namiętności, do upojenia ślepego triumfem. Toteż nienawiść tego tłumu wzbiera przeciwko Litwinom i zwłaszcza przeciwko Żydom, którzy symbolizują w opinii mas bolszewizm, pokonany w Wilnie rok temu orężem polskim ułanów Beliny, strzelców Śmigłego, legionistów polskich Piłsudskiego. Spokojna i twarda psychika litewska, zmieszana ze słodką i bierną z natury duszą białoruską, które obie, jak dwa dopływy psychiczne, składają się na temperament ludu wileńskiego, dziś pod naciskiem uczuć, wspomnień i przeżytych wypadków rozpłomienia się w tych obchodach do gorących tonów wyrazistości iście włoskiej, rozkochanej w dekoracji i barwach, w ekspansji i życia ulicy. Faktem jest, że wypadki lat ostatnich i w szczególności rozwój sprawy polskiej w Wilnie stworzyły tu „ulicę”, to znaczy duszę tłumu zbiorową, pragnącą i umiejącą się manifestować, która

[16] Cesia (Celina) – córka M. Römera z pierwszego małżeństwa.

dawniej raz tylko do roku się ujawniała w polsko-katolickim Wilnie – w procesji Bożego Ciała. Złośliwe języki sfanatyzowanego tłumu głosiły, że w tym samym dniu, gdy polskie Wilno obchodzi uroczystość swego wyzwolenia, Żydzi, których oczywiście wśród tłumów świątecznych polskich na obchodzie nie było, bo żaden Żyd by się nie odważył być ciekawym, jak żaden Litwin nie mógłby w tych tłumach przemówić głośno do sąsiada po litewsku bez obawy być szykanowanym, że więc Żydzi urządzać mieli inny obchód żałobny po bolszewikach, organizując pochód na groby poległych komunistów, wyrzuconych w roku zeszłym przez Polaków z pierwotnego miejsca ich spoczynku, z pod piedestału b. pomnika Katarzyny II na Placu Katedralnym. Oczywiście – bajka, bo Żydzi ani nawet sami komuniści nie odważyliby się w dzisiejszym Wilnie polskim na żaden cień manifestacji, ale bajka, która znajdywała gdzieniegdzie w tłumie wiarę jako wyraz nienawiści do Żydów, do tych, którzy się przeciwstawiają popularnemu nastrojowi miasta, a więc są winni.
Nie miałem czasu przyglądania się wspaniałej „Mszy polowej", która przed południem odbyła się na Placu Łukiskim w obecności Piłsudskiego. Oddziały różnych rodzajów broni, dowódcy, wsławieni legendą Legionów i ukochani zeszłorocznym zdobyciem Wilna, Piłsudski, który przybył umyślnie na uroczystość z Warszawy, duchowieństwo, oddziały skautów, różnych organizacji młodzieży, stowarzyszenia, wreszcie morze ludu dokoła ogromnego placu – tworzyły widowisko barwne. Z balkonów mieszkania Maryni w domu Wołodkowicza przy ul. Ofiarnej można było znakomicie obserwować całą uroczystość, co też czyniła Ewa z jej narzeczonym Meyerem, który przyjechał wczoraj, i jego bratem, Marynią i ciocią Rózią Tukałłową, bawiącą w Wilnie w przejeździe z Warszawy do Boracina. Ja jednak zajęty byłem sprawą mojego wyjazdu. Spotkaliśmy się z moim towarzyszem podróży Bitowtem na dworcu kolejowym w celu jazdy do Landwarowa, ale, niestety, tylko po to, aby się przekonać, że istotnie dla jazdy koleją trzeba mieć wobec zamknięcia prywatnego ruchu osobowego na dni 10, specjalne pozwolenie od komisarza m. Wilna, których my nie mieliśmy. Nie sprzedano więc nam biletów. Wobec tego poszliśmy szukać furmanki, zdecydowani nająć ją wprost do Jewja i jechać zaraz. Okazyjnych furmanek nie znaleźliśmy, ale na remizie wozów ciężarowych przy ul. Zawalnej znaleźliśmy furmana Żyda, który za 600 marek polskich podjął się nas zawieść do Jewja. Skorzystaliśmy z tej oferty i o godz. drugiej po południu z Bitowtem na prostym wózku, obładowali rzeczami, opuściliśmy Wilno. Furman nasz miał bardzo dobrego, silnego jak słoń, ciężkiego, ale o sporym kroku – konia, podróż więc mieliśmy dobrą i na wieczór przyjechaliśmy do Jewja na linię demarkacyjną, gdzie w pobliżu stacji kolejowej u jakiegoś Żydka znaleźliśmy nocleg w towarzystwie kwaterujących tam żołnierzy polskich. W Jewju będziemy czekać na pociąg litewski, który co parę dni przybywa i zabiera podróżnych do Koszedar. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że dziś po południu pociąg litewski był w Jewju, więc na jutro mała nadzieja na pociąg, ale za to pojutrze – to jest na pewno.

20 kwietnia, rok 1920, wtorek
Poszczęściło się nam nadzwyczajnie. Po nocy spędzonej w Jewju u Żydka, wstaliśmy z moim towarzyszem podróży, Bitowtem, rano z improwizowanych łóżek (jeden z kanapy, drugi – z krzeseł) i czekaliśmy dalszego losu, który streszczał się w dylemacie: będzie dziś pociąg litewski, którym pojedziemy dalej, czy nie będzie? Deszcz rzęsisty padał i burza, pierwsza w tym roku, powodowana przez poprzednie upały, przeciągała nad Jewjem. Poszliśmy na stację kolejową zasięgnąć języka, ale nic istotnego nie dowiedzieliśmy się. Powiedziano nam, że jeżeli pociąg litewski przyjdzie, to po obiedzie. Po południu udaliśmy się do posterunku żandarmerii, aby zameldować nasze przepustki na przekroczenie linii demarkacyjnej i ewentualnie poddać nasze rzeczy

rewizji. I akurat, gdyśmy stali w poczekalni żandarmerii, nagle – wchodzi tamże – Wąsowicz. Ucieszyłem się, bo zrozumiałem, że albo da on mi okazję dojechać do Kowna, jeżeli sam tam jedzie, albo przynajmniej, jeżeli jedzie w kierunku przeciwnym, to znaczy z Kowna do Wilna, usunie mi wszelkie ewentualne trudności ze strony żandarmerii. Trafiłem szczęśliwie, bo Wąsowicz wracał właśnie automobilem do Kowna z Wilna, dokąd był wczoraj przyjechał, o czym w Wilnie nie wiedziałem. Wąsowicz oświadczał mi z punktu, że mię zabiera. Poszliśmy z nim do oficera żandarmskiego, dowódcy posterunku, który nas poczęstował koniakiem, jajecznicą i kawą, a w kwadrans potem jużem siedział z Bitowtem w automobilu, do którego zabrano też wszystkie nasze rzeczy. Wnet ruszyliśmy. Był to automobil na pół ciężarowy, trzęsący strasznie, wprost wysadzający podróżnych w powietrze, tak że podczas jazdy skakaliśmy w nim my i rzeczy jak piłki, ale szedł dobrze. Formalności na posterunku polskim i litewskim na samej linii demarkacyjnej były króciutkie i polegały tylko na okazaniu Wąsowicza naszych wszystkich przepustek. Jako oficer łącznikowy polski przy dowództwie litewskim w Kownie, Wąsowicz korzysta poniekąd z prawa eksterytorialności, a przeto kurtuazja dyplomatyczna rozciąga się poniekąd i na osoby, jadące jego automobilem. Automobil popędził po gościńcu, trzęsąc i rzucając, ale lecąc wspaniale. Za Żyżmorami wyjechaliśmy na szosę. Tu już automobil pognał z szybkością zawrotną jak strzała i trząsł mniej, bo droga była jak stół gładka. W niespełna dwie godziny byliśmy w Kownie. Tu Wąsowicz zaprosił mię do siebie na obiad, a po obiedzie rozstaliśmy się i ja udałem się do hotelu.
Wąsowicz nic się nie zmienił. Jest on tym samym, jakim był w I kompanii I pułku w Legionach: wieczny warchoł, umysł chaotyczny, choć serca dobre i grunt zacny; warcholstwo jest jego życiem ulubionym, jego sportem, który on utożsamia z pojęciem działalności i czynu. Niepodobna sobie wyobrazić mniej stosowego człowieka na tak odpowiedzialnym stanowisku, jak to, które Wąsowicz zajmuje w Kownie. Wobec konfliktu polsko-litewskiego, braku regularnych stosunków dyplomatycznych między obu państwami na skutek nieuznania Litwa przez Polskę i ostrego sporu o Wilno – taki oficer łącznikowy polski w Kownie przy dowództwie litewskim jest jedynym organem pomiędzy Polskę a Litwą, a przez to samo choć nie formalnie, ale faktycznie ma on z konieczności rolę polityczną i dyplomatyczną do pełnienia. Jakże ją pełni Wąsowicz? Oto tak samo zupełnie, jak wyrażał niegdyś w Legionach swój stosunek do władz legionowych, zaczynając od komendanta kompanii i kończąc na komendancie pułku: na wszystko wymyślać, wszystko rujnować i podminować i nic ponadto. Dla tego, kto zna Wąsowicza, jak go znam ja, jest po prostu śmiesznym do pomyślenia Wąsowicz w roli polityka i dyplomaty. Człowiek ten nie ma żadnego zgoła wyrobienia politycznego, żadnej wiedzy społecznej i ekonomicznej, nie umie i nie zadaje sobie trudu badania stosunków, prądów oraz ich założeń, nie umie wprost myśleć i nie posiada żadnej metody, jeno ma pasję warcholstwa, a cała jego działalność polega na wyłapywaniu jednostronnych ploteczek i złośliwych kawałków i na mąceniu oraz wichrzeniu na prawo i na lewo. Lubię Wąsowicza, cenię jego szczerość i brak karierowiczostwa, a nawet uznaję, że taki typ umysłowy warchoła może być poniekąd dla fermentu w społeczeństwie czasem potrzebny, alež tylko na miłość Boską nie na stanowisku polityka i dyplomaty. Maczał on ręce w akcję spiskową P.O.W. w Kownie, a i tę rzecz robił tak samo warcholsko i lekkomyślnie, jak wszystko inne. Jestem przeciwnikiem organizowania spisków polskich w Litwie w celu prowokowania interwencji polskiej, jak to czynił Sławek, Marian Kościałkowski i inni, ale jeżeli już to się robi, to trzeba to robić solidnie, a nie po sztubacku, narażając się tylko na kompromitację. Jeżeli Litwini tolerują Wąsowicza, to chyba dlatego, że nikt skuteczniej od niego nie kompromituje akcji polskiej. Śmiesznie też jest pomyśleć, że na informacjach Wąsowicza fundują się

wszystkie informacje Polskiej Agencji Telegraficznej o Litwie, którymi się karmi prasa polska. Wszak to po prostu skandal, który tylko Polsce szkodzi, bo w istocie opinia polska nic nie wie. Jest to nieszczęściem, że Piłsudski, sam człowiek wielki, posługuje się w swej polityce ludźmi o umysłach sztubackich lub warcholskich.

21 kwietnia, rok 1920, środa
Pierwsze wrażenie, jakie sprawiło na mnie Kowno, da się określić w dwóch słowach: miasto ciche, jakby skupione w sobie, bez życia ulicy, bez ekspansji zewnętrznej. Odpowiada to wprawdzie bardziej charakterowi litewskiemu, który z natury jest powściągliwy i raczej zamknięty w sobie, niż na zewnątrz rozlewny, ale nie decydowałbym się twierdzić, że w tej ciszy i skupieniu Kowna wyraża się tylko charakter litewski. Wrażenie moje bowiem obecne rożni się pod tym względem bardzo od zeszłorocznego, kiedy to Kowno wydało mi się niezwykle ożywione, tryskające werwą użycia, a nawet pewnego wyuzdania. Raziły mię wtedy wielkomiejskie cechy Kowna, nabyte przezeń na skutek, jak to sobie tłumaczyłem, pasowania go na stolicę. Teraz Kowno robi na mnie wrażenie mieściny prowincjonalnej, bardzo pospolitej. Na razie nie umiem sobie jeszcze tego wytłumaczyć. Być może, że różnica wrażenia pochodzi stąd, że w roku zeszłym widziałem Kowno jeszcze pod okupacją niemiecką i w chwili likwidacji tejże, kiedy był tu większy rozgardiasz, większy demoralizacja rozpasania niemieckiego, a stąd hałaśliwość i pozory wielkiego przypływu temperamentu, podczas gdy teraz nastała większa pracowitość skupionej intensywnej organizacji młodej Litwy, wykuwającej się w Kownie. Być może zresztą, że ponieważ przyjechałem tu bezpośrednio z Wilna, która niewątpliwie pulsuje większym ruchem, wrażenie moje o Kownie urabia się pod sugestią mechanicznego zestawienia tych dwóch miast, tym bardziej, że Wilno widziałem w słońcu i upale i w dniach uroczystości, podczas gdy do Kowna przyjechałem akurat na zmianę pogody, na reakcję chłodów i atmosfery pochmurnej.
Druga rzecz, która razi w Kownie – to nadmiernie manifestowanie się języka rosyjskiego. Język rosyjski głośniej się tu rozlega na ulicy od litewskiego i polskiego. Przyczyniają się do tego przede wszystkim Żydzi, którzy się tu ujawniają o wiele głośniej, niż w Polsce lub ziemiach, zajętych przez Polskę, gdzie są oni zmaltretowani i w cień usunięci, a następnie licząc, zdaje się, Rosjanie, którzy znaleźli w Kownie *asylum* w ucieczce od chaosu i rozkładu we własnej ojczyźnie. Wreszcie język rosyjski gra tu jeszcze rolę języka jakby międzynarodowego, neutralnego coś *à la* esperanto. Nieznajomość języka litewskiego przez Polaków kowieńskich, a często polskiego przez Litwinów tworzy przywilej szczególny dla rosyjskiego. Szyldy jednak wszystkie, nazwy ulic, napisy wszelkie – są litewskie, ewentualnie litewsko-polsko-żargonowe; publiczne użycie żargonu w napisach jest duże. W urzędach, o ile mogę wnosić z pierwszych moich kroków, jest jednak od roku ubiegłego duży postęp na rzecz języka litewskiego kosztem rosyjskiego.
Co do drożyzny, to stosunki nie uległy tu od roku takiej zmianie, jak w Polsce lub na polskiej stronie linii demarkacyjnej. Trzeba jednak uwzględnić olbrzymi spadek waluty marki polskiej, któremu pieniądz, obowiązujący w Litwie, nie uległ w tym stopniu. Dużo słyszałem jeszcze w Polsce, a zwłaszcza w Wilnie, o niezwykłej taniości Kowna i Litwy. Jeżeli uwzględniony stosunek kursu marki polskiej do ost-marki litewskiej, który się wyraża mniej więcej (ostatni dzień mego pobytu w Wilnie) w formule 250=100, to różnice cen między Kownem a Polską właściwe będą niewielkie, a w szczególności tańsze są w Kownie artykuły spożywcze wiejskie (doskonała szynka wędzona surowa 14 marek, ser podsuszony tłusty wyborny 6 mk. za funt, chleb pytlowany 3 mk., funt kiełbasy 9 mk., funt masła 18 mk., jajka 5 mk 50 fen. za dziesiątek), natomiast niektóre

inne ceny są droższe, jak zwłaszcza mieszkania, hotele, dorożki, towary pozakrajowe, które w Polsce są krajowymi. Jednak uwzględniając, że w przeszłym roku w kwietniu, przy równym wówczas kursie marki polskiej z ost-marką, ceny w Kownie były w dwójnasób mniej więcej droższe od warszawskich, a jeszcze nawet w lipcu, również przy kursie mniej więcej *al pari*, były one też droższe, choć już nie w dwójnasób, trzeba stwierdzić, że tempo rozwoju drożyzny jest w Kownie o wiele łagodniejsze, niż w Polsce, co oczywiście skutkuje większą równowagą gospodarczą, a poniekąd i polityczną (bolączka ciągłych strajków w Polsce, gwałtowne ubożenie inteligencji, ferment drożyźniany w klasie urzędniczej, sprzyjający jej demoralizacji itd.).

22 kwietnia, rok 1920, czwartek.
Niepodobna po przyjeździe do Kowna nie poruszyć aktualnego tematu świeżo dokonanych wyborów do Sejmu Ustawodawczego, który ma być Konstytuantą Litwy, a właściwie w pojęciu Litwinów – zawiązkiem tejże, bo Konstytuantę w całej pełni wiążą oni dopiero z odzyskaniem upragnionej stolicy – Wilna. W każdym razie, Sejm w Kownie, do którego się odbyły wybory i który się zbierze w maju, będzie wyrażał suwerenną wolę Litwy, będzie jej prawowitą w ramach organizującej się państwowości – Konstytuantą. Jest to fakt wagi pierwszorzędnej, jeden z momentów decydujących w dziejach młodej Litwy. Rezultaty wyborów jeszcze nie zostały sformułowane, bo nie zostało zakończone obliczanie głosów, a gdzieniegdzie jeszcze i same wybory mają się dopiero odbyć, ale w każdym razie „*ça perce déjà*" i perspektywy oraz zarysy tego Sejmu już się wyłaniają. Szczegółowiej o tym pomówię może jutro.
Byłem dziś u Czesława Stefanowicza, działacza polskiego w Kownie i publicysty, który redaguje tu jedyny organ prasy polskiej (do niedawna „Ziemia Kowieńska", obecnie po jej zamknięciu przez Litwinów wychodzi „Dziennik Kowieński"). Stefanowicz, z zawodu nauczyciel, do dziś pełniący swój zawód w gimnazjum polskim w Kownie, był dawniej, w dobie przedwojennej, postępowcem, jednym z żywych w grupie postępowej polskiej w Kownie. Obecnie jest on „*tout court*" Polakiem, bez szczególnego zabarwienia politycznego. Stosunki polsko-litewskie i stanowisko elementu polskiego w tworzącej się państwowości litewskiej zepchnęło Polaków do roli mniejszości narodowej, która się skupiła w zwartą całość do obrony i walki o swe prawa narodowe. Dla ścisłości dodam, że chodzi tu nie tylko o prawa mniejszości narodowej polskiej w państwie litewskim; Polacy nie wyrzekli się tutaj ambicji do restytucji swej roli w kraju w charakterze czynnika co najmniej równorzędnego z Litwinami i nie pogodzili się ze stanowiskiem mniejszości. Ambicje te chcą oni zrealizować przez rozszerzenie Litwy do jej granic historycznych lub zbliżonych do tychże, to znaczy ogarniających zarówno Wilno, jak domniemanie Białoruś. Posiadanie Wilna i wielkich obszarów ziemi litewsko-białoruskich przez Polaków utrzymuje i syci ambicje i tęsknoty Polaków kowieńskich, którzy ufają, że Polska zaważy na regulacji kwestii tychże ziem, to znaczy całej Litwy historycznej, której cząstką jest obecna Litwa Kowieńska, a poniekąd oparcie dla tych swoich rachub znajdują nawet w zasadniczym postulacie samych Litwinów, domagających się swej stolicy – Wilna: skoro sami Litwini żądają Wilna, więc obecna Litwa Kowieńska, w której oni, Polacy kowieńscy, są tylko jakoś pospolitą mniejszością narodową, jest tylko tworem prowizorycznym, Wilno zaś da Polakom w Litwie wagę zgoła inną, bo Wilno jest polskim i zaważy zgoła inaczej na układzie stosunku polsko-litewskiego w przyszłych losach kraju. Dziś Stefanowicz wraz z „*gros*" Polaków kowieńskich stracił taką czy inną barwę partyjną lub kierunkową i opiera się na czynniku nacjonalizmu. Z postępowca pozostało w nim bardzo mało, chyba tyle, ile byłoby w pewnym momencie potrzeba dla poparcia taktycznego jakichś przesłanek narodowych: w nacjonalizmie streszczają się wszystkie jego założenia polityczne.

Zjawisko to stało się poniekąd koniecznością logiczną i psychologiczną Polaków zwłaszcza kowieńskich, o ile polskość sama przemogła w nich wszelkie inne względy zespołu z krajem. Dokonałem prywatnego wywiadu ze Stefanowiczem; był on jednak ze mną czy to ostrożny, nie będąc może jeszcze pewny mojego stanowiska, czy też może ociężały w temperamencie lub był przygnębiony, dość że go zastałem pogrążonego w pesymizmie i jakby niechętnego snuciu obszerniejszych wywodów. W każdym razie, na stosunki narodowe polsko-litewskie, choć wierzy w zdobycie przez Polaków wagi równorzędnej w kraju, zapatruje się bardzo, nawet zbytnio – czarno: ma przekonanie, że między Litwinami a Polakami w kraju nienawiść ma cechę „żywiołową", nie zaś spowodowaną tylko konkretnym zatargiem politycznym, i że nic tej nienawiści żywiołowej nie tkwi, z czym się z nim zasadniczo nie zgadzam, i wierzy, że rozwiązanie mieści się nie w porozumieniu, jeno li tylko w wypadkowej stosunku sił, toteż stosunek ten chce poprawić drogą wznowienia siły polskiej. Wznowienie to dostrzega, jak rzekłem, w realizacji Litwy historycznej, która następnie, jeżeli nawet nie *à priori*, to *à posteriori* oprze się o Polskę. Jest to zresztą nie indywidualny tylko pogląd i dążenie Stefanowicza, lecz wyraz przeciętny poglądów i dążeń znacznej większości Polaków kowieńskich. Jako ludzie realni i trzeźwi, zresztą zbyt z bliska obserwujący Litwinów, nie mogą Polacy kowieńscy marzyć o zniszczeniu poczynań państwowych litewskich i o prostej inkorporacji Litwy, zwłaszcza Kowieńskiej, do Polski. Dlatego też są oni wyznawcami programu Piłsudskiego i przez to samo przeciwnikami inkorporacyjnego programu endecji polskiej względnie Wilna i Białej Rusi katolickiej, bo program ten stawia Polaków kowieńskich poza nawias, zostawiając ich własnemu losowi i zmuszając do godzenia się z tym, z czym się oni godzić nie chcą.

23 kwietnia, rok 1920, piątek.
Wybory litewskie do Sejmu Ustawodawczego w Kownie ujawniła kilka rysów podobieństwa z wyborami zeszłorocznymi w Polsce. Jednym z tych rysów jest olbrzymia frekwencja wyborców: ilość głosujących wynosiła przeszło 80%, w wielu miejscach – przeszło 90%, a gdzieniegdzie zbliżyła się do 100% uprawnionych do głosowania, zupełnie jak było w Polsce. Drugim charakterystycznym rysem, który, przypuszczam, jest wspólny nie tylko Litwie i Polsce, ale jest prawdopodobnie powszechny we wszystkich wyborach powojennych, przynajmniej w państwach nowych na wschodzie Europy, jest ogromna przewaga czynnika społecznego nad politycznym: ogół wyborców stawał i różniczkował się pod sztandarem społecznym, natomiast mniejszości narodowe (Polacy, Żydzi, Niemcy) – pod sztandarem nacjonalizmu. Poza grupami mniejszości narodowych, głosujących pod hasłem swoich szczególnych praw narodowych, z urny wyborczej wyszły li tylko te stronnictwa litewskie, które stanęły do wyborów pod hasłami wyraźnie społecznymi (ewentualnie jaskrawie demagogicznymi, jak chrześcijańscy demokraci) i które w ogóle szukały poprzednio oparcia o jakiekolwiek wyraźne podłoże społeczne (klasowe). Wszystkie bez wyjątku listy partyjne, czy to lokalne, czy też opierające się na wybitnych, luzem idących jednostkach, skądinąd popularnych i znanych – przepadły; w taki sposób przepadł Narutowicz w Telszach, zabraknie też w Sejmie Bułata, którego żadne ze stronnictw na listach partyjnych nie zmieściło. Co więcej – przepadły z kretesem wszystkie formacje partyjne czysto inteligenckie, bądź nacjonalistyczne, bądź liberalne, nie mające oparcia w głębszym podłożu społecznym – bez względu na zasłużone imiona działaczy i polityków, którymi operowały (jest to także rys pokrewny zeszłorocznym wyborom polskim). Dość powiedzieć, że ani „Pažanga" (czysto nacjonalistyczne prawicowa partia inteligencka, stojąca dziś u steru rządu, bo za jej człowieka uchodzi prezes gabinetu Gałwanowski i większość ministrów niej należy),

ani „Santara" (umiarkowanie nacjonalistyczna i liberalno-demokratyczna, odpowiadająca plus minus demokratom polskim z „Narodu" względnie lewicy kadeckiej rosyjskiej i wywodząca się z tradycji dawnego „Varpasu") – nie zdobyły ani jednego mandatu. Nazwiska patriarchy narodowego Basanowicza, dzielnego patrioty i niezmordowanego publicysty ks. Tumasa, prezesa gabinetu Gałwanowskiego, ministrów – w „Pažandze" nic nie wskórały, jak nazwiska zasłużonego Litwie Leonasa lub marszałka Taryby Šilinga – nic nie wskórały w „Santarze". Upadł więc cały szereg bardzo znanych nazwisk, ludzi, którzy położyli zasługi jeszcze w pierwszym okresie ruchu litewskiego przed r. 1904, w dobie zakazu druków litewskich, pracowników niegdyś ofiarnych z konspiracji i prześladowań, następnie upadli też ci, którzy dźwigali głównie Tarybę i jej dzieło, wprawdzie pełne błędów, ale jednak fundujące założenie państwowości i niepodległości Litwy, upadli też dzisiejsi członkowie rządu (oprócz paru, jak na przykład Czarniecki, należących do Chrześcijańskiej Demokracji). Słowem – kto nie poszedł pod sztandarem społecznym, kto zbagatelizował społeczne podłoże, ten – upadł. Wybory nie były egzaminem zasług, jeno punktem wyjścia w przyszłość – do realizacji tych lub innych postulatów. Tak je potraktowali wyborcy, tak się wypowiedział lud litewski.
W łonie narodowości dominującej z urny wyborczej wyszły tylko trzy stronnictwa: chrześcijańscy demokraci („Krikščioniai demokratai"), ludowcy radykalni („Socijalistai-liaudininkai") i socjalni demokraci. Poza tymi trzema stronnictwami, ani jeden mandat nie dostał się w inne ręce litewskie, co przy wyborach proporcjonalnych jest tym bardziej charakterystyczne (nie liczę kilku mandatów mniejszości narodowych). Jak słychać – ludowcy zamierzają w drodze zrzeczenia się jednego mandatu i ustąpienia na rzecz „Santary" tzw. resztek swoich głosów, co przewiduje i dopuszcza litewska ordynacja wyborcza – ustąpić jeden mandat poselski „Santarze" – zdaje się, że dla Leonasa.
Spośród zwycięzców największy, bezwzględny triumf święcą chrześcijańscy demokraci. Będą mieli przeszło 50 lub co najmniej około 50% mandatów (dokładnej liczby ustalić jeszcze nie można; ogólna zaś liczba posłów z dotychczasowego terenu Litwy w granicach linii demarkacyjnej wynosi, jeżeli się nie mylę, 108). Ewentualnie więc chrześcijańscy demokraci mieć będą sami jedni mieli większość w Sejmie. Ale trzeba mieć na względzie to, że gdyby nawet zdobyli oni dziś na wyborach formalnie swoją własną większość absolutną, to jednak skład osobisty posłów, którzy wejdą do Sejmu pod ich sztandarem, nie gwarantuje ich jednolitości; można tu właśnie na tym skrzydle sejmowym przewidywać różne niespodzianki, których dziś jeszcze obliczyć ściśle w rachunkach politycznych nie podobna.
Dokończę na ten temat jutro.

24 kwietnia, rok 1920, sobota
Nawiązuję bezpośrednio to tego, na czym wczoraj przerwałem.
Chodzi o to, że obóz chrześcijańsko-demokratyczny występował w wyborach pod kilku postaciami. Jedna jego postać była własna firmowa; z nią zwracali się oni głównie do zamożnych chłopów; ale ponieważ lewica miała możność demaskowania ich istotnych tendencji społecznych, które z pewnych momentów dawały nawet możność pomówienia ich o zakusy kompromisu z ziemianami (obszarnikami) na gruncie politycznym i agrarnym, więc uznali oni dla siebie za dogodniejsze przyjąć inną postać (firmę i listę kandydatów) wobec chłopów małorolnych, a jeszcze inną wobec robotników; w postaci, którą przybrali wobec małorolnych, wystąpili w sprawie agrarnej szczególnie radykalnie, głosząc bardzo niską normę maksimum własności ziemskiej (wbrew własnemu urzędowemu programowi partyjnemu) i unikając starannie

wszelkiej wzmianki o odszkodowaniu wywłaszczonych właścicieli, co mogło dawać pozory, że są za konfiskatą obszarów dworskich i że przeto idą dalej od radykalnych ludowców, którzy, ograniczając maksimum do 75 dziesięcin, jednak zaznaczali sprawiedliwe odszkodowanie właścicieli. Wobec zaś robotników chrześcijańscy demokraci wystąpili pod firmą „Federacji Pracy” („Darbo Federacija”), gdzie, dla przelicytowania przeciwników w osobie socjalistów, rozwinęli skrajną demagogię, graniczącą z hasłami bolszewickimi (*leit-motiw*[17] – walka przeciwko „burżujom”). Większość, którą zdobyli, zdobyli oni pod tymi trzema postaciami, które dla obrachunku głosów zblokowali. Czy da się utrzymać w Sejmie jednolitość partyjna mandatów, które wypłynęły z tych trzech postaci, niezupełnie się identyfikujących – to jest kwestia, jak kwestią też jest taktyka parlamentarna tego stronnictwa większości. W każdym razie, lewica przewiduje – logika zdaje się te przewidywania potwierdzić – co najmniej indywidualne dezercje posłów spod tego znaku.
Radykalni ludowcy szli też pod dwiema postaciami (zblokowanymi), ale nie kręcili programowo, jak chrześcijańscy demokraci. Szli oni pod firmową postacią socjalistów-ludowców („Socialistai-liaudininkai”), głównie dla inteligencji i miast i pod postacią „Związku Chłopskiego” („Valstiečių Sąjunga”) dla mas wiejskich. Z ludowców i najbardziej znanych działaczy tego obozu wybrani zostali: Ślażewicz, Bortkiewiczowa, Rimka i niektórzy inni (Jonasa Vileišisa kandydatura nie była postawiona, bo nie nadeszła w porę jego odpowiedź, przyzwalająca na postawienie tejże – Jonas jest w Ameryce).
Socjalni demokraci szli jednolicie, chociaż socjalna demokracja litewska, organizacyjnie zresztą jednolita, mieści w swym łonie dwa odcienie, jeden poniekąd, wyrażając się wulgarnie, socjal-patriotyczny czyli prawica (Janulaitis, Kairys), drugi – lewica, odpowiadająca plus minus niezależnym socjalistom niemieckim (Bielski, Požela). Z bardziej wybitnych i znanych socjalistów przeszli Kairys, Požela, Węcławski z Szawel, przepadli – Janulaitis, zdaje się – Bielski (przepadli, bo byli na liście na dalszych miejscach).
Co do ilości mandatów ludowców i socjalistów demokratów, to na razie, gdym przyjechał, konstatowano ze zdziwieniem, że socjalni demokraci idą przed ludowcami, ale potem, gdy zaczęły coraz obficiej napływać rezultaty z obwodów wiejskich, wyjaśniło się, że jednak zapewne ludowcy będą wyprzedzać socjalnych demokratów. Rachują plus minus, że socjalni demokraci mogą zdobyć do 15% mandatów, ludowcy – przeszło.
Co do mandatów mniejszości narodowych, to na pierwszym miejscu będą Żydzi (5-6 mandatów). Co do Polaków, to podług pierwszych rezultatów z miast liczono, że może nawet do 6 mandatów zdobędą, ale w miarę dalszych rezultatów zaczęło się wyjaśniać, że zdobędą prawdopodobnie tylko 3 mandaty (może), a mianowicie z okręgu kowieńskiegu dwa mandaty (na czele – Krassowski[18]) i z okręgu rosieńskiego (do niego należy Kiejdańszczyzna) – jeden mandat (mój były kolega z adwokatury w Wilnie Adolf Grajewski). Co do Niemców, to zdaje się, że zostaną bez mandatu, co najwyżej – jeden.
Powyższą relację o wyborach do Sejmu Ustawodawczego w Kownie, zapisaną do dziennika pod dniem wczorajszym i dzisiejszym, w tym samym brzmieniu słowo w słowo wpisałem do listu, który wysyłam przez okazję do Bronisława Krzyżanowskiego w Wilnie. Mam zamiar, siedząc w Litwie, informować moich byłych przyjaciół wileńskich, którzy hołdują dziś coraz jaskrawiej imperializmowi polskiemu, a na sprawy litewskie patrzą przez takie szkła, przez które im się patrzeć podoba, o

---

[17] lejtmotyw (niem.- Leitmotiv) – motyw przewodni.
[18] Krassowski – działacz polskiej mniejszości na Litwie.

rzeczywistym stanie rzeczy w Litwie, głównie zaś przedmiotowo o faktach konkretnych. Dziś są oni informowani albo przez różnych zbiegów polskich z Litwy Kowieńskiej, względnie przez ziemian, którzy ze względów przeważnie klasowych chcą za wszelką cenę podkopać Litwę Kowieńską, albo przez depesze PATu (Polskiej Agencji Telegraficznej) lub „korespondencje" „Naszego Kraju", płynące z tzw. II oddziału, a których źródłem jest – śmiech powiedzieć – Wiktor Wąsowicz, zgoła się w sprawach politycznych i społecznych nie orientujący i biorący najpoważniejsze zagadnienia nie tylko ze strony anegdotycznej; oczywiście informować ich będę, jeżeli tego zechcą. Wybrałem Krzyżanowskiego, bo to najżywszy z nich człowiek, najbardziej trzeźwy i otwarty umysł, mimo że się z nim bardzo mocno w poglądach dziś różnię, a zwłaszcza w pojmowaniu metod. Ale umysł tego człowieka czyni zeń jednostkę żywą, nie zasklepiającą się uparcie w formułach swego widzimisię, jak Witold Abramowicz i wielu innych. Strona informacyjna, którą otrzyma, będzie znacznie w każdym razie przemyślana.
Już po napisaniu powyższej relacji o wyborach wpadł mi przygodnie do ręki numer „Dziennika Kowieńskiego", w którym przeczytałem o śmierci śp. Zysia Komorowskiego, który w dniu 19 kwietnia zmarł w Kowaliszkach.
Wiadomość ta sprawiła na mnie bardzo wielkie wrażenie. Nie mogę się z tą śmiercią oswoić. Żałuję Zygmunta jak rodzonego brata. Kochałem go ze wszystkich szwagrów najwięcej.

25 kwietnia, rok 1920, niedziela
Siedziałem między godz. 3 i 4 po południu na werandzie kawiarni Gustaitisa przy Alei Wolności („Laisvės Aleja"), przyglądając się bezmyślnie ulicy i łowiąc wzrokiem ładne kobiety, ot tak sobie – dla pospolitej kawiarnianej sjesty[19] poobiedniej.
Aleja Wolności jest zbudowana w ten sposób, że środkiem ulicy przez całą jej długość prowadzi właściwa aleja, stanowiąca szeroką drogę bitą, wysadzoną drzewami i przeznaczoną dla ruchu pieszego; po obu stronach właściwej alei – brukowane jezdnie dla ruchu kołowego wraz z torem tramwaju konnego; po bokach jezdni, wzdłuż domów i sklepów – zwyczajne chodniki szerokie dla pieszych; część tego chodnika zajmuje weranda kawiarni, w której siedziałem przy stoliku. Główny potok spacerującej publiczności świątecznej płynął aleją środkową, od której dzieliła mię jezdnia i kawałek szerokości chodnika. Wzrok miałem zwrócony na publiczność, a więc w aleję, błądząc po niej oczyma. I nagle – cóż ujrzałem: zdało mi się, że widzę w idącej od strony soboru jakiejś postaci kobiecej coś znajomego i w tej chwili błysnęło mi w pamięci: to panna Eliza! – panna Eliza Courtôt, ten zły duch Reginy, zły geniusz naszego nieszczęśliwego małżeństwa! Instynktownie utkwiłem oczy w tę postać: tak, to ona! Z kim idzie? Nie ma wątpliwości – obok p. Elizy kroczy wysoka okazała postać Reginy, niedbała w ruchach, wyniosła i zarazem jakaś bierna, odruchowa; z nimi – mała dziewczynka, idąca cokolwiek na przedzie, a więc to moja córka, moja Cesia, o której mi marzyć tylko wolno i tęsknić co najwyżej do jej fotografii! W pierwszej chwili, gdy wzrok mój padł na Francuzkę, zrobiła ona jakby ruch w bok, ale wnet poszła dalej równym krokiem; ten ruch p. Elizy może mi się tylko wydał takim; nie wiem, czy mię widziała i czy mogła poznać, bo siedziałem w cieniu werandy za jej kratkami. Wpatrzyłem się w tą grupę, w Cesię zwłaszcza, którą Bóg łaskawy mi dał po raz drugi w życiu widzieć. Cesia kończy dziesiąty rok życia. Niestety – jestem krótkowidz, toteż nie mogłem dojrzeć rysów Cesi; wygląda na dziewczynkę dość bujną, sukienkę miała na sobie ciemną; stąpa równo, krok ma długi, wyciąga nóżki i podnosi je trochę wprzód,

[19] Sjesta (hiszp.) – odpoczynek popołudniowy, drzemka.

stąpając podobnie do mnie; może mi się zresztą tak tylko zdało, może to tylko mój instynkt ojcowski, szukając w dziecku odbicia swojego, upatruje w niej to, co ją zbliżać może do mnie, aby znaleźć choćby najwątlejszą nić, choćby cień czegoś mojego. Cieśko, córka moja, czy mogło w tej chwili przejść przez główkę twoją coś jakby przeczucie, że oto idziesz pod okiem ojca – raz jedyny w życiu, bo kiedym cię widział przed laty dziewięciu – było to na wiosnę, jak teraz, byłaś tak mała, żeś jeszcze chodzić nie mogła, nie miałeś wtedy roku! Nie, ty daleka dziś byłaś, dziecko moje, od takiego przeczucia: przeszłaś i nawet nie zwróciłaś oczu w kierunku ojca! Gdybyś ją nawet zresztą zwróciła i zobaczyła mię siedzącego, cóż by ci to powiedzieć mogło: zobaczyłabyś człowieka jak tysiące innych na ulicy; że to twój ojciec – skądże byś zgadła. Czy ty zresztą coś wiesz o ojcu, Cieśko! Da Bóg, że poznasz jeszcze i – Bóg jest Wielki! – pokochasz jeszcze. Bądź błogosławiona, ukochana moja! Nie mam żony, jestem samotny, moja Aninka, którą kochałem, umarła, szczęście mojego życia zgasło: ty jedna, dziewczynko mała, która nie znasz ojca, jesteś wśród ludzi kwiatem mego serca. Osobliwy kwiat – żywy fizycznie, nieznany mi, kwitnący mistycznie w wyobraźni mojej; w wyobraźni mi kwitnie, nie znam go materialnie, a przecież jest.
Grupa – Regina, Francuzka i Cesia – przepłynęły przed oczyma mymi w płynnym publiczności potoku i na najbliższym rogu skręciły na prawo w boczną ulicę. Fenomen ten trwał dla wzroku mego chwilę. Gdyby nie było Francuzki, poszedłbym z daleka za Reginą i Cesią. Ze względu na tę Elizę Courtôt nie chciałem tego czynić. Boże, czyż mi nigdy dziecka od tej Francuzki nie odejmiesz?! Czy to jest Wola Twoja i czy mam Ci słowami modlitwy mówić: „Bądź Wola Twoja!”. Twarda jest ta Wola i z trudem wyszłoby mi z ust to słowo „bądź!”. Ten niespodziany widok córki wstrząsnął mię do głębi. Serce mi biło, czułem się kontuzjowany. Ba!
Nie wiem, czy to tylko przygodna wycieczka Reginy z Francuzką i córką z Cytowian do Kowna, czy też może już wyjazd na zawsze – do Łunny, której Regina po śmierci Jurka stała się jedyną dziedziczką. Niestety – mnie tego wiedzieć nie można.
Te niespodziewane spotkanie córki – po raz drugi w życiu, po 9 leciech – takie silne sprawiło na mnie wrażenie, że osłabiło inne wrażenia, od którego się otrząsnąć nie mogłem – śmierci Zygmunta Komorowskiego. Jutro wyjeżdżam z Kowna, we wtorek raniutko będę w Kowaliszkach i tam się wszystkiego dowiem. Nie jestem w stanie oswoić się i pogodzić z tą śmiercią. Zdaje się, że słabiej by na mnie podziałała nawet śmierć Papy. Gdym w roku zeszłym latem widział Zygmunta, wyglądał dobrze, tylko posiwiał bardzo, ale pełny był energii, jak zawsze, żywotny, ruchliwy, snujący dalsze projekty. Śmierć ta jest tym cięższa do zniesienia, że zupełnie niespodziewana. Nikt z nas nie domyślał się nawet choroby Zygmunta. Zresztą nic nie wiem, z czego umarł. Był to człowiek wielkich zdolności, niezwykłej pracowitości, żołnierskiej wytrwałości charakteru, bardzo zacny, wielkiej wiedzy i świetnej wymowy. Doskonały był mąż, doskonały krewny i serce złote, a przy całej gorącości swojej był przecież jednocześnie niezmiernie w gruncie łagodny i cierpliwy; może kiedy w dzienniku napisałem coś o nim, co mogło czynić pozór czegoś ujemnego, ale byłby to tylko pozór. Zyś był uparty i rzeczywiście chciał zawsze postawić na swoim, był ambitny także i lubił narzucać uporczywie swoje zdanie, które bywały czasem fantastyczne lub dyktowane jakimiś kombinacjami. To był jednak drobiazg wobec bardzo wybitnych i głębokich wartości dodatnich.

26 kwietnia, rok 1920, poniedziałek
Rano o godz. 8 wyjechałem z Kowna. Ponieważ wybieram się do Bohdaniszek raczej na zwiady, niż na stałe osiedlenie się, i przypuszczam, że jednak ostatecznie osiądę w Kownie w sądownictwie litewskim (zresztą coraz więcej nabieram przekonania na rzecz

Kowna), a w każdym razie wkrótce w Kownie znów będę, więc większą część rzeczy, przywiezionych z Wilna, względnie z Łomży, zostawiłem w Kownie: ubranie – u pewnego krawca, Pupkisa, inne rzeczy – u państwa Francuzowiczów, u których łaskawą lokatę dla moich rzeczy wyrobiła mi moja dawna miła koleżanka paryska, niegdyś narzeczona mego przyjaciela Stacha Gierszyńskiego, dziewczyna-sfinks, która za czasów studenckich wywierała dziwny wpływ na młodzież męską, stając się, jak żadna inna z koleżanek, przedmiotem miłości osobliwych, mocnych jak żelazo, i dramatów między adoratorami – Joanna Maria Micewiczówna[20], obecnie – *tout passe* – stara 40-letnia panna, mieszkanka poniekąd Kowna, poniekąd mająteczku Romaje pod Kownem, znana w Kownie działaczka narodowa polska i, jeżeli się nie mylę, kierowniczka gimnazjum polskiego. Zabrałem ze sobą rzeczy tylko najniezbędniejsze – w walizce i miniaturowej walizeczce ręcznej. Walizkę dałem na bagaż.
Ruch na kolejach litewskich świadczy dodatnio o organizacji kolejnictwa. Wszędzie ład wzorowy, wszystko dobrze obmyślone i unormowane, nie ma tłoku ani przy biletach, ani przy wyjściu na peron, ani przy bagażu, obsługa kolejowa uprzejma, wagony czyste i w dobrym stanie, wygląd zewnętrzny stacji kolejowych bardzo porządny, nie ma nigdzie pośpiechu, bieganiny, a pociąg idzie ściśle podług rozkładu jazdy. Tylko bilety są bardzo drogie (z Kowna do Rakiszek III klasą – 82 marki), o wiele droższe, niż w Polsce, i bagaż drogi (za 27 kilo zapłaciłem 37 marek). Świadczy to jednak także o zmyśle praktycznym Litwinów, którzy wiedzieli, co obłożyć odpowiednio wysoką opłatą, podczas gdy w Polsce, robiącej bokami finansowo, nie wyzyskano należycie w stosunku do niskiej waluty polskiej, a przez to samo i do kosztów przewozu, takiego źródła dochodów państwowych, jak opłata za przejazd kolejami żelaznymi. Co z przyjemnością stwierdziłem podczas podróży dzisiejszej – to radykalny postęp od roku przeszłego w kierunku likwidacji i odruszczenia kolei litewskich. Gdym jechał po raz pierwszy koleją litewską w lipcu roku ubiegłego, wszystko, oprócz napisów na budynkach z nazwami stacji, było rosyjskie; służba kolejowa posługiwała się niemal wyłącznie językiem rosyjskim, język litewski był kopciuszkiem; dziś on odzyskał swoje prawa na kolei powszechnie i nie tylko formalnie, ale w praktyce i użyciu; tylko pasażerowie – Żydzi, podróżujący, jak zawsze, gromadnie, wnoszą dysonans rosyjski, ale na to już rady nie ma na razie. Wyrobiła się też widocznie terminologia techniczna litewska w kolejnictwie, o czym świadczą różne napisy. Terminologia ta zdaje się być bardzo dobrze dostosowana do potrzeb i zarazem do języka.
Pociągiem, jadącym na Możejki do granicy łotewskiej, dojechałem bardzo dobrze do Radziwiliszek. Pociąg ten idzie szybko i bardzo regularnie. Od Radziwiliszek na Jodłówkę (ostatnia kresowa stacja litewska dla prywatnego ruchu osobowego w kierunku linii demarkacyjnej polskiej pod Kałkunami, przezwane po litewsku urzędowo „Įlaukė”, co jest trawestacją rosyjskiego brzmienia nazwy „Jodłówka” i właściwej byłoby może przetłumaczyć ją na „Eglaitė”, jak też ją nieraz Litwini nazywają) – pociąg wlecze się bardzo powoli na skutek długich, ale przewidzianych w rozkładzie postojów na stacjach. Dość powiedzieć, że od Radziwiliszek do Rakiszek podróż trwa od godz. 2 po południu do godz. 1 po północy. Pochodzi to stąd, że podczas gdy na liniach głównych chodzą lokomotywy, dostarczone przez Francję, silne i nowe, na linii Radziwiliszki-Jodłówka użyte są stare, brakowane i słabe maszyny, zostawione przez Niemców, a poza tym tor na tej linii na skutek kilkukrotnego przesuwania go przez czas wojny z szerokiego na wąski i odwrotnie i za względu na to, że przez cały czas wojny nie zmieniano szpał (podkładów kolejowych), jest słaby i wymaga jazdy ostrożnej. Do Poniewieża pociąg przyszedł o godz. 4 ½ i miał stać do godz. 6 ½. Korzystając z tak

[20] Micewiczówna M. Joanna – polska działaczka na Litwie , kierowniczka gimnazjum polskiego.

długiego postoju, napiłem się herbaty w bufecie i, mając jeszcze półtorej godziny czasu, poszedłem się przejść w kierunku miasta. Gdym już wracał, spotkał mię i poznał Rabinowicz, niegdyś właściciel znanego w Rakiszkach sklepu towarów łokciowych, obecnie zamieszkały w Poniewieżu. Poprosił mię do siebie na herbatę i, niestety, wskutek tego spóźniłem się o kilka minut na pociąg. Zostałem się w Poniewieżu i udałem się na nocleg do tego samego zajazdu, w którym w lipcu roku zeszłego spędziłem kilka dni w podróży do Bohdaniszek.
Nadmienię, że podczas mego pobytu w Kownie pani Janulaitisowa, żona Augustyna, który jest obecnie sędzią Trybunału Apelacyjnego, Juraszajtisówna z domu, wykonała węglem mój portret. Pozowałem jej od 23 do 25 kwietnia po godzinie dziennie. Młoda p. Janulaitisowa, kobieta ładna, okazała, bujna, bezdzietna, mająca co najmniej podwójnie starszego od siebie męża, jęła uprawiać swój talent rysunkowy, który posiada niewątpliwie. W tym roku po raz pierwszy portrety jej roboty ukażą się na majowej wystawie litewskiej sztuk pięknych w Kownie. Zdaje się, że i mój portret ma być przeznaczony na wystawę. Portret mój jest udany i podoba mi się bardzo. Chętnie bym go nawet kupił, tylko lękam się pytać o cenę, bo nie wiem, czy będę w stanie się wypłacić.

27 kwietnia, rok 1920, wtorek
Nudny bezcelowy dzień, spędzony w zajeździe żydowskim przy dworcu kolejowym w Poniewieżu. Korzystam z czasu i z miejsca w dzienniku, aby wspomnieć o paru spotkaniach z ostatnich czasów w Kownie i Wilnie. Nie wymieniam specjalnie i wymieniać nie będę wszystkich ludzi bliskich, których spotkałem i z którymi prowadziłem rozmowy w Wilnie i w Kownie, ale o paru szczególnych spotkaniach chcę zanotować. Jedno – z p. Galwydisem-Bykowskim w Kownie, obecnie generałem wojska litewskiego i zastępcą wodza naczelnego. Łączą mię z nim charakterystyczne wspomnienia wspólne z początków roku 1915 w Wilnie. Galwydis-Bykowski był wtedy pułkownikiem w wojsku rosyjskim na służbie czynnej. Z pochodzenia Litwin spod Użpola, człowiek w wieku lat przeszło 50, pomimo że całe życie przesłużył w armii rosyjskiej i że nawet zewnętrznie był bardziej zrusyfikowany, niż spolonizowany – nienawidził Rosji i szczególnie jej sprawy w tej wojnie. Służąc armii rosyjskiej na wojnie, był całym sercem i całą duszą wrogiem Rosji. Z założeń wychodził raczej religijno-ludzkich, w szczególności – katolickich, niż narodowych. Z tych założeń katolickich metodą poniekąd mistyczną doszedł do ukochania cywilizacji zachodnio-europejskiej, opartej o Kościół Katolicki i o pierwiastki woli i czynu, a więc Wolności jako czynnika kultury i postępu społecznego, co też wyłożył wtedy obszernie w napisanym przezeń ciekawych memoriale (pisanym jednak po rosyjsku). Z nienawiści do Rosji i jej roli ujemnej w cywilizacji europejskiej sprzyjał szczerze przeciwnikom Rosji w wojnie, a szczególności miał sympatię dla katolickiej Austrii. Nade wszystko zaś ukochał czyn niepodległościowy polski Piłsudskiego, wyrażony podówczas w Legionach. Choć innymi nieco drogami, zaprawiając myśli swoje mistycyzmem religijnym i hołdując koncepcji mesjanistycznej, doszedł on do tych samych, co ja, wniosków konkretnych w stosunku do Legionów i pragnął dostać się do ich szeregów, by w nich udział wziąć czynny. Dostrzegał w nich wyraz najbardziej czynny przeciwstawienia się niewolniczemu i despotycznemu pierwiastkowi Rosji. Wierzył, że sprawa Legionów Polskich jest sprawą nie tylko narodową polską, ale sprawą cywilizacji, sprawą kultury zachodnio-europejskiej i katolickiej z jej pierwiastkami twórczymi, czynnie przeciwstawionymi Rosji. Uważał ją więc za sprawę powszechną i w szczególności za dźwignię wyzwolenia także Litwy. W stosunku więc do Litwy był podobnie do mnie – „orientacji legionowej”. Zapoznał go ze mną Jerzy Šaulys, który

sam w tym czasie hołdował orientacji tzw. „polskiej". Nie pamiętam, czy w dzienniku z tych czasów wspominałem o pułkowniku Bykowskim. Przez ostrożność, aby go nie narazić na wypadek dostania się mego dziennika w ręce rosyjskie, bo mogłoby to kosztować życie jako dowód zdrady głównej, prawdopodobnie nie rozpisywałem się o moich z nim konszachtach. Stosunki zaś nasze były w tym czasie bardzo ożywione, bo obaj dążyliśmy do tego samego celu – do Legionów, i pułkownik Galwydis-Bykowski chciał wykorzystać mój wyjazd, aby tam wobec Piłsudskiego przygotować grunt do przyjęcia następnie do Legionów i jego także. Bykowskiemu udało się dopiero w r. 1916 na froncie kurlandzkim (bodajże pod Friedrichstadtem) przejść na stronę niemiecką. Niemcy umieścili go w obozie jeńców, skąd nie zaniechał czynić starań o wcielenie go do Legionów. Dowiedziałem się, że jest on teraz generałem w wojsku litewskim, gdzie zajmuje stanowisko wybitne w sztabie generalnym i w naczelnym dowództwie. Poszedłem go w Kownie odwiedzić. Przyjął mię uprzejmie w dowództwie naczelnym. W Legionach Polskich nie był, bo gdy w r. 1917 nastąpił ostry konflikt między Piłsudskim a Niemcami, zaniechał starań o wstąpienie do Legionów. W r. 1918 wrócił do Litwy i wziął czynny udział w tworzeniu armii litewskiej. W rozmowie z nim stwierdziłem, że się zasadniczo nie zmienił bynajmniej. Jak rzetelny Litwin, jest jednolity psychicznie, twardy w swych konstrukcjach ideowych, niezmienny w rysach zasadniczych. Jest patriotą litewskim, kocha i wierzy w Niepodległość Litwy, pragnie Wilna i wierzy w urzeczywistnienie stolicy litewskiej, ale nie nienawidzi Polaków i Polski. Ubolewa nad nieporozumieniem, wierzy we współpracę młodych narodów niepodległych na gruzach Rosji – na zasadach Wolności, cywilizacji zachodnio-europejskiej i kultury chrześcijańskiej, a w szczególności narodów katolickich, i choć nie zrzeka się żadnego z ideałów i postulatów narodowych litewskich, jest usposobiony pojednawczo do Polski i Polaków litewskich i nie przestaje wierzyć w spełnienie braterstwa na zasadzie nie przemocy i zwycięstwa jednych nad drugimi, lecz uszanowaniu praw wzajemnych i porozumienie. Jest to szlachetny typ idealisty, jakiem był zawsze, człowiekiem, który nosi jeszcze coś w sobie ze starej pięknej Litwy Mickiewiczowskiej. Generał Galwydis-Bykowski kandydował do Sejmu z ramienia chrześcijańskich demokratów i zapewne przeszedł na posła z okręgu uciańskiego.
Drugie spotkanie, o którym chcę wspomnieć, miało miejsce w Wilnie. Jest tam czynna legia kobieca (oczywiście polska), która pełni służbę garnizonową w mieście (warty przy składach itd.). Legionistki te noszą maciejówki strzeleckie i strzeleckie kurtki szare, spod których wychodzą krótkie ciemne spódniczki, nogi w powijakach. Raz na ulicy spotkałem jedną, która, przechodząc, salutowała mi. Rysy twarzy, wyraz i oczy wydały się bardzo znajome. Przypomniała mi się wtedy młoda dziewczyna Warszawianka, która pod przybranym nazwiskiem Zuchowicza (jej istotnego nazwiska nie pamiętam), przedostała się do Legionów i z którą się w r. 1916 spotkałem w Lublinie, a potem przez czas jakiś opiekowałem w Piotrkowie, ułatwiając jej dostanie się na linię. W dzienniku moim tego czasu muszą być wzmianki o niej. W kilka dni potem znów ją na ulicy w Wilnie spotkałem. Okazała się istotnie tą samą.
Jest teraz komendantką legii kobiecej w Wilnie, wyprzystojniała bardzo, wygląd ma dziarski i bardzo miły. Ta jest wytrwała i uparta w swoim dążeniu do wyidealizowanej służby żołnierskiej.

28 kwietnia, rok 1920, środa
Wyjechałem z Poniewieża wczoraj o godz. 6 ½ wieczorem i o godz. 1 w nocy byłem w Rakiszkach. Walizki z bagażu nie odbierałem i poszedłem pieszo do miasta. Milicjanta poprosiłem w Rakiszkach o wskazanie mi mieszkania Józefa Šukysa, o którym wiedziałem, że tu od lat kilku mieszka i zajmuje jakieś stanowisko w szkolnictwie.

Zbudziłem Šukysa i spędziłem u niego czas na pogawędce do rana. Osiadł on w Rakiszkach od początku okupacji niemieckiej. Za Niemców był w Rakiszkach nauczycielem ludowym, potem za bolszewików pracował w wydziale oświaty jako inspektor szkółek pod kierunkiem Purenasa, lokalnego bolszewickiego komisarza oświaty, który pozostał tu po wygnaniu bolszewików (*notabene* – ku ogromnemu zgorszeniu Elizki), uniknął szczęśliwie represji i dziś jest dyrektorem gimnazjum w Rakiszkach, a świeżo wybrany został z okręgu uciańskiego jednym z posłów na Sejm z listy socjalistów-demokratów. Obecnie Šukys zajmuje w pow. rakiskim analogiczne stanowisko do tego, jakie zajmował za bolszewików. W Šukysie stwierdziłem dużą zmianę. Przed wojną był to chłopiec prawdziwie „ubogi duchem", który, choć miał dyplom formalny z ukończenia 6 klas gimnazjalnych, był do nauki niesłychanie tępy pomimo pracowitości i nie bardzo zasługiwał nawet na miano półinteligenta. Poziom jego wiedzy, wykształcenia ogólnego, umiejętności myślenia – był niezmiernie niski. Wartość jego stanowiły zalety serca. Kilkuletnia praca społeczno-oświatowa wyrobiła go bardzo, rozszerzyła zakres jego pojęć i aspiracji i uczyniła zeń przeciętnego pracownika społecznego, który, choć nie celuje wielkim rozumem, jednak ma swoje poglądy i na ogół się już nieco umie orientować w sprawach publicznych, a aspiracjami swymi sięga już całkowicie do roli nie tylko inteligenta, ale i działacza społecznego. Znać na nim duży wpływ radykalnych pojęć społecznych, zmieszanych z litewskimi prądami narodowymi, zabytek bolszewizmu, wszystkich przemian ostatnich czasów, osobistego wpływu ludzi, z którymi się tu na miejscu w pracy stykał, jak Wienożyńscy, Purenas. W każdym razie, zastałem już innego Šukysa, niż ten, który mi pozostał w pamięci z przeszłości.
Koło godz. 6 rano udałem się znowu pieszo od Šukysa z Rakiszek do Kowaliszek. Szedłem pod wrażeniem bolesnej śmierci Zysia Komorowskiego, w której atmosferze miałem się wnet znaleźć. Podchodząc do Kowaliszek spostrzegłem w małym sośniaku, rosnącym w paręset kroków od drogi na samotnym pagórku piaszczystym, coś jakby świeży parkan drewniany, a wnet i nową dróżkę, poprowadzoną od drogi do tegoż lasku i wysadzoną jodełkami. Domyślałem się, że tam jest mogiła Zysia, bo już z ogłoszenia w gazetach wiedziałem, że Zyś jest pochowany w Kowaliszkach. Udałem się więc do tego lasku, gdzie istotnie mogiłę znalazłem. Pomodliłem się tam i popłakałem nad pamięcią kochanego Zygmunta. Po nocy niewyspanej byłem bardzo znerwowany wrażeniem tej mogiły, toteż rój myśli ciężkich i bolesnych popłynął mi w głowie. Dość długo zabawiłem na mogile, bardzo starannie urządzonej i usypanej w ślicznym miejscu. Następnie wszedłem do Kowaliszek. Przywitanie nasze z Elizką było nieme, skropione łzami obficie. Dowiedziałem się, że Zyś umarł z tyfusu skomplikowanego, bo plamisty był połączony z brzusznym. Chorował dwa tygodnie, konanie miał bardzo ciężkie, bo rodzina, walcząc z tą stratą, użyła wszelkich środków sztucznych, aby gasnące życie jego przedłużyć. Trudno mi się wprost oswoić z Kowaliszkami bez Zysia, bo był on tutaj nie tylko mózgiem i nerwem całego środowiska, ale też same Kowaliszki w swoim kształcie obecnym są całkowicie jego dziełem i, jako takie, są nim całe przepojone nawet w rzeczach martwych. Co do Elizki, to śmierć ta jest dla niej straszna. Zyś, szczęśliwie dla siebie, nie przeżył swego szczęścia, umarł w jego pełni. Elizka natomiast przez śmierć Zysia przeżyła swoją pełnię życia i szczęścia i stała się rozbitkiem. Jednak stan Elizki, mimo głębokiej rany w jej życiu, nie jest jeszcze najgorszy. Ma ona dzieci, które są rzeczywiście dla niej bardzo dobre, a życie ich dochodzi właśnie do tego punktu młodości, w którym rozpoczyna się pełnia zarówno ich pracy, jak tworzenia własnego szczęścia. Otóż Elizka w dzieciach tych żyje gorąco i ma sobie za cel jednoczyć ich pracę, utrzymać ciągłość domu i rodziny, regulować sercem swoim i myślą ich wszelkie decyzje młodego życia. Dopóki nie przyjdzie do

małżeństwa synów, zapewne nic w tej ciągłości zakłócone nie zostanie, ale małżeństwa mogą dużo w tym stosunku i trybie zmienić, zależnie od tego, jak się one ułożą. Tymczasem jednak Elizka jest pełna wiary i sił, co ją ratuje od złamania i wspiera dzielnie w tej katastrofie.

29 kwietnia, rok 1920, czwartek
Hektora Komorowskiego nie ma w domu. Jest on tak obarczony interesami, własnymi kowaliskimi i cudzymi, że musi ciągle być w ruchu i bardzo często z Kowaliszek wyjeżdżać. Obecnie odprowadził p. Dymszynę, by ją zainstalować w jej majątku w Ilembergu na Łotwie (w Kurlandii), a stamtąd pojechał do Kurtowian do Platera, gdzie kupuje maszynę do prasowania torfu. Do czasu jego powrotu zabawię w Kowaliszkach. Hektor ma plenipotencję Papy na Bohdaniszki i przeto główny kierunek nad interesami bohdaniskimi, gdzie rządcą na miejscu jest niejaki Jaszczuk czy Jakszuk, człowiek podobno sprytny, a przeto użyteczny w obecnych warunkach, ale uczciwości wątpliwej. Jaszczuk był wzięty do Bohdaniszek przez Papę. Od Elizki i Julka dowiedziałem się o Bohdaniszkach rzeczy, które mię nie zachęcają bynajmniej do przyjmowania na siebie tego ciężaru, choć Komorowscy pragnęliby bardzo, abym w Bohdaniszkach pozostał, co by ulżyło Hektorowi. Dzięki energii Hektora i Jakszuka, pole zostało w Bohdaniszkach całe uprawione i będzie zasiane, inwentarz cokolwiek uporządkowany, ale nieład jest jeszcze wielki, warunki polityczne dla dworów są bardzo ciężkie, a co najważniejsze – że wróci przecie Papa, który nic poza dewastacją nie jest w stanie, a bodaj że już i nie chce w Bohdaniszkach zarządzać. Prawdopodobnie zabawię w Bohdaniszkach krótko; w każdym razie, zorientuję się tam na miejscu w sytuacji i być może, że nawet osiadłszy w Kownie, część kierunku przejmę od Hektora na siebie. Co zaś uważałbym za najpilniejsze, gdyby się to zrobić udało – to sprzedać część lasu i zabezpieczyć choć cokolwiek gotówki z tej sprzedaży w drodze jakiejkolwiek dla niej pewnej lokaty. Ale i to nie jest rzecz łatwa, tym bardziej, że łączy się z tym mnóstwo zagadnień takich, jak na czyje imię zabezpieczyć tę gotówkę, co za nią kupić, jak pogodzić względy spadkobierców Papy z jego tytułem własności i nieograniczonym kaprysem, nie mówiąc już o zagadnieniach techniki sprzedaży. W ogóle sprawy Bohdaniszek nie prezentują się w świetle różowym: majątek jest w dekadencji, a największym czynnikiem rozkładu jest Papa, która zdaje się coraz wyraźniej idzie po linii sentencji: „*après moi le déluge*". Niestety – nie ma nawet tej pewności, że „*le déluge*" nie spotka jeszcze samego Papę.
Stosunki w sferze ziemiańskiej są ciężkie. Między ziemiaństwem polskim a państwem litewskim jest właściwie stan wojny. Jak ziemianie coraz bardziej nienawidzą Litwę, w której czują organizującą się siłę wrogą, siłę parweniuszostwa chłopskiego, dochodzącego do władzy i sięgającego po spadek klasy dotychczas uprzywilejowanej, którą pragnie zgnębić, tak instytucje rządowe, zwłaszcza lokalne, szykanują dwory na każdym kroku, tchnąc do nich takąż nienawiścią i najzajadlszym duchem prześladowania. Zresztą obie strony odpłacają sobie pięknym za nadobne. Atmosfera ta jest rzeczywiście bardzo ciężka. To, co się tu dokonywa, jest niewątpliwie procesem wielkiego przewrotu społecznego, skomplikowanego czynnikami politycznymi i narodowymi. Lud litewski, jego masa – jest podminowany tymiż tendencjami do zgniecenia dworów i zrealizowania Litwy chłopskiej i litewskiej narodowo; ale masa ludowa więcej się przygląda i czeka chciwie na wynik zmagania się, niż działa; natomiast w jej imieniu i pod jej znakiem działają czynnie instytucje władzy lokalnej. Zarzucają ziemianom polskim, że czekają interwencji militarnej polskiej, że ślą Polakom pieniądze, że używają wpływów i dochodów na akcję, skierowaną z zewnątrz na pognębienie Litwy. Jest w tym dużo przesady, bo przede wszystkim te dochody i

bogactwa dworów są w obecnych czasach tylko mityczną legendą, a zresztą znaczna część ziemian polskich, pozostałych w kraju, jest tak sterroryzowana, że do knucia konkretnych spisków jest niezdolna i nie zajmuje się nimi. Ale i o ile chodzi o tęsknoty i sentymenty ziemian tutejszych, to nie ulega wątpliwości, że podejrzenia litewskie są trafne: istotnie w głębi serca wzdychają oni do tej interwencji polskiej, w niej, w przewadze polskiej, pokładają nadzieje na ratunek w wielkim starciu społecznym i wciąż tęsknym okiem w kierunku Polski spoglądają. Ogromna też ilość ludzi z tej sfery jest nieobecna w kraju, służąc w wojsku polskim lub intrygując politycznie przeciwko Litwie ludowej. Ponieważ gruntem właściwym jest walka społeczna, więc trudno się nawet dziwić, że masa ziemiańska polska szuka ratunku tam skąd się go jedynie spodziewać może. Co innego – że taka interwencja Polski w przedmiocie walki wybitnie społecznej w istocie byłaby zgubną i katastrofalną dla polskości i dla polityki polskiej na wschodzie. Ale na razie może by uratowała pozycję ziemian. W rewolucji względy doraźne bardziej przemawiają do ludzi od względów skutkujących na długą metę.

30 kwietnia, rok 1920, piątek
Przyjechał rządca Jakszuk z Bohdaniszek. Nie podobał mi się. Jest chytry, bardzo giętki, robi wrażenie przebiegłego, któremu zaufać nie można. Stara się w rozmowie wyczuć, z kim ma do czynienia, utrafić w jego ton, ale zarazem rachować pozory niezależności, bo wydaje się nie tylko przebiegłym, ale także ambitnym i żądnym władzy. Choć mi się on nie podoba, uznaję jednak, że w warunkach obecnych w Bohdaniszkach, w chaosie i w nieładzie, pozostawionym przez Papę, jest on użyteczny: choć sam skorzysta i może się nachwyta, jednak jest obrotny, a więc i dla dworu w tych warunkach użyteczny, bo przecież znajdzie we wszystkim jakieś wyjście i coś zaradzi. W rozmowie z Elizką i Julkiem, znając ich niechęć do władz litewskich, umie sypać insynuacjami, w porę potakiwać, pozorować zgorszenie, cytować odpowiednie fakty itd. w duchu antylitewskim. Papa ma przekonanie, że w osobie Jakszuka ma gorącego patriotę polskiego, ja wszakże mam przekonanie, że jest to człowiek, któremu „*ubi bene, ibi patria*" i że jeżeli on jest patriotą, to tylko własnego interesu. W patriotyzm Jakszuków trudno uwierzyć. Nie jest natomiast dobrze to, że nie umie po litewsku, że w stosunkach z władzami litewskimi posługuje się wyłącznie językiem rosyjskim, że jest elementem w kraju zupełnie obcym. Mam wrażenie, że dwory szkodzą sobie same doborem takich ludzi. Pozornie mogłoby się zdawać, że materialnie ze stanowiska dworu jest to lepsze, bo taki rządca nie ma tu żadnych związków lokalnych, które by go solidaryzowały z jakimikolwiek interesami lub prądami, niechętnymi dworowi. W istocie jednak nie strzeże to od rozmaitych nadużyć, jeżeli się natrafi na człowieka niesumiennego, a natomiast ma tę stronę ujemną, zwłaszcza w tych czasach, że bardziej jeszcze odosabnia dwór i odcina go od środowiska krajowego, które mu już jest niechętne. Odosobnienie dworów, osamotnienie ich w procesach rewolucji krajowej nie może sprzyjać wzmocnieniu ich stanowiska.
Jakszuk przyjechał w sprawie podatków na samorząd powiatowy, ściąganych przez wójta gminy krewieńskiej z Bohdaniszek z polecenia zarządu powiatowego jako organu wykonawczego sejmiku rakiskiego. Sejmik w r. 1919 uchwalił opodatkować sprzedaże lasów i ziem w wysokości 10 % ceny sprzedażnej. W marcu rb. tymczasowa komisja leśna na gminę krewieńską wyrąbała w lasach bohdaniskich na potrzeby budowlane i opałowe miejscowe pewną ilość drzewa (przeszło 1100 sztuk), płacąc po niskich cenach urzędowych. Wyrąb ten był dla lasu bohdaniskiego, już kilkakrotnie z różnych tytułów rąbanego, bardzo dotkliwy, a niebezpieczeństwo jest tym większe, że w obrębie gminy krewieńskiej, po spustoszeniu lasów krewieńskich Lisandra, jedynym lasem jest

bohdaniski, więc zachodzi obawa, a pono i pewnik, że na przyszłą zimę znów będą brali las na potrzeby gminne z tychże Bohdaniszek, ogołacając resztę lasu. Z wyrębu masowego wzięto tysiąc kilkaset pni, zapłacono 11 tysięcy kilkaset rubli carskich, względnie marek. Otóż teraz urząd powiatowy w myśl zeszłorocznej uchwały sejmiku ściąga 10% od powyższej sumy. Rzecz ta ciągnie się od dawna, ale Hektor, który ma zbyt dużo na głowie, nie zajął się, jak należy, tą sprawą i obecnie wójt zajął krowę i parę świń bohdaniskich na uiszczenie tej sumy, o ile do jutra wpłacona nie zostanie. Prawdopodobnie opłata ta jest ściągana niewłaściwie, bo podatek od aktów sprzedaży, zastosowany do ceny sprzedażnej, nie może być rozciągany na przymusowy wyrąb drzewa na potrzeby społeczne, mający wszelkie cechy rekwizycji gminnej i nie może być zastosowany do odszkodowania rekwizycyjnego, nie identyfikującego się bynajmniej z ceną sprzedażną. Pojechałem z Jakszukiem do Bohdaniszek dla wyjaśnienia tej kwestii. Byłem u mego przyjaciela Józefa Petrulisa, który jest prezesem rakiskiego sejmiku powiatowego i który też podzielał mój pogląd. Ale w urzędzie powiatowym obstawano za zasadnością żądania. Trzeba więc było, aby Jakszuk jutro zapłacił pieniędzmi, które tymczasowo dała na ten cel Elizka, ja wszakże będę dochodził uznania nieprawności tego żądania i zwrotu pieniędzy.
Władze litewskie są młode, instytucje obsadzone przeważnie ludźmi niewyrobionymi, szczególnie na prowincji, stosunki władzy z dworami bardzo zaognione, urzędnicy i funkcjonariusze publiczni są nieraz raczej agentami pewnych tendencji społecznych, niż wykonawcami prawa, toteż sytuacja polityczno-gospodarcza dworów nie jest godna zazdrości.
Jak na Białej Rusi, zajętej przez Polaków, dwór jest w stosunkach administracyjnych uprzywilejowany, zarząd publiczny stworzony na rzecz ziemian, a chłop upośledzony, tak tutaj jest właśnie odwrotnie.

1 maja, rok 1920, sobota
Nudzę się trochę w Kowaliszkach i czas spędzam zupełnie bezczynnie, co mię bynajmniej nie zachwyca, a nawet ciąży mi, zwłaszcza gdy dokoła kipi praca i ruch właściwy Kowaliszkom, a rozmowy, które by mogły rozerwać, obracają się ciągle w zakresie jednego zgryźliwego tematu – zakusów litewskich, krytyki Litwy itd. Rozumiem żale i niezadowolenie ziemian, pojmuję ich troski, obawy i rekryminacje, zaprzeczyć im nie mogę, ale skądinąd nie mogę też solidaryzować się z nimi po prostu. Gdy się sobie przyglądam, przekonywam się wraz bardziej, że jestem w Litwie człowiekiem-fenomenem, typem psychicznym przejściowym, skazanym na zagładę: Litwa dziś rozwija się pod znakiem przeciwstawienia się dwóch światów społecznych i narodowo-kulturalnych, starego świata szlacheckiego i młodego świata chłopskiego, a zarazem świata polskiego, zachodzącego tutaj i wschodzącego świata młodej kiełkującej gorączkowo kultury litewskiej. Tymczasem ja należę jeszcze duszą i całą psychiką moją do tego świata trzeciego z okresu syntezy Mickiewiczowskiej, który poprzedził obecną epokę rozdwojenia i która może wróci jeszcze, ale w innej formie i nie dziś. Dziś w dobie wielkiego przewrotu społecznego, który jest właściwie rewolucją, młoda Litwa ludowa walczy ze starą Litwą szlachecko-ziemiańską i młoda Litwa narodowa ze starą Litwą polską. W tym momencie dzisiejszym jedni są Litwinami i tylko, drudzy – Polakami i tylko, jedni stają bezwzględnie po zdobywczej stronie społeczno-ludowej, drudzy nie mniej bezwzględnie – po stronie obrony swego stanu posiadania i starych form prawnych ustroju społecznego. Hasłem jednych i drugich – kto nie z nami, ten przeciw nam. Inaczej w takich epokach być nie może. Ja zaś związkami rodzinnymi, krwią, wielu przeżytkami psychologii nie zdołałem się oderwać radykalnie od świata ziemiańsko-szlacheckiego, natomiast ideałami moimi,

pracą moją dawną, ukochaniem – ciążyłem i ciążę zawsze do sprawy ludowej, którą młoda Litwa realizuje. Widzę, że realizacja ta czyni poszczególne bolesne krzywdy obozowi przeciwnemu, który w istocie ulega prześladowaniu, jest szykanowany, gryziony i cierpi wiele, a że składa się z ludzi kulturalnie bardziej rozwiniętych i skomplikowanych, którzy zresztą nie dorabiają się w tej walce, lecz tracą i bronią tego, co posiadali, więc są na krzywdę swą czulsi, subtelniej wrażliwi. Czuję ich ból przeto i czuję krzywdę, ale nie mogę współczuć ich obronie, bo prowadzi ona do celu społecznie ujemnego i zresztą w moim przekonaniu daremnego, to znaczy straconego. Przewrót przekonać się musi, bo dojrzał, a chwila walki rozstrzygającej nie może przejść bezboleśnie. Litość jest tu na nic, niestety. Jestem obserwatorem walki i przewrotu, których pragnąłem, bo, moim zdaniem, skutek ostateczny jest konieczny i dodatni. Wyniki walki tej witam na rzecz sprawy ludowej, ale objawy walki napełniają mię nieraz bólem, bo są bólu pełne. Gdybyż to droga przewrotu skrócić się dała! Niestety – jest ona bardzo skomplikowana i długa. Z drugiej strony moment narodowo-kulturalny tej walki. Tu na miejscu jest on zaabsorbowany przez moment społeczny, ale niemniej jest on bardzo istotny w całokształcie procesu narodzin Litwy. Otóż w tym względzie jestem epigonem Litwy Mickiewiczowskiej, tej, która ojczyzną swą nazywała Litwę, choćby sama była kultury polskiej. Ostatnim jestem tej Litwy Mohikaninem. Dziś – kto Polak, ten wróg Litwy i za ojczyznę ma Polskę tylko, a jeżeli mieszka w Litwie, to albo pragnie, wierzy i dąży do zapanowania nad Litwą Polski, by z tytułu Polaka być w niej gospodarzem, albo, o ile w to nie wierzy lub z tego panowania Polski na Litwie rezygnuje, zasklepia się w odosobnieniu jakiejś kolonii obco narodowej w kraju litewskim i chce jeno praw i rozwoju dla tej kolonii, na sprawy zaś publiczne Litwy patrzy nie jak na sprawy swoje, lecz jak na sprawy obcego narodu panującego w kraju obcym. Dla mnie zaś, Polaka litewskiego z Mohikanów Mickiewiczowskich albo, co na to samo wychodzi, Litwina Mickiewiczowskiego, sprawy Litwy nie są i nie mogą być obcymi: są one dla mnie sprawą moją, którą kocham i która mię obchodzi, bo jest sprawą Ojczyzny, bo to Litwa jest moją Ojczyzną nie z prawno-państwowego, tylko tytułu przynależności obywatelskiej, ale z najgłębszej miłości i związku elementów ducha.

2 maja, rok 1920, niedziela
W nocy wrócił Hektor. Tak się też szczęśliwie złożyło, że Hektor, wracając, w drodze spotkał się z pewnym kupcem leśnym, niejakim Rabinowiczem z Kowna, poszukującym lasów do kupna i jadącym w tym celu w te strony. Kupiec słyszał o Hektorze jako mającym w różnych zarządzanych przezeń majątkach (Radkuny, Bohdaniszki) las na sprzedaż i czyniącym starania w tym kierunku. Przyrzekł o godz. 9 rano przyjechać do Kowaliszek. Jakoż rano kupiec Rabinowicz już się stawił. Wraz z nim przybył z Rakiszek garbaty Pejsach Ruch, syn Michała z Kurkleć, który sam też uprawia handel leśny i inny (zbożowy i, jak ojciec, bywał w sprawach handlowych prawą ręką Papy, nieraz i kupcem i doradcą i faktorem w Bohdaniszkach). Zaraz przystąpiliśmy z Hektorem do układów z Rabinowiczem z udziałem też z Pejsacha Rucha. Pejsach zna las w Bohdaniszkach na wylot, kupiec Rabinowicz miał wielką do kupna ochotę, a Hektor, prowadząc od kilku lat liczne i rozmaite interesy majątkowe, nabył wielką wprawę do wszelkich transakcji, ma przy tym dużą znajomość warunków, cen, koniunktur handlowych, walutowych itp., co znakomicie sprzyjało powodzeniu układów. Hektor cieszył się z mojej obecności, bo w mojej osobie zyskuje on sankcję bezpośredniej rodziny, to znaczy spadkobierców Papy, bez której krępował się on załatwiać kapitalne transakcje w Bohdaniszkach. Hektor wszczął już poprzednio starania o pozwolenie na sprzedaż lasu z Bohdaniszek i są wszelkie szanse, że w

krótkim czasie pozwolenie będzie z Kowna uzyskane, bez czego niepodobna sprzedaży zrealizować. Ja osobiście w handlowej stronie układów, jako nowicjusz w stosunkach lokalnych, czynnego udziału nie brałem, jeno się orientowałem, za to później, gdy zasady układu zostały umówione, sformułowałem całą umowę przedwstępną, która ujęła wszystkie artykuły przyszłego kontraktu i poparta została zadatkiem Rabinowicza w ilości 5000 ost-marek. Jeżeli tylko pozwolenie zostanie uzyskane w Kownie, z czym się należy spieszyć, bo Sejm, który ma być rychło zwołany, może wstrzymać udzielanie pozwoleń na sprzedaż prywatną lasów, inicjując tą drogą wstęp do popularnej reformy upaństwowienia lasów, to sprzedaż na zasadzie układu dzisiejszego już jest ustalona. W sprzedaży tej ze strony Bohdaniszek występuje już formalnie nie Hektor, lecz ja. Sprzedaż dotyczy jodły w Staczeragach na przestrzeni takiej ilości dziesięcin, na jaką uzyskane będzie pozwolenie. Cena umówiona wynosi na towar 10 cali w górnym obrębie przy długości co najmniej 2 ½ sążni – po ost-marek 100 za festmetr i na drzewo opałowe (wszelkie inne, jodły oraz wierzchowiny do 3 cali) – po ostmarek 300 za sążeń (oczywiście w lesie za wszelką robociznę kupca). Jeżeli pozwolenie opiewać będzie na 15 dziesięcin, to sprzedaż ta może dać od 150-170 tysięcy ost-marek, względnie przy miejscowej ilości dziesięcin – odpowiednio mniej. Hektor jednak wątpi, czy pozwolenie ogarnie więcej, niż 8-10 dziesięcin; oczywiście i kupiec, i my pragnęliśmy do 15 dziesięcin (ogólna ilość lasu w Bohdaniszkach na Staczeragach i Montowszczyznie, to znaczy bez Gaju i Kumsz, które są zdewastowane, wynosi około 180 dziesięcin). Teraz zaczniemy energicznie forsować sprawę pozwolenia, by móc naszą sprzedaż dzisiejszą dokonać.
Wczoraj pisałem o krzywdzie, jaka się rzekomo dzieje ziemiaństwu w obecnym przewrocie społecznym. Ale doprawdy, gdy się posłucha rozmów tych ziemian między sobą, gdy się czują wśród swoich, jak są pełni buty i arogancji, jak pogardzają tą „chłopską republiką”, jak z błotem mieszają wszystko, co litewskie, jak ani krzty nie mają szacunku dla tych trudnych poczynań młodej Litwy, jak ufają tej upragnionej interwencji polskiej, która w ich mniemaniu ma być dla nich odwetem społecznym, jakby Polska miała być sługą reakcji szlacheckiej na Litwie i miała za cel przewracanie przewagi panów nad ludem, gdy się słyszy, jak ci panowie i panie, pretendujący do kultury, lekceważą wszystkich, co pochodzą z chłopa, i drwią sobie z tych biednych inteligentów litewskich, co wyszli spod strzechy chłopskiej, wysiłkiem osobistym podnieśli się nieco wyżej w szczeblach oświaty i, pełni patriotyzmu, zapaleni ideą tworzenia kultury własnej z ludu, uczuciem gorącym, choć błądząc nieraz brakiem umiejętności i może nawet czasem przesadą namiętności, usiłują tę swoją Litwę budować ludową, jak ci panowie cieszą się złośliwie ze wszelkich usterek w poczynaniach litewskich i jak zjadliwie umieją podpatrzyć każdy błąd, każdą wadę, każdy grzech i upadek, podczas gdy sami nie wahają się nigdy, gdy tylko można i gdy to ich interesowi sprzyja, przyłożyć rękę do korupcji, czego między sobą bynajmniej nie tają, jak doprawdy ludzie ci niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli, zachowując niesłychaną lekkomyślność starych metod myślenia i sądzenia zjawisk społecznych w chwili, gdy się im grunt pod nogami usuwa, a ogień rewolucji dach nad nimi zapala – to zaiste uczucie niesmaku i gniewu ogarnia człowieka bezstronnego, a na miejscu litości dla krzywd, które ich dotykają, wyrastać zaczynają złe uczucia zadowolenia. Ludzie ci zaiste kochają tylko swój dobrobyt syty i swoją przewagę społeczną, źródło ich przywileju samowoli, który egoistycznie utrzymać pragną, i wtedy z klasy społecznej, strącanej z wyżyn uprzywilejowanego stanowiska i doznającej bólu strącenia i upadku, przedstawiają się oczom, które się już litością dla nich łzawić zaczynały, w postaci pasożytów, broniących swego „stanu posiadania”, to znaczy swojego wyzysku społecznego, swojej roli zawalidrogi dla kultury i postępu mas. Jeno

że nie zdają sobie sami sprawy z pasożytnictwa swego, wierząc święcie, że są kultury rycerzami i że ich dawne stanowisko społeczne przywileju jest ich prawem i przykazaniem Boskim. Takie otwarte, szczere wśród swoich, poufne rozmowy tych panów i pań wnet tylko litość budzić mogą. Takie uczucie miałem wczoraj podczas rozmowy wieczornej w Kowaliszkach, w której udział brali Elizka, Julek, Zitka, i p. Iza Jarosławowa Komorowska ze Skrobiszek ze swym młodym synem Leonem, która przyjechała pod wieczór. I jednak im się więcej słucha tych narzekań i złorzeczeń, tym się bardziej widzi, że jednak w istocie przedmiotowo żadnych krzywd osobliwych względem ziemian nie ma i że cała krzywda sprowadza się wyłącznie do przedmiotowego poczucia degradacji społecznej, a co do tych okrzyczanych usterek Litwy, to przy analizie nie tylko że one topnieją, ale się nawet okazuje, że stan rzeczy jest lepszy, niż u sąsiadów i niż w szczególności w Polsce, że na ogół rozwój Litwy jest gospodarczo zdrowy, czego właśnie o Polsce w tym stopniu stwierdzić się nie da.

3 maja, rok 1920, poniedziałek
Byliśmy z Hektorem w Bohdaniszkach. Mieliśmy o godz. 10 spotkać się w lesie staczeraskim z kupcami Rabinowiczem i Pejsachem Ruchem dla obejrzenia wspólnie lasu i wyboru miejsca do cięcia. Ze jednak Hektor ma mnóstwo różnych zajęć i ciągłych interesantów w Kowaliszkach, więc wyjechaliśmy z wielkim opóźnieniem i dopiero koło godz. 2-3 po południu dojechaliśmy do Staczerag. Po drodze jednak w Kurkleciach spotkaliśmy kupców, którzy już sami las obejrzeli i wydawali się z niego zadowoleni. Wobec tego pojechaliśmy z Hektorem wprost do Bohdaniszek, nie zaglądając do lasu. W Bohdaniszkach zabawiliśmy 3-4 godziny. Towarzyszył nam Jakszuk. Obejrzeliśmy z Hektorem cały dom wewnątrz, biurko Papy, którego klucze wręczył mi Hektor, obeszliśmy też w towarzystwie Jakszuka ogród i mniej więcej cały dwór. Kilka świnek różnego wieku, dobrze utrzymanych, czworo cieląt tegorocznych, również dobrze utrzymanych, wozownia, stajnia stajenna, w której oprócz cieląt stoi młody dwuletni ogierek (klacz stajenna Berka, ostatni i już zmarniały szczątek dawnej stajni bohdaniskiej, pracuje w polu), wozy i narzędzia rolnicze, stolarnia, w której się właśnie fabrykują koła – oto mniej więcej wszystko, cośmy w Bohdaniszkach obejrzeli. Z ptactwa jest tylko kilkanaście kur z kogutami i jedna kaczka; kilka kur i kaczka – siedzą na jajkach. Krowy, których jest 3 czy 4, są na paszy, konie – roboczych jest 7 – na robocie w polu, więc żeśmy ich nie widzieli. Całe pole w Bohdaniszkach będzie obsiane, Kumsze i niektóre części pola, leżące dawno odłogiem, zostały wydzierżawione na dziesięciny gospodarzom (zapłata w zbożu na pudy[21]). Zapasów zboża w Bohdaniszkach nie ma, są zaległości ordynarii parobkom z roku przeszłego, są pewne długi w zbożu, owies na siew trzeba pożyczyć lub kupić w Kowaliszkach. Gotówki z gospodarstwie brak, potrzeby są wielkie, koni – za mało, las – zdewastowany i zagrożony spodziewanym upaństwowieniem, są potrzeby pilne i wymagające wydatków, takie jak żelazo do kół, piłowanie desek, z parobkami duże trudności wobec zakwestionowania przez nich warunków umowy i wystawienia nowych uciążliwych żądań, a nieorientowania się zresztą obydwóch stron – dworu i parobków – w różnych przepisach i zarządzeniach państwowej opieki społecznej, regulującej te stosunki i, zdaje się, dość chaotycznej jeszcze. Różne są także kwestie sporne i niewyjaśnione, wymagające zbadania i ustalenia, w przedmiocie takich rzeczy, jak rekwizycje, powinności, stosunki, wynikające z przymusowego wyrębu lasu na potrzeby gminne, roszczenia niektórych wiosek itp. W ogóle roboty do zrobienia jest dużo w Bohdaniszkach, sytuacja jest trudna, wymagająca inicjatywy, energii oraz taktu,

[21] Pud – jednostka wagi.

warunki są bardzo skomplikowane ze względów tak gospodarczych, jak politycznych i społecznych. Dopóki się z tym wszystkim jeszcze nie otrzaskałem i dopóki wciąż z różnych stron coraz to o nowych słyszę komplikacjach i zagadnieniach, doświadczam wrażenia, podobnego do tego, jakże we wrześniu r. 1917 doświadczyłem w Kolnie, gdym bez żadnej praktyki i rutyny poprzedniej obejmował sąd pokoju: poszczególne kwestie, z których każda w sobie – łamigłówka, nie powiązana logiką systemu, zdawały się tworzyć jakiś kosmiczny chaos epizodów, zalewający mię ze wszech stron jak statek podczas burzy na pełnym morzu pod sterem niedoświadczonego żeglarza. Jak dla mieszkańca miasta, a choćby każdego człowieka obcego, wejście do nieznanego lasu ogarnia go na razie chaosem drzew, których im dalej w głąb – tym więcej i w którym myśl na próżno się czepia poszczególnych drzew, nie umiejąc znaleźć orientacyjnych punktów oparcia, ścigana paniką zbłądzenia – tak takiegoż psychicznego wrażenia chaosu doświadczam jeszcze na razie i ja w Bohdaniszkach. Ale z doświadczenia wiem, że trzeba tylko zachować krew zimną, rozwagę i nie poddać pierwotnej panice chaosu, instynktowi tegoż; stopniowo bowiem z chaosu wyłaniać się zaczną w umyśle pewne wytyczne logiki i zasady, a wtedy i orientacja, i działania okażą się wcale nie tak trudne. Chaos jest tylko pozorny; wszystkie kwestie epizodyczne należą do potrzeb jednego organizmu gospodarskiego Bohdaniszek i dają się przeto pewną metodą ująć. Trzeba tylko nie poddać się wrażeniu rozbieżności i nie rozproszyć się, jeno zapanować nad całością, spokojnie docierając do źródła i genezy każdego zagadnienia. Mam wrażenie, że podołałbym zadaniu w Bohdaniszkach. Czuję się po temu na siłach. Zdaje mi się, że metodą Jakszuka, który jest wysoce niesympatyczny, jest umyślne, korzystając z mego niedoświadczenia, spotęgować we mnie wrażenie ciężaru i poczucie bezradności, aby łatwiej utrzymać przewagę nade mną, stać się potrzebniejszym, a może nawet w moim pojęciu – opatrznościowym i móc się nadal rządzić po swojemu. Jeżeli tylko pozostanę czas jakiś w Bohdaniszkach i zabiorę się do roboty przynajmniej do czasu powrotu Papy, Jakszuk nie dopnie swego i nie sterroryzuje mię. Najważniejszą jednak teraz byłoby rzeczą otrzymać pozwolenie na sprzedaż lasu w Staczeragach dla zrealizowania wczorajszej umowy sprzedaży. To by postawiło na nogi Elizkę, a mnie osobiście to by dało w Bohdaniszkach, i wobec Papy także, większe oparcie.
Pod wieczór wróciliśmy z Hektorem do Kowaliszek, bo na noc wyjeżdżam do Kupiszek do nadleśniczego w sprawie pozwolenia na las.

4 maja, rok 1920, wtorek
Wczoraj po kolacji wyjechałem z Kowaliszek na kolej i około godz. 2 w nocy przyjechałem do Kupiszek. Ze stacji udałem się pieszo do miasteczka, przespałem się wygodnie w zajeździe żydowskim do rana i następnie chodziłem kilkakrotnie do zarządu leśnego („Miškų urėdija”), ale dopiero koło godz. 3 po południu zastałem pana nadleśniczego („Miškų urėdas”), który wrócił z jakiegoś objazdu. Interes polega na otrzymaniu od niego przychylnej opinii w sprawie pozwolenia na wyrąb lasu w Staczeragach. Departament Leśny w Ministerium Rolnictwa i Dóbr Państwowych w Kownie bez przychylnej opinii miejscowego „Miškų urėdo” pozwoleń nie udziela. Hektor Komorowski woził już p. Grynę, „miškų urėdą” z Kupiszek, do lasów bohdaniskich, i p. Gryna, człowiek bardzo zresztą porządny i uczciwy, zgadzał się dać opinię na rzecz pozwolenia na wycięcie 5-rocznego porębu (co zapewne wyniesie około 8 dziesięcin). Podanie, które dziś od imienia Hektora przywiozłem, okazało się źle napisane, więc ułożyłem po litewsku i wniosłem nowe od mego własnego imienia. P. Gryna obiecał mi wydać opinię przychylną, ale ma ją przygotować dopiero na niedzielę, wobec czego będę musiał znów tu po nią w niedzielę po drodze do Kowna wstąpić.

W Kupiszkach spędziłem dzień znośnie. Czytałem gazety litewskie, przeszedłem się po miasteczku, które jest względnie niebrzydkie, obejrzałem ładny kościół, ładne dwa krzyże litewskie na cmentarzu kościelnym, cmentarzyk wojenny, wstąpiłem na piwo do „traktierni" Joffe, gdzie spędziłem czas mile na rozmowie z bardzo przystojnymi szynkareczkami – Żydówkami, odbyłem spacer wzdłuż wybrzeża Ławeny.
Jeszcze słówko z wczorajszej wizyty w Bohdaniszkach. Widok Bohdaniszek za każdym razem bardzo mię wzrusza. Przed wojną, za życia naszej Mamusieczki najdroższej, były one dla nas wszystkich żywym gniazdem rodzinnym; gdyśmy do Bohdaniszek przyjeżdżali, czuliśmy się tu u siebie, w naszym środowisku najistotniejszym. Teraz, po śmierci Mamy, gdy przez ostatnich lat kilka samotny Papa odosobnił się od rodziny i tak dziwnie zasklepił w samolubstwie i dziwactwie, czyniąc z siebie egoistycznego fetysza, którego życie streszcza się w sobie i dla siebie, i gdy Bohdaniszki się wykoleiły i zdezorganizowały, przestały być one dla nas gniazdem żywym, natomiast stały się pamiątką tęskną i ukochaną, świątynią, która, jak żadna inna, działa na nas przedziwnie rzewnym i swojskim uczuciem, silnym, jak sam pierwiastek życia. I zdaje się, że w nieobecności Papy uczucie to się w Bohdaniszkach jeno pogłębia; Papa dzisiejszy, zajęty sobą, zdziwaczały, kapryśny, gdy jest, to zbyt wypełnia sobą Bohdaniszki i tłumi ich przecudny wzrok świątyni, w której zaklętymi być się zdają pierwiastki nasze, w przeszłości naszej streszczone; jest w Papie coś obecnie obcego, coś, co zdaje się być degeneracją jego ducha i co tylko karykaturalnie wiąże się z poezją naszych wspomnień bohdaniskich. Teraz Papy nie ma i nie zakłóca on czaru Bohdaniszek. W Bohdaniszkach najgłębiej wyczuwam życie jak drzewo w korzeniach swoich, stąd wyrastam, stąd całą ciągłość mojej istoty wyczuwam. Życie moje, rozproszone w epizodach, rozrzucone po etapach od Petersburga po Paryż, tu w Bohdaniszkach odnajduje źródło swoje i poczucie nieprzerwanej ciągłości. Piękne też są Bohdaniszki niesłychanie w położeniu swoim, w widokach i perspektywach prześlicznych, które chyba w duszę naszą wrosły, urobiły ją i same się wcieliły w jej elementarne pierwiastki.
Na tle Bohdaniszek razi mię niezmierne ten Jakszuk, rozpanoszony w najświętszym sanktuarium naszego ducha, obcy Bohdaniszkom, obcy temu krajowi i ludowi, przybłęda jakiś, który tu z ludem gada po rosyjsku, rozsiada się w naszych Bohdaniszkach i używa tonu takiego, jak żeby on tu był panem wszechwładnym: ja to i to zrobię, ja na przyszły rok tak i tak postanowię, do tego nie dopuszczę itd. Drażni mię ta zarozumiałość i ta buta rozpanoszenia tego przybłędy, w którym czuję zresztą nie tylko parweniusza, ale także spekulanta i złodzieja. W Bohdaniszkach rad bym był zobaczyć naszego starego Kazimierza, którego od lat kilka Papa usunął i który mieszka teraz w Janówce, pamięć mi je zaludnia drogimi sercu wizjami Mamy, Papy dawnego, nas wszystkich, to znaczy rodzeństwa w przeszłości, z małymi Żarżeja i Emilki Kligysowej (umarła w jesieni), dziesiątków drogich osób, scen i epizodów, wreszcie zwierząt domowych, psów, dawno nieżywych… Zresztą powitałbym każdego parobka i chłopa z miejscowego ludu, byle nie tego intruza obcego, który niczym, prócz swej kieszeni, nie jest ani z Bohdaniszkami, ani z krajem i otoczeniem związany. Geszefciarz i przybłęda, który śmie w Bohdaniszkach, w świątyni mojej, rozsiadać się i rządzić jak w kramiku swoim. Każdy chłop z naszego ludu miałby tu w oczach moich więcej praw od niego! A szczególnie wstrętną jest dla mnie arogancka pewność siebie tego natręta i jego tu gospodarzenie w Bohdaniszkach. Że też Papa takimi się otoczył ludźmi i takich faworyzuje! Cały wiek przeżył Papa w Bohdaniszkach i nie wyczuwa nic związku serdecznego z tym, co stanowi tło Bohdaniszek – z krajem, z ludem, choćby z językiem! Dla mnie jest to niepojęte. Widocznie mamy pod tym względem z Papą

zupełnie inną konstrukcję duszy. Zdaje się, że język litewski jest dla Papy na równi obcy z rosyjskim, który był tu najazdem i symbolem gwałtu i prześladowań.
Dla Papy – niech taki Jakszuk się tylko nazwie Polakiem i udaje „patriotę" – nic więcej nie potrzeba, szczególnie, gdy ma żoną młodą i ładną. Prawda, że Jakszuk jest sprytny i dzielny i że w braku gospodarza w Bohdaniszkach, w ich obecnym stanie dezorganizacji, był pożyteczny, ale też jest on jeszcze dzielniejszy – dla samego siebie. Jakszuka jednak będę musiał tolerować, bo jest on z ramienia Papy, podczas gdy ja, choć syn Papy i dziedzic Bohdaniszek, wchodzę tu tylko jako „*negotiorum gestor*" (kto wie – może nawet wbrew woli Papy). Nie będę w Bohdaniszkach u siebie na własnym. Ale będę musiał Jakszuka podporządkować sobie.

5 maja, rok 1920, środa
W nocy wróciłem z Kupiszek do Kowaliszek. Ze stacji kolejowej w Rakiszkach przyszedłem do Kowaliszek pieszo dalszą drogą na miasteczko. Te kilka dni zabawię jeszcze w Kowaliszkach, a dopiero po powrocie z Kowna, gdzie będziemy się z Hektorem starali o pozwolenie na sprzedaż lasu i po otrzymaniu tegoż i sporządzeniu kontraktu z kupcami Rabinowiczem oraz wysłaniu pieniędzy dla Papy – wrócę i pojadę już wprost do Bohdaniszek i zasiądę tam do pracy.
Hektora w Kowaliszkach znowu nie ma. Wyjechał – tym razem do Radkun. Roboty nie mam tu żadnej. Próżnuję. Był dziś w Kowaliszkach p. Neef z żoną, z domu Awą Korsakówną. Jest to małżeństwo wojenne. On był oficerem niemieckim, jest Niemcem, pochodzi z Moguncji; ze okupacji niemieckiej, jako weterynarz wojskowy, był przez czas dłuższy w Bohdaniszkach, gdzie mieścił się wojskowy szpital koński. Tu poznał się z panną Awą Korsakówną, którą wojna została w Kowaliszkach na posadzie i która ze swą matką spędziła w Kowaliszkach cały czas okupacji. Ożenił się z nią jeszcze za okupacji i po wyjściu Niemców pozostał. Za czasów bolszewickich służył u bolszewików jako weterynarz wojskowy, mieszkając w Abelach, potem za Litwinów przyjął służbę litewską, był na razie weterynarzem wojskowym, obecnie jest weterynarzem powiatowym cywilnym. Przyjeżdżała też do Kowaliszek po obiedzie pani hr. Przeździecka z Rakiszek. Naturalnie, że przy p. Przeździeckiej rozmowa toczyła się na ulubiony temat gorszenia się porządkami litewskimi i złośliwej krytyki wszystkiego, co się robi w Litwie. Doprawdy uszy mogą zwiędnąć od słuchania ciągłych na ten temat utyskiwań, nacechowanych stronniczością, pełną złej woli. Tam ludziom wszystko zgoła wydaje się tu złym i godnym lekceważenia i pogardy, a natomiast wszystko, co w Polsce – rozumnym i pięknym. Oczywiście, w tak młodym i organizującym się dopiero państwie, jak Litwa, zwłaszcza przy braku wykwalifikowanych ludzi, dużo musi być usterek, toteż materiału do krytyki zabraknąć nie może. Ale krytyka może być życzliwa i może być złośliwa. Ta ostatnia umie dostrzegać i przesadzać cechy ujemne, ślepą jest natomiast na dodatnie. Zła wola, dyktowana niechęcią, nie daje nigdy kryteriów sprawiedliwych. Litwa, pomimo swych usterek, rozwija się jednak w warunkach o wiele zdrowszych, niż Polska. Próżno jednak byłoby, słuchając krytyki tych ludzi, wskazywać im, że w Polsce (nie mówiąc o terenach okupacyjnego „Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich") jest bynajmniej nie lepiej, co dałoby się z wielką łatwością zilustrować cytatami faktów z tych samych dziedzin, których dotyczy omawiana krytyka. Próżno, bo nikt by nie uwierzył. Jest faktem powszechnym i doświadczonym, że ludzie pojmują i widzą rzeczy tak, jak chcą je widzieć. Z chwilą, gdy w grę wchodzi uczucie, sąd staje się podmiotowym, a wtedy żadne argumenty faktów nie mają żadnej mocy przekonywania, bo umysł zamyka się na dowody i na analizę przedmiotową. Wszelka namiętność oślepia. A ponieważ ziemianie polscy w Litwie czują się zagrożeni w swym stanowisku społecznym i nienawidzą tego,

co im zagraża i co w nich grozi, a wroga tego uosabiają w Litwie ludowej – więc wszelki ich sąd o Litwie jest spaczony namiętnością, która jest źródłem złej woli w krytyce. Dlatego też ich krytyka jest niesprawiedliwa i żadnej wartości przedmiotowej nie ma; nie wypływa ona z analizy faktów, jeno wypływa z tego, co jest dla zdyskredytowania potrzebne. Widzi to, co chce, ale nie to, co jest. Szczególnie grzeszą tym oczywiście kobiety, których umysł z natury bardziej ulega uczuciu. Jeżeli ich złośliwą krytykę parować cytatami ze stosunków w Polsce, tak przez nich utęsknionej, bo mylnie przez nich branej za ostoję i za restaurację ich aspiracji społecznych – nie tylko będą głusi na to, ale uznają replikę za takiż złej woli argument. I nie uwierzą. Na to niema rady. Co w Polsce jest złego, o tym nie wiedzą i wiedzieć nie chcą; a nawet to, co wiedzą, to potrafią wyargumentować na korzyść, bo tak się im chce. Polskę zresztą są tu skłonni identyfikować z metodami rządów Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, z praktyką administracji w Ziemiach Wileńskiej, Grodzieńskiej itp., choć na tych ziemiach jest jeszcze gorzej, niż w Polsce, im się to jednak uśmiecha dlatego, że tam czują ducha społecznego „*ancien régime'u*", a on stanowi ich właściwą tęsknotę. Cokolwiek mówią o Litwie i o jakiekolwiek tu usterce, nie zaniedbują dodać ze złośliwym przekąsem: „o chłopskiej republice" „o litewskim (czytaj: chamskim, niedołężnym, głupim, ciemnym, złym) państwie". Nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, że w tej Polsce stosunki z pracownikami po dworach są może jeszcze cięższe dla pracodawców niż tutaj, że w sprawie rekwizycji, aprowizacji, ruchu towarów, zarządzeń rzekomej walki z lichwą i spekulacją, reglamentacji gospodarskiej i opieki społecznej, funkcjonowania władz administracji lokalnej, transportu itd. – chaos jest co najmniej równy, a po większej części stokroć większy, niż w Litwie. Nawet w takich zagadnieniach, jak upadek waluty polskiej i płynące stąd skutki gospodarcze, gdy w Litwie, dzięki lepszemu stanowi waluty i perspektywom jej ustalenia, nie ma kryzysu aprowizacji i są żywe bieżące wzrosty produkcji – nawet to ci niechętni krytycy Litwy potrafią wykalkulować na jej niekorzyść, ku pohańbieniu „chłopskiej republiki", a poniesieniu aureoli szlacheckiej, w jej pojęciu, Polski.

6 maja, rok 1920, czwartek
Poszedłem po obiedzie do Rakiszek do Józefa Petrulisa. Spędziłem u niego parę godzin na gawędce. Z takim człowiekiem, jak Petrulis, miło mi jest gwarzyć, bo to człowiek żywy, umysł europejski i zarazem człowiek idei, gorąco do ojczyzny przywiązany, nie parweniusz i nie przybysz na gruncie krajowym. Gdyby już Bohdaniszki do mnie należały i gdybym w nich osiadał jak na własności, byłbym zapewne zaangażował Petrulisa na rządcę. Miałbym w nim człowieka życzliwego i bezwzględnie uczciwego, a jednocześnie byłby dla mnie tym, który by zdołał powiązać potrzeby Bohdaniszek z wymogami obowiązków obywatelskich względem kraju. Jest on teraz właśnie bez posady, bo porzucił stanowisko w administracji dóbr rakiskich u Przeździeckiego. Za czasów okupacji niemieckiej Petrulis zbliżył się do Przeździeckiego i zaczął oddziaływać na niego w kierunku wzbudzenia w nim instynktu obywatelskiego, jak niegdyś za czasów paryskich zdołał go zbudzić we mnie. Przeździecki, jak twierdzi Petrulis, zaczął rzeczywiście skłaniać się do koncepcji obywatelskiej i był czas, że współdziałał z gronem miejscowych Litwinów na gruncie politycznych usiłowań państwowych, w szczególności na gruncie Konferencji z r. 1917-1918, z której wyłoniona została w Wilnie Taryba. Petrulis ufał, że w osobie Przeździeckiego pozyszcze rzecznika Litwy, jej obywatela, który stanowiskiem swoim ją wesprze i w myśl starych tradycji niegdyś arystokracji litewskiej stanie w pierwszych czołowych szeregach jej obywateli. W tych warunkach przyjął posadę u niego. Po bolszewikach, gdy Przeździecki był wywieziony do Rosji w charakterze zakładnika, Petrulis na

wezwanie p. Przeździeckiej znów posadę na Rakiszczyźnie przyjął. Gdy jednak po powrocie Przeździeckiego z Rosji, skąd został on przez Litwinów przy pierwszej wymianie zakładników wyzwolony, Petrulis się przekonał, że Przeździecki jest od powyższej idei bardzo daleki i że w gruncie ma się za obcokrajowca i ciąży tylko do Polski, porzucił on służbę u Przeździeckiego. W latach wojny Petrulis się ożenił z prostą chłopką z Rogiel, kobietę ładną i pełną wdzięku, z którą ma już dwuletniego synka Benedykta.
Przyjemnie spędziłem czas z Petrulisem. Jest to człowiek rozumny i kulturalny, pełny przy tym ogromniej słodyczy. Nie ma w nim nienawiści, nie ma instynktów inkwizytorskich, jakimi tchną nieraz adepci młodej narodowości w stosunku do ludzi jak ja, należących do kultury polskiej i ze stanowiska – do klasy społecznej wyższej. Zresztą zna mię on chyba zanadto dobrze, aby mi ufać.
Swoją drogą – ciężka jest teraz pozycja społeczna dworów. W całym ludzie i w młodej administracji litewskiej kiełkuje ferment niechęci do dworów, uważanych za pasożyty i za czynnik wrogi krajowi. Pożądanie ziemi dworskiej, chciwość i zazdrość klasowa skojarzyły się z instynktem narodowym litewskim, który w najwyższym stopniu jest niechętny wszystkiemu, co polskie, czując, że ze strony Polski największe dziś grozi młodej niepodległości Litwy niebezpieczeństwo. Mając rozpocząć pracę w Bohdaniszkach w warunkach takiej dezorganizacji, jaka tam jest, muszę jednocześnie brać na barki krzyż samotności i wrogiego nastroju otoczenia społecznego. Dwory zdają się być twierdzą, osaczoną przez tłumy ziejące nienawiścią, jakąś wyspą dumną, którą z rykiem atakują i szarpią fale wzburzonej rewolucji, gotując jej bez miłosierdzia zagładę. Nie widać ostoi. Nasuwa się pytanie – czy w tych warunkach warto coś rozpoczynać? Z jednej strony rewolucja, niechęć i nienawiść ludu, z drugiej – Papa, który mi nie podziękuje za moje wysiłki, a może nawet na złość zechce wszystko, cokolwiek bym zdziałać zdołał, obalić. A samotność moja jest osobiście tym cięższa, że nie mam na pociechę nawet instynktu solidarności klasowej z ogółem dworów jako takich, bo sercem i umysłem byłem zawsze po stronie ludu. Ba, próżne rozmyślanie!
W gazetach litewskich ogłoszony jest urzędowo układ partyjny przyszłego Sejmu, którego otwarcie wyznaczone zostało na 15 maja. A więc chrześcijańscy demokraci (właściwie blok chrześcijański) – 59 posłów, to znaczy większość bezwzględna, ludowcy radykalni („Socialistai liaudininkai demokratai") wraz z „Valstiečių sąjunga" – 29 posłów, socjaliści demokraci – 13 posłów, Żydzi – 6, Polacy – 3, Niemcy – 1 i eserzy – 1. Ani „Pažanga", ani „Santara" – nie mają ani jednego posła.
W „Dzienniku Kowieńskim" ogłoszony jest komunikat wojenny polski, z którego widać, że Polacy rozpoczęli energiczną ofensywę na Ukrainie; zajęły Zbrucz, Żytomierz, szereg miejscowości na Podolu; gazety litewskie wzmiankują też o zdobyciu przez Polaków Berdyczowa. Jednocześnie ogłoszone jest pismo Piłsudskiego, stwierdzające uznanie przez Polskę niepodległej sprzymierzonej Ukrainy pod władzą atamana Semena Petlury i zapowiadające, że wojsko polskie, dokonujące wyzwolenia Ukrainy spod najazdu Sowieckiej Rosji, przekaże ją prawowitej władzy i sile zbrojnej narodu ukraińskiego po ukonstytuowaniu się tychże. Wraz z pismem Piłsudskiego ogłoszono odezwę Petlury głoszącą wskrzeszenie Wolnej Ukrainy wraz z uwolnieniem jej terytorium. Ofensywa polska będzie miała więc oczywiście na celu Kijów i stanowi wybitny akt polityczny w myśl ulubionej koncepcji Piłsudskiego. Jest to porażka koncepcji endeckiej w polityce polskiej, przewaga Piłsudskiego nad Grabskim i Dmowskim. Czy na gruncie przedsięwzięcia ukraińskiego polityka Piłsudskiego nie załamie tak się, jak się załamała w przedsięwzięciu łotewsko-bałtyckim – to się pokaże. W każdym razie, Polska Piłsudskiego nie dała się zbić z tropu niepowodzeniem

bałtyckim i odchwytuje się w rycerskim rzucie ukraińskim szachując nim kombinacje Czyczerina i programu endecji.

7 maja, rok 1920, piątek
Hektor wrócił z Radkun. Jutro na noc wyjeżdżamy z nim, on – wprost do Kowna, ja na razie do Kupiszek, skąd, po otrzymaniu od nadleśniczego opinii w przedmiocie lasów bohdaniskich, pośpieszę również do Kowna.
W Kowaliszkach życie mi płynie bardzo jednostajnie. Doprawdy nie umiem próżnować. Pracowite życie w Łomży oduczyło mię całkiem od nicnierobienia, toteż teraz, jak tylko gdzieś posiedzę kilka dni bez zajęcia, już się zaczynam nudzić. Dawniej w Kowaliszkach za życia Zysia niepodobna się było nudzić, bo swym umysłem żywym, choć nieco paradoksalnym i werwą swego temperamentu umiał on zawsze zająć gości. Brak go wielki w Kowaliszkach. W ciągu lat trzydziestu nie pamiętam, czy choćby raz jeden byłem w Kowaliszkach pod nieobecność Zysia. Hektor i Julek pracują teraz bardzo zgodnie. Hektor, prócz bieżących spraw Kowaliszek, ma mnóstwo interesów cudzych na głowie: interesy Radkun, Bohdaniszek, Antonosza, Podbirż – toteż bardzo często musi wyjeżdżać. W Kowaliszkach oprócz gospodarstwa rolnego jest duży młody ogród owocowy, zasadzony w ostatnich latach Zysia, gospodarstwo rybne, zapoczątkowane przez Zysia i zakładane obecnie cegielnia i eksploatacja torfu, które się zapoczątkowuje obecnie. Hektor i Julo podzielili się między sobą poszczególnymi działami.
Napiszę o różnych metodach reagowania litewskich ziemian-Polaków na stosunki społeczne i narodowe w Litwie, godzące w ich stan posiadania i stanowisko. Większość ziemiańska żywi niewątpliwie uczucia wrogie względem państwa litewskiego w jego obecnej formacji i tendencjach i tęskni do Polski, którą pragnie widzieć rzeczniczką przywrócenia dawnej równowagi społecznej, korzystnej dla klas posiadających i dla hierarchii stanowej, a utożsamianej szczerze przez ziemian z zasadami sprawiedliwości społecznej i etyki chrześcijańskiej (przykazań Boskich). Oczywiście, każda klasa społeczna i każdy stan po swojemu pojmuje sprawiedliwość społeczną i zasady chrześcijańskie. Budowę społeczną, faworyzującą klasy posiadające i organizację, utrzymującą u szczytu przeżytki zwyczajowe przywilejów stanowych (o formalnej sankcji ustawowej dla przywilejów stanowych nikt już bodaj nie śmie marzyć), uważają nasi bracia szlachta ze społeczności ziemiańskiej za wyraz sprawiedliwości, a to, co w tę budowę godzi i zmierza do przewrotu społecznego – czy to drogą rewolucji, czy choćby drogą transformacji legalnej – za niesprawiedliwość, gwałt, zło i ponieważ dawny układ ma powagę, tradycji i ozdobiony jest kwieciem kultury – za anarchię i barbarzyństwo, za zdziczenie i chaos. Oczywiście, takie rozumowanie jest w porządku rzeczy: jest ono wieczyste ze wszystkimi wnioskami, które zeń płyną; jest ono ideologiczną postacią obrony, jak ideologiczną postacią ataku klas, ryzykujących na przewrocie, jest rozumowanie wręcz przeciwne powyższemu. Nie wszyscy jednak ziemianie, nawet z tych, którzy w ten sposób rozumują społecznie, imają się jednolitej taktyki krańcowej i bezwzględnej. Są tacy, którzy zbawienia szukają w lituanizacji. Nie mówię o takich, jak Putwińscy, Narutowiczowie i inni, którzy ulegli procesowi lituanizacji od dawna, bez żadnego związku z obecną sytuacją społeczną, nie drogą szukania ratunku, jeno na skutek swoich osobistych przekonań i działalności ludowej, szczerze i odruchowo. Są jednak inni – dotychczas jednostki tylko, a prawdopodobnie wytworzą oni cały prąd tego kierunku – którzy świadomie zmieniają skórę narodową polską na litewską. Jedni prawdopodobnie dla ambicji, jak, przypuszczam, taki Alfred Tyszkiewicz z Birż, licząc na to, że w młodym demokratycznym społeczeństwie i państwie litewskim, dając mu urok arystokratycznego nazwiska rodowego i pewne

szczególne kwalifikacje, uzdalniające z tytułu nazwiska do pewnych funkcji (na przykład dyplomacji, reprezentacji na zewnątrz), pozyskają wdzięczność, zaszczyty i stanowisko, bo w nich młoda Litwa zdobędzie to, czego jej do całkowitego uzupełnienia swej społeczności narodowej i swej powagi na zewnątrz – brak. Inni czynią to nie tyle może z ambicji osobistej, ile ze względów majątkowo-społecznych. Wiedzą oni, że antagonizm społeczny w Litwie, godzący społecznie i ekonomicznie w ziemian, podsyca się bardzo ostro antagonizmem polityczno-narodowym, zwłaszcza dziś na gruncie tak jaskrawych zatargów między Polską a Litwą, jak sprawa Wilna lub przeciwstawienie polskiej koncepcji federacyjnej Piłsudskiego – litewskiej koncepcji narodowej państwa ludowego. Wiedzą dobrze, że wyzyskiwanie tych konfliktów polityczno-narodowych daje broń znakomitą rzecznikom radykalnego przewrotu społecznego przeciwko ziemianom krajowym-Polakom na rzecz popularyzacji jaskrawych haseł reformy agrarnej, godzącej we dwory. Wyczuwają też trafnie, że na prawicy narodowych stronnictw litewskich są kierunki takie, które za cenę unarodowienia się litewskiego szlachty ziemiańskiej i politycznego solidaryzowania się z narodem gotowe byłyby chętnie pójść na maksymalnie możliwe koncesje na rzecz złagodzenia ostrza reformy agrarnej, o ile się jeszcze dziś da wobec rozbudzonych apetytów i na ruch uratowania pewnych przynajmniej wpływów dawnej budowy społecznej z przeżytkami zwyczajowymi przywilejów i pozostałości stanowych. Toteż poszczególne jednostki grawitują co raz bardziej do narodowości litewskiej lub przechodzą na jej stronę wyraźnie i manifestują nowe swoje oblicze narodowe. Niektórzy bardziej przewidujący czynili to już dawniej na zapas, obecnie jednak stało się to bardzo celowe. Sądzę, że gdyby nie obecność Polaków w Wilnie i nie nurtujące wciąż pogłoski o spodziewanej interwencji polskiej, prąd ten zyskałby o wiele na sile i upowszechnieniu. Wielu wstrzymuje obawa interwencji polskiej i ewentualnej ekspansji „zaprzaństwa".

8 maja, rok 1920, sobota

Podczas gdy jedni ziemianie – dotychczas tylko nieliczne jednostki – szukają zbawienia w zdecydowanej lituanizacji, inni, wychodząc z analogicznych założeń, nie idą tak daleko, nie zamieniają jednej narodowości, polskiej, na drugą, litewską, jak się zmienia rękawiczki, jeno wchodzą na tory ugody litewskiej; to znaczy, nie przestając uważać siebie i nazywać Polakami, stoją na gruncie państwowości litewskiej jako jej obywatele lojalni, solidaryzując się z konsekwencjami tejże i takimi nawet jej postulatami politycznymi, jak Wilno, co już przeciwstawia ich stanowisku politycznemu polskiemu. Założenia ugodowców są podobne do założeń lituanizujących się. Jednak ci, którzy się lituanizują, są konsekwentniejsi i wyciągają z tych założeń wnioski do końca, podczas gdy ugodowcy stają w pół drogi i usiłują szukać kompromisu między stanowiskiem politycznym i państwowym litewskim, które akceptują, a stanowiskiem narodowym, które zachowują, usiłując mu nadać postać apolityczną i li tylko kulturalną. Toteż ugodowcy są prawdopodobnie typem przejściowym, jak każdy połowiczny: albo wytworzą się z nich Litwini kultury polskiej, analogicznie do Irlandczyków mówiących po angielsku, albo wrócą do polskości z jej konsekwencjami politycznymi, albo też w dalszych pokoleniach zlituanizują się zupełnie. Choć mniej logiczni od tych, którzy się od razu zdecydowanie lituanizują, są ci ugodowcy, o ile chodzi o takich ludzi, co ulegają tym przemianom z pobudek taktyki polityczno-społecznej klasowej, uczciwsi i czystsi od lituanizujących się, bo przynajmniej nie zapierają się dla interesu swej narodowości. Oczywiście, mówię tu ciągle o przemianach, które są metodami strony interesów klasowych i majątkowo-społecznych własnych, nie zaś o wytworach psychicznych, działających ciągle już od dłuższego czasu w kierunku analogicznym bez

okolicznościowych pobudek interesu. Zresztą i w tych świeżych współczesnych przemianach, dyktowanych interesami, nie można kłaść wszystkiego na karb wyłącznie interesu, a przynajmniej świadomości takich pobudek niższego rządu. Człowiek jest tak skonstruowany psychicznie, że egoistyczne pobudki interesu często działają w nim podświadomie i potrącając o pewne drzemiące w nim strony uczuciowe, najbardziej w danej chwili interesowi jego odpowiadające, wytwarzają w jego umyśle cały aparat ideowy, rozumowo-uczuciowy, który go skłania do pewnych określeń czynnych. Chociaż wtedy w podłożu mogą dominować pierwotne względy interesu, jednak w grę wchodzą uczucia i różne tajemnice instynktu, atawizmu, tęsknot i ideałów, które drzemały już poprzednio w człowieku, a które podświadomie interes zbudził i do czynnej wydajności powołał. Niepodobna więc twierdzić, że wszystkie te objawy lituanizacji lub ugody, zrodzone doraźnie, są nacechowane li tylko pospolitym interesem i niczym więcej. U jednych jest przewaga pobudek interesu, u innych – uczucia lub idei. Z pewnością u takich ludzi, jak Dominik Dowgiałło z Siesik, nie mówiąc już o Łukomskim, którzy stoją na pograniczu lituanizacji i ugody, nie działa sam tylko pospolity interes, bo ludzie ci od dawna ciążyli już ku analogicznym rozwiązaniom trudnego problemu narodowości i obywatelstwa – trudnego dla Polaków litewskich. Nie wiem, czy pobudki interesu, czy też pobudki sentymentu i głębszej analizy swego ducha i swoich założeń psychicznych – działały na przykład z takich ludzi, jak Edward Kudrewicz **z** Suryszek lub Władysław Komar z Bejsagoły, którzy weszli także na tory ugody (o Edwardzie Kudrewiczu, który był przed wojną jedną z gwiazd wschodzących polskiego ziemiaństwa kowieńskiego, mówili mi działacze polscy teraz w Kownie, że jest dla polskości umarły i wycofany z obiegu, co widocznie ma świadczyć o jego ciążeniu zdecydowanym do lituanizacji. Polityka ugody ściąga pod swoje znaki dwa rodzaje ludzi z obozu ziemian: ugodowców z przekonania i ugodowców-symulantów. U tych ostatnich ugoda jest obłudą. Są to ludzie, którzy siadają na dwóch stołkach i usiłują się zaasekurować na wszystkie strony. Takich jest, niestety, bardzo wiele. Są to zwykle tchórze, ludzie małej wartości i bez honoru. Ludzie ci boją się Litwinów, ale boją się też opinii polskiej, a zwłaszcza lawirować by chcieli między ugłaskaniem Litwinów na wypadek utrzymania się obecnej ludowej państwowości litewskiej i udawaniem lojalnych obywateli Litwy a obawą ewentualnej interwencji polskiej i przeto nieskompromitowania się na wypadek przyszłego zapanowania Polski. Gdyby nie ta obawa interwencji, ludzie ci popłynęliby odważnie pod żaglem ugody, która znalazłaby w nich oparcie i wzmogłaby się na sile. Teraz połowiczność tych obłudników pęta akcję ugodową, bo przekonani rzecznicy ugody, werbując do swoich aktów tych chwiejnych symulantów, nie mogą rozwinąć szeroko swojej działalności, bo ci „mitlauferzy" są bardzo ostrożni i, dawszy krok naprzód, zaraz się oglądają i w przerażeniu, czy nie zaszli za daleko, cofają się wnet o krok lub dwa wstecz. Do takich typowych tchórzy-symulantów należą na przykład nasi sąsiedzi i moi dobrzy jeszcze z czasów dziecięcych znajomi – bracie Oskar i Zygmunt Rudkowscy (z Szakal i Koźliszeczek). Ci przez całe życie gotowi byli korzyć się przed każdą władzą i potęgą, która w danej chwili panuje. Należą oni do osławionych „kataryniarzy" (tych, co w r. 1904 wzięli udział uroczystości poświęcenia pomnika cesarzowej Katarzyny II w Wilnie, manifestując w przededniu nieprzewidzianej przez nich rewolucji uczucie wiernopoddanych, co wywołało wielkie oburzenie w Polsce i piętnem hańbiącym „kataryniarzy" legło na ich imionach). Na początku wojny światowej wyrażali wraz z innymi lojalność państwową wobec Rosji; gotowi były manifestować lojalność i wobec Niemców, i nawet wobec bolszewików, gdyby ci ostatni były na to wrażliwi i gdyby za tę cenę można były od nich kupić łaskę dla ziemian. Nazwiska braci Rudkowskich znalazły się naturalnie i pod znaną sprzed kilku

miesięcy narodową deklaracją części ziemian-Polaków kowieńskich wobec państwa litewskiego i obowiązków obywatelskich, wyrażającą solidarność z postulatami państwowymi Litwy. Domyślałem się wtedy, że podpisy Rudkowskich są obłudą. I nie omyliłem się.
W Wilnie w kołach nacjonalistycznych polskich i w Polsce samej podniósł się krzyk oburzenia na tych, co tą deklarację podpisali, głównie za to, że przyznawała ona prawa Litwy do Wilna. Obecnie słyszę , że Rudkowscy tłumaczą się tym, iż zostali wprowadzeni w błąd przez Wąsowicza, który rzekomo doradzał im podpisać, mówiąc że Litwini nie uwierzą deklarantom i zwymyślają ich, a wtedy, po zrealizowaniu interwencji polskiej, da to atut do przedstawienia, jak pokojowo i życzliwie Polacy kowieńscy byli do Litwy usposobieni i jak sami Litwini odtrącali wyciąganą do nich bratnią rękę. Może takie „makiawelskie" kawały polityczne i są w stylu „polityki Wąsowicza", ale też – biedni „naiwni" Rudkowscy! Tacy panowie lubią się na wszelki wypadek asekurować i wobec Litwinów, aby się na deklarację powołać, i wobec Polaków, zasłaniając się... Wąsowiczem.

9 maja, rok 1920, niedziela
Wczoraj na noc wyjechaliśmy z Hektorem. On jedzie wprost do Kowna, ja – do Kupiszek, a stamtąd też do Kowna, gdzie się z nim spotkamy. Po drodze do wagonu naszego wsiedli jeszcze dwaj znajomi – p. Bichniewicz z Poniemuńka i Zygmunt Rutkowski z Koźliszeczek, jadący również do Kowna, które, jako obecna stolica państwa, ściąga do siebie ze wszech stron kraju podróżnych, jadących tam za rozmaitymi interesami. O godz. 2 pociąg stanął w Kupiszkach. Poszedłem do miasteczka, przespałem się w zajeździe i rano załatwiłem mój interes u nadleśniczego. Miał on już przygotowany w brulionie protokół o stanie lasów bohdaniskich, stanowiący ich szczegółowy opis na podstawie oględzin osobistych, dokonanych przezeń w kwietniu z Hektorem. Odczytał mi on w brulionie ten protokół i spytał, czy mam coś w nim do sprostowania. Za mało znam ten las osobiście, abym mógł coś prostować i za mało jestem biegły w wiadomościach leśnych, abym był w stanie rywalizować z wywodami specjalisty. Protokół zawiera wykaz ilości lasu, klasyfikuje całość w lesie montowskim i w Staczeragach na działki, z których każdą omawia osobno, kwalifikując gatunki drzewa i jakość lasu, przybliżony wiek drzew, gęstość zalesienia i ilość przybliżoną festmetrów masy drzewnej na dziesięcinę; dalej zawiera uwagi o zalesieniu okolic lasów bohdaniskich, o odporności ich na wiatry itd. Protokół, jako taki, nie zawiera właściwej opinii nadleśniczego w przedmiocie pożądanego przeze mnie pozwolenia na wyrąb. Nadleśniczy oświadczył, że opinię swą wyrazi osobno w piśmie do Departamentu Leśnego. Gdym przyszedł w parę godzin później, aby otrzymać przepisany na czysto protokół, który mi dano podpisać, wręczono mi jednocześnie i pismo nadleśniczego do Departamentu Leśnego z wyrażoną w nim opinią, ale włożono oba papiery przy mnie do koperty i podano mi ją zaklejoną, wobec czego nie znam treści opinii. Obawiam się, że opinia ta nie będzie całkowicie po myśli mojej i nie bardzo jestem dobrej myśli co do szans uzyskania pozwolenia od Departamentu Leśnego. Już bowiem sam protokół nie wróży zbyt dobrze. Las montowski jest w nim określony w ogóle jako młodniak, który towarowej wartości nie ma, a specyfikacja lasu staczeraskiego, prócz paru działek, też jest nienajlepsza, tym bardziej, że w pobliżu innych lasów większych nie ma i że nadleśniczy zaznacza, iż ze względu na to, że las jest jodłowy i że nie jest od panujących wiatrów osłonięty, w razie wyrębu jakichś działek w pień, zalesienie naturalne byłoby niemożliwe, bo nasienniki jodłowe nie utrzymałyby się przeciw wiatrom. Zresztą na moje zapytanie nadleśniczy dał odpowiedź pod tym względem jakby uspokajającą, mówiąc, że stwierdzona

niemożność zalesienia naturalnego miałaby tylko ten skutek, że na wypadek udzielenia mi pozwolenia na wyrąb określonej ilości dziesięcin w pień musiałbym się zobowiązać zalesić wyrąbaną przestrzeń sztucznie, zabezpieczając to zobowiązanie kaucją (wysokość kaucji zresztą wskazał nieznaczną, bo, jak go zrozumiałem, wynosiłaby ona po 80 marek od dziesięciny). Ba, będziemy z Hektorem kołatać na zasadzie tego, co mamy. Może i da się zrobić. Zważywszy jednak, że opinia publiczna litewska jest bardzo niechętna wyrębom lasów przez dwory, że wyręby te traktuje jako akty dewastacji i niszczenia dobra publicznego na rzecz prywaty, lasy bowiem prywatne, należące do dworów, są przez opinię litewską rozważane pod kątem popularnego hasła upaństwowienia tychże, a więc są elementem bogactwa narodowego, że Departament Leśny, zwłaszcza w takich czasach, jak obecne, i w sam przeddzień Sejmu Ustawodawczego, który ma się sprawą lasów dworskich zająć – i zająć oczywiście w myśl najpopularniejszych haseł ludowych – musi być bardzo czuły na tę opinię, gdy z drugiej strony zagrożone upaństwowieniem dwory gwałtownie i masowo szturmują w Departamencie o pozwolenia na wyrąb, aby urwać, co się da, przed katastrofą, i gdy w stosunku do lasów bohdaniskich stan tychże nie jest bynajmniej tak świetny, aby sam przez się czynił wyrąb gospodarczo koniecznym lub choćby potrzebnym, a względy, na które się mogę powoływać, są w istotnie w obliczu sprawy publicznej li tylko prywatą – szanse nie wydają się zbyt wielkie na uzyskanie pozwolenia. Udzielenie pozwolenia byłoby w tych warunkach tylko aktem kurtuazji i łaskawości ze strony Departamentu; sam, gdybym z ramienia Departamentu decydował, prawdopodobnie pozwolenia bym nie udzielił. Wszak niepodobna za tytuł do takiej „łaski" powoływać to, że jestem Litwie przychylny i że jej służyć osobiście rzetelnie pragnę, ani też na moje zasługi dla Litwy poprzednie, jak moja książka „Litwa" itd. Trudno realizować nagrodę za zasługi w ten sposób, zwłaszcza za zasługi minione, gdy się w tych latach ostatnich, latach wielkiej próby, nie kiwnęło palcem dla sprawy Litwy i siedziało się za granicą. Zresztą gdyby nawet „zasługi" dla Ojczyzny były najaktualniejsze – czyż się je dyskontuje w ten sposób? W klasyfikacji kategorii społecznych w stosunku do lasów bohdaniskich i wyrębu tychże jestem nie autorem „Litwy", lecz – obszarnikiem, ziemianinem, jednym z indywiduów owego drapieżnego gatunku „dvarponių"[22], tak znienawidzonego i ze wszech stron osaczonego przez demokratyczne prądy Litwy ludowej. Toć jest fakt i z niego płyną konsekwencje. Tytułem więc może być tylko prawo własności, ale chodzi właśnie o to, że prawość tego tytułu w stosunku do dworów i w szczególności do lasów została społecznie i politycznie zakwestionowana. Próbować z Hektorem będziemy, a czy co wskóramy – to się okaże. Gospodarczo, to znaczy majątkowo, byłyby dla nas rzecz bardzo ciężka, gdyby miało do tej sprzedaży leśnej nie dojść.
W Kupiszkach przewałęsałem się dzień cały. W południe spędziłem parę godzin na cmentarzu, przerysowując do notatnika ozdobne drewniane krzyże litewskie. Odwiedziłem pilkalnię starożytną pod Kupiszkami – w kierunku północno-zachodnim od kościoła – piękną, otoczoną do koła wałem. Obwód szczytowej płaszczyzny pilkalni wynosi jeszcze przeszło 950 kroków.

10 maja, rok 1920, poniedziałek
W nocy o świcie wyjechałem z Kupiszek. Dopiero koło południa tą naszą fatalną kolejką radziwiliską, obsługiwaną prawdziwie po macoszemu, dotarłem do Radziwiliszek, skąd już się dalej jedzie po europejsku – i koło godz. 5 byłem w Kownie. Zamieszkałem w hotelu „Wersal", modnym hotelu *beau-monde*'u ziemiańskiego (w kołach ziemiańskich uchodzi za dobry ton stawać li tylko w

---

[22] Dvarponis – (lit.) obszarnik, pan.

„Wersalu” i jadać w restauracji tegoż hotelu, a poza tym zbierać się na pogawędki zbiorowe w kawiarni Petrowskiego) – w jednym numerze z Hektorem Komorowskim i z p. Januszewskim spod Poniewieża. Zaraz na wstępie popełniliśmy z Hektorem małą niedyskrecję. Otworzyliśmy koperty z papierami od nadleśniczego z Kupiszek, przywiezione przeze mnie, które były zamknięte i adresowane do Dyrektora Departamentu Leśnego (zakleimy je na nowo przed doręczeniem jutro w Departamencie). Nie mogliśmy tej pokusie się oprzeć, bo trzeba nam było wiedzieć, jakąż ostatecznie opinię orzekł p. „miškų urėdas”[23]. Były tam dwie koperty: jedna – w sprawie lasu w Bohdaniszkach i druga – lasu w Radkunach, którymi zarządza Hektor jako opiekun swego nieletniego brata stryjecznego, Piotrusia Komorowskiego, syna śp. Antoniego Komorowskiego. Moje złe przeczucie okazało się trafne. Co do lasu w Bohdaniszkach, „miškų urėdas” wyraża w opinii swojej wniosek odmówienia mi pozwolenia na wyrąb jako szkodliwy dla potrzeb miejscowych. Nie dziwi mię to wcale wobec tego, com już wczoraj w tej materii pisał. Trudna rada. W każdym razie, udamy się jutro do Departamentu Leśnego i spróbujemy kołatać o pozwolenie wbrew opinii „miškų urėdo”, ale na dobry skutek nie mam nadziei. Hektor także ma jej niewiele. Hektor zły jest na nadleśniczego za danie tak ujemnej opinii; ja – bynajmniej. Nie dziwię się jemu, że nie życzył sobie narażać się na niepopularność faworyzowania prywatnej sprzedaży lasu tam, gdzie nie widział żadnej ku temu innej zasady, prócz prywaty. Toteż ja, Litwo moja, z pewnością nie będę Ci miał ze złe i nie stracę oni grama miłości mojej dla Ciebie za to, że Twoja polityka ludowa przeszkodziła mi w realizowaniu tego, co było dla mnie korzystne i dla interesów osobistych potrzebne. Nie – to nie. Jedno tylko, że będę musiał wyciągnąć z tego konsekwencje i rychlej, niż zamierzałam, zgłosić się do sądownictwa w Kownie, nie zagnieżdżając się mocno w Bohdaniszkach, gdzie trudno mi będzie robić coś systematycznie i skutecznie bez synekury z tej niedoszłej sprzedaży leśnej, tym bardziej że i osobiście o sobie będę musiał pomyśleć, gdyż osobiście pieniądze wydałem już do ostatniego grosza, a wydatkowanie osobiste kosztem Bohdaniszek, nie usprawiedliwione korzystną sprzedażą leśną, będzie mi przez Papę za pasożytnictwo poczytane.
W sprawie spodziewanych na gruncie rychłego otwarciu Sejmu Ustawodawczego przemian w tymczasowej organizacji władzy – dowiedziałem się, co następuje. Smetona, obecny tymczasowy prezydent państwa, który z pewnością sam złoży formalnie swą władzę do rąk Sejmu jako suwerennego, nie będzie utrzymany u władzy. Lewica jest mu stanowczo przeciwna za jego politykę niedemokratyczną, szukając wciąż oparcia w jakichś czynnikach zewnętrznych, nieufną względem czynnika ludowego; prawica sejmowa, to znaczy chrześcijańska demokracja, także go nie popiera. Jedyny partia, która by popierała Smetonę – Pažanga – w Sejmie reprezentowana wcale nie będzie. Była wysuwana kombinacja taka, aby Sejm, po przyjęciu rezygnacji Smetony, sam wybrał nowego tymczasowego prezydenta, który by funkcjonował reprezentując państwo do czasu uchwalenia normalnej konstytucji. Na kandydatów wymieniano: 1. obecnego prezesa gabinetu Gałwanowskiego, którego by bodaj chętnie widzieli chrześcijańscy demokraci, ale przeciwko niemu jest wzgląd ten, że on nie został wybrany do Sejmu (kandydował z Poniewieża), a więc jest formalnie pozbawiony zaufania ludności; 2. Jerzego Šaulysa (dziwi mię ta kandydatura, którą zresztą osobiście uważałbym za niewłaściwą, bo to, w moim przekonaniu, człowiek wątpliwej wartości moralnej, a chyba że ani prawica, ani lewica nie ufa mu i nie ma go za swojego człowieka); 3. Michała Biržiškę z Wilna, który swoją nieugiętą postawą w zajętej przez Polaków stolicy Litwy, uważanej przez Litwinów za ich stolicę narodową

[23] Miškų urėdas (lit.) – leśniczy.

– zyskał w opinii litewskiej wielkie uczucie i stał się dla nich żywym symbolem straży narodowej, czuwającej w świątyni Narodu. Ostatecznie wszakże wszystkie kombinacje z tymczasowym prezydentem na razie upadły i dominuje obecnie tendencja tymczasowego przekazania władzy najwyższej prezydium sejmowemu. Słychać, że najwięcej szans na prezesa Sejmu ma chrześcijański demokrata Purycki. Informacje te mam z kół ludowców.
Co do składu osobistego posłów polskich, którzy wybrani zostali do Sejmu litewskiego w liczbie trzech, zachodzą zmiany następujące. Dwóch pierwszych, wybranych z listy kowieńskiej – Krasowskiego[24] i Zarembę[25] – skłoniono do zrzeczenia się mandatów, aby dać miejsce następnym z kolei kandydatom – mianowicie robotnikowi i następnie – księdzu (ks. Laus[26]). Ziemianom, którzy mają największy wpływ w komitecie wyborczym polskim, chodziło o to, aby reprezentacja polska w Sejmie nie miała pozorów szlachecko-ziemiańskich i aby się wobec Litwinów prezentowała demokratycznie (dlatego – robotnik), jak również aby wobec litewskiej większości klerykalnej w Sejmie mieć w szczupłych szeregach polskich także księdza za posła. Będzie więc z ramienia Polaków Adolf Grajewski[27], ks. Laus i robotnik.

11 maja, rok 1920, wtorek
Z lasem powiodło mi się nadspodziewanie. Wobec ujemnej opinii nadleśniczego z Kupiszek, nie miałem nadziei na dobry skutek. Postanowiłem jednak spróbować, to znaczy udać się wprost do dyrektora Departamentu Leśnego, Matulonisa, i rozmówić się z nim osobiście, prosząc w zasadzie o pozwolenie, a dopiero po tym pokazać mu raport nadleśniczego i protokół. Matulonis był dawnej w Wilnie, a choć się z nim osobiście nie znałem, musiałem się z nim spotykać, a on znał mię z pewnością przynajmniej z opinii, jako autora „Litwy” .Tak się też stało. Matulonis, dowiedziawszy się, kim jestem i że wstępuję do Sądu Okręgowego w Kownie, ucieszył się, był dla mnie bardzo uprzejmy i okazał się chętny do wszelkich dla mnie ułatwień. Raportu nadleśniczego wcale nie czytał, jeno uważnie przestudiował protokół i oparł się na nim, znajdując w nim dodatni opis lasu w Staczeragach i nie zważając na różne wywody nadleśniczego o trudnościach znalezienia wyrąbywanych przestrzeni itp. Słowem – rzecz poszła bardzo gładko, jak z płatka. Matulonis kazał mi jeno przynieść plan, co też uczyniłem, i obiecał udzielić pozwolenia, odsyłając w tym celu moje papiery do kancelarii. Pozwolenie prawdopodobnie zostanie wygotowane dopiero na przyszły tydzień, bo plan musi być skopiowany. Obawiając się, że pozwolenia mogę wcale nie dostać, mówiłem Matulonisowi skromnie już tylko o 5 dziesięcinach wyrębu, toteż zdaje się – tylko na tyle opiewać będzie pozwolenie. Wszakże lepsze to, niż nic. Jedna jednak rzecz mię jeszcze niepokoi. Mam wrażenie, że Matulionis, pisząc na moim podaniu dekretację na wyrąb, zastrzegł pewne *quantum* do sprzedaży na „potrzeby miejscowe”. Nie mówił mi o tym, ale gdym po przyniesieniu planu rzucił okiem przelotnie na leżące na biurku moje papiery, zdaje mi się, że dostrzegłem tam w jego dekretacji jakieś zastrzeżenie procentowe, a że od ziemian, których w poczekalni spotykałem, słyszałem o takich zastrzeżeniach „na potrzeby miejscowe”, więc się domyślam, że i tutaj Matulonis to zastrzegł. Będę więc znów musiał jutro udać się do

[24] Krasowski Bronisław – prawnik, współzałożyciel Tow. „Oświata” w Poniewieżu, członek Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego w 1919 r.
[25] Zaremba Roman – członek Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego w 1919 r.
[26] Laus Bronisław (1872-1941), ks. polski poseł w Sejmie litewskim, kierował polskimi katolickimi organizacjami społecznymi na Litwie
[27] Grajewski Adolf (1877-1967), prawnik , poseł na Sejm RL, po II wojnie światowej wyjechał do Polski, zmarł w Ornecie, woj. olsztyńskie.

Departamentu dla wyjaśnienia tej sprawy i postarania się o cofnięcie tego zastrzeżenia, które obniżyłoby kapitalnie wartość udzielonego pozwolenia.
W Kownie zastałem tłumny zjazd obszarników. Od soboty do poniedziałku toczyły się obrady jakichś komisji tzw. „Prodrolu" (jest to nazwa skrócona „Związku Producentów Rolnych"; młodej organizacji, która założona została przez ziemian na terenie Litwy jako właściwy zawodowy związek ziemian – różniący się od Towarzystwu Rolnego, ogarniającego tylko techniczne zagadnienia rolnictwa; „Prodrol" rozwija się bardzo energicznie i ogniskuje zbiorowe interesy ziemian jako klasy społecznej, stanowi właściwie ich reprezentację wobec władz litewskich i prowadzi akcję na rzecz obrony ich interesów, przez co faktycznie staje się poniekąd organizacją polityczną ziemian). Na komisje „Prodrolu" zjechali nie tylko członkowie tychże, ale i sporo innych ziemian, korzystających z okazji, aby zasięgnąć języka, poskarżyć się w Prodrolu na różne kłopoty i ciężary, poszukać rady na nie, a jednocześnie przy tym i wziąć udział w omówieniu różnych spraw czysto politycznych, bo takie okolicznościowe zjazdy w Prodrolu dają zawsze okazję i do politycznych narad ziemian, gdzie się wykuwają ogólne dyrektywy polityki polskiej w kraju. A że to chwila ostatnia przed Sejmem, którego się ziemianie lękają i zarazem nienawidzą, nie szczędząc mu w swoim gronie klątw, drwin i pogardy i drżąc jednocześnie przed widmem reformy agrarnej i upaństwowienia lasów, którym nasycona jest atmosfera tego Sejmu, więc gromady całe ziemian śpieszą wykorzystać ostatnią okazję otrzymania jeszcze od starego rządu pozwoleń na wyrąb lasu bądź na sprzedaż ziemi. W Ministerium Dóbr Państwowych i zwłaszcza w Departamencie Leśnym, oraz w Ministerium Spraw Wewnętrznych – poczekalnie są pełne ziemian, wytargowujących pozwolenia. Wyczekują tam kornie, węszą, ściskają ręce urzędnikom Litwinom, których w duszy najczęściej nienawidzą i którymi gardzą, usiłują wyzyskać różne znajomości, podejść pokątnymi drogami, zwęszyć okazyjki do przekupienia kogo się da itd. Zdaje się, że w obliczu tego Sejmu gotowi są teraz ziemianie wybaczyć grzechy „Taryby" i pogodzić się z nią, gdyby się zamiast Sejmu mogła ona ostać, a zwłaszcza jej rząd obecny, złożony z większości z umiarkowanej społecznie, inteligenckiej „Pažangi", który rychło runie, ponieważ „Pažanga" przegrała kapitalnie w wyborach. Dziś żałują już ziemianie tego umiarkowanego rządu, pod którym do niedawna sami dołki kopali, gdyż wydawał się im zbyt lewym. Nastrój ziemian jest niezwykle nerwowy, ale za to tym tęskniej zwracają oczy i wytężają słuch ku Polsce i tym chciwiej łowią wszelkie pogłoski, wersje i domysły, nadchodzące z Wilna lub z Warszawy, zwiastujące im jakiekolwiek perspektywy upragnionej interwencji. Toteż dla tych pogłosek jest teraz żniwo, bo autorzy ich nie potrzebują się wysilać na prawdopodobieństwo, aby znaleźć dla nich posłuch i wiarę.

12 maja, rok 1920, środa
Nic łatwiejszego, jak pogłosce o interwencji polskiej, bez względu na jej prawdopodobieństwo, trafić do umysłów naszych ziemian. Ogół tych przerażonych i stęsknionych ludzi tak pożąda tej interwencji jako wybawienia od okropności reform radykalnych, bijących ich po kieszeni i po ich przywiązaniu do swych dworów i dochodów leśnych – że uwierzy w lot w prawdziwość każdej pogłoski, choćby operowała najnieudolniejszymi argumentami, które nawet dla dziecka wydałyby się naiwne. Wczoraj właśnie przyjechał do Kowna Jan Przeździecki, wracający z Warszawy, więc gromady obecnych tu ziemian, jak podróżny, spragniony wody w pustyni, rzuciły się ku niemu po te wieści z Polski, pod jednym tylko kątem ich interesującym – pod kątem wojennych zamiarów Polski i szans interwencji jej w sprawy Litwy, by tu porządek (czytaj: przywileje obszarnicze) zaprowadzić.

Przeździecki plótł piąte przez dziesiąte, a ci słuchali chciwie i napoili się nową ufnością w interwencję. Na wszystko, co jest w Polsce ujemnego, co świadczy o ciężkim jej kryzysie – są głusi i ślepi: nie chcą o tym słyszeć, a jeżeli słyszą – nie wierzą. Nawet takie rzeczy, jak dalszy ostry spadek waluty polskiej, jedno z najcięższych niedomagań państwowości Polski i źródło wewnętrznej jej słabości, grożącej kto wie, czy nie katastrofą – są przez nich albo naumyślnie przeoczane, albo naiwnie optymistycznymi paradoksami wykręcane na wywrót. Jedno tylko widzą – to wspaniałą ofensywę ukraińską Polski, uwieńczoną zdobyciem Kijowa, łowią sercem gorącym potęgę militarną Polski, świecącą jak olbrzymia gwiazda na wschodzie europejskim, a nie uwzględniają i uwzględniać nie chcą i nie umieją całokształtu zagadnień gospodarczych, społecznych, międzynarodowych, w których świetle uwydatnia się tragedia syzyfowych dzieł Polski, które świetnych czynów ramienia i olbrzymich aspiracji o tytanicznej ambicji i szlachetnej nieraz koncepcji pomysłów, w których sny o potędze własnej, pełne imperializmu militarnego, kojarzą się dziwnie z ciągłą dziejową wielkich politycznych planów historycznych, tworząc ową klasyczną chimerę polską – nie mnie sekundować ścisłą rozwagą, wyczuciem i uszanowaniem praw cudzych oraz współczesnych procesów społeczno-narodowych i która, faktycznie ocalając młode ludy państewek „kresowych" od zagłady bolszewickiej, przegrywa jednak sama swoją sprawę na wschodzie i nawet wdzięczności ocalonych nie zdobywa, przeciwnie – ma ich przeciwko sobie – aż boleśnie jest czytać, jaką zniewagą zjadliwą tchnie do Polski na przykład codzienna prasa litewska, która, choć ma dużo słusznych względem polityki polskiej rekryminacji, jest jednak względem niej przesadnie i jaskrawie aż do drobiazgów niesprawiedliwa.
Ale ziemianie nasi co tutaj chcą – to widzą, bo Polska dla nich – to cud, to – ich kieszeń, ich dobra, ich lasy, ich stanowisko społeczne. Dla nich Polska identyfikuje się z nimi samymi, sprawa Polska – to ich sprawa prywatna, ich interes klasowy. Pragną interwencji polskiej i wierzą w nią jak Żydzi w Mesjasza, bo w ich przekonaniu ma ona ich wywyższyć, a natomiast pognębić ten obrzydły Sejm, który im sen z powiek spędza i czyha na ich majątki, tę republikę chłopską, ten przewrót, ten „bolszewizm", słowem – rewolucję.
Uwierzyli obecnie znowu ci panowie, że Polska nie interweniuje teraz tylko dla tego, że ma pilniejszą rozprawę z Rosją bolszewicką o Kijów i Ukrainę, ale jak z tamtym skończy – upomni się o Litwę, o swoich ziemian kowieńskich i wtedy będzie interwencja.
Sprawdziłem, że wszystkie „informacje" i naszepty Przeździeckiego pochodzą nie z Warszawy, lecz po prostu mają źródło w bajeczkach sztubacko-tromtadrackich Wąsowicza, które oczywiście są tyleż warte i rzeczowe, co samego Wąsowicza dziwacznie chaotyczna, choć serdeczna i w gruncie poczciwa – głowa. Sprawdziłem to źródło, bo dziś był Wąsowicz i słyszałem z ust jego to samo, co wczoraj niemal w słowo powtarzał Przeździecki. Ale już nasi panowie ziemianie napompowali się tymi „rewelacjami" i rozjadą się stąd zbałamuceni, rozsiewając iluzoryczne nadzieje, które im samym w kraju szkodzą, a gdyby się miały sprawdzić, w co wątpię, stałyby się zawiązkiem nieobliczalnej w skutkach ujemnych awantury. Takie zgromadzenie ziemian w Kownie u źródełek pogłoski i fantastycznych wieści – wykoleją ich jeno, zawraca głowy i bałamuci. Przyjeżdżają tu trzeźwiejsi, wracają – szaleni pogłoskami i nadal trwają w swej nie obywatelskiej, lecz plantatorskiej opozycji względem kraju, coraz głębszy własnymi rękoma kopiąc rów między społeczeństwem ludowym Litwy a sobą.
O rzeczywistym stanie zagadnienia interwencji, jak się ono po tamtej stronie linii demarkacyjnej i w samej Polsce przedstawia, będę musiał kiedy osobno w dzienniku

napisać, gdy mi miejsce i czas pozwolą. Zagadnienie to ma wagę ogromną dla spraw Litwy, a bynajmniej nie przedstawia się ono tak różowo dla sprawy naszych ziemian, jak oni tu są skłonni wierzyć. Poznałem je dość gruntownie w Wilnie i mogę je też rozważać w perspektywie mojej znajomości realnych stosunków i usposobień w samej Polsce.

13 maja, rok 1920, czwartek
Hektor wyjechał do Kowaliszek. Udało mu się zrobić świetny interes na las radkuński, z którego wyciągnie dla swego stryjecznego brata przeszło milion marek litewskich (ost). Ja pozostaję jeszcze, bo muszę dopilnować mego pozwolenia na las i wytargować jeszcze od Matulonisa cofnięcie zastrzeżenia o sprzedaży 50% dozwolonego wyrębu na rzecz ludności miejscowej. Tyle bowiem zastrzegł Matulonis w swojej dekretacji. Zastrzeżenie takie w istocie żadnego praktycznego skutku dla potrzeb miejscowej ludności nie ma, bo nikt z ludzi miejscowych drzewa bezpośrednio od dworu po cenie rynkowej nie kupi, gdyż ludność ta ma prawo w obrębie gmin otrzymać drzewo na budulec i opał z lasów prywatnych za pośrednictwem gminnej komisji leśnej po niskich cenach urzędowych, z czego też korzysta, i w Bohdaniszkach tej wiosny w marcu wyrąbano przymusowo na ten cel przeszło 1100 bierwion, nie licząc drzewa opałowego na sążnie, i z pewnością na przyszłą zimę rąbać się także będzie. Zastrzeżenie więc takie jest potrzebne tylko dla pozoru, aby Departament Leśny, gdy go się będzie atakowało z lewicy, że szafuje lasami, pozwalając je tępić obszarnikom, miał wymówkę, że przecież on w przeważającej części (60%) udzielonych pozwoleń uwzględniał interesy włościańskiej ludności miejscowej. Dla dworu zaś takie zastrzeżenie jest nie tylko uciążliwym, bo w odpowiedniej części procentowej czyni pozwolenie jałowym, ale także jest niebezpiecznym, bo daje podstawę do ingerencji czynników ubocznych, a nawet włościan, pod pretekstem kontroli, czy zastrzeżenie zostało przez właściciela lasu zachowane; jest więc ono z natury swej demagogicznym i, jako takie, utrudniającym wielce różnymi możliwymi w przyszłości kruczkami – realizację sprzedaży. Może mi się uda uwolnić od tego zastrzeżenia, powołując się na to, że w tym roku zostały już sowicie potrzeby ludności miejscowej w wyrębach lasów bohdaniskich uwzględnione.
Wczoraj złożyłem ministrowi sprawiedliwości Norejce formalne podanie o wystaranie się dla mnie nominacji na stanowisko sędziego okręgowego w Kownie. Zdecydowałem się na ten krok, mimo że może się on będzie wielu moim krewnym i znajomym z kół ziemiańskich nie podobać i w szczególności u Papy może wywołać wprost oburzenie. Postanowiłem jednak na to się nie oglądać, ponieważ nie podzielam bynajmniej motywów bojkotu przez naszych ziemian-Polaków państwowości Litwy (są oni zresztą niezupełnie logiczni, bo przecież przez sam fakt udziału w Konstytuancie zaakceptowali stanowisko państwowe; ale wielu z nich traktowało udział w wyborach jako akt pewnego wallenrodyzmu; są jednak wśród ziemian i głosy trzeźwiejsze, z którymi się sam w tych dniach stykałem, które przyznają, że błędem ziemian-Polaków było to, iż się manifestacyjnie przy tworzeniu instytucji litewskich od udziału w pracy organizacyjno-państwowej uchylili). Bardzo być może, że najbardziej wskazanym byłoby dla mnie nie wstępowanie do sądownictwa, lecz zainstalowanie się w Bohdaniszkach, co by nie wykluczało działalności społecznej. Ale ze względu na Papę nie mogę się na Bohdaniszki zdecydować. Zdaje mi się, że my z Papą nie wytrzymywaliśmy ze sobą we dwóch w Bohdaniszkach, bo Papa bynajmniej nie myśli rezygnować na moją rzecz zarówno z zarządu Bohdaniszek, jak zwłaszcza z ustanowienia dla mnie nakazów postępowania nawet w moim życiu prywatnym. Zbyt zaś różnimy się z Papą w naszych poglądach i ideałach, a nawet upodobaniach, abyśmy

mogli współżyć zgodnie przy arbitralności bezwzględnej Papy i abym mógł się poddać Papy nakazom. Papa wie o tym dobrze i dlatego bynajmniej nie jest skłonny do angażowania mię do Bohdaniszek lub nawet tolerowania mię. W roku zeszłym nie wytrzymałem w Bohdaniszkach tygodnia, choć byłem tylko gościem u Papy, i wyszedłem z Bohdaniszek bez pożegnania. Dla charakterystyki zaś stosunku Papy do mnie zacytuję jeden fakt, o którym w dzienniku nie wspomniałem, bom się sam o nim dowiedział dopiero w parę lat po tym. Gdym siedział w obozie jeńców w Szczypiornie jako internowany legionista i gdy pp. Józef Pomorski i ks. Eustachy Sapieha czynili starania o uwolnienie mię, Niemcy, którzy zwalniali o tyle, w ile internowany mógł się wykazać, że ma bądź zapewnione środki utrzymania, bądź określony zarobek, spytali mię, dokąd chcę się udać i co myślę ze sobą robić. Podałem, że chcę wyjechać do Bohdaniszek, majątku mojego ojca, który jest stary i sam bez pomocy gospodarzyć nie jest w stanie. Niemcy zaraz posłali odnośne papiery do sprawdzenia w Bohdaniszkach na miejscu. Papa, zapytany, oświadczył, że chociaż w istocie jest moim ojcem, ale mojego przyjazdu do Bohdaniszek nie życzy sobie, bo, znając mię, jest przekonany, że nie usiedzę cicho i że po przyjeździe rozpocznę natychmiast jakieś konspiracyjne knowanie przeciwko władzy niemieckiej, bo bez knowań przewrotowych nie umiem się obyć. Oczywiście wobec tego Niemcy mię do Bohdaniszek nie puścili i gdyby nie to, że pp. Pomorski i Sapieha zaręczyli osobiście wobec Besselera, że będę miał zapewnione środki utrzymania i że się zachowam spokojnie, nie byłbym wypuszczony z obozu jeńców. Wszyscy krewni, wszystkie rodziny czynią zawsze wszystko, abym swoich z obozów wydostać, a Papa – przeciwnie – gotów był przyczynić się do dalszego męczenia mię.

14 maja, rok 1920, piątek

Wczoraj było święto, więc do Departamentu pójść nie mogłem. Dziś poszedłem, ale tylu było interesantów, że się nie doczekałem kolejki do Matulonisa, a zresztą, ponieważ mi w kancelarii Departamentu oświadczono, że plan lasów bohdaniskich wraz z omówieniem szczegółów pozwolenia – będzie sporządzony nie wcześniej, jak we wtorek, a być przy tym muszę, aby wskazać, gdzie mają być wyznaczane działki do wyrębu, więc mój interes u Matulonisa mogę z równym skutkiem odłożyć do poniedziałku.

Pobyt w Kownie trwa trochę za długo, co jest szczególnie dla kieszeni niezdrowo, ale za to będę jutro na uroczystym otwarciu Sejmu Ustawodawczego, niepospolitej uroczystości młodej Litwy ludowej, uroczystości, marzonej i utęsknionej „Aušry” Basanowicza. Bilet wejścia na akt otwarcia Sejmu już mam; wystarałem się go od ludowców.

Nasi ziemianie, których wciąż tu się niemało kręci (szczególnie w poczekalni Departamentu Leśnego) i z którymi się często stykam, mając wśród nich znajomych, wciąż się chwieją jak wahadło między dwiema ostatecznościami: optymizmem wiary w interwencję polską a pesymizmem obaw przed reformą agrarną i radykalizmem Sejmu. Z jednej strony, wiara syci się dziecinnie kolportowanymi pogłoskami i kalkulacjami snutymi z sukcesów ukraińskiej ofensywy Polaków itp., z drugiej – obawy rysują fantastyczne widma bolszewizmu, budzą żale i tęsknoty, jakich się do niedawna trudno było spodziewać, bo oto przedmiotem tych tęsknot staje się ustępujący rząd tarybowy, zniesławiany i wyklinany jeszcze wczoraj, a w ucieczce od tych obaw szukają ci panowie pociechy i nadziei wybawienia w kalkulacjach, które przypominają wróżby z kart. Szukają słów wieszczych w jakichś prognostykach Żyda-kupca leśnego lub jakiegoś urzędniczka Departamentu Leśnego, jak gdyby domniemania luźne jednostek miały moc przewidzenia przyszłości. Słowa pociechy i uspokojenia, wyrzeczone

wczoraj przez Smetonę do Radziwiłła[28] z Towian (popularnie zwanego Totkiem), były pośród ziemian komentowane wczoraj z ulgą, jak żeby Smetona, ustępujący prezydent, człowiek bez większych wpływów, głowa nie do rady i nie do czynu, mógł słowem swego przekonania zakląć idący prąd masowy. Bez wątpienia – są podstawy do przypuszczenia, że ten straszak reformy agrarnej w praktyce okaże się mniej straszny od popularnych dziś haseł i ustanie wpół drogi, gdy się dokona właściwy cel przewrotu, triumf nowego układu społecznego z klasą chłopską na czele, ale to nie skutkiem słów przekonania Smetony, jeno skutkiem naturalnego procesu społeczno-politycznego. Ziemianie nie mają czucia tych procesów, jeno się opierają na anegdotycznych epizodach, z których usiłują wróżyć jak czarnoksiężnicy. Smetona ofiarował wczoraj swoją fotografię Radziwiłłowi z napisem przyjacielskim. Dla Radziwiłła jest to gracik do kolekcji oryginalnych rzeczy, przedmiotów i stosunków, Smetona zaś nadaje temu stosunkowi „przyjaźni" z Radziwiłłem mistyczne znaczenie. W Smetonie jest instynkt chłopa-parweniusza. List od magnata, z którego dawnych poddanych sam pochodzi, wizyta Radziwiłła, przyjaźń jego – są dla Smetony honorem i ambicją, które działają w tym synu chłopskim tak mocno, że dla takich stosunków gotów on poświęcić społeczne ludu swego dążenia. Miał to Smetona zawsze. Gorący patriota Litwin, ale przede wszystkim z duszy chłop, oderwany od gruntu społecznego, przepojony mistycyzmem i atawistycznie czarem pana. To nie wódz narodu chłopskiego na dobę przewrotu społecznego i wielkiej twórczości politycznej. Smetona nie dorósł do poziomu wodza narodowego Litwy ludowej w godzinie jej przeznaczeń. Mógł być dobry za rządów Taryby, zwłaszcza za czasów okupacyjnych, gdy sprawa Litwy polegała na różnych kombinacjach „aktywistycznych", stanowiących spekulacyjki – ale nie teraz.
Wiosna jest w samym rozkwicie. Jednocześnie kwitną jabłonie, bez i kasztany. Najpiękniejszy to dla mnie czas na Bohdaniszki. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu jeszcze w Bohdaniszkach pozostanę.

15 maja, rok 1920, sobota
Dzień otwarcia Sejmu Ustawodawczego Litwy. Kowno udekorowane świeżą zielenią, chorągiewkami narodowymi, tarczami z „Pogonią". Narodowe barwy litewskie, żółto-zielono-czerwone, które na pozór zdawałyby się czynią dysonans takich kontrastów, jak zestawienie koloru zielonego z czerwonym, w istocie na chorągiewkach prezentują się bardzo ładnie, czyniąc efekt jaskrawy i wesoły. Chorągiewki te koloryzują bardzo efektownie ulicę i stanowią wcale ładny epizod dekoracyjny. W kilku miejscach bramy triumfalne. Wieczorem miasto iluminowane. Przez Aleję Wolności, ulicę Wielką, Wileńską i inne – ciągną pochody stowarzyszeń i instytucji ze sztandarami i transparentami o napisach witających Sejm i Niepodległość Litwy. Coraz też ciągną oddziały wojska różnych rodzajów broni i orkiestry wojskowe. Pogoda – ohydna. Trudno o gorszą w maju. Słota, deszczyk pada przez cały dzień bez ustanku. Jednak ulice pełne. Rano – we wszystkich kościołach, jak również w świątyni ewangelickiej i synagodze – nabożeństwa uroczyste. Po południu parada wojskowa na placu przy Katedrze z udziałem prezydenta państwa, rządu, przedstawicieli państw obcych, posłów sejmowych, gości honorowych, przedstawicieli stronnictw. Potem na jednym ze wzgórz pod Kownem – zasadzenie dębu jako symbolicznego drzewa Wolności, mowy prezydenta Smetony, Vydunasa, delegata z Wilna (badajże Michała Biržiški, który wraz z Basanowiczem i kilku innymi przybył z Wilna na uroczystość inauguracji Sejmu). Na paradzie wojskowej i sadzeniu dębu nie byłem. Deszcz mię odstraszył.

[28] Radziwiłł Konstanty, „Totek" (1873-1944), inż. leśny, działacz polski na Litwie, w 1941 r. aresztowany przez NKWD i wywieziony w głąb ZSRR.

Otwarcie Sejmu było wyznaczone na godz. 6 po południu. Zaraz po godz. 5 udałem się do gmachu posiedzeń sejmowych, który tymczasowo zainstalowany został w teatrze miejskim. Właściwy parter sali teatralnej zajmują ławy poselskie, za które służą te same zwykłe krzesła, co do widowisk teatralnych, z siedzeniami podnoszącymi się, gdy się z nich wstanie, bez pulpitów, wgłębi za ławami poselskimi – stolik-biurko urzędnika kancelarii sejmowej, którego obowiązki pełni czasowo młody Lozoraitis, i stolik oraz krzesła dla korespondentów pism. Loże parterowe przeznaczone dla dygnitarzy państwowych i obcych oraz dla gości najbardziej honorowych: pierwsza loża z lewej strony, dotykająca skrajnej prawicy ław poselskich, przeznaczona dla prezydenta państwa, Smetony i prezesa ministrów; dalej – loże ministrów, wysokich urzędników państwowych itp.; w jednej z dalszych lóż z lewej strony siedzi w wózku sparaliżowany stary działacz i filolog litewski Jan Jabłoński,[29] który zachował jednak władzę umysłu i ruchów górnej części ciała; obok Jabłońskiego charakterystyczna postać starego doktora Basanowicza; także Michał Biržiška. W lożach parterowych prawej strony, dotykających skrajnej lewicy poselskiej, pierwsza loża, naprzeciwko prezydialnej – konsula angielskiego, druga – ambasadora Łotwy. Miejsce sceny wypełnia duży stół prezydialny na wzniesieniu, przed nim – mównica, nieco na uboczu między stołem prezydialnym a ławami – stół stenografistów. Loże I piętra zajęte przez gości zaproszonych. II piętro – galeria – miejsce dla publiczności za kartami wejścia. Miałem miejsce na galerii w I rzędzie na wprost stołu prezydialnego w samym centrum. Jako punkt obserwacyjny było to miejsce bardzo dobre. Przed godz. 6 sala posiedzeń zaczęła się zapełniać posłami. Kwestia miejsc, jak wiem od posła polskiego Grajewskiego i niektórych posłów litewskich, była już omawiana wczoraj na zebraniu międzyfrakcyjnym. Jak zwykle w epoce demokratycznej, nikt nie ma ochoty do zajęcia ław skrajnej prawicy, symbolizującej reakcję. O skrajnej lewicy sporu nie było: oczywiście należy się ona esdekom. Obok esdeków – ludowcy (socjaliści-ludowcy-demokraci). Chrześcijańscy demokraci, stanowiący w istocie prawicą społeczną i polityczną, pragnęli jednak posiąść centrum i na razie wysunęli dziwaczną propozycję, aby posłowie z listy Związku Włościańskiego („Valstiečių Sąjunga"), stanowiącego poniekąd ekspozyturę socjalistów-ludowców, całkowicie solidarną w Sejmie z tymi ostatnimi, usiedli na prawo od chrześcijańskich demokratów. Tego jednak przeforsować im się nie udało. Wtedy postanowili oni zająć miejsca bezpośrednio od „Valstiečių Sąjungos" na prawo, spychając na skrajną prawicę frakcje mniejszości narodowych – Żydów, Polaków, Niemców, które pretendowały do miejsca w centrum.

16 maja, rok 1920, niedziela

Dalszy ciąg o wczorajszym otwarciu Sejmu. O miejscach. Posłowie polscy gorąco na posiedzeniu międzyfrakcyjnym oponowali przeciwko narzucaniu im miejsce na skrajnej prawicy, ale chrześcijańscy demokraci nie ustępowali. Wobec tego, jak mi mówił Grajewski, posłowie polscy byli zdecydowani nie uczestniczyć w inauguracyjnym posiedzeniu, aby nie siedzieć na prawicy, i usiąść w charakterze widzów na galerii. Gdy jeszcze na sali mało było posłów, spostrzegłem grupkę paru posłów żydowskich, stojących w lewym przejściu między fotelami, oddzielającym miejsca lewego centrum od miejsca skrajnej lewicy esdeków. Żydzi się rozglądają, potem przesuwają się między fotelami w głąb centrum w rzędach dalszych i tam na wolnych fotelach przypinają kartki ze swymi nazwiskami, a więc obierają sobie miejsca. No – myślę sobie – ci przynajmniej są mądrzy i dają sobie, jak zawsze, radę: chrześcijańscy demokraci chcieli ich zepchnąć na skrajną prawicą, a ci przyszli zawczasu i sami sobie miejsce w centrum

[29] Jablonskis Jonas, filolog, współtwórca nowoczesnych zasad pisowni języka litewskiego.

obierają, podczas gdy Polacy, mniej sprytni, dyplomatycznie protestują i będą świecili nieobecnością; nikt się na ich dyplomatycznym proteście nie pozna, a powiedzą jeno, że Polacy, wszedłszy do Sejmu, demonstracyjnie Sejm bojkotują i wyłączają się z powszechnej uroczystości inauguracyjnej. Aliści patrzę – niebawem wchodzi na salę Grajewski, rozgląda się, spostrzega manewr żydowski i zabiera się do tego samego. Z Grajewskim jest i ksiądz Lans, i trzeci poseł polski, robotnik kowal Snelewski[30]. Dobrze więc. *All right*! Żydzi siedzą w lewym centrum w dalszych rzędach, Polacy – jeszcze głębiej w ostatnich rzędach w centrum nieco ku lewicy, a obok Polaków – Niemiec. Wąską smugę foteli skrajnej lewicy wypełniają wyłącznie esdecy w liczbie 13 i eser Lekiecki. Na prawo od lewego przejścia w kierunku centrum i w głąb aż do Żydów siedzą posłowie ludowcy z „Valstiečių Sąjungos"; cztery fotele frontowe tej frakcji zajmują w kierunku od lewicy do centrum: Gabriela Pietkiewiczówna, dr Grinius, Albin Rimka i dr Staugaitis, wypróbowani szermierze demokracji litewskiej i sprawy ludowej, prawdziwi chorążowie obozu. Jaskrawy *leader* ludowców, okrzyczany Michał Ślażewicz, postrach prawicy i ziemian, *bête noire* prasy polskiej, czyniącej nagonkę na Litwinów, siedzi w dalszych rzędach u przejścia, sąsiadując z esdekami. Całe centrum bezpośrednio od ludowców na prawo, dotykając w ostatnich rzędach Żydów i Polaków, szybko zapełniają posłowie chrześcijańsko-demokratyczni. Ławy skrajnej prawicy – smuga foteli na prawo od prawego przejścia, przez czas długi świeci pustką zupełną. Chrześcijańscy demokraci unikają tych skrajnych foteli jak miejsca zapowietrzonego. Dopiero gdy wszystkie fotele w centrum od ludowców i mniejszości narodowych do prawego przejścia są szczelnie zapełnione, nieliczni ostatni posłowie chrześcijańsko-demokratyczni z konieczności zmuszeni są się sadowić na skrajnej prawicy. Trafiają tam jednak przeważnie posłowie-włościanie, nie bardzo rozumiejący parlamentarnego znaczenia miejsc, a ostatnie skrajnie prawe miejsca frontowe zajmuje generał Galwydis-Bykowski. Wybija godzina 6. Jakiś urzędnik-mistrz ceremonii dzwoni u stołu prezydialnego i usuwa się. Posłowie śpieszą na miejsca. Nastaje cisza. Na salę wchodzi tymczasowy prezydent państwa Smetona, staje u stołu prezydialnego i składa ukłon Sejmowi. Posłowie w odpowiedzi wstają z miejsca i oddają ukłon (nie zauważyłem tym razem, czy esdecy także wstali). Smetona w mowie inauguracyjnej wita Sejm, oświadcza, iż jest dumny z zaszczytu, że jemu pierwszemu wypada ten Sejm Ustawodawczy, widoczny znak suwerenności Litwy i tytuł prawny jej Niepodległości, wieńczącej dzieło długich wysiłków Narodu, otworzyć. Czyni przegląd tych wysiłków odrodzenia narodu, które dzień dzisiejszy uwieńczył. W imieniu swoim oraz wodza naczelnego siły zbrojnej i rządu składa rezygnację w ręce Sejmu, posiadającego pełnię prawowitej władzy. Zaznacza, że nie jest jego zadaniem wskazywać Sejmowi Ustawodawczemu program tego, co ma on wykonać i jak dalej pokierować państwem, ponieważ Sejm wyraża suwerenną wolę Narodu, a zadanie władzy tymczasowej z chwilą zwołania Sejmu zostało spełnione i wyczerpane. Dalej wspomina o Wilnie i o „kraju Kłajpedy", czyli Małej Litwie, które dotychczas złączone jeszcze z Litwą nie zostały, lecz których złączenie jest oczywiście pragnieniem i wiarą narodu. Wreszcie kończy, ogłaszając Sejm Ustawodawczy za otwarty i wzywając najstarszego wiekiem posła do objęcia przewodnictwa obrad. Po czym się usuwa.

17 maja, rok 1920, poniedziałek
Kończę o akcie otwarcia Sejmu Ustawodawczego Litwy.
Gdy Smetona zakończył swą mowę, wzywając najstarszego wiekiem posła do przewodniczenia obradom, z ław ludowców powstała 60-letnia Gabriela

[30] Snelewski, polski poseł w Sejmie litewskim.

Pietkiewiczówna, jedna z najstarszych szlachetnych postaci demokratycznej Litwy, mała, niepokaźna, garbata, ale otoczona szacunkiem, który jest bodaj dla niej powszechny, udała się do stołu prezydialnego, zajmując miejsce przewodniczącej z wieku. Znana literatka, działaczka społeczna, wierna przez całe życie ideałom demokracji i sprawy ludowej, kobieta czystej duszy i kryształowego serca, ziemianka z pow. poniewieskiego, pochodząca z rodziny o tradycjach i kulturze polskiej, która przez umiłowanie sprawy ludowej i swój związek idealny z ludem wcieliła się czynnie w sprawę litewską i stanęła w szeregach Litwinów, kobieta z pokolenia pierwszych szermierzy odrodzenia Litwy przez lud i dla ludu, której życie było jasną pochodnią demokracji, realizującej sprawiedliwość społeczną, jedna z tych tysięcy szeregu, które polsko-litewska kultura szlachecka wydzielała wciąż i wydziela z siebie w lud, czyniąc z tych jednostek ofiarnych zastępy pionierów i zwiastunów wszystkich najszlachetniejszych procesów kiełkującej przyszłości i jakby płacąc nimi dług społeczny szlachty i okupując ich zasługami zimne sobkostwo i egoizm klasowy szlacheckiego ogółu – taką jest Gabriela Pietkiewiczówna, seniorka pierwszego Sejmu Ustawodawczego Litwy. Pietkewiczówna wezwała najmłodszego z posłów do zajęcia krzesła sekretarskiego. Traf zrządził, że tym najmłodszym posłem była także kobieta – młoda 24-letnia dziewczyna Anna Muraszkówna, z zawodu nauczycielka gimnazjalna, posłująca z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji. Młoda przystojna panienka w skromnym gustownym**,** granatowym kostiumie, w białym kapeluszu o szerokim rondzie, który, gdy usiadła przy stole i zaczęła notować, schylając główkę, zasłonił, przynajmniej dla widzów z galerii, całą jej twarz i czynił wrażenie wielkiego jasnego kwiatu, opromieniającego białą plamą jej młodą postać, pozostawiając z jej ciała widoczne tylko ręce – sprawiała w tymczasowym prezydium Konstytuanty na uroczystym akcie jej otwarcia pewnego rodzaju symboliczne wrażenie wdzięku młodości, czystości i sprawiedliwości społecznej, które te dwie kobiety, najstarszą i najmłodszą, zasługę i nadzieję, wyniosła. Pietkiewiczówna w krótkim przemówieniu scharakteryzowała moment otwarcia Sejmu Ustawodawczego Litwy jako zwycięstwo ideałów wolności i sprawiedliwości, jako realizację wiary Narodu w Niepodległość i tych ofiar, które on w walce z gwałtem i niewolą składał. Następnie odczytała depesze i odezwy z pozdrowieniami dla Sejmu. Największe owacje wywołały pozdrowienia konsula angielskiego, delegacji Wilna i powiatu wileńskiego oraz ambasady łotewskiej. Zresztą esdecy nie bili oklasków na pozdrowienie konsula angielskiego. Wśród pozdrowień były od biskupa diecezji żmudzkiej Karewicza (cała lewica włącznie z ludowcami zachowała się biernie), od wojskowych Białorusinów z armii litewskiej, od różnych stowarzyszeń, urzędów powiatowych, samorządów i nawet od osób prywatnych; jednak pozdrowień było niezbyt wiele. Wnet po tym przystąpiono do wyboru prezesa Sejmu (marszałka) i sekretarza. Marszałkiem obrany został poseł Aleksander Stulgiński, z zawodu agronom, chrześcijański demokrata; jest to człowiek dość znany wśród inteligencji litewskiej, ale niczym nadzwyczajnym się nie zaznaczył i zdaje się, że nie jest to jakaś szczególnie wybitna indywidualność; widocznie jednak ma jakieś zalety taktu, skoro go chrześcijańsko-demokratyczna większość do takiej godności wyniosła. Oba odłamy lewicy, Polacy i Żydzi (zresztą tych ostatnich nie jestem pewien, bo ilość głosów, którymi został wybrany Stulgiński, przekraczała ilość głosów chrześcijańsko-demokratycznych), oddali kartki puste. Na sekretarza wybrany został poseł Natkiewicz, młody ludowiec, oficer i, zdaje się, były przedstawiciel litewski w Łotwie. Wybór innych członków prezydium został odłożony do następnego posiedzenia, które odbyło się dziś rano (wybrani zostali: I wicemarszałkiem ludowiec, jeden ze starych filarów obozu doktor Jan Staugaitis, II wicemarszałkiem – także Staugaitis, ale Justyn, ksiądz, chrześćjański demokrata, podsekretarzem – ktoś ze

chrześcijańskich demokratów; zamierzany był wybór na I wicemarszałka – socjalnego demokraty, a na drugiego – ludowca; jeszcze wczoraj esdecy się na to zgadzali i kandydatem ich na wicemarszałka był poseł Czepiński; ale dziś już nie zechcieli wystawić swej kandydatury do prezydium; łączy się to, zdaje się, z chwianiem się esdeków między decyzją konkretnego współpracownictwa koalicyjnego w Sejmie z innymi partiami a decyzją zdecydowanej opozycji; tendencja do stanowczego opozycjonizmu jest u nich silna, współpracownictwo chcą oni uzależnić od bardziej daleko idących warunków, które chyba przez większość chrześcijańsko-demokratyczną nie będą mogły być przyjęte). O mowie prezydialnej Stulgińskiego, stanowiącej najważniejsze momenty uroczystości inauguracyjnej Sejmu i w rezolucji, proklamującej Niepodległość Litwy, napiszę już jutro. Tu wspomnę jeszcze o najświeższej kombinacji, dotyczącej konstrukcji tymczasowej władzy najwyższej. Otóż znowu jest tendencja zlecenia tej władzy tymczasowej prezydentowi, nie zaś prezydium sejmowemu. Jest to, zdaje się, plon skłonności ludowców (zwłaszcza „Valstiečių Sąjungos") do koalicyjnego czynnego współpracownictwa z większością. Na kandydatów czy prezydenta wymieniani są: Leonas i Michał Biržiška. Wybór tego ostatniego uważałbym za bardzo pożądany, bo jest to człowiek, który ze wszystkich Litwinów ma może najwięcej czucia psychologii polskiej, a to rzecz pierwszorzędnej wagi wobec nierozwiązanego zagadnienia.

18 maja, rok 1920, wtorek
Wracam raz jeszcze do uroczystego otwarcia Sejmu Ustawodawczego, aby zreferować mowę obranego marszałka Stulgińskiego. Była to nie mowa, lecz deklaracja, przygotowana zawczasu, którą on odczytał. Deklaracja ta nie była jego oświadczeniem osobistym, lecz produktem redakcji zbiorowej jako wyraz opinii Sejmu, wypowiedzianej przez usta obranego marszałka. Zdaje się, że w redagowaniu tej deklaracji brali udział także ludowcy, którzy na ogół, zwłaszcza w swym skrzydle prawym („Valstiečių Sąjunga" z Rimką na czele), skłaniają się do współpracownictwa czynnego z większością chrześcijańsko-demokratyczną, a zasady tej deklaracji były też, zdaje się, z góry podane do wiadomości i do sankcji esdekom i Żydom (miniaturowa grupka polska była, zdaje się, pominięta). Deklaracja marszałka łączyła zasadnicze tezy polityczne z programem pracy Sejmu. Centralnym i najbardziej zasadniczym momentem deklaracji było uroczyste proklamowanie Niepodległości Litwy, ujęte w kształt rezolucji Sejmu. Formuła tej rezolucji, przedłożonej przez marszałka do uchwały Sejmu, brzmi w przekładzie polskim tak: „Sejm Ustawodawczy Litwy, wyrażając wolę ludności Litwy, proklamuje odbudowaną (przywrócenie niepodległego państwa litewskiego jako republiki demokratycznej) w granicach etnologicznych (Litwini świadomie przeciwstawiają „granice etnologiczne" granicom „etnograficznym", pojmując pod pierwszymi treść obszerniejszą, dającą możność włączenia do Litwy takich skrawków terytorialnych, które dziś już językowo przestały być litewskimi – przypisek mój) i „wolną od wszelkich więzów państwowych, które ją łączyły z innymi państwami". Rezolucja ta została przyjęta przez Sejm jednogłośnie. Wszyscy posłowie powstali z miejsca. Umyślnie patrzyłem na grupkę posłów polskich. Powstali wraz z innymi, na razie się jakby ociągając, ale gdy powstali wszyscy, powstali i oni. Być może – pewne ociąganie się posłów polskich pochodziło stąd, że dotąd w ogóle nie ustawili oni jeszcze swego stanowiska i roli w tym Sejmie i że mają tendencję do zachowania się raczej biernego, odpowiadającego roli czuwającego, niż działającego czynnie. Ale niewątpliwie w stosunku do tej rezolucji musiało być w ich sercu uczucie także inne, niż proste ociąganie się i niechęć do roli czynnej. Stanowisko niepodległości Litwy przyjmują oni oczywiście, uczestnicząc w Sejmie Ustawodawczym. Ale granice

Litwy na wschodzie są nieokreślone. W tendencjach polskich jest znalezienie takiej formuły, która by mogła rozciągnąć odbudowę Litwy do granic b. Wielkiego Księstwa, to znaczy włącznie z Białą Rusią, i poza tym nawiązanie jej kontaktu w jakiejkolwiek postaci z Polską. Tymczasem formuła rezolucji Sejmowej ujmuje niepodległość „w granicach etnologicznych", a więc węższych, przesądzając je zarazem na rzecz państwa narodowego (Polacy ciążą do formuły państwa narodowościowego, to znaczy narodowo niejednolitego) i – co więcej – głosząc zerwanie wszelkich dotychczasowych związków państwowych Litwy, godzi nie w sam tylko zabór rosyjski, ale i w Unię Lubelską z Polską, którą w d. 15 maja roku 1920 zrywa *de jure* suwerenna wola Konstytuanty. Dla posłów polskich w Sejmie Litewskim był to moment bolesny, tragicznie godzący w całe ich umiłowanie, w całą ich koncepcję, tradycyjnie z pokoleń wysnutą i w długiej niewoli zahartowaną. Wiem od Grajewskiego, jak go ten moment bolał. A przecież posłowie polscy wstali i dali swą sankcję tej bolesnej dla nich formule. Inaczej zrobić nie mogli, chyba by zawczasu, przewidując to, byli opuścili salę. Taki akt, jak proklamowanie Niepodległości, nie mógł być, jak każde inne głosowanie, rozczłonkowywany. Był on aktem, stanowiącym samo podłoże całej działalności i zadania Sejmu Ustawodawczego. Niepodległość Litwy była dotychczas tylko zjawiskiem faktu bez tytułu prawnego. Analogiczną formułę proklamowała przed przeszło dwoma laty Taryba, ale sama Taryba była tylko faktem. Opinia polska w Litwie przyjęła w swoim czasie tę formułę Taryby wrogo. Teraz Sejm Ustawodawczy, wyrażający wolę ludu, musiał na wstępie dać Niepodległości Litwy podstawę prawną przez akt jej proklamacji, co też uczynił. Niepodległość *de facto* stała się odtąd niepodległością *de jure*. Rezolucja o niepodległości została przyjęta przez powstanie całego Sejmu i odśpiewanie przez Sejm łącznie z galerią – hymnu narodowego.
W deklaracji marszałka był też jeden szczególnie moment podkreślenia narodowego charakteru państwa litewskiego. Zaznaczył on, że wybory do Sejmu zadały kłam wrogom Litwy, którzy usiłowali ją przedstawić za jakąś mieszaninę narodów: wybory te dokonane na zasadzie najdemokratyczniejszej ordynacji, dały przeszło 90% głosów Litwinom, i tylko około 6% Żydom, niespełna 3% Polakom i niecały 1% Niemcom. Więc Litwa jest skonsolidowanym krajem jednego narodu – litewskiego! Głosowało bowiem przeszło 90% ogółu wyborców, więc stosunek procentowy podziału narodowego jest miarodajny dla całej ludności. Tak jest – marszałek miał rację, o ile chodziłoby li tylko o Litwę w granicach obecnej linii demarkacyjnej. Ale przecie Litwini żądają Wilna i co najmniej po Niemen pod Grodnem, a wtedy stosunek narodowościowy będzie się bardzo od obecnego różnił. Wtedy albo Litwa stanie się państwem narodowościowym (mieszanym, a nawet jeżeli z przewagą litewską, to także z dużą i terytorialnie określoną mniejszością polską i białoruską), albo, chcąc realizować zasadę państwa narodowego, godząc ją z zasadami demokratycznymi sprawiedliwości i samookreślenia, będzie musiała przyjąć i dla dzielnicy wileńskiej autonomię lub się z nią sfederować albo ustosunkować kantonalnie. Łatwo dziś mówić, gdy się jest w granicach linii demarkacyjnej.

19 maja, rok 1920, środa
Analizować szczegółowo całego tekstu deklaracji marszałka Stulgińskiego, ogłoszonej w dniu otwarcia Sejmu, nie będę. Deklaracja taka jest raczej aktem demokratycznym na zewnątrz, uderzającym na efekt, niż wyrazem życia i rzeczywistych prądów, które się uwydatnią w pracy konkretnej Sejmu. Wspomina ona oczywiście o Wilnie i Kłajpedzie, których włączenie do Litwy pozostaje zadaniem do spełnienia. Wyraża uznanie dla wojska (przyjęte oklaskami wszystkich frakcji włącznie z esdekami, którzy, aczkolwiek w założeniu nie mogą być militarystami, jednak zmuszeni są kokietować armię

litewską, bo, jak się okazało na wyborach, głosowała ona przeważnie na esdeków, gardzić więc nią niepodobna), wyraża przekonanie, że armia litewska nie włoży miecza do pochwy, dopóki całe terytorium Litwy nie będzie wolne; ten zwrot ostatni zawierał oczywiście w warunkach obecnych gest wojenny względem Polaków, trzymających Wilno, chociaż kropki nad i nie postawiono i nie powiedziano, że Litwa zamierza *manu militari* odzyskać Wilno z rąk polskich. W ogóle deklaracja marszałka unikała zwrotów jaskrawych i nie nazwała nigdzie po imieniu wrogów Litwy, ilekroć o nich wspomniała. Mówiąc o jednolitości narodowej Litwy, ujawnionej na wyborach, i o znikomym odsetku mniejszości narodowych, deklaracja dodaje natychmiast, że naturalnie mniejszości te będą miały w Litwie zupełną wolność praw narodowych. Stwierdzając, że Litwa będzie republiką demokratyczną, że dążyć będzie do rozbrojenia powszechnego, do związku narodów, do rozstrzygania sporów międzynarodowych na drodze sądów rozjemczych, deklaracja stwierdza też pragnienie zgodnego współżycia zwłaszcza z narodami sąsiednimi. Nigdzie słowem – nie akcentuje wrogiego stosunku specjalnie do Polski, nie porusza bezpośrednio polsko-litewskiego zatargu, raz tylko go pośrednio dotykając w prawnym ustępie o uwolnieniu terytorium litewskiego. W programie prac Sejmu w dziedzinie stosunków wewnętrznych wspomina o ideowych raczej, niż konkretnych założeniach – reformę agrarną, opiekę społeczną pracy, rozwój handlu i przemysłu itd. Wreszcie w deklaracji marszałka był ustęp, upoważniający tymczasowego prezydenta Smetonę, rząd i wodza naczelnego do czasowego pełnienia nadal obowiązków, dopóki Sejm nie zajmie się organizacją władzy najwyższej. Nie był to mandat tego rodzaju, jaki Sejm polski w r. 1919 udzielił Piłsudskiemu, obwołując go Naczelnikiem Państwa do czasu uchwalenia konstytucji. Tu upoważniono Smetonę i rząd jeno do faktycznego pełnienia obowiązków do czasu rozpoznania przez Sejm kwestii czasowej organizacji władzy najwyższej. Gdy marszałek wypowiedział to życzenie Sejmu, zwracając się do loży prezydialnej Smetony, ten ostatni powstał i złożył ukłon Sejmowi, na który prawica chrześcijańsko-demokratyczna odpowiedziała również powstaniem z miejsca; ludowcy i esdecy nie powstali, a na następnym posiedzeniu esdek poseł Węsławski z Szawel wystąpił wobec marszałka z zarzutem, że z własnej inicjatywy, nie badając woli Sejmu, dał to upoważnienie Smetonie i rządowi. Obecnie w Sejmie są na porządku dziennym sprawy regulaminu, podziału na komisje i amnestii. Regulamin został przyjęty wczoraj, podział na komisje ma być dyskutowany, projekt amnestii, zainicjowany przez lewicę, opracowuje komisja specjalna, do której dopuszczony też został z grona Polaków poseł Grajewski. Sprawa amnestii porusza pewne namiętności w Sejmie; tu chrześcijańscy demokraci przeciwstawiają się esdekom, ludowcy zachowują się dość wymijająco, Polacy przywiązują do tej sprawy wielką wagę, dążąc do rozciągnięcia amnestii na spiski polskie. Co do ludowców, to, jak słychać, zaczynają się oni stawiać w roli centrum pojednawczego i ujawniają dość wyraźnie tendencje do koalicyjnego współpracownictwa z większością. Zdaje się, że jednym z głównych rzeczników kompromisu jest poseł Rimka z „Valstiečių Sąjungos". Esdecy zaczynają się gniewać na ludowców za ich skłonności kompromisów i wróżą, że kompromis ten będzie dokonany kosztem wyrzeczenia się zasad przez ludowców, to znaczy będzie ich kapitulacją, nie zaś kompromisem ustępstw wzajemnych. Równolegle też do tendencji kompromisowych u ludowców, rośnie i akcentować się zdaje prąd do radykalnej opozycji u esdeków, którzy odmówili już udziału w prezydium sejmowym, gotują się do ostrej krytyki. Mówiąc o tych tendencjach, trzeba mieć na względzie, że nie są to jeszcze decyzje i fakty skrystalizowane, jeno zwroty kiełkujące, które są jeszcze dość płynne i wrażliwe na wszelki podmuch, na wszelką kombinację.

20 maja, rok 1920, czwartek

Przyjeżdżając do Kowna, nie przypuszczałem, że pobyt potrwa tak długo. Tak się jednak złożyło, że sprawy leśne (pozwolenie na wyrąb) nie pozwoliły mi wyjechać wcześniej. Musiałem doczekać się, aż pozwolenie otrzymam do rąk, w przeciwnym razie bowiem wysłano by mi je przez nadleśnego, co trwałoby tygodnie, zanim bym je otrzymał. Gdyby wiedział, że będę musiał czekać dotychczas, bym był wyjechał i wrócił na dziś. Ale na razie musiałem czekać do ubiegłego piątku, by się rozmówić z Matulonisem w sprawie owego zastrzeżenia na rzecz potrzeb miejscowych, potem – do wtorku, bo mi na wtorek wyznaczył sekretarz Departamentu, Mejer, rozpatrzenie szczegółowe moich papierów i ustalenie szczegółów pozwolenia, wreszcie okazało się, że trzeba złożyć w Departamencie kopię planu leśnego, wobec czego musiałem ją obstalować i czekać do dnia dzisiejszego, bez tego bowiem nie mógłbym pozwolenia otrzymać. Wreszcie dziś wszystko gotowe i jutro wyjeżdżam. Pozwolenie otrzymałem na wyrąb 8.40 dziesięcin (9.13 hektarów) w lesie staczeraskim. Na planie wyznaczone zostały dokładnie działki, przeznaczone do wyrębu. Co do zastrzeżenia na rzecz potrzeb miejscowych, to Matulonis go nie cofnął i cofnąć nie mógł, ponieważ wydane zostało rozporządzenie ogólne w tym względzie, dotyczące bezwzględnie wszelkich pozwoleń. Nie chodzi tu jednak specjalnie o ludność miejscową, zwłaszcza w obrębie gminy, ale o potrzeby wewnętrzne, to znaczy krajowe i o użyteczność publiczną sprzedawanego towaru; chodzi więc o to, aby nie mniej połowy udzielonego do wyrębu lasu zużytkować (w drodze oczywiście sprzedaży) na potrzeby państwowe (np. dla kolei), samorządów lub odbudowy prywatnej w kraju. Na rzecz tych zastrzeżonych 50% zalicza się też drzewo, brane z lasów prywatnych przez gminne komisji leśne. To same rozporządzenie zawiera inne jeszcze ograniczenia: mianowicie pozwolenie musi być zrealizowane w ciągu dwóch miesięcy; w przeciwnym razie traci ono moc i oczywiście należy to chyba w ten tylko sposób rozumieć, że trzeba w terminie dwumiesięcznym przynajmniej zakontraktować sprzedaż lasu i rozpocząć wyrąb, bo gdyby w ciągu dwóch miesięcy trzeba było cały wyrąb zlikwidować, to ze względu na krótki termin pozwolenie byłoby nie wykonalne. Jutro wyjeżdżam do Kowaliszek, stamtąd – do Bohdaniszek. Kupca Rabinowicza wezwę dla sporządzenia kontraktu na las – do Poniewieża. Albo kupiec Rabinowicz przyjmie na siebie zastrzeżenie 50% na potrzeby krajowe albo, gdy tego przyjąć nie zechce, sprzedam mu tylko wyrąb na 4 dziesięcinach, jako wolnych od zastrzeżenia.
Upały są tak nieznośne, że pobyt w mieście jest prawdziwą torturą. Nowin dzisiaj z Sejmu nie mam. Nie miałem dziś bowiem okazji rozmawiania z nikim z posłów, a Grajewskiego, z którym się codziennie dotąd spotykałem i gawędziłem zawsze długo, nie widziałem dziś wcale. Zresztą dzień był dziś pracowity w Sejmie, więc posłowie nie mieli czasu na wałęsanie się; miałem nawet dziś możność dostania się do Sejmu na sesję ranną za biletem pozawczorajszym, ale, będąc zajęty w Departamencie Leśnym, nie poszedłem. Szkoda, bo jak mię doszły ze strony echa z Sejmu, obrady były dziś burzliwe. Nastąpiły, zdaje się, pierwsze ostrzejsze starcia, pierwsze wybuchy sporów i namiętności. Jest to ciekawe nie tylko jako widowisko ze smaczkiem skandalu, ale zwłaszcza jeno jaskrawsze zarysowywanie się prądów i gry interesów na arenie parlamentarnej. Posiedzenia dziś były w Sejmie dwa – przed obiadem i wieczorem. Toczyły się gorące dyskusje w sprawie zasad amnestii, która zresztą jeszcze podobno uchwalona nie została, bo komisja projektu jeszcze nie przedstawiła, i były też jakieś momenty utarczek innych, w szczególności w stosunku do rządu (podobno przemawiał prezes ministrów Gałwanowski, a ukazanie się jego na mównicy było przyjęte na lewicy z ostrym protestem, w szczególności podobno Ślażewicz darł się i wołał do Gałwanowskiego: „Tu nie ma miejsca dla pana!”). Zresztą nie znam przebiegu obrad.

Napisałem wczoraj dwie korespondencje do dziennika „Naród", wychodzącego w Warszawie jako wielki organ centralny stronnictwa demokratycznego. Korespondencje te ułożyłem w postaci „listów z Litwy". Jeżeli „Naród" zechce skorzystać z moich korespondencji, które mu proponuję, i drukować je, to mam zamiar czynić to nadal systematycznie. Oczywiście, tylko pod warunkiem, że ja się dostosowywać do tendencji politycznej „Narodu" lub jakiegokolwiek stronnictwa polskiego w sprawie Litwy – nie będę, na przykład, gdy ze względu na ich program polityczny Litwa obecna jest niedogodna, wobec czego chcą jeno dyskredytowania jej za wszelką cenę – ja do takiego naciągania korespondencji do celów politycznych w Litwie i w szczególności w związku z Sejmem nie zmierzam, bo ta funkcja, moim zdaniem, użyteczna, choć może niezupełnie dogadzająca popularnym dążeniom polityki polskiej w sprawie litewskiej, jest bardzo zaniedbana, a jakie sobie dany organ będzie poza tym wypisywać artykuły polityczne w sprawie litewskiej – to mię już nie obchodzi. Ja chcę jeno, jeżeli się da, informować. Korespondencje te wysłałem *via* Wilno przez okazję.

21 maja, rok 1920, piątek
Rano wyjechałem z Kowna, zabierając ze sobą resztę rzeczy, które były złożone na przechowaniu u p. Francuzowiczowej. Upał był wściekły, w przepełnionych wagonach duszno do niemożliwości. Podług zmienionego rozkładu jazdy, podróż z Kowna do Rakiszek została skrócona. Z Kowna wyjeżdża się o godz. 7 rano, przed południem jest się w Radziwiliszkach. Pociągi na tej linii chodzą nie gorzej, niż przed wojną, porządek i ścisłość w ruchu – wzorowe. W Radziwiliszkach siedzi się do godz. 2; postoje na stacjach między Radziwiliszkami a Jodłówką zostały tak skrócone, że do Rakiszek przyjeżdża się o godz. 9 wieczorem zamiast o 1 w nocy. Wagony były dziś przepełnione ze względu na zbliżające się Zielone Świątki; zwłaszcza żołnierzy moc jedzie na urlop. Jechałem klasą III wśród podróżnych Litwinów. Nigdzie bodaj tak, jak w wagonie klasy III, nie ma tyle sposobności i materiału do studiowania psychologii ludu, jego popularnych nastrojów i charakteru. Ludzie obcy, przygodni, nie związani względami żadnej dyplomacji i kurtuazji, wypowiadają się w rozmowach swobodnie, co komu na sercu leży. Gdy się w Bohdaniszkach spotkam i rozmawiać będę z chłopem, ten zawsze pamiętać będzie, że mówi z „panem", z „obszarnikiem" i odpowiednio ważyć będzie słowa i miarkować swoje myśli. W wagonie względów nie ma. Charakterystyczne są pojęcia ludowe o swobodzie. Dla chłopów Litwinów, dla żołnierzy litewskich – Litwa – to oni, to masa chłopska, mówiąca po litewsku; Litwa jest dla nich zarazem synonimem wolności, a wolność ta jest wolnością litewską. Ta wolność litewska nie jest jednak wolnością powszechną, nie jest równością; jako „litewska", polega ona na uprzywilejowaniu Litwinów, to znaczy w pojęciu ludowym – chłopów i robotników, i wszystkiego, co litewskie. Teraz jest Litwa, jest wolność, więc... element obcy musi się Litwinom i elementowi litewskiemu podporządkować. Wniosek z wolności czyni się nie ten, że każdy jest wolny, jeno ten, że wszystko się musi do większości dostosować. Konsekwencje stąd dla Polaków, dla języka polskiego, dla ziemian, w ogóle dla mniejszości wszelkich – nie mają bynajmniej tendencji wolnościowych w popularnych nastrojach ludowych. Przeciwnie – mówić po polsku – to zdaje się być gwałceniem wolności litewskiej, przeżytkiem niewolniczej przeszłości, czymś, co może być tolerowane jako łaska litewska, jako dowód wyrozumiałości i dobroci Litwinów, ale nie może być z tytułu wolności uprawnione. Ciekawa rzecz, że zupełnie analogiczne popularne pojęcia wolności są u ludu polskiego i u żołnierzy polskich w Polsce. Tam także wolność jest identyfikowana z polskością i większością. Miał rację mój stary profesor Albert Sorel w *Ecole des Science e Politiques w Paryżu*, gdy, wykładając dzieje Wielkiej Rewolucji Francuskiej w jej stosunkach z Europą,

twierdził, że pojęcie wolności jest względnym i że każdy naród i każdy lud pod wolnością pojmuje li tylko swoją wolność własną, to znaczy realizację tego, czego on pragnie i to co uważa za urzeczywistnienie wolności, chociaż w istocie czyni się to przez zniewolenie innych: gdy rewolucyjna Francja zdobywała Belgię i narzucała ludności belgijskiej swoje urządzenie rewolucyjne, czyniła to w imię wolności; w imię tejże wolności klerykalna Belgia powstawała przeciwko rewolucyjnej wolności francuskiej. „*La liberte – c'est moi*"[31] – takim jest dla ludów popularny aksjomat wolności. Polska, które poczucie własnej wolności ma rozwinięte w najwyższym stopniu, w swojej ekspansji na wschód nie czuje deptania wolności cudzej, przeciwnie – wierzy święcie, że spełnia duch wolności wszędzie, gdziekolwiek wkroczy. Co mówić zresztą o ludzie, o masie żołnierskiej polskiej, o oficerach młodej armii polskiej, kiedy nawet rycerze tej miary, co Piłsudski, ludzie instynktu i czynu wolności, mają inną miarę wolności polskiej, inną – wolności cudzej! To samo jest u Litwinów. W ich przekonaniu popularnym, odzyskanie na przykład Wilna miałoby być rozciągnięciem nań tej wolności litewskiej, choć może dla Wilna byłaby ona formą gwałtu. Zresztą utożsamienie wolności z przywilejami większości wypływa logicznie ze współczesnej demokracji, która lud podnosi do wyżyn suwerena, parlamenty i rządy w dobie przewrotów współczesnych schlebiają ludowi jak dawni dworacy monarsze, kadzą mu i kaprysy ludu, jego ambicje i popularne chęci przyjmują za podstawy prawa. Jest to system nie tyle wolności, ile samowładztwa i despotyzmu większości ludowej.
Jest u Litwinów dziś jedna wielka rzecz, której im jeszcze w roku zeszłym brakło: mają oni własną wielką legendę bohaterstwa czynnej walki o wyzwolenie. Wygnanie w jesieni r. 1919 bermondtczyków było dziełem nie układów, lecz bezpośredniego odruchu ludowego. Nie rząd tylko, nie regularna armia, ale bezpośrednio odruch powstańczy ludu poparł akcję zbrojną wolnych strzelców i jeno później uzupełniony działaniem regularnej armii – uwolnił Litwę od tego najazdu. Dla Niepodległości Narodu taka legenda jest nieocenionym kapitałem ideowym, na którym się zasadza jego odporność. Tylko ten Naród utrzyma Niepodległość i będzie ją cenić oraz gotów będzie do ofiar, który czynnie do zdobycia jej się przyłożył, który o nią walczyć musiał i chciał. Niepodległość, która spadnie z nieba jako dar wypadków nigdy dla Narodu tej ceny mieć nie będzie.

22 maja, rok 1920, sobota
Cały dzień dzisiejszy spędziłem jeszcze w Kowaliszkach. Wiedząc, jak teraz trudno o konie, nie prosiłem w Kowaliszkach o nie, jeno posłałem pieszego chłopaka do Bohdaniszek do Jakszuka, aby przysłał po mnie stamtąd konia, co też Jakszuk uczynił, ale koń przyszedł dopiero o godz. 10 wieczorem. W Kowaliszkach zastałem już Witolda Komorowskiego, brata Zysia, który w marcu roku zeszłego za czasów bolszewickich był wraz z Julkiem aresztowany w Kowaliszkach przez bolszewików i następnie wywieziony do Rosji w liczbie zakładników. Siedział on wraz z Julkiem i większością zakładników, pochodzących z Litwy, w Smoleńsku (wielu moich znajomych z ich liczby, jak Stanisław Rosen, Władysław Wołłowicz i inni, zmarło tam na tyfus). Julek wrócił nieco wcześniej, w marcu (przy wymianie zakładników między Polską i Rosją), i dotarł do Kowaliszek jeszcze za życia ojca. Witold wrócił z Rosji z jedną z późniejszych partii, w początku kwietnia, a dopiero teraz, w maju, przyjechał do Kowaliszek.
W Kowaliszkach zastałem też garstkę listów do mnie, przywiezionych z Wilna przez Witolda Komorowskiego. Jest tam list od Elwiry, od p. Jadwigi Komorowskiej,

[31] (fr) Wolność – to dla mnie.

sędziego Chabowskiego i sędziego Makowskiego z Łomży. Od Lusi Roszkowskiej nie ma nic, co mię dziwi, bo ta były najprędsza do pisania do mnie. Od Chabowskiego dowiaduję się, że nie tylko że jeszcze dymisji mojej ze stanowiska sędziego okręgowego w Łomży nie ma, ale Ministerium Sprawiedliwości w Warszawie zawiadomiło prezesa Filochowskiego, że dymisja udzielona mi być nie może (list Chabowskiego datowany jeszcze z kwietnia). Oczywiście teraz rzecz się musiała wyjaśnić i dymisja moja z konieczności musiała chyba już być przyjęta. Pieniędzy jednak z pensji mojej Chabowski mi nie przysyła, bo ich bez osobistego mojego stawiennictwa mu nie wypłacono.
Są tu pogłoski – nie wiem, o ile prawdziwe – że w tych dniach Polacy zajęli Dyneburg po walce z Łotyszami, których siłą zbrojną usunęli. Rzeczywiście, słychać tu było przez dni kilka huk dział od strony Dyneburga, ale sam huk mógł pochodzić z innych przyczyn. Jeżeli pogłoska ta jest prawdziwą, to mamy oto krwawy wojenny finał niedawnego flirtu polsko-łotewskiego, wytwarzanego tak kunsztownie przez Leona Wasilewskiego i mającego się stać kluczem do hegemonii Polski nad Bałtykiem. Polska, kokietując z Łotwą dla swej polityki w myśl ulubionej koncepcji Piłsudskiego, zdobyła na bolszewikach dla Łotwy Inflanty (Łatgalię), licząc na jej wdzięczność. Łotwa kąsek wzięła, ale zamiast zań Polsce podziękować, stanęła do układów pokojowych z bolszewikami na własną rękę, nie oglądając się na Polskę, o co tejże najbardziej chodziło. Polska wycofała wtedy swe wojska z łotewskich Inflant, których stolicą jest Dyneburg, zostawiając Łotwę jej własnemu losowi. Czyżby teraz Polska miała odbierać od Łotyszów Dyneburg, przekreślając własne decyzje poprzednie i wtrącając Łotwę do obozu kategorycznych wrogów Polski? Zaczekajmy na wieści autentyczne.
Chcę jeszcze pomówić o posłach polskich w Sejmie litewskim. Z nich znam się i stykałem się teraz ciągle w Kownie z jednym tylko Grajewskim, o dwóch innych zaś wiem tylko ze słów Grajewskiego i poniekąd z osobistej mojej obserwacji na paru posiedzeniach Sejmu. Wszyscy oni są ludźmi dobrej woli i nawet, zdaje się, są usposobieni osobiście dość pojednawczo wobec Litwy i jej Sejmu (przynajmniej Grajewski, i ten, zdaje się, najbardziej). Ale przede wszystkim żaden z nich nie ma właściwie kwalifikacji politycznych na posła ani na mówcę sejmowego, zwłaszcza na tak trudnym i odpowiedzialnym stanowisku, jak w obecnych warunkach posłów polskich w Sejmie litewskim. Nie są to politycy zawodowi, tym mniej – mężowie stanu, a nade wszystko brak im temperamentu politycznego. Są chwiejni, niezorientowani co do roli swojej, o wiele więcej przejęci uczuciem, niż jakąś określoną myślą lub programem politycznym, nie zdający sobie dotąd sprawy, czy mają być li tylko przedstawicielami mniejszości narodowej polskiej w Litwie, co by oczywiście znakomicie upraszczało ich zadanie, ale co nie jest zgodne ani z ich własnym postulatem państwowym, który ich skłania do wyznawania wielkiej Litwy, w odrestaurowanych granicach historycznych, jak im ich uczucie dyktuje, ani nawet z koncepcją państwową samych Litwinów, żądających Wilna i większej części b. guberni wileńskiej, a nawet i gub. grodzieńskiej, czy też mają się uważać przede wszystkim za Polaków w litewskim Sejmie i za rzeczników polityki polskiej jeżeli nie państwa polskiego, to przynajmniej tych także części kraju, które są położone poza linią demarkacyjną i które dziś formalnie w Sejmie reprezentowane nie są. Nie ulega wątpliwości, że ewentualne połączenie Wilna i gub. wileńskiej z Litwą zmieniłoby radykalnie i stanowisko Polaków w państwie litewskim i ich stosunek liczebny do elementu litewskiego i w Sejmie, i w kraju, a przeto i rolę polityczną posłów polskich. Wtedy słowa marszałka Stulgińskiego w deklaracji inauguracyjnej Sejmu o skonsolidowanej jednolitości narodowej Litwy i o znikomości mniejszości narodowych

nie odpowiadałoby co do Polaków rzeczywistości. Wilno zasiliłoby ogromnie element polski. A wszak sami Litwini żądają Wilna. Wtedy Polacy zbliżają się do roli współrządzącego gospodarza w państwie, mogą kompetentniej i zasadniej podnosić postulat kontaktu związkowego z Polską a już w każdym razie żądać dla siebie wewnątrz państwa – statutu osobnego, czy to federacyjnego, czy kantonalnego, czy autonomicznego.
Toteż posłowie obecni polscy są skłonni nie uważać siebie tylko za reprezentantów mniejszości polskiej w obecnych granicach demarkacyjnych, ale za rzeczników polityki polskiej, która musi się liczyć co najmniej z Wilnem i prądom polsko-wileńskim wyraz dawać.

23 maja, rok 1920, niedziela
Jak tylko przysłano do mnie wczoraj konie z Bohdaniszek, spakowałem rzeczy i wyjechałem zaraz. Do Bohdaniszek przyjechałem o godz. 3 rano. Przespałem się prawie do południa. Mój pokój sypialny w Bodaniszkach mieści się w dawnym sypialnym Mamy, niegdyś za naszych lat dziecinnych – tzw. dziecinnym pokoju, który też był wówczas pokojem szkolnym. Gabinet mój do siedzenia we dnie zainstalowałem w starym salonie, najbardziej stylowym i poważnym; patrzą tu na mnie ze ścian portrety familijne przodków, począwszy od starego Matyasza Römera z w. XVII; garnitur starych mebli herbowych Römerowskich, lustra duże w kasztanowej oprawie, stojące naprzeciw siebie niewzruszenie tak dawno, jak tylko pamięć moja sięga, takiż kasztanowej barwy stół salonowy naprzeciw kanapy herbowej, etażerka barwy wiśniowej w stylu *empire*, równie odwieczna na swoim miejscu, ściany wytapetowane na ciemno, parkiet. Nie potrzebuję mówić, jak mię wzrusza głęboko otoczenie bohdaniskie, ile we mnie budzi wspomnień tęsknych, ile głębokich życia ech dalekich, splatających się z Mamą, dzieciństwem naszym i tylu, tylu innymi epizodami słodkiej przeszłości! Gdyby już Bohdaniszki były moje, gdybym mógł się w nich swobodnie rozporządzać, zaangażowałbym przede wszystkim trzy osoby: mego przyjaciela Józefa Petrulisa do kierownictwa gospodarstwem, Anusię Dyržisówną do gospodarstwa kobiecego i Kazimierza Jankowskiego do domu. Wtedy bym się dopiero czuł tu w Bohdaniszkach w otoczeniu najbardziej swojskim i stylowym. Bzy kwitną jeszcze, aromat pyszny. Mleko świeże z udoju, litewskie piwo domowe (alus) – uzupełniają rozkosz wsi.
Wracam jeszcze do niedokończonego wczoraj tematu o posłach polskich w Sejmie litewskim. Brak temperamentu i indywidualności politycznej tych posłów czyni ich biernym narzędziem Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego z młodym Janczewskim na czele. Że frakcja poselska ma swój organ porozumiewawczy, ma pewne stałe środowisko swoich wyborców, z którym się komunikuje – to bardzo naturalne. Niezupełnie jednak dobre jest to, że sami posłowie osobiście nie umieją wykrzesać z siebie określonej koncepcji i za mało wnoszą sami inicjatywy do tego organu porozumiewawczego. Ponieważ bądź co bądź aktorami są oni, więc byłoby lepiej, gdyby sami mieli pewne mocniejsze tendencje osobiste w graniu swych ról. Skoro jednak jest tak, jak jest, to zależy bardzo na tym, aby dobór osobisty Komitetu, któremu ulegają posłowie polscy, był jak najlepszy i aby były w nim reprezentowane wszystkie odcienie i kierunki opinii krajowej polskiej. Rej wodzi w Komitecie młody Janczewski, człowiek podobno sprężysty i niegłupi, ale, zdaje się, zbyt jednostronnie hołdujący programowi federacyjnemu w stosunku do Polski o zabarwieniu interwencyjnym, w stylu wileńskiego II oddziału i kliki Abramowicz-Zan-Kognowicki. Dlatego też, o ile zamieszkam w Kownie, chcę się postarać wejść do tego Komitetu, aby w nim także głos zdobyć i udział we wpływach na polityką posłów polskich w Sejmie.

Być może, że za pośrednictwem Łukomskiego, który także brał udział w kampanii wyborczej polskiej i nawet kandydował z jednego z okręgów, a więc prawdopodobnie mógłby brać udział w Komitecie i będzie mógł się mię zastąpić, uda mi się tego dopiąć. Ci nasi trzej posłowie polscy są przede wszystkim uczuciowcami. Atmosfera konfliktu polsko-litewskiego i płynącej stąd nieufności i niechęci do Polaków u większości litewskiej w Sejmie – zraża naszych posłów polskich i nastraja ich nawet przygnębiająco. Grajewski myśli nawet o wycofaniu się osobistym z Sejmu. Posłowie polscy całym sercem, całą swoją psychiką starolitewską, która niegdyś utożsamiała Litwę z Polską, kochają ideę Unii Lubelskiej. Bolesnym było dla nich uchwalenie rezolucji niepodległościowej, zrywającej jednocześnie te więzy, które Unia Lubelska wyrażała. Sprawa dopuszczania języka polskiego w przemówieniach sejmowych (poseł Snelewski po litewsku nie mówi) i sprawa amnestii w kwestii, czy ma być ona rozciągnięta na spiskowców polskich, są też sprawami drażliwymi dla posłów polskich.

24 maja, rok 1920, poniedziałek
Rozpocząłem dziś czynności w Bohdaniszkach od tego, że udałem się rano do Boniuszek dla rozmówienia się z gospodarzami tej wsi w sprawie ich inwazji do Kumsz. Wieś Boniuszki nagle w tym roku zgłaszać zaczęła roszczenia do części Kumsz, należących zawsze bez żadnego sporu do Bohdaniszek, jak również do Jeziora Kumszańskiego, który należy w połowie do Pokrewnia i w połowie do Bohdaniszek. Zimą, kiedy krewieńska gminna komisja leśna nakazała sprzedaż drzewa dla wiosek z lasów bohdanskich, Boniuszki zgłosiły pretensję do pieniędzy, należnych za drzewo, wyrąbane w Kumszach. Pieniądze te pozostały dotychczas, ze względu na ten spór, w depozycie komisji. Gdy Kumsze zostały na wiosną oddane w dzierżawę niejakiej Niemickiej czy Namickiej, Boniuszki zabroniły dzierżawczyni korzystania z części pola i z pastwiska w zaroślach, stanowiących pozostałość byłego lasu, natomiast same, na zasadzie jakiejś własnej uchwały wiejskiej, zagarnęły część Kumsz, wyznaczyły w nich sobie samowolnie nową granicę i najspokojniej pasą tam swoje bydło i konie, jakby to już była ich własność. Co do jeziora, zabroniły naszemu dzierżawcy łowienia ryb i same sobie łowią rybę.
W Boniuszkach zaszedłem do sołtysa (starosty) Jana Balczunasa, który na świadka tej rozmowy wezwał gospodarza Adamonisa. Wyłuszczyłem więc im nielegalność działania Boniuszek, powiedziałem, że jeżeli uważają, iż ta część Kumsz należy do nich, to mogą sobie dochodzić własności w drodze sądów, ale w żadnym razie nie zagarniać samowolnie posiadania naszego; że chociaż pragnąłbym żyć z sąsiadami w stosunkach przyjaznych, nie pozostanie mi innej drogi, jak zaskarżyć Boniuszki do sądu o zakłócenie posiadania i o wynagrodzenie szkód i strat, o czym ich uprzedzam i co też w przyszłym tygodniu uczynię, o ile nie zechcą oni pojednać się ze mną dobrowolnie i ustąpić z własnej woli. Balczunas i Adamonis oświadczyli, że chociaż oni sobie zdają sprawę, iż podług obowiązujących tymczasowo ustaw „rosyjskich” oni sądownie dojść własności nie mogą, to jednak w istocie sporna część Kumsz należała rzekomo dawniej, jak najstarsi ludzi jeszcze pamiętają, do nich i musiała być od nich przez dwór niezasadnie odebrana i przywłaszczona, tymczasem czekają oni, jak Sejm tego rodzaju kwestie sporne między wsiami i dworami rozstrzygnie. Zaznaczali, że wieś się kieruje uchwałą ogólną, powziętą na zgromadzeniu gospodarzy całej wsi, dodając, że oni zgromadzenie zwołają znowu i zakomunikują mu moje słowa. Widać było jednak, że tendencji do ustępstw niema i że wieś liczy, iż przez zagarnięcie faktycznie spornej części Kumsz nada ona roszczeniom swoim większą moc. Choć rozstaliśmy się z Balczunasem i Adamonisem uprzejmie i choć na pożegnanie pogawędziliśmy sobie przyjaźnie o innych rzeczach, czuję i przekonany jestem, że bez sądu tu nie się obejdzie.

Oczywiście, że dla obrony posiadania zbyteczne mi jest demonstrować i wykazywać tytuł własności; wystarczy mi udowodnić fakt ciągłego spokojnego posiadania i zakłócenia tegoż przez Boniuszki. Ale, swoją drogą, po powrocie z Boniuszek zajrzałem do starych planów bohdaniskich. Przekonałem się, że na starym planie jeszcze r. 1843, czyli na dwa lata przed urodzeniem Papy, a więc jeszcze głęboko za czasów poddaństwa, granica między Bohdaniszkami a gruntami Boniuszek, które należały wtedy do wiosek poddannych Pokrewnia Weyssenhoffów, biegły w Kumszach zupełnie tą samą linią, co do ostatnich czasów. Twierdzenie więc Boniuszek, jakoby niegdyś część Kumsz do nich należała i były potem w jakiś sposób zaanektowana do Bohdaniszek, jest wyssane z palca; jest to po prostu wymysł dla legalnego upozorowania roszczeń, które pochodzą wyłącznie z apetytów i nawet przedawnionego, ale więc wyczerpującego tytułu prawnego nie posiadały nigdy. Oto po prostu chłopi próbują, czy się im nie uda czego zagarnąć. Roszczenia ich mają źródło li tylko w apetytach. Reformę rolną pragnęliby oni pojmować nie jako udzielenie warsztatów produkcji rolnej dla tych producentów-rolników, którzy ich nie mają, ale po prostu jako wzbogacenie się na sąsiednich z dworami wiosek. Zapewne słyszeli o tym, że reforma agrarna nie polega na pospolitym nasyceniu apetytów wiosek, toteż chcą sobie stworzyć podstawy szczególne dla uszczknięcia kąsków dworskich pod pozorem sporu szczegółowego, który by był rozstrzygnięty poza ogólnymi tezami reformy agrarnej. Utożsamiając „wolność litewską" z faworyzacją chłopów, są przekonani, że Sejm ludowy, skoro ma być sprawiedliwy, powinien zawsze dać rację chłopom we wszystkich spornych sprawach z dworami. W ich pojęciu, wszystko, co dziś wypada na niekorzyść chłopów, jest wyrazem praw rosyjskich, prawa zaś sejmowe litewskie powinny być nie dla panów, a więc dla chłopów sprzyjające i dogadzające ich apetytom. Wtedy będą one sprawiedliwe i wolnościowe.

25 maja, rok 1920, wtorek
Z Jakszukiem jakoś godzę się. Nie jest on dla mnie sympatyczny i zachowanie się jego razi mnie pod wielu względami. Ale doceniam to, że jest sprytny i zaradny, a taki jest Bohdaniszkom w tym czasach potrzebny. Przekonany jestem, że Jakszuk nie jest uczciwy i że na niejednej rzeczy korzysta w Bohdaniszkach nielegalnie, ale jest tak zręczny, że się złapać nie da i wszystko ma upozorowane. Gdybym jednak miał osiąść na stałe tutaj, nie lubiłbym takiego, jak Jakszuk, doradcy. Choć jest on być może praktyczny i z tego tytułu mógłby być nawet użyteczny dla mnie, nie znającego się na sprawach rolniczych, jednak przykrym jest przez to, że się rozpiera i lubi panować. Należy on do kategorii takich ludzi, którym zależy na tym, aby grać pierwsze skrzypce, i którzy żądni są nie tylko samej władzy, ale także jej jaskrawości widomej. Wszędzie się on ze swoim „ja" na pierwsze miejsce pcha, jak gdyby w Bohdaniszkach on był pierwszą osobą; jest w jego stosunku do mnie pewien ton protekcyjny, który mi nie jest przyjemny. Jakszuk ma naturę ambitną, zazdrosną i w gruncie chciwą władzy. Nie może on znieść, abym załatwił z kimkolwiek jakiś interes bez niego; chodzi mu niezmiernie o to, aby czynić wobec ludzi wrażenie, że czynnikiem faktycznie decydującym jest on i że nic się tu bez niego nie robi; jest o autorytet swój tak zazdrosny, że wszystko by raczej zniósł, niż decyzje arbitralne moje, powzięte przeciwko niemu. Chociaż to dla mnie nieraz bywa przykrym, a zwłaszcza krępującym, tak że nieraz umyślnie nie wzywam ludzi do siebie, lecz sam do nich idę, aby uniknąć tej krępującej mię pozy Jakszuka w jego obecności, jednak na ogół muszę go tolerować takim, jakim jest, po pierwsze, dlatego, że istotnie jest on dla mnie, mało się znającego na sprawach gospodarskich, z konieczności rzeczoznawcą i informatorem praktycznym, a po wtóre dlatego, że jest on z ramienia Papy, więc bez jakiejś szczególnie ważnej

przyczyny nie mógłbym go samowolnie zastąpić kim innym, tym bardziej, że on reprezentuje ciągłość zarządu Bohdaniszek, podczas gdy ja jestem tu czasowo i doraźnie i że sam sobie zdaję sprawę z tego, iż w obecnych warunkach rządca energiczny i sprytny, jak Jakszuk, jest dla Bohdaniszek użyteczny. Wścibstwo Jakszuka, które tłumaczę ambicją jego i zazdrością, mogłoby być tłumaczone także obawą ujawnienia jakichś jego grzechów, czemu zapobiega on przez staranie zawsze wtrącenie swego pośrednictwa i usiłowanie niedopuszczenia mię do bezpośredniego stosunku z interesantami. Zdaje się jednak, że się nie mylę, iż ambicja i zazdrość zawodowa o wpływy i władzę są cechami jego charakteru, określającymi główne pobudki jego zachowania się. A skoro tak, skoro ten człowiek ma takie słabostki, to co do moich obaw w uczciwości jego uspokaja mię. Bo złodziej pospolity byłby raczej pochlebcą i najuniżeńszym wobec mnie; słabostki ambicji i zazdrości wskazują, że człowiek ten ulega pewnym namiętnościom, które są zawsze piorunochronem względem innych pobudek, jak pospolita chęć zysku. Jakszuk, choć bywa przykry, ma w Bohdaniszkach niewątpliwe zasługi. W tegorocznej zimowej przymusowej sprzedaży drzewa z lasów bohdaniskich – ocalił on dużo towaru i miał z tym pracy ogrom; również bardzo dzielnie potrafił bronić dwór od nadmiernych ciężarów rekwizycji. Żona ustami Jakszuka jest nie tylko bardzo użyteczna, gotująca i doglądająca inwentarze (cieląt, krów, świń i ptactwo) bez żadnej umowy i specjalnego nagrodzenia, ale też jest b. miła.
Byłem dziś w Kumszach u dzierżawczyni Namickiej, obejrzałem samowolne granice, ustanowione w Kumszach przez Boniuszki, a po obiedzie miałem gości w osobie mego starego znajomego i wielkiego przyjaciela, gospodarza Justyna Malca z Rukiel.

26 maja, rok 1920, środa
Po raz pierwszy się kąpałem w tym roku. Jak zawsze, kąpałem się w dużym stawie na polu przy drodze pokrewieńskiej – zwykłym miejscu kąpielowym w Bodaniszkach. Kąpiel były wyśmienita. Woda w stawie czysta, bo dokoła rośnie żyto, więc bydło do stawu nie podchodzi. Przepłynąłem parę razy przez staw, potem po wyjściu z wody długo siedziałem na brzegu nagi, schnąc w słońcu i tonąc w kontemplacyjnej rozkoszy natury. Słoneczny gorący dzień, aromat majowy, woda w kąpieli ciepła jak grzana, powierzchnia stawu w przedwieczornej ciszy (godz. 5-6 wieczór) gładka i nieruchoma, nad nią fruwają i sadowią się na trawach wodnych duże skrzydlate owady, panienkami zwane, jaskółki latają nad wodą żerując i spuszczają się do samej powierzchni wód, muskając ją nóżkami i brzuszkiem, staw otoczony z jednej strony łąką, z innych – kłosującym żytem, które faluje leciutko, wrażliwe na podmuchy idące od wody, z Gaju dobiega daleki urywany głos śpiewu słowika. Rozkoszny czas. Mój Boże – nie dla bogactwa, ale dla samego piękna Bohdaniszek, dla uczucia, które jest z nimi w nas związane, oby ocalały one dla mnie i dla rodzeństwa od reformy agrarnej, choć w zakresie formy właściwej, w zakresie niewielkiego folwarku – z dworem samym, Gajem, stawem kąpielowym, łąką Sidabrynią i innymi pamiątkowymi najbliższymi okolicami dworu.
Z każdym dniem przybywa mi spostrzeżeń o stosunkach w Litwie. Gdym przyjechał z Polski do Kowna, uderzyła mię przede wszystkim wielka obfitość aprowizacyjna, czym się Litwa rzeczywiście wyróżnia dodatnio spośród sąsiadów. Zdawało mi się, że Litwa jest zaiste rajem i ziemią obiecaną dla zgłodniałej ludności po wojnie. Stopniowo jednak wzrok mój zaczął się lepiej orientować i dostrzegać różne strony medalu, tak czołowe, jak odwrotne. Między innymi rzeczami spostrzegam, że nie tylko ziemianie z dworów, ale i zamożni gospodarze niezupełnie są zadowoleni z istniejących porządków i stosunków gospodarskich i radzi by się doczekać zmian w innym kierunku, niż do

czego dążą masy uboższe i co głosi większość stronnictw, nie wyłączając chrześcijańskich demokratów. Szukam, jak zawsze, przyczyn zjawiska. Rozmowa wczorajsza z gospodarzem z Rukiel i dzisiejsza z Janem Kligysem daje mi pewien klucz, właściwie jeden z wielu kluczy zrozumienia stanu rzeczy. W Polsce, jak wiadomo, wartość pieniędzy spada w sposób katastrofalny. Przed miesiącem przeszło płaciłem w Wilnie za 100 ost-marek 280 marek polskich, obecnie zaś, gdym był w Kownie, kurs marek polskich wynosił już 400 za 100 ost-marek, a podobno teraz już znacznie więcej niż 400. Powiadają, że ta szalona zniżka marki polskiej w związku z drukowaniem coraz większych ilości papierowych marek polskich (drukowanie ich rzeczywiście wzrasta gwałtownie i ogólna ilość marek tych, będących w obiegu, przyrasta niezmiernie – wszystkie drukarnie w Warszawie drukują pieniądze) – stanowi ogromne obciążenie Polski długiem, który może się okazać ponad jej siły. To mi się zdaje mniej groźnym, gdy się zważy, że marka polska dotychczas żadnej waluty ustalonej nie ma i nie odpowiada formalnie żadnemu stosunkowi do złota lub srebra. Marka polska ma odpowiadać takiej ilości metalu czyli ma mieć taką walutę, jaką uchwali Sejm. Oczywiście Sejm może, ustalając walutę przyszłą polską, przyjąć stopę wymiany marek, jaką zechce: funtowi złota czy srebra może odpowiadać bądź 1000 marek, bądź ich milion, bądź miliard. Formalnego skrępowania nie ma, toteż dług, zaprezentowany przez marki polskie, dziś nieokreślony, może być zredukowany do minimum. Przynajmniej formalnie możność taka istnieje, a więc pod tym względem stan nie byłby straszny. Są natomiast inne ujemne skutki, gorsze, tego masowego drukowania bezwalutowych pieniędzy papierowych i ciągłego spadku kursu marki polskiej. Pierwszym skutkiem dotkliwym jest kryzys aprowizacyjny w miastach, wytwarzający stosunki głodowe. A ponieważ w Polsce miasta są dość rozwinięte, więc kryzys ten sprowadza bardzo ciężkie zakłócenie stosunków w państwie. Rolnik, zwłaszcza chłop, nie chce nic sprzedawać bądź ze zboża, bądź z mięsa. Pieniędzy ma on dość i nie zależy mu na tym, aby zwiększać ich zapas papierkami, które za miesiąc będą już o połowę mniej warte, niż dziś, gdy je złoży. Ma pieniędzy przeciętnie o wiele więcej, niż może za nie kupić. Nie ma więc bodźca do sprzedaży płodów wiejskich. Chłop woli zachować towar, niż go wymieniać na pieniądze, wreszcie woli sam lepiej zjeść, niż sprzedać. Proszę mu płacić złotem albo dolarami amerykańskimi – to sprzeda. Ale na marki polskie, nawet drogo, sprzedać nie bardzo chce. W Litwie w dnie targowe rynek jest tak pełny, jak przed wojną w Polsce – targi są słabe, bo chłopi bynajmniej nie kwapią się sprzedawać.

27 maja, rok 1920, czwartek
Jeździłem dziś do Abel, gdzie się miałem spotkać z Wincentem Walonisem z Kieleżerów, b. prezesem Krewieńskiej Gminnej Komisji Leśnej, dla rozejrzenia się w papierach, dotyczących pewnej ceny za drzewo z lasu w Kumszach, zatrzymanej – moim zdaniem nieprawnie – przez komisję ze względu na zakwestionowanie własności Kumsz przez wieś Boniuszki. Po drodze do Abel zajechałem do Norwidyszek do p. Brunonowej Wasilewskiej, dla której miałem list, przysłany z Warszawy *via* Kowno. P. Brunonowa Wasilewska, której mąż Brunon, właściciel trzywłókowego folwarku Norwidyszki, odziedziczonego po zacnym śp. moim chrzestnym ojcu Brunonie Tomaszewskim, jest inżynierem i wicedyrektorem zakładów Putiłowskich w Rosji pod Petersburgiem i tam pozostał – przyjechała do Norwidyszek z czworgiem dzieci za czasów bolszewickich i pozostała tu, nie chcąc wracać do głodu petersburskiego. Tutaj p. Wasilewska zdobyła sobie reputację jak najgorszą, szerząc zgorszenie przez jawną rozpustę i ciągłe miłostki z oficerami litewskimi. W roku zeszłym, gdy sztab pułku litewskiego stał w Pokrewniu, oficerowie ze sztabu z pułkownikiem Głowackim na

czele byli u niej ciągłymi gośćmi, bawiąc się w zaloty z daleko idącymi konsekwencjami. Odtąd p. Wasilewska miała całe mnóstwo kochanków, którzy ją wciąż odwiedzają i nieraz przebywają u niej miesiącami. Chciałem spojrzeć na tę lokalną kapłankę Wenery, lwicę, którą znałem przed laty kilkunastu jako młodą mężatkę. Nie zachwyciła więc ona bynajmniej, gdym ją ujrzał. Jest to dziś już kobieta w wieku balzakowskim, mająca około czterdziestki, ma czworo dzieci, z których najstarsza córeczka ma podobno około 15 lat. Wyszła do mnie w szlafroku; twarz ma ładną, oczy podmalowane, ciało bardzo białe, bom je mógł obserwować przez głębokie wycięcie szlafroku, w pełni; jest to kobieta u zenitu rozwoju, na samej granicy uwiądu starczego; nie lubię kobiet tego typu; ma charakterystyczny typ kokoty, a od jej ciała pulchnego, jej rąk starannie utrzymanych, jej oczu – bije ostry narkotyk zmysłowości, który już tchnie nadmiarem cielesności i na mnie zawsze robi wrażenie czegoś, co zbyt dużo ma soków i już się w smród ludzki przeradza, budząc obrzydzenie. Pamiętam ją młodą mężatką, ale żadnego podobieństwa do dawnej, którą znałem, dopatrzyć się dziś nie mogłem, tak dalece, że gotów byłbym ją wziąć za falsyfikat osoby, gdyby nie dzieci, które z podobieństwa do ojca świadczą, że to jest ich matka, a więc ta sama, którą znałem.
W gazecie „Darbas”, organie ludowców, wydrukowany jest projekt ustawy, wniesiony do Sejmu w imieniu ludowców i „Valstiečių sąjungos”. Jest to pierwszy wstęp do wielkiej reformy agrarnej, jej element uznany najpilniejszy; ogarnia on natychmiastowe wywłaszczenie i upaństwowienie lasów ponad 250 dziesięcin, uwłaszczenie drobnych długoletnich dzierżawców (dzierżawy od lat 20 i do 20 dziesięcin), unieruchomienie kategorii dzierżawców nieco większych i krótszych, konfiskatę majoratów, zakaz bezwzględny handlu ziemią i lasem, unieważnienie odpowiednich kontraktów na ziemię i las, sporządzonych po 20 maja, konfiskatę majątków osób prywatnych, działających na szkodę państwa na rzecz wrogów Litwy i szereg drobniejszych detalicznych przepisów. Projekt ten został przez Sejm przekazany komisji, ale z poleceniem pośpiechu. Mam obawę, że nie będę mógł zrealizować mojego pozwolenia na sprzedaż lasu i jeszcze wypadnie mi zwrócić Żydowi 5000 marek zadatku, który już częściowo zużytkowałem. Choć ustawa ta nie została jeszcze przyjęta, ale prąd nienawiści do dworów i usiłowania zgnębienia ich jest w Sejmie tak wielki, że wątpliwą jest rzeczą, czy się projekt ten w głosowaniu złagodzi. Zaiste, los dworów nie jest godny zazdrości. Apetyty się rozpętały w namiętność. W tych warunkach chodzi nie o reformą tylko agrarną, ale o zemstę na dworach, o zgnębienie ich. Dwory dziś są w położeniu zwierzęcia szczutego przez psy i ściganego przez myśliwych. Co gorsza – są one na w każdym kroku skrępowane, tak że się bronić nie mogą. Reforma, dokonywana w tych warunkach, jest nie reformą, lecz znęcaniem się i dobijaniem bezwładnego zwierza. Apetyty są jednak tak wielkie i tak różnostronne, że trudno je będzie nasycić, nie wywołując waśni między łaknącymi.

28 maja, rok 1920, piątek
Dziś wieczorem zwołałem parobków dla zawarcia z nimi umowy. Ustnie Jakszuk był się z nimi umówił jeszcze przed św. Jerzym, ale gdy spisał umówione warunki, odmówili podpisania umowy, zgłaszając żądanie wyższe co do ordynacji, pensji i ograniczenia godzin pracy. Ponieważ Jakszuk na zmianę warunków nie przystał, sprawa pozostała w zawieszeniu. Żądania parobków redukują się do 90 pudów zboża ordynacji rocznie, 50 rubli rosyjskich pensji miesięcznie i przeciętnych 8 godzin pracy dziennej rocznie, rozłożonych w ten sposób, że przez 4 miesiące letnie praca ma trwać po 10 godzin, przez 4 miesiące jesienne – po 8 godz. i przez 4 miesiące zimowe po 6 godzin. Żądania parobków zostały wystawione przez nich na zasadzie porozumienia ze

związkiem robotników dworskich, który założony został w Rakiszkach za inicjatywą i pod kierunkiem małżonków Purenasów (Purenas, który był za czasów bolszewickich komisarzem oświaty w Rakiszkach, potem dyrektorem gimnazjum tamże, obecnie jest posłem do Sejmu Ustawodawczego z okręgu wyborczego uciańskiego, ogarniającego powiat Rakiszki, i należy w Sejmie do frakcji socjalistów-demokratów; jego żona, bardzo jaskrawa socjalistka – przedmiot wstrętu i nienawiści ziemian – jest Wienożyńska z domu i zajmuje w Rakiszkach stanowisko notariusza. Pod wpływem związku robotników dworskich analogiczne warunki najmu zostały zgłoszone w całym szeregu okolicznych dworów, jak Bohdaniszki, Pokrewnie, Krewno, folwarki rakiskie – Łasze i Dobile. Tylko nieliczne dwory, jak Kowaliszki, Poniemuniek, uniknęły tej kwestii przez to, że zawczasu doprowadziły do podpisania umowy najmu, jeszcze przed interwencją związku. W stosunkach naszych taka rzecz, jak związek zawodowy robotników rolnych, jest nowością, która ziemian niezmiernie drażni, oburza i gorszy. Uważają to oni za przejaw bolszewizmu i nie mogą się oswoić z myślą, że jakaś organizacja zbiorowa może udzielać parobkom dyrektyw i wtrącać się w prywatne „wolne” stosunki najmu. Jeżeli dawnej zdarzały się jakieś zbiorowe wystąpienia parobków po dworach, to bywały oni tylko doraźne, przedsiębrane w pojedynczym dworze na własną rękę i kończyły się zresztą zawsze porażką parobków, dwór bowiem nie tolerował nigdy solidarnych wystąpień, wyczuwając instynktem niebezpieczeństwo dla siebie tej metody żądań robotniczych. Dążeniem dworu, jak każdego pracodawcy, było i jest zawsze – pertraktować li tylko z pojedynczym robotnikiem na zasadach nieograniczonej wolności indywidualnej stron, ale tylko w indywidualnym stosunku. Zresztą dawniej dwór miał potężną przewagę nad indywidualnym parobkiem nie tylko dla braku organizacji robotniczej, ale także dla zupełnego braku społecznej opieki pracy. Obecnie oczywiście tendencje są inne. Wprawdzie dopiero Sejm ustali regularne zasady opieki społecznej, ale, po pierwsze, wzrosło już u parobków poczucie solidarności klasowej i są początki organizacji klasowej, a po drugie, jest pewne zastrzeżenie prawne, które bardzo ogranicza dwory w stosunkach najmu robotników. Mianowicie wydany został zakaz rugowania parobków w braku umowy; parobek taki może do czasu znalezienia sobie innej pracy mieszkać we dworze, korzystać z ziemi pod kartofle i pod warzywo, jak każdy parobek czynny i otrzymuje od dworu po 1 funcie żyta dzienne na każdego członka rodziny, za co ma odrabiać pewną ilość dni. Ponieważ ilość mieszkań robotniczych we dworze jest zwykle ograniczona, więc trudno zastąpić nie umówionych parobków innymi, bo nie byłoby gdzie ich umieścić, nie mówiąc o tym, że po św. Jerzym parobków do najęcia znaleźć nie można. Parobcy nasi też nie bardzo się orientują jeszcze w zasadach organizacji zawodowej i skłonni są uchwały lub żądania swego związku, które usiłują realizować przez Kowno w trybie ustawodawczym, utożsamiać z ustawą obowiązującą. Faktycznie więc w tych dworach, w których do umowy nie doszło, w tej liczbie w Bohdaniszkach, wytworzył się stan nieokreślony, w którym faktycznie parobcy pracują na niewiadomych warunkach, ale taką ilość godzin, jaką sami przyjęli – to znaczy teraz 10 godzin. Po długich obradach doszedłem dziś jednak z naszymi parobkami do porozumienia i jutro, o ile słowa dotrzymają, umowa będzie podpisana. Zgodziłem się na żądaną normę ordynarii, w innych szczegółach to ja, to oni poczyniliśmy ustępstwa, co zaś do godzin pracy, to zgodzili się oni na 12-godzinny dzień roboczy latem do dnia 1 września, z tym, że dwa miesiące potem dzień będzie po 8 godzin, a 3-5 miesięcy zimowych – po 6 godzin.

29 maja, rok 1920, sobota

Umowę z parobkami, stosownie do ustnego układu wczorajszego, zaręczonego słowem, spisałem dziś po litewsku, ale parobcy, wbrew przyrzeczeniu, nie stawili się do

podpisania umowy. Nie wiem, czy to jest chęć zerwania układu dla rozpoczęcia targu da capo, czy też tylko proste odroczenie podpisu. Jest bardzo prawdopodobne, że parobcy, przed ostatecznym podpisaniem umowy wczorajszej, chcą jeszcze poddać warunki sankcji swego związku w Rakiszkach i bez porozumienia ze związkiem nie podpiszą umowy. Jak słyszał Jakszuk od Jana Jodeły, dawnego parobka bohdaniskiego, który obecnie pełni obowiązki „ekonoma", a właściwie starszego parobka i poniekąd dozorcy robotników we dworze i który jest poza tym konfliktem, a siedzi zwykle na dwóch stołkach, udaje wobec dworu przyjaciela tegoż, a wobec parobków – ich poplecznika, parobcy istotnie w rozmowach między sobą mówili, że się muszą wpierw jeszcze skomunikować z zarządem związku w Rakiszkach. Co prawda – nie dziwiłbym się temu, ale uważam za nielojalne z ich strony, że mię o tym wczoraj nie uprzedzili, bo ja z mojej strony działam wobec nich lojalne i pragnąłbym otwartości wzajemnej. Kto wie nawet, czy nie byłoby skuteczniej zawierać umowę z parobkami właśnie za pośrednictwem związku, niż poza nim, gdy jednak się działa z ukrycia. Jeżeli w zarządzie związku biorą udział elementy poważne, choćby socjalistyczne, jest to niewątpliwie lepiej. Ale parobcy, wiedząc, że dwory są w ogóle organizacjom zawodowym robotniczym, opartym na solidarności klasowej, co najmniej niechętne, wolą utrzymać stosunki ze związkiem zakulisowe i nie afiszować się z tym przed dworem. Stąd ich nieszczerość przy zawieraniu umowy. Gdym wieczorem, zirytowany tym, że parobcy nie dotrzymali słowa i nie przyszli, wstąpił do stolarza Deksnisa, jednego z inteligentniejszych robotników i rzekł mu, że widocznie ma krótką pamięć, skoro dziś nie przyszedł do mnie, wbrew danemu słowu, Deksnis oświadczył mi, że to po prostu dlatego, iż dziś nie wszyscy są w komplecie, bo dwóch parobków zostało wysłanych do Kowaliszek po deski, ale że jutro rano stawią się do mnie wszyscy. Zobaczymy, co będzie dalej. Ja nadal nalegać nie będę, bo im więcej będę okazywać niecierpliwości, tym większy da to parobkom asumpt do podnoszenia coraz dalej idących żądań.
Odwiedzałem dziś Kazimierza Jankowskiego w Janówce. Obaj ucieszyliśmy się bardzo ze siebie i nagawędziliśmy się.
Kontynuuję o tym, o czym przed paru dniami pisać zacząłem: o skutkach gospodarskich waluty w Polsce i Litwie. Spadek wartości pieniądza w Polsce jako skutek masowej eksmisji marek polskich, drukowanych w coraz to większych ilościach, powoduje w Polsce przede wszystkim kryzys żywnościowy w miastach, jak o tym mówiłem. Kryzys ten powstaje bezpośrednio stąd, że chłop nie ma bądź co bądź do sprzedaży płodów rolnych, bo gromadzenie bezwartościowych papierków, które z miesiąca na miesiąc tracą na wartości i których ma on już całe stosy, nie opłaca mu się i nie stanowi dla niego żadnego interesu. Drugim skutkiem, który właściwie jest jeno dalszym rozwojem pierwszego zjawiska, jest tendencja do obniżenia produkcji rolnej. Chłop i w ogóle rolnik (w nieco innych warunkach jest wielka własność ziemska – dwory), nie mając podniet do zbytu produktów wiejskich, nie wyczuwa też podniety do intensywniejszej produkcji. Przeciwnie – jest w produkcji tendencja raczej zanikowa, dążąc do tego, aby wyprodukować tyle, ile jeno potrzeba dla samego siebie z rodziną, ile możności – pokryć z własnej gospodarki maksimum własnych potrzeb. Tendencja ta jest społecznie i państwowo bardzo groźna. Wprawdzie chłop sam w Polsce lepiej się odżywia i lepiej się ma, niż przed wojną, ale całość społeczeństwa poza nim i państwo – cierpią na tym coraz więcej. Dalej – kryzys żywnościowy w miastach i ciągły wzrost cen na elementarne artykuły spożycia wytwarza w ośrodkach miejskich ciągły ferment. Klasy ludności, żyjące z wpływów pieniężnych, muszą wobec spadku wartości pieniędzy i trudności aprowizacyjnych albo decydować się na systematyczną redukcją potrzeb i spożycia, co zawsze budzi ostre niezadowolenie i co zresztą nie może nie mieć kresu,

albo też muszą domagać się większych wpływów gotówki. Stąd ciągłe strajki robotników w Polsce, które zwiększają dezorganizację i które bardzo łatwo i chętnie zabarwiają się fermentem politycznym. Stąd z drugiej strony – ciągłe niezadowolenie urzędników, domaganie się nieuniknione podwyżek pensji, łapownictwo etc. Stan urzędniczy psuje się i rozkłada, stopa jego warunków materialnych, a również jego wartości moralnej i obywatelskiej obniża się. Państwo łata te braki podwyżkami pensji, które wszakże nie mogą nagnać spadku waluty, a podwyżki pensji łata nowymi emisjami marek, podniecającymi w dalszym ciągu spadek kursu pieniędzy.

30 maja, rok 1920, niedziela
Parobcy nie przyszli. Zapowiadali się na godz. 4 po obiedzie, ale nie przyszli. Wieczorem dochodziły mię wersje, ale z ust trzecich a nawet czwartych – przez Jakszuka ze słów Jodeły – że na umówione w piątek warunki nie zgadzają się, że podpiszą umowę dopiero wtedy, gdy się zgodzę na wszystkie ich poprzednie żądania bez żadnych ustępstw, poczynionych przez nich w piątek, a natomiast ze wszystkimi ustępstwami, które ja im poczyniłem, i to bodajże jeszcze z nowymi żądaniami z ich strony. Cóż mam robić. Nie – to nie. Wyjścia nie widzę, bo jestem faktycznie na ich łasce. Wydalić ich z dworu nie mogę, a usunąć od roboty – to nikogo na ich miejsce mieć nie będę. Po co mają oni ustępować, skoro wiedzą, że dwór od nich zależy i że mogą robić tak, jak zechcą. Gdyby zechcieli, mogliby zaprzestać roboty. Pracują z łaski i tylko dlatego, że bez tego nie mogliby po tym żądań swych windykować. Ba, jak będzie w innych dworach – tak będzie i w Bohdaniszkach. Czy liczą oni na to, że wcześniej czy później sprawa wynagrodzenia będzie we wszystkich dworach jednolicie załatwiona i że solidarność parobków zwycięży bądź w jakichś przyszłych układach zbiorowych, bądź za interwencją rządu, czy też w pewnym momencie, gdy nastanie gorąca robota sianokosu lub żniw, zastrajkują i wymuszą wszystkie żądania – nie wiem. Po co mają oni teraz ustępować i zgadzać się na przykład na 12 godzin pracy dziennej, gdy mogą pracować po 10 godzin, jak to czynią. Zresztą nie chcą widocznie robić wyłomu w jednolitej postawie parobków we wszystkich dworach. Najwięcej mię drażni i boli to, że w stosunku tym nie ma z ich strony szczerości. Nie mówią mi nic otwarcie, są inni w oczy, niż za oczami, knują pokątnie. O wszystkim muszę się dowiadywać ze strony, przez trzecie osoby. Cały ten stosunek ma przykre cechy dwulicowości.
Był u mnie wieczorem najstarszy syn Kazimierza Jakubowskiego, również Kazimierz, dawny Kaziuk. Mieszka on teraz z żoną i dziećmi w Rakiszkach, gdzie zajmuje posadę sekretarza w dowództwie milicji. Bardzo długo siedział i znudził mię.
Są pogłoski, że bolszewicy przerwali front polski na Białej Rusi i posunęli się mocno naprzód. Mówią o zajęciu przez bolszewików Bobrujska, o ich ofensywie na Mińsk, o zbliżeniu się ich już pod Wilno i pod Święciany. Nie wiem, ile w tym może być prawdy. Ostatnie gazety (litewskie), które miałem w ręku, były z niedzieli czy poniedziałku. W nich nic jeszcze o sukcesach bolszewików nie było. Zresztą gazety litewskie nie drukują dokładnych i treściwych relacji o wojnie polsko-bolszewickiej, jeno czasem różne przygodne o niej wieści i najczęściej stronniczo, rozdymając chętnie wszystko, co może o niepowodzeniu polskim świadczyć. W przeszłym tygodniu, gdym był w Kownie, wieści o powodzeniu oręża polskiego były niezachwiane. Kijów, cała linia Dniepru aż do ujścia Berezyny – były w ręku polskim. Walki toczyły się już nawet na lewym brzegu Dniepru. Dotychczas zawsze w wojnie z bolszewikami Polacy odnosili niechybnie zwycięstwo. Czyżby tak nagle powodzenie Polaków się załamało? Trudno w to uwierzyć, ale wojna ma swoje niespodzianki. Zaczekajmy wieści ściślejszych. Ogromne wydłużenie frontu polskiego, oddalenie go od podstaw operacyjnych, od dowozów wszelkich itd. – mogło sytuację polską utrudnić, ale, z

drugiej strony, z tego, co dotąd było o siłach bolszewickich wiadomo, trudno liczyć na ich przewagę – (nie liczebną) nad wojskiem polskim Piłsudskiego.

31 maja, rok 1920, poniedziałek
Gdy bzy przekwitają – wiosna skończona. Bzy pospolite, bzy klasyczne, liliowe, od dni kilku już zwiędły i potraciły płatki swego kwiatu. W Bohdaniszkach bzów pełno. Mama ponasadzała je wszędzie, bo się w bzie kochała. Prócz bzu pospolitego, liliowego, jest tu dużo bzu gatunków specjalnie kultywowanych, bzu o kwiecie białym i ciemnoliliowym, wpadającym we fiolet, kwiecie o gęstych płatkach, nastrzępionym i jakby szorstkowatym. Bez pospolity, liliowy, ma więcej aromatu i jest piękniejszy, ale mniej trwały od sztucznego. Zresztą i ten ostatni już przekwita. Przychodzą już natomiast zwiastuny lata: jaśminu pączki zaczynają pękać, głóg zakwita, piwonie. Pogoda towarzyszy memu pobytowi w Bohdaniszkach niezachwianie. Dla pól i ogrodów pożądany jest bardzo – deszcz. Od dwóch dni są oznaki, zapowiadające zmianę pogody – koguty śpiewają, żaby bardzo skaczą, kaczki pluskają się gwałtownie w wodzie, roje komarów brzęczą w powietrzu, dziś pod wieczór zięba się odzywała charakterystycznie, jest duszno, ale tymczasem pogoda trwa.
Opowiadano dziś, że ksiądz w Rogielach mówił wczoraj do ludu, że bolszewicy zbliżają się do Wilna. W Rogielach jest proboszczem znany ksiądz Stakiełło (Stakelė), człowiek bardzo gwałtownego temperamentu, nerwowy, którego gwałtowność graniczy się z furią nieprzytomności, człowiek, który wrogów nienawidzi wściekle. Kiedyś, gdy był księdzem w diecezji wileńskiej, walczył tak namiętnie z polskością i z polskimi władzami kościelnymi, że był przez czas jakiś suspendowany. Obecnie nie przebiera w środkach w walce z przeciwnikami politycznymi chrześcijańskiej demokracji, choć oczywiście w Rogielach ma po temu teren ograniczony, i nie zapomina też swojej dawnej nienawiści do Polaków. Toteż rozgłaszanie przezeń wieści o niepospolitych zwycięstwach bolszewików – których zresztą nie mniej nienawidzi – nad Polakami – nie może być jeszcze dowodem, że wieści te są prawdziwe. Mogą się one opierać na tych samych pogłoskach, o których słyszałem już wczoraj. Wieści o zbliżeniu się bolszewików niepokoić już i tu zaczynają tych, co się ich obawiają. Na przykład p. Jakszukowa, która już doznała od bolszewików przykrości, zaczyna się obawiać poważnie i tracić na humorze. Przypuszczam, że gdyby nawet okazało się prawdą, że bolszewicy pobili Polaków, w co jakoś, pomimo wszystko, trudno uwierzyć, i że podchodzą już do Wilna, to i w takim razie bezpośredniego niebezpieczeństwa wkroczenie ich tutaj, na stanowcze terytorium Litwy, nie ma. Z Litwą bowiem bolszewicy prowadzą rokowania pokojowe, uznali formalnie jej niepodległość na zasadzie samookreślenia narodów i nawet uznali już przynależność do Litwy – Wilna. A choć prawdopodobnie bolszewicy niewiele sobie robią z formalistyki prawa międzynarodowego, jakichś zobowiązań, oświadczeń i rokowań, to jednak można przypuszczać, że tym razem, gdyby im się udało pobić największego i najniebezpieczniejszego wroga – Polaków, nie zechcieliby rozpalać bezpośredniego pożaru wojny w kierunku państewek bałtyckich i narażać siebie w tym momencie Anglii. Ale gdyby bolszewicy podeszli do samych granic Litwy, to wobec istniejących tu tendencji rewolucyjno-społecznych już samo ich bezpośrednie sąsiedztwo bardzo ostro by się musiało przyczynić do zaognienia prądów rewolucyjnych w Litwie i do nadania wszelkim przemianom jeszcze jaskrawszej barwy, niż teraz. Jutro będę w Rakiszkach i Kowaliszkach. Tam się dowiem cokolwiek więcej o tych pogłoskach wojenno-bolszewickich.
Parobcy przyszli dziś do mnie wieczorem, ale nie dla podpisania umowy, jeno dla nowych targów. Znowu podnieśli kwestię godzin pracy i różnych innych żądań. Tym

razem na mówcę wystawili Gałwelisa (brata dawnej służącej Mamy – Ewki Gałwelisówny), jednego z cichszych ludzi. Główni menerzy – Jurenas i Deksnis – pozostali w cieniu. Oczywiście nie doszło do niczego. Sam im zaproponowałem, aby raczej wobec tego zaniechać na razie umowy i poprzestać na faktycznym *status quo*, oczekując, jak spór zostanie rozstrzygnięty we wszystkich dworach powszechnie. Parobcy chętnie na to przystali, wiedząc, że takie oczekiwanie jest dla nich dogodniejsze, niż wiązanie się umową z ustępstwami od swych żądań.
Zacząłem dziś spisywać inwentarz mebli i sprzętów w Bohdaniszkach – na razie w domu mieszkalnym. Pomimo opustoszenia Bohdaniszek z mebli jeszcze przed wojną – samych mebli jest jeszcze tyle, że gdyby je dziś przy obecnych cenach sprzedać, można by za nie śmiało 100 000 ost-marek albo i więcej otrzymać.

1 czerwca, rok 1920, wtorek
Pojechałem dziś do Kowaliszek i po drodze byłem w Rakiszkach. W Rakiszkach w miasteczku załatwiałem różne interesy w urzędach; naczelnika powiatu jednak i prezesa zarządu powiatowego nie zastałem, bo wyjechali do Kowna. Niektórych więc interesów załatwić nie mogłem. Wniosłem jednak do zarządu powiatowego podanie o zwrot pieniędzy, wyegzekwowanych od Bohdaniszek tytułem uiszczenia 10% od ceny sprzedanego lasu na zasadzie uchwały Sejmiku Rakiskiego z października r. 1919 (uchwała ta, stosownie do wyjaśnienia Departamentu Instytucji Samorządowych w Ministerium Spraw Wewnętrznych, okazała się nielegalna, nie mówiąc już o tym, że „sprzedaż" drzewa z lasów dworskich na potrzeby ludności miejscowej po niskich urzędowych cenach nie miała cech sprzedaży jako aktu spekulacji lub wolnego handlu, jeno raczej cechy rekwizycji przymusowej, i że pieniądze, otrzymane z takiej „sprzedaży", były raczej odszkodowaniem – minimalnym, niż ceną we właściwym znaczeniu słowa, i przeto że uchwała sejmiku, gdyby nawet były legalna, nie powinna była być, moim zdaniem, do Bohdaniszek zastosowana). Byłem też u sędziego pokoju w sprawie boniuskiej, w której jutro zamierzam wytoczyć powództwo. Chodziło mi na razie tylko o poinformowanie się u sędziego co do pewnych terminów technicznych sądowo-prawnych w języku litewskim, których nie znam, a które są mi potrzebne dla konstrukcji skargi powodowej. Zresztą i sędzia pokoju nie bardzo jest, zdaje się, biegły w tej terminologii, trzeba więc samemu radzić, jak się da. U sędziego pokoju spotkałem Apolinarego Wienożyńskiego, agronoma, który jest obecnie pełnomocnikiem Ministerium Rolnictwa i Dóbr Państwowych na pow. rakiski; za czasów bolszewickich był on w Rakiszkach komisarzem rolnictwa. Z tytułu swojego obecnego stanowiska urzędowego ma on stosunki z dworami, które go na ogół nie lubią, nie tylko dlatego, że ciąży nań plama współpracownictwa z bolszewikami, co nie nastraja doń dworów przychylnie, ale także, dlatego, że dwory wyczuwają w nim człowieka niechętnego, który nie śpieszy bynajmniej z ułatwianiem im trudnych warunków, lecz raczej przeciwnie – czyhającego na zachwianie się gospodarki dworskiej, aby interweniować w imieniu rządu pod pretekstem utrzymania ciągłości produkcji jako elementu publicznego i zastępować zarząd bezpośredni dworski przez zarząd państwowy, co w tych czasach jest dla dworów ze względów politycznych bardzo niebezpieczne.
Z Rakiszek pojechałem do Kowaliszek. Podług listu Julka, który otrzymałem wczoraj w Bohdaniszkach, miał być dziś w Kowaliszkach kupiec Rabinowicz. Przyszła jednak dziś od Rabinowicza z Kowna depesza, że przyjedzie dopiero jutro wieczorem do Rakiszek, więc dopiero pojutrze mógłby przyjechać do Kowaliszek. Tymczasem gazety, które nadeszły dziś do Kowaliszek, przyniosły tekst noweli prawnej, uchwalonej przez Sejm w przedmiocie projektu agrarnego, zgłoszonego przez frakcję ludowców, o których wspominałem w dzienniku. W noweli tej projekt pierwotny został złagodzony.

Nie ma w nim mowy o natychmiastowym wywłaszczeniu lasów prywatnych ponad 25 dziesięcin, o uwłaszczaniu długoletnich drobnych dzierżawców itd. Te zagadnienia zostały widocznie zarezerwowane do czasu na rzecz kapitalnej reformy agrarnej, gdy już ona wejdzie na porządek dzienny. Nowela niniejsza ma cechę zarządzeń nagłych, doraźnych. Dotyczy one majoratów i handlu (spekulacji) leśnego. Artykuł drugi noweli orzeka wstrzymanie sprzedaży lasów prywatnych, art. trzeci – wstrzymanie udzielania nadal pozwoleń na wyrąb za wyjątkiem na potrzeby własne i ludności miejscowej. Z tego wnosić należy, że jeżeli na zasadzie udzielonych poprzednio pozwoleń kontrakty na sprzedaż lasu już zostały przed ogłoszeniem noweli zawarte, to zachowują one moc, ale nowych zawierać nie można (chyba że samemu eksploatować las). Otóż, ponieważ, ja kontraktu jeszcze z Rabinowiczem nie mam, więc prawdopodobnie na zasadzie tej noweli już bym go zawrzeć nie mógł, pomimo że pozwolenie mam. Kwestia ta zaniepokoiła mię, bo trudno pojąć, jak Bohdaniszki wytrzymają bez tego sukursu gotówki z lasu, ale kombinację dogodną, dającą wyjście, zaproponował Pejsach Ruch.

2 czerwca, rok 1920, środa
Pejsach Ruch ma stary kontrakt leśny z Papą na kupno 150 sążni jodły ze Staczerag, sporządzony w r. 1918 jeszcze za Niemców w języku niemieckim i podobno rejentalny. Kontrakt ten dla różnych przyczyn – zapewne z powodu inwazji bolszewickiej, a potem dla braku pozwolenia władz litewskich na wyrąb – nie był zużytkowany dotychczas, choć Ruch już nadpłacił pewną sumę. Kontrakt ten był prolongowany kartką Papy. Otóż obecnie wykorzystany być może w zakresie udzielonego pozwolenia na wyrąb. Nie będzie to więc sprzedaż nowa, jeno zrealizowanie przez Pejsacha sprzedaży dawnej, a więc nie będzie to wykraczało przeciwko noweli sejmowej, która zabroniła jeno sprzedaży na przyszłość, ale uszanowała kontrakty sprzedaży legalnej sprzed dnia ogłoszenia noweli. Cenę zaś liczyć będziemy według naszej majowej umowy z Rabinowiczem. Rabinowicz zawarł z Hektorem wielkie transakcje na las w Radkunach, Skrobiszkach i u Przeździeckiego, toteż sam on może mało dba o drobną transakcję bohdaniską, ale Pejsach Ruch, która ma jakieś kombinacje z Rabinowiczem, dba o to bardzo zarówno dla zysków, jak dla wycofania włożonych pieniędzy, tym bardziej, że wobec tendencji prohibicyjnych handel prywatny leśny będzie usychać, a przeto ceny w handlu prywatnym będą rosły, kupcom zależeć będzie bardziej niż kiedykolwiek, aby zapasy towaru, skąd się jeszcze da, pozyskać. Równolegle sprzedawać będę las w zakresie udzielonego pozwolenia – na potrzeby lokalne ludności po cenach zniżonych z tym pomiarkowaniem, aby co najmniej połowa dozwolonej przestrzeni była zarezerwowana dla sprzedaży lokalnej. Jutro ma Pejsach Ruch z Rabinowiczem być w Bohdaniszkach dla obejrzenia lasu w tych działkach, gdzie dozwolony został wyrąb i dla zaprojektowania cząstek dla wyrębu kontraktowego, a na pojutrze ma być sprowadzony z Dusiat leśniczy rządowy dla ustalenia w naturze działek wyrębu stosownie do planu, na którym one zaznaczone zostały przez Departament Leśny.
Co do wieści o zwycięstwie białoruskim bolszewików i o ich postępach w kierunku Wilna, to w Rakiszkach i Kowaliszkach, a poniekąd i na zasadzie niezupełnych informacji z gazet miałem możność sprawdzenia odnośnych pogłosek. Wieści, które zebrałem, nie są murowane, ale mniej więcej zbliżone do prawdy. Jak zawsze – nie ma dymu bez ognia; pogłoska, choć przesadzona, wyrasta jednak z pewnego źdźbła rzeczywistości. Otóż istotnie bolszewicy byli przerwali front polski, podobno gdzieś między Połockiem a Krasławiem, szli na Dźwinę i wpadli głęboko w gub. wileńską w kierunku zwłaszcza powiatów dziśnieńskiego i Święciańskiego. Przeszli Dzisnę, zajęli już Głębokie. Generał Majewski, który dowodził odcinkiem po stronie polskiej, został, jak powiadają, usunięty i oddany pod sąd za złą organizację obrony, mianowany został

natomiast dowódcą przełamanego frontu Szeptycki. Polacy rzucili rezerwy i posiłki, zatrzymali bolszewików i podobno już ich nawet odparli (jak daleko – nie wiem, ale Głębokie już pono odzyskane). Niebezpieczeństwo pono zażegnane. W Wilnie był popłoch, ale nic mu już podobno nie grozi. Po powrocie do Bohdaniszek słyszałem tu o pogłosce, że bolszewicy już są w Wilnie. Oczywiście – przesada albo spóźnione echo paniki wileńskiej. Zresztą – całkowitej ścisłości moich wieści nie posiadam. Jednak tendencja, nawet w pogłoskach, a przynajmniej w stateczniejszych ich gniazdach, jak Rakiszki i zwłaszcza Żydzi, jest na rzecz uspokojenia i powodzenia polskiego.
Po obiedzie wróciłem z Kowaliszek do Bohdaniszek. Po drodze wniosłem u sędziego pokoju w Rakiszkach skargę powodową w sprawie kumszańsko-boniuskiej. Żądanie powodowe streściłem w przywróceniu zakłóconego posiadania i zarządzenia 4775 marek wynagrodzenia szkód i strat. Przedmiot sporu oszacowałem w ilości 7000 marek. Wpis i opłaty wyniosły 353 marki (wpis pobierany jest w wysokości 5%). Właściwość sądów pokoju w Litwie dochodzi do 10 000 marek (ost). Jest tu o wiele racjonalniejsze, niż w Polsce, gdzie sięga ona zaledwie 1000 marek polskich (podług obecnego kursu – około 200-250 ost-marek).

3 czerwca, rok 1920, czwartek
Wczoraj po raz pierwszy przyszło do zajścia między mną a Jakszukiem. Gdym wrócił z Kowaliszek, Jakszuka nie zostałem; był pojechał do Abel i Antonosza, wrócił na wieczór podczas mojej kolacji („kolacją" w Bohdaniszkach nazywam mleko świeże z udoju). Poprosiłem, by usiadł i opowiadałem mu o lesie, o różnych interesach, załatwionych w Rakiszkach, i o tym, co słyszałem w Kowaliszkach. Jakszuk był sztywny. W ogóle, choć jest to człowiek bardzo obrotny i zdawać by się mogło, że powinien być giętki, jest on jednak przeważnie bardzo sztywny, przynajmniej ze mną, jest bardzo zawsze zimny, niemal wyniosły, a z oczu patrzy mu szyderstwo, które czasem trąci nawet wyrazem prowokującym, jak wyzwanie. Zresztą, ma on usposobienie bardzo nierówne, jest nerwowy, miewa kaprysy i narowy; lubiłby imponować, mieć władzę, a z natury jest, zdaje się, drapieżny, okrutny, zazdrosny i mściwy. Nie jest to charakter potulny i miły, nie jest człowiek, z którym przyjemnie jest mieć do czynienia i który jest w obcowaniu łatwy. Wiem, że pije wódkę i bywa pijany, że jest skądinąd chory na serce. Posądzam, że ma skłonność do neurastenii, a może nawet do histerii. W każdym razie, ma usposobienie histeryczne i wyraz oczu takiż. Są w nim kontrasty i gorączkowa czynność graniczy u niego z bezwładem, pomieszanie z depresją. Jest to niewątpliwie człowiek zdolny, ale nerwowo niezrównoważony; sprytny i zaradny, ale jednocześnie podległy jakimś tajnym, działającym w nim bodaj podświadomie humorom, które go pozbawiają pogody i wesela życia. Niepodobna z nim być na stopie przyjaznej i poufnej. Nie lubię tego typu człowieka, nie ufam mu i nie potrafię z takim mieć jakiejś zażyłości. Los mię tu z nim sprzągł w Bohdaniszkach, ale nie zachwyca mię to bynajmniej. W toku rozmowy, w której Jakszuk był sztywny, jakby się czegoś hamował, wspomniałem mu o tym z lekkim odcieniem wymówki, że poprzedniego dnia, jadąc do Kowaliszek, spotkałem na drodze do Rakiszek naszego parobka Deksnisa i że nie wiedziałem, iż był on tego dnia zwolniony. Jakszuk na to spytał wyzywająco: „No to co? Więc o co Panu chodzi?". Gdym mu na to odrzekł, zresztą łagodnie, bo łagodnym jestem zawsze, że pragnąłbym być co najmniej uprzedzany o tym, że jakiś parobek któregoś dnia otrzymał urlop, Jakszuk nagle wybuchł. Zaczął mi ostro wymawiać, że go traktuję, jak 16-letniego sztubaka, że czepiam się do drobiazgów, że on do takiego stosunku nie przywykł i nie może się z nim godzić, że on dla Bohdaniszek położył dużo zasług zupełnie bezinteresownych, że albo on ma się zajmować kierownictwem i mieć autonomię, albo musi zrezygnować ze

wszystkiego i usunąć się, że podkopuję jego autorytet, że zapytywałem raz Jodełę, ile jest wysiane zboża w Bohdaniszkach, kiedy u Jakszuka wszystko jest zapisane i kontrola taka uchybia jego godności i powadze itd. Wobec tego niespodzianego wybuchu zachowałem się powściągliwie, ale twardo. Jestem łagodny i miękki, ludziom nie uchybiam w ogóle i w szczególności nigdy względem Jakszuka na żadne twardsze słowo nie pozwoliłem sobie, przeciwnie – byłem dlań uprzejmy, narzucać się ludziom i być dla nich bezwzględny, siadać im na kark – nie lubię, w sferę czynności Jakszuka i zwłaszcza w ściślejsze sprawy gospodarstwa rolnego, w których wobec Jakszuka nie czuję się zbyt kompetentny, bardzo mało się czynnie wtrącam, ale chcę być ściśle informowany i uważam, że mam prawo do tego i że mogę się informować w swoim majątku i o swoich sprawach, jak i gdzie mi się podoba; jedną rzecz tylko winienem wobec Jakszuka zachować – nie krzyżować bez porozumienia z nim jego rozporządzeń – i tego też nie czynię. Ale żebym na ślepo musiał zrezygnować ze wszystkiego i wyrzec się nawet prawa informowania się, gdy mam prawo do współrozkazywania, aczkolwiek w porozumieniu z Jakszukiem, czego wymagają względy taktu w zarządzie, a nawet prawa do kontroli, co spełniam bardzo umiarkowanie i względnie – tego za dużo. Wobec mojej postawy Jakszuk stopniowo ochłonął, zaczął się miarkować, chodził na razie wzburzony po pokoju, ciskał się, wreszcie jednak wyszedł do drugiego pokoju i stamtąd zaczął się tłumaczyć, że jest bardzo nerwowy, że przeprasza, ale że nie mógł wytrzymać. Na tym skończył. Nie wiem, czy to tylko kaprys nerwów, czy może próba ujarzmienia mię i zastrzeżenia sobie zawczasu bezpieczeństwa od zbyt wielkiej ingerencji i jej ewentualnych odkryć, dla niego niepożądanych. Dziś już o zajściu wczorajszym nie było między nami mowy, jakby nigdy nic. Wysłałem dziś Jakszuka do Dusiat do leśniczego.
Byli dziś u mnie kupcy – Rabinowicz i Ruchowie – ojciec Michał i syn Pejsach. O tym jutro. Wieczorem był Kazimierz.

4 czerwca, rok 1920, piątek
Ze sprzedażą lasu nie jest, zdaje się, ze stanowiska prawnego tak źle, jak się zdawało. Kupiec Rabinowicz, który był w Bohdaniszkach wczoraj i który przyjeżdża z Kowna, powiada, że artykuł 2 noweli, uchwalonej przez Sejm, opiewa nie o zakazie sprzedaży lasów; lecz ziemi spod lasu; to by znaczyło, że tekst, który był drukowany w „Dzienniku Kowieńskim”, skąd go wyczytałem, był podany błędnie. W takim razie sprzedaż lasu na zasadzie dotychczas udzielonych pozwoleń na wyrąb nie została zakazana i nowela, z mocy jej artykułu 3, zabroniła jeno wydawania nowych pozwoleń na wyrąb na przyszłość. Ale moja transakcja z Rabinowiczem nie przedstawia się tak różowo, jak się to mogło zdawać z umowy zadatkowej z dn. 2 maja. Rabinowicz, ze względu na 5000 marek zadatku, nie cofa się od kupna – zresztą obaj Ruchowie, Michel i Pejsach, nie zechcieliby stracić tej okazji, ale zmienia warunki pierwotne. Ponieważ eksport lasu za granicę do Niemiec, przez które przechodzi tranzyt eksportowy na Anglię, jest w tej chwili zamknięty (Litwini wywierają tą drogą presję na Niemcy, którzy zamknęli granicę dla wwózki innych towarów do Litwy) i w obecnych zmiennych warunkach politycznych nie wiadomo, czy eksport ten zostanie przywrócony i czy potem znów dla jakichś powodów nie będzie zamknięty, więc Rabinowicz uzależnia umówioną poprzednio cenę 300 marek za sążeń papierówki od tego, czy eksport będzie wolny, i na wypadek, gdyby eksportu nie było, daje tylko po 100 marek za sążeń, gdyż wtedy drzewo te mogłoby iść tylko na opał, kolej zaś, płacąca za opał maksymalnie, płaci po 500 marek loco stacje kolejowe (Rabinowicz liczy 100 marek wyrąb i robocizna w lesie, 200 marek wywóz sążnia do kolei w Rakiszkach, 50 marek koszta administracji, 50 marek zysk). Za korę, to znaczy za samą korę i za stratę

na mierze na skutek układania sążni bez kory, zgadza się dopłacić nie więcej, jak po 20 marek. W zasadzie na te warunki się zgodziłem, bo mi chodzi o dojście jednak sprzedaży do skutku, a nie decyduję się na taki środek, jak wyzyskanie mocy zadatku, gdy widzę, że istotnie warunki się o tyle zmieniły, iż kupiec nie jest w stanie zawrzeć umowy li tylko na poprzednich warunkach. Trudność jednak największa będzie polegała na ustaleniu kwestii istnienia lub braku eksportu, od czego będzie zależała tak wielka różnica ceny, jak 300 czy 100 marek. Poza tym, Rabinowicz cofa się od kupna towaru grubszego jak festmetry. Sprzedaż ta więc może zmaleć do transakcji bardzo drobnej. Tymczasem termin do sporządzenia kontraktu z Rabinowiczem jeszcze ustalony nie został. Kupcom więc będę sprzedawał jodłę cieńszą na sążnie, bo to mi da więcej, niż sprzedając chłopom po taksie, gdyby nawet kupcy płacili bez eksportu po 100 marek, chłopom zaś będę sprzedawał grubszą jodłą na budulec po taksie rządowej, bo to znów będzie dogodniejsze od liczenia na sążnie.
Jakszuk wrócił dziś z Dusiat – bez leśniczego, który nie mógł przyjechać. W czasie obiadu przyjechał Hektor Komorowski i zabawił do wieczora. Jakszuk był przy Hektorze bardzo przykry; umie on tak, jak żmija, być dwulicowy, a raczej cynicznie zimno prowokujący i chytry, a razem impertynencki, pozostając nieuchwytny jak piskorz. Jest stalowo zimny i pozornie grzeczny, a potrafi tak mię pomijać wobec Hektora, tak mię zlekceważyć, że jego stosunek do Hektora wobec mnie jest po prostu policzkiem dla mnie i prowokacją. Jest to wstrętny człowiek, którego bym ani chwili nie tolerował na tym stanowisku, gdyby Bohdaniszki do mnie należały. Jest to intrygant i przewrotnik, a w dodatku człowiek pełny jakiejś subtelnej perwersji moralnej. Jest on może tymczasem dla Bohdaniszek użyteczny, ale użyteczny i dla samego siebie przede wszystkim, a w końcu jestem pewien, że będzie z nim w Bodaniszkach bieda.

5 czerwca, rok 1920, sobota
Cały dzień spędziłem w lesie w Staczeragach. Wziąłem Jakszuka i dwóch leśników – Sadowskiego i Aleksiejuna – i zacząłem z nimi ustalać w naturze działki do wyrębu stosownie do linii, nakreślonych na planie przez Departament Leśny. Wczoraj obliczyłem już z planu, stosownie do skali, wymiary działek i odstępów między nimi w sążniach. Plan dziś wziąłem ze sobą i przede wszystkim ustaliłem podług planu w naturze punkty wyjścia pierwszej linii; połączenie końcowych punktów pierwszej linii pierwszej działki linią prostą poprzez las stanowiło największą trudność, bo chodziło o to, aby pędząc kołkami prostą linię przez las od jednego z wylotów, wyprowadzić ją prosto na przeciwległy wylot. Dwukrotnie myliliśmy się, aż za trzecim razem udało się nam połączyć wyloty. Gdy pierwszą linię mieliśmy już gotową, przeprowadzenie innych równoległych, mając określone odstępy, było już zadaniem łatwiejszym. Przez cały dzień do wieczora wyprowadziliśmy obie linie pierwszej działki i pierwszą linię drugiej. Na poniedziałek pozostaje nam wytknąć drugą linię drugiej działki i cały trzecią. Działki mają szerokość po 25 sążni, odstępy między działkami – po 50 sążni. Na obiad do domu nie wracaliśmy; posililiśmy się u leśnika Sadowskiego w Prapultini. Dzień ten na pracy w lesie upłynął bardzo przyjemnie. Las w Staczeragach jest jedynym bohdaniskim, który został bardzo mało uszkodzony i przedstawia się wcale ładnie. Przeważa papierówka, ale sporo jest i sztuk budulcowych. Papierówka jest śliczna; byłoby szkoda nieodżałowana, gdyby zamiast na papierówkę (po 300 marek sążeń) miała ona iść na pospolity opał (po 100 marek sążeń). Jodła w lesie staczeraskim jest bardzo wyniosła i zdrowa.
Z Jakszukiem nie mogę się oswoić. Jest on moją „*bête noire*” w Bohdaniszkach. Nawet w lesie, gdzie podczas ustalania wymiarów inicjatywa należała do mnie, bo zresztą Jakszuk przy całym swoim sprycie nie zna się na tym i mniej kapuje nawet od leśników,

widziałem, jak go ciągle irytowało to, że nie on jeden wyłącznie się rozporządza i jak usiłował, gdzie tylko mógł, przeciwstawiać swoje kombinacje moim i zagarnąć kierunek z rąk moich. Jest on względem mnie niesłychanie zazdrosny i mam wrażenie, że mię nienawidzi i że moja obecność w Bohdaniszkach jest dla niego utrapieniem. Taki Jakszuk – to orzech, którego trudno ugryźć i który niełatwo da się z Bohdaniszek usunąć. Papa cieszył się z niego, ale to jeszcze wielka kwestia, czy Bohdaniszki będą miały z niego więcej korzyści, czy więcej szkody i czy Papa po powrocie nie dozna jeszcze z jego powodu różnych przykrości. Żona Jakszuka, która sprawia wrażenie sympatyczniejsze od niego i która mi się na razie podobała, także mię teraz nie zachwyca: jest bardzo ciekawa i wścibska, lubi wszystko podglądać, umie insynuować może lepiej od samego Jakszuka i po swojemu z wielką przebiegłością pilnuje spraw i stanowiska męża. Już to parka dobrze dobrana, której zachłanności jest bardzo trudno położyć tamę, gdy się jest w położeniu tak prowizorycznym, jak ja tutaj. Inną by była moja rola wobec Jakszuków, gdybym tu był w charakterze właściwego pana, choćby tylko na zasadzie jakiegoś określonego stosunku z Papą. Dla Jakszuków tą instancją, do której służyć im będzie przyszłe odwołanie, jest Papa, a co będzie znaczył mój głos wobec Papy – sam nie wiem. Jakszuk stara się mię odgrodzić swoją osobą od toku spraw gospodarczych w Bohdaniszkach, robiąc mi sceny o samo nawet informowanie się o czymkolwiek poza nim, a sam się nie kwapi bynajmniej o informowanie mię, o ile go o coś nie spytam wyraźnie. Jest więc sytuacja taka, że mam, w myśl pragnień Jakszuka, być tylko parawanem dla niego i to parawanem, który, o ile sam nie domyśli się spytać go o coś, będzie ślepym, a potem wobec Papy odpowiedzialność ma ciążyć na mnie, bo z pewnością Jakszuk nie zaniedba Papę odpowiednio względem mojego „zarządu” usposobić.

6 czerwca, rok 1920, niedziela
Dziś po wczesnym obiedzie pojechałem z wizytą do Piotra Rosena, do Gaczan. Po wojnie dwory w tych stronach, jak zresztą wszędzie na Litwie, bardzo opustoszały i sąsiedztwo ziemiańskie stało się bardzo rzadkie. W najbliższym sąsiedztwie Bohdaniszek pustką stoi Antonosz, pustką – Pokrewnie, pustką – Tarnów. Najbliższym sąsiedztwem są Gaczany, poza tym – Kowaliszki, Rakiszki Przeździeckich, Antuzów p. Izy Roppówny, a już do dalszego sąsiedztwa, z którym w dzisiejszych czasach byłoby zbyt trudno utrzymywać regularne stosunki bezpośrednie, należą: Poniemuniek, zamieszkały przez pp. Biekniewiczów; Szakale Oksara Rudkowskiego, Koźliszki Zygmunta Rudkowskiego itd. Początek wyludnienia dworów datuje się z r. 1915, z czasów ucieczki do Rosji przed wkroczeniem Niemców. Za okupacji niemieckiej znaczna część dworów świeciła pustkami. Oczywiście dwory, których właściciele uciekli, najgorzej wyszły na tym. Niemcy objęli je w swój zarząd, zdewastowali, wycinali lasy, zniszczyli inwentarz, porozwozili meble. Po rewolucji rosyjskiej i Traktacie Brzeskim część ziemian wróciła w r. 1918. Ale wnet przyszła inwazja bolszewicka. Jedni przed nią uciekli, ci zaś, co pozostali, zostali rychło przez bolszewików wyrzuceni i albo byli wywiezieni do Rosji w charakterze zakładników, albo tułali się gdzieś po miasteczkach lub ukrywając się w przebraniu po chłopach lub nawet wśród lasów, albo czmychnęli poza front na stronę polską lub litewską. Od roku bolszewików już tu nie ma. Możność powrotu do majątków już jest. Niektórzy wrócili, ale bardzo wielu nie ma. Większość nieobecnych siedzi po stronie polskiej, bądź w Warszawie lub Polsce właściwej, bądź w Wilnie lub okupowanej przez Polaków części Litwy. Jedni się po prostu wracać boją, bo się nasłuchali w Warszawie przesadnych okropności o prześladowaniach Polaków przez Litwinów i zdaje się im, że gdy się tu jeno pokażą, to wnet ich Litwini schwycą, będą więzić, męczyć itd., a w przerażeniu

widzi się im fala bolszewizmu litewskiego, innych razi to, że tu jest Litwa, że się tu będą czuli obco, pod panowaniem, które jest dla nich nie tylko obcym, ale i wrogim, a wielu jest takich, co wierzy święcie w interwencję polską i czeka po stronie polskiej, aż ta interwencja nastąpi, ufając, że złamie ona radykalizm prądów rewolucyjno-agrarnych w Litwie, tak uciążliwych i przykrych dla dworów i że wtedy wrócą oni do siebie pod opiekuńczymi skrzydłami Polski jako prawowici dziedzice swych dworów, wreszcie inni, zadowoleni z posad, które posiadają w Polsce, wolą tam byt spokojny od powrotu do swych zaniedbanych posiadłości litewskich, do których zniechęca ich zarówno perspektywa przykrości, związanych z prądami reformy agrarnej, jak to, że we dworach tych nic już nie ma, a zagospodarowanie ich wymaga wielkich kłopotów, energii, nakładów pieniężnych itp. Toteż siedzą w Polsce i czekają biernie lepszych czasów, czekają zmiany jakiejś. Niektórzy z nich, jak np. Maciej Römer z Antonosza, są w wojsku polskim. Oczywiście ci, co nie wracają, tracą na tym i materialnie, bo majątki ich upadają coraz bardziej i ewentualnie zostają zagarnięte pod zarząd państwowy, i politycznie, bo nieobecnym grozi nawet, wobec istniejących prądów, konfiskata majątków, a już reforma agrarna w pierwszym rzędzie i to najostrzej majątków ich dotknie.
Piotr Rosen za czasów okupacji niemieckiej był w Rosji. Tam w r. 1917 czy 1918, w wieku lat 50, ożenił się z młodą 24-letnią panną Brzozowską, swoją kuzynką, niezamożną dziewczyną, córką generała Brzozowskiego, rodzącą się z Chylewskiej z Wielkich Koźliszek. Małżeństwo Piotra Rosena było dla wszystkich, którzy go znali, wielką niespodzianką i sensacją. Liczono go za niepoprawnego i zdecydowanego starego kawalera. W 1918 r., jeszcze za Niemców, wrócił z żoną do Gaczan, potem za bolszewików uciekł za front litewski i do Wilna po wzięciu go przez Polaków, po wypędzeniu zaś bolszewików z tych stron wrócił do Gaczan. Zarządza też z ramienia Walunia Weyssenhoffa jego majątkami Tarnowem i Jużyntami i z ramienia p. Antoniowej Weyssenhoffowej – Pokrewniem. Materialnie ma się dobrze; słychać, że robi i ma wielkie pieniądze. Stał się jaskrawym wstecznikiem i wrogiem Litwinów. Zresztą, jakim był – takim jest: ma żyłkę do geszeftu i w gruncie nic by go poza tym nie obchodziło, byleby się nie musiał lękać reformy agrarnej i byle miał spokój i nieograniczoną swobodę spekulacji. Żonę Piotra dziś po raz pierwszy poznałem; jest miła, przystojna nie nazbyt, typ – trochę wyblakły i bez wyrazu, ale młoda i robi wrażenie bardzo dobrej. Podobała się ona Papie, który nawet wyobrażał sobie, że się w nim zakochała i, jak wiem od ludzi (od Elizki Komorowskiej, od Jakszuka), wspominał zupełnie poważnie, że gdyby Piotr Rosen umarł, to mógłby się z nią jeszcze ożenić Papa.

7 czerwca, rok 1920, poniedziałek
Znowu cały dzień spędziłem w Staczeragach w lesie na mierzeniu z Jakszukiem i leśnikami działek do wyrębu. Dzień był pochmurny, chwilami deszcz lał strumieniem. Przyjemna to jednak była robota i gdyśmy skończyli, żal mi było, że to już koniec. Piękny jest jednak ten las staczeraski, a szczególnie malownicze są łączki leśne. W jednym miejscu natrafiłem na olbrzymich wymiarów kamień – prawdziwy odłam głazu, nietknięty dotąd ręką ludzką od prawieków, gdy go lodowce tu z dalekiej jeno macierzystej Skandynawii przyniosły; las go osłonił i uratował od rozsadzenia.
Przed kilku dniami miałem list z Wilna od Maryni. Były tam dwa listy. Późniejszy jest datowany z 24 maja. Z listu tego wynika, że w dn. 27 maja miał się odbyć ślub Ewy w Wilnie. Prawdopodobnie jest więc już ona panią Meyerową. Co do samej siebie, to Marynia trwa w zamiarze małżeństwa z majorem Trześniowskim na jesień roku bieżącego. O rozwodzie zwątpiła i ma zapewne pobrać się z majorem po prostu na

wiarę. Nie ma w liście Maryni żadnego śladu niepokojów lub paniki w Wilnie z okazji ofensywy bolszewickiej, która w tym czasie musiała się jeszcze przedstawiać groźnie. Przeciwnie – jest Marynia widocznie tak dobrej pod tym względem myśli, że snuje projekty o kupnie do spółki z majorem folwarczku na Białej Rusi, gdzieś pod Królewszczyzną, a więc mniej więcej w okolicach Dokszyc. Co do frontu polsko-bolszewickiego, to wczoraj w Gaczanach wpadł mi do rąk numer „Dziennika Kowieńskiego", w którym były przedrukowane komunikaty wojenne polskie. Ostatni z tych komunikatów (nie pamiętam daty, ale w każdym razie jeszcze majowy) wymienia linię frontu: jezioro Narocz-górna Berezyna. Komunikaty te tchną już powodzeniem, ale w każdym razie wskazana linia jest znacznie zaawansowana na korzyść bolszewików. Świadczyłoby to, że są oni głęboko w pow. dziśnieńskim i sięgają powiatów święciańskiego i wilejskiego. W jednym z komunikatów były wymieniane Pleszczenice i Ziembin. Trudno zmiarkować, którędy idzie linia frontu bolszewickiego od okolic jeziora Narocz na Dźwinę: na Dzisnę czy na Dryssę, czy jeszcze inaczej. Linia Berezyny pod Borysowem i Bobrujskiem nie uległa, zdaje się, zmianie. Figura wskazanego frontu zdaje się świadczyć o jego niestałości: od Dźwiny na Narocz i stamtąd do górnej Berezyny; tworzy to występ, który albo musi się rozszerzyć i wyrównać na rzecz bolszewików w kierunku Dyneburga lub Święcian, względnie kierunku Borysowa i Bobrujska, albo musi się wyrównać na rzecz Polaków przez cofnięcie bolszewików ku Dźwinie lub odcięcie ich worka z flanek. Bez gazet i bez poczty człowiek o całe tygodnie się późni w stosunku do biegu wielkich wypadków.
Marka litewska, która właściwie jest niemiecką, wciąż gwałtownie idzie w górę. Jest to objaw dodatni dla gospodarczego bytu Litwy i wytyczający szczególne zjawiska i nawet szczególną psychologię, zasadniczo różną od tych tendencji, do których się przyzwyczaiłem w Polsce na tle systematycznego i beznadziejnego spadku waluty polskiej. Litwa niewątpliwie zrobiła jedną bardzo mądrą i zbawienną rzecz, nie wydała przedwcześnie własnych pieniędzy, nie spróbowała na własną ręką zafundować własną „walutę". Jej sąsiadki – Polska i Łotwa – nie ustrzegły się tego błędu, który miał skutki dla nich fatalne.

8 czerwca, rok 1920, wtorek
Mniej więcej od tygodnia upały i susza ustąpiły miejsce deszczom i chłodom. Jest to w naszym klimacie zjawisko zwykłe. Najczęściej tak w drugiej połowie maju starego stylu lub w czerwcu przychodzi u nas reakcja chłodów. Nie znaczy to, żeby dochodziło do przymrozków, ale w każdym razie termometr spada do stopni dziesięciu, ośmiu albo jeszcze niżej. Konserwuje to zresztą barwy roślinności naszej i daje odpoczynek naturze. Pola były już bardzo spragnione wilgoci, a na porost łąk deszcze po ciepłach wpłyną bardzo dodatnio. Tylko na usposobienie ludzkie ta słota wpływa ujemnie. Smutno się wtedy robi i nudno. Wszystko zdaje się być szare, tęsknota zalewa serce.
Przyjeżdżał dziś do Bohdaniszek Dąbrowicz, rządca Przeździeckiego z folwarku Skiemiany za Abelami po zwrot długu, zaciągniętego u niego przez Papę w roku 1917 w ilości 2000 marek. Wypłaciłem mu 1000 marek., bo więcej nie mogłem, gdyż moja rezerwa gotówki, pochodząca z majowego zadatku kupca Rabinowicza, jest na wyczerpaniu. Gdyby nie spodziewany sukurs z lasu, którego sprzedaż detaliczną chłopom na budulec wnet rozpocznę, nie wiem, w jaki sposób dałbym sobie radę z bieżącymi wydatkami na Bohdaniszki.
Spisałem dziś kontrakt z Namicką na trzyletnią dzierżawę Kumsz i byłem w Staczeragach w lesie z Michelem Ruchem, która rzucił okiem na działki do wyrębu i wybrał jedną, środkową, gdzie już tymczasem postawił dwie pary traczy do

spiłowywania papierówek. Jutro Michel ma przyjechać do Bohdaniszek z synem Pejsachem i kupcem Rabinowiczem.
Wspomniałem w dzienniku o ujemnych skutkach gospodarczych i politycznych spadku waluty w Polsce: trudności aprowizacyjne w miastach, zubożenie mas miejskich, ferment strajkowy, nędza inteligencji, tendencja zniżkowa produkcji rolnej, brak surowców dla przemysłu przetwórczego. Za to ludność rolnicza, chłopska i ziemiańska, ma się tam dobrze. Spożycie w masach chłopskich w stosunku do stanu przedwojennego wzrosło, gotówki ma rolnik w bród, bo jeżeli nawet nie ma zasobów tejże, stanowiących często prawdziwe pokłady pieniędzy papierowych, to w każdej chwili z największą łatwością, byle tylko cokolwiek sprzedał, ma jej na zawołanie. Podatki też są nie wielkie, po pierwsze dlatego, że większość Sejmu jest chłopska, więc nie kwapi się on z obciążaniem rolników, a po wtóre dlatego, że system drukowania własnych pieniędzy wytwarza specjalną psychologię bankrucką szukającą na wszystko ratunku w drodze najłatwiejszej pozornie i najprostszej doraźnie – nowych emisji papierków dla załatania rosnących dziur. Inaczej się rzecz ma w takim kraju, jak Litwa, która nie wkroczyła, wzorem sąsiadów, na pochyłą drogę drukowania własnych pieniędzy papierowych. Ponieważ droga ta, w konsekwencjach niebezpieczna, wymaga jednak na razie najmniejszego wysiłku, więc był czas – za rządów Jana Vileišisa jako ministra finansów, kiedy Litwa także chciała się jąć tego sposobu jako środka leczniczego na kłopoty finansowe. Skarb bowiem Litwy był w stanie opłakanym. Po wyjściu okupantów trzeba było całą machinę państwową zorganizować i utrzymać w ruchu, a smarowidła do kół – gotówki – było w kasie brak. Miesiącami państwo zalegało w wypłacie żołdu żołnierzom i pensji urzędnikom, co wywoływało ferment w wojsku, dochodzący do buntów i dezorganizację oraz demoralizację stanu urzędniczego. Rozpoczęciem druku własnych pieniędzy państwo chciało łatać dziury tak, jak łatają je u siebie sąsiedzi. Litwa rozpoczęła wtedy pertraktacje z państwami obcymi (ze Skandynawią) w przedmiocie druku pieniędzy; pertraktacje te spełzły jednak na niczym, a tymczasem zmiana rządu wysunęła nowy kierunek rozwiązania finansowego – prawdopodobnie za poradą Anglii, rozumnej protektorki Litwy. Litwa zrzekła się emisji własnych pieniędzy, kwestię własnej waluty odroczyła i oparła się na razie na krajowych zapasach pieniędzy okupacyjnych „ober-ost”, gwarantowanych przez Niemcy. Pieniądz ten (ost-ruble i ost-marki) przyjęła za tymczasowy środek płatniczy, a przez to, że nie wytworzyła dla niego konkurencji w postaci pieniędzy własnych, utrzymała go w kraju. Stopniowe podnoszenie się waluty pieniężnej niemieckiej uchroniło też Litwę od zalewu pieniędzy sąsiedzkich, które, jako niższe (spadkowe) i obowiązujące, nie znalazły dostępu do kraju i nie mogły rywalizować z ost-markami.

9 czerwca, rok 1920, środa
Deszcz. Kupiec Rabinowicz nie przyjechał. Rano Jakszuk chodził do lasu montowskiego i sprzedawał drzewo budulcowe chłopom ze wsi Montowszczyzny. Nie poszedłem z nim nie dlatego że deszcz, ale dlatego, że na sprzedaż drzewa w Montowszczyznie nie mam pozwolenia i tylko w drodze wyjątku tym razem tam sprzedałem i nie chcę bezpośrednio w tej sprzedaży figurować. Parę razy wychodziłem z domu, byłem nawet na polu, zająłem konie wioskowe na dworskiej łące, ale słota mię zawsze nazad do domu wpędzała.
Tęskno mi. Szczególnie, gdy tak jak dziś deszcz pada od rana do nocy, na dworze zimno i mokro, wiatr hula po drzewach, a ja, samotny na wsi jak pustelnik, w domu siedzę i do nikogo się nawet odezwać nie mam, bo jedyna rodzina Jakszuków, która ze mną w domu tym mieszka, nie budzi we mnie żadnej ochoty do pogadanki. W takim

dniu tęsknota osiada serce, a roje wspomnień z całego życia unoszą się z najgłębszych mroków duszy i snują się po niej jak ta mgła dżdżysta, która przez szyby okien zasłania horyzont i sączy monotonnymi kroplami deszczu. A że dom, w którym mieszkam, jest moim starym domem rodzinnym, w którym przed laty 40 się urodziłem, w którym upłynęło moje dzieciństwo i w którym cały szereg barwnych epizodów młodości miał miejsce, więc w pamięci zaludnia mi się on tłumem postaci bliskich lub znajomych, z których wiele drogich już umarło, a z których nie ma tu ani jednej. W pierwszym rzędzie nasza Mama kochana, to serce nasze, które do śmierci tak biło pulsem naszego życia, jak żeby się nie było nigdy urwało to tętno, które w jej żywocie nasze ciałka embrionalne z jej krwią i ciałem łączyło. Tym bardziej rażącą jest pustka obecna w tym domu w ten dzień posępny i dżdżysty, samotna jałowa cisza, przerywana kroplami deszczu i skargą szumiącą liści, nękanych wiatrem. Ach, gdybyż powrócić do młodości, gdybyż móc szaleć i kochać, jak się kochało, mając jeszcze lat 30 i nawet przeszło, nie samym tylko fizycznym zmysłów nasyceniem, bo na to i czterdziestka wystarczy, ale nerwowo, całą młodą duszą sprężystą, jak dawniej! Kochać by jeszcze może i można, ale cóż po tym, kiedy być tak kochanym, jak się nim było dawniej, niepodobna! Ot, głupie zachcianki i tęsknoty dnia słotnego w samotności na wsi, próżne żale wieku dojrzałego, od którego już młodość uleciała, a starość jeszcze mrozem nie skuła! Niech pamięć Twoja święta, Anuś moja jedyna, broni mię od tych próżnych tęsknot! Tyś mi była w życiu szczęściem tak wielkim, że grzeszyłbym pragnąc dziś przywrócenia młodości dla nowych życia kwiatów. Kwiatem moim byłaś Ty, jedyna, Ty, któraś mi dała siebie tak całkowicie, jak więcej być nie może. Kwiat to był przepiękny, kwiat, w którym się całe nasze obojga życie wysiliło i który dwa życia i dwie osobowości – Twoją i moją – stopił w jedno życie i jedną osobowość – naszą. Czyż po Tobie, Anno, wolno mi jeszcze tęsknić?! Precz, chimery! Precz, obłudne humorów fałsze. Twój Michasik, Aninko, spokojny będzie i nie powstanie z Twojego grobu do nowych szczęścia usiłowań. Tak mi Panie Boże dopomóż!

10 czerwca, rok 1920, czwartek
Rano byłem w lesie w Staczeragach. Sprzedałem kilka sztuk pni chłopom na budulec, zaznaczyłem z Jakszukiem i leśnikiem na działce środkowej, kupieckiej, drzewa, które przekraczają 12 cali średnicy i które na papierówkę nie mają być brane. Dwie pary robotników rozpiłowują dziś powalone we wtorek jodły na odcinki sążniowe i łupią je z kory. Dzień nadspodziewanie pogodny po słocie wczorajszej, słoneczny, choć jeszcze zimny; Jakszuk obawia się nawet przymrozku na ranek.
Po obiedzie spisałem z dzierżawcą Aleksejunasem kontrakt na dzierżawę folwarku Staczerag na warunkach, jeszcze przez Papę ustalonych. Potem obszedłem pole. Jeszcze raz się przekonałem, jak nędzna jest koniczyna i jak słabe miejscami żyto; jarzyny są średnie; w jednym polu są niezłe, ale w drugim – ostatnim przy granicy boniuskiej i wioskowo-bohdaniskiej – nieszczególne. Pod wieczór był u mnie Wałejnis, chłop z Mełduć, mój dawny znajomy.
Otrzymałem depeszę od Łukomskiego, datowaną z Kowna. Nie rozumiem zgoła, o co chodzi. Łukomski zawiadamia mię, że stanowczo (po rosyjsku: „непременно” – depesza w języku rosyjskim) jedzie do Kowna. Nie wiem jednak, dlaczego mię o tej podróży zawiadamia, bo choć pisałem do niego z Bohdaniszek, adresując do Szawel, nie wzywałem go bynajmniej do Kowna. Albo w Abelach leży jakiś list Łukomskiego do mnie, z którym się wiąże ta depesza, albo tekst depeszy jest przekręcony i w takim razie Łukomski zapewne nie zawiadamia mię o podróży swojej do Kowna, ale chyba mnie tam wzywa. Zresztą, dlaczego by pisał: „jadę” do Kowna, kiedy telegrafuje z

Kowna, a więc powinien by napisać: „przyjechałem” do Kowna. Jutro będę w Abelach na poczcie – może znajdę list od Łukomskiego, który rozwiąże zagadkę.
Przez Jakszuka słyszałem jakieś pogłoski – nie wiem, z jakich pochodzące źródeł – jakoby w Kownie działy się jakieś wypadki niezwykłe, ale jakie – tego też nie wiem. Gazety podobno wszystkie przestały wychodzić i wychodzi tylko jakaś jedna, litewska, pod nazwą, która w tłumaczeniu polskim ma brzmieć: „Życie robotnicze”. Przypuszczam, że mamy tu do czynienia ze zwykłym strajkiem zecerskim, który jeno w pogłosce wyrasta do poziomu jakichś nadzwyczajnych rzekomo wypadków. Jak nie ma gazet, to nic nie wiadomo, co się na świecie dzieje, a to daje podkład domysłom i pogłoskom. Zresztą w obecnych niespokojnych czasach za nic zaręczyć nie można: wszystko jest możliwe, najnieprawdopodobniejsza pogłoska może się nagle okazać nie tylko prawdziwą, ale nawet bledszą od prawdy. Nie widzi mi się, żeby w tak krótkim czasie po zwołaniu Sejmu miały nastąpić jakieś wybuchy, toteż nie ufam tej pogłosce. Znowu straszą bolszewikami, że są blisko. Powiadają, że są niedaleko za Święcianami. Bóg tam raczy wiedzieć. Podług ostatnich znanych mi komunikatów polskich – jeszcze majowych – front bolszewicki dochodził do jeziora Narocz. Mam wrażenie, że dalej się nie posunął, a nawet że został cofnięty. Jeżeli gazet nie ma, to trudno będzie w tym względzie coś się dowiedzieć. Zresztą nie należę do tych, którzy bagatelizują nadto siły i środki bolszewików i przeceniają możliwości militarne polskie. Powstaje też kwestia, czy bolszewicy, gdyby zwyciężyli Polaków na Litwie i dotarli do obecnej linii demarkacyjnej litewskiej, wkroczyliby zbrojnie do Litwy, czy ograniczyliby się tylko na gnaniu Polaków, zachowując *bonam fidem* względem rozpoczętych z Litwą rokowań pokojowych i nawet już przyznania w zasadzie przynależności Wilna do Litwy. Zdawałoby się, że wzgląd na niedrażnienie Anglii, która inwazję bolszewicką do państw bałtyckich uważałaby za prowokację jej interesów i, choć sama nie posłałaby swoich żołnierzy do obrony Litwy, poparłaby jednak amunicją i materialnie Polaków, i wzgląd na przysparzanie sobie wrogów, dopóki Polska pozostaje dla bolszewików groźną, powinien by ich na granicy Litwy powstrzymać. Ale w razie dużej porażki Polski drugi wzgląd traci na sile, a natomiast bolszewicy mają zawsze przeciwko względom pacyfistycznym jeden wzgląd agresywny – propagandę rewolucji i Międzynarodówki i zatarcie wszelkich granic państwowo-burżuazyjnych. Głoszona przez nich zasada samookreślenia narodowości kłóci się z ich zasadą społeczno-rewolucyjną, która narodowych formacji państwowych nie uznaje i głosi powszechną rewolucję proletariacką.

11 czerwca, rok 1920, piątek
Jeździłem dziś przed obiadem do Abel, ale na próżno, bo nie znalazłem tam na poczcie żadnych listów, a gazety tylko stare, najdalej z d. 2 czerwca, które już znam skądinąd – z Rakiszek i z Gaczan. Wczorajsza więc depesza Łukomskiego pozostała zagadką i sprawdziło się to, co mówił wczoraj Jakszuk – że gazety w Kownie nie wychodzą; dowiedziałem się od Żydów abelskich, że w Kownie wybuchł strajk zecerów.
Chłopi las kupują. Odkąd rozpocząłem sprzedaż detaliczną lasu chłopom na budulec, a trwa to zaledwie od trzech dni, co dzień kapie z tego gotówka, po kilkaset rubli albo marek. Pozawczoraj Jakszuk sprzedał trochę drzewa w lesie montowskim, wczoraj sprzedaliśmy już trochę w działkach porębowych staczeraskich, dziś po obiedzie cała gromada chłopów się zgłosiła po las; byli to przeważnie chłopi z Kurkleć, w tej liczbie jeden Żyd (w Kurleciach są Żydzi-koloniści), jeden chłop z Matejek i jeden – z Kalniszek. Ogółem kupili dziś za czterysta kilkadziesiąt marek i za około tysiąc rubli. Kłopot jest z tymi rublami. Kurs rubli spada ciągle w porównaniu do marek litewskich (ost), które wciąż idą w górę. W miasteczkach towaru za rubli dostać nie można –

żądają płacenia markami. Tymczasem na wsi między chłopami transakcje idą na ruble, chociaż chętniej się bierze marki. Ale w tej części kraju, która była w roku zeszłym pod bolszewikami, marek jest bardzo mało, a rubli pełno. Toteż z konieczności ruble muszą kursować. Większość kupujących las też płaci rublami, bo innych pieniędzy nie ma. Biorę w stosunku 2 ruble za markę, ale wobec ciągłej zniżki rubla nie można być pewnym, że stosunek ten się utrzyma. Rubli nagromadza się coraz więcej, bo gdy trzeba płacić, to prawie wyłącznie markami. Druga niedogodność rubli jest ta, że wartość ich zależy od wielkości odcinków. Im większe są odcinki, tym kurs jest lepszy. Najdroższe są odcinki po 500 i po 100 rubli; po tym idą odcinki 25-rublowe; odcinki 10-rublowe jeszcze są przyjmowane, 5-rublowe – już z wielką biedą i niechętnie; a 3-rublowe i 1-rublowe wcale przyjmowane nie są. Wreszcie ostatnia plaga rubli – to są dziurki; niech będzie w papierkach rublowych, bez względu na wysokość odcinka, najdrobniejsza mikroskopijna dziurka – papierek taki jest absolutnie nie przyjmowany. Przy przyjmowaniu rubli trzeba każdy papierek oglądać jak najuważniej pod światło i pomimo to przy najstaranniejszym badaniu znajdują się potem dziurawe. Oczywiście mowa tu tylko o rublach tzw. carskich czyli mikołajewskich, bo ruble dumskie, kierenki i sowieckie żadnego zgoła użycia w obrocie nie mają.
Miałem dziś list od Hektora, z którego dowiedziałem się, że Papa już jest w Warszawie. Nie wiadomo, czy to już Papa wraca, czy tylko dlatego przyjechał z Torunia do Warszawy, bo mu zabrakło pieniędzy i, nie mogąc się ich doczekać, pomimo szturmowania listami i depeszami, chciał być bliżej źródła i ewentualnego kredytu, o który mu łatwiej w Warszawie, niż w Toruniu. Teraz Elizka, która była w Kownie, wysłała już Papie pieniędzy *via* Wilno-Marynia (zapewne 5000 rubli, co na marki polskie uczyni około 10000 mk.). Zobaczymy, czy Papa po otrzymaniu tych pieniędzy pozostanie tam jeszcze lub się odważy na podróż do Węgier, czy też będzie mu tego tak mało, że powróci, nie ufając, po dotychczasowym doświadczeniu, w rychłe nadesłanie nowego zasiłku. Wyobrażam sobie, jak wściekłym musi być Papa za zwłokę w posłaniu pieniędzy. Szturmował o nie już kilka miesięcy.
Jakszuk pozwolił dziś sobie na nowy wybuch gniewu wobec mnie. Chodziliśmy z nim razem do lasu sprzedawać drzewo chłopom kurkleckim. Jakszuk mierzył pnie, notował w książeczce i obliczał, ja – pobierałem pieniądze. Już wczoraj uważałem, że Jakszuka drażni nawet to, że ja, a nie on pobieram pieniądze. Drażni to jego chorobliwą ambicję. Snując się po lesie, gdy Jakszuk mierzył, zaglądałem od czasu do czasu na miarę razem z mierzącym Jakszukiem. Nagle Jakszuk wybuchł, oświadczając, że jeżeli mu nie wierzę i jeżeli będę kontrolować ilość cali, to on rzuci robotę i pójdzie. Zresztą nie chodziło mi tutaj o kontrolowanie go, jeno patrzałem na miarę przez prostą ciekawość, bo chyba byłbym głupi, żeby sądzić, że Jakszuk, mierząc w mojej obecności, będzie fałszywie ilość cali wskazywał. Odebrałem od niego miarę i dokończyłem czynności sam, Jakszuk zaś poszedł do domu. Z tym obraźliwym i zazdrosnym o władzę człowiekiem trudno żyć. Zadowolonym byłby on chyba wtedy, gdybym w nic zgoła nie wyglądał i był wyłącznie tylko malowanym tytularnym gospodarzem, a władcą wyłącznym jedynym – on. Już od spraw gospodarstwa rolnego potrafił mię odsunąć, bo rozporządzać się w tej sferze, skoro tu jestem czasowo, nie chcę, gdyż potrzebna tu jest ciągłość, a tę reprezentuje Jakszuk, ale chciałbym być w tym zakresie przynajmniej informowany, Jakszuk zaś unika informowania mię, o ile go sam o coś nie spytam. Teraz i w zakresie lasu „drażni" go moja ingerencja. Jest to człowiek, z którym współpraca jest niemożliwa.

12 czerwca, rok 1920, sobota

Nadal, sprzedając las, nie będę brał Jakszuka ze sobą. Człowiek ten ma ambicję i chęć władzy taką, że nie znosi nikogo równoległego, a tym bardziej dominującego nad nim. W pracy musi on być pierwszą osobą, musi dyrygować bez zastrzeżeń i bez podziału, inaczej – wybucha gniewem. Jest nawet dobry w robocie, orientujący się, bystry, pełny inicjatywy, ale – nieużyty i niemożliwy do współpracy. Moje stanowisko nieokreślone, tymczasowe w Bohdaniszkach nie daje mi możności usunięcia Jakszuka, tym bardziej, iż sam go uznaję za potrzebnego i użytecznego w obecnych warunkach. Muszę więc godzić się z jego rogatym usposobieniem w ten sposób, że do tego, co ja sam będę robić, wzywać go do współudziału nie będę. Jest on chorobliwie wprost obraźliwy i zazdrosny. Rady jego jednak – sam to uznaję – bywają dzielne. Tak oto teraz poradził on zwrócić się do gminy krewieńskiej z zaofiarowaniem lasu, przeznaczonego w działkach na potrzeby miejscowe, na wyprzedaż ludności tejże gminy, uprzedzając, że o ile tego nie zrobię, chłopi z wiosek gminy krewieńskiej będą skłonni przeszkodzić przemocą wywozowi z lasu papierówki, zakupionej przez kupca. Podobno już między chłopami są o tym gawędy i gotuje się zmowa. W obrębie gminy krewieńskiej lasy bohdaniskie są bodaj jedynymi, bo Pokrewnie lasów nie ma, a u Lisandra z Krewna są już one wyrąbane. Toteż chłopi gminy krewieńskiej, troszcząc się o własne potrzeby, są usposobieni bardzo niechętnie do wszelkiej sprzedaży i wywozu lasu poza obręb gminy. Gdy zimą tego roku gminne komisje leśne brały las dworski na potrzeby ludności po cenach tanich i gdy chodziło w Bohdaniszkach o zaoszczędzenie lasu od tego wyrębu, dwór przeciwko żądaniom komisji leśnych gmin obcych – rakiskiej i abelskiej – oparł się właśnie na gminie krewieńskiej, której ludność stanęła w obronie lasu; dzięki temu las był brany tylko dla potrzeb ludności gminnej, co go od większego spustoszenia uchroniło. Toteż teraz chłopi gminy krewieńskiej będą złym okiem patrzyli na sprzedaż lasu na wywóz kupcowi oraz na wyprzedaż detaliczną chłopom z innych gmin. Uważają oni to za krzywdę swoją i zwracają uwagę na to, że przy takiej wyprzedaży wolnej las rozchwytają ci, co mają grubszą gotówkę, z ujmą dla potrzeb ludności uboższej i dla miejscowych w obrębie gminy potrzeb. Ci, co kupowali las w tych dniach ostatnich, to byli właśnie z gmin obcych (chłopi gminy abelskiej z wiosek Montowszczyzny, Matejek i Kalniszek i chłopi gminy rakiskiej z Kurkleć). Mnie samemu przychodziło to na myśl, aby ogłosić w gminie krewieńskiej o wyprzedaży detalicznej lasu. Ale słusznie Jakszuk radzi, aby zwrócić się w tej sprawie formalnie do gminy z propozycją, by ona się podjęła pośredniczenia w tym znaczeniu, by za kartkami skierowywała do dworu tych, komu rzeczywiście las jest potrzebny. Jakszuk zapewnia, że tą drogą las szybciej będzie wyprzedany i że zażegna to ewentualne protesty i interwencję zbiorową chłopów przeciwko wywozowi lasu. Interwencja taka jest rzeczywiście niebezpieczna, bo przeciwko niej nie ma środków. Chłop w Litwie ludowej jest dziś potęgą i ma świadomość swojej potęgi. Jego potrzeby i jego pojęcie sprawiedliwości jest źródłem prawa, mającym moc większą od starych ustaw pisanych i dotychczas formalnie obowiązujących. Przeciwko oporowi masowemu chłopów nie ma skutecznych środków obrony, bo wojska do obrony interesów dworu przeciwko żądaniom chłopów, popartym ich zapotrzebowaniem, nikt nie da, a gdyby nawet dano, to po pierwsze wojsko, które jest z ludu, samo by spełnienia takiej funkcji odmówiło, a po wtóre Sejm stanąłby niewątpliwie po stronie chłopów. Zresztą jeżeli chodzi o mnie osobiście, brzydziłbym się nawet interwencją wojska, gdyż w założeniu uznaję prawowitość tych przesłanek społecznych, na których się zasadza obecna władza ludu i waga bezpośrednia jego potrzeb zbiorowych. Iści się dziś wielka przemiana społeczna, wielkie ludowładztwo bezpośrednie. Staje się ono faktem, choć dotychczas w kształty prawne dokładnie jeszcze ujęte nie zostało. I sprawiedliwość ludu nie jest tu w Litwie wyuzdaniem; ma ono swoją miarę, ma takt. Gdyby dziś masa zechciała, mogłaby działać despotycznie i

bezwzględnie, depcząc samowolnie wszystko, co się nie podoba i co z przeszłego ustroju wyrasta; jednak interweniuje ona tylko tam, gdzie jej potrzeby istotne w grę wchodzą. Liczyć się więc z nimi trzeba; nakazuje to rozum i sumienie.

13 czerwca, rok 1920, niedziela
Com pisał wczoraj – zaczyna się sprawdzać. Otrzymałem dziś od zarządu gminy krewieńskiej za podpisem wójta i pieczątką pismo, które w tłumaczeniu z litewskiego brzmi: „Właścicielu majątku Bohdaniszki. Podług otrzymanych wiadomości, Pan sprzedaje las w dużych przestrzeniach („plotus") leśnych bez wiedzy gminy i miejscowej komisji leśnej. Ponieważ obywatele gminy krewieńskiej są zubożali i jest około 68 domów pogorzelców, podczas gdy w granicach gminy lasu prawie że nie ma, tymczasem właściciel majątku Bohdaniszki, nie zważając na sytuację lokalną i nie licząc się z władzą miejscową, sprzedaje las chaotycznie (może rabunkowo – po litewsku: „betvarkiškai"). Ponieważ sprzedaż taka, wobec sytuacji lokalnej, nie odpowiada żadnym ustawom litewskim, przeto zawiadamiam Pana, że do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia tej kwestii ma Pan wstrzymać wyprzedaż lasu od dnia doręczenia niniejszego zawiadomienia. (podpis, data wczorajsza, numer i pieczęć". Tak więc mam nową „kwestię", nowy kruczek na drodze. Szkoda, że pismo to otrzymałem wcześniej, niż sam się do gminy krewieńskiej w tej materii udałem. Miałem zamiar właśnie dziś być w Krewnie, ale ponieważ dowiedziałem się, że nabożeństwa dziś w Krewnie nie będzie, bo ksiądz proboszcz wyjechał na fest do Antuzowa, więc jazdę odłożyłem, bo zresztą sądziłem, że może i wójta w Krewnie nie zostanę. Teraz pojadę jutro, ale już wrażenie będzie dla mojej sprawy gorsze, ponieważ udaję się po otrzymaniu powyższego zawiadomienia. Byłoby wrażenie lepsze, gdyby inicjatywa wyszła ode mnie. Sądzę, że trudności powinny się dać usunąć, gdy przedstawię wójtowi dowód pozwolenia Departamentu Leśnego i oświadczę zupełną gotowość ofiarowania na sprzedaż, stosownie do przepisów, przeszło 50% lasu z dozwolonej przestrzeni wyrębu – na sprzedaż detaliczną ludności gminy krewieńskiej, udzielając gminie względem komisji gminnej leśnej zupełną wolność dawania poleceń i wskazówek, komu drzewo ma być sprzedawane. Jestem całkowicie gotów do zastosowania się do tych wskazówek. Oczywiście chodzi mi o to, aby tą rzecz załatwić polubownie, bo choć świadom jestem tego, że formalnie prawo jest po mojej stronie, niemniej wiem, że dziś w rodzącej się dopiero Litwie ludowej, która jeszcze nie opiera się na ścisłych zasadach praworządności i jest dopiero w stanie fermentu, w którym się musują i gotują nowe koncepcje przyszłego własnego prawa, dotychczas jeszcze nie zrealizowanego, gmina i chłop tu są takie potęgi, których wola, z ich własnej koncepcji prawnej wysnuwana, jest faktycznie od prawa obowiązującego mocniejsza. Tak jest, niestety. Stan normalny obecny jest stanem bezprawia w znaczeniu jurydycznym. Jest to zjawisko zwykłe, charakteryzujące okresy rewolucji jako narodzin nowego prawa, nowego stanu prawnego. Ludowa koncepcja prawna staje ponad ustawą. Ustawa bowiem jest wyrazem ustroju i stosunków przeszłych, które rewolucja znosi. Pod panowaniem ustawy nie mogłaby się dokonać rewolucja. Dąży też ona do zniszczenia ustawy i za podstawą prawną przyjmuje koncepcję ludową prawa jako źródła dążeń przewrotu i jako nowy status, który ma ziścić rewolucja. Litwa usiłuje dokonać swej rewolucji ludowej drogą pokojową, ewolucyjną, metodą sejmową. Usiłuje ona utrzymać się na torach praworządności i legalizmu, ale masa chłopska i instytucje lokalne, tej masie bliskie i jej psychiką przepojone, mają psychologię na wskroś rewolucyjną. Zobaczymy, jaki będzie wynik mojej jutrzejszej rozmowy z wójtem. Czy go przekonam, idąc zresztą na tory pokojowe uwzględnienia słusznych skądinąd żądań na rzecz potrzeb ludności miejscowej. Ze stanowiska praworządnego pismo wójta gminy

krewieńskiej jest formalnie mocno wadliwe. Nie mówię już o tym, że przesądzanie w nim takich rzeczy, jak że sprzedaż moja jest chaotyczna lub że nie liczę się z władzą lokalną i nie uwzględniam sytuacji miejscowej, samo przez się dość niegrzeczne i niewłaściwe w piśmie urzędowym, a tchnące parweniuszowskim duchem biurokratycznej części okazania swej władzy i strofowania tych, których się *à priori* bez rozpoznania sprawy uznało za występnych, sama konkluzja pisma jest nielegalna i niezgodna nawet z czasowymi przepisami litewskimi, normującymi funkcje i atrybucje władz. Pozwolenia na wyrąb i sprzedaż lasu udziela nie gmina, lecz Departament Leśny w Kownie, a dozór i kontrola należy do urzędów leśnych, nie zaś do gminy lub gminnej komisji leśnej. Zresztą p. wójt feruje nagany i admonicje nie znając istoty rzeczy. Oczywiście formalnie prawnie wójt i gmina nie mogą jutro nie przyjąć warunków moich, które się na ustawach opierają: pozwolenie na wyrąb mam, jest ono legalne i spełniam zastrzeżony warunek o 50% na potrzeby miejscowe. Jeżeli p. wójt ma świadomość elementarną prawa i swoich atrybucji, zrozumie, co pomoże prawo wobec woli żywiołu, jakim jest rewolucja. Jednostka z jej gruntem prawnym może tu być tak zdeptana, że ani piśnie. Pisnąć może, ale co jej z tego. Niezmiernie mi jest przykre moje tu położenie, zarówno ze strony Jakszuka wewnątrz, jak z tego konfliktu z rewolucją na zewnątrz, tym więcej, że sam osobiście w założeniu rewolucji sprzyjam. Trzebaż mi było trafić w taką pozycję!

14 czerwca, rok 1920, poniedziałek
Gazet nie ma i wskutek tego jest się tu jak odciętym od świata. Całe państwo litewskie jest małą prowincją, drobniutkim znikomym skrawkiem Europy, głuchym jak jakaś salka na poddaszu wielkiego domu, pełnego ruchu i życia; życie kipi w domu, ale w małej salce nikt by się o nim nie domyślił, gdyby nie jedyne oszklone drzwi, przez które niekiedy jakiś odgłos wypadków domowych zabłądzi do środka. Tymi drzwiami oszklonymi Litwy jest Kowno, jedyne obecnie większe miasto w kraju; całą prasę dla Litwy dostarcza Kowno; gdy prasa, z powodu strajku zecerów kowieńskich, milczy, jedynym źródłem informacji są ludzie, przyjeżdżający z Kowna. Poza tym – są tylko mętne pogłoski, które często odzwierciedlają nie to, co się dzieje w istocie, jeno to, czego dane źródło pragnie i do czego tęskni, a przez to już samo wierzy. Co do informacji z szerszego świata, to zresztą nasze drzwi oszklone, Kowno, nawet za dobrych czasów, kiedy prasa wychodzi, przepuszczają bardzo skąpo światło: prasa litewska, dość uboga i oszczędna, w dodatku licząca w przeważnym stopniu na czytelników z ludu, mało oświeconych, dostosowująca się przez to samo do poziomu kulturalnie niezbyt wysokiego, przeważnie zaprząta się sprawami krajowymi, a więc lokalnymi; brak jej cech wielkiej prasy politycznej stolic; gazetka zaś polska, poza drukowaniem rozporządzeń rządowych i biuletynów sejmowych i od czasu do czasu jakiegoś domorosłego artykułu w stylu interesów klasowych ziemiańskich lub sprawozdania z Prodrolu, żyje prawie wyłącznie starymi przedrukami z prasy polskiej, chociaż tendencyjnie w duchu wszechpolskim, ale bardzo oględnie w pozorach dobieranymi, aby się nie narazić represjom litewskim. Już to w ogóle obywatele Litwy nie mogą się uskarżać na nadmiar informowania ich o wielkich wypadkach światowych, a teraz, gdy prasa umilkła, są oni bez informacji żadnych, na łasce domysłów własnych lub przygodnych pogłosek. Pod tym względem życie nasze się zbliża do warunków w Europie z wieku mniej więcej XVII, gdy nie było telegrafu i innych urządzeń pocztowo-komunikacyjnych. Urządzenia te wprawdzie są, funkcjonują w zasadzie nawet nieźle, ale jakoś ludzie nie umieją czy nie chcą zorganizować należycie ich użytkowania, prawdopodobnie dla braku wybitnej potrzeby po temu.

Co do drugiej głównie kwestii; informacji się pragnie teraz: dla nowych uchwał sejmowych w Kownie i dla nowin wojny polsko-bolszewickiej. Pod tym ostatnim względem od dłuższego czasu nic określonego nie wiadomo. Jednak w ostatnich dniach dochodzą tu dalekie echa strzałów armatnich. Skąd oni są – dokładnie nie wiadomo. Wojna jednak wyrobiła u ludzi ucho na ten dźwięk tylekroć znany. Dziś w nocy odgłosy tych strzałów było podobno wyraźnie słychać w Bohdaniszkach. Mówił mi o tym rano Jakszuk, mówił też potem starszy parobek Jodeło. O odgłosach huku dział armatnich słyszałem też dziś od ludzi i od księdza w Krewnie, słyszałem też od starowiera spod Aleksandrówki, który kupował kartofle w Bohdaniszkach. Sam strzałów tych nie słyszałem. Wszyscy wskazują, że kierunek tych strzałów idzie od Turmontu lub Dukszt. Nie mogą to być strzały z linii demarkacyjnej polsko-litewskiej, bo drobne zajścia na tej linii ograniczają się do wymiany strzałów karabinowych lub w najgorszym razie lekkich dział polowych. Ludzie przypisują te strzały bitwom Polaków z bolszewikami. Pogłoski są pod tym względem różne. Dotychczas mówiono zawsze tylko o obecności bolszewików za Święcianami. Dziś natomiast pogłoski znacznie już zbliżają bolszewików. Słyszałem od parobków pogłoskę, jakoby bitwa toczyła się pod Dryświatami, a Jakszuk, który jeździł do Rakiszek, słyszał tam o rzekomym wzięciu już przez bolszewików Dukszt. Jest w tych pogłoskach zapewne przesada, bo sporo tu jest jeszcze ludzi wśród chłopów i robotników, którzy gorąco czekają bolszewików i dlatego skłonni są tłumaczyć wszystko na ich korzyść. Ale jednak coś być musi i prawdopodobnie stara linia frontu sprzed majowego sukcesu bolszewików przywrócona jednak nie została. Nieprawdopodobnym i przesadnym w przeciwnym kierunku wydaje mi się inna wieść, którą mi dziś w liście komunikuje Elizka Komorowska, to znaczy źródło tendencyjne na korzyść Polaków: pisze ona, że będąc przed tygodniem w Kownie, słyszała tam jako wieść pewną z Wilna, że Polacy nie tylko odparli znów całkowicie bolszewików, ale nawet zdobyli Połock, którego poprzednio nie mieli. Bóg raczy wiedzieć, gdzie jest prawda. Może jest ona pośrodku, a więc Polacy nie byliby w Połocku, a bolszewicy nie byliby w Duksztach i pod Dryświatami, ale za to ci ostatni byliby w pow. dziśnieńskim i święciańskim.
Byłem dziś w Krewnie. O rozmowie mojej z wójtem Baranowskim – jutro napiszę. Poznałem w Krewnie nowego proboszcza, ks. Remejkę, Litwina, z którym przyjemnie pogawędziłem. Choć robię dużo błędów w języku litewskim, jednak władam nim o tyle, że mogę najdłuższą rozmowę prowadzić. Pod tym względem jest lepiej, niż sądziłem przed powrotem.

15 czerwca, rok 1920, wtorek
Po kilku dniach bardzo zimnych, choć bez deszczu, w których zwłaszcza noce były chłodne – termometr spadał zaledwie do kilku stopni ponad zero, dziś znowu dzień cieplejszy i pogodny, chwilami nawet parny. Rozpoczęto dziś w Bohdaniszkach koszenie siana. Parobków jest mało, o robotnika trudno, więc trzeba zaczynać zawczasu. Bieda też jest z kosami. We dworze kos nie ma, natomiast parobcy mają własne. Kupić – to są bardzo drogie i w złym gatunku, a parobcy, kosząc dworskimi, nie będą tak o nie dbali, jak o własne i prędko uszkodzą i popsują. Za koszenie jednak własnymi kosami parobcy żądają osobnego wynagrodzenia. Na warunki, które im proponował Jakszuk, nie zgodzili się. Jak mi mówił Jodeło, żądają oni po 20 marek dopłaty do pensji i po 1 purze[32] kartofli. Sądzę, że trzeba się zgodzić. Na razie dziś poszli kosić kosami własnymi.

[32] Puras (lit.) – jednostka wagi.

Lato już pełne. Są już poziomki, przez okna płynie do pokojów zapach kwitnącego jaśminu.
Słyszałem dziś przed obiadem wyraźnie dalekie stłumione echo kanonady armatniej; płynie ono gdzieś jakby od strony Krewna i jeziora Sortys, to znaczy z tamtego kierunku. Są jednak i uspokajające pogłoski między ludem. Słyszałem od byłego łowczego bohdaniskiego, Stanosława Janka z Rudel, pogłoskę, że Polacy zadali bolszewikom ciężką klęskę. Wieczorem dostałem do rąk numer „Lietuvy" kowieńskiej datowany z dn. 13 czerwca, to znaczy wydany w Kownie w sobotę po południu. Strajk więc zecerów wreszcie ustał. Ale gazeta ta nic wyraźnego w sprawie frontu bolszewickiego nie podaje. Wygląda, że front ten przechodzi między Dzisną a jeziorem Narocz, ale w którym miejscu – trudno dociec. Borysów jest, zdaje się, znów w ręku bolszewickim; ze źródeł bolszewickich widać, że Borysów spłonął całkowicie i ludność tuła się bezdomna po lasach, względnie mieści się w szałasach i barakach, tymczasowo budowanych.
Interwencja gminy krewieńskiej wprowadziła sprawę wyrębu w działkach staczeraskich w nowe stadium. Z wójtem rozmówiłem się w Krewnie wczoraj. Jest nim niejaki Baranowski, gospodarz ze wsi Kieleżery, człowiek młody jeszcze, w okularach o czarnych szkłach. W kołach dworskich i księdza proboszcza krewieńskiego słynie on za „bolszewika", a jest, zdaje się, pod wpływami socjalnych demokratów. Przyjął mię na razie ostro, podnosząc głos, pomimo że go uprzedziłem od razu, iż niesłusznie mię oskarża o jakieś knowania przeciwko interesom ludności miejscowej i o nieliczenie się z przepisami prawa. Spuścił później nieco z tonu, gdym go zapewnił, że gotów jestem w zupełności zastosować się do życzeń i wskazówek gminy w zakresie wyprzedaży tej części wyrębu, która jest przeznaczona dla potrzeb ludności miejscowej, i gdym wspomniał też o tym, że jestem sędzią w Sądzie Okręgowym w Kownie. Nadmienił, że zarzuty, które mi uczynił w piśmie, nie były jego twierdzeniami, jeno informacjami, otrzymanymi w gminie ze skarg ubocznych, że on sam w to się wtrącać nie zamierza, jeno rzecz ta musi być omówiona i załatwiona w porozumieniu z miejscową gminną komisją leśną. Chętnie przystałem na porozumienie się z komisją, bo choć wiem, że formalnie mógłbym się i bez niej obejść, ale faktycznie będzie to jedyny sposób do zapewnienie sobie wykorzystania pozwolenia, gdyż w przeciwnym razie natrafię na zbiorowy opór chłopów gminy krewieńskiej, który uniemożliwi jakąkolwiek wyprzedaż. Stanęło na tym, że wójt ma jak najrychlej zwołać posiedzenie komisji leśnej z udziałem leśniczego rządowego z Dusiat jako jej przewodniczącego i jako właściwą władzę lokalną leśną, i z udziałem moim. Tak więc znowu weźmie tę sprawę w swoje łapy komisja, co niewątpliwie jest bardzo krępujące, ale, niestety, cóż robić. Jest to jedyny sposób okupienia względnego spokoju i możności eksploatacji. Gmina uważa lasy, położone w jej obrębie, choćby stanowiące własność prywatną, za dobro społeczne, które może być użytkowane tylko w zakresie potrzeb gminy. Nie zaprzecza ona właścicielowi prawa pobierania zapłaty za sprzedawany towaru podług taksy, ale towaru żąda dla siebie. Wójt był jednak do końca dość szorstki i sztywny ze mną. Wyczuwała się w nim niechęć do dworu jako pijawki „burżuazyjnej", jako do pasożyta społecznego. Taki stosunek, gdy go względem siebie wyczuwam, jest zawsze dla mnie niezmiernie przykry i upokarzający. Dziś przyjechał w tejże sprawie do mnie Valulis, członek krewieńskiej komisji leśnej, który pełnił obowiązki jej faktycznego prezesa. Nastawał, aby cały wyrąb zrealizować wyłącznie na potrzeby gminy krewieńskiej, nie dopuszczając do kupna pod żadnym warunkiem nikogo z gmin obcych i nawet nic nie rezerwując dla kupca Żyda, bo to na spekulację. Musiałem mu przyrzec, że chłopom z innych gmin nie sprzedam ani jednego pnia, chyba za zgodą komisji krewieńskiej, która zresztą z góry zgody na to odmawia; natomiast co do Żyda, to zastrzegam się, że nie

mogę z nim zerwać, bo są to stare dwa kontrakty, jeszcze wydane przez Papę i niewykonane, pomimo że część pieniędzy już została przez Żydów zapłacona, i że w przeciwnym razie Żydzi wytoczyliby mi procesy, nie mówiąc o konieczności zwrotu im nadpłaconych pieniędzy. W tych dniach ma się odbyć w Krewnie posiedzenie komisji w tej sprawie z udziałem leśniczego. Co do sprzedaży lasu kupcom prywatnym Żydom, to wypadnie z konieczności oprzeć się na starym kontrakcie Pejsacha Rucha, bo tylko tą drogą może być nadzieja utrzymania sprzedaży. Kontraktu z Rabinowiczem nie ma co robić.

16 czerwca, rok 1920, środa
Wznowiłem dziś moje kąpiele w stawie na polu, które od paru tygodni z powodu chłodów przerwałem. Jeżeli pogoda nadal sprzyjać będzie, będę się kąpać co dzień. Dzień był dziś słoneczny, prawie bez chmurki na niebie, bardzo ciepły. Kąpiel była rozkoszna, woda dość jeszcze chłodna, orzeźwiająca, z boku słońce dobrze dopiekało, z łąki szedł aromat świeżego schnącego, wczoraj dopiero skoszonego siana, które dziś grabiono. Powietrze ciche, tylko brzęk owadów, to znaczy głos ptaszka, od dworu – wołanie dzieci parobczanych i ciągłe głuche odgłosy dalekiej kanonady, przytłumione, ledwie dosłyszalne, jak huk podziemny gdzieś bardzo daleko. Echo strzałów jest jednak zupełnie wyraźne i kierunek, skąd ono idzie, również wyraźne – het na Jeziorosy i między Jeziorosy a Dusiaty. Gdy się wsłuchać w ciszę łagodną pól, słychać co pewien czas ten głos złowrogi, który dziś przez cały dzień nie ustawał. To ludzie się tam mordują, to wojna się znów sroży w nieszczęsnym kraju o jakąś może setkę wiorst od nas albo i bliżej. W ten słoneczny pogodny dzień huczy tak nienawiść ludzka, żniwo swoje krwawe zbiera śmierć, namiętności plemienne i społeczne, przetopione na język spiżowy granatów i szrapneli, szydząc z kultury, z uczuć ludzkich, z zasad twórczych pracy i miłości, rozstrzygają swój spór – Wojną! Od trupów ginących najnieszczęśliwsi są bodaj ci, przez których wioski, pola i miasta płynie ta pożoga walki. Polska, która iści swoją wolność, wykuwa warunki swego niepodległego bytu, tęskni zarazem do wielkich snów imperializmu w rodzinie narodów wschodnich, które faktycznie krwią swoją przeważnie ustrzegła je od zalewu bolszewickiego Rosji, ale zarazem sama na ich byt niezależny nastaje, i Rosja, która rewolucję swych wyzwolin święci i objawienie nowych świtów społecznych po Ludzkości całej roznosić pragnie! Walczą one jak dwa światy, nawiązując, bezwiednie może, starą tendencję wojen moskiewsko-polskich, a biedne ludy „kresowe" – Białoruś słodka przede wszystkim – krwawią!
Nie wiem, czy długo mi jeszcze danym będzie zażywać tej wsi bohdaniskiej. Zapewne nie. Bo oto pozawczoraj, bawiąc w Krewnie, doręczono mi z gminy pismo z Ministerium Sprawiedliwości z zawiadomieniem o nominacji na członka Sądu Okręgowego (sędziego okręgowego) w Kownie od dn. 1 lipca. Trzeba będzie chyba się stawić w tym terminie, bo sąd w Kownie jest przeciążony robotą i nie może tolerować nieobecności sędziów. Nabytek nowego sędziego – to dla sądu gratka, bo sędziów brak wielki, więc pracą każdy przeciążony. Jest to termin dla mnie trochę za wczesny, bo dla spraw bohdaniskich należałoby mi jeszcze co najmniej o miesiąc dłużej tu pobyć, nie mówiąc o przyjemności osobistej. Ale sam jestem temu winien, bo sam Norejce termin 1 lipca wskazałem. Zresztą mam wrażenie, że prędko nadjedzie Papa. To, że Papa przyjechał z Torunia do Warszawy, wskazuje, że z pieniędzmi musi być u Papy już bardzo kuso, więc się zbliża do swojej właściwej podstawy materialnej, którą w ostatniej mecie są Bohdaniszki, by być bliżej źródeł gotówki i ewentualnie kredytu. Elizka Komorowska świeżo wysłała przez kogoś, jadącego do Wilna, 3000 rubli rosyjskich dla Papy. Suma ta jest tak mała, że nie sądzę, aby zachęciła Papę do przedsiębrania dalszych podróży, zwłaszcza wycieczki na Węgry, i to szczególnie po

doświadczeniu, jak trudno doczekać się stąd nadesłania gotówki. Starczy to ledwie Papie na powrót, jeżeli jeszcze długi nie pochłoną tej sumki. Na wypadek rychłego powrotu Papy będzie nawet lepiej, jeżeli już będę usadowiony w Kownie na posadzie stałej. Będę się starał korzystać ze świąt dla dojeżdżania do Bohdaniszek, choć to trochę daleko.
Miałem w tych dniach przykrość. Nie znajduję mojej odznaki z I Brygady Legionów „Za wierną służbę". Odznakę tą przywiozłem tu ze sobą i, o ile dobrze pamiętam, położyłem ją do szuflady w komodzie z innymi rzeczami. Nie znajduję jej tam obecnie i nigdzie znaleźć nie mogę. Chyba dzieci Jakszuka mogły ją wziąć stamtąd dla zabawy. Dobrze, że przynajmniej mam dyplom na nią z własnoręcznym podpisem Piłsudskiego. Odznaka ta jest w każdym razie cenną dla mnie i drogą pamiątką.
Byli dziś u mnie kupcy leśni Rabinowicz z obu Ruchami. Powiedziałem im, że chcąc uniknąć interwencji włościan miejscowych, koniecznym będzie oparcie się na starym kontrakcie Pejsacha Rucha, unikając nowego kontraktu z Rabinowiczem. Będzie to miało cechę nie nowej sprzedaży lasu, jeno wykonania kontraktu starego, na który były już nadpłacone pieniądze. Nowej sprzedaży chłopi nie zniosą i uważam, że sprzeciwią się na pewno jej realizacji. Nawet na wykonanie starego kontraktu Valulis się bardzo wczoraj krzywił i chłopi będą to uważali za krzywdę i za akt, który miejsca mieć nie powinien, ale spodziewam się, że to się jeszcze da zrobić, bo leśnicy i komisja krewieńska będą musieli to uznać.

17 czerwca, rok 1920, czwartek
Pojechałem do Kowaliszek. Jechałem nową linijką Jakszuka, klaczą Barką – jedyną stajenną w Bohdaniszkach, która ma obecnie bardzo ładne źrebię, z małym Deksnisem, 17-letnim synkiem stolarza dworskiego, zagrożonym suchotami, którego na mój własny koszt wiozłem do lekarza w Rakiszkach. W Kowaliszkach spędziłem cały dzień i zostałem na noc. Zredagowałem tu klauzulę do leśnego kontraktu Pejsacha Rucha, prolongującą tegoż do r. 1921 i uzupełnioną zastrzeżeniami, zastosowującymi ten kontrakt do obecnego wyrębu lasu. Klauzulę tę wpisał następnie do bohdanskiej księgi umów własnoręcznie Hektor, albowiem w czasie prolongowania kontraktu, w marcu, on był jedynym plenipotentem Papy na Bohdaniszki. Obecnie więc kontrakt Pejsacha Rucha wraz z tą klauzulą będzie stanowił właściwą podstawę formalną dokonującego się wyrębu papierówki. Umowa z Rabinowiczem urzędowo figurować nie będzie.
W Kowaliszkach kipi praca twórcza. Pod względem produkcyjnym i przemysłowym Kowaliszki świecić zaiste mogą wzorem dla dworów i dla gospodarki rolnej w tych stronach w ogóle. Tradycję przedsiębiorczości Zysia kontynuują świetnie jego synowie z Hektorem na czele, który ma czucie interesów i jest do nich prawdziwie uzdolniony. Założona została w Kowaliszkach cegielnia, która zaczęła już funkcjonować i w najbliższych dniach będzie wypalona pierwsza partia cegły, schnącej już obecnie. Na dużej łące torfowej dwie torfiarki są czynne, wydobywając torf. Opodal na skraju tejże łąki czynna jest maszyna, prasująca wydobyty torf. Od maszyn, wydobywających torf, do pracy ułożony jest tor szyn, prowadzący stąd dalej nieco w pole, dokąd są odwożone wyprasowane tabliczki torfu i rozścielane na suchym miejscu do schnięcia na słońcu. Po szynach, ze zwrotnicami, z bocznicami torów zapasowych, kursują wagonetki. Cała armia kilkudziesięciu dziewczyn Rosjanek-starowierek, pracujących w charakterze robotnic sezonowych, dziewczyn jędrnych, silnych, zdrowych, jak krew z mlekiem, obsługuje maszyny, wagonetki i różne czynności, w zakres tej produkcji torfu wchodzące. Widok, pełny ruchu i charakteru, barwny i wesoły. Szyny z wagonetkami pochodzą z kolejki polowej niemieckiej, którą Komorowscy kupili w r. 1918 od Niemców za bezcen przy likwidacji okupacji. Ani bolszewicy, ani Litwini tego taboru

kolejki z szynami nie odebrali, pomimo że formalnie nie mogło to być przedmiotem kupna prywatnego i jako pozostałość po Niemcach – powinno było przejść na własność państwową. Tabor kolejki był złożony gdzieś w stodole, szyny – rozebrane i złożone gdzieś koło chlewu pod osłoną drzew. Bolszewicy ich nie dostrzegli, litewskim władzom nikt nie doniósł i oto teraz wyciągnięto szyny i tabor z ukrycia i zastosowano do eksploatacji torfu, co daje znakomitą oszczędność robocizny. W samym dworze Hektor zajęty forsownym uporządkowaniem, a raczej wznowieniem gospodarki rybnej, spuszczaniem górnych stawów, zarybianiem. Równolegle wrze praca w polu w rolnictwie.
Kowaliszki – wzór produkcji w rozkwicie, płodnej, społecznie użytecznej, zadającej kłam zarzutom pasożytnictwa dworów. Ale są oni zaiste wyjątkiem, który nie może być usprawiedliwieniem dla ogółu dworów i który raczej tym bardziej uwydatnia jałowość społeczną tego ogółu. Podczas gdy inne dwory prawie powszechnie w kraju świecą ruiną i pustką i stanowią jałowe oazy na tle zieleniejących zbożem i produkcją inwentarza żywego wiosek, zdając się samym widokiem swoim dostarczać argumentu na rzecz radykalnej reformy rolnej, która by usunęła jednolitość tych obszarów dworskich i zamieniła ich bezowocną pustkę na żywe produkujące kolonie chłopskie, Kowaliszki samym widokiem swoim życia i uprzemysłowionej ruchliwej i przedsiębiorczej produkcji zdają się wołać o barbarzyństwie takiej reformy, która by miała zniszczyć ten organizm twórczy i pokrajać go na parcele pospolitej prostej produkcji chłopskiej. Gdyby Kowaliszki były nie wyjątkiem, lecz wzorem dworów – to zupełnie inaczej i o wiele wymowniej przemawiałyby żywym świadectwem argumenty obrony dworów wobec jaskrawych reformy rolnej zakusów.

18 czerwca, rok 1920, piątek
Nie mówiąc o wielkich latyfundiach w rodzaju Rakiszczyzny Przeździeckich, jeno o średnich majątkach ziemiańskich w Litwie, regułą dziś jest, niestety, sytuacja taka: albo majątek jest całkiem opuszczony przez właściciela, który uciekł z kraju i przesiaduje najczęściej w Polsce lub poza linią demarkacyjną po stronie polskiej, bojąc się Litwy ludowej i drżąc przed widmem „bolszewizmu", który w pojęciach ziemian kojarzy się nie tylko z czerwonym terroryzmem komunistycznym, ale równie dobrze ze wszelkim radykalizmem społecznym przewrotu chłopskiego, lub knują za granicą spiski przeciwko Litwie, a opuszczone dwory są zdane na łaskę jakichś przygodnych rządów lub ujęte w zarząd państwowy, co w jednym i drugim wypadku równa się zupełnej dezorganizacji produkcyjnej, albo, o ile dziedzic się pokaże, a nawet siedzi we dworze, majątek ledwie wegetuje, gospodarka robi bokami, ciężko dyszy, a za to kieszeń właściciela szuka ratunku w lesie. Taką jest reguła. Gdy się dziś jedzie po Litwie, z łatwością się rozpoznaje pola dworskie i chłopskie. Dość rzucić okiem. Jeżeli zboże jest piękne, pole dobrze uprawione, ładne bydło się pasie – to musi być wieś albo zaścianek. Jeżeli zboże takie, że pożal się Boże, jeżeli tam, gdzie ma być żyto, sterczą gdzie niegdzie w rzadkich odstępach smutne liche słomki tej rośliny, jeżeli wśród pól łysieją wielkie płaty dywanów (odłogów), ugory nie nawożone i nie zaorane i na nędznych zagonach włóczą się jakieś cienie nielicznych krów – to na pewno dwór. Ratunku szukają dwory w lasach, ale ratunek ten zwykle nie obraca się na zapłodnienie gospodarstwa, jeno na zapełnienie doraźnie kieszeni właściciela i ginie bez śladu w licznych potrzebach tegoż. Natomiast wyjątkiem jest znośny stan gospodarczy dworu, a już zgoła rzadkością osobliwą – stan taki, jaki oglądać dziś można w Kowaliszkach. Obecny stan dworów potwierdza zarzut ich pasożytnictwa społecznego i przez to samo służy radykalnym tezom reformy agrarno-chłopskiej. Stan taki jest wprawdzie produktem wojny, która cięższej dotknęła organizmy gospodarcze bardziej

skomplikowane, jakimi były dwory, niż organizmy proste i drobne gospodarstw chłopskich, argumentami najdobitniejszymi są te, które przemawiają doraźnie, przykładami i widokiem. Otóż ta argumentacja jest dla dworów fatalna. Wyjątek taki, jak Kowaliszki, podkreśla jeno tej argumentacji pozorną dokładność. Bo oto jest przecie dwór, który pomimo wojny i rewolucji zdołał utrzymać, a nawet do rozkwitu uprzemysłowienia doprowadzić produkcję. Skoro inne dwory tego dokonać nie zdołały, świadczy to nie o niemożliwości, ale o nieudolności, a więc o wadze społecznej. Wymawiać się warunkami samymi nie można, bo oto co w tychże warunkach zdziałały Kowaliszki! Nieudolności tej wszakże i tej wady organicznej, czyniącej dwory społecznie nieużytecznymi w dobie próby, nie wykazały wsie i drobne zaścianki chłopskie. Tam jest odwrotnie: co dla dworów regułą, dla nich wyjątkiem, co zaś wyjątkiem dla dworów – regułą dla nich. Ogół gospodarczy chłopów wyszedł z próby wojenno-rewolucyjnej zwycięsko, ogół dworów i ziemian – uległ w tej próbie zwichnięciu.
Dziś rano wróciłem z Kowaliszek do domu. Spieszyłem się, bo na dziś, jutro lub poniedziałek projektowano z gminy krewieńskiej wezwać leśniczego z Dusiat do Krewna w sprawie lasu bohdaniskiego. Nie było go dziś jednak, bo mię z gminy nie zawiadomiono.
W Kowaliszkach dowiedziałem się ostatnich nowin, jakie tam doszły o Papie. Smutne sprawiają one wrażenie. Mianowicie Anna Römerówna za pośrednictwem panny Landsberg zawiadamia z Warszawy Elizkę, że Papa jest w Warszawie, że jest bardzo zdziecinniały, że nocuje co dzień u kogoś innego ze znajomych, widocznie jest bez pieniędzy, co byłoby próżnych ich marnowaniem, trzeba, żeby ktoś z rodziny osobiście przyjechał po Papę i zabrał go. Może być w tym trochę przesady, ale niewątpliwie smutny jest stan Papy i smutna taka starość samotna. Ma Papa liczne potomstwo dzieci i wnuków rodzonych, a jest samotny i opuszczony, jak włóczęga bezdomny bez rodziny. Bo sam Papa tak się odsunął od dzieci, tak ich potrafił od siebie oddalić, że dziś, kiedy każdy z nas boi się Papy i ucieka od Niego, iluzją jest przypuszczenie, że Papa dałby się komuś z nas powodować i opiekować sobą. Ale wobec postępującej starości Papy i zależnie od jego powrotu – nie wiadomo, co będzie z Bohdaniszkami i co wypadnie mnie robić w najbliższym czasie. Niewątpliwie, że na mnie, jako na synu, zaciąży odpowiedzialność największa; skądinąd za wszystkich Papy dzieci mnie jest najtrudniej uzgodnić się z Papą.

19 czerwca, rok 1920, sobota
Rano byłem w lesie staczeraskim i w Kurkleciach u Michela Rucha. W lesie robotnicy Rucha rąbią w wyznaczonym miejscu w działce środkowej jodłę, rozpiłowują na kawałki sążniowe, zdejmują korę i układają w sążnie. Robota postępuje bez żadnej przeszkody, bez żadnej z czyjejkolwiek strony zaczepki. Kilka par robotników, najętych z różnych wiosek, pracuje systematycznie. Wieczorem odwiedził mię Kazimierz Jankowski, który zabawił aż do zmierzchu.
Dzień był gorący, słoneczny. Wysokie słonko, które jest u szczytu swej potęgi rocznej, tak grzeje i suszy, że już ani znać śladu deszczów, które padały jeszcze przed tygodniem. Na jeżyny, na orkę pod żyto – potrzeba jest znowu deszczu. Natomiast na rozpoczęty już w Bohdaniszkach sianokos i na koniczynę, która się od wczoraj kosi, pogoda jest pożądana. Wczoraj zwieziono pierwszych 30 wozów siana z łąki nad stawem kąpielowym i innych łączek spod żyta; siano zebrano bez deszczu, śliczne, zielone, wyborowe, bo skoszona była trawa młoda w kwiecie. Zresztą właściwy tok gospodarstwa nie należy do mnie. Zajmuje się tym wyłącznie Jakszuk, który mnie nawet do tego nie dopuszcza i nie liczy się ze mną wcale. O ile go o coś zapytuję, to

mię raczy poinformować i nic nadto. Takiego rządcę, gdybym miał sam się zająć Bohdaniszkami, nie tolerowałbym ani chwili, bo umiem i lubię robić coś tylko o tyle, o ile sam ponoszę odpowiedzialność i mam kierunek. Choćbym na razie nie miał wprawy, to bym jej nabrał, a jeżeli bym nawet na razie w czymś zbłądził, to bym się przecież nauczył i opanował zadanie. Ale z Jakszukiem wykluczone jest nawet współpracownictwo moje, nie mówiąc o kierownictwie. Ze względu na moją nieokreśloną i tymczasową rolę w Bohdaniszkach i na niemożność usunięcia Jakszuka i zorganizowania innego zarządu bez Papy, muszę się ograniczyć do stanowiska biernego, a jestem zresztą pewny, że u Papy Jakszuk będzie miał posłuch o wiele większy ode mnie i że postara się on usposobić Papę do mnie niechętnie. Jest to też jeden z głównych względów, które mię zrażają do próby współpracownictwa z Papą w Bohdaniszkach. Papa nie tylko sam jest samotny i nie zniesie innej władzy w majątku, prócz swojej, ale także słuchać będzie podszeptów każdego obcego człowieka przeciwko mnie, ba, sam mu pomoże w wygadywaniu na mnie. U Papy syn, córki, wnuki powagi mieć i wpływu nie mogą; wpływ natomiast zdobędzie sługa, ale tylko nowy, bo charakterystycznym jest, wbrew naturze Mamy i naszej, że starych sług Papa nie znosi.
Strajk zecerów w Kownie wcale nie zakończony. Jedyna gazeta „Lietuva”, która znów zaczęła wychodzić, zawdzięcza to tylko temu, że, jako pismo rządowe, drukuje się w drukarni państwowej, która tymczasowo zużytkowała do pracy zecerskiej żołnierzy i kompletować będzie zecerów na stopie urzędników państwowych, dla których strajk jest podobno wykluczony. Zecerzy, jak opowiada Elizka, która niedawno jeździła do Kowna, postawili żądania olbrzymie i nie liczące się z możliwością; zażądali podobno po 6 godzin dziennie pracy, 3 dni w tygodniu wolne i co czwarty tydzień wolny, co by wyniosło 72 godziny robocze miesięcznie. Zresztą strajk w Kownie nie ogranicza się do zecerów; jest to fala strajkowa, która ma tendencje do strajku generalnego. „Lietuva” traktuje ten ruch strajkowy jako intrygę żywiołów obcych, skierowaną przeciwko Litwie na rzecz dezorganizacji państwowej, i dostrzega w tym ruchu rękę i pieniądz bolszewików i Polski. Co prawda – zarzut intrygi obcej, wspieranej pieniędzmi wrogów zewnętrznych, powtarza się względem ruchów strajkowych w opinii burżuazyjnej każdego państwa. Strajki w Polsce też są zawsze tłumaczone przez burżuazję „narodową” agitacją bolszewików i Niemców. Burżuazja „narodowa” litewska zgadza się z polską co do bolszewików, na miejsce zaś Niemców podstawia Polaków. Że zresztą w fermencie strajkowym jest nie tylko dążność klasowa, ale są także elementy rozmyślnego wichrzenia – to zdaje się być prawdziwym; nie jest też bynajmniej wykluczone, owszem – prawdopodobne działanie w mętnej wodzie czynników wrogich państwu, usiłujących jątrzyć i wprowadzać coraz większą dezorganizację społeczną i gospodarczą w państwie na rzecz bądź rewolucji, bądź bankructwa państwowego, z którego korzyść osiągnie antagonista. W ruchu strajkowym kowieńskim i w całym w ogóle fermencie robotniczym są ostre zwroty przeciwko Sejmowi Litewskiemu, ba, nawet przeciwko esdekom litewskim i przeciwko posłom esdeckim. Wiece robotnicze w Kownie na tle fermentu strajkowego bardzo dobitnie, jak wnosić można z „Lietuvy”, ten wzrost uwydatniały (jednego z posłów socjalno-demokratycznych, Czapińskiego, na pewnym wiecu nie dopuszczono nawet do głosu). Jednocześnie bardzo szeroko są kolportowane i rozrzucane odezwy komunistyczne, tak w miastach, jak na wsi, nie wyłączając stron naszych; w odezwach tych, podpisanych imieniem wodza Litwy komunistycznej, Kapsukasa, ale fabrykowanych, zdaje się, na miejscu, jest z błotem mieszana cała Litwa, jej rząd, jej Sejm, jej stronnictwa włącznie z esdekami. Bardzo prawdopodobne, że niedawny sukces bolszewików nad Dźwiną i górną Berezyną i zbliżenie się ich do Litwy rozzuchwaliło elementy komunistyczne i zapaliło w nich

energię do spotęgowanego wysiłku, połączonego z ruchami robotniczymi. Ziemianie jednak dobrze sobie z tego wróżą, spodziewając się reakcji litewskiej.

20 czerwca, rok 1920, niedziela
Nie wiem, czy ruch wśród parobków dworskich ma jakiś kontakt planowy z obecnym fermentem strajkowym w Kownie. Ruch parobków, krystalizujący się w związkach zawodowych robotników rolnych, datuje się u nas mniej więcej od kwietnia czy maja. Wspominałem już o nim w dzienniku. Trudno mi o nim sądzić, nie znając dokładnie jego całokształtu organizacyjnego. O ile wnosić mogę z pewnych oznak zewnętrznych i wieści, ruch ten jednak idzie torem własnym. Zdaje się, że budowa organizacyjna tego ruchu została już zakończona, to znaczy powstał jeden centralny związek robotników rolnych na całą Litwę. Zresztą czy jest on zbudowany centralistycznie z oddziałami lokalnymi, czy też jest organizacją federacyjną związków lokalnych, względnie powiatowych – tego powiedzieć nie mogę. W każdym razie wysiłki lokalne zostały powiązane i zespolone. Organizacja ta jest silna, bo ogarnia, zdaje się, wszystkich parobków dworskich. Jeżeli są wyjątki, jak u nas w Bohdaniszkach Łasiński, który stoi na uboczu i nie łączy się z ogółem parobków w ich działaniu solidarnym (Łasiński jest jedynym, który podpisał pierwotną umowę na podstawie kwietniowych warunków Jakszuka, co oczywiście nie zmienia tego faktu, że człowiek uzyszcze tyle co inni, bowiem i jemu się doda), to wyjątki te są zupełnie indywidualne. Wśród parobków solidarność jest duża. Każdy dwór stanowi zresztą spójnię parobczaną. Ci, którzy są klasowo mniej uświadomieni, spokojniejsi, potulniejsi, przestrzegają solidarności ze strachu, bo wobec istniejących tendencji społecznych groźniejszym i w skutkach przykrzejszym jest dla nich gniew towarzyszy pracy, niż gniew dworu, który jest spętany. Rodzaj więc terroru klasowego, któremu sprzyjają współczesne prądy społeczne, utrzymuje mocno karby solidarności parobków.
Jak się zdaje – ruch parobków dotychczas jest w ręku esdeków i nie wykracza jeszcze na tory komunistyczne ze zwrotem antypaństwowym; przeciwnie – skierowuje on swoje dążenia na tory akcji sejmowej. W Rakiszkach na czele związku robotników rolnych stoją Purenasowie. I Purenas, i jego żona, Wienożyńska z domu, należą do partii s.-d i sam Purenas jest posłem do Sejmu z ramienia tej partii, a choć jest pomawiany o sympatie komunistyczne, bo za czasów bolszewickich współpracował czynnie z niemi, i choć w partii s.-d. należy, o ile wiem, do skrzydła lewego, jednak chyba akcję, którą prowadzi, utrzymuje w ramach dyscypliny partyjnej, a więc nie ignoruje Sejmu. Słychać, że Purenas zrzeka się mandatu sejmowego, aby oddać się swobodnej pracy społecznej i politycznej w Rakiszkach, ale to jedno nie mogłoby jeszcze świadczyć o zerwaniu z akcją partyjną esdecką, która zresztą, stanowiąc w Sejmie opozycję, nie rezygnuje też bynajmniej z ruchu bezpośredniego z dołu z presją na Sejm. Że ruch parobków nie zszedł z torów esdeckich i nie zboczył na drogę jaskrawie komunistyczną, negującą Sejm i głoszącą bezpośrednio dyktaturę proletariatu, które to tendencje dają się obserwować w fermencie strajkowym w Kownie, o tym zdaje się też świadczyć to, że świeżo przed dwoma dniami odbywało się w Rakiszkach w związku zgromadzenie delegatów parobków ze wszystkich dworów dla wyboru specjalnej delegacji do Sejmu do Kowna dla przedstawienia tam swoich żądań. Jednak można przypuszczać, że elementy komunistyczne też usiłują zdobyć wpływ w organizacji robotników rolnych i że wypadki w Kownie nie pozostają bez wpływu na tą organizację, a sami esdecy, aby się nie dać uprzedzić komunistom, muszą iść w kierunku bardziej radykalnym. Toteż słychać, że żądania parobków radykalizują się także i że obecnie podnoszą już oni zasadę 8-godzinnego dnia roboczego nawet w sezonie letnim oraz szereg innych jaskrawszych żądań. Jakie stanowisko zajmie Sejm –

także nie wiadomo. Bądź co bądź Sejm, który czuje niebezpieczeństwo antypaństwowych komunistycznych dążeń w ruchu robotniczym, może być skłonny do kokietowania parobków nad miarę własnych nawet przekonań, tym bardziej, że dworom on jest niechętny i że specjalnie interesów dworskich zbytnio do serca nie bierze. Chłopsko-burżuazyjna i nacjonalistyczna większość sejmowa mało się rozczula losem dworów, które sama pragnie zgładzić, aby ich spadek chłopom przekazać. Sytuacja więc w tym momencie walki klasowej nie wydaje mi się dla dworów sprzyjająca.
Natomiast w kołach ziemiańskich, jak się o tym w Kowaliszkach przekonałem, panuje usposobienie optymistyczne. Wzrost tendencji bolszewickich w ruchu robotniczym budzi tam nadzieje na reakcję społeczną w Sejmie i rządzie w obronie samej państwowości. Na reakcji tej opierają ziemianie swe nadzieje. Nie wiem, o ile zasadne są twierdzenia, które wygłaszali Komorowscy, rzekomo na podstawie pewnych informacji, że sfery rządowe litewskie, zapewne w kontakcie z kołami większości sejmowej, umyślnie dają ruchowi robotniczemu i w szczególności ruchowi parobków rozwijać się i rosnąć, aby w nim prędzej dojrzały fermenty bolszewickie, by wtedy komunizm uchwycić i wydusić. Choćby represjami. Czy koła rządowe litewskie, opierające się na chłopach, pójdą na tą politykę prowokacji – zobaczymy. Tymczasem jednak radykalizm, nawet na wsi, narasta niewątpliwie. Sytuacja społeczna nie łagodzi się, lecz zaognia. Cytowano w Kowaliszkach, że próby strajków rolnych i ekscesów parobków są przez władze powiatowe i przez żandarmerię tłumione bardzo ostro już. Podobno gdy w Skiemienach (folwark Przeździeckiego za Abelami) parobcy zastrajkowali, żandarmi zbili parobków pałkami i strajk zdusili. Podobno też i w Gaczanach u Rosena żandarmi interweniowali i użyli jakiegoś gwałtu na parobkach.

21 czerwca, rok 1920, poniedziałek
Najdłuższy dzień w roku. Oto słońce się przesili i pójdzie na schyłek. Wprawdzie ciepło nagromadzonym zapasem dopiero teraz się wzmoże i dojdzie jeszcze w lipcu do szczytu swej potęgi, ale już cała natura wyczuje ustanie przyrostu słońca i odpowie na to również schyłkiem stopniowym; w pierwszym rzędzie milknąć zaczną ptaki, rośliny coraz bardziej z kwiatów przechodzić będą na owoc i ziarno, wyczerpując się stopniowo i w parnej ciszy letniego południa dojrzewać będą młode pokolenia, z wiosny tej zrodzone, oraz nasienie dla wiosny przyszłej. Okres twórczy zapłodnienia, odpowiadający przyrostowi słońca okres szału i miłości tworzącej – w naturze z dniem dzisiejszym skończony.
Rozkoszny był dziś letni dzień. Sianokos, wczesny u nas w tym roku, w pełnym rozwoju. Gdzie indziej jeszcze nie został rozpoczęty, w Bohdaniszkach jest już od tygodnia. Dziś po obiedzie wożono trochę siano i koniczynę, które były koszone w piątek, przez cały zaś dzień forsownie koszono koniczynę zarówno własnymi parobkami, jak ludźmi, których krowy były przyjęte na paszę za odrobek: jest to jedyny robotnik poza parobkami, bo o najemniku do koszenia nie ma mowy. Zwieziono dziś kilka wozów siana i kilkanaście – koniczyny. Ogółem mamy w odrynie przeszło 50 wozów, jednokonnych, co wyniesie na pudy od 500-600 pudów siana i koniczyny pierwszorzędnego gatunku na pokarm zimowy dla inwentarza, bo skoszono wcześnie, w kwiecie i zebrano bez kropli deszczu. Skoszono dziś prawie całe jedno pole koniczyny z łączkami wśród tegoż pola.
Od rana do godz. 4 i z przerwą na obiad, porządkowałem i segregowałem książki i papiery moje, rozrzucone w nieładzie na podłodze na wielkiej salce ciemnej na górze. Były one u mnie przed wojną uporządkowane i złożone bardzo akuratnie w kilku szafach i komodach, ale w czasie wojny żołnierze niemieccy i litewscy powyrzucali je i

poroztrząsali. Dziś je po całym niemal domu zbierać trzeba. Leżą one gdzieniegdzie stosami *pêle-mêle*[33], to znów rozproszone, a książki nieraz porwane, walają się urywkami i strzępami. Wziąłem do pomocy młodszego Deksniuka, syna stolarza, i z nim tę pracę wykonywałem. Tylko niewielką cząstką roboty wykonałem i to tylko z grubsza mogłem segregować, bo na całkowite uporządkowanie trzeba by miesięcy. Samych listów są tysiące, bo całą moją korespondencję od najmłodszych lat zbierałem starannie i miałem ją ułożoną chronologicznie. Dziś – wszystko pomieszane. Oprócz tego, są stare listy do Papy, bo babki jeszcze Witalii Żukowskiej, do sióstr i do Mamy, są różne papiery stare, są moje papiery, szpargały i notatki aż do najdawniejszych lat dziecinnych, wreszcie setki i tysiące książek z mojej obszernej biblioteki, na którą się złożyły zarówno książki mego własnego zbioru, jak cała biblioteka pleszczenicka, podarowana mi w r. 1901 po śmierci Józia Tyszkiewicza przez ciocię Kasię Tyszkiewiczową, potem książki Mamy, panny Faustyny Sawickiej i różne inne. Dziś książki te, które były skatalogowane i ponumerowane, są w największym nieładzie, w zupełnym chaosie, tak samo, jak listy i papiery. Specjalnie co do biblioteki, to większość jej stanowi już obecnie balast małej wartości, choć dużo jest i wydawnictw cennych, posiadających wartość trwalszą. Więcej cenię zbiór listów moich jako dokumentów żywych, niż większą część tej mojej biblioteki książkowej. W ogóle gromadzenie wielkiego księgozbioru na wsi, kompletowanego przez pokolenia, jest rzeczą dość jałową. Ogromna większość książek po leciech kilkudziesięciu traci wszelką wartość czytelniczą i obciąża bibliotekę zupełnie bezużytecznie. Książki mają swój wiek i swoje terminy oddziaływania. Powieści, których wiek XIX dał powódź całą i które w swoim czasie były czytywane, bo odpowiadały psychice współczesnych pokoleń, dziś są dla następnych pokoleń po prostu nudne, bo te pokolenia urobiły już psychikę w warunkach kulturalnych innych. Sądzę, że społeczeństwa powojenne i porewolucyjne będą żyły, myślały i czuły w tak różnych warunkach bytowania i kultury od warunków przedwojennych i przeto tak różnymi kategoriami pojęć, że cała niemal literatura beletrystyczna sprzed wojny, nawet z czasów ostatnich, prócz niektórych dzieł wyborowych, będzie dla społeczeństw tych obca i martwa. Stare książki mogą mieć wartość bibliograficzną, historyczną itd., ale wartości życiowej, to znaczy zdolności żywego oddziaływania na umysły – nie zachowają nieograniczenie. Książki naukowe starzeją się również szybko, bo postęp wiedzy tak je prześciga, że stare książki naukowe sprzed lat kilkudziesięciu, które były dla ojców i dziadów naszych wyrazem mądrości, dla nas dziś zdają się naiwnym bełkotaniem niemowlęcia, godnym wyrozumiałego uśmiechu, ale nie studiów.

22 czerwca, rok 1920, wtorek
Wczoraj późnym wieczorem odesłano z Kowaliszek knura, który był tam z Bohdaniszek pożyczony. Jednocześnie Elizka Komorowska przysłała mi dwa listy pani Krystyny Morzyckiej z Warszawy, pisane do Elizki i do Hektora. W listach tych są wieści o Papie, brzmiące wprost katastrofalnie. Zamiast parafrazować – udzielę słowa p. Morzyckiej, której opis jest aż nadto wymowny; oto urywek z pierwszego listu – do Elizki, datowanego 27.V.: „A teraz muszę przejść do innej materii. Bardzo ona ciężka i przykra. Jest to kwestia Twego Ojca. Co wyprawia w Warszawie – trudno wypowiedzieć; tak się znajduje, że mu domy wszyscy zamykają. Ostatnio Zolka (p. Zofia Dowbór-Muśnicka, najmłodsza siostra śp. Zysia Komorowskiego i p. Morzyckiej; przyp. mój) zabroniła w nocy Go wpuszczać. Zjawia się do nich po północy, każe się nocować, grozi, krzyczy, z kijem wpada. Nie ma pieniędzy – więc pożycza u

[33] Pêle-mêle (fr.) – byle jak, w nieładzie.

Konstantego, na co tenże idzie uprzejmie, bo to dobry człowiek, a pieniądze ma – ale co dalej będzie? On czeka na flotę od Tula (Hektora Komorowskiego; przyp. mój), już Tula „wydziedziczył" (ciekawym, z czego i w jaki sposób, bo Hektor z prawa nie dziedziczy wcale po Papie, ale to już mania u Papy z lat ostatnich „wydziedziczać" w testamencie tych potomków, na których się gniewa; my zresztą w razie śmierci Papy żadnych wydziedziczających klauzul uwzględniać nie będziemy i po prostu podzielimy się na równi; przyp. mój), chce go podać do Sądu Okręgowego (znowu – w jaki sposób, skoro Hektor nawet nie mieszka w Polsce, a majątek też zagranicą; przyp. mój), nazwisko szarga po krewnych i znajomych, a to z racji braku pieniędzy, które mu Tulo miał przysłać. Chce znowu jechać do Torunia (jeździł tam z jakąś p. Janiną, która od niego uciekła; przypisek w oryginale), chce do Ciechocinka, na to wszystko potrzeba by mu kilkudziesięciu tysięcy marek (zwłaszcza licząc na marki polskie; przyp. mój), tego mu nikt nie da tutaj; więc co z nim zrobicie? On zginie tu, już teraz nocuje u stróżów, na stacji na podłodze, Dowborom naniósł wszy, czego się strasznie przestraszyli ze względu na tyfus, nie rozbiera się, nie myje, rzeczy mu wykradają, nasz dom (to znaczy dom p. Józefa Pomorskiego, szwagra pani Morzyckiej, obecnie wdowca, u którego mieszka ona i druga jego szwagierka, panna Jadwiga Komorowska; przyp. mój) łaje przed Dowborami, nazywa domem czarownic i diabłów, więc Józio (Pomorski; przyp. mój) go odtąd nie chce widzieć, bo przecie mieszkał tu w salonie na kanapce, wnoszonej i słanej przez nas, 10 dni, aż zwróciłem się do Matysia (Macieja Römera z Antonosza, mieszkającego w Warszawie; przyp. mój), bo już nam się miarka przebrała. Matyś sam ucieka od niego i mało kto daruje to, co gada. Jak Zysia łajał po śmierci, nic go nie wstrzyma, i dzięki temu jest na bruku, ale co z tym będzie? Czy nadeślecie pieniądze z tym, że ich więcej nie macie; żeby wracał do Bohdaniszek, zapłaciłabym bilet i na drogę dała, ale na Toruń i Ciechocinek nikt z nas nie ma i nie da". Urywek z drugiego listu – do Hektora: „Drogi, Tulo, jeszcze do Ciebie się zwracam w kwestii Dziadunia, bo to przecie jest okropnie, co się z nim dzieje, i trzeba coś z tym robić, a przynajmniej chcę, byście wiedzieli, że może któregoś dnia milicja go znajdzie nieżywego na bruku, bo on nigdzie już nie nocuje, a po wczorajszym dniu został wyrzucony i od Römerów, i od Dowborów, co sami panowie już uskutecznili, więc nocował na ławce na ulicy, a dalej nie wiem, co robi, jest taki zły na i dla wszystkich, taki wprost ohydny, że nikt go więcej nie wpuszcza do siebie, nanosi wszy, niemyty naturalnie nigdy, grozi kijem i mówi rzeczy tak bolesne każdemu, że nikt tego nie znosi. Jak mogliście go wypuścić z Bohdaniszek? (dziwny zarzut, jak żeby p. Morzycka nie znała Papy, że nikt go nie wstrzyma, gdy coś postanowi, a już najmniej usłucha dzieci i wnuków!; przyp. mój). Czyż można na taką poniewierkę Ojca swego wysłać (kto wysyłał?; przyp. mój), jak się tu pokazał, od razu wszyscyśmy tu orzekli, że to dramat jest i będzie... Wczoraj jeszcze Dowbór chciał mu dać pieniądze na powrót do Bohdaniszek, ale krzyczał na to okropnie, że na złość Hektorowi i Elizie będzie tu siedział i chce używać życia i jechać do Torunia i Ciechocinka – przy tym on potrzebuje na to kilkudziesięciu tysięcy marek, przecie ceny są szalone, funt mięsa 30 marek, mieszkania, których nie ma, na wagę złota, – nie wiem, co i jak radzić. Strasznie nam jest przykro i ciężko, patrzymy na Ojca Mamci, ale wyjścia nie ma innego, jak żeby go kto przyjechał zabrać do Bohdaniszek, chyba, że macie takie pieniędze, jakich on chce, a wyrzuca na karmelki, perfumy dla pokojówek etc., a przecie funt cukierków kosztuje 40 marek, zlitujcie się, zróbcie co z nim. Piszę, już nic nie ukrywając, bo jesteśmy wprost wciąż pod wrażeniem tej poniewierki, na którą on sam poszedł!!".

Smutny to i bolesny widok takiej starości, takiego schyłku naszego Ojca. Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że trzeba ratować Papę, to znaczy sprowadzić go do Bohdaniszek. Ale jak! To zadanie niełatwe, gdy się zna jego upór, jego niechęć i

nieufność do swoich, jego stan, w którym elementy degeneracji starczej mieszają się z elementami charakteru, stojącego na pograniczu choroby psychicznej, na którą Papa parokrotnie niegdyś zapadał. Nas, dzieci swoje, nie usłucha, uważa nas bowiem za wrogów, którzy czekają jego śmierci (*sic*!) i spadku po nim. Nam będzie robić zawsze na przekór. Tylko obcy człowiek może mieć wpływ na Papę, a tym obcym jest – Jakszuk, którego Papa lubi, wierzy i ulega wpływowi, zapewne dlatego, że to w Bohdaniszkach *homo novus*. Elizka pisze, żebym ja jechał po Papę, moim zdaniem jednak, tylko Jakszuk mógłby coś wskórać u papy. Jakszuk ma ogromną ochotę pojechać i zaręcza, że Papę przywiezie. Jakszuk wie, że gdy mu się to uda, będzie w Bohdaniszkach panować. Ani ja, ani Komorowscy mierzyć się z nim nie będziemy mogli. Ale co to będą za rządy Papy w Bohdaniszkach z Jakszukiem u steru! Ba, wtedy będzie czas o tym pomyśleć i ewentualnie ustanowić formalną kuratelę nad osobą i majątkiem Papy, ale dziś trzeba go jak najprędzej sprowadzić.

23 czerwca, rok 1920, środa
Wstałem rano i pojechałem zaraz do Rakiszek na sąd z Boniuszkami (jechałem z Jakszukiem jego klaczą i linijką i po drodze spotkał nas wypadek: na gościńcu klacz się nagle przestraszyła dziecka, które siedziało przy drodze i nagle wstało. Skoczyła w bok do głębokiego rowu przydrożnego i przewróciła linijkę, z której wypadliśmy oboje z Jakszukiem; obeszło się jednak bez żadnego szwanku; jest to dopiero drugi wypadek w moim życiu wywrócenia się jadąc kołami – po raz pierwszy zdarzyło mi się to przed laty 20 albo więcej koło Murmiszek Jana Rosena, jadąc z Elwirą do czy z Ikaźni). Sprawa moja z Boniuszkami toczyła się długo, bo świadków było 12 i wszyscy się stawili, toteż badanie ich zajęło dużo czasu, a oprócz tego samych pozwanych było obecnych kilkunastu. Sprawę zasadniczo do wygrania miałem łatwą, bo posiadanie zakwestionowanych przez Boniuszki Kumsz było na rzecz dworu zupełnie do udowodnienia proste i zresztą sami pozwani nie zaprzeczali tego, zagarnięcie więc samowolnie przez nich części Kumsz było oczywiste, cały więc ciężar dla mnie polegał na udowodnieniu wysokości szkód i strat. Boniuszki jednak broniły się uparcie i zaciekle, twierdząc, że im się ta zagarnięta przez nich ziemia należy, bo rzekomo kiedyś należała do ich wsi i została przez dwór odebrana, co nie odpowiada rzeczywistości, a zresztą jest to dla niniejszej sprawy nieistotne, ponieważ sprawa dotyczy zakłócenia przez nich posiadania, a nie sporu o własność. Na świadków powołałem dzierżawczynię Kumsz, Niemicką, która sama poniekąd jest pokrzywdzoną, wraz z dwoma jej służącymi, Jakszuka, starszego parobka Jodiałę, starego naszego Kazimierza Jankowskiego i kilku najstarszych gospodarzy z wioski Bohdaniszek, jakby senat tej wioski, złożony z Kazimierza Szeszkusa, Jana Kligysa, Jachimowicza, Jana Malčiusa (po polsku mówią „Malca"), zwanego Szymasem, i paru innych. Boniuszki złościły się, szemrały, kilku z przywódców zachowywało się nawet dość wyzywająco względem mnie, a do świadków odzywało się z przekąsem, czyniąc złośliwe uwagi o ich rzekomej sprzedajności. Było kilka momentów ostrych, jak zwykle, gdy się ma do czynienia z całą gromadą chłopską, oślepioną chciwością i instynktem racji stada (nie stanu), prowodyrów. Nie zbiło to mię jednak z tropu, nie budziło żadnych odruchów współczucia dla tej gromady, przeciwnie – dodawało animuszu, bo miałem świadomość, że sprawa moja jest zupełnie w tym wypadku słuszna, że stroną napastującą nie jestem ja i że pretensje Boniuszek nie mają żadnych założeń nie tylko prawa formalnego, ale nawet sprawiedliwości społecznej i są po prostu wyrazem pospolitej chciwości. Sprawę oczywiście wygrałem. Szkody i straty sędzia mi przysądził też wcale dobre, choć mniej, niż żądałem. Ogółem zasądził wraz ze zwrotem

kosztów sądowych – około 3800 marek, a co do przywrócenia zakłóconego posiadania – dał wykonanie tymczasowe wyroku.
Z Rakiszek pojechałem z Jakszukiem do Kowaliszek dla rozmówienia się w sprawie Papy i ustalenia decyzji ostatecznej. Wolałem jechać sam, bez Jakszuka, ale że ten mi oświadczył, iż także jedzie do Kowaliszek, a stosunek nasz jest taki, że mu zabronić jazdy nie mogę, pojechałem razem. Elizka sama także myślała o tym, czy by nie wysłać do Warszawy Jakszuka, ale myślała, że może by pojechał razem ze mną, a zresztą miała na myśli raczej zalokowanie Papy gdziekolwiek z zapewnieniem jakichś środków i ewentualnym przyjęciem już zaraz Bohdaniszek przeze mnie, niż sprowadzenie Papy tu. Zgodziła się jednak z moją argumentacją, więc stanęło na tym, że Jakszuk pojedzie do Warszawy, aby Papę tu przywieźć. Zgadzamy się z Elizką w przypuszczeniu, że jednak p. Krystyna Morzycka w opisie stanu Papy przesadziła. Niemniej niepodobna sprawy zaniedbywać i pozostawiać Papę samemu sobie, bo przecież stan jego jest bardzo zły. Uświadamiamy sobie wprawdzie niebezpieczeństwo zapanowania Jakszuka nad Papą i Bohdaniszkami, czemu sprzyjać będzie jego misja obecna, ale faktem jest, że w obecnej chwili nikt inny, jak Jakszuk, nie zdoła Papy tu przywieźć. Jakszuk z pewnością też doskonale rozumie atuty, które mu dać może ta misja, wzmacniając jego stanowisko wobec nas i ugruntowując ewentualnie jego panowanie nad Papą, i dlatego też tak rwie się do tej jazdy, tak jest słodki i promieniejący wewnątrz, tak forsuje nas w tym kierunku, udając zresztą bezinteresowne poświęcenie dla dobra naszego i Papy.

24 czerwca, rok 1920, czwartek
W nocy wróciliśmy z Jakszukiem z Kowaliszek do domu. Zabawiliśmy tam wczoraj do późna, ponieważ Elizka prosiła, bym zaczekał na powrót Hektora, który miał przyjechać pociągiem wieczornym z Kowna. Chciała ona do kompletu naszej narady familijnej, złożonej tymczasem z dwóch osób, wciągnąć jeszcze Hektora. Ale gdy nie przyjechał, wyjechaliśmy przed północą.
Mieliśmy dziś burzę, jedną z nielicznych w roku bieżącym, przynajmniej dotychczas. Burzy towarzyszył gwałtowny deszcz, bardzo potrzebny na jarzyny i na ogrody. Po burzy poszedłem się kąpać. Moja sztuka pływania jest przedmiotem podziwu całego dworu i wioski. Ćwiczę się w tej sztuce i coraz doskonalej opanowuję wodę. Umiem już przepływać przez staw, cofając się wstecz, jak również leżeć na wodzie na wznak, z rękami rozłożonymi na zewnątrz i dłońmi wzniesionymi ponad wodą, poruszając się jeno nogami. Woda i pływanie – to mój sport ulubiony i mój żywioł rozrywki.
W najbliższych dniach Jakszuk wyjedzie po Papę. Jest on przekonany, że zdoła namówić Papę do powrotu i że go przywiezie. Ja także jestem prawie pewien tego. Co do mnie – to się z Bohdaniszek usunę, nie tylko dlatego, że już mam nominację na sędziego w Kownie, bo ostatecznie w razie koniecznej potrzeby mógłbym to stanowisko porzucić, ale dlatego, że nie może być mowy o tym, aby Papa, zastawszy mnie w Bohdaniszkach, chciał mię tu tolerować w charakterze nieskrępowanego zarządcy Bohdaniszek, a o współpracy i współrządzie z Papą też mowy być nie może. Usunę się więc, co jest tym bardziej niezbędne, że muszę mieć materialną niezależność od Papy, by móc czuwać nad tym, co się tu będzie w Bohdaniszkach po Papy powrocie robić, i w razie potrzeby móc zainterweniować. Przypuszczam, że Papa przyjedzie wściekły na nas. I Kowaliszki, i ja będziemy u Papy na indeksie. Jakszuk zrobi wszystko, co będzie od niego zależeć, aby wpływ swój nad Papą zachować i przez ten wpływ zachować władzę nieograniczoną nad Bohdaniszkami. Wobec Papy będzie on miał ten atut, że to on Papę wyciągnął z matni, a spekulując na zniechęceniu Papy do zarządu Bohdaniszek, będzie Papie pozornie dogadzać, a za Papy plecami rządzić i spekulować. Wobec nas będzie miał tę zasługę, że Papę wyratował i odwiózł, czego

nikt z nas uczynić by nie mógł. Przypuszczam jedno z dwojga. Albo Jakszuk zapanuje nad Papą i Bohdaniszkami tak, że my żadnego dostępu do Papy mieć nie będziemy, bo Jakszuk, jeżeli zechce, potrafi insynuacjami, mając wpływ na Papę, pogłębić jego żal i niechęć do nas, a wtedy cała fortuna będzie na łasce tego parweniusza i spekulanta, albo, jeżeli Papa zrazi się do Jakszuka i zerwie z nim, co nie jest wykluczone, bo Papa umie bardzo gwałtownie się zrażać do ludzi, i zechce sam rządzić, to powstanie w Bohdaniszkach chaos innego rodzaju – rozprzężenie zupełne. Dobrze mówi Elizka – rola Jakszuka wobec Papy może być podobna do tej, jaką zdobył ks. Pacewicz wobec cioci Kasi w ostatnich latach przed jej śmiercią. Panowanie Jakszuka będzie rabowaniem Bohdaniszek na rzecz tegoż, będzie środkiem jego spekulacji. Jakszuk jest zręczny. Już dziś przygotowuje on grunt dla swego panowania, jednocześnie chcąc nas związać pewnym wspólnictwem, utrudniającym nam potem interwencję wobec Papy przeciw niemu. Tak oto nie waha się on proponować nam, byśmy ukryli przed Papą sumę dochodów z zimowej wyprzedaży lasu, niby w tym celu, aby Papie nie dać argumentu przeciwko Komorowskim, że pieniądze w kasie były, a Papie ich nie posłano. Gdybyśmy się na to ukrycie zgodzili, aby uniknąć gniewu Papy, Jakszuk miałby nas w ręku i zamknąłby nam drogę do szkodzenia jemu. Mówi też on nam w oczy, że potrafi z Papą tak się urządzić, że Papa o niczym wiedzieć nie będzie: jeżeli na przykład Papa, który ma niechęć do gospodarstwa i manię dewastacji, każe sprzedać cielęta, on Papie powie, że je sprzedał i nawet wpłaci pieniądze, a przecież cielęta te zostawi, o czym Papa nawet się nie dowie. Skądże więc weźmie pieniądze na zapłacenie Papie za niesprzedane cielęta? Przecie nie z własnej kieszeni? A więc z jakichś dochodów, które pozostaną tajne. Ale w takim razie może on ciągnąć z tych tajnych dochodów zyski nieograniczone dla siebie, a gdy się coś wykryje, będzie mógł zawsze usprawiedliwić się tym, że oto pieniądze z tajnych źródeł na takie wpłaty Papie, których nie było, jak za te niesprzedane cielęta, i skontrolować go nie będzie możności. Chciałby on panować nad Papą i zrażać go do nas, a nas trzymać w szachu i odebrać nam możność faktycznej kontroli.

25 czerwca, rok 1920, piątek

Czy to dobrze, czy źle, czy dla kogo z nas dogodne czy nie – a Papę sprowadzić do Bohdaniszek trzeba. Choćby nie wiem jak majątek miał na tym stracić, Papę trzeba wyrwać z tej poniewierki smutnej, w jaką popadł i która, o ile potrwa dłużej, grozi katastrofą. Skoro więc dziś – a takie jest moje i Elizki Komorowskiej przekonanie – Jakszuk jest jedyną osobą, która będzie w stanie namówić Papę do powrotu, ukoić go i przywieźć pod opieką swoją, to choćbyśmy byli świadomi niebezpieczeństwa dla majątku, jakie płynie z rozpanoszenia się Jakszuka i rozumieli, że polecenie mu tej misji nie tylko go umocni w Bohdaniszkach, ale da mu panowanie, nie możemy się dziś z tym liczyć. Trzeba, żeby Jakszuk pojechał. Jedynym w tej chwili względem, jaki dla nas być może, jest wzgląd na bezpieczeństwo, spokój i życie Papy. Skoro nie jesteśmy w stanie dostarczyć Papie takich pieniędzy, jakich by chciał i które by Mu wystarczyły na projektowanie jazdy, to nie możemy zostawić Papę jego własnemu losowi na poniewierkę taką, jaką przechodzi obecnie i jaka, wobec wieku Jego i stanu sił, grozi Jego życiu albo sprowadzić może recydywę choroby umysłowej. Zresztą gdyby nawet były pieniądze, mogące zadowolić żądanie Papy, nie należałoby zostawiać Papę samemu sobie bez opieki, bo nie tylko by je wydał, ale zaszkodziłby swemu zdrowiu i nerwom, szargając się z jakimiś dziewczynami na łasce kaprysów dziecinniejącej starości. Obecnie stanęło już na tym, że Jakszuk pojedzie i sprowadzi Papę do Bohdaniszek. Ale pierwotny projekt Elizki był inny. Rozumiała ona, że pieniędzy w żądanej przez Papę sumie nie ma i nie będzie i że zresztą, gdyby nawet były, nie można

byłoby się ograniczyć do dostarczenia ich Papie bez zaopiekowania się Jego osobą. Skądinąd jednak Elizka miała wątpliwości co do skuteczności sprowadzenia Papy do Bohdaniszek. Faktem jest bowiem, że Papa instynktownie od Bohdaniszek ucieka i że sama myśl powrotu przeraża i denerwuje Papę. Papa wmawia w siebie i innych, że jest jeszcze pełen sił żywotnych i energii, niezmożony przez starość. Papa czuje swoją niemoc, czuje, że nie jest już w stanie zapanować nad warunkami obecnego zarządu Bohdaniszek, zastosować się do nich i dać sobie radę. Toteż ucieka nie tylko z Bohdaniszek, ale od Bohdaniszek. Elizka porównuje instynkt, który wypędza Papę z Bodaniszek, do instynktu psa, który przed paroksyzmem wścieklizny ucieka z domu precz w strony obce. Dziś warunki zarządu i gospodarstwa w Bohdaniszkach są trudne nawet dla człowieka w pełni sił męskich, a cóż dopiero dla starca, jak Papa, który liczy lat 75 i który z natury ma charakter twardy, samowolny, nie umiejący się naginać do okoliczności, pełny fantazji, kaprysów i dziwactw, które późny wiek nie tylko nie łagodzi, ale wyjaskrawia. Papa nie potrafi dziś żyć i dawać radę z parobkami, które nie są już tą posłuszną i bierną siłą roboczą, jaką byli niegdyś; nie potrafi się nagiąć do tendencji społecznych w dobie rewolucyjnej, dyplomatyzować, radzić sobie z urzędnikami i władzami, które i których nienawidzi, jak wszystko, co jest litewskie; gdyby dziś Papa rządził, to doprowadziłby do takich zatargów i skandali, które musiałyby się skończyć chyba odebraniem zarządu od Papy i przejęciem go przez władze państwowe, co jest dla dworu największym niebezpieczeństwem natury politycznej. Zresztą Papa nie przywykł nigdy do tego, żeby nie było pieniędzy i żeby trzeba było łamać sobie głowę, skąd wydobyć gotówkę na pokrycie licznych potrzeb bieżących majątku. Papa całe życie miał kapitał. Dochód z kapitału dawał Papie swobodę ruchów, zapewniał możność kształcenia i wychowania licznych dzieci, wydania córek za mąż, zaspokajanie wszystkich potrzeb licznej rodziny. Gotówki było zawsze dość, tym bardziej, że Papa był oszczędny i rachunkowy. Same Bohdaniszki jako takie były raczej dodatkiem do kapitału i warsztatem pracy dla Papy, niż właściwą podstawą materialną bytu. Poza lasem, który dostarczał zawsze gotówki, Bohdaniszki dochodu netto prawie że nie dawały żadnego. Właściwie co dawały – to i pochłaniały same. Dlatego też, dzięki kapitałowi, stanowiącemu podstawę materialną dla potrzeb rodziny, Bohdaniszki były w stanie kwitnącym i Papa miał sławę bardzo dobrego i starannego gospodarza. Zresztą starannym i gospodarnym Papa był. Bohdaniszki, których nie wysilano pompowaniem z nich zysków, miały zawsze świetnie uprawioną ziemię, były pod względem inwentarza, biegu robót itd. zagospodarowane wzorowo. Dzisiaj nic z tego nie ma. Kapitał ulotnił się, Bohdaniszki są w ruinie w porównaniu do stanu przedwojennego, a trzeba z nich żyć, z nich ciągnąć dochód. Tej zimy i teraz jeszcze ratowaliśmy się trochę lasem. Ale las może być upaństwowiony, w każdym razie swoboda wyrębu zostanie zamknięta po wykorzystaniu ostatniego pozwolenia, las się zresztą bardzo wyczerpał i nie będzie innej drogi, jak się oprzeć na normalnej produkcji rolnej majątku. Warunki pod wszelkimi względami są inne, niż te, do których Papa przez całe życie przywykł.

26 czerwca, rok 1920, sobota
Znalazłem dziś w moim zbiorze fotografii, schowanym w biurku Papy, dwie śliczne fotografie Anny jeszcze z roku 1911, o których nie pamiętałem. Jest to dla mnie radość w moim sieroctwie. Na jednej Anna jest w pozie stojącej, na drugiej – w siedzącej. Ucieszyłem się z tych fotografii tak, jak żebym Aninkę odzyskał. Patrzy ona z nich na mnie jak żywa. Odtąd będą one zawsze stały na biurku moim obok dwóch fotografii dziecinnych mojej córki. Nie ma dla mnie nad Annę droższego wspomnienia. Niech jej postać, utrwalona w tej podobiźnie, niech jej twarz droga – czuwa nad całym pasmem

pozostałego mi życia, krzepiąc mię do myśli i czynów szlachetnych i utrzymując w duszy mojej barwy tego nieśmiertelnego piękna, którym jej ciało i jej dusza przepojone były!
Jeździłem dziś do Kieleżerów do gospodarza Valulisa, członka gminnej krewieńskiej komisji leśnej, znowuż w sprawie sprowadzenia leśniczego z Dusiat, po którego we czwartek mam pojechać osobiście. Stamtąd jeździłem do Abel na pocztę. Przywiozłem gazet cały plik. O nowym rządzie litewskim wiedziałem już od dni paru. Po uchwaleniu konstytucji Sejm przyjął dymisję dotychczasowego prezydenta Smetony i gabinetu Gałwanowskiego. Do czasu wyboru nowego prezydenta konstytucyjnego obowiązki tegoż pełnić będzie czasowo marszałek Sejmu Stulgiński, na czele zaś nowego gabinetu stanął dr Kazimierz Grinius, jeden z *leaderów* stronnictwa socjalistów – ludowców-demokratów, znany działacz społeczny z Mariampola, człowiek wielkich zasług w ruchu demokratycznym litewskim i niewątpliwie wielkiej kultury i wielkiego serca oraz zimnego i trzeźwego umysłu. Mam wrażenie, że to wybór najlepszy. Znam Griniusa od dawna i zawsze go ceniłem bardzo. Około roku 1909-1911 spędził on czas dłuższy w Wilnie, gdy mu władze rosyjskie w drodze administracyjnej zakazały pobytu w Mariampolu. Wtedy go poznałem dobrze. Gabinet Griniusa jest nieliczny; wchodzi doń paru chrześcijańskich demokratów (sprawy zagraniczne – Puricki, jeden z najświatlejszych umysłów w tym obozie, i oświata – Bizauskas), paru bezpartyjnych (jeden z nich – Aleksa, zbliżony do ludowców, brat rodzony sławnego bolszewika litewskiego Angarietisa), w tej liczbie jeden minister z poprzedniego gabinetu – były prezes ministrów Gałwanowski (finanse i handel i przemysł). Gabinet ten jest wyrazem systematycznej planowej kooperacji ludowców z chrześcijańskimi demokratami, co u ludowców było wyrazem kierunku Rimki.
Z gazet dowiedziałem się trochę nowin o wojnie. Na północnym odcinku, pod Dzisną, Polacy cofnęli ofensywę bolszewicką, natomiast na Ukrainie odbywa się odwrót Polaków. Kijów odzyskali bolszewicy.
Po powrocie z Abel do Bohdaniszek zastałem Elizkę Komorowską. Przywiozła ona listy do Wilna i Warszawy, które zabierze Jakszuk. Jakszuk wyjeżdża w poniedziałek. Elizka zabawiła w Bohdaniszkach do wieczora.
Wspomniałem wczoraj, że Elizka na razie nie bardzo była za tym, aby Papę do Bohdaniszek sprowadzić, rozumiejąc, że Papa Bohdaniszek się boi i instynktownie ucieka od nich. Elizka uważała, że byłoby najlepiej zalokować Papę gdzieś w sanatorium w Ciechocinku lub gdzie indziej albo gdzieś w mieście zapewniając Mu jakiś stały dochód z Bohdaniszek, gdybym ja je ewentualnie objął. Ale w tej chwili jest to prawie niewykonalne. Po pierwsze, stosunek między Papą a mną nie jest ułożony, po wtóre, Papa nie zechce się zastosować do cichego usadowienia się gdziekolwiek, bo ile będzie nie w Bohdaniszkach, szukać będzie wrażeń i miłostek, tak niebezpiecznych dla Papy, po trzecie, w dzisiejszym stanie Bohdaniszek nie widzę możności zapewnienia Papie stałego subsydium pieniężnego na kosztowny pobyt w mieście. Zresztą Papa sam bez opieki już być w mieście nie może. Toteż powrót do Bohdaniszek, to znaczy sprowadzenie tu Papy jest koniecznością na razie. Może potem, o ile Papa się uspokoi, dojdzie do jakiegoś układu między nami, dającego Papie możność zamieszkania w mieście. Ale wątpię w to, bo przewiduję, że Papa ze swej arbitralności bezwzględnej się nie wyleczy.

27 czerwca, rok 1920, niedziela
Byłem dziś zaproszony do Rukiel do gospodarza Justyna Malca, u którego spędziłem kilka godzin, częstowany wódką i przekąską, zwykłą u chłopów, złożoną z doskonalej kiełbasy (salcesonu), sera, masła i jajecznicy.

Wszyscy miejscowi ludzie przyjezdni, jak Justyn Malec, Jan Kligys, Kazimierz Jankowski, ostrzegają mię przed Jakszukiem i komunikują mi o całym szeregu nadużyć z jego strony. Gdy się dowiadują poufnie ode mnie o jeździe Jakszuka po Papę, wyrażają jak najgorsze przypuszczenia o przyszłych losach Bohdaniszek pod rządami Papy z Jakszukiem. Tak, i ja także nie zapatruję się na te perspektywy różowo, ale co robić! Jest to chwilowo jedyny droga do osiągnięcia najpilniejszej rzeczy, jaką jest sprowadzenie Papy. Jakszuk jest dla mnie po prostu wstrętny. Nie znoszę go i nie mogę się z nim oswoić. Jego arogancja, lekceważenie mię, rozpanoszenie się w Bohdaniszkach – są dla mnie nieznośne. Jest to łotr cyniczny, prowokujący, zimny i śliski jak gad, złodziej sprytny i arogancki, spekulant, w dodatku pijak. Jakich on dokonywał tej zimy operacji z lasem – to przechodzi wszelkie pojęcia. Był to po prostu rabunek otwarty, na ogromną skalę, nie pokrywany żadnymi pozorami. Nie dziwi mię to, że Jakszuk mię nienawidzi i że pragnie przyjazdu Papy, wiedząc, że to mi wytrąci grunt spod nóg w Bohdaniszkach. Wie on dobrze, że mu nie ufam, że go nie lubię i że muszę coś od ludzi o jego sztuczkach słyszeć. Ba, co robić! Pożegnałem się dziś z Jakszukiem. Jutro rano wyrusza on w drogę. Jedzie stąd wprost do Adamowa do p. Anny Pisaniowej; Adamów jest położony tuż przy linii demarkacyjnej. Tam ją on przekroczy i na Wilno pojedzie do Warszawy
Za jakichś parę tygodni spodziewam się powrotu Jakszuka z Papą. Prawdopodobnie wypadnie mi doczekać się przyjazdu Papy, bo trudno mi będzie porzucić Bohdaniszki w nieobecności Jakszuka. Ale po powrocie Papy usunę się niezwłocznie do Kowna. Nie ma mowy o współpracy lub współrządzie moim z Papą, szczególnie teraz, gdy Papa z pewnością wróci wściekły na mnie i na Komorowskich.
Przed jakimś miesiącem rozpocząłem w dzienniku zestawienie stanu gospodarczego w Polsce z takimże stanem w Litwie. Chodziło mi o zestawienie tylko ogólnych, najbardziej charakterystycznych rysów sytuacji. Otóż jedną część roboty wykonałem, to znaczy scharakteryzowałem sytuację w Polsce, natomiast nie nakreśliłem sytuacji w Litwie, bo mię oderwały od tego sprawy bieżące w dzienniku. Uzupełnię więc tę lukę teraz. Ogromną rolę w sytuacji gospodarczej, a poniekąd i społeczno-politycznej gra kwestia waluty i pieniądza. Mam przekonanie, że najbardziej charakterystyczne cechy swojej sytuacji obecnej Litwa zawdzięcza temu, że nie weszła wzorem sąsiadów na drogę emisji własnych pieniędzy papierowych, stanowiących fikcję pieniądza. Litwa zachowała tzw. ost-marki, czyli krajowe pieniądze okupacyjne niemieckie jako pieniądz obowiązkowy. Ost-marki były emitowane przez Niemców jako władzę okupacyjną i są przeto przez nich gwarantowane. Obecnie więc pieniądze, obowiązujące w Litwie, są pieniądzem, za które odpowiada państwo obce – Niemcy. Podnoszą się wprawdzie w prasie litewskiej i w Sejmie głosy, które wskazują na niedogodność tego stanu rzeczy, albowiem w ten sposób Litwa jest w zakresie gospodarczym zależna od obcego państwa, bo kurs pieniędzy, obowiązujących w Litwie, zależy nie od własnych jej sił produkcyjnych, jeno od kursu marki niemieckiej, na który ma wpływ polityka finansowa Niemiec, ich gospodarka, ich sytuacja polityczna itd., ale faktycznie Litwa na tym skorzystała dzięki temu, że pieniądz niemiecki nie tylko nie upadł, ale w ostatnim roku ujawnił mocną tendencję zwyżkową.

28 czerwca, rok 1920, poniedziałek
Rano Jakszuk wyruszył w podróż. Pożegnałem się z nim wczoraj z wieczora. Wyjechał stąd końmi – swoją klaczą i swoją linijką, którą dojedzie do Adamowa. Jedzie przez Gaczany i zapewne na Ucianę. Adamów, własność spadkobierców zmarłego p. Antoniego Pisaniego, w którym mieszka obecnie wdowa p. Anna Pisaniowa, Römerówna z domu, jest położony gdzieś między Ucianą a Malatami, o kilka wiorst od

linii demarkacyjnej polsko-litewskiej. Jakszuk spodziewał się dojechać dziś do Adamowa. Stamtąd odeśle konie z człowiekiem, Łasińskim, którego wziął ze sobą, a sam jutro ma zamiar przekroczyć linię demarkacyjną, co podobno stamtąd jest łatwym, szczególnie w dzień świąteczny, gdy ludzie miejscowi jeżdżą na nabożeństwa do pobliskiego kościoła, położonego już po stronie polskiej. Może więc już jutro na wieczór albo pojutrze Jakszuk dotrze do Wilna. Tam zobaczy się z Marynią, doręczy listy, przeznaczone do Wilna, zdobędzie przepustkę do Warszawy i za kilka dni będzie już w Warszawie. Dalej będzie zależało od tego, czy Papę zastanie w Warszawie i czy Papa łatwo da się namówić do powrotu. Prawdopodobnie do czasu powrotu Jakszuka, względnie – Papy, będziemy tu pozbawieni wieści o powodzeniu misji Jakszuka.
Jeździłem dziś z parobkiem Jurenasem do Rakiszek – głównie w jego, Jurenasa, interesie. Dowiedziałem się, że chłopi boniuscy są skłonni do pojednania w sprawie kumszańskiej i, o ile zgodzę się na ustępstwa, nie będą apelowali. Pojutrze mają zgłosić się do mnie w tym przedmiocie delegaci boniuscy.
Kontynuję na temat wczorajszy. Otóż Litwa oparła się na pieniądzu wprawdzie obcym, ale takim, którego kurs ujawnił wybitną tendencję zwyżkową, rosnącą w ostatnich czasach stale. Pieniądz ten Litwa przyjęła za swój urzędowy znak pieniężny do wymiany towarowej. Ponieważ ost-marki idą wciąż mocno w górę i są rzadkie, bo ilość ich w kraju i w obrocie jest nieduża, więc są oni pieniądzem pożądanym. Za taki pieniądz chłop chętnie sprzedaje swe produkty, zwłaszcza w ostatnich czasach, gdy zwyżce ost-marek towarzyszy zniżka rubli carskich rosyjskich. Rubli rosyjskich carskich jest w kraju, a szczególnie w połaci wschodniej, gdzie w r. 1919 byli bolszewicy, moc ogromna. Za czasów bolszewickich zboże i produkty rolne były tak drogie i poszukiwane przez całe tłumy wędrownych spekulantów, przyjeżdżających z miast ze wschodu po zakupy na wieś, że pieniędzy rosyjskich napłynęły do kieszeni chłopskich całe stosy bez liku. Gdy potem na razie i aż do wiosny tegorocznej kurs rubla trzymał się nieźle, chłopi nie śpieszyli likwidować rubli na marki, załatwiając wszelkie operacje pieniężne w rublach, i nie kwapili się gromadzić marek. Obecnie rubel rosyjski w związku z podnoszeniem się marki tak upadł, że ledwie-ledwie dochodzi do pół marki (oczywiście tylko rubel carski, bo ruble tzw. dumskie, kierenki a tym bardziej „sowieckie” nie mają żadnej zgoła wartości obiegowej; rubli dumskich i kierenek jest w kraju z czasów bolszewickich dużo, ale posiadacze ich są zmuszeni trzymać jak bilety loteryjne – na los; co do rubli carskich, to wartość obiegową mają one tylko w kupiurach nie mniejszych od 10 rubli i pod warunkiem, że są bezwzględnie całe, bo najmniejsza dziurka, najmniejsze ukłucie, takie, że je zaledwie pod światło można spostrzec, pozbawia papierek rublowy wartości; kupiury 1-rubliowe, 3-rubliowe i 5-rubliowe nie kursują wcale). Marki (mówię zawsze o ostach i państwowych niemieckich) są poszukiwane nie tylko dlatego, że mają kurs dobry i podnoszący się od dłuższego czasu stale, ale też dlatego, że ich jest w obiegu mało, a zapasy ich u ludności włościańskiej jeszcze mniejsze, gdy tymczasem cały szereg artykułów, potrzebnych dla chłopów, można dostać tylko za marki i tylko markami trzeba opłacać podatki i inne wpłaty państwowe. W miasteczkach po sklepach Żydzi mają tendencję przyjmowania zapłaty tylko w markach, kooperatywy sprzedają towar względnie za marki. Chłop więc, nie mając marek, musi płacić markami, bo ze wszech stron je żądają. Jeżeli płaci rublami, to tyle traci na kursie, że już przez to samo uczy się cenić marki. Marka więc stała się pieniądzem dobrym, pieniądzem poszukiwanym, za którym bardzo chętnie wszelką rzecz się sprzedaje.

29 czerwca, rok 1920, wtorek

Święty Piotr. Tradycyjne imieniny Piotra Rosena w Gaczanach. Oczywiście, spełniając obowiązek sąsiedzki, pojechałem złożyć życzenia solenizantowi. Niespodzianie zjechało się kilka osób z sąsiedztwa, nawet niektórzy z dalszego. Z ziemian oprócz mnie był p. Grabowski, człowiek już starszy, ale *homo novus* na Litwie, właściciel Osokoma za Dusiatami, które nabył w r. 1914 przed samą wojną, Mazur czystej krwi, jest bowiem ziemianinem dziedzicznym z pow. płockiego; jest w nim nawet jakieś powinowactwo z Kurpiami, bo w fonetyce jego wymowy dźwięk „pi" przyjmuje charakterystyczne kurpiowskie brzmienie „psi"; dalej był p. Jan Kiełpsz z Kiełpszyszek, p. Stanisław Rapacki z Szetekszni, który przyjechał konno w stroju sportowym na ładnej klaczy, i jakaś ciotka Rosena, stara panna, zdaje się, Rudominówna. Przeżytkiem dawnych tradycji Piotra Rosena, który niegdyś, szukając popularności osobistej, zbliżał się do chłopów i z wyższą klasą zamożnych chłopów na folwarkach był za pan brat – był nawet niegdyś i taki czas, że Piotr udawał Litwina i chłopomana, ale tylko wobec Litwinów i chłopów, a nie wobec ziemian – było i kilka reprezentantów społeczności litewsko-chłopskiej: była na obiedzie sławna Aniutka z folwarku gaczańskiego, Zadworza, słynna z gospodarności i ze swego wpływu dawniej na Piotra, niegdyś za młodu kochanka Piotra, jasna blondynka o lnianych włosach, dziś już podstarzała, za starokawalerskich czasów Piotra szeptano nawet, że się Piotr z nią potajemnie ożenił, i kto wie, czy gdyby nie wojna i gdyby nie ucieczka Piotra w r. 1915 do Rosji, co go odłączyło od Aniutki, która pozostała dla czuwania nad Zadworzem i Gaczanami, kto wie, czy by się Piotr, pod czujnym okiem Aniutki, odważył pomyśleć o ożenku i założeniu rodziny. Dziś oczywiście Aniutka pogodziła się ze stanem małżeńskim Piotra jako faktem dokonanym, pozostała nadal w Zadworzu, rządząc się tam autonomicznie i jest przyjmowana w Gaczanach w domu małżeńskim Piotra jako stara nie tylko sługa, ale i przyjaciółka, bo oto na imnieninach Piotra zasiada do stołu wspólnego wraz z gośćmi. Był dalej ze świata litewsko-chłopskiego p. Alfons Masiulis, bogaty chłop na kilkuwłókowym folwarku, brat agronoma Masiulisa, posła do Sejmu z ramienia ludowców, człowiek zresztą o wyglądzie i formach towarzyskich zupełnie inteligenckich i mówiący zupełnie poprawnie po polsku, nie gorzej, a może i lepiej od Kiełpsza; ten był jedynym z obecnych Litwinów, który w zupełności dotrzymywał placu towarzystwu ziemiańskiemu na równi z innymi gośćmi i pozostał aż do późnej nocy, wyjechawszy wraz ze mną po kolacji. Był następnie Lejkus, również chłop zamożny, bardzo zacny, któremu Piotr Rosen szczególnie dużo zawdzięcza, ponieważ Lejkus za czasów bolszewickich uratował go i wywiózł sam poza linię frontu; ten już nie ma takich pozorów inteligenckich i ogłady towarzyskiej, jak Masiulis, chociaż ubrany jest porządnie; krępował się on trochę w tym towarzystwie ziemiańskim, tym bardziej, że po polsku mówi bardzo słabo, toteż wkrótce opuścił Gaczany i odjechał. Było jeszcze kilku innych chłopów, którzy przybyli z powinszowaniem Piotrowi imienin, ale to już byli *minorum gentium*, którzy się z towarzystwem właściwych gości nie łączyli i których Piotr prowadził osobno do stołu, częstował tam i odprawiał. Rozmowa, jak to dziś zawsze pośród ziemian, toczyła się głównie na temat złośliwych wycieczek przeciwko Litwie, jej rządom i nawet samej jej państwowości, z równoległym wysławieniem wszystkiego, co polskie. Jest to temat przykry dla mnie zawsze, bo nie znoszę niesprawiedliwości i obłudy, a jest w tym temacie zawsze rozmyślna i złośliwa przesada, tchnąca złym uczuciem zemsty. A trudny to do parowania temat, bo w założeniu do krytyki Litwy i jej urządzeń materiału jest dość, toteż w tym szarganiu Litwy ziemianie umieją operować takimi argumentami, którym nieraz zaprzeczyć niepodobna. Ale jest „*modus in rebus*" i otóż ten „*modus*" zarówno tej „krytyki" litewskiej, jak pochwał i uniesień polskich tchnie faktem, który aż nadto trąci interesami klasy i kieszeni. Nie bardzo się z tym krępowano wobec Masiulisa,

któremu chyba nie musiało być miło to słuchać, choć nie dawał tego poznać po sobie. Co zaś najgorsze – to strojenie się nieraz obłudne w szatę rzekomych przyjaciół, żałujących zaślepienia Litwy. I co charakterystyczne, że zjadliwszymi antagonistami Litwy i jej państwowości są tacy panowie, jak Rosen, Kiełpsz, Rapacki, ludzie z krwi i kości krajowi, niż rdzenny Polak-Mazur p. Grabowski, który żadnego sentymentu do obcej Litwy nie ma, krytykuje ją, ale tą nienawiścią zaciekłą, co oni, nie pała. Oczywiście, że po cichu poza plecami Masiulisa, dzielono się słodką nadzieją *quand même* interwencji polskiej, która przyjść musi!

30 czerwca, rok 1920, środa
Bardzo późno wróciłem wczoraj z Gaczan. Przed kolacją nie wypuścili mię, a kolacja była o północy. Gdym więc wyjechał, już dniało, a do Bohdaniszek przyjechałem o wschodzie słońca. Nie wyspałem się więc dobrze i czułem się zmęczony rano. Ale niewyspanie wynagrodził mi przepiękny widok poranny, który obserwować miałem możność z okien z Bohdaniszek z wielkiego pokoju, gdym przyjechał rano. Z nizin, z jezior i z bagien powstawały opary, które słały się nad nimi gęstą białą mgłą, czyniącą z daleka iluzję powierzchni wód. Za Kumszami cała smuga doliny Buczupisa z jeziorem kumszańskim i równoległa do niej dolina rzeki Krewny, a dalej całe bagna Pakienie i następnie jezioro Sorty – nasz wielki zbiornik wód – wraz z nizinami u brzegów jego, rozchodzącymi się w rozległe przestrzenie niskich mokrych łąk, były zasłane mgłą; czyniło to wrażenie jednej wielkiej przestrzeni wodnej wśród płaskowzgórz i falujących wzgórz po obu brzegach; gdzieniegdzie – między doliną Buczupisa i Krewny, oraz w paru innych miejscach – wyrastały z tej wodnej powierzchni mgły kępy drzew na wyższych miejscach, jak wyspy, to znów gdzie indziej mgła posuwała się między wzgórza i laski, tworząc zatoki. Miałem wizję odtworzonego jeziora Sorty sprzed lat kilkuset, gdy te bagna i niziny były jeszcze pod powierzchnią wód. Śliczny był to widok, przecudna perspektywa naszego krajobrazu, ozdobionego potęgą wód, której dziś już on nie ma.
Miałem dziś dużo zajęcia. W ogóle, gdy Jakszuka niema, mam zajęcia więcej, ale też czuję się swobodniejszy o wiele i lepiej się w pracy orientuję, bo przy nim jestem skrępowany i bardziej zależny. Rano więc byłem w polu, potem miałem długą konferencję z gospodarzami z Boniuszek, którzy przyszli kończyć nasz spór drogą ugody. Zrzekliby się oni apelowania w sprawie, którą przed tygodniem przegrali, a ja bym zredukował żądane i zasądzone odszkodowanie, przekładając gotówkę na odrobek. Dla Boniuszek to dogodniejsze, bo marek nie mają, a robotę im wykonać łatwiej, dla mnie zaś robocizna jest nie mniej ważna od pieniędzy, bo robotnika do najęcia nie ma. Rozmawialiśmy z Boniuszkami przyjaźnie i preliminarz ugody stanął. Mają mi zwrócić 600 mk. długu gotówką markami i odrobić: 12 dni roboczych z parą koni i człowiekiem do pługa, 12 dni kosiarza z kosą własną i 12 dni z pojedynczym koniem, wozem i człowiekiem do wożenia. Wartość tak określonej robocizny liczę najmniej na 2220 mk., co włącznie z 600 markami gotówki wyniesie przeszło 2800 mk., zasądzone zaś było 3800. Boniuszki od dnia wyroku sądowego zaniechały już zresztą paszenia w Kumszach. Ugoda na tym stanęła powizorycznie, ale jeszcze gospodarze mają dać odpowiedź ostateczną za parę dni po poinformowaniu nieobecnych. Chętnie bym na ugodę przystał zamiast egzekwowania zasądzonej sumy i wyczekiwania jeszcze procedury apelacyjnej. Potem przyjeżdżał sekretarz gminy krewieńskiej w interesach, wreszcie miałem długą rozmowę z Michelem Ruchem.
Pod wieczór przyjechał – Jakszuk. Wrócił z Adamowa. Nie udało mu się przedostać za linię demarkacyjną. Ochrona linii ze strony litewskiej jest bardzo ostra i wzmożona. Nie było sposobu nawet spróbować przeprawy i już w pobliżu linii Jakszuk był indagowany

pilnie i śledzony. Rzeczywiście dla niego, który nie jest obywatelem litewskim, ryzyko byłoby bardzo niebezpieczne. Co robić!! Na każdym kroku niepowodzenie. Prawdziwa rozpacz. Ale niepodobna zaniechać tej sprawy, niepodobna zostawić Papę na łaskę losu. Jutro posyłam Jakszuka do Kowaliszek; może coś Komorowscy zdołają poradzić. Uważam, że Jakszuk jechać musi, bo jestem przekonany, że to wyjście jedyne. Jeżeli nie będzie innej rady, będę musiał chyba pojechać z nim sam do Kowna i opierając się na moich stosunkach osobistych u rzędu, przedstawić sytuację i uzyskać dla Jakszuka pozwolenie na wyjazd legalny. Pozwolenie nie byłoby trudne do uzyskania dla Jakszuka jako obcego poddanego, ale wówczas powrót byłby dlań zamknięty. Chodzi więc właśnie o to, aby przy wyjeździe legalnym zabezpieczyć Jakszukowi możność powrotu. Zobaczymy, co będą radzić Kowaliszki!

1 lipca, rok 1920, czwartek
Dziś wypada mi termin stawienia się w Kownie dla rozpoczęcia urzędowania w Sądzie Okręgowym. Nie stawiłem się na ten termin, bo mi jest niemożliwe opuścić w tej chwili Bohdaniszki. Przypuszczałem, że za parę tygodni Jakszuk przywiezie Papę i że wtedy będę mógł – a nawet i musiał – pojechać już do Kowna do pracy sędziowskiej. Miałem więc tak, jak jutro lub pojutrze, wysłać list do prezesa Sądu Okręgowego w Kownie, usprawiedliwiając konieczność zwłoki parotygodniowej. Teraz wobec tego, że najprawdopodobniej w tych dniach wypadnie mi pojechać z Jakszukiem do Kowna w sprawie zalegalizowania jego wyjazdu po Papę, nie wysłałem tymczasem listu do prezesa sądu, bo usprawiedliwię zwłokę ustnie i jeszcze będę musiał z Kowna wrócić do Bohdaniszek. W chwili, gdy oto piszę dziennik, jeszcze Jakszuk z Kowaliszek nie wrócił, dokąd dziś pojechał. Być może więc, że jeszcze w Kowaliszkach jakiś inny projekt obmyślą. Ale bardzo wątpię. Zdaje się, że innego sposobu nie będzie, jak postarać się o wyjazd legalny Jakszuka. Wyjazd tajny przez linię demarkacyjną jest połączony z ryzykiem i na wypadek złapania przez Litwinów niewątpliwie niebezpieczny, szczególnie dla Jakszuka, który nie jest obywatelem litewskim. W ogóle względem cudzoziemców są obostrzenia duże, a gdyby złapano cudzoziemca, szczególnie Polaka (Jakszuk jest spolonizowanym Białorusinem), na przekraczaniu linii demarkacyjnej, byłby on co najmniej aresztowany, a gdyby mu nawet ostatecznie żadnej zbrodni przeciwko państwu nie dowiedziono, byłby on już na pewno wydalony z granic Litwy. Nic więc dziwnego, że Jakszuk, choćby przez wzgląd na swoją rodzinę, nie odważa się tak ryzykować.
Wracam do ponawianego już kilkakrotnie tematu o sytuacji gospodarczej i jej konsekwencjach w Litwie. Wspomniałem już, że ost-marki, to znaczy pieniądz, który jest uznany w kraju za urzędowy, jest bardzo przez ludność poszukiwany. Chłopi mają u nas bardzo mało ost-marek, bo główna masa gotówki, która do kieszeni chłopskich wpłynęła, datuje się od czasów bolszewickich, kiedy zboże i artykuły żywności były w ogromnej cenie i do chłopów płynęły całe strony pieniędzy – jest w rublach rosyjskich. Po odejściu bolszewików i aż pod wiosnę roku bieżącego rubel rosyjski był równy marce (ost), toteż transakcje szły nadal na ruble i chłop, który jest do rubli rosyjskich przyzwyczajony i przez sam swój konserwatyzm więcej ufał w przyszłość rubla, niż ost-marki okupacyjnej, wolał brać ruble i chować je, a marki, o ile wpływały, wydawał chętniej od rubli. Teraz rzecz się zmieniła: marka poszła mocno w górę, stosunek jej do rubla rosyjskiego zmienił się na niekorzyść tegoż co najmniej dwukrotnie (rubel rosyjski = pół ost marki). Już samo to, że marka jest pieniądzem o tendencji zwyżkowej, czyni ją pożądaną i poszukiwaną. Wszak i w Polsce, gdzie, jak mówiłem, chłop nie chce sprzedawać swoich produktów rolnych i wskutek tego ujawnia się nawet groźna tendencja do zmniejszania produkcji rolnej, objaw ten dotyczy tylko marek

polskich, których ma dość i których dalsze gromadzenie wobec ich ciągłego spadku kursu, jest dla niego pozbawione wszelkiej rachuby (gdyby jeszcze sprzedaż ziemi była w Polsce wolna i gdyby otwarta została swobodna parcelacja większych majątków, to chłop nawet na marki polskie byłby gotów wytężyć sprzedaż, bo mógłby lokować je w kupno ziemi, której ceny w drodze wolnej spekulacji parcelacyjnej wyśrubowałyby się w konkurencji; ale zasady popularnej chłopskiej reformy agrarnej przeciwstawiają się wolnej sprzedaży ziemi i nie dają przeto pola do działania temu bodźcowi). Ale jednak – proszę tylko płacić chłopu w Polsce dolarami, które mają kurs mocny i wciąż w stosunku do marki polskiej rosną, albo monetą srebrną lub złotą – to chłop sprzeda i zboże. i krowę na mięso. i wszelkie produkty swojej gospodarki. Skoro więc tu ost-marka idzie w górę, chłop chętnie ją zdobywa, gdzie może i szuka jej, a więc i produkować śpieszy i sprzedawać. Robiłby to już przez samą chciwość, gdyby nawet chodziło tylko o gromadzenie ost-marek. Bo gromadzenie pieniądza, rosnącego w kursie, jest interesem dobrym, podczas gdy gromadzić pieniądz, ulegający systematycznej i forsownej deprecjacji – nie ma interesu. Ale, niestety dla niego, chłop nie może tu nawet marzyć o gromadzeniu ost-marek, bo ze wszystkich stron do kieszeni jego sięgają pompy, które *volens nolens* ssą z niej chciwie ost-marki. Pompami tymi są konieczności, o których innym razem pomówię, toteż nie zależy od woli chłopa, dać się czy nie dać tym pompom. Rzeczy więc tu tak się mają, że chłop i w ogóle rolnicy muszą oglądać się gorączkowo na wszystkie strony i łapać marki, polować na nie, aby nastarczyć żeru chciwym pompom. To jest właśnie jedna z bardzo charakterystycznych i ważnych cech sytuacji w Litwie.

2 lipca, rok 1920, piątek
Jakszuk wrócił wczoraj późnym wieczorem z Kowaliszek. W liście, który przywiózł od Elizki, pisze ona, że namówiła Jakszuka do wyjazdu przez linię demarkacyjną na Turmont, to znaczy drogą nielegalną, tą samą, z której już Elizka sama kilkakrotnie korzystała, i że Jakszuk zgodził się na to. Tymczasem mnie Jakszuk powiedział, że się boi jechać nielegalnie i że byłoby najlepiej, gdybym mu w Kownie wyrobił wyjazd legalny. Ostatecznie życzenie Jakszuka jest tu decydującym, bo przecie nie mogę mu kazać jechać nielegalnie i kazać się narażać na niebezpieczeństwo, mogące grozić tak jemu osobiście, tak jego rodzinie. Jedzie on nie w swoim, lecz naszym interesie, a więc, o ile chcemy tego, musimy mu dać legalną możność jazdy. Nie gniewam się o to zbytnio, bo, choć pociągnie to za sobą nowy wydatek jazdy do Kowna, ale za to może nas mniej zwiąże wobec Jakszuka, niż gdyby się dla nas narażał na niebezpieczeństwo. Trzeba jednak przewidzieć i taką ewentualność, że w Kownie odmówią takiego pozwolenia na wyjazd Jakszuka, które by mu umożliwiło powrót legalny. Co wtedy robić? Trzeba wtedy albo jechać mnie osobiście do Papy, choćby dla spróbowania i dla okazania, że robimy, co możemy, by Papę ratować, gdyby nawet miało to być daremne, albo skomunikować się z Kowna z Marynią, by ktoś inny z rodziny lub osób bliskich spróbował podjąć się tej funkcji, choć poza Jakszukiem istotnie nikogo dla tej roli nie widzę.
Co do zwiększenia kosztu, to co robić! Dobrze mówi przysłowie rosyjskie, że „семь бедъ – одинъ ответъ”. Jest to psychologia bankruta, który, gdy już czuje, że tak zabrnął w długi, iż wyjścia nie ma, brnie już dalej bez zastanowienia, bo czy o jeden dług więcej, czy mniej – to już wszystko jedno. Trudno, ale co trzeba – to trzeba. Sytuacja materialna Bokdaniszek jest już rzeczywiście fatalna. Pieniędzy nie ma, bo co wpłynęło, to rozchody bieżące pochłonęły (pozostaje w tej chwili w kasie około 500 mk. i tyleż rubli rosyjskich). Źródeł dochodów nowych, poza jedyną dzierżawą ogrodu owocowego, nie ma w najbliższym czasie. Z sukursem leśnym idzie jak z kamienia:

jeżeli nie będzie na papierówkę eksportu za granicę, to z papierówki od Rabinowicza i Rucha wpłynie zaledwie z parę tysięcy marek, i to dopiero później; co zaś do detalicznej sprzedaży lasu chłopom, to ze względu na nieufność i pretensje gminy krewieńskiej sprawa sprzedaży tej się odwleka, a chociaż wierzę, że dojdzie do niej i że gmina będzie musiała ulec prawu, jednak wymaga to jeszcze kłopotów i zabiegów, zanim zaczną się z tego źródła sączyć pieniądze, zresztą – ruble rosyjskie, których nawet nie będzie zapewne tak dużo. Ewentualny dochód ze zboża może być dopiero w jesieni, ale jeżeli się zważy, że żyta zabraknie, a co do innego zboża, to przyjdą jeszcze rekwizycje, wypłata ordynarii itd., a i młócenie jeszcze kosztować będzie, to dochód ten w perspektywie bardzo zmaleje, nie mówiąc o spóźnieniu jego. Tymczasem rozchody są, i to pilne, poniekąd nawet gwałtowne. Nie mówię już o wypłatach pensji dla parobków, o opłacie najemnika, którego za pieniądze prawie że dostać nie można, o różnych wydatkach bieżących, jak to sznury, to żelazo, to smarowidło do kół, to różne inne potrzeby. Ale oto są różne podatki i opłaty przymusowe. Oto nakazano z gminy opłacić po 3 mk. z dziesięciny na rzecz odszkodowania zbiorowego tych, którym na rekwizycji pobrano konie po niskiej cenie, a znów po 1 ½ marki z dziesięciny na utrzymanie urzędów gminnych; wyniesie to na Bohdaniszki parę tysięcy marek (marek, nie – rubli rosyjskich!). A niebawem zarządzone zostaną podatki ziemskie, które są w Litwie bardzo wysokie, wynoszące pono po 20 mk. z dziesięciny, a może i więcej, proporcjonalnie do ilości ziemi. Ale tu wyłażą rozmaite długi i należności Papy, np. dług Dąbrowiczowi w ilości 2000 mk. + procenty zaległe, z czego 1 tysiąc marek już mu spłaciłem, albo oto dziś zgłosił się pewien starowier Prokopow z żądaniem 700 rubli tytułem zwrotu zapłaconej przezeń w r. 1915 dzierżawy za ogród, bo gdy Prokopow przed inwazją niemiecką uciekł, Papa wydzierżawił podobno tenże ogród powtórnie jakiemuś Żydowi i pieniądze po raz drugi wziął; Prokopow grozi sądem, o ile pretensje jego nie zaspokoję. Tymczasem już na jazdę Jakszuka po Papę trzeba było pożyczyć pieniędzy, bo ich nie było, a teraz na podróż moją i Jakszuka do Kowna trzeba będzie chyba użyć marek, które wpłyną z dzierżawy ogrodu, jedynego przewidywanego tymczasem źródła i zostać bez grosza i bez źródeł (Jakszuk daje za ogród 1000 mk., tymczasem więcej nikt nie daje). Już teraz strach bierze, gdy się myśli o tym, jak podołać sytuacji. Ale cóż dopiero się okaże, gdy się ujawnią długi, które Papa tam w Warszawie pozaciąga. Nie wiem, jak Bohdaniszki wytrzymują to wszystko i czy w ogóle ruina nie nastąpi wcześniej, nim doczekamy się spadku po Papie. Żal Bohdaniszek. Papa oblicza wartość Bohdaniszek na 7 milionów! I jest dumny ze swego bogactwa. Ale cóż z tych milionów nominalnej wartości, gdy nie ma nawet na drobne bieżące wydatki i na długi.

3 lipca, rok 1920, sobota
Upał ogromny. Po obiedzie w cieniu termometr wskazywał 27º Reaumura, co na nasz klimat jest już bardzo dużo. Jest nie tylko gorąco, ale i duszno, jak przed burzą. Chyba wkrótce będzie deszcz, który na jarzyny jest bardzo potrzebny. Co do siana i koniczyny, to większa część już zebrana. Koniczynę to już wkrótce i kosić kończą. Tej nocy Jakszuk nie kładł się spać, jeno pilnował w polu; złapał też konie wioskowe bohdaniskie pasące się na dyrwanach[34] naszych na starych pasiekach kumszańskich. Za tę szkodę wioska Bohdaniszki dała nam dziś kośców, toteż robota szła raźnie. Pod względem poszoru dla żywego inwentarza na zimę, to w tym roku będzie nam lepiej, niż w roku zeszłym. Siana i koniczyny będzie dużo i doskonale zebranego, pomimo że

[34] Dyrwan (z lit. – dirvonas) – ugór.

dużo łąk było rozdanych za odrobek. W roku zeszłym całą koniczynę dworską skosiło i zebrało wojsko litewskie dla swoich koni.
Pod wieczór gromadziły się z zachodu chmury jak na burzę, ale rozeszły się. Jednak chyba burza w nocy będzie. Słońce zachodzi za chmurami. Parno bardzo. Na dworze jest jak w łaźni. Pot zrasza ciało, gdy się na dwór wychodzi. Nawet kąpiel niewiele wpłynęła na orzeźwienie, mimo że się kąpałem długo, pływając dużo, wyprawiając różne sztuki w wodzie i pławiąc psy – wielkiego czarnego Murzę, paromiesięczną psinką Tankę i taksę Jakszuków – Alajsa.
Wczoraj z braku miejsca w dzienniku nie wspomniałem o wizycie leśniczego z Dusiat. Od dłuższego czasu chciałem go tu sprowadzić; posyłałem raz po jego Jakszuka, potem z krewieńskiej komisji leśnej posyłano po niego parokrotnie w sprawie sprzedaży lasu w Bohdaniszkach, ale zawsze nie można się go było doczekać. Właściwie już zamierzałem wczoraj po obiedzie sam do niego do Dusiat pojechać, gdy nagle zawitał on do Bohdaniszek. Chodzi mi o niego z tego względu, aby raz wreszcie w jego obecności ustalić z komisją leśną krewieńską sprawę wyprzedaży detalicznej drzewa z dozwolonych działek – ludności miejscowej. On jest z urzędu prezesem komisji leśnej i do niego też należy z urzędu czuwanie nad prawidłowym, zgodnym z przepisami wykorzystaniem pozwoleń na wyrąb przez właścicieli lasów. Leśniczy dusiacki, którego nazwiska nie wiem, jest bardzo miłym i grzecznym człowiekiem. Jest to Litwin z pow. wileńskiego, z okolic Szirwint i Malat. Naturalnie, że już zanoszono do niego ze strony włościan skargi na rzekomą nielegalną i rabunkową sprzedaż lasu w Bohdaniszkach. Gdym mu pokazał pozwolenie i wyznaczone działki na planie, przekonał się on zaraz, że działam zupełnie legalnie. Ale okazuje się, że będę jeszcze wpierw musiał pojechać do Kupiszek, aby wydostać od tamecznego nadleśniczego dokumenty, które zostały mylnie do niego przesłane z Departamentu Leśnego w sprawie pozwolenia na wyrąb w Bohdaniszkach, następnie przesłać lub zawieść te papiery do nadleśnictwa w Jeziorosach stosownie do właściwości terytorialnej i wreszcie stamtąd udać się z odpowiednim pismem z nadleśnictwa do leśniczego w Dusiatach, który wtedy przyjedzie do Krewna, gdzie zwołane będzie z udziałem jego i moim posiedzenie leśnej komisji gminnej. Te wszystkie jazdy będę musiał sam odbyć. Potrwa to jeszcze.
Wczoraj wieczorem byli też u mnie delegaci z Boniuszek – znowu w sprawie ugody. Większość gospodarzy idzie na ugodę. Mniejszość jednak nie zgadza się. Ułożyłem z delegatami ostatecznie warunki ugody. Żądaną przeze mnie wpłatę gotówki rozkładają oni w stosunku do posiadanych przez każdego krów i owiec, wypada po 14 mk. od krowy i po 3 mk. 50 fen. od owcy, robociznę zaś konną – w stosunku do posiadanych koni, i pieszą – w stosunku do krów. Bardzo stękali co do wypłaty gotówki i to markami, których mało mają, i proponowali zamienić to także na odrobek, oferując nawet robociznę taką, która podług cen rąk roboczych jest droższa od odpowiedniej ilości marek, ale nie zgodziłem się, bo i nam marki są niezmiernie potrzebne, a nie ma ich skąd wziąć. Z ugody tej, jeżeli Boniuszki zechcą ją wypłacić, będzie dla dworu sporo robocizny. Obecnie jest to rzecz bardzo ważna, bo za pieniądze, nawet po niezmiernie wysokich cenach, robotnika, a tym bardziej z koniem, dostać niepodobna. Instytucja najemników dziennych zanikła w stosunkach rolnych. Natomiast rozkrzewiła się instytucja odrobków za siano lub za pastwisko dla gospodarzy i bezrolnych, albo za grunt pod kartofle itp. dla bezrolnych. Tak samo stałych robotników albo nawet poszczególne roboty łatwiej można umówić za ordynację, zboże na pudy lub inne świadczenia w naturze, niż za pieniądze sowieckie rosyjskie. Nawet krawiec wiejski nie chciał ode mnie za uszycie garnituru pieniędzy, jeno łąki do koszenia na trzy wozy siana.

4 lipca, rok 1920, niedziela
Nie było po upale wczorajszym ani deszczu, ani burzy. I znowu był dziś taki sam upał, jak wczoraj, może nawet większy, bo termometr podniósł się ponad 27° w cieniu. Duszno było do nie wytrzymania tak, że ręce opadały i nogi odmawiały posłuszeństwa na dworze. Jednocześnie powietrze było przez cały dzień jakieś zamglone i napełnione jakby jakimś dymkiem, pochodzącym chyba z palących się gdzieś torfowisk, ale widocznie bardzo daleko, bo cała okolica aż do Abel była pełna tego dymku. Dymek ten był zresztą bardzo aromatyczny, słodkawo-żywicowy, jak dym od karczów smolistych lub może ziół i mchów, rosnących na torfach. Pomimo takiego upału jeździłem po obiedzie do Abel po nowe obuwie, które na dziś miało być gotowe. Chciałem też dostać gazet w Abelach, ale poczta była już zamknięta, a gazety w sprzedaży detalicznej rozkupione. Nie dostałem więc gazet, jeno ze słów Żydów dowiedziałem się, że gazety podawały wieści z Moskwy, podług których bolszewicy chwalą się wielkimi sukcesami ofensywy przeciw Polakom na całym froncie ukraińskim i poleskim oraz pod Bobrujskiem. Chwalą się podobno, że gdzieś na Podolu odcięli czy też zniszczyli kilka armii polskich. Czy to prawda – nie wiem. Że Polacy są na Ukrainie w odwrocie – to fakt, ale czy to już jest klęska i czy to istotnie początek zwycięskiego rewanżu bolszewickiego – to zobaczymy. Nie dziwiłbym się zresztą temu, bo Polska rzeczywiście przeciągnęła nieco strunę sił własnych i ambicji mocarstwowych, ale z drugiej strony klęska Polski mogłaby się stać katastrofą, obracającą pod tchnieniem bolszewizmu w perzynę cały system państewek ludowych na dawnych kresach Rosji. Zresztą w samej Polsce niepowodzenia wojenne wysuną na czoło ludzi i stronnictwa dążące do pokoju z Rosją i do likwidacji wewnętrznych reform społecznych, a więc przesuną zapewne ster rządów na lewo. Jeżeli bolszewicy są jednak w zwycięstwach swoich wyczerpani, to możliwość pokoju może być na skutek tych wypadków przyśpieszona. Jednak dopóki w Rosji panuje bolszewizm i dopóki rewolucja chłopska w państwach tzw. „kresowych" i w samej Polsce nie jest zakończona, dopóty wróżyć o trwałości pokoju byłoby przedwcześnie. Katastrofa dawnego caratu i likwidacja jego spadku politycznego, społecznego i państwowego wytworzyła taki ferment i splot komplikacji, że ostateczne ustalenie jakiejś nowej równowagi jest zadaniem niesłychanie trudnym.
Po powrocie z Abel poszedłem pod wieczór do Kumsz, będąc tam zaproszony na dziś przez dzierżawczynię Niemicką na kaczkę i świeże piwo domowe. Nie obeszło się jednak i bez wódki, oczywiście samogonki, której pełno jest na wsi. Toteż wracałem w nocy do domu bardzo mocno podchmielony i po drodze kąpałem się w stawie.
Rano byli u mnie obaj Ruchowie – Michel i Pejsach. Oglądali niby ogród owocowy, o którego dzierżawę Michel tentował od dawna i poprzednio bardzo nalegał, aby go oddać jemu. Teraz jednak, wobec Jakszuka na ogród zamiarów, Ruchowie byli już z góry zdecydowani nie brać dzierżawy. Rozumieją oni, że jeżeli wezmą ogród wbrew Jakszukowi, to nie dopilnują owoców, bo Jakszuk potrafi tak zrobić, aby owoce były rozkradane. Po drugie zaś, nie mogą oni dać ceny, którą mi oferuje Jakszuk. Jakszuk gwałtownie dobija się dzierżawy ogrodu i daje cenę, która rzeczywiście wydaje się ogromną wobec znikomej ilości owoców w tym roku. Daje 1500 mk., a drzew pełnych jest zaledwie kilkanaście i na kilkunastu innych ledwie gdzieniegdzie owoc, a na olbrzymiej większości drzew – nie ma nic. Oddałem więc Jakszukowi dzierżawę, tym bardziej, że marki są nam niezbędnie potrzebne. Ruchowie podejrzewają, że Jakszukowi tak chodzi o ogród nie dla owoców bynajmniej, ale dlatego, aby pod pretekstem wywożenia owoców do Rakiszek móc wywozić tymiż furmankami różne rzeczy ze dworu, jak rzemienie, żelastwo, a kto wie – może i zboże. Jest to bardzo

prawdopodobne. Jakszuk ma w Rakiszkach Żydów, z którymi jest w ciągłych konszachtach i prowadzi wspólnie z nimi różne spekulacje. W sprawie ogrodu ci Żydzi też są jego wspólnikami, choć formalnie wobec mnie on sam bierze ogród. Jeżeli Jakszuka uda się wyekspediować po Papę, to podczas jego nieobecności spiszę i zniosę do domu pod klucz wszystkie stare żelastwo, starą uprząż itd.
Pejsach Ruch zakomunikował przyjemną nowinę: eksport drzewa z Litwy został dopuszczony. Da to nam możność brania po 300 mk. za papierówkę od Rabinowicza. Co też tam z biednym Papą naszym słychać! Aż strach pomyśleć, że to tyle czasu musi się Papa poniewierać bez pieniędzy i bez dachu nad głową, o ile nie wyjechał z Warszawy do kogoś ze znajomych na wieś. W tych dniach jadę już do Kowna dla starań o pozwolenie na wyjazd Jakszuka.

5 lipca, rok 1920, poniedziałek
Upał prawie takiż, jak wczoraj i pozawczoraj. Po obiedzie od zachodu zaczęły się gromadzić chmury i nawet parę razy zagrzmiało z daleka, ale na tym się skończyło. Niebawem chmury się rozeszły i zachód słońca jest prawie pogodny. Wszakże pod wieczór temperatura była trochę niższa, niż dni poprzednich. Ale te kilka dni upału tak wymęczyło człowieka, że tylko prawdziwy chłód mógłby go znów orzeźwić. Do wilgoci, do deszczu, do burzy – tęsknią nie tylko rośliny, ale także zwierzęta, którym dokuczają niesłychanie owady, i ludzie. A tu ani kropelki z nieba!
Znowu „przyjemność”! Pismo z gminy, zawierające nakaz uiszczenia do dnia 7 lipca, to znaczy do pojutrza, 2640 marek, tytułem 3 marek z dziesięciny na rzecz zbiorowego odszkodowania właścicieli zarekwirowanych koni, za które rząd płacił niżej ceny rynkowej, i tytułem 2 mk. z dziesięciny na rzecz kosztów utrzymania władz gminnych, pod rygorem, że jeżeli żądana suma nie będzie wpłacona w terminie, to będzie ściągnięta przymusowo (zajęcie czegoś z ruchomości – bydła – i sprzedaż publiczna). Ciekaw jestem, skąd wziąć pieniądze. Gmina udziela terminu dwudniowego, jak gdyby wszyscy mieli jakąś kopalnię pieniędzy, jak gdyby chodziło tylko o to, aby otworzyć kasę i wyliczyć żądaną sumę. Wprawdzie było ogłaszane ustnie, że będzie się tej opłaty żądało, ale konkretne żądanie zakomunikowano dopiero dziś z terminem dwudniowym! Urząd gminy liczy tę opłatę od całej ziemi, należącej do Bohdaniszek, mimo że duża część ziem, należących do Bohdaniszek (w Janówce, w Wiwieliszkach, Apuszynie, Cegielni i las montowski), położone jest na terytorium gminy nie krewieńskiej, lecz rakiskiej. Poza tym, wszystkie te opłaty żądane są od dworu bezpośrednio, nawet w stosunku do ziem dzierżawionych, co czyni, że taki na przykład Bejnarowicz, który dzierżawi ziemię naszą w Wiwieliszkach, płaci dworowi dzierżawy 150 rubli rosyjskich (około 70 mk.) rocznie, podczas gdy dwór z tej jednej obecnej opłaty musi za 32 dziesięciny Bejnarowicza uiścić 160 marek (przeszło 300 rb.)! Jakszuk pojechał do Krewna dla rozmówienia się w tej kwestii z wójtem, ale nie wiem, czy zdoła go przekonać, tym bardziej, że dziś w gminach jest powszechna tendencja uciskania dworów. Tak jest, niestety. Do pojutrza oczywiście się nie zapłaci, ale ostatecznie zapłacić trzeba będzie; aby się tylko udało uzyskać zmniejszenie tej sumy przez rozłożenie jej na dzierżawców i potrącenie ziem, położonych w innej gminie. Z dzierżawcami jest tak: ceny dzierżawne w dzierżawach dawnych były określone jeszcze przed wojną, gdy wartość pieniędzy była inna; podnieść tenuty dzierżawnej ani wyrugować dzierżawcy nawet po terminie – nie wolno, bo sejm uchwalił nowelę, zakazującą tego, sprzedać ziemi tej ani jej się pozbyć także nie wolno, a płacić trzeba za nią więcej, niż się z niej ma!
Przed kilku dniami pisałem o pompach, które ssą marki z kieszeni rolników. Do takich pomp należą właśnie gminy, w ogóle samorządy, następnie państwo z różnymi

podatkami i opłatami. Samorządy, jak gminy i sejmiki powiatowe, ściągają oto takie opłaty, jak powyższe, państwo zaś gnębi rolnika wysokimi podatkami. Samorządy dla wielkiej własności nie dają nic, bo nie budują, nie rozwijają i nie naprawiają dróg, nie zakładają szkół, szpitali itd., bo zresztą środków by na to w dzisiejszych warunkach nie starczyło. W normalnie funkcjonującym samorządzie właściciele korzystają z urządzeń gminnych, a cały szereg tych urządzeń, jak przede wszystkim drogi, jest właśnie najkorzystniejszy dla wielkiej własności, bo ta najwięcej z nich korzysta. U nas tego nie ma; dla własności większej, a nawet średniej chłopskiej gmina jest tylko ciężarem, bo one najwięcej na nią łożą, a mają od niej najmniej, tym bardziej, że w gminach dominują tendencje jaskrawe, skierowane specjalnie do faworyzowania ludności nominalnie, choć nie zawsze realnie, najuboższej, i nawet najbogatsze gminy nasze są zresztą w swej dzisiejszej funkcji o wiele więcej najniższym organem wykonawczym władzy wyższej administracyjnej i organem rozdzielczym ciężarów państwowych (rekwizycje zboża, mięsa itp., powinności naturalne, jak dostarczanie furmanek do rozwożenia urzędników w czynnościach służbowych itd.), niż organami twórczymi samorządu w ścisłym znaczeniu słowa.

6 lipca, rok 1920, wtorek
Udaję się w podróż, która może zakończy się na Kownie, a może zaprowadzi mię aż do Warszawy, Łomży, a może nawet jeszcze dalej. Będzie to bowiem zależało od tego, czy uda mi się w Kownie wyrobić dla Jakszuka takie pozwolenie na wyjazd, które go jednocześnie nie pozbawi możności powrotu, czy nie uda. Jeżeli się uda, to pojedzie w świat po Papę Jakszuk, ja zaś powrócę jeszcze do Bohdaniszek i tu, pozostając na stanowisku i kończąc pilne sprawy bieżące, doczekam się powrotu Jakszuka, bądź z Papą, bądź samego. Jeżeli zaś nie uda się, to pojadę do Papy sam. Oswajam się już z myślą ewentualnej jazdy i przestaję się nią irytować. Uważam nawet za właściwszą jazdę moją od jazdy Jakszuka, ale za skuteczniejszą uważam w każdym razie jazdę Jakszuka. A ponieważ nade wszystko chodziłoby o pomyślny skutek sprowadzenia Papy, więc bądź co bądź starania moje będę zwracał w kierunku umożliwienia jazdy Jakszuka, a dopiero gdyby to chybiło – pojadę sam.
Zacząłem tę podróż od jazdy do Kowaliszek, aby się ostatecznie naradzić z Elizką Komorowską. Elizka podziela w zupełności mój projekt, dziwi się jeno, że Jakszuk, tak przedsiębiorczy i odważny w słowach, stchórzył przed sforsowaniem linii demarkacyjnej. Mam nawet wrażenie, że Elizka wolałaby, abym jechał ja, niż Jakszuk. Co do Jakszuka bowiem, nie ufa mu ona, jak zresztą nie ufam i ja, i boi się zbytniego zapanowania Jakszuka nad Papą. Co zaś do mojej jazdy, to ma ona jakieś intuicyjne przeczucie, że może tym razem Papa nie tylko nie zwróci się przeciwko mnie, ale nawet ucieszy się z mojej nad sobą i Bohdaniszkami opieki. W każdym razie, gdybym miał jechać ja, to Elizka mi radzi, abym zajechał do Łomży i zabrał Kotunię, abyśmy się we dwoje do Papy udali. Podzielam tę myśl, ale optymizmu Elizki nie umiem podzielić. Gdyby jednak rzecz miała chybić i gdyby Papa nie tylko nie usłuchał nas i nie wrócił, ale jeszcze odtrącił mię od siebie, to przecież obowiązani jesteśmy dokonać tego kroku i powinniśmy przynajmniej przedstawić Papie rzeczywisty stan rzeczy, aby się Papa łudzić nie mógł. W Kowaliszkach, dokąd przyjechałem dopiero na podwieczorek, bom po drodze zatrzymał się w Staczeragach dla zacechowania drzew na działce kupieckiej, które nie mają być brane do papierówki, i następnie w Rakiszkach, zabawiłem do nocy. Wieczorem bawił w Kowaliszkach p. Jan Przeździecki. Późno w nocy przyjechał Hektor, który jeździł do Kurmin na pogrzeb zmarłego p. ordynata Piotra Komorowskiego i następnie bawił w sprawach leśnych w Radkunach z kupcami. Spać się nie kładłem, bo nad ranem wyjeżdżam na kolej.

7 lipca, rok 1920, środa
Przed świtem wyjechałem z Kowaliszek na stację do Rakiszek. O godz. 4 rano wsiadłem do pociągu i w straszny upał skwarzyłem się w pociągu aż do godz. 6 ½ wieczorem. Za towarzysza podróży miałem Komara z Poławienia, który wsiadł do pociągu w Suboczu. Po przyjeździe do Kowna zająłem numer w hotelu Paryskim, poszedłem do cukierni po lody, zjadłem kolację i więcej nie wychodziłem nigdzie. Z nikim się nie widziałem w Kownie. Starania w sprawie wyjazdu Jakszuka lub mojego rozpocznę jutro. Dopiero jutro wieczorem przyjedzie z Bohdaniszek Jakszuk. Mam przeczucie, że jechać po Papę wypadnie mnie, a nie Jakszukowi. Jestem przygotowany do tego wyjazdu, a nawet dość się nań cieszę, mimo że perspektywa spotkania z Papą nie jest wesoła. Jakże by było inaczej, gdyby Papa, zamiast odpychania nas od siebie i osamotnienia się – garnął się do nas!
W drodze do Kowna i w Kownie samym dorwałem się do świeżych gazet litewskich. Kipi w nich gorączka prac sejmowych na gruncie zwłaszcza sprawy agrarnej. Ustawa, mająca stanowić wstęp do przyszłej kapitalnej reformy agrarnej, jest gorąco dyskutowana. Projekt ten ogarnia na razie kilka kwestii poszczególnych, wśród których na pierwszym miejscu stoi sprawa wywłaszczania i upaństwowienia lasów prywatnych, oraz inne, jak np. konfiskata majątków osób, które służą w wojsku polskim itd. Jest to ten sam projekt, który był zgłoszony przez Rimkę w imieniu socjalistów-ludowców. Rimka też jest referentem projektu w Sejmie. W obecnym składzie Sejmu projekt ten przejdzie niewątpliwie, choć właściwie stanowi on raczej zbiór tez, których wykonanie włącznie z opracowaniem przepisów wykonawczych zleca rządowi. Przemówienia posłów, tendencje większości sejmowej i głosowanie poszczególne bardzo jaskrawo uwydatniają kierunek reformy agrarnej, zmierzający do upaństwowienia lasów i zniszczenia radykalnego dworów z taką przebudową stosunków własności ziemskiej, aby własność ziemska nie miała cech kapitalistycznych i opierała się na zasadach pracy bezpośredniej. Nieliczne, jak białe kruki, są głosy poszczególnych posłów, oponujących temu kierunkowi. Do takich głosów należy mowa posła Draugelisa w obozu chrześcijańskich demokratów i jeszcze charakterystyczniejsza mowa posła Masiulisa, członka frakcji socjalistów-ludowców. Obaj zresztą przemawiali w imieniu własnym, nie zaś swoich frakcji. Szczególnie ciekawa i bogata w argumentację była mowa Masiulisa, który jest fachowym agronomem. Dziwna rzecz, że Masiulis, wyznając takie poglądy na ustrój kapitalistyczny i na rolę wielkiej własności w produkcji rolnej i sam będąc właścicielem majątku ziemskiego (Gudziszki) i lasu, jest członkiem partii socjalistów-ludowców, których najściślejszym wyrazem jest fanatyk reformy agrarnej w stylu koncepcji „trudowickiej” – Rimka. Zresztą w obecnym nastroju Sejmu i w obecnych tendencjach społecznych doby rewolucyjnej, która zawsze stawia pragnienia ponad logikę argumentów, wszelkie mowy Masiulisów są próżne, bo nie chcącego niepodobna wbrew jego chęci przekonać. Socjalni demokraci występują też w opozycji do popularnych sejmowych prądów reformy agrarnej. Są oni za konfiskatą ziem dworskich i skasowaniem dworów jako własności prywatnej, ale natomiast za utrzymaniem ich niepodzielności jako wielkich państwowych warsztatów produkcji. Przyjęli więc oni program upaństwowienia dworów, zainicjowany u nas przez bolszewików; upaństwowienie to łączy się z pewnego rodzaju socjalizacją produkcji, która, jak u bolszewików, ma być wykonywana przez zrzeszenie parobków.

8 lipca, rok 1920, czwartek
Jazda po Papę okazała się zbyteczna. Dowiedziałem się bowiem od Wiktora Wąsowicza, który wczoraj wrócił z Wilna, że Papa już jest w Wilnie i sam wraca do

Bohdaniszek. Wąsowicz bowiem sam widział przepustkę, przygotowaną u władz polskich w Wilnie dla Papy na przekroczenie linii demarkacyjnej. Lada dzień można się więc spodziewać przyjazdu Papy. Jakszuk, który przyjechał pociągiem wieczornym, wraca wobec tego jutro do Bohdaniszek. Co do mnie, to zabawię tu jeszcze przez dzień jutrzejszy i także wracam do Bohdaniszek jeszcze na dni kilka, po czym wyjeżdżam już na stałe do Kowna dla objęcia mojej posady sędziowskiej.
Fatalne wieści z frontu polsko-bolszewickiego. Już wczoraj słychać było pogłoski o zajęciu przez bolszewików Turmontu i Mińska. Dziś, będąc u Wąsowicza, miałem od niego wiadomości z pierwszego źródła, ponieważ Wąsowicz, jako oficer łącznikowy polski w Kownie, jest poinformowany z całą ścisłością o stanie rzeczy i o położeniu wojennym Polaków, a wczoraj przyjechał on z Wilna wraz z Marianem Kościałkowskim, szefem II (politycznego) Oddziału przy dowództwie polskim w Wilnie. W związku z poważną sytuacją strategiczną, jaka się wytworzyła na skutek ostatniego sukcesu bolszewickiego na odcinku północnym frontu, Kościałkowski z Wąsowiczem przywieźli wczoraj z ramienia władz polskich jakieś propozycje Litwinom. Otóż co do sytuacji na froncie, to istotnie bolszewicy, idąc od Dryssy, Dzisny i górnej Berezyny, uderzyli na Polaków, przełamali front, zadali im cios na linii Postawy-Głębokie i posuwają się dalej, zmierzając na Wilno. Wąsowicz, który co do oręża polskiego jest zawsze niezwykle skłonny do optymizmu, sam tym razem przyznaje, że sytuacja jest bardzo poważna. Mińsk jeszcze nie wzięty, ale zważywszy, że zbliżanie się bolszewików do Mołodeczna i Smorgoń z jednej strony, a z drugiej – ich postępy na odcinku poleskim i pod Bobrujskiem, zagraża automatycznie Mińskowi, – nie można mieć nadziei na utrzymanie się Polaków w Mińsku. Samo Wilno jest już zagrożone. Wieści głoszą, że Polacy już ewakuują Wilno. Wąsowicz twierdzi, że w dowództwie polskim zapadła decyzja bronienia Wilna do ostatka i że w tym celu tworzą się już tam jakieś specjalne oddziały ochotnicze, do których się już wpisało 6000 młodzieży. Otóż już sam fakt tworzenia tych oddziałów ochotniczych, to znaczy tzw. samoobrony, budzi, moim zdaniem, wątpliwości tym poważniejsze co do losu Wilna. Znany to jest zwykły manewr symulacyjny, dający możność wojskom regularnym cofnięcia się bez bronienia miasta pod pozorem powierzenia obrony formacjom obywatelskim ochotniczym. Praktykowali to Niemcy, cofając się w r. 1918 z Rosji, Ukrainy i Litwy (Białej Rusi), co jeno dawało bolszewikom okazję dla krwawych represji w imię wytępienia „białej gwardii”. Sukces bolszewików w kierunku Postaw-Głębokiego spowodował cofnięcie się automatyczne Polaków z całego zakątka między linią demarkacyjną litewską, Dyneburgiem, Dryssą i wąskotorówką święciańską na Święciany. Jak powiada Wąsowicz, Polacy, wycofując się stamtąd, zawiadomili o tym Łotyszy i Litwinów, wskutek czego ci wkroczyli na opróżnione terytorium i pierwsi – Łotysze – zajęli Kałkuny, drudzy zaś – Litwini – zajęli Turmont i Dukszty. Jednocześnie Polska uznała niepodległość Litwy, czego dotąd wzdragała się uczynić urzędowo. Jak donosi dzisiejsza „Lietuva” w komunikacie urzędowym, wojska litewskie posunęły się naprzód na terytorium, opuszczonym przez Polaków, aż do Jeziora Dryświackiego, w którego okolicach spotkały się z kawalerią bolszewicką, która zachowała się biernie, to znaczy do walki nie doszło i bolszewicy nie odpędzili Litwinów. Wszakże podług pogłosek wieczornych – bolszewicy zajęli już całą linię kolejową od Kałkun do Ignalina włącznie. Gdyby się to sprawdziło, świadczyłoby to, że bolszewicy zgodzili się na zajęcie przez Litwinów terytorium, opuszczonego przez Polaków i że wyparli ich stamtąd.

9 lipca, rok 1920, piątek

Nie wytrzymałem i noc poświęciłem hulance i rozkoszom miłosnym z pewną dziewczyną, Żydówką-przechrztą, Olgą, z którą się zapoznałem za pośrednictwem mojej starej, niegdyś z Wilna znajomej, Wiery, Białorusinki ze stron witebskich, zamieszkałej obecnie w Kownie. Zabawa ta kosztowała mię słono, ale cóż robić, gdy się czasem człowiek puści – *vogue la galère*!
Byłem dziś w Sądzie Okręgowym, gdzie się przedstawiłem sędziemu Preissowi, a więc mojemu przyszłemu koledze, zastępującemu chwilowo nieobecnego prezesa sądu, p. Mačysa, bawiącego w charakterze członka delegacji pokojowej litewskiej w Moskwie. Sędzia Preiss jest Niemcem rosyjskim i jeszcze przed wojną był członkiem Sądu Okręgowego w Kownie. Po litewsku mówi, chociaż niezupełnie dobrze. Chwalą go jako sędziego i jako człowieka. Zameldowałem sędziego Preissowi, że jeszcze się nie stawiam do służby, ale już mniej więcej za tydzień stawię się.
Z wypadków wojennych, które w tej chwili dominują nad wszystkim, jest dziś w gazetach (nie z komunikatów urzędowych) mowa o zajęciu przez bolszewików Mińska. Jeżeli się sprawdzi to, o czym były dziś wieści z pogłosek i ze wzmianek prasy, a mianowicie że bolszewicy po zajęciu Równego na Wołyniu zajęli już Kowel, ewentualnie sforsowali linię Kowel-Równe, to, w związku z ich skutecznym uderzeniem na północy z linii Dźwiny i górnej Berezyny, w najlepszym chyba dla Polaków razie można by jeszcze marzyć o utrzymaniu linii Mołodeczno-Baranowicze-Pińsk, ale i to się wydaje wątpliwym ze względu na wielki impet tej ofensywy bolszewickiej, idącej forsownie wielkimi krokami na południu i sekundowanej obecnie ciosami na północy. Na południu bolszewicy więc podchodzą już bezpośrednio do granic b. Królestwa Kongresowego i zagrażać zaczynają inwazją Galicji, na północy zaś wyrasta znów skomplikowana i niezmiernie doniosła w najbliższych rozstrzygnięciach kwestia Wilna. Jeżeli Polacy nie będą w stanie utrzymać Wilna, a wszystko mię skłania do tego, aby dać na to odpowiedź przeczącą, mimo że dziś wieczorem w kołach tutejszych polskich rozeszły się znów pogłoski optymistyczne co do perspektyw utrzymania Wilna (podobno jutro przyjeżdża do Wilna Piłsudski), to kto obejmie Wilno po Polakach – bolszewicy czy Litwini? Wiąże się to nie tylko z kwestią, czy dojdzie do skutku jakiś choćby doraźny układ między Polakami a Litwinami w przedmiocie przekazania Wilna w ręce litewskie, ale też z tym, jak się w ogóle zachowają bolszewicy względem Litwy i Litwinów. Czy zechcą uszanować prawa terytorialno-państwowe Litwinów choćby w tych granicach, co do których w toczących się w Moskwie z Litwinami rokowaniach pokojowych sami już je zasadniczo uznali (jak wiem tu od Litwinów, i w szczególności od obecnego ministra do spraw białoruskich w gabinecie Griniusa, Dominika Siemaszki, który sam brał udział w rokowaniach w Moskwie jako członek delegacji pokojowej litewskiej, bolszewicy uznali przynależność do Litwy Wilna i Grodna po Niemen z 8-wiorstowym pasem zaniemeńskim, natomiast w zakresie minimalnych żądań litewskich nie godzą się dotychczas na przyznanie Litwie powiatów oszmańskiego i lidzkiego, ale zresztą rokowania są dopiero w toku i nic jeszcze prócz protokołów podpisane nie zostało) i czy zechcą tolerować Litwinów tam, gdzie zastaną ich na miejscach, opróżnionych przez Polaków, ograniczając się do ścigania tylko Polaków, czy też obejmą wszystko, co było dotąd w faktycznym posiadaniu Polaków, czy wreszcie, pobiwszy Polaków, wkroczą i do Litwy właściwej, przekraczając dotychczasową linię demarkacyjną litewsko-polską? Dotychczas, wnosząc z wiadomości z linii Kałkuny-Dukszty, bolszewicy nie zaczepiają Litwinów tam, gdzie oni zdążyli już się usadowić po wycofaniu się Polaków. Wprawdzie wczoraj wieczorem były pogłoski, że całą linię Kałkuny-Ignalino obsadzili bolszewicy (między innymi słyszałem to od p. Zawiszy, plenipotenta Tyszkiewicza w zarządzie Czerwonego Dworu, który się powoływał w tej mierze na osobiste rewelacje generała

Galwydisa czy Galwietisa-Bykowskiego, naczelnego wodza litewskiego, ale że Zawisza był pijany, więc trudno ufać jego zapewnieniom), to jednak dziś w gazetach litewskich było ogłoszone urzędowo o zajęciu Turmontu i Dukszt przez wojska i władze litewskie (Kałkuny zajęli Łotysze). Ale z tego, że w tej chwili bolszewicy, walcząc z Polakami, nie wypędzili z tych miejscowości Litwinów, nie może to być jeszcze miarodajnym. Dopiero Wilno, jeżeli wyjdzie z rąk polskich, okaże, czego się myślą trzymać bolszewicy względem roszczeń litewskich.

10 lipca, rok 1920, sobota
Rano wyjechałem z Kowna. Upał wciąż nieznośny, szczególnie dokuczliwy w podróży. Jechałem w klasie III i do Radziwiliszek miałem w przedziale wagonu za towarzyszy podróży – komunistów. Jechało dwóch jeńców rosyjskich, błąkających się po różnych krajach wśród nędzy i poniewierki z myślą przedostania się do Rosji, dwóch młodych wyrostków Żydów, histerycznie po żydowsku zachwycających się Rosją i bolszewizmem, i chłop-Litwin, powracający z Ameryki z zarobków fabrycznych, antymilitarysta zaciekły i ideolog powszechnego braterstwa ludzkiego. Jeden z dwóch jeńców Rosjan, młodziutki chłopiec, dusza czysta i szlachetna, pełna naiwnej wiary i idealizmu, rodem z Petersburga, żołnierz czerwonej armii bolszewickiej, wzięty w roku zeszłym pod Rygą do niewoli przez Łotyszy, skąd uciekł potem do Litwy, entuzjasta nieskalanych ideałów bolszewickich, głosił hymn na cześć bolszewizmu. Tak, jest to moc rewolucji, jeden z jej potężnych środków propagandy. Wraz z brudem, który się jej czepia i jej pochodowi towarzyszy, ma ona swoich świętych i swoich apostołów, swoich wyznawców płomiennych, którzy, jak pochodnie, zapalają przez zetknięcie ze sobą serca ludzkie, zwłaszcza serca tych, co są młodzi lub którzy cierpią i którym dla różnych powodów jest źle na świecie. To nie racjonalistyczna siła argumentów rozumowych, jeno ogień wiary i woli, działający jak żywioł i jak zaraza.
Po drodze z Kowna widziałem już w dwóch miejscach rozpoczęte żniwa: pod Janowem i między Poniewieżem a Suboczem. Wcześnie w tym roku. W roku zeszłym, gdym w ostatnich dniach lipca wracał z Bohdaniszek do Łomży, po raz pierwszy ujrzałem zżęte żyto pod Grajewem, a więc o parę tygodni później i znacznie dalej na południe.
Koło godz. 10 wieczorem przyjechałem do Rakiszek, skąd udałem się pieszo do Kowaliszek. Wszyscy tam już spali oprócz Julka. W krótkich słowach streściłem mu nowiny z wypadków polsko-bolszewickich.
Wracam do dalszej relacji tychże wypadków. W związku z ofensywą bolszewicką na front polski Litwini mieli propozycje ze stron obu. O ile wiem – proponowali Litwinom bolszewicy wspólną akcję przeciwko Polakom w tym sensie, żeby jednocześnie z uderzeniem bolszewickim z frontu Litwini uderzyli na Polaków z tyłu na Wilno. Propozycji tej Litwini nie przyjęli, bo formalne współdziałanie wojenne z bolszewikami byłoby dla Litwy równoznaczne z zerwaniem ze światem Koalicji i przeciwstawieniem mu się, podczas gdy Litwa jest od tego świata zależna w całym swym bycie państwowym. Zresztą i ze względów zasadniczych społecznych sojusz formalny z bolszewikami jest dla burżuazji litewskiej nie do przyjęcia. Gdyby Litwa poszła jawnie i formalnie ręka w rękę z bolszewikami przeciwko Polsce, zeszłaby przez to samo do roli klientki Rosji, roli bardzo niebezpiecznej dla Litwy. Bałby to nie sojusz, a kapitulacja. Interesy Litwy mogą się chwilowo zbiegać ze względami antypolskiej ofensywy bolszewików, ale nie tak dalece, aby się uzależniać formalnie od Rosji. Związek Litwy z Koalicją i trzymanie się orbity polityki angielskiej jest dla Litwy najmocniejszym punktem oparcia w dążeniu do niepodległości i do spełnienia możliwego maksimum jej żądań. W płaszczyźnie też tych koalicyjno-angielsko kombinacji politycznych stawiała Litwa zawsze rozwiązanie kwestii Wilna w duchu jej

postulatów. Toteż chociaż teraz, w chwili sukcesu bolszewików w ofensywie w kierunku Wilna, Litwa może mieć najwięcej tentacji do solidarnego działania z bolszewikami, by zadać cios Polakom z tyłu i względnie najtańszym kosztem posiąść Wilno, zdobywając *eo ipso* sankcję Rosji dla tego posiadania, to jednak, wbrew podejrzeniom wielu Polaków, nie sądzę, by się zdecydowała pójść tą drogą. Za wiele ryzykowałaby bowiem, wchodząc formalnie w orbitę polityki rosyjskiej. Z drugiej strony Polska, po ostatnim ciosie na froncie północnym, cofając się z Dyneburga i widząc się zagrożona w posiadaniu Wilna, skierowała ze swej strony do Litwy propozycje wspólnej akcji. Są to propozycje, które we środę przywieźli do Kowna Marian Kościałkowski z Wąsowiczem. Polska zaproponowała Litwie wspólny front przeciwko bolszewikom za cenę podobno, jak zrozumiałem Wąsowicza, oddania Litwie Wilna (nie wiem, czy bezwzględnie, czy w zarząd). Litwa propozycji w tej postaci również nie przyjęła. Nie można się Litwie dziwić. W chwili klęski Polski, której ostatecznych rozmiarów niepodobna nawet przewidzieć, mała Litwa nie może się z nią we wspólnej akcji wojennej łączyć, bo byłoby to wspólnictwem w klęsce, czego nikt sobie pragnąć nie może. Klęska, która dla samej Polski grozi katastrofą, byłoby nią dla małej Litwy niewątpliwie i jeżeli Polska zdoła jeszcze wyjść z niej jakkolwiek, to dla Litwy mogłaby się ona stać śmiertelną. Choć sama przez się klęska Polski jest dla Litwy niebezpieczna, bo zdaje ją faktycznie na łaskę dobrej woli Rosji, jednak wspólnictwo formalne z Polską oznaczałoby dla Litwy już nie tylko groźbę, ale natychmiastową zgubę.

11 lipca, rok 1920, niedziela
Spędziłem dzień w Kowaliszkach. Po obiedzie jeździłem z Elizką, Zitką i dziećmi (Lidką, Piotrusiem Komorowskim i jego kolegą Jankiem) do pp. Przeździeckich do Rakiszek. Oczywiście, zarówno w Kowaliszkach, jak u Przeździeckich, musiałem komunikować moje informacje, przywiezione z Kowna o ostatnich wypadkach. Wieść o porażce polskiej dotarła tu dopiero wczoraj i częściowo pozawczoraj. Największym echem rozległa się ona w kołach ziemian, którzy całe nadzieje, całą swą wiarę i ambicję pokładali w Polsce. Do ostatnich czasów, pomimo jawnych niepowodzeń kampanii ukraińskiej, którą nasi ziemianie ostentacyjnie bagatelizowali, wierzyli oni w niezwyciężalność Polski, w doskonałość jej gwiazdy, w to, że od niej tylko może być dla całego wschodu Europy i dla kultury, zagrożonej przez rewolucję, zbawienie. Zamykali oczy i uszy na dochodzące zza linii demarkacyjnej wieści o coraz cięższym położeniu Polski, o groźnym już po prostu jej stanie, czego oznaki coraz się mnożyły jak straszne „*mane tekel fares*". Nasi polonofile, których polonofilizm wszakże trącił zbyt często rachubami klasowymi konserwatyzmu społecznego, nie chcieli tego widzieć ani słyszeć. Kto by im o tym mówił, kto by ich optymizm usiłował studzić trzeźwą rozwagą, ten by u nich zasłużył na żywą niechęć, na posądzenie, że jest wrogiem Polski. Do ostatka też niemal wierzyli oni w przyszłą interwencję zwycięskiej Polski w Litwie, interwencję, która, w ich przekonaniu i stosownie do ich woli, miała przywrócić stare zasady układu społecznego, obalając kiełkowanie prądów ludowych, które, choć nieraz krzywdzą ziemian i nieraz przyczyniają się dziś do chaosu i do pewnego nawet obniżenia kultury lub działania sił produkcyjnych, wszakże ostatecznie stworzą ład nowy, zapewne bardziej sprawiedliwy i wolnościowy od starego. Dla każdego, kto umie potrzeć i obserwować trzeźwo, kto nie jest zaślepiony uprzedzeniem i namiętnością, która w dobie rewolucyjnej zarówno charakteryzuje rewolucjonistów, jak racjonalistów, od dawna było widoczne, że marzenia o interwencji polskiej w Litwie nie mają podstaw. Gdym był w kwietniu w Wilnie, było to już jasne. Sami rzecznicy interwencji w Wilnie, czynni tej koncepcji wyznawcy, którzy gotowali sami poprzednio jej

wykonanie, jak Marian Kościałkowki i wielu innych, rozumieli już wtedy, że moment dla interwencji upłynął i że już prawdopodobnie nie wróci. Wybory i zwołanie Sejmu Ustawodawczego w Kownie zamknęły ostatecznie kwestię interwencji, która zresztą z wielu też innych względów, tak międzynarodowych, jak leżących w sferze stosunków i dążeń narodowych i społecznych w Polsce, była już wtedy niewykonalna. Ale nasi ziemianie, którzy jej pragnęli dla siebie, wierzyli w cios prawie do ostatka. Fiasko polskiej kampanii w Ukrainie, choć było przez naszych ziemian tłumaczone rozmaitymi wersjami uspokajającymi, przypisującymi je rzekomo nie porażce, jeno najrozmaitszym względom innej natury, cokolwiek jednak pewnością interwencyjnych nadziei zachwiało. Ale wiara w triumf wojenny i polityczny Polski była mocna. Toteż ciosem dla ziemian naszych była strasznym ta wieść obecna o porażce, o wycofaniu się Polaków spod Dyneburga, o zagrożeniu Wilna, o cofaniu się z linii Berezyny. Pierwsze wieści poczty pantoflowej były zresztą przesadne. Rozeszły się pogłoski o wypowiedzeniu Polsce wojny przez Niemcy, o zniszczeniu całkowitym armii polskiej itd. Ziemianie są stropieni, są przerażeni, są wprost zbolali ciosem w ich ambicję i wiarę, są jak ludzie ciężko chorzy. Ale wiara ich i namiętność woli jest tak mocna, że gdy słyszą prostowanie przesady w wieściach, gotowi są znów wierzyć i znowu już lekceważyć sytuację. Gdy przez dwa dni nie słyszą o dalszym katastrofy rozwoju, o dalszych nowych jej etapach, znów odzyskują wiarę. Cudowną jest natura ludzka! Cześć jej zaiste! Ciekawe jednak, że porażki Polski i zawody bolesne, godzące w wiarę i tęsknoty tych ludzi, budzą u nich jednocześnie złość na – Litwę! Zdawałoby się: gdzie Rzym, gdzie Krym. Co ma Litwa i Litwini do tego, że bolszewicy biją Polaków, że moc Polski się rozpryska? Ale taka jest logika ludzka! Że nie spełniły się ich nadzieje na podeptanie Litwy przez Polskę, że czują się dziś oni zawiedzeni i upokorzeni – „Litwa jest winna”. Jest winna, bo nie zgadzała się iść na pasku i w ogonku Polski, chociaż przecie zdaniem samychże ziemian – Litwa jest taką *quantité négligeable*, która nie mogłaby zaważyć na szali losów i przeto takie lub inne jej stanowisko nie mogłoby wpłynąć na odwrócenie obecnych wypadków. Ale *quand même* – Litwa jest winna, bo trzebaż ziemianom dać swej złości upust. Jest winna, bo teraz nie łączy się z Polską. Ale w czym by się łączyć miała – w katastrofie? Dlatego, że Polska dopiero dziś, po swej porażce, gdy już stanęła w obliczu katastrofy, zwraca się do Litwy z propozycjami, tchnącymi ugodą i dlaczego dotąd polityką swoją uczyniła wszystko, abym zrazić ku sobie na wschodzie formacje ludowe, do których należy Litwa! Imperializmem swoim na wschodzie i tendencjami społecznymi swej polityki tamże Polska sama przyczyniła się do swego losu i zimnym odpowiadają jej narody niegdyś bratnie!

12 lipca, rok 1920, poniedziałek
Rano wróciłem do Bohdaniszek. Zabawię tu jeszcze do soboty; następnie wyjadę do Kowna. Nie wiem, czy przez ten czas doczekam się przyjazdu Papy. Zdawałoby się, że tak, bo Jakszuk, wracając z Kowna, spotkał w drodze starego generała Brzozowskiego, teścia Piotra Rosena, który z żoną jechał z Wilna do Gaczan i od którego Jakszuk słyszał, że Papa miał w piątek (ubiegły) wyjechać z Wilna do Kowna. P. Brzozowski opowiadał, że spotkał się z Papą w Wilnie; Papa mu mówił, że w piątek jedzie do Kowna, stamtąd ma pojechać do Opitołok do Karola Zabiełły, a następnie do Kowaliszek, dokąd ma Jakszuk wysłać poń konie, bo – końmi kowaliskimi Papa jechać nie chce. Papa był podobno w mocno startym ubraniu, wyglądał źle i podobno niechlujnie (dziwna rzecz, bo Papa zawsze bardzo dbał o czystość). Jedzie z jakąś panienką; chwalił się, że jest młodziutka; co to za panienka – nie wiemy; czy to do gospodarstwa, czy tylko pozornie do gospodarstwa, czy też za „towarzyszkę” i czy z funkcjami „kochanki” włącznie? P. Brzozowski mówi, że Papa zachowuje się na ulicy

już zupełnie jak wariat. Na Komorowskich jest zły, Hektora nazywa łotrem. No, wyobrażam, co to będzie za przyjazd i co za wizyta w Kowaliszkach. Elizka jest zdecydowana, o ile tylko Papa nie wpadnie niespodzianie, wysłać gdzieś z Kowaliszek Hektora, Julka i Zitkę przed Papy przyjazdem i spotkać go sama z Witoldem Komorowskim. Przyjazd Papy, ze względu na stan Jego nerwów i umysłu, jest jak zmora. Wszyscy się tego momentu boją i drżą, wiedząc, co to będzie za krzyk, awantury, gwałt, bicie. Nawet Jakszukowie są przerażeni. Trudno już uważać Papę za człowieka poczytalnego, ale gdybyż nie ta złość, nie ten charakter straszliwy! Jeżeli Papa w piątek wyjechał, to chyba obecnie jest już w Opitołokach. Sądzę, że pojechał tam dla pożyczenia pieniędzy. Ale może trudności wyjazdu przy panice i ewakuacji, panujących w Wilnie, lub inne przyczyny – przeszkodziły wyjazdowi Papy w piątek. W takim razie, mógłby wyjechać z Wilna dziś, bo po piątku następny pociąg z Wilna na Jewje odchodzi podobno w poniedziałki. Ba, lada dzień doczekamy się Papy.
Byłem zdziwiony, że przyjeżdżając z Kowna w te strony, nie zastałem tu żadnej paniki, żadnego cienia widocznej zmiany nastrojów i poruszenia z powodu tak obecnie bliskiego i już bezpośredniego sąsiedztwa z bolszewikami. Bądź co bądź przecie, odkąd Polacy cofnęli się z pod Dyneburga i Litwini w okolicach Turmontu i Dukszt zetknęli się bezpośrednio z bolszewikami, możliwość inwazji bolszewickiej potencjalnie istnieje. Jeżeli bolszewicy nie posuwają się na Litwę, to tylko dlatego, że tego oczywiście czynić nie chcą. Gdyby zechcieli, we dwa dni byliby już tutaj. O tym, aby wojsko litewskie mogło wstrzymać i oprzeć się bolszewikom, nie ma przecie mowy. Tymczasem spokój i równowaga w nastrojach zakłócone tu nie zostały. Największe poruszenie jest wśród ziemian, zarówno dlatego, że oni są najbardziej zagrożeni na wypadek inwazji, jak dlatego, że klęska Polaków łamie i niszczy całą ich nadzieję, całą wiarę. Lud natomiast jest chłodny i zrównoważony. Nawet pogłoski nie są nazbyt liczne. Sądzę, że na utrzymanie równowagi w psychice ludu działa to, że nie bolszewicy doszli do poprzedniej linii demarkacyjnej polsko-litewskiej, ale Litwini posunęli się naprzód poza tę linię. W skutkach realnych jest to rzecz bez znaczenia, ale psychicznie wrażenie przesunięcia się naprzód linii litewskiej podziałało kojąco.
Swoją drogą, jeżeli nawet bolszewicy nie pójdą zbrojnie w głąb Litwy na terytorium objęte państwowością litewską, co zresztą prawdopodobnie rozstrzygnie się po rozstrzygnięciu dopiero losów Wilna, to i w takim razie jestem jak najbardziej pesymistycznie usposobiony co do jakiejkolwiek równowagi w stosunkach i w rozwoju sytuacji krajowej. Przede wszystkim, na wypadek wielkiej klęski wojennej Polski przewiduję w samej Polsce wybuch rewolucji. A że klęska Polski już jest wielka, to się zaprzeczyć nie da. Samo przegranie kampanii ukraińskiej z forsownym, wśród ciągłych walk i nacisku cofnięciem się od Kijowa aż po Kowel i granice Galicji – jest klęską ciężką. Ostatnie przełamanie linii polskiej na północy i odepchnięcie Polaków od Dźwiny pod Wilno, dokonane gwałtownie, przez zadanie wielkiej porażki, wskazuje, że nie tylko na Ukrainie, ale na całym froncie opór polski jest w stanie wielkiego rozkładu i depresji, tym bardziej, że prasa polska i dowództwo liczyły się z tym uderzeniem bolszewików na północy, wskazywały na ten odcinek jako na punkt najczulszy i najważniejszy w defensywie dla całego frontu i przeto musiały z góry uczynić tu wszystko, co było w mocy polskiej, aby zapobiec tutaj porażce i skutecznie cios odeprzeć. A jednak nie zdołano dokonać tego; nie tylko nie zdołano sparaliżować ofensywy rosyjskiej tutaj, ale otrzymano wielką i dotkliwą porażkę, połączoną z gwałtownym wśród paniki odwrotem.

13 lipca, rok 1920, wtorek

Jakszuk pojechał do Rakiszek i Kowaliszek. Być może, przywiezie już co nowego o Papie, bo zresztą nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Papa już był przyjechał do Kowaliszek. Lada dzień to nastąpi; możemy co dzień spodziewać się ukazania Papy. Cicho tu zupełnie na wsi. Brak wszelkich pogłosek, brak poruszenia lub niepokoju, jakby się nic nie zmieniło. A przecie zmiany zaszły w najbliższym sąsiedztwie radykalne, które będą miały skutki bardzo doniosłe.
Polacy po cofnięciu się spod Dyneburgu i wobec zagięcia frontu na południu aż pod Kowel – opuszczają oczywiście całą linię Berezyny pod Borysowem i Bobrujskiem. Nie mogłoby być naturalnie mowy o utrzymaniu linii Berezyny wobec takiego zagięcia obu skrzydeł i wobec tego, że odcinki Bobrujska i Borysowa mają jedyne połączenie kolejowe z tyłami polskimi na Mińsk, który był zagrożony bezpośrednio, a teraz od dni kilka jest już zapewne przez bolszewików zajęty. Dowództwo polskie po porażce północnej nie miało już zamiaru, jak wiem od Wąsowicza, bronić Mińska. Natychmiast po porażce rozpoczął się generalny odwrót znad Berezyny i Polesia na linię Mołodeczno-Baranowicze-Pińsk. Jak się ten odwrót dokonał – nie wiem, ale musiał być bardzo ciężki i kosztowny. Zadanie takiego odwrotu kapitalnego przy zagrożeniu flanek i ewentualnie przede wszystkim odcięciu Mińska – było trudne nawet dla armii, będącej w stanie najlepszym. Wilno Polacy pragnęliby obronić i utrzymać za wszelką cenę, nie tylko ze względów politycznych, ale także po prostu strategicznych, bo bez posiadania Wilna nie mogliby utrzymać linii Mołodeczno-Baranowicz-Pińska i musieliby przejść na ostatnią linię, broniącą Polski etnograficznej – linię Grodno-Brześć.
Gdyby nawet Polacy zdołali się oprzeć na linii – krzywej zresztą, oznaczonej punktami Święciany-Mołodeczno-Baranowicze-Pińsk-Kowel-Kamieniec Podolski – to i w takim razie klęska byłaby znaczna. Ale wątpię bardzo, aby na tym stanęło. Południowe, ukraińskie skrzydło armii polskiej jest w systematycznym odwrocie, naciskane przez ciągłą ofensywę bolszewicką. Nic nie wskazuje, aby ten odwrót ukraiński miał się już ku końcowi; przeciwnie – jest on w pełnym toku. Świeża zaś porażka na północy wskazuje, że albo siły polskie są za słabe, by podołać bolszewikom, albo, co gorsza, są już wyczerpane moralnie. Ta ostatnia supozycja, niestety, ma dużo szans prawdziwości. Już zimą i na wiosnę, przed moim wyjazdem z Polski, dochodziły drogami prywatnymi wieści o pewnym rozprzężeniu w wojsku. W ostatnich czasach słychać o tym więcej, a z pewnością odwrót ukraiński nie mógł przyczynić się do podniesienia stanu moralnego wojska. Wygnanie Polaków z Ukrainy i coraz większe potęgowanie się bolszewików, stających się na froncie panami sytuacji, musiały zachwiać wiarę w zwycięstwo w masie wojska polskiego. Jest to skutek fatalny stracenia inicjatywy w działaniach wojennych. Żołnierz zaś polski, którego znam dobrze z Legionów, a żołnierz obecny, choć pochodzący z rekruta, jest do legionistów podobny, bo równie młody i ochoczy, jest szczególnie na to wrażliwy: w ofensywie, w inicjatywie – jest on świetny, szczególnie w akcji o charakterze partyzanckim, odpowiadającej warunkom dzisiejszej wojny; dokazuje on wtedy wprost cudów waleczności, brawury, sprytu, jak prawdziwy kochanek fortuny wojennej; w defensywie natomiast jest słaby, a w odwrocie demoralizuje się niesłychanie szybko, ulega panice, wierzy wszelkim pogłoskom, staje się niemal gromadą tchórzów, bo traci szybko wiarę w siebie i zdolność panowania nad warunkami. Że stan moralny żołnierzy polskich nie jest doskonały, na to wskazuje też między wierszami odezwa Piłsudskiego do żołnierzy w imieniu Komitetu Obrony Państwa, datowane z dnia 3 czy 4 lipca. Usiłuje ona podnieść ducha, podziałać na ambicję żołnierzy, podnieść wiarę i poczucie solidarności z narodem. Odezwa ta jest mimowolnym świadectwem złego stanu moralnego wojska. W tych warunkach – wątpię mocno w skuteczność dalszej defensywy polskiej i mam przekonanie, że klęska się rozrośnie w dalszym cofaniu się. A wtedy przewiduję w Polsce niechybną rewolucję.

Fermentu w Polsce, ze względu na stosunki gospodarcze i społeczne, nie brakło nawet w czasie największych powodzeń na frontach. Dziś ferment ten zyskuje moc i rozciągać się będzie tam, dokąd poprzednio w dobie zwycięstw nie miał dostępu. Rewolucja jest zazwyczaj rozpaczą zwyciężonych. Naród, który w kraju, zniszczonym już poprzednią wojną światową, przez dwa lata znowu znosił mękę, głód i krwawił w nadziei, że mu przecież te ofiary dadzą zwycięstwo i plon świetny na przyszłość, nagle traci wszystko, co w ciągu dwóch lat wojną zdobył i widzi się w obliczu klęski w obliczu jałowości poniesionych ofiar. To główna psychologiczna podstawa dla rewolucji, a przecież są w Polsce i inne podstawy dla niej.

14 lipca, rok 1920, środa
Papy jeszcze nie ma. Biedaczek prócz trudów podróży ma jeszcze trudności pieniężne w powrocie. Skarżył się bowiem przed generałem Brzozowskim, że nie ma pieniędzy i że sam nie wie, za co wróci. Dla pieniędzy też z pewnością ma zajechać do Zabiełły, który jest człowiekiem bogatym i synem cioteczno-rodzonego brata Papy. Choć kasa bohdaniska nie była w tych czasach wyposażona w gotówkę, jednak swoją drogą nie można zaprzeczyć, że Hektor jest winien co najmniej niedbalstwa, że pieniędzy Papie nie wysłał w czas. Bo oto teraz, gdy Hektor podsumował rachunki swego zarządu, okazało się, że jednak nie tylko że nie było w Bohdaniszkach deficytu, ale jeszcze znalazł się dochód i po potrąceniu 7200 rubli na rzecz zwrotu Komorowskim za kaucję, którą oni w roku zeszłym bolszewikom za Papę zapłacili, pozostaje nadwyżka dochodów w ilości paru tysięcy marek, które Hektor będzie musiał do kasy bohdaniskiej wpłacić. Gdyby więc Hektor był się obrachował wcześniej, to pieniądze dla Papy by się znalazły bez żadnego nawet awansu ze strony Kowaliszek, a zresztą gdyby nawet nie było nadwyżki, to ostatecznie Komorowscy mogli nie potrącać sobie tych 7200 rb., bo materialnie mają się dobrze i mogliby z łatwością zaczekać, a pilniejszym było potroszczenie się o biednego staruszka Papę. Komorowscy lekceważyli trochę tę rzecz, nie ze złej woli, ale raczej dlatego, że Hektor, obarczony zbyt wielu cudzymi interesami, załatwiając je gorączkowo i lubiąc gorączkę w interesach, zanadto po łebkach czasem poważne sprawy traktuje.
Byłem dziś w Abelach, chciałem dostać gazetkę, która wyszła w Kownie w poniedziałek, aby mieć świeże nowiny, ale były gazety dopiero sobotnie, które już znałem. W tym czasie chce się okropnie świeżych gazet i nowin.
Jestem przekonany, że jeżeli klęska Polaków w wojnie z bolszewikami się rozszerzy, jeżeli się teraz oprzeć nie zdołają, nie utrzymają Wilna i ostatniej linii, jeżeli bolszewicy dotrą do granic Polski właściwej i ewentualnie wkroczą do Galicji Wschodniej, to w Polsce wybuchnie rewolucja. Grunt gospodarczy i społeczny dla rewolucji jest w Polsce aż nadto przygotowany, ferment jest, a klęska pchnie nie tylko sam naród, ale bodaj i wojsko do wybuchu. Rewolucja zaś w Polsce, jeżeli wybuchnie, nie przejdzie spokojnie; przeciwnie – będzie pełna komplikacji. Jestem przekonany, że jeżeli wybuchnie, to Poznańskie odseparuje się od Polski i przeciwstawi się rewolucji. Rewolucja bowiem rodzi się nie tylko w pewnych warunkach przedmiotowych, ale także w pewnym usposobieniu, w pewnym nastroju psychicznym masy. Poznańskie jest poza sferą rewolucji; nie ma tam podłoża psychicznego dla niej, nie ma usposobienia rewolucyjnego. Jak Rosja, tak Polska, Litwa, Łotwa itd., a także Węgry, Austria, bodajże i Niemcy – są w sferze rewolucji. Różne są w tych krajach jej stadia i różny może być przebieg, w pewnych warunkach może się ona u niektórych narodów nie rozwinąć i, nie doszedłszy do kulminacyjnego punktu, przesilić się i zamrzeć, ale tymczasem w stosunkach i w usposobieniu masy fermentuje. W Polsce już ku końcowi roku zeszłego, gdy stan gospodarczy nie był jeszcze tak zły i gdy wojna dawała Polsce

świetne upajające sukcesy, sycące jej wielkie imperialistyczne zamiary, zdawało się, że rewolucja się już przesila. Ale zanim się przesiliła i zanim z psychiki wyparowała, przyszły nowe zjawiska, które ją forsownie podnieciły. Natomiast w Poznańskiem nie ma psychologii rewolucyjnej, przeciwnie – jest psychologia konserwatyzmu najczystszej krwi. Przewiduję więc w razie wybuchu rewolucji w Polsce oderwanie się Poznańskiego, przeciwstawienie się jednej Polski, rewolucyjnej – Polsce kontrrewolucyjnej i – wojnę domową.
W tej chwili był w Bohdaniszkach wójt gm. krewieńskiej, Baranowski. Wracał z Rakiszek, skąd przywiózł świeżą gazetę. Litwini po wycofaniu się Polaków zajęli szereg nowych miejscowości w kierunku Wilna (Malaty, Podbrzezie, Giedrojcie, Muśniki, Mejszagołę). Polacy są jeszcze w Wilnie, ale już je ewakuują. Najważniejsza nowina – że Litwa dokończyła rokowań pokojowych z Rosją i że pokój będzie niezwłocznie podpisany. Wskazuje to, że jednak bolszewicy nie uważali za wskazane wyzyskać swojej sytuacji po zwycięstwie nad Polską – przeciwko Litwie, co mogło ją pchnąć w objęcia Polski. Wskazuje to z drugiej strony, że Litwa ostatecznie poszła nie drogą specjalnych układów z Polską i nie z rąk Polski odbierze spadek jej dotychczasowej okupacji, jak jej to proponowała Polska w zeszłym tygodniu, lecz z tytułu swych praw państwowych usankcjonowanych obecnym pokojem z Rosją. Skoro więc Polacy nie utrzymają się w Wilnie, na co liczyć trudno, obejmą je nie bolszewicy, lecz Litwa. Jeżeli Rosja w obecnej chwili podpisuje traktat z Litwą, to znaczy, że przyznanego jej terytorium obecnie nie zagarnie.

15 lipca, rok 1920, czwartek
Żadnych nowin specjalnych – ani o wojnie, ani o Papie. Gazety nie miałem. Wczorajsza wiadomość o pokoju Litwy z Rosją uspokaja na razie co do losów Wilna. Niepodobna przypuścić, żeby się Litwa wyrzekła Wilna, więc z całą pewnością można twierdzić, że pokój przyznaje Wilno Litwie. Bez tego warunku delegacja litewska nie podpisałaby traktatu. A skoro Rosja w chwili obecnej, mając przewagę na wojnie po porażce polskiej, zdecydowała się jednak na zakończenie układów pokojowych z Litwą, to należy wnosić, że nie zamierza, przynajmniej w tej chwili, gwałcić terytorium, przyznanego Litwie. Przypuszczam, że i Grodno ustąpiła Rosja Litwie wraz z całą linią kolejową od Kałkun do Niemna, bo na to się Rosja poprzednio już zgadzała. Bądź co bądź, ciekaw jestem granicy, ustalonej w traktacie. Przypuszczam, że Litwa musiała się wyrzec powiatów lidzkiego i oszmiańskiego; skoro Rosja poprzednio odmawiała ich Litwie, to tym bardziej musiała nastawać na zrzeczenie się ich przez Litwę teraz, gdy sukcesy rosyjskie nad Polską dały bolszewikom wielką przewagę w stosunku do Litwinów. Mam też nadzieję, że jednak traktat pokojowy nie jest aliansem rosyjsko-litewskim przeciw Polsce i że rola Litwinów w stosunku do dalszego cofania się wojsk polskich ograniczy się, jak dotąd, do stopniowego zajmowania przyznanych im przez traktat terenów w miarę opróżniania ich przez wojsko polskie bez czynnego współdziałania zbrojnego z bolszewikami. W tym też kierunku, jak mi wiadomo z Kowna, zabiegają przedstawiciele Anglii i Francji w Kownie, łagodząc scysję polsko-litewską i skłaniając Polaków do pokojowego ustępowania opróżnianych terenów wraz z Wilnem Litwie.
Kto wie jednak, czy te porażki Polski, zwiastujące poniekąd zbliżanie się momentu formalnego pokoju, nie staną się początkiem uspokojenia rzeczywistego i ustatkowania się jakiejś równowagi. Kto wie, czy nie zbliżamy się dopiero do nowego wybuchu spazmów rewolucji i czy wciąż jeszcze nie jesteśmy bliżsi początku, niż końca katastrofy światowej. O obawach rewolucji w Polsce pisałem. W Rosji, gdzie popularna wojna z Polską o Ukrainę skojarzyła bolszewizm Lenina i Trockiego z

imperialistycznym nacjonalizmem Brusiłowa, zwycięstwo może wytworzyć w rewolucji prądy, których rozwój i skutki okażą się dopiero po pewnym czasie. Jeżeli w Polsce wybuchnie rewolucja, będzie to rzuceniem jej zarzewia w głąb Europy Środkowej. Położenie Litwy, okolonej ze wschodu i południa pożarem rewolucji, nie budziłoby w takim razie wielkich nadziei na spokój zewnętrzny. Moc traktatów pokojowych wobec wielkich pożarów społecznych ginie. Tylko przesilenie w bolszewizmie na rzecz stopniowej idei konstrukcyjnej i reakcyjnej mogłoby dać gwarancję traktatowi pokojowemu. Ale jeżeli przesileniu temu służyć będzie odrodzenie idei wielkomocarstwowej rosyjskiej, której służy Brusiłow z plejadą generałów, to Litwie i państewkom bałtyckim nie przyniesie ono gwarancji nietykalności traktatowej. Jeżeli zaś Rosja pozostanie bolszewicką, taką, jaką jest, to już samo jej sąsiedztwo bezpośrednie, jak również poczucie, że nietykalność Litwy i jej rozwój wewnętrzny zależy właściwie od łaski Rosji, od uszanowania przez bolszewików jej samodzielnego i w pojęciu bolszewików – burżuazyjnego rozwoju, będzie działało w kraju niezwykle podniecająco na rzecz rewolucji. Będzie to rozzuchwalało czynniki przewrotu i natomiast pętało i mroziło strachem chwiejne i tchórzliwe połowiczne czynniki burżuazji i jej rządu. Jeżeli zaś jeszcze z drugiej strony buchnie rewolucyjnym pożarem Polska, to równowaga w Litwie chyba się nie ostoi. Wytworzy się w niej stan, który przyjęto nazywać „kiereńszczyzną" i który jest przedsionkiem istotnej rewolucji ostrego przewrotu. Już dziś rządy w Litwie tchną kiereńszczyzną, a najbliższa przyszłość może w tym kierunku oddziałać intensywnie. W każdym razie, zbliżamy się, jak się zdaje, do momentu przełomowego: albo zwrot na prawo, albo coraz szybszy bieg w lewo. Jeżeli wypadki zewnętrzne w dwóch najbliższych sąsiednich krajach pójdą drogami rewolucji, to Litwa bez formalnej inwazji bolszewickiej może sama, drogą własnej rewolucji wewnętrznej spaść, jak dojrzały owoc, na łono bolszewizmu. *Qui vivra – verra*!

16 lipca, rok 1920, piątek
Ostatni dzień w Bohdaniszkach. Papa nie przyjeżdża i nic o Nim nie słychać. Zapewne ugrzązł w Wilnie, skąd nie mógł pomimo przepustek wyjechać w chwili ogólnego popłochu i ewakuacji Wilna przez Polaków. Obawiam się, żeby ktoś tymczasem nie namówił Papy do ucieczki do Polski, odradzając powrót do Bohdaniszek, zagrożonych rzekomo inwazją bolszewików. Wątpię tylko, żeby ktoś się znalazł tam pełny poświęcenia, aby zechciał biednego Papę z Jego kaprysami i krzykiem brać na siebie i jeszcze go utrzymać. Nie mogę już jednak czekać dłużej.
Spisałem rachunki dla Papy, poczyniłem notatki, uporządkowałem różne papiery z czasów mojego zarządu, wieczorem spakowałem moje rzeczy i pożegnałem Bohdaniszki – dom, ogród i dwór. Obszedłem na pożegnanie wszystkie miejsca pamiątkowe, do których przywiązane są najmilsze wspomnienia dziecinne. Przywiązany jestem do Bohdaniszek; nie tyle dla fortuny, ile dla wspomnień osobistych, uczuciem, nie – interesem. A kto wie, czy przewrót społeczny bądź w postaci reformy agrarnej chłopskiej, bądź w postaci rewolucji socjalistycznej lub komunistycznej nie pozbawi nas tych drogich sercu pamiątek. Ba, jest to pamiątką osobistą tylko dla mnie, bo już dla córki mojej, która Bohdaniszek nie zna, żadnego szczególnego sentymentu do Bohdaniszek nie ma.
Zdaje się jednak, że nawet Jakszukowie z żalem mię żegnają, szczególnie Jakszukowa. Synek ich, 10-letni Alfons (Fonsio), mój towarzysz codzienny kąpieli, płakał. Jan Jodeło z żoną, Emilką Tumenówną z domu, Mamy chrzestną córką, ofiarowali mi w prezencie kurczę na drogę.
Po zachodzie słońca odjechałem na kolej do Rakiszek. Przenocuję na stacji.

Niepokoi mię los sióstr moich i ich dzieci. I Kotuńka Pruszanowska, i Elwira Mieczkowska z rodzinami swymi – są związane ściśle z losem Polski. Cała nadzieja Kotuni powrotu do Bielcza była związana jedynie z powodzeniem imperializmu polskiego. Oczywiście nie ma teraz mowy o orężu polskim za Berezyną. Panowanie Rosji, a więc bolszewików, jest tam niewzruszone. Córki Kotuni miały posady w zajętej przez Polskę części Litwy, syn – w wojsku polskim, zięć Tanajewski – także Ezechiel – ma posadę na służbie polskiej na Litwie. Zapewne jakoś urządzą się na posadach w Polsce, o ile rewolucja w samej Polsce ich jeszcze nie rozproszy, ale z fortuny magnackiej i z dumy wielkopańskiej spadli do poziomu chudopachołków, a teraz tracić muszą ostatnie, co im zostało – nadzieję. Elwira traci Wiązowiec, zostaje na łasce ciężkiej Stefana! Przypuszczam, że uciekli do Polski, bo gdyby zostali w Obodowcach, los ich byłby zagrożony: Stefana tam ludzie nie lubili. Stefan da sobie radę w życiu, ale Elwira traci wobec niego swoje atuty materialne, swoją niezależność. Marynia była najmniej z Polską związana i gdyby mogła mieć pewność, że do Wilna i Landwarowa przyjdą nie bolszewicy, lecz Litwini, byłaby się zapewne pozostała.
Ale się sama dobrowolnie w ostatnich czasach związała z Polską więzami serca, pokochawszy swego obecnego narzeczonego, majora Trześniowskiego. Wątpię, aby go porzuciła, toteż chyba uciekła także. Być może – wybrała się do Łomży do Kotuni, pozostawiając mieszkanie w Wilnie i ogrody w Landwarowie na opiece znowu Anusi Dyrżysówny.[35] A może wzięła się Marynia na odwagę i przetrwała ucieczkę Polaków, ale chyba nie inaczej, jak z myślą powrotu później do majora. Jej córka, Ewa, wyszła za mąż także za oficera polskiego. Henryś Wołłowicz[36] i nawet Stefuś Römer, syn Maryni, są w wojsku polskim.

17 lipca, rok 1920, sobota
Przenocowałem w Rakiszkach na stacji w pokoiku za bufetem. O wschodzie słońca wyjechałem z Rakiszek, o zachodzie – byłem w Kownie.
Już od Rakiszek zaczęły mię dochodzić wieści, dotyczące Wilna. Aż do Radziwiliszek były to tylko pogłoski o różnych wersjach: jedne podawały, że do Wilna wkroczyło wojsko litewskie, inne – że zajęli je bolszewicy, którzy po odegnaniu Polaków dalej mają je ustąpić na rzecz Litwinów. W Radziwiliszkach spotkałem wracającego z Kowna Hektora Komorowskiego, od którego otrzymałem numer „Lietuvy”[37], a następnie w Kownie kupiłem sobie jeszcze świeższy numer. A więc Polacy, naciskani przez bolszewików z różnych stron, wycofali się z Wilna, nie broniąc miasta. Sądzę, że poniekąd wpłynęli na to i przedstawiciele Anglii i Francji, aby umożliwić zajęcie Wilna przez Litwinów przed wkroczeniem bolszewików. Istotnie pierwsi wkroczyli do Wilna Litwini i formalnie objęli je w posiadanie. Wkroczyła tam wprawdzie niebawem i kawaleria bolszewicka, która nawet demonstracyjnie bratała się na ulicach Wilna z wojskiem litewskim, ale bolszewicy uznają przynależność Wilna do Litwy zgodnie z podpisanym traktatem pokojowym i są na terytorium Litwy li tylko w charakterze walczących z Polakami, faktycznie na tych ziemiach ze swym wojskiem przebywającymi. Traktat pokojowy już podpisany i delegacja pokojowa litewska wróciła z Moskwy. Traktat przyznaje Litwie Wilno, Grodno, powiaty oszmiański i lidzki. Granica idzie od Dźwiny, gdzie się kończy semigalski cypel Kurlandii, na jezioro Dryświaty i Narocz, przechodzi przez stację Mołodeczno (!), idzie rzeczką Berezyną Niemeńską do Niemna i Niemnem do ujścia rzeki Świsłoczy. Takie są granice formalne. W nawiasach zaznaczę, że granice tego traktatu biją mię po kieszeni

[35] Ania Dyrżysóna– Onutė Diržytė – pomoc domowa M. Römera
[36] Henryk Wołłowicz, syn Józefa Wołłowicza i Heleny z d. Römer.
[37] „Lietuva” – dziennik, oficjalny organ rządowy, wychodził w Kownie I.1919- 31.I.1928 r.

podwójnie, bo *primo* tracę mój udział w Wiązowcu, który pozostaje w ręku bolszewików, i jednocześnie *secundo* – córka moja traci 6000 dziesięcin ziemi w Łunnie, która, jak się zdaje, pozostaje również po stronie bolszewickiej. Ale – cóż znaczą kwestie fortun osobistych!
Faktycznie Litwini objęli już całą linię kolejową od Turmontu do Wilna i za Wilnem w kierunku Grodna do Marcinkańców włącznie, a w kierunku Lidy do Sorok-Tatarów. Polska przegrywa katastrofalnie. Wojska polskie cofają się na Grodno, ale jednocześnie są jeszcze w Lidzie, pod Baranowiczami, pod Łunińcem, a na południu bolszewicy doszli do Zbrucza, to znaczy stoją na granicy Galicji. Trudno przewidzieć, gdzie się zdołają zatrzymać Polacy, jeżeli nie nastąpi przerwa w działaniach wojennych bolszewików. Każdy punkt oparcia jest chwiejny, gdy nie stanowi jednolitej linii i gdy nieprzyjaciel może uderzać z różnych flanek. Główną klęską Polski jest jednak nie porażka wojenna, ale jej własna polityka na „ziemiach wschodnich". Mści się na Polakach nie tylko ich imperializm mocarstwowy, ale także zwłaszcza to, że swoją polityką wsteczną, opierającą się na obszarnikach i przeciwstawiającą restytucję starego układu społecznego żywym prądom ludowym, nie zjednali oni nigdzie ludów, nad którymi panowali.
Dziś lud wszędzie na Ukrainie i na Białej Rusi utożsamia Polskę z „rządami pańskimi" i dlatego nienawidzi jej i, pragnąc jej zguby, wita każdego, kto Polskę wygania. Istotną podstawą mocy jest nie przewaga militarna, ale poparcie mas ludowych. Można przegrać lub wygrać wojnę na polach bitew, ale przeciwko ludowi panować dziś trwale niepodobna. Dlatego też klęska Polski jest tak beznadziejna. Polska przegrała wojnę na wschodzie dawno i przegrała ją kapitalnie nie w wielkiej ofensywie bolszewickiej, ale w sercach ludu. Winna dziś o tym dobrze pamiętać Litwa, przyjmująca do swej Rzeczpospolitej ludowej takie terytoria z ogromną przewagą ludności spolonizowanej lub polskiej, jak Wilno, Grodno, powiaty oszmiański, lidzki, grodzieński, częściowo wileński i święciański. Litwa musi je zjednać, musi być dla nich taką, by w niej poczuli się oni współgospodarzami, nie zaś obywatelami, którzy dla swego języka i ciążeń kulturalno-narodowych zaliczAni będą do II kategorii w państwie.
Litwa wobec klęski polskiej i ofensywy bolszewickiej na jej terytoriach traktatowych, okupowanych dotąd przez Polaków, jest pozornie neutralna. W istocie jednak zwraca się ona przeciwko Polsce. O tym – jutro.

18 lipca, rok 1920, niedziela
Dzień dzisiejszy poświęciłem głównie sprawie mieszkaniowej. Jeszcze za ostatniej bytności mojej w Kownie, gdym się żegnał z Wąsowiczem, który już sam mówił, że prawdopodobnie do Kowna nie wróci więcej, przyszło mi na myśl wziąć po nim mieszkanie. Są to dwa pokoje, raczej jeden pokój z przedpokojem, odnajmowane od państwa Klimaszewskich. Punkt jest doskonały, ulica Dowkonta, o kilka kroków od Alei Wolności. Uprzedziłem już wtedy panią Klimaszewską o moim zamiarze. Dziś miałem jeszcze do zastanowienia się nad innym projektem. Trafiała mi się okazja wynajęcia pokoju na szosie wiłkomierskiej, het – daleko, aż za domem towarzystwa „Saulė"[38], górującym nad całym miastem. Tam było o wiele taniej, ale sam pokój niezbyt mi się podobał, pomimo że domek stoi w dużym ogrodzie, jak na wsi, w każdym razie – za daleko, szczególnie że pod górę. Ostatecznie więc nająłem pokój po Wąsowiczu u Klimaszewskich za 350 marek miesięcznie. Cena bardzo wielka, ale w Kownie o mieszkania bardzo trudno. Nie jestem jednak tym mieszkaniem zachwycony.

[38] „Saulė"(Lietuvių švietimo draugija Saulė) – litewskie katolickie stowarzyszenie oświatowe w guberni kowieńskiej powstałe 7.VIII.1906 i działające z przerwami do upadku Litwy niepodległej. Posiadało sieć własnych szkół, wydawnictwa.

Umeblowanie niezbyt wygodne i pokój zbyt ściśle się wiąże z mieszkaniem gospodarzy i położony jest na parterze (domek parterowy), więc czuję się trochę jak w klatce. Zresztą zaczynam mieć nadzieję, że niedługo będę w Kownie i że uda mi się przenieść co najmniej na równe stanowisko w Wilnie. Gdy już Litwini ustalą się w Wilnie jako w stolicy i przenosić tam zaczną swoje instytucje państwowe, Kowno stanie się pospolitą małą dziurą prowincjonalną. Wilno będzie o wiele ciekawsze, tym bardziej, że jest mi ono znajome, jest moim miastem; a nawet i to ma swój walor, że w Wilnie mam moje meble.
Prostuję moją informację wczorajszą, jakoby pierwsi weszli do Wilna Litwini. Jak się dowiaduję dziś z „Echa Litwy"[39], wydanego w Wilnie pod datą 16 lipca, pierwsze wkroczyły do Wilna oddziały bolszewickie, Litwini zaś o kilka godzin później.
Zwraca moją uwagę fakt, że wszędzie w zwycięstwach bolszewickich nad Polakami działa ze strony bolszewickiej kawaleria. Kawaleria Budionnego na Ukrainie spowodowała wycofanie się Polaków z Kijowa i zapoczątkowanie odwrotu polskiego z Ukrainy. Słyszałem od Wąsowicza, że cios, zadany przez bolszewików Polakom na północy, zawdzięczają oni również przewadze kawalerii. Do Wilna wkroczyła bolszewicka kawaleria. Co to znaczy? Wszak regularna armia, oparta na artylerii i piechocie, nie da się złamać przez kawalerię, która w pewnych momentach spełniać może tylko rolę pomocniczą! Czyżby prawdą było to, co dziś z paru stron tu słyszałem, że „zwycięstwa" swoje bolszewicy zawdzięczają nie tyle własnej sile i umiejętności, ile dezorganizacji i zupełnej bierności armii polskiej, która po prostu przestała być zdolna do oporu?! Opowiadają ludzie – dotąd nie spotkałem jeszcze żadnego świadka naocznego – że odwrót polski odbywał się w strasznym nieładzie, rozprzężeniu i panice. Zdaje się to potwierdzać ta okoliczność, że drobne oddziały litewskie nie tylko zmuszały do odwrotu, ale nawet rozbrajały i brały do niewoli całe brygady polskie, które, cofając się w różnych kierunkach, trafiały na terytorium, zajęte już przez Litwinów. Sam wczoraj widziałem na dworcu kolejowym cały olbrzymi tłum jeńców polskich, stojący opodal. Są też wersje inne, które przypisują porażkę polską brakowi amunicji. Są wreszcie i takie wersje, że to koalicja – w szczególności Anglia – zmusiła Polskę do cofnięcia się na linię właściwych polskich granic etnograficznych. Ale odwrót polski, sądząc z tego, co się o nim wie, nie wyłączając wrażenia, jakie odniosłem ze słów Wąsowicza, zbyt zakrawa na porażkę i panikę, aby go uważać za cofnięcie się planowane.
Bardzo ciekaw jestem kroków, jakie przedsięwezmą obecnie Litwini w stosunku do ludności na uzyskanych świeżo terenach, zwłaszcza w stosunku do narodowo-językowych cech tej ludności, która w bardzo znacznej liczbie uważa się za polską. Mówią, że najpoważniejszą znowu kandydaturą na prezydenta państwa jest kandydatura Biržiški Michała, nie zaś Naruszewicza[40], prezesa delegacji pokojowej z Rosją. Byłby to dobry znak dla sprawy zjednoczenia Polaków litewskich z Wileńszczyzny na rzecz Litwy. Wysuwa się (nie wiem zresztą, czy się wysuwa w projektach rządowych lub sejmowych) – sprawa osobnego ministerium dla spraw polskich, jakie są dla spraw żydowskich i białoruskich.

19 lipca, rok 1920, poniedziałek

---

[39] „Echo Litwy" – dziennik wileńskich Litwinów wychodzący w okresie 12.XII.1919-23.VII.1920. Redaktorem i wydawcą był M. Biržiška. Zamknięty przez polską administrację z przyczyn politycznych.
[40] (Naruszewicz)Tadas Norus-Naruševičius (17.XI.1871- 16.IX.1927) – inżynier, dyplomata, litewski działacz polityczny, w latach 1923-1924 minister komunikacji RL.

Złożyłem dziś wizyty prezesowi Sądu Okręgowego w Kownie, p. Mačysowi[41] i wszystkim członkom tegoż sądu (sędziom okręgowym). Żadnego jednak z nich w domu nie zastałem. Jutro udam się już urzędowo do sądu do p. prezesa Mačysa, zgłaszając się do objęcia moich czynności służbowych.
Wieści są dziś ze stosunków wileńskich pesymistyczne. Są to wieści nie z gazet, które milczą jeszcze, ale z ust osób, które przyjechały z Wilna. W gazetach jest tylko jedna nowina wojenna, która prywatnie była już wiadoma od wczoraj – że bolszewicy zajęli Grodno. Odwrót polski toczy się w tempie, przypominającym jakiś gwałtowny spadek z wysokiej góry w przepaść. Jeżeli nie dojdzie rychło do zawieszania broni i rozpoczęcia formalnej likwidacji wojny, to wnet bolszewicy będą na terytorium Kongresówki i, jeżeli dalej rzeczy pójdą tymże trybem, to za tydzień lub dni 10 mogą być we Lwowie, a nawet – w Warszawie! Koalicja z Anglią na czele zwróciła się przed kilku dniami do obydwóch stron wojujących z propozycją niezwłocznego zawieszenia broni na zasadzie zatrzymania się Polaków na linii Bugu i Zbrucza i zwołania konferencji państw zainteresowanych w Londynie dla ustalenia granic wzajemnych i pokoju. W konferencji tej miałaby uczestniczyć i Litwa dla ustalenia jej granic z Polską i – co charakterystyczniejsze – byłoby dopuszczone przedstawicielstwo Galicji Wschodniej, która przez to samo byłaby traktowana jako jednostka państwowa. Anglia wraca do swojej pierwotnej koncepcji granic polskich na wschodzie, zamkniętych linią Sanu i Bugu. Jak donoszą dzisiejsze gazety, Polska w zasadzie przyjmuje zawieszenie broni i proponowaną konferencję w Londynie, Rosja – przyjmuje w zasadzie, proponując jeno Brześć Litewski zamiast Londynu.
Wieści jednak, dotyczące Wilna i zakusów bolszewickich, brzmią dziś bardzo pesymistycznie. Wiem o tym od Michała Biržiški, który bawi od paru dni w Kownie i dziś wraca do Wilna, a również pośrednio wiem to, co świeżo przywieźli posłowie sejmowi esdecy Kairys, Pożełło[42] i Syrutowicz[43], którzy specjalnie jeździli do Wilna i dziś wrócili. Otóż wbrew optymistycznym wersjom ostatnich dni, które w bardzo różowym świetle przedstawiały „tymczasową" gościnę bolszewików w Wilnie, mających się rzekomo wnet wynieść, bolszewicy widocznie wcale dobrze się w Wilnie czują. Nic nie wskazuje, aby zamierzali rychło się wynosić. Przeciwnie – sadowią się jakoś na dobre, zagospodarowują się, o ile rządy bolszewickie mogą mieć coś wspólnego z gospodarką; powstał już w Wilnie tak zwany „Rewkom" (komitet rewolucyjny, jedna z klasycznych instytucji bolszewickich, powstała lokalna rada delegatów robotniczych („sowiet"). Do Wilna przyjechali już towarzysze Kapsukas-Mickiewicz[44] i Aleksa-Anagrieitis, wodzowie komunistów litewskich, zeszłoroczni fundatorzy Litwy „sowieckiej" w Wilnie („Lit-Bieł"), i oczywiście zabierają się znów do swego dzieła. Bolszewicy siedzą niby tymczasowo, ze względów strategicznych, ale dają wyrastać pod swymi skrzydłami swej litewskiej progeniturze. Wszak pozornie to nie bolszewicy rosyjscy, jeno sami Litwini (komuniści litewscy) zakładają sobie swobodnie w Wilnie zrąb organizacji. Bolszewicy zawarli pokój z Litwą – to i cóż z tego? Czy ma to znaczyć, że powinni, siedząc czasowo w Wilnie, tłumić w imię Litwy

[41] Vladas Mačys (I.IX. 1867-12.II.1936) – prawnik, m.in. przewodniczący Sądu Okręgowego w Kownie. W latach 1923-1934 prof. prawa cywilnego i procesu cywilnego na uniwersytecie w Kownie.
[42] (Pożełło) Vladas Požėla (9.IV.1879-21.IX.1960) – prawnik, działacz socjaldemokratyczny, poseł w sejmie ; w 1926r. minister spraw wewnętrznych.
[43] (Syrutowicz) Vladas Sirutavičius (5.IV.1877-?) – inżynier, przedsiębiorca, polityk socjaldemokratyczny. Od 1944r. na emigracji.
[44] Kapsukas-[Mickiewicz]Mickevičius Vincas – Kapsukas (1880-1935), działacz lit. ruchu odrodzeniowego, następnie komunistycznego. Bliski współpracownik Lenina. Komisarz d.s. Litwy. 20.II.1919 mianowany premierem tzw. Lit-Bielu. Od marca 1921 przebywał aż do śmierci w Moskwie, pracując w Centralnym Biurze KPL.

burżuazyjnej zawiązki litewsko-komunistyczne, powstające „samorzutnie”? Któż by od komunistów rosyjskich mógł takiej ofiary dla burżuazyjnej Litwy wymagać! A więc siedzą, a tymczasem pod ich skrzydłami lęgnie się twór Litwy komunistycznej, to znaczy bolszewickiej. Położenie Litwinów wobec bolszewików jest, jak je określa minister Skipitis[45] – tragiczne. Nie tylko w Wilnie, ale we wszystkich miejscowościach, opuszczonych przez Polaków, gdzie Litwini stykają się z bolszewikami, sytuacja staje się bez wyjścia: Litwini próbują organizować samorząd, milicję, a bolszewicy równolegle zakładają rewkomy i inne instytucje swoje. Współżycie tych różnych instytucji, zbudowanych na różnych zasadach, jest niemożliwe. Muszą ustąpić albo Litwini, albo bolszewicy. Bolszewicy tymczasem ustępować się nie kwapią. Tymczasem jeszcze toczą się rokowania, do Wilna ma być wysłany pełnomocnik rządu litewskiego (wymieniają byłego ministra sprawiedliwości Noreikę[46] na miejsce Biržiški, który się zrzekł tej roli), ale na ogół panuje sceptycyzm u Litwinów: zaczyna powstawać myśl o konieczności linii demarkacyjnej z bolszewikami wewnątrz Litwy jako o jedynym wyjściu.

20 lipca, rok 1920, wtorek
Chciałem rozpocząć od faktycznego przedstawienia się prezesowi sądu Mačysowi i porozumienia się z nim co do rozpoczęcia urzędowania przeze mnie. Przez cały dzień łapałem Mačysa, ale na próżno. Byłem dwa razy w sądzie, szukając go, i trzy razy w mieszkaniu, ale nie zostałem ani razu. Wreszcie dowiedziałem się, że dziś wieczorem wyjechał z Kowna. Jutro więc udam się już wprost do sądu i zgłoszę się do jego zastępcy. Trzeba się już brać do pracy.
Z Wilna szczególnych nowych wieści nie ma. Sytuacja wciąż jest niewyjaśniona. Litwini zdają sobie sprawę, że kondominium z bolszewikami jest niemożliwe i że albo bolszewicy, albo władze litewskie się ostoją, zależnie od tego, kto opanuje miasto i prędzej zorganizuje zarząd. Coraz goręcej nawołuje się w Kownie do tego, by dołożyć wszystkich sił, aby czym prędzej zorganizować władzę w Wilnie. Moment jest bardzo ważny. Nastrój ludności w Wilnie jest zdecydowanie antybolszewicki i przychylny dla Litwinów; byłby on zresztą w tej chwili przychylny dla każdego, kto tylko mógłby dać Wilnu ostoję przeciwko ustaleniu rządów bolszewickich. Tylko garstka młokosów żydowskich sprzyja bolszewikom i garnie się do nich – poza tym nikt. Nawet ogół Żydów, nie wyłączając robotników żydowskich, jest wrogo do bolszewików usposobiony, a co do ludności chrześcijańskiej – to jest ona jednolicie antybolszewicka. Odbył się w tych dniach w Wilnie wielki wiec kolejarzy, na którym usposobienie było tak dalece antybolszewickie, że mówcy bolszewiccy, którzy przybyli i gotowali się do wystąpienia, nie odważyli się zabrać głosu. W Kownie dominuje przekonanie, że nie należy dawać się uprzedzić bolszewikom i należy za wszelką cenę zorganizować cały zarząd litewski państwowy w Wilnie, choćby równolegle z bolszewikami; trzeba działać energicznie i nie opuszczać rąk, nie zrażać się trudnościami, licząc na przychylne poparcie ludności. Tymczasem bolszewicy nie zasypiają gruszek w popiele i organizują swoje instytucje. Dają się słyszeć tutaj zarzuty względem rządu litewskiego, że nie dość energicznie działa i grzeszy w sprawie Wilna brakiem sprężystości. Każdy dzień jest drogi, bo każdy stracony dzień daje bolszewikom możność głębszego ugruntowania swoich instytucji i jednocześnie wpływu demoralizującego na ludność wileńską, która, widząc brak sprężystości ze strony litewskiej, będzie się zniechęcać i

---

[45] Rapolas Skipitis (31.I.1887-23.II.1976) – prawnik, 1920-1922 minister spraw wewnętrznych, poseł w Sejmie z ramienia ludowców i rolników, od 1940 r. na emigracji.
[46] Liudas Noreika (19.VIII.1884 – 30.V.1928) – minister sprawiedliwości w III-V gabinetach rządu RL (1919-1920).

tracić wiarę do władz litewskich, niezdolnych do odegrania roli twórczej. Gdyby Litwini w tym szczególnie dla nich dodatnim momencie zawiedli nadzieje ludności, garnącej się do nich, byłby to błąd, któryby miał skutki bardzo ujemne. Mogą Litwini nie zdołać zapanować nad sytuacją, ale powinni zrobić wszystko, co jest w ich mocy, i zwłaszcza działać sprężyście i z całą stanowczością, biorąc rolę gospodarzy prawowitych.
Litwini w pierwszych dniach byli ogromnie rozżaleni na Polaków za to, że ci, opuszczając Wilno, nie oddali go zawczasu w ręce litewskie. Generał polski, który był przyjechał do Kowna dla zakomunikowania rozkazu Piłsudskiego o przekazaniu Wilna Litwinom, uczynił to w chwili, gdy już, jak się potem okazało, bolszewicy byli w Wilnie. Litwini posądzają, że byłe polskie władze wojskowe wileńskie umyślnie wstrzymały wykonanie rozkazu Piłsudskiego, aby Litwinów nie wpuścić do Wilna przed bolszewikami. Istotnie – albo Piłsudski wydał rozkaz umyślnie za późno i obłudnie, udając przed Koalicją, że w myśl jej woli ustępuje Wilno Litwinom, gdy w istocie wszystko już było ukartowane do opróżnienia miasta na łaskę bolszewików, albo podwładni Piłsudskiego źle spełnili jego rozkaz. Polacy Wilna nie bronili, wycofali się bez bitwy, a więc mieli możność wpuszczenia do Wilna Litwinów przed bolszewikami. Nie można byłoby winić Polaków, gdyby bolszewicy ich sforsowali i przemocą z Wilna wyparli, bo tego z góry uprzedzić niepodobna; ale też tego nie było. Po wtóre, skoro już mieli oddać Wilno Litwinom, powinni byli uczynić wszystko, by im ułatwić wejście do miasta, gdy tymczasem w rzeczywistości wojska litewskie napotykały na czynny opór wojsk polskich i musiały z nimi staczać bitwy, by się dostać – zresztą z opóźnieniem – do udostępnionego im Wilna. Żal Litwinów jest zrozumiały.
Rola Litwinów byłaby o wiele łatwiejsza i stanowisko ich w Wilnie mocniejsza, gdyby oni byli pierwsi przed bolszewikami weszli do miasta. W ostatnich dniach Litwini są tak przejęci kwestią stosunku do bolszewików w Wilnie, że w ich nastrojach względem Polski daje się wyczuć wielkie złagodzenie poprzedniego gniewu i nienawiści.

21 lipca, rok 1920, środa
Byłem w sądzie, zawarłem znajomość z kolegami-sędziami i porozumiałem się z nimi co do rozpoczęcia moich czynności od jutra. Jutro sędzia Piotrowski[47], który zastępuje nieobecnego prezesa, ma mnie poinformować co do wszystkich niezbędnych szczegółów techniki funkcjonowania sądu, tym bardziej, że na jakiś tydzień pozostanę w sądzie sam jeden, a więc będę musiał od razu pełnić obowiązki prezesa, bo sędzia Piotrowski korzysta faktycznie z urlopu wakacyjnego, a trzej pozostali sędziowie jadą na sesję wyjazdową do Szawel, która trwać będzie do dnia 1 sierpnia.
Wczoraj Łukomski[48], którego spotkałem w Kownie, zaprosił mię na posiedzenie tzw. Biura Informacyjnego przy sejmowej polskiej frakcji poselskiej. Co do samego Łukomskiego, to, jak się spostrzegam, myliłem się, uważając go za jednego z najbliższych mi ideowo ludzi w sprawie pojmowania Sprawy Litewskiej i programu stanowiska obywatelskiego i stosunków polsko-litewskich. Przekonanie to wyniosłem z zeszłorocznej krótkiej, ale bardzo ścisłej współpracy z nim w przedmiocie mojej misji kwietniowej w Kownie, a również na zasadzie jego udziału w wydawanych w końcu roku 1918 w Wilnie „Nowinach Litewskich”[49]. Programowo stoi on dziś w sprawie litewskiej na stanowisku Piłsudskiego (Wielka Litwa historyczna ze stolicą w Wilnie w

[47] [Piotrowski]Petrauskas Simonas (1877-1941), prawnik, od 1919 wiceprezes, a od 21 .X.1921 prezes Sądu Okręgowego w Kownie. Od 1.X.1926 sędzia Trybunału Najwyższego Litwy.
[48] Kazimierz Łukomski – poseł na Sejm RL, działacz polski na Litwie.
[49] „Nowiny Litewskie” – wydawane pod koniec 1918 r. w Wilnie przez K. Łukomskiego i J. Dowiatta [J.Daujotas].

związku z Polską), a nawet co do metody był zwolennikiem niefortunnego programu interwencji, który tyle zaszkodził w przedmiocie stosunków polsko-litewskich i wewnętrznych krajowych. W zakresie zaś społecznym Łukomski jest jednym z czynnych działaczy ziemiańskiej organizacji „Prodrolu”[50], która faktycznie łączy cechy organizacji zawodowej z cechami organizacji polityczno-klasowej. Ale podoba mi się niemniej w Łukomskim to, że jest szczerym, nie zaciekłym, umiejącym analizować bezstronnie inne stanowiska i jednak jest szczerze przywiązanym do sprawy państwowości Litwy, choćby pojmował jej realizację w kształtach i metodach innych, niż te, które, moim zdaniem, płynąć powinny ze stanowiska obywatelskiego.
Biuro Informacyjne[51], na którego zebraniu byłem, zostało wyłonione samorzutnie z byłego Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego do Sejmu i pochłonęło ten Komitet. Zadaniem jego jest być instytucją nie pomocniczą tylko, jak by się z jego nazwy zdawać mogło, przy Polskiej Frakcji Poselskiej w Sejmie, ale instytucją kierowniczą i poniekąd kontrolującą działalność posłów polskich. Ta rola jest poniekąd uzurpacją, bo Komitet Wyborczy, z którego powstało genetycznie Biuro Informacyjne, powstał bez bezpośredniego kontaktu z masą wyborców polskich, drogą po prostu samorzutnej inicjatywy kilku jednostek z młodym Janczewskim[52] na czele i rola jego polegała na ujęciu w ręce techniki kampanii wyborczej w polskim odłamie ludności oraz na wyznaczeniu kandydatów. Gdy posłowie zostali wybrani, to *eo ipso* oni powinniby mieć większy autorytet od Komitetu, bo mandat zaufania im bezpośrednio, nie zaś Komitetowi, został przez ludność polską udzielony. Ale Komitet, wychodząc widocznie z założenia, że wyborcy, głosując na kandydatów, wyznaczonych przez Komitet, przez to samo dali wotum zaufania Komitetowi, stanął w postaci Biura ponad posłami, a sami posłowie dobrowolnie podporządkowali mu się, składając oświadczenie, że w razie różnicy zasadniczej zdań między posłami lub posłem a Biurem oni, posłowie, zrzekną się raczej mandatu na rzecz następnego z kolei kandydata listy, niż będą w Sejmie prowadzić akcję wbrew opinii Biura. Faktem jednak jest, że podstawienie Biura na miejsce posłów w roli decydującej nie jest zupełnie poprawne wobec wyborców: Biuro bowiem składa się z samych ziemian (Janczewski, Wielhorski[53], prezes „Prodrolu” Lutyk[54], młody Konstanty Plater[55] z Kurtowian, Łukomski i jakiś ziemianin spod Wierzbołowa), podczas gdy na kandydatów na posłów dobierano umyślnie ludzi różnych stanów i zawodów predominacją elementu nie ziemiańskiego, aby dać przedstawicielstwu polskiemu pozór bardziej „demokratyczny”. Zakulisowo natomiast kierują przedstawicielstwem ziemianie, chociaż nie przeczę, że dobór tych ziemian stanowi kwiat kulturalny i jednak względnie obywatelski, to znaczy przynajmniej nie endecki. Na zebraniu wczorajszym chodziło o moją współpracę w Biurze. Z pogadanki dyskusyjnej ujawniło się, że stanowiska nasze dość znacznie się

---

[50] „Prodrol” – założony 18 lutego 1920 r. w Kownie jako centralna organizacja zrzeszająca posiadaczy ziemskich z Litwy – Związek Producentów Rolnych. Szerzej patrz, K. Buchowski, *Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918 – 1940,* Białystok 1999. Michał Römer pisząc *Dziennik* na gorąco nie uniknął podania omyłkowych danych.
[51] Polskie Biuro Informacyjne powstało w miejsce Biura Poselskiego po wyborach do Sejmu Ustawodawczego w kwietniu 1920 r. W jego skład weszli wyłącznie przedstawiciele ziemian: Wiktor Budzyński, Kazimierz Janczewski, Bolsław Lutyk, Konstanty Okulicz, Konstanty Plater-Zyberk, Władysław Wielhorski i Eugeniusz Römer.
[52] Kazimierz Janczewski (1879-1959), ziemianin, czołowy działacz polskiej mniejszości w RL. Po wojnie osiadł w Polsce.
[53] Władysław Wielhorski(1885-?) ur. na Żytomierszczyźnie, 1919 organizator i kier. POW na Litwie, red. „Dnia Kowieńskiego”, dyrektor Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie.
[54] Pierwszym prezesem wybrano Zygmunta Szwoynickiego, wiceprezesami zaś K. Okulicza i B. Lutyka
[55] Konstanty Plater-Zyberk (1886-1956), ziemianin, jeden z czołowych działaczy polskich w RL.1920-1927 członek Biura Informacyjnego, kontynuacji Komitetu Polskiego. W 1945 osiadł w Polsce.

różnią, wszyscy bowiem członkowie Biura wyznają program Piłsudskiego i wszyscy byli do ostatnich czasów wyznawcami interwencji polskiej, dopóki to istniało w sferze możliwości realnych. I teraz nawet, schodząc ewentualnie ze stanowiska Litwy historycznej, stoją oni na stanowisku plebiscytowego rozwiązania przynależności państwowej wschodnich powiatów Litwy i bodaj Wilna. Pomimo ujawnionych ze mną różnic i oni, i ja uznaliśmy za możliwy mój udział w Biurze, choćbym miał być w opozycji, a to ze względu na reprezentowanie w Biurze różnych kierunków opinii polskiej w kraju.

22 lipca, rok 1920, czwartek
Rozpocząłem dziś faktycznie pracę w sądzie od tego, że wysłano mię zaraz do kompletu na posiedzenie gospodarne w tzw. Najwyższym Trybunale czyli w Sądzie Apelacyjnym. Organizacja sądownictwa w Litwie jest następująca: najniższą instancję stanowią sędziowie pokoju; następną instancją są sądy okręgowe, których tymczasem, to znaczy w granicach byłej linii demarkacyjnej, są dwa: w Kownie na całą byłą gub. kowieńską i w Mariampolu dla litewskiego terytorium b. gub. suwalskiej; sąd okręgowy jest instancją apelacyjną w stosunku do sądów pokoju i oprócz tego dla spraw, które przekraczają właściwość sędziów pokoju, jest instancją I-szą. U szczytu hierarchii sądowej stoi Najwyższy Trybunał, czyli Sąd Apelacyjny, jeden dla całej Litwy. Trybunał rozpoznaje w II instancji sprawy, które osądził sąd okręgowy w instancji I. Instancji kasacyjnej nie ma wcale. Ponieważ Trybunał składa się z prezesa i tymczasem tylko jednego członka, którym jest Augustyn Janulaitis, a do kompletu sądzącego potrzebne jest ustawowo quorum z trzech sędziów, więc na każde posiedzenie Trybunału, bądź sądowe, bądź gospodarcze, wzywany jest zawsze do kompletu jeden członek sądu okręgowego. Jako nowicjusza koledzy wysłali zaraz mnie. Posiedzenie to przeciągnęło się do godz. 2 po południu i na tym się dziś moja czynność zakończyła. To był mój pierwszy debiut pracy w sądownictwie litewskim.
Jeszcze słówko do pozawczorajszego posiedzenia polskiego Biura Informacyjnego. Biuro to zajęło samorzutnie coś w rodzaju stanowiska naczelnej władzy politycznej w społeczeństwie polskim. Nie tylko że kieruje ono frakcją poselską polską w Sejmie i udziela dyrektyw politycznych społeczeństwu, ale także ujmuje w dłonie prasę polską, a raczej jej jedyny organ w Kownie – „Dziennik Kowieński”. Pisemko to, redagowane dotychczas w duchu *par excellence* endeckim, zresztą strasznie bezbarwne, zahukane represjami, które spadały poprzednio na prasę polską, pełni służbę publicystyczną w społeczeństwie miejscowym okropnie nędznie i, poza krótkim działem wiadomości urzędowych, jak rozporządzenia władzy i urzędowe sprawozdania z Sejmu oraz poza kilku bałamutnymi depeszami Elty, zapełnia szpalty wyłącznie informacjami z Polski lub o Polsce, przeważnie z wycinków starych spóźnionych gazet polskich. Zadań krajowych, poza kroniką kowieńską i czasem korespondencji z jakiegoś prowincjonalnego oddziału „Prodrolu”, nie porusza wcale, najważniejsze wypadki, dotyczące kraju, pomija zupełnie. Dość powiedzieć, że w dniu otwarcia Sejmu Ustawodawczego, gdy cała prasa kowieńska omawiała gorąco ten wypadek wielkiej wagi w życiu państwa, jedyny organ polski „Dziennik Kowieński” nie umieścił nawet wyrazu „Sejm” na szpaltach swoich albo nazajutrz po ogłoszeniu w urzędowej „Lietuvie” pisma polskiego ministra spraw zagranicznych Eustachego Sapiehy[56] do rządu litewskiego, wyrażającego uznanie przez Polskę niepodległości Litwy (właściwie

[56] Eustachy Sapieha (1881-1963), ziemianin, dyplomata, minister spraw zagranicznych RP, działacz konserwatywny, poseł do Sejmu RP, w 1939 aresztowany i więziony na Łubiance, skazany na karę śmierci za działalność „skierowaną przeciwko ZSRR”, zmienioną na 10 lat łagrów, zwolniony po układzie Sikorski-Majski w lipca 1941. Aktywny działacz polityczny na emigracji.

Sejmu i rządu sejmowego), gdy cała prasa litewska w różny sposób komentowała ten wypadek, „Dziennik Kowieński" nie tylko go nie komentował, ale nawet nie zacytował tekstu pisma Sapiehy. Pismo to jest tak redagowane, że mogłoby z równym skutkiem być przeznaczone dla jakiejś kolonii polskiej w Afryce; gdyby w tytule usunąć napis „Kowno" i jeszcze kronikę kowieńską z tekstu, to nie można byłoby się domyślić nie tylko w jakim mieście, ale i w jakim kraju, a nawet w jakiej części świata pismo to jest wydane. Nie wiąże się ono niczym z potrzebami kraju i ludności polskiej wewnątrz tegoż, nie odzwierciedla żadnej myśli obywatelskiej. Otóż Biuro Informacyjne, składające się z ludzi tego kierunku, który choć hołduje koncepcji Litwy historycznej w przeciwstawieniu do państwowości Litwy narodowej i który wiąże państwowość Litwy ze sprawą mocarstwową Polski, jednak wewnątrz Litwy, uznawanej za formację państwową, pretenduje do roli obywateli krajowych, dąży obecnie do ożywienia „Dziennika Kowieńskiego" i nadania mu oblicza bardziej obywatelsko wyrazistego. Toteż pierwotnie, gdy mię na posiedzenie Biura zapraszano, myślano o zaangażowaniu mię na redaktora tego pisemka. Zresztą, choć pisemko jest małe, nie mógłbym przy mojej pracy sądowej podjąć się redagowania, a poza tym, nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za organ, który społecznie ma tendencje wyrażania interesów specjalnie ziemiańskich, bo społecznie samo Biuro Informacyjne jest formacją polityczną nie tylko polską, lecz i ziemiańską nade wszystko. Gdy się wszakże uwydatniły różnice zasadnicze w programie obywatelsko-państwowym moim a członków Biura, to kwestia redakcji mojej sama przez się upadła. Poradziłem natomiast tym panom, aby spróbowali zaangażować na redaktora Zygmunta Jundziłła, który po ucieczce z Wilna bawi w Czerwonym Dworze pod Kownem. Ewentualnie mógłby się może zaangażować na redaktora Ludwik Abramowicz, który jako jeden z bardzo nielicznych pozostał w Wilnie.

23 lipca, rok 1920, piątek

Przesiedziałem kilka rannych godzin w sądzie, nudząc się kapitalnie. Jestem właściwie jedyny w tej chwili formalnie urzędujący członek sądu, bo trzech jest na sesji wyjazdowej (Preiss, Fridman i Budrecki), a prezes (Mačys), wiceprezes (Piotrowski) i jeden członek (Oleka) na urlopie wakacyjnym. Formalnie więc jestem zastępcą prezesa i całym sądem. Dlatego muszę dla spraw bieżących i ewentualnego przyjmowania interesantów wysiadywać godziny urzędowe w sądzie, choć żadnej roboty swojej w sądzie jeszcze nie mam. Tymczasem wiceprezes Piotrowski, pomimo że liczy się na urlopie, także siedział dziś przez cały czas i faktycznie on wszystko załatwiał, z czym się zwracano, a ja nudziłem się i siedziałem jak bałwan, przeglądając sobie jakieś akta. Zresztą gdyby nie było Piotrowskiego, może bym miewał gorsze chwile, bo nie znając jeszcze praktyk sądu tutejszego i mając trudność w wysławianiu się po litewsku. Szczególnie w technicznych sprawach sądowych nieraz bym zapewne był w kłopocie, gdyby się do mnie zwrócono. Sędziowie tu osobnych gabinetów nie mają. Gabinet ma tylko prezes, a członkowie sądu wraz z wiceprezesem mają do swego użytku dwa pokoje niewielkie, ale nie mają w nich nawet stołów swoich.
Z terenu wojny polsko-bolszewickiej wyraźnych wiadomości nie ma. Są tylko różne pogłoski, jedne przeczące drugim. To gadali, że bolszewicy zajęli Grodno i nawet już Sokółkę, Augustów i Suwałki, co by wskazywało, że chodzi im bardzo o ten osławiony „korytarz" do Niemiec, była już nawet pogłoska o zajęciu przez bolszewików Białegostoku, to znów mówią, że Polacy wciąż jeszcze są w Grodnie czy też odbili Grodno z powrotem, że gdzieś na linii Lida-Grodno Polacy zadali bolszewikom klęskę, że odebrali Lidę... Ścisłych depesz nie ma. Wszystko pozostawia się domysłom, które, jak zwykle, idą po linii życzeń poszczególnych ludzi, a więc są tak różne, jak różne są

te życzenia. W każdym razie jednak, coraz bardziej konkretyzuje się wieść i przekonanie o polepszeniu się położenia Polaków. Czy pobili bolszewików, czy tylko zdołali gdzieś pod Grodnem i Lidą, a także na Wołyniu zatrzymać się i zatamować na razie postępy bolszewików, w każdym razie zdaje się, że jest pewien zwrot, dla Polaków korzystny. Podług wieści napływających z Warszawy od ludzi, którzy w jakiś sposób stamtąd się przedostają, w Polsce panuje ogromne podniecenie umysłów w kierunku obrony narodowej, zapał i nastrój wojenny; tłumy inteligencji zapisują się na ochotnika do wojska. Swoją drogą, byłoby zdrowo, żeby Polacy zdołali dać jeszcze odpór bolszewikom, zbić ich parę razy porządnie i wziąć rewanż za ostatnie klęski odwrotu. Osłabiłoby to przynajmniej butę i zuchwałość bolszewików, którzy może staliby się ustępliwsi i spuścili by z tonu, co by mogło ułatwić sprawę pokoju. Dotąd bowiem bolszewicy strasznie się rozzuchwalili. Jak się okazuje – nie tylko że na propozycję angielską nie odpowiedzieli, żądając konferencji w Brześciu zamiast w Londynie, ale także uchylili pośrednictwo Europy w rokowaniach z Polską i postawili warunek dla zawieszenia broni ten, aby sami Polacy ich o to prosili i aby prośba ta była wolna od jakichkolwiek zastrzeżeń, a rozlegają się z łona bolszewików głosy, że pokój podyktują oni Polsce dopiero z Warszawy. Czego się też im zachciało! Taki jej tryumf byłby straszny nie tylko dla Polski, ale i dla Litwy i dla wszystkich sąsiadów, zwłaszcza drobnych. Toteż odwet, a przynajmniej skuteczny opór Polaków byłby czynnikiem zdrowym. Ci, co przyjeżdżają tu z Wilna i co widzieli bolszewików, opowiadają wprost dziwaczne rzeczy o tej ich „armii" czerwonej. Może czoło liniowe tej armii ma jakąś dyscyplinę i organizację, ale chmary tych „żołnierzy", które ciągną za czołem, to po prostu dzika horda żywiołu ludzkiego, pchanego z półdzikich równin Rosji i stepów Azji jedynym instynktem głodu i rabunku. Droga z Wilna do Landwarowa i wszystkie drogi z północnego wschodu na południowy zachód – są zalane jedynym ciągiem tego pochodu nawały ludzkiej. Jadą konno, furgonami, wózkami chłopskimi, idą pieszo, boso, w obuwiu najrozmaitszym, w ubraniu najdziwaczniejszym, jak kto chce. Trafia się nawet, że są w kapeluszach damskich na głowie lub owinięci w firanki. Rosjanie, Małorusy, Białorusini, Kałmuki, Czuwasze, Baszkiry, górale kaukascy, Kozacy z Donu, z Uralu, Buriaci – całe zbiegowisko ludzkie z kresów Europy Wschodniej i z Azji. Twarze spalone, wysmagane wszystkimi wiatrami, zdziczałe, chciwe. Prowadzą konie, pędzą stada bydła, rabują i niszczą wszystko po drodze – dobytek ludzki, zboże. Szarańcza ludzka w literalnym znaczeniu, nowe najście Hunów, gnanych głodem na pożarcie bogactwa, kultury ludzkiej i pracy. I jak takie „wojsko" zwyciężyć może! A jednak nic mu się dotąd nie oparło.

24 lipca, rok 1920, sobota
Choć pragnę rewanżu polskiego nad bolszewikami, ale tylko w tej mierze, w jakiej byłoby to potrzebne do upokorzenia ich buty i przyczynienia się do rokowań pokojowych na zasadach pośrednictwa Europy Zachodniej. Zuchwalstwa bowiem bolszewickiego i rozpędu ich, w razie zupełnej klęski Polski – obawiam się. Te stada ludzi, wygnanych z dalekich wschodnich krańców Europy i z Azji, których głód pędzi na zachód jak szarańczę i które jak lawina spadają na kraje sąsiednie, depcząc cywilizację i pracę ludzką i czyniąc spustoszenie *tabulae rasae* tam, gdzie stopa ich stanie, nie dadzą się powstrzymać względami rozwagi, jeżeli żaden oręż je nie wstrzyma. To, w co się przekształcił bolszewizm wojujący, to już może nie tyle rewolucja komunistyczna, ile rozpętanie buntownicze instynktów ludzkich, zdziczenie masowe. Tak przynajmniej sądzić można z tego, co się słyszy zewsząd od ludzi, którzy się konkretnie z falą bolszewicką stykali. Parę dobrych ciosów – a hordy, które pędzą za wojskiem czołowym, może się dadzą wstrzymać. Jeżeli ma być zawarty pokój między

Polską a bolszewicką Rosją i jeżeli wraz z tym pokojem Europa ma zająć się regulacją i rozdziałem państw wschodnich, to niechże do tego przyjdzie po paru dobrych ciosach odwetu, zadanych bolszewikom przez Polskę. O skuteczności pokoju z bolszewicką Rosją nie jestem bynajmniej przekonany i wątpię, czy regulacja spraw międzypaństwowych na wschodzie, dokonana obecnie w obliczu wielkiego pożaru płonącej Rosji, będzie czymś statecznym. Ale jeżeli w krajach, sąsiadujących z Rosją, wybuchnie rewolucja, to niechże ona wyjdzie z łona tych krajów, w kształtach, jakie jej nadają wewnętrzne w tych krajach procesy ludowe, aby tylko nie pochodziła z inwazji tłuszczy rosyjskiej, bo to byłaby nie rewolucja, ale zalew zdziczenia i prostego rozpasania. Kto wie jednak, czy kraje i narody, powstałe na kresach dawnej Rosji, a za nimi może i inne sąsiednie na zachód, ostoją się w drodze traktatów i mediacji europejskiej przeciwko tej tłuszczy wschodniej. Jest w tych pochodach bolszewików i towarzyszących im zgłodniałych hord coś z lawiny, coś, co ma w sobie bierność i rozpęd żywiołu i zarazem moc hipnotyzującą potwora. W ostatecznym wyniku zwyciężają oni i pędzą wszystkie zorganizowane armie, choć sami są bez organizacji. Jest w nich jakaś siła uroku, która czaruje przeciwnika, krzyczy doń imieniem i wzrokiem swoim i pędzi. Żeby Polacy potłukli trochę bolszewików – tego pragnę. Ale żeby mieli znowu wrócić do Wilna i żeby się znowu rozpoczęła *da capo* cała okupacja polska z jej błyskami imperializmu, interwencji na Litwę, zakłócania dokoła spokoju i znowu zamętu w stosunkach państwowych na wschodzie – tego nie życzę.
Co do Wilna – nie jest dobrze. Zaniepokojenie społeczeństwa litewskiego było zasadne. Bolszewicy faktycznie zagarnęli już rządy w Wilnie. Tymczasem ustalona została linia rozdzielcza litewsko-bolszewicka, która biegnie od Święcian na zachód od Wilna i wzdłuż kolei na Grodno. Litwini traktują tę linię jako tylko wojskową i domagają się zarządu cywilnego w Wilnie i na wschód od tej linii dla siebie. Delegacje litewskie jeżdżą do Wilna, do Rygi, bodaj i do Moskwy dla rokowań w tym przedmiocie z bolszewikami, ale tymczasem bolszewicy gruntują w Wilnie swój zarząd i zdaje się ani myślą zrzekać się czegokolwiek ze swej okupacji na rzecz Litwinów, dopóki w imię względów „strategicznych" pozostawać będą w Wilnie. Rząd litewski od początku działał papierowo i chwiejnie w sprawie Wilna. Na lewicy litewskiej – w pewnych kołach esdeckich i zbliżonych do nich zaczyna się rodzić nastrój gotowości wystąpienia czynnego przeciwko bolszewikom i w związku z tym ujawniać się zaczyna nawet zwrot sympatyczny do zbliżenia z Polską – z zastrzeżeniem co do zasadniczej zmiany przez Polskę jej zakusów imperialistycznych dotychczasowych.

25 lipca, rok 1920, niedziela
Słyszałem – i ma to być podobno ze źródeł bardzo pewnych – że Polacy pobili mocno bolszewików pod Grodnem, ale że samo Grodno jest w ręku bolszewickim. Most na Niemnie jest w Grodnie zniszczony (był on zresztą tylko prowizoryczny po zniszczeniu fundamentalnym w wojnie rosyjsko-niemieckiej i niewiele mu brakło również do zniszczenia, bo się ledwo trzymał). Polacy zajmują linię Niemna za Grodnem. Wiadomości tych, jako rzekomo zupełnie dokładnych, udzielił mi poseł Grajewski (w nawiasach wspomnę, że Grajewski, wbrew mojemu oczekiwaniu i wbrew wrażeniu z pierwszych dni sejmowych, wykazał bardzo dużo temperamentu politycznego w działalności poselskiej; wystąpienia jego są pełne charakteru).
Sejm ze względu na sytuację, wytworzoną przez bliskie sąsiedztwo bolszewików i obawę propagandy oraz usiłowań wichrzenia bolszewickiego w kraju – zresztą agitacja bolszewicka płynie już i przemyca się wielką falą, proklamacje sypią się a równolegle „szmugiel", to znaczy spekulacja przemytnicza, wywozi produkty żywnościowe w stronę bolszewików, ogałacając kraj i śrubując tutaj ceny – uchwalił pozawczoraj

zawieszenie w całej Litwie gwarancji konstytucyjnych, ogłoszenie stanu wojennego i przywrócenie kary śmierci. Że propaganda bolszewicka w kraju nie drzemie i że znajduje grunt, a nawet tu w Kownie ma wcale licznych adeptów, wskazuje rezultat odbytych przed paru dniami tutaj wyborów do Rady Miejskiej, których wyniki ogłoszone zostały wczoraj urzędowo. W wyborach tych komuniści, którzy wybory do Sejmu bojkotowali, zdobyli niespełna 25% głosów! Z liczby 55 wybranych radnych zyskali 13 mandatów (ogólna ilość podanych głosów wynosi 8735, liczba głosów bolszewickich – 2008). Komuniści stanęli do wyborów pod nazwą „listy robotniczej", przeciwstawiając ją wszystkim listom narodowym, burżuazyjnym, partyjnym i esdeckiej, którą w czambuł w odezwach swoich, w agitacji, na wiecach przedwyborczych i w swoim pisemku „Darbininkų Gyvenimas"[57] zaliczyli do burżuazyjnych. Co zaś charakterystyczne jest dla usposobień w kołach robotniczych w Kownie, to, że gdy lista bolszewicka zdobyła 13 mandatów i 2008 głosów, lista partii socjalno-demokratycznej zdobyła 230 głosów i zyskała 1 mandat! Zresztą w wyborach głosowało tylko 25 % uprawnionych do głosowania, więc prawdopodobnie stosunek głosów komunistycznych do ogółu wyborców zmalałby, gdyby frekwencja była większa.
Opiszę teraz posiedzenie naszej loży z dnia 22 lipca. Ze starych tomów mojego dziennika wiadomo, że tego dnia, w którym w moim dzienniku pod datą jest umieszczony jakiś rysunek (winieta), odbywało się posiedzenie loży masońskiej z moim udziałem. Ponieważ w naszych lożach obowiązywała bezwzględna tajemnica na zewnątrz zarówno co do tego, o czyś się w loży mówi i uchwala, jak co do samego istnienia związku masońskiego, i tajemnica ta była przy wstąpieniu potwierdzana przez wstępujących braci przysięgą, więc, przestrzegając mojej przysięgi, milczałem o masonach w dzienniku, znacząc tylko dla mojej własnej wiadomości dnie posiedzeń loży odpowiednimi (zresztą zupełnie dowolnymi) winietami. Czyniłem to dlatego, że nasz związek (pierwotna jego nazwa brzmiała: Wielki Wschód Rosji, następnie na konwencie w roku, zdaje się, 1913 została zamieniona na: Wielki Wschód Narodów Rosji) był wyraźnie w Rosji w stosunku do istniejącego nastroju państwowego przewrotowy, a warunki polityczne w Rosji nie dawały gwarancji, że nagle nie dotknie kogokolwiek niespodzianie jakaś rewizja. Aby więc przy jakiejś niespodzianej rewizji dziennik mój nie wpadł do rąk sług carskich i nie ujawnił naszej tajemnicy, a zarazem nie naraził braci i całej organizacji na represje, zachowałem święcie milczenie i dopiero w roku 1915 przed wyjazdem moim do Legionów, składając dzienniki na przechowanie, ujawniłem w ostatnim zeszycie znaczenie tajemniczych winiet. Dziś w dzienniku mogę o masonach naszych pisać, bo, po pierwsze, nadajemy masonerii cechy nie antypaństwowe, lecz właśnie państwowotwórcze, po wtóre, nie zachodzi, jak się zdaje, obawa rewizji i dostania się dziennika w niepowołane ręce, a po trzecie, dziennik ten przeznaczam do użytku publicznego w lat 40 po mojej śmierci, kiedy chyba tajemnica przestanie być aktualna.

26 lipca, rok 1920, poniedziałek
Gazety przynoszą depesze o tym, że Polska w osobie Wodza Naczelnego (a więc Piłsudskiego) zwróciła się do Rosji, ale również w osobie jej Wodza Naczelnego (a

[57] „Darbininkų Gyvenimas" – tygodnik robotniczych zw. zawodowych, wychodził w II poł.1919 do I poł. 1920 w Kownie, także mutacja językowa polska „Życie Robotnicze" i żydowska „Arbiter lebn". Wydano 21 numerów.

więc chyba Brusiłowa[58], ale w każdym razie nie bolszewickiego rządu Rady Komisarzy Ludowych), z propozycją zawieszenia broni – rozejmu jako wstępu do rokowań pokojowych. Odpowiada więc to mniej więcej odpowiedzi bolszewickiej na notę Anglii. O rozejm zwraca się do Rosji bezpośrednio Polska. Sądzę, że Rosja propozycję przyjmie, jeno ciekaw jestem, jakie będą warunki rozejmu i jaka będzie rozejmowa linia stanowisk stron. Tu w Kownie inteligencja polska przyjęła tę wiadomość o propozycji rozejmu z niedowierzaniem, a poniekąd z poczuciem zawodu. Ludzie, przywiązani do sprawy polskiej i upatrujący w orężu polskim zbawienie od wszelkiego zła, którego się boją, przepowiadający od dawna dokoła powszechną zgubę, gdyby nie ratunek oręża polskiego, jak gdyby Polska były jedynym panaceum na wszelkie męki ludzkie i jakby jej siły nie miały żadnego kresu, nie mogą i nie chcą teraz pojąć, żeby Polska mogła ten oręż do pochwy złożyć. Przewraca to wszelkie ich pojęcia i w głowie się im nie mieści. Wtedy upada całe ich szyderstwo złośliwe względem Litwy, którym się tak lubowali, dowodząc, że Litwa trzyma się jedynie łaską i poświęceniem Polski. Cóż będzie z ich szyderstwa, dającego im radość upokorzenia Litwy, jeżeli Polska zaniecha wojny z bolszewikami, a Litwa nie tylko nie zginie migawkowo w paszczy Rosji bolszewickiej, ale jeszcze, da Bóg, Wilno odzyska! Ten upór i złośliwość pewnego rodzaju sympatyków polskich jest, niestety, jedną z bardzo ciężkich i zupełnie zbytecznych przeszkód do złagodzenia stosunków polsko-litewskich, z tylu względów pożądanego. Ponieważ linia polsko-bolszewicka pod Grodnem stanęła i już przeszło od tygodnia bolszewicy nie ruszyli stąd naprzód na Białystok, a nawet podobno ponieśli w okolicach Grodna porażkę, więc już nowy duch był wstąpił w serca tych, którzy pragnęliby widzieć powrót tryumfalny Polski do Wilna nie dla samego tylko jej zwycięstwa nad bolszewikami, ale dla restytucji wszystkich poprzednich możliwości interwencyjnych względem Litwy itp. Umysł ludzki zbiorowy jest naiwny, jak dziecko: czego pragnie – w to wierzy, a gdy pragnie i wierzy, to tak argumenty dobiera i tak pozorami żongluje, że zawsze potrafi sobie stworzyć gmach przekonania, zbudowanego na założeniach i wnioskach logicznych. Za to rozczarowanie potem boleśniejsze, gdy gmachy logicznych twierdzeń upadają jak domki z kart. Tak, Polacy pod Grodnem się zatrzymali na linii Niemna, ale analiza komunikatów wojennych i polskich, i bolszewickich, które są ogłaszane, rozprasza optymizm wniosków stąd wyciąganych. Grodno na północy i rzeka Zbrucz na południu stanowią dwa skrajne skrzydła stanowisk linii wojennej. Środek jej wszakże sięga jeszcze głębokim półkolem na wschód. Otóż trudno jest wyciągać dla Polaków wnioski szczególnie korzystne stąd, że bolszewicy nie posuwają się naprzód na skrajnych skrzydłach, dopóki brzuch środkowy linii nie został wyrównany w linii prostej między skrzydłami kresowymi, bo taki postęp bolszewików na skrzydłach byłby nie dla Polski, lecz dla bolszewików niebezpieczny. Otóż ten brzuch wciąż się prostuje w kierunku prostej linii między Grodnem i Zbruczem. Niedawno brzuch ten sięgał Słucka, potem była mowa o linii kolejowej Baranowicze-Łuniniec i o walkach na północ od Nowogródka, a więc nad Niemnem pod Lidą, a obecnie w komunikatach linia Niemna sięga tylko do rzeki Szczary i dalej biegnie Szczarą. Skraca się więc ona stale, co wskazuje na to, że odwrót polski nie jest zakończony i że cofa się on na Brześć; toteż przedwcześnie mówić o ustaleniu stanowisk pod Grodnem i oddawać się optymizmowi pod tym względem.
Wracam do relacji masońskiej. W Wilnie na początku wojny mieliśmy trzy loże: „Jedność" (po rosyjsku „Единение"), „Litwa", której ja byłem „wenerablem", i „Białoruś". Po moim wyjeździe z Wilna w r. 1915 loże jeszcze funkcjonowały. Gdy w

[58] Aleksiej Brusiłow (1853-1926) generał rosyjski. W okresie V-VI 1917 r. naczelny dowódca armii carskiej. W 1920 r. przewodniczący Nadzwyczajnej Rady Wojskowej przy naczelnym wodzu Armii Czerwonej .

jesieni w roku 1915 Wilno zajęli Niemcy, znaczna część braci była wyemigrowała do Rosji. Pozostały w Wilnie tylko szczątki. Rozbitki ze wszystkich trzech lóż połączyli się w jedną lożę i pod przewodnictwem obranego „wenerabla" Jerzego Šaulysa zbierali się przez cały czas jakiś jeszcze. Uchwalili oni wtedy odseparowanie się od Wielkiego Wschodu Narodów Rosji i założenie samodzielnego Wielkiego Wschodu Litwy (czy może Litwy i Białej Rusi). Ale wkrótce, głównie na skutek nieufności do braci Łuckiewiczów, Šaulys przestał zwoływać lożę i sprawa masońska w Litwie zamarła. Obecnie zaprojektowane zostało jej wskrzeszenie.

27 lipca, rok 1920, wtorek
O wypadkach z wojny lub ze stosunków z bolszewikami nic nie wiem. Gazety dzisiejsze pod tym względem były puste, pogłosek też nie słyszałem żadnych. Jeżeli rozejm polsko-bolszewicki nie dojdzie rychło do skutku, to zapewne w najbliższym czasie stosunek sił na wojnie uwydatni się. W miarę jak linia polska między Grodnem a Zbruczem się prostuje, musi też klarować się przewaga tej lub innej strony. Przy prostowaniu tej linii stałość stanowiska skrzydłowego pod Grodnem nie może być wskaźnikiem powodzenia tej lub innej strony. Ale gdy się linia wyprostuje – a nawet już teraz przy oparciu się jej o Szczarę – okaże się, czy bolszewicy zdołają przełamać nowe stanowiska skróconego frontu polskiego, czy też Polacy, po skupieniu się na nowej krótszej linii, odzyskają sprężystość oporu albo nawet nowego uderzenia naprzód.
Byłem wieczorem w Polskim Biurze Informacyjnym. Na zaproszenie Łukomskiego zgodziłem się wraz z nim i Okuliczem należeć z ramienia Biura Informacyjnego do komitetu redakcyjnego „Dziennika Kowieńskiego" . Pisemko to już się trochę ożywiło dzięki kilku artykulikom Wielhorskiego, pisanych z temperamentem na zagadnienia krajowe, chociaż ujmującym je zawsze w perspektywie tendencji do Litwy historycznej i stawiania *à priori* związku Litwy z Polską. Są to właśnie skrupuły, które różnią moje stanowisko od stanowiska tej grupy z Biura. Program wskrzeszenia Litwy historycznej uważam za pozbawiony podstaw realnych, bo niepodobna wskrzeszać tworów, które powstały niegdyś w zupełnie innych warunkach dziejowych, i za niemożliwy do przyjęcia przez Litwinów, którzy byliby zmajoryzowani i nie mogliby ziścić swojej niepodległości narodowej. Litwa historyczna możliwa jest tylko w sferze mocarstwowego programu Polski jako twór panowania polskiego. W sferze zjawisk demokratycznych jest ona niemożliwa. Dlatego też program taki wiąże się organicznie z imperializmem polskim. Litwini czują to dobrze i dlatego też w istocie program ten nie zbliża, lecz radykalnie oddala Litwę od Polski. Zresztą moim zdaniem – dziś wyszedł on już za sfery możliwości, bo imperializm polski na wschodzie jest w dziedzinie praktycznej polityki złamany. Również stawianie tezy związku Litwy z Polską *à priori*, jakby w założeniu państwowego stanowiska litewskiego, jakby zastrzeżenie niepodległości Litwy, jest niewłaściwe i drażni Litwinów, szczególnie gdy się dla wyżej wskazanych względów łączy z postulatem Litwy historycznej. Natomiast ta sama teza związku z Polską wypływa poniekąd naturalnie *à posteriori* i to właśnie z narodowego litewskiego programu państwa, zbudowanego na zasadzie starej litewskiej formuły z roku 1905, to znaczy w zakresie Litwy katolickiej w granicach mniej więcej ostatniego traktatu pokojowego Litwy z Rosją. To mię różni bardzo zasadniczo i taktycznie od Biura Informacyjnego Polskiego i stanowiska posłów polskich w Sejmie. Dlatego też, choć zgodziłem się wejść do komitetu redakcyjnego, ale będę w nim zajmował stanowisko krytyczne i do żadnej roboty wykonawczej nie będę należał, co nie wyklucza poszczególnych ewentualnie artykułów moich. Ponieważ obecny redaktor tego pisma, pan Stefanowicz, nie jest fachowcem i w moim przekonaniu nie kwalifikuje

się na redaktora gazety, która by mogła wyrażać jakiś program krajowy, bo jest, zdaje się, zbyt już obecnie skierowany na tory czystego nacjonalizmu polskiego, więc zaproponowałem komitetowi zaangażowanie na redaktora Ludwika Abramowicza, który pozostał w Wilnie i który może by chętnie przyjechał do Kowna i podjął się tej pracy. Propozycję tę przyjęto skwapliwie i Łukomski ma się postarać o szukanie przepustki do Wilna i udanie się tam w tych dniach dla porozumienia się z Ludwikiem. Oprócz tego, mieliśmy pogawędkę z posłami polskimi – Grajewskim, ks. Lansem i Snelewskim[59]. Omawiane były stanowiska i postulaty frakcji sejmowej polskiej w stosunku do odezwy, którą Sejm projektuje wydać do ludności Litwy Wschodniej.

28 lipca, rok 1920, środa
Burzliwy dzień. Koło godz. 5 po południu chmury były tak gęste i tak zrobiło się ciemno, że przy świetle dziennym niepodobna było czytać i pisać. Ale przynajmniej powietrze się już orzeźwi po upałach.
Dzień dzisiejszy poświęcę w dzienniku masonom. Otóż wkrótce po wkroczeniu Niemców do Wilna w r. 1915 masoni wileńscy, którzy skupili się w jedną lożę, łączącą wszystkich pozostałych w Wilnie braci i uchwalili jeszcze oderwanie się od Wielkiego Wschodu Narodów Rosji, zamarli, to znaczy przestali się zbierać, czyli, mówiąc językiem masońskim, zasnęli. Sen ten trwał dotychczas, pomimo że odtąd wielu braci, którzy byli wyjechali do Rosji, wróciło już do kraju. Ale wypadki ostatnich lat, rozdział kraju na Wilno i Kowno, wyodrębnienie sprawy białoruskiej ze sprawy państwowej litewskiej itd. przeszkodziły ponownemu spojeniu się braci w loże. Dopiero w maju w roku bieżącym, gdym się zobaczył ze Ślażewiczem, ten mi wspomniał, że byłoby dobrze, gdy zamieszkam w Kownie, wskrzesić nasz związek masoński. Toteż po zamieszkaniu w Kownie porozmawiałem jeszcze o tym z innymi obecnymi tu braćmi i, przekonawszy się, że wszyscy pragną wskrzeszenia i że wypływająca na porządek dzienny sprawa Wilna i złączenia z Litwą powiatów wschodnich jest właśnie jedną z tych spraw, dla których tego rodzaju związek, jak nasz, może być właśnie realnie użyteczny jako wytwarzający ogniwa porozumienia braterskiego między ludźmi nie tylko różnych partii politycznych, ale i różnych narodowości krajowych – zwołałem na ubiegły czwartek do mieszkania Kairysa wszystkich obecnych w Kownie braci dawnych lóż wileńskich. Znalazło się nas akurat siedmiu i wszyscy stawili się, a więc zebrało się masońskie *quorum* legalne loży. Obecni byli oprócz mnie bracia doktor Jerzy Šaulys, Stefan Kairys, Wacław Bielski, Felicja Bortkiewiczowa, Dominik Siemaszko i Augustyn Janulaitis. Ten ostatni był przyjęty do związku masonów w Wilnie w r. 1915 już po moim wyjeździe. Najmniej odpowiednim na brata jest brat Siemaszko, obecny minister dla spraw białoruskich w gabinecie Griniusa, człowiek małej inteligencji, o którym nie bardzo ładnie mówią z czasów okupacji niemieckiej w Wilnie. Na jego udział krzywili się trochę i niektórzy inni bracia, ale wezwałem go, bo nic konkretnego sformułować przeciwko niemu nie mogliśmy. Ogłosiliśmy się za lożę „Litwa", należącą do Wielkiego Wschodu Litwy. Wszystkich dawnych masonów lóż wileńskich, o ile zechcą nimi pozostać, uznaliśmy za braci tej jedynej tymczasem loży. Oprócz nas więc liczymy na należących do loży następujących braci: Michała Ślażewicza, który tymczasowo bawi na operacji w Berlinie, Jana Vileišisa, który przebywa w Ameryce, Andrzeja Bułata, zamieszkałego w Mariampolu, Bugailiškisa w Szawlach, Michała i Wacława Biržišków w Wilnie, doktora Szabada[60] tamże, doktora

[59] Snelewski – poseł frakcji polskiej w Sejmie RL.
[60] [Szabad Zemach] Shabad Cemach (1864-1935), lekarz i żydowski działacz społeczny w Wlnie. Współzałożyciel szeregu instytucji ochrony zdrowia, nowoczesnej oświaty żydowskiej. 1919-1927

Jerzego Römera z Wilna, bawiącego chwilowo w Nicei, Czesława Landsberga, Antoniego Łuckiewicza, który zapewne uciekł z Wilna do Polski (o ile akceptuje on państwowość litewską, co jest wątpliwe), Aleksandra Zasztowta[61], który z Wilna uciekł przed bolszewikami do Warszawy, Osmołowskiego (nie tego, co był generalnym komisarzem Ziem Wschodnich z ramienia Piłsudskiego, jeno Osmołowskiego z Wilna, fabrykanta wód mineralnych, który pono bawi w Rosji i u którego pozostały nasze dawne archiwa, zakopane gdzieś przezeń w Wilnie), Bramsona, o którym żadnych wiadomości nie mamy i może jeszcze paru, których przypomnieć nie mogę. Poleciliśmy Janulaitisowi, który właśnie wyjeżdżał na parę dni do Wilna, aby wezwał braci Biržišków i Szabada, o ile zechcą należeć do wskrzeszonego związku, by się zajęli natychmiast zwerbowaniem nowych członków w Wilnie, bo nam o komplet w Wilnie chodzić będzie nade wszystko. Związek nasz, który dawnej za czasów rosyjskich miał oblicze rewolucyjne i nawet u nas antypaństwowe, obecnie staje kategorycznie na litewskim gruncie państwowym, zachowując oczywiście wszystkie swoje założenia humanitarne i wolnościowe.

29 lipca, rok 1920, czwartek
Gazety dzisiejsze podają komunikaty bolszewickie i polskie wojenne. Cofanie się Polaków postępuje. Wszystkie niedawne optymistyczne pogłoski polskie zawiodły. Ostatni z podanych komunikatów datowany jest z dnia 26 lipca. Polacy ustąpili z linii Niemna. Od Grodna cofają się na południe w kierunku Białegostoku. Bolszewicy zajęli tu miasteczko Indurę. Linia Szczary też sforsowana przez bolszewików, którzy przekroczyli już Jasiołdę i zbliżają się do Prużan. Na pograniczu Galicji Wschodniej bolszewicy zajęli już Brody, Zbaraż, Husiatyń. Tyle komunikat ostatni. Podług dzisiejszych wieści, pochodzących ze Sztabu Głównego litewskiego, zajęta jest przez bolszewików Sokółka, a Suwałki są przez wojska polskie opuszczone. Co do Suwałk – to opuszczenie ich odbyło się bez bezpośredniego nacisku ze strony bolszewików, których tam nie ma; Suwałki musiały być opuszczone automatycznie ze względów strategicznych, ponieważ pozostają one w głębokim tyle za linią obecną i mogą być z wielką łatwością przez bolszewików odcięte *via* Grajewo. Co do rozejmu polsko-bolszewickiego – to jutro wieczorem ma nastąpić pierwsze bezpośrednie spotkanie delegatów wojskowych polskich z bolszewickimi w przedmiocie omówienia warunków rozejmu.
Wciągnięty zostałem konkretnie w prace Polskiego Biura Informacyjnego. Stało się to na gruncie odezwy, którą projektuje wydać Sejm do ludności odzyskiwanej wschodniej części Litwy. Sejm w tym celu wyłonił komisję, do której wchodzą po jednym przedstawicielu frakcji: bloku chrześcijańsko-demokratycznego (wicemarszałek ks. Staugaitis[62]), bloku ludowców (Ralys), socjalnych demokratów (Węsławski[63]), polskiej (Grajewski) i żydowskiej. Pierwszy projekt odezwy ułożył ks. Staugaitis, ale nieudolnie. Rozwinął on obszernie część tzw. „historyczną", to znaczy opis wszystkich

---

członek rady miejskiej Wilna, 1928 wybrany do Senatu RP. Współzałożyciel Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie(YIVO/JIWO; Jüdischer Wissenschaftlicher Instytut) w 1925 .
[61] Aleksander Zasztowt (1874-1944), inżynier, działacz polityczny, 1915-1916 członek Komitetu Obywatelskiego w Wilnie. Współzałożyciel Polskiej Partii Socjaldemokratycznej Litwy i Białorusi (od 1922 PPS Litwy i Białorusi). 1920-1922 członek Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, 1922 poseł na Sejm Wileński. 1923-1924 członek Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS w Wilnie, 1924-1927 w Niezależnej Socjalistycznej Partii Pracy
[62] Staugaitis Justinas (1866-1944), ksiądz, działacz polityczny, jeden z czołowych przywódców litewskiej chrześcijańskiej demokracji. 1918 wiceprzewodniczący Taryby. 1922-1926 poseł na Sejm RL. 1926 administrator biskupstwa telszewskiego.
[63] [Węsławski] Venclavskis Kazys, 1921 poseł na Sejm RL, socjaldemokrata.

cierpień ludności Litwy Wschodniej pod wszystkimi okupacjami, jakie jej wypadło znosić; w liczbie tych okupacji wymienił i polską, której dotknął w sposób ostry, co niezależnie od tego, że razi naszą frakcję poselską polską, jest, gdyby nawet było ujęte prawdziwie, nietaktowne, bo bardzo znaczny odsetek, jeżeli nie większość ludności powiatów wschodnich – uważa się za polską i może się czuć obrażoną tymi zwrotami ze strony Sejmu Litewskiego, do którego istnieją tam poważne uprzedzenia, zaognione rozjątrzeniem nacjonalizmu z lat ostatnich; natomiast część programowa projektu ks. Staugaitisa mówi tylko o obfitości chleba w Litwie i o nasyceniu nim wygłodzonej ludności tamecznej. Projekt Staugaitisa nie zadowolił komisji, która wyraziła życzenie, aby na następne posiedzenie każdy przedstawiciel frakcji zgłosił swój kontrprojekt, względnie uwagi lub tezy do projektu. To było pozawczoraj. Rozmawiałem o tym tegoż dnia z Grajewskim, a wieczorem omawialiśmy tę rzecz w komisji politycznej Biura Informacyjnego z udziałem Łukomskiego, Okulicza, moim i posłów Grajewskiego, ks. Lausa i Snelewskiego. Wtedy też moje tezy programowe były przyjęte przez grono tych osób jako zasady do wysunięcia w odezwie. Tezy te – to są: 1. amnestia polityczna powszechna na wschodzie, a raczej zasada niewszczynania żadnych dochodzeń i spraw politycznych ze stosunków i wypadków z przeszłości, bo trudno mówić o amnestii, gdy formalnie państwo Litewskie dotąd ani faktycznie, ani formalnie na tamte ziemie się nie rozciągało, a więc formalnie nie powinno być mowy i o przestępstwach tamże przeciwko państwu politycznych, i 2. zasada samookreślenia ludności Litwy Wschodniej wewnątrz państwa co do formy stosunku konstytucyjnego tej części kraju do całości. Tezy projektowane przez Grajewskiego zbiegały się właściwie z mymi, tylko zawierały bardziej detaliczną punktację, na przykład, uznanie równości języków nie tylko w sądzie, urzędach, administracji, szkołach, ale nawet – w wojsku. Moje tezy były te same, które podałem w konkluzjach stosunku Litwy do powiatów wschodnich w mojej broszurze, pisanej przed kilku dniami. O broszurze tej, którą gotuję do druku, napiszę innym razem – może jutro.
Wczoraj na posiedzeniu odezwowej komisji Sejmowej przedstawiciele ludowców i przedstawiciel socjalnych demokratów złożyli swoje projekty odezw, Grajewski zaś złożył nie projekt gotowy, lecz uwagi z tezami. Podług słów Grajewskiego, projekt esdeków zgadzał się w zupełności z tezami naszymi i był dla frakcji polskiej zadowalający. Komisja poleciła Ralysowi ułożyć na dziś wieczór jednolity projekt z uwzględnieniem złożonych.

30 lipca, rok 1920, piątek
Chwilami zdaje się wprost byś niepojętym, gdzie też się podziała siła oporu polskiego. Miała przecie Polska armię bitną, miała dowódców zdolnych, amunicji i materiału wojennego w stosunku do liczebności armii – bodajże nie brakło. Ludzie, którzy widzieli cofającą się armię polską, którzy sami wraz z nią uciekali z Wilna, twierdzą, że nie była ona zdemoralizowana. Może są dla niej stronni, może ją widzą w lepszym świetle, niż była w istocie, może demoralizacja nawet i była gdzieniegdzie, ale nie musiała być tak wielka, skoro ci, co mogli obserwować rożne oddziały tej armii, nie dostrzegli jej wcale. Świadkowie ostatnich czasów pobytu Polaków w Wilnie i świadkowie ucieczki, tacy, jak Zygmunt Jundziłł, jak hr. Łubieński, ziemianin z Oszmiańskiego, jak adwokaci z Wilna Bajraszewski (Tatar litewski) i drugi (Rosjanin, którego nazwiska nie znam), tłumaczą klęskę niezmiernie słabym obsadzeniem linii przez wojska polskie i szaloną wprost przewagą liczebną masy wojsk czerwonych. Przyczynę klęski widzą w nieopatrznej kampanii ukraińskiej, która potwornie w stosunku do liczebnej siły wojsk polskich rozszerzyła front i pochłonęła olbrzymie rezerwy wojska, ogałacając inne odcinki frontu. Ale przecie teraz linia się skróciła

bardzo, a nie widać, niestety, skuteczności oporu polskiego! Nawała bolszewików wali naprzód jak fala wezbrana jakiegoś wylewu wód. Chwilami aż się strasznie robi na myśl o perspektywach tej powodzi straszliwej. Zdawało się, że usunięcie Polski z Wilna i ziem litewskich będzie zjawiskiem dodatnim i dla sprawy litewskiej, i dla stosunków polsko-litewskich, i dla nawiązania zbliżenia między Polską a Litwą i ludami bałtyckimi dla celów asekuracji wzajemnej i kooperacji. I tak by było niewątpliwie, gdyby autorami tego usunięcia Polski nie byli bolszewicy lub gdyby przynajmniej Polska była w stanie im się oprzeć w okolicy granic swoich. Tymczasem lawina wali i wali; zasłoniła ona chmurą swoją już nie tylko horyzont niebezpieczeństwa polskiego dla Litwy, ale wszystkie perspektywy bytu i Polski i Litwy i innych krajów bałtyckich. Postępy bolszewików w Polsce czynią los Litwy i innych krajów na północnym wschodzie faktycznie zależnym od łaski tych czerwonych panów. Przyszłość dalsza może nie jest straszna, gdyby nawet fala bolszewicka zalała dziś wszystkie ludy „kresowe" i samą Polskę. Ale przyszłość bliska przedstawia się w barwach, które się rysują niezwykle ponuro, gdy się nad nią zastanawiać. Co znaczą dla bolszewików traktaty pokojowe z narodami, to znaczy z „burżuazją", której oni wojnę świętą i całej ludzkości wypowiedzieli? Czy zechcą wyjść z Wilna i w imię czego, gdy mają je oddać w ręce rzekomej „burżuazji". Kto zagwarantuje, że nie zechcą oni pod byle jakim pozorem zalać... całą Litwę? W Polsce postępy ich są straszne. Ogłoszony dziś w gazetach litewskich ostatni komunikat bolszewicki mówi o zajęciu przez nich Tarnopola w Galicji Wschodniej. Radio z Moskwy donosi o zajęciu Osowca, „Lietuva" podaje, że podług ścisłych informacji – bolszewicy zajęli Augustów. Wczoraj wieczorem i dziś krążą uporczywe pogłoski o zajęciu przez bolszewików Białegostoku, mówią już nawet o zajęciu Łomży. Może miasta te są zajęte, może nie, ale w istocie małą to ma wagę, bo oczywiście, jeżeli natychmiast nie nastąpi rozejm, zajęcie ich będzie już tylko kwestią krótkiego czasu, zależną tylko od ochoty bolszewików, a że im ochoty nie zabraknie, choćby dla względów głodowych, które pchają naprzód masy ich „wojska", i dla pragnienia zajęcia Warszawy – to w to trudno wątpić. Lwów jest już zagrożony bezpośrednio, a bodajże zagrożoną już jest i sama Warszawa. Chyba Bóg ich wstrzyma, ale Bóg raczy wiedzieć, czy nie są oni narzędziem Jego chłosty, biczem kultury ludzkiej, która zboczyła na manowce. Przeklinać ten bicz czy błogosławić? Ty Sam wiesz to, Boże!
Jeżeli tak potrzeba w wyrokach Boskich – niech się dzieje Wola Jego! Bóg wie, czy ewentualne inwazja bolszewików nie jest nawet potrzebna dla wolności naszych młodych ludów. Straszną jest ona dla mnie osobiście, straszną – dla rodzin naszych, dla dobrobytu kraju, może dla bytu całego pokolenia współczesnego. Straszna mękami, które gotuje, straszna ofiarami. Ale kto wie, czy dla sprawy Wolności nie jest potrzebna i użyteczna. W szczególności na przykład dla Litwy czy nie stanie się ona dźwignią mocną jej niepodległości, czy nie zrodzi ona ofiary, poświęcenie i opór, które scementują jej niepodległość na przyszłość jak nie jako spełnione marzenie i dar pospolity niebios, ale jako dzieło Narodu, jego męki i ofiar wyraz, jego czynu kres; jako błogosławieństwo Boga dla ludzi, wygnanych z raju, którzy chleb swój i los wykuwać winni w pocie i znoju krwawym Czynu! Daj, Boże, tak, jak wiesz.

31 lipca, rok 1920, sobota
Gazety potwierdzają zajęcie przez bolszewików Białegostoku. „Laisvė" komunikuje nawet o zajęciu Grajewa i Łomży. Co do Grajewa, to bardzo prawdopodobne, skoro Osowiec zajęty, ale co do Łomży, to chyba jeszcze za wcześnie, tym bardziej, że od strony Grajewa-Osowca Łomża leży za Narwią. Zresztą – co można wiedzieć. Dziś po obiedzie rozeszły się pierwsze pogłoski o zajęciu przez bolszewików Lwowa.

Nie, wszak żeby ktoś przy moim wyjeździe z Łomży w marcu wyraził przypuszczenie, że bolszewicy mogą przyjść *„manu militari”*[64] do Łomży, wszyscy by mu się roześmieli w nos – tak było to po prostu nieprawdopodobnie. Można było przypuszczać, że bolszewizm wybuchnie w Polsce wewnątrz, ale żeby wojska bolszewickie dokonały tego – nigdy. Taki był wtedy urok niechybnych triumfów oręża polskiego nad bolszewikami! Jakże zmienne są wypadki, jak niestałe wnioski w takich czasach, jak obecne!
Wracam do pozawczorajszego tematu o odezwie sejmowej do ludności Litwy Wschodniej. Gdy komisja sejmowa, od porzucenia pierwotnego projektu ks. Staugaitisa, poleciła posłowi Ralysowi ułożenie ostatecznego projektu z uwzględnieniem wszystkich tez, wysuniętych w projektach lub uwagach frakcyjnych, to na posiedzeniu Polskiego Biura Informacyjnego (raczej frakcji komisji politycznej tegoż w osobach Łukomskiego, Lutyka, Salmonowicza i mojej, z udziałem posłów frakcji polskiej) przy omawianiu tej sprawy postanowiono ułożyć własny projekt odezwy, aby Grajewski w Komisji Sejmowej, na wypadek, gdyby projekt Ralysa nie zadowolił posłów polskich, mógł zaproponować kontrprojekt i ewentualnie bronić go na plenum Sejmu. Zredagowanie projektu polecono mnie. Uczyniłem to i projekt mój był nazajutrz przyjęty z uznaniem przez komisję polityczną Biura. Gdy go Grajewski odczytał pozawczoraj na komisji sejmowej, spodobał się on przedstawicielom wszystkich frakcji, wobec czego postanowiono przyjąć tekst jego i zaproponować do uchwały Sejmowi. Wszakże wczoraj rano na posiedzeniu komisji sejmowej członkowie tejże, widocznie po porozumieniu się z frakcjami swymi, oświadczyli, że jednak projekt frakcji polskiej (mój) jest zbyt uczuciowy dla Sejmu i ma charakter odezwy, podczas gdy Sejmowi przystoi ton nie odezwy, lecz deklaracji. Postanowiono przedstawić Sejmowi z ramienia komisji projekt (drugi) Ralysa. Sejm ma debatować w tej sprawie dopiero na posiedzeniu poniedziałkowym. Zresztą projekt Ralysa zły nie jest. Posłowie polscy uważają go za możliwy do przyjęcia, bo z tez jego można wysnuć wszystkie wnioski, które były omawiane i przyjęte w Polskim Biurze Informacyjnym jako zasady polityki wschodniej litewskiej. Przed tygodniem napisałem obszerną broszurę pod tytułem „Kwestia wschodnia w Litwie”. Popracowałem nad nią przez kilku dni forsownie i rad z niej jestem, choć domyślam się, że w tej części, w której omawiam niedawną polską politykę wschodnią, będzie ona raziła mocno Polaków litewskich, którzy prawie ogólnie byli pod urokiem tej polityki i wierzyli w zbawienność interwencji polskiej. Z tego też względu broszura moja nie może być wydana przez Polskie Biuro Informacyjne, mimo że we wnioskach o stosunku Litwy Wschodniej do państwa litewskiego i o polityce państwowej na ziemiach wschodnich jestem, zdaje się, z obecnym kierunkiem w Biurze Informacyjnym zupełnie zgodny. Pragnąłbym tę broszurę wydać jako głos obywatela Litwy – Polaka, ale natrafiam na duże trudności wydawnicze.

1 sierpnia, rok 1920, niedziela
Pogłoski o wzięciu przez bolszewików Łomży i Lwowa – utrzymują się. Co do warunków rozejmu, są pogłoski, że bolszewicy zażądali całkowitego wycofania się Polaków w terminie dwutygodniowym z Wołynia, Chełmszczyzny i Galicji Wschodniej oraz zupełnego wstrzymania dowozu do Polski jakichkolwiek posiłków od Koalicji, czy to w postaci wojska, czy materiałów wojennych. Litwin Morawski, były esdek, ekonomista, który jeździł do Wilna i dziś czy wczoraj wrócił, opowiada, że przez Wilno przejeżdżał do Białegostoku znany wódz komunistów polskich Marchlewski z

[64] „Manu militari” (łac.) – ręką zbrojną (czynem zbrojnym)

przygotowanym manifestem „polskiego rządu komunistycznego”. Marchlewski jednak reprezentuje podobno umiarkowane skrzydło komunizmu polskiego, które jest przeciwne inwazji bolszewicko-rosyjskiej do Polski właściwej i do Warszawy, uważając, że to jeno wywoła reakcję i ewentualne powstanie antybolszewickie w Polsce i zaszkodzi sprawie komunizmu, który w Polsce rozwinie się sam przez się z wewnątrz bez inwazji bolszewickiej. Drugie, krańcowe, skrzydło komunistów polskich wzywa Rosję bolszewicką do bezpośredniej inwazji do Polski, by za pomocą sił bolszewickich i armii czerwonej dokonać w Polsce mechanicznego przewrotu komunistycznego. A tymczasem armia polska wciąż się cofa, wciąż dalej w głąb kraju ustępuje przed czerwoną falą...
Wieczorem odbyło się zebranie pełnej komisji politycznej Polskiego Biura Informacyjnego. Obecni byli: Łukomski, Janczewski, Lutyk, Wielohorski, Konstanty Plater, Salmonowicz, parę jeszcze osób, których nazwisk nie znam, ja, zaproszeni jako goście z Wilna, którzy tam bawili do czasu wyjścia Polaków, Zygmunt Jundziłł i Aleksander Meysztowicz, i posłowie frakcji polskiej – Grajewski, ks. Lans i Snelewski. Cały wieczór zajęły nam debaty nad sprawą odezwy sejmowej do ludności Litwy Wschodniej. Zastanawiano się nad tym, czy w zasadzie frakcja polska ma głosować za odezwą i mianowicie za odezwą w redakcji Ralysa, to znaczy za projektem, przyjętym przez komisję sejmową, następnie – czy w projekcie tym ma żądać poprawki i jakich i czy ma uzależniać głosowanie za odezwą lub przeciw od sprawy amnestii politycznej dla procesów antypolskich (właściwie związanych z powstańczymi i interwencyjnymi knowaniami z czasów okupacji polskiej w Litwie) w zachodniej części kraju. Na razie debaty szły dość szorstko, jak po grudzie. Wielhorski, rodem Królewiak, jeden z najwięcej przesiąkniętych duchem niedawnych interwencyjnych reminiscencji polskich, podniósł od razu kwestię „samookreślenia” ludności Litwy Wschodniej co do przynależności państwowej, chcąc do odezwy, wydawanej przez Sejm litewski, wnosić kwestionowanie samego związku państwowego tych ziem z Litwą, na co oczywiście Sejm by się nie mógł zgodzić nigdy i co czyniłoby efekt negowania przez Polaków w Sejmie państwowości litewskiej w granicach, dziś już aktem międzynarodowym z Rosją jej przyznanym. Dla mnie takie stanowisko jest niezrozumiałe. Trzeba wiedzieć wreszcie, czego się chce i co się uważa za wykonalne lub niewykonalne, dodatnie lub ujemne. Skoro się stoi na stanowisku państwowości litewskiej – a tak niby się opowiadają ci panowie z Wielhorskim – to trzeba mieć wolę konkretnie określoną: albo chcieć Litwy bez Wilna i Wileńszczyzny albo z Wileńszczyzną, a wtedy, gdy się chce i widzi możność i zasadność tego, trzeba tylko myśleć o środkach, które sprawiedliwie i skutecznie do celu prowadzą. Oponowałem Wielhorskiemu i obawiałem się, że okażę się osamotniony. Aliści Jundziłł i Meysztowicz, Wilnianie, poparli moje stanowisko, co skonfundowało tych panów, wobec czego zastrzeżenia Wielhorskiego odpadły. Uznano, że głosować za odezwą trzeba, że tekst w redakcji Ralysa nadaje się do przyjęcia. Wspomniano o paru poprawkach, ale niezbyt istotnych i wreszcie pozostawiono je do uznania posłów. Co do amnestii, to uznano za wskazane, aby w motywach głosowania posłowie polscy oświadczyli, że głosują za odezwą w nadziei, że uzupełniona zostanie amnestią.

2 sierpnia, rok 1920, poniedziałek
W Sądzie Okręgowym pracowałem już regularnie przez cały tydzień ubiegły. To znaczy na sesjach jeszcze nie bywałem, bo ich nie było, ale co dzień spędzałem po kilka godzin w sądzie, przyjmując interesantów i załatwiając wszystkie sprawy bieżące w zastępstwie prezesa. Byłem bowiem sam jeden. Reszta sędziów była bądź na urlopie, bądź na sesji wyjazdowej w Szawlach. Tylko wiceprezes Piotrowski, choć korzystający

formalnie z wakacji, przychodził często i pomagał mi. Ten jest, zdaje się, bardzo gorliwy i z zamiłowaniem pracuje. Teraz sędziowie wrócili już z sesji wyjazdowej i w tym tygodniu będziemy już tu mieli sesje sądowe: we środę będzie cywilna, we czwartek karna. Wypadnie już i mnie referować na sesji środowej. Będzie mi to na razie trochę trudne ze względu na język litewski, ale dam radę. Nie święci garnki lepią. Gdy trzeba – człowiek dużo może.
Są pogłoski, że rozejm między Polakami a bolszewikami już zawarty. Szczegółów dokładnych dotąd brak. W gazetach dzisiejszych jest jeden bardzo dużo dający do myślenia komunikat wojenny polski, datowany z dnia 30 lipca. Mówi on o zajęciu przez bolszewików Osowca, co już było wiadome, dalej o zajęciu jakiejś stacji kolejowej na południe od Białegostoku, co zdaje się pośrednio potwierdzać fakt zajęcia przez nich tego miasta, następnie wspomina o tym, że bolszewicy pchają się od Osowca na południowy zachód i że Polacy odparli ich „w pobliżu Łomży"; mogłoby się z tego zdawać, że do Łomży bolszewicy jeszcze nie doszli, ale wobec dalszego tekstu można zrozumieć i tak, że „w pobliżu Łomży" znaczy już za Łomżą, bo bezpośrednio po tym powiedziano, że odparte zostały ataki bolszewickie „między Narwią a Wisłą"!.. Gdzież to jest owe tajemnicze „między Narwią a Wisłą"? Może to równie dobrze oznaczać posuwanie się bolszewików wzdłuż granicy pruskiej w przedłużeniu lewego skrzydła polskiego w kierunku na Ciechanów, Mławę i Płock, jak posuwanie się ich gdzieś od Białegostoku na gubernię Siedlecką? Ale gdzież się w takim razie podział Bug i co się stało z Brześciem? Doszło więc już do tego, że w komunikatach wymienia się Wisłę! W Galicji Wschodniej komunikat wspomina o linii Seretu.
W kołach litewskich rządowych i bliskich rządu daje się dostrzec pewnego rodzaju optymistyczny zwrot co do traktowania niebezpieczeństwa bolszewickiego – w Wilnie i na Wschodzie. Z odpowiedzi wyższych władz bolszewickich w Moskwie i ich dyplomatów w Rydze wynika, że skłonni oni są zlikwidować okupację w Wilnie, że uważają ją za nieporozumienie i są zdecydowani do jak najrychlejszego wycofania się z terytorium litewskiego, zastosowując się ściśle do traktatu pokojowego. Stąd u władz litewskich rodzą się nadzieje na szybkie zlikwidowanie całej tej awantury bolszewickiej wileńskiej, zwłaszcza w związku z rychłym rozejmem polskim. Wkrótce się zapewne wyjaśni, czy to Moskwa kłamie, czy też lokalne władzy bolszewickie w Wilnie na własną odpowiedzialność inscenizują okupację. Tymczasem rządzą się one bez ceremonii po swojemu. Oba pisma wileńskie nie-bolszewickie – „Nepriklausomoji Lietuva"[65] i „Echo Litwy[66]" zostały zamknięte (to ostatnie za doskonały artykuł pióra Michała Biržiški), a redaktorowie siedzą w kozie; Biržiszce też grozi aresztowanie. Jeżeli w najbliższym czasie Moskwa nie wyciągnie konsekwencji ze swych lojalistycznych zapewnień, to wobec niebezpieczeństwa bolszewickiego spodziewane jest zawieszenie kadencji Sejmu i wyposażenie ewentualnie rządu i dowództwa naczelnego w specjalne pełnomocnictwa. Dowództwo naczelne wojsk obejmuje podobno znowu generał Żukowski[67].
Rękopis mojej broszury w kwestii Litwy Wschodniej przechodzi różne losy. Myślałem wpierw zwrócić się w sprawie wydanie go do ks. Tumasa[68], ponieważ mam wrażenie,

[65] „Nepriklausomoji Lietuva" – pismo Litwinów wileńskich
[66] „Echo Litwy" – pismo Litwinów wileńskich
[67] [Żukowski]Silvestras Žukauskas (1860-1937), gen., II-VI.1920 głównodowodzący armią litewską, 1923-1928 z przerwami wódz naczelny armii RL.
[68] Juozas Tumas-Vaižgantas(1869-1933) ks., uznany pisarz litewski, historyk literatury, krytyk literacki, działacz społeczny i polityczny orientacji chrześcijańssko-demkratycznej. Redaktor *Tėvynės Sargas* 1897-1902 oraz *Žinyčia* 1900-1902. Współorganizator Sejmu Litewskiego w Wilnie w 1905. W latach 1918-1919 pracował i mieszkał w Wilnie, od 1920 w Kownie. Wykładowca literatury na Uniwersytecie Kowieńskim.

że ten człowiek, który ma umysł światły i samodzielny, a jest człowiekiem żywym, zainteresuje się tym i zajmie się wydaniem go. Potem przyszło mi na myśl nawiązać wydanie tego rękopisu do działalności naszej loży masońskiej. Toteż zaproponowałem na ubiegłym posiedzeniu, aby się loża wypowiedziała, czy uważałaby to za właściwe. Loża wyznaczyła braci Kairysa i Šaulysa do przeczytania rękopisu i zaopiniowania, a następnie dopomożenia mi w wydawaniu go. Kairys i Šaulys wyrazili dla pracy tej zupełne uznanie. Dalej dopowiem jutro.

3 sierpnia, rok 1920, wtorek
Komunikatów wojennych polskiego i bolszewickiego w gazetach dzisiejszych nie ma. Są pogłoski, że w Warszawie wybuchły jakieś rozruchy. Jest to bardzo prawdopodobne. Byłby cud chyba, gdyby klęska nie wywołała w Polsce poruszenia o cechach rewolucyjnych. Koalicyjny rząd polski z Witosem[69] na czele i Daszyńskim jako wice-premierem nie zażegna burzy, skoro nie zdoła powstrzymać dalszego biegu klęski. A klęska ta szerzy się w sposób przerażający. Musi być tam jakaś straszna tragedia wojska, jakieś załamanie się bez ostoi, gdy widzimy, że wojsko, to wojsko, którego przecie liczono na miliony i które uchodziło za pierwszorzędne pod względem wartości bojowej, nigdzie się zdziczałym masom bolszewickim nie opiera i odpływa na wszystkich punktach zetknięcia jak woda spływająca z góry. Do licha – było przecież gdzieś to wojsko polskie! Cóż się z nim stało, gdzie ono!? Trzeba chyba przypuszczać, że wojsko polskie po prostu nie chce się już bić, że ma dość wszystkiego... Wyobrażam sobie stan ludzi w Polsce, wyobrażam rozpacz, strach, gniew, żale, tragedie rodzin i jednostek. Nasz sąd łomżyński gdzieś zapewne na tułaczce, a moje biedne siostry z rodzinami – Kotunia Pruszanowska, Elwira Mieczkowska, Marynia Römerowa – gdzie są one, dokąd się schroniły pierwotnie i dokąd dalej z rozpaczą i piekłem w sercu uchodzić będą lub już uszły?!! Ba, siostry moje, Ojczyznęście straciły, Litwyście mieć nie chciały dla Polski i oto dziś, oderwane, bezdomne, tłuczecie się jak potępione po Polsce ukochanej, która płonie dokoła Was! Do Maryni to głównie stosuję, bo Kotunia biedaczka jest wygnanką, której ziemia rodzinna pozostała bez Ojczyzny, toteż i ona Ojczyzny krajowej mieć nie może. Elwira, gdyby nie Stefan, może by i była pociągnęła do Litwy, pod strzechę swego państwa krajowego. Ale Marynia, która dawniej miała z nich największe czucie Litwy, przez ten rok ostatni polskiego w Wilnie panowania, a bodaj jeszcze więcej przez swe narzeczeństwo, odskoczyła do Polski gwałtownie i sama w sobie Litwę-Ojczyznę zabiła. Może nie zabiła, może stłumiła tylko. Kiedyż, zbłąkane córki i synowie, wrócicie pod skrzydło Litwy i kiedyż wreszcie w łonie tej Ojczyzny naszej dokona się pojednanie braci, powaśnionych dziś różnicą mowy i spoglądających w dwóch różnych, wrogich sobie kierunkach! Pojednanie to stałoby się zarazem podstawą nie tylko pojednania, ale i wznowienia historycznych związków Litwy i Polski. Ale dopiero wtedy!
W sprawie rękopisu mojej broszury Kairys i Šaulys, którym polecono ją przejrzeć, zaopiniowali o niej jak najlepiej. Wszakże kwestia wydania jej pozostała otwarta. Wolałbym z pewnych względów, aby wydało ją jakieś grono Polaków, na przykład choćby Biuro Informacyjne. Dla wielu względów byłoby to lepsze, niż wydanie tej broszury przez Litwinów. Ale, choć we wnioskach co do stosunku Litwy do Polski i co do zasad polityki państwowej litewskiej w stosunku do dzielnicy wschodniej stanowisko moje w istocie bardzo jest bliskim stanowisku tegoż Biura Informacyjnego i

[69] Witos Wincenty (1874-1945), polityk, przywódca ruchu ludowego i PSL „Piast", 1920-1921 premier rządu Obrony Narodowej i rządu Chjeno-Piasta. 1919-1933 poseł na Sejm RP, skazany w procesie brzeskim, od 1933 do 1939 na emigracji w Czechosłowacji, 1939-1941 więziony przez Niemców, 1945 powołany formalnie na wiceprezydenta Krajowej Rady Narodowej.

może bliższym, niż wobec stanowisku Litwinów do tejże kwestii, jednak różnica przede wszystkim jest między nami wielka i zasadnicza w stosunku oceny dotychczasowej polityki polskiej na wschodzie, którą ja uważam za zgubną, a większość Polaków i nasze Biuro Informacyjne – za właściwą i pożyteczną, i w stosunku do metody odwoływania się do wpływów Polski w przedmiocie regulacji wewnętrznych w kraju oraz stosunków litewsko-polskich; choć nie ma dziś mowy o interwencji bezpośredniej zbrojnej Polski w sprawy wewnętrzne i sprawy samej państwowości litewskiej, czemu hołdowała dotąd większość Polaków naszych, jednak dotychczas wciąż jeszcze nie pozbyli się oni psychologii interwencyjnej, przynajmniej w drodze wpływów politycznych. Otóż to jest grunt, który nas dzieli i który czyni, że broszura moja nie może być naszego Biura wyrazem. Jest ona zasadniczo przeciwna dominującym dotąd w tym Biurze prądom, reprezentowanym najjaskrawiej przez Janczewskiego i Wielhorskiego, a akceptowanym nawet przez takich ludzi, jak Łukomski.

4 sierpnia, rok 1920, środa
Byłem dziś przez cały dzień tak zapracowany w sądzie na sesji, że żadnych nowin na mieście nie słyszałem. Wiem tylko to, co było w gazetach – właściwie w „Lietuvie", bo ona jedna poza artykułami podaje nowiny telegraficzne z wielkiego świata. Otóż dzisiaj co do wojny były w niej wieści obfite. Streszczając różne komunikaty i depesze, można określić ostatni etap wojny w punktach takich: na odcinku północnym linia toczących się bitew idzie wzdłuż Pissy i Narwi (z komunikatu polskiego); czy Łomża już przez bolszewików wzięta – trudno ustalić, ale już moje Kolno musi być w ręku bolszewickim lub na samym froncie, skoro linia dochodzi do Pissy. Myślą biegnę do Kolna i badam, co robią, jak się czują, dokąd uciekli lub czy pozostali i w jakich warunkach moi przyjaciele kolneńscy – Stachelski, Pikulińscy, Remba, Goldberg i inni. Jeżeli Łomża jeszcze nie wzięta, to zagrożona już jest chyba bez ratunku, bo gdy z północnego zachodu linia biegnie wzdłuż Pissy, to na południowym wschodzie bolszewicy przekroczyli już Narew i dotarli do Mazowiecka (Wysokiego Mazowieckiego) (z komunikatu bolszewickiego). Dalej bolszewicy zajęli już Brześć Litewski, który uchodzi na klucz linii Bugu. Dalej linia na Wołyniu odchyla się od Stochodu z tendencją na Kowel. W Galicji Wschodniej linia Seretu już zachwiana. Lwów, zdaje się, jeszcze nie wzięty. Pogłoski były przedwczesne. W tym kierunku bolszewicy od Brodów docierają do Buska.
Sprawa Wilna i wschodnich powiatów Litwy wkracza ewentualnie w stadium przełomowe. Pozawczoraj przyjechał był do Kowna automobilem przedstawiciel władzy wojennej bolszewickiej w Wilnie – towarzysz Mieżlaukis, Łotysz. Przyjechał dla układów z władzami litewskimi. Otóż już wczoraj słyszałem z kół sejmowych, że układy te toczą się w przedmiocie ewakuacji Wilna przez bolszewików i że w zasadzie ewakuacja ta jest postanowiona, chodzi jeno o jej wykonanie. Dziś w „Lietuvie" są o tym bliższe szczegóły. Przyjazd Mieżlaukisa wiąże się zapewne z tymi krokami, które władze litewskie poczyniły w sprawie Wilna u władz centralnych moskiewskich, i z zapewnieniami, dawanymi z Moskwy o dobrej woli bolszewików w tym kierunku. Przyjazd Mieżlaukisa musiał być skutkiem pewnych wskazań, udzielonych mu z Moskwy. W rokowaniach z Mieżlaukisem w Kownie ustalono stopniowość tej ewakuacji terenów, przyznanych przez traktat Litwie, i zasadę, że ewakuacja już winna być rozpoczęta, bo względy strategiczne, którymi była uzasadniona okupacja bolszewicka, już ustały. W kolejności miałyby być ewakuowane tereny z północy na południe; pierwszym etapem byłoby ewakuowanie części kraju na północ od linii Podbrodzie – jezioro Narocz. Jednocześnie byłaby przyjęta zasada obejmowania natychmiast zarządu cywilnego przez Litwinów na całym terenie, nie czekając

całkowitej ewakuacji. Niewyraźne jest tylko zastrzeżenie Mieżlaukisa, że dla ostatecznego zobowiązania się jego w przedmiocie tych warunków układu brak mu jeszcze należytych pełnomocnictw. Wiadomości te wywołują pewne uspokojenie w opinii publicznej, do niedawna bardzo podnieconej w tej kwestii. O ile u Litwinów spostrzega się to uspokojenie, o tyle u Polaków litewskich zwrot ten budzi uczucia niejednolite. Z jednej strony, wzgląd czysto praktyczny i materialny na ubezpieczenie osób i mienia nakazuje zadowolenie z tego, że bolszewicy gotowi są się usunąć, z drugiej wszakże strony, ze względów politycznych swojego stanowiska i swoich atutów w walce politycznej z Litwinami, chcą oni przesadzać niebezpieczeństwo bolszewickie dla Litwy. Chodzi im o to dlatego, że pragnęliby uwydatnić w opinii litewskiej tę tezę, że okupacja polska Wilna, tak przez Litwinów zohydzana, była w istocie gwarancją ich bezpieczeństwa ze wschodu, a więc miała dla samej Litwy, bez względu na spór polsko-litewski, użyteczność niewątpliwą. Chodziłoby im o wykazanie, jak dalece zlikwidowanie okupacji polskiej Wilna czyni Litwę bezbronną i narażoną na niebezpieczeństwo łaski i niełaski panów bolszewików. Chcieliby liczyć na to, że uwydatnienie słabości i niebezpieczeństwa Litwy wytworzyć powinno prąd zbliżenia z Polską. Wreszcie niebezpieczeństwo bolszewickie dałoby im możność wewnątrz Litwy spojenia się z Litwinami we wspólnym odruchu czynnym, który zatarłby rozdźwięki niedawne i wzmocnił stanowisko Polaków w państwie. Z tych względów instynktownie i rozmyślnie usiłują oni rozdmuchać poczucie i grozę niebezpieczeństwa bolszewickiego, a wszelkie kojące w tej materii perspektywy są im nie na rękę. Ale i dyplomacja bolszewicka, jeżeli jest mądrą, zrozumie to i właśnie dla zapobieżenia polsko-litewskim konszachtom „burżuazji” schowa swoje pazury wobec Litwy.

5 sierpnia, rok 1920, czwartek
Dzisiejsza „Lietuva” przynosi nowy komunikat wojenny polski, który specyfikuje w ten sposób linię, osiągniętą przez bolszewików na odcinku północnym: od granicy pruskiej do Ostrołęki, stamtąd na Nowogród-Łomżę, to znaczy wzdłuż Narwi, a dalej przechodzi (oczywiście w pow. łomżyńskim, bo na Rutki-Kossaki) przez Narew i biegnie przez Rutki-Kossaki, Mazowieck, Wysokie Kościelne i Ciechanowiec do Bugu. Wszystkie wymienione miejscowości są mi dobrze z mojej praktyki sądowej w Łomży znajome. Ciekawe byłoby wiedzieć, z którego punktu granicy pruskiej biegnie linia na Ostrołękę. W każdym razie, pomimo różnych uspakajających zapewnień ze źródeł warszawskich o tym, że armia polska gotowa już jest do skutecznej obrony i że zwłaszcza armia północnego skrzydła zrekonstruowała się pod wodzą Hallera i przeciwstawi się dalszej inwazji bolszewickiej, bolszewicy oczywiście poczynili, i to właśnie na skrzydle północnym, dalsze postępy, bo gdy w ogłoszonym wczoraj jeszcze komunikacie polskim wymieniana była na tym skrzydle linia Pissy, dziś już jest mowa o Ostrołęce. W całej ofensywie bolszewickiej, od samego jej początku pod Dryssą i Dyneburgiem, daje się wyraźnie spostrzec metoda nalegania na skrzydła i w szczególności osaczania lewego, północnego, skrzydła polskiego, co automatycznie zmusza Polaków do cofania centrum i ułatwia szybki postęp bolszewików. Tak było pod Wilnem, które zostało zajęte, gdy jeszcze Polacy stali niemal w Bobrujsku, tak było w uderzeniu bolszewickim z Grodna, wymierzonym w kierunku na Augustów-Grajewo-Osowiec, jak zdaje się być obecnie w tym posuwaniu się na wzdłuż granicy pruskiej na zachód w kierunku Mławy i Ciechanowa.
Wczoraj po raz pierwszy brałem udział w sesji sądowej w Kownie. Dziś – po raz drugi. Była to wczoraj sesja cywilna, dziś właściwie – karna, chociaż rozpoznaliśmy też kilka spraw cywilnych, przeniesionych na dziś z sesji wczorajszej, zbyt przeładowanej i zakończonej wczoraj po godz. 10 wieczorem. Komplet sądu na sesji wczorajszej składał

się z wiceprezesa Piotrowskiego jako przewodniczącego, sędziego Preisa i mnie. Dziś przewodniczył Preis z udziałem sędziego Budreckiego i moim. Na sesji cywilnej na wokandzie są sprawy zarówno I instancji, jak apelacyjne. Sprawy karne są rozpoznawane w komplecie trzech sędziów; przysięgłych ani, jak w Polsce, ławników – nie ma. Przewodniczy bądź prezes sądu, bądź wiceprezes, bądź ten z sędziów, który jest najstarszy z daty nominacji. Ponieważ z liczby siedmiu sędziów (włącznie z prezesem i wiceprezesem) jestem najmłodszy, jako ostatni mianowany, przeto, dopóki będę w sądzie kowieńskim (mam w przyszłości zamiar przenieść się do Wilna), przewodniczyć mi na sesjach zapewne nie wypadnie. Szkoda, bo to jest o wiele ciekawsze od biernego słuchania toku sprawy w charakterze pospolitego członka kompletu. Samodzielne przewodniczenie na sesjach było jednym z motywów, dla których w Sądzie Okręgowym w Łomży obrałem wydział karny zamiast cywilnego. Chodzi nie o sam zaszczyt przewodniczenia, ale o to, że kierowanie biegiem rozpraw jest żywszym i więcej daje pola do inicjatywy, co jest zawsze przyjemniejsze od bierności; poza tym, gdy się przewodniczy, to się uwagę ma więcej w bieg, a zatem i w istotę sprawy zwróconą; wtedy lepiej poznaję, wyczuwam i rozumiem sprawę i więcej się nią interesuję. Pozostając biernym słuchaczem, nie umiem tak skupiać uwagi, aby dokładnie cały tok sprawy w umyśle utrzymać. Tylko w tych sprawach, które mnie były do referowania udzielone, nie nudziłem się. Referować sprawy umiem wyśmienicie i lubię to. Toteż i tym razem, choć się obawiałem, że język litewski będzie mi stał na przeszkodzie, referowałem dobrze. Z językiem radziłem sobie wcale nieźle. Ład na sesjach był nie tak doskonały, jak bywał u mnie w Łomży, ale i u innych sędziów w Łomży nie bywał on lepszy. Kobiety są w sądzie kowieńskim tak dalece równouprawnione, że nie tylko na sekretarza siedziała kancelistka, ale kancelistki też pełniły funkcje woźnych na sali; to ostatnie wszakże nie przyczyniało się do sprężystości i ładu wykonawczego na sali. Adwokatów w sprawach cywilnych stawało sporo. Ze względu na zalety wymowy w języku litewskim, a więc i na większe powodzenie w sądzie największą wziętość u klientów mają adwokaci Litwini, tym bardziej, że klientom imponuje także to, że wśród adwokatów-Litwinów jest dużo byłych ministrów i dygnitarzy, co, zdaniem klientów, dobrze działa w sprawie. Do najbardziej wziętych adwokatów należą: Leonas (były minister i jeden z kandydatów na prezydenta państwa), Staszyński (także były minister) i Ślażewicz (były premier, *leader* ludowców i poseł do Sejmu); podobno Leonas i Staszyński zarabiają do 60000 marek miesięcznie (!); z adwokatów Litwinów wymienię jeszcze Węsławskiego (poseł do Sejmu, esdek), Norejkę (były minister), Bračiulisa (z Ameryki), Samojewskiego (znany oryginał, ale wcale niegłupi), Šilinga (były prezes Taryby). Adwokaci Żydzi i Rosjanie, a także Polacy, o ile nie znają języka litewskiego, będą mieli teraz wielką trudność w praktyce wobec tego, że Trybunał Najwyższy na sesji sobotniej, w której i ja uczestniczyłem, powziął za inicjatywą Janulaitisa uchwałę wyjaśniającą, zgodnie z przepisami obowiązującego prawa, że adwokaci wobec sądu nie mogą czy to na piśmie, czy to ustnie występować inaczej, jak po litewsku, bo tylko bezpośrednio stronom, jako osobom prywatnym, wolno używać wobec sądu ustnie i na piśmie języków miejscowych, mianowicie polskiego i białoruskiego – bez pośrednictwa tłumacza.

6 sierpnia, rok 1920, piątek
Sześcioletnia rocznica dnia 6 sierpnia roku 1914 – nieśmiertelnego dnia strzelców Piłsudskiego. Dzień sławy, dzień czynu wielkiego w dziejach Narodu Polskiego. Dzień, od którego powinna być datowana Niepodległość Polski w tej wojnie, dzień, któremu równym może być tylko dzień 11 listopada roku 1918 – wygnania okupantów z Polski. Niestety – jakże smutną jest dla Polski ta szósta rocznica tego dnia. Niestety –

zdobywając wolą Narodu, wcieloną w czynie Piłsudskiego, Niepodległość własną, Polska, po osiągnięciu bytu państwowego, nie potrafiła uszanować takiejże woli Niepodległości ludów sąsiednich na wschodzie i miast sprawę Wolności własnej spoić w swej polityce wschodniej ze sprawą Wolności tychże ludów, usiłowała nanizać ich byt, jak paciorki, na sznur mocarstwowej koncepcji polskiej, czyniąc z nich nie współpracowników, lecz posłusznych sobie wasali. Toteż zamiast wielkiej wolnej kooperacji ludów, kojarzącej się dokoła ośrodka polskiego, jak o tym marzył Piłsudski, doczekała się Polska osamotnienia i zerwania ludów z jej sprawą, a dziś, upokorzona i rozbita, kruszy się pod stopą nawały bolszewickiej. Obecna porażka Polski jest zarazem, niestety, jej polityki bankructwem. Smutna jest w Polsce rocznica dzisiejsza. Zbiega się ona z hiobowymi wieściami, które na los rzucają stolicę Polski – Warszawę. W gazetach ukazała się dziś depesza, pochodząca tymczasem jeszcze ze źródeł niemieckich, z Berlina, o tym, że bolszewicy przełamali front polski na linii Ostrołęka-Ostroburg (?), wskutek czego zmusili Polaków do cofnięcia się na linię Wisły; rząd polski i przedstawiciele Ententy uciekają z Warszawy, która przez to została bezpośrednio zagrożona; stolica przeniesiona została do Krakowa. Wieść ta wywołała w Kownie duże wrażenie. Śród Polaków – konsternacja. Pod nazwę Ostroburg domyślam się tu Ostrowia Łomżyńskiego, ale, moim zdaniem, jest to nie Ostrów, lecz jakaś miejscowość na pograniczu pruskim; ja więc rozumiem, że przełamanie frontu, o którym mowa, nastąpiło między Ostrołęką a granicą pruską i że bolszewicy posuwają się na przecięcie kolei Ciechanów-Mława, łączącej Warszawę z Gdańskiem, i na Modlin-Płock ku Wiśle. Że takim jest kierunek tego uderzenia, wnioskuję stąd, że jest on logicznym rozwojem całej dotychczasowej metody bolszewickiej oskrzydlania lewego skrzydła polskiego, co odpowiada też wskazanej wczoraj linii Ostrołęka-granica pruska. Godzi się to także z dominującym charakterem kawaleryjskiej akcji bolszewików, która może się rozwijać skutecznie właśnie w ruchach oskrzydlających, gdy natomiast wątpliwym byłoby, aby odważyli się oni wciskać głębokim klinem Ostrołęka-Ostrów, mając po obu stronach – w guberniach płockiej i w siedleckiej oraz lubelskiej – wojska polskie. Zresztą przy uderzeniu z Ostrołęki na Ostrów trafiliby w klin między Narwią a Bugiem, nie zaś wprost na Wisłę. Toteż moje domniemanie – że idą na Modlin-Płock, co oczywiście zagraża Warszawie, oskrzydla ją i zmusi do dalszego w centrum automatycznego cofania się z Bugu na Wisłę. Tak więc już Warszawa na karcie! Komendant bolszewicki Mieżlaukis z Wilna, który dziś znowu do Kowna przybył, oświadcza, że Warszawa może już w ciągu trzech dni upaść.
Wracam znowu do sprawy mojej broszury o kwestii wschodniej w Litwie. Niestety – wątpię, czy ona ujrzy światło publiczności w postaci słowa drukowanego. A pragnąłbym tego bardzo, bo, zdaje się, chwila objęcia przez Litwę Wilna i powiatów wschodnich zbliża się; obawiam się zaś, że rząd i społeczeństwo litewskie popełnią na wstępie błędy, które się potem mścić będą na współżyciu państwowym tych dwóch części Litwy. Naród litewski, zbyt ufny w powodzenie układów międzynarodowych, może nie docenić momentu psychicznego, na którym jedynie może się zakładać trwale spójnia państwowa. Litwa Wschodnia różni się od zachodniej mocno wewnętrznym układem stosunków narodowych, toteż jej zarząd i stosunek do państwa musi być oparty na uszanowaniu jej indywidualności i oddaniu wyrazu. Gdyby miały być na nią rozciągane mechanicznie urządzenia i formy, które wyrosły z odrębnego układu stosunków w Litwie Zachodniej, byłoby to nie spajaniem jej z państwem, lecz zapanowaniem nad nią, co trwałym by być nie mogło. W tej chwili, gdy Litwa święci dyplomatyczny triumf, będzie ona nim tak może olśniona, że bagatelizuje wagę momentu psychicznego. Umysł ludzki, a więc tym bardziej logika myślenia zbiorowego, jest tak zbudowany, że w chwili powodzenia nie lubi przezornych

przewidywań i bierze fakty doraźne za rzeczy ciągłe i stałe. Chociaż więc nie łudzę się, żeby moja broszura mogła od razu nawrócić wszystkich Litwinów, przekonać ich i zapobiec ich błędom, jednak rzuci ona ziarno rozwagi, da nasienie myśli zdrowych tak dla jednej, jak dla drugiej strony. To uważam za bardzo wskazane w tej niezmiernie ważnej chwili pierwszego kontaktu państwowego dwóch powaśnionych części kraju. Nasienie myśli będzie kiełkowało.

7 sierpnia, rok 1920, sobota
Wieści w wojny dla Polski wprost fatalne. W gazetach właściwie nie ma nic nowego, jeno są wieści ustne. W gazetach są podane jeno ostatnie komunikaty wojenne, które, zanim z Moskwy lub Warszawy dotarły do Kowna na szpalty pism litewskich, datują się sprzed kilku dni. Podług tych komunikatów, potwierdza się zajęcie przez bolszewików Łomży, mówi się o posuwaniu się ich na Ostrów Łomżyński i na Siedlce, o zajęciu przez nich na Wołyniu Kowla i Łucka. Są to na ogół drobne względnie epizody postępującej ciągle ofensywy, ale nie poszczególne wypadki przełomowej wagi. Natomiast wieść ustna przynosi dziś nowinę natury przełomowej – zajęcie Warszawy. Nie jest to tylko pogłoska; jest to wiadomość, którą, jako ścisłą, komunikują z ambasady angielskiej, z ambasady niemieckiej, z komendantury miasta Kowna. Podobno rzecz się dokonała w ten sposób, że w ostatniej chwili, czy to po ucieczce, czy w toku przygotowań do wyjazdu władz państwowych polskich z Warszawy do Krakowa – wybuchła w Warszawie rewolucja i została obwołana tzw. Republika Rad („Sowiecka") Polska na modłę bolszewicką, oparta na dyktaturze proletariatu. Rząd polski stary („burżuazyjny") uciekł do Krakowa, ale podobno i w Krakowie jest wrzenie, i tam jest oczekiwane obwołania akcesu do rewolucji. Rewolucyjny sowiecki rząd w Warszawie podobno sam wezwał niezwłocznie wojska bolszewickie, które wczoraj wkroczyły do Warszawy. Tak więc dzień 6 sierpnia, rocznica wymarszu Piłsudskiego na czele strzelców sprzed 6 lat pod hasłem Niepodległości, stał się dniem militarnej klęski Polski i przewrotu! Wielhorski, który mi dziś pierwszy tę wieść zakomunikował, opowiada, że Republikę Rad ogłosili w Warszawie „Żydzi" i że oni, Żydzi, wezwali do Warszawy bolszewików; dodał też, że Niemcy, pozorując na zewnątrz neutralność wobec wojny polsko-rosyjskiej, faktycznie wspomogli bolszewików poprzez granicę pruską amunicją i wojskiem. Co do Niemców, to byłoby to możliwe, choć skądinąd rozszerzenie się bolszewizmu na Polskę, a zwłaszcza w razie pewnego cichego kontaktu niemiecko-bolszewickiego, groziłoby im bezpośrednio rozlaniem się tej fali i na same Niemcy. Co zaś do „Żydów", to choć z pewnością wzięli udział wybitny w wybuchu rewolucji warszawskiej, jednak nie sądzę, żeby można było wszystko na karb wyłącznie Żydów złożyć! Ferment komunistyczno-rewolucyjny był w Polsce od dawna, ostatnie wypadki musiały go podniecić, represje ostatniego rządu pod hasłem obrony państwa musiały wrzenie zaognić, a co więcej – jestem przekonany, że ferment ten przedostać się musiał i do wojska, bo inaczej trudno byłoby wytłumaczyć nie tylko to nadzwyczajne cofanie się wojsk polskich w ciągu miesiąca, ale tym bardziej zawezwanie bolszewików przez komunistów warszawskich do Warszawy wtedy, gdy między Warszawą a linią bolszewicką musiały gdzieś stać i wojska polskie. Kto wie, czy wojska polskie, które wpierw tylko „nie chciały się bić", nie bratają się już z bolszewikami! Sytuacja jest tragiczna. W najbliższej perspektywie oczekiwać należy wojny domowej w Polsce, przeciwstawienia się białych czerwonym, powtórzenia się tych ognisk walki zbrojnej kontrrewolucji z rewolucją, któreśmy obserwowali do niedawna w Rosji w postaci różnych odruchów Kołczaka, Judenicza, Denikina i dziś jeszcze Wrangla na Krymie. W rewolucji polskiej toną też perspektywy pokoju, bo wątpię, aby bolszewicy, miast uznania rewolucyjnego komunistycznego rządu

polskiego, wchodzili w pertraktacje i układy z kontrrewolucyjnym starym rządem polskim, zachwianym z zewnątrz i wewnątrz, szczególnie gdy sami komuniści polscy, jak zaprosili ich do Warszawy, tak wezwą ich pomocy dalszej do zgniecenia i wygnania z ziem polskich rządu burżuazyjnego. W konsekwencji więc wojna domowa w Polsce. Wynik jej w tym stanie rzeczy przewidzieć nietrudno – a dalej? Zalanie rewolucją komunistyczną Polski jest rzuceniem żagwi pod strzechę słomianą Europy Środkowej. A Litwa? Litwa dziś się cieszy i święci powodzenie dyplomatyczne, bo oto zawarty został z udziałem Mieżlaukisa układ litewsko-bolszewicki, którego mocą ustalone zostały warunki ewakuacji Litwy Wschodniej przez bolszewików. Całe zajęte terytorium Litwy podzielone zostało na trzy strefy. Strefa północna do jezior Świr i Narocz będzie ewakuowana przez bolszewików bezwzględnie natychmiast tak, że w ciągu trzech dni – do poniedziałku – bolszewicy się usuną. Strefa druga, do której wchodzi Wilno, a która na linii kolejowej mołodeczańskiej przechodzić będzie przez stację Gudogaj, na linii lidzkiej – przez Soleczniki i na linii grodzieńskiej – przez Porzecze – ewakuowana będzie stopniowo do dn. 1 września, trzecia zaś strefa – reszta Litwy – pozostaje tymczasem w ręku bolszewików na czas nieokreślony. Że bolszewicy wypełnią warunki, że się wycofają, że będą mieli tyle taktu i sprytu, aby nie rzucić się na Litwę – w to wierzę zupełnie. Ale jakie będą perspektywy? Litwa wyspą białą albo nawet różową w morzu czerwonym – pozostać nie będzie mogła. Fale komunizmu, gdy ją otoczą z dwóch stron i szumieć będą w Rosji i Polsce, w ten czy inny sposób zaleją Litwę. Jestem o tym przekonany. Los Litwy nie rozstrzyga się osobno, jeno w całokształcie światowego zagadnienia rewolucji. Gdy dwa domy z dwóch stron płoną, trzeci dom, położony w pośrodku, ostać się nie może. Nie ustrzeże się płomienia.

8 sierpnia, rok 1920, niedziela
Dziś wczorajsza wiadomość o rewolucji warszawskiej i wkroczeniu bolszewików do Warszawy – jest kwestionowana. Okazuje się, że żadnego urzędowego potwierdzenia tej wiadomości znikąd nie ma i że jest to jedna z pogłosek. Może jest ona prawdziwą, a może powstała tylko z paniki, jaką wywołało w Warszawie zbliżenie się bolszewików, wyjazd przedstawicieli mocarstw zachodnich i – zdaje się – ucieczka rządu do Krakowa. Panika często rodzi wieści o faktach, które nie były, jeno się przywidziały przerażonym w ucieczce tłumom. Są też i inne pogłoski. Słyszałem na przykład od Ślażewicza, że była wczoraj wieść taka, iż to nie rewolucja komunistyczna, ale przewrót esdecki miał miejsce w Warszawie; że podobno esdecy obalili rząd Witosa, odebrali władzę od Piłsudskiego i zagarnęli ją sami. Prawdopodobnie jednak coś było w Warszawie, gdy się nagle tak posypały osobliwe pogłoski. Ale pewniej będzie zaczekać na wiadomości dokładne, które prawdopodobnie w najbliższych dniach wyjaśnią sytuację. Gazet dziś miejscowych z powodu święta nie było. W ostatnich gazetach berlińskich, które tu dotarły, mówi się dużo o próbie oporu polskiego na linii bagien rzeki Pissy; wymienia się cały szereg znanych mi miejscowości pod Kolnem, na których się wywiązywały walki, jak Wincenta, Kozioł, Ptaki. Z dalszych wszakże opisów należy wnosić, że bolszewicy linię Pissy sforsowali i że walki posunęły się dalej – na Myszyniec, na Chorzele, na Przasnysz.
Dniu dzisiejszemu towarzyszy w dzienniku symboliczny znak. Jest to znak posiedzenia loży. Posiedzenie odbyło się w mieszkaniu brata Janulaitisa. Obecnych było tylko pięciu braci: ja, Kairys, Bortkiewiczowa, Janulaitis i Siemaszko. Ślażewicz przybyć nie mógł, bo był zajęty pisaniem terminowego podania o ułaskawienie jakiegoś klienta, skazanego na śmierć przez sąd polowy. Šaulys bawi w Rydze jako przewodniczący delegacji litewskiej na konferencji państw bałtyckich. Bielski przyjść nie mógł ze względu na to, że jutro w sprawach państwowych wyjeżdża za granicę. Na przeszłym

posiedzeniu było postanowione omówić dziś program przyszłej działalności naszej. Polecone było zreferować tę sprawę mnie. Ja wszakże postanowiłem tę rzecz raz jeszcze ująć w płaszczyźnie zagadnienia samej racji bytu organizacji masońskiej u nas. Przede wszystkim bowiem trzeba uprzytomnić sobie, że dziś, jeżeli mamy istnieć, organizacja nasza będzie działać w warunkach i perspektywie zasadniczo różnych od tych, w jakich działała przed wojną. Wtedy wraz z całą masonerią w Rosji były ona w obozie opozycji, nawet – rewolucji. Cała masoneria w Rosji stawała do walki nie tylko z rządem, ale z ustrojem w państwie, była więc rewolucyjną, nasze zaś loże wileńskie szły jeszcze dalej, bo stojąc na stanowisku dążeń państwowych litewskich, nie tylko się przeciwstawiały ustrojowi, ale miały cechy antypaństwowe w Rosji i do rewolucji rosyjskiej państwowej wnosiły zastrzeżenia państwowych prądów litewskich i białoruskich. Natomiast dziś w Litwie nasz związek masoński nie tylko się nie ma państwu przeciwstawiać, ale przeciwnie, staje na stanowisku państwowym z myślą o wzmocnieniu tej państwowości i w szczególności – na co zwłaszcza kładł w rozmowie ze mną nacisk Ślażewicz – przepojenia państwa zasadami humanitarnymi, które są w samym założeniu masonerii. Oczywiście więc zadanie nasze jest zupełnie inne, choć założenia masońskie – te same. W każdym razie, nowe zadanie zasadniczo przekształca warunki i ocenę psychologii naszego bytowania. Co do konkretnego wyrazu tego zadania, to najwidoczniejszy jest dla nas wszystkich jeden: jest nim cel spojenia Litwy Wschodniej z całością państwa, a więc działanie na rzecz wytworzenia czynników tego spojenia w polityce państwowej i zdobycie na nią wpływu planowego. Zadanie to – ogromnej wagi – staje dziś przed Litwą, a nasz związek masoński, jako organizacja, łącząca elementy różnych narodowości, jest właśnie do tego zadania jakby umyślnie zastosowana, mogąc się stać kuźnicą i laboratorium wymiany zdań i wypadkowej godzącej w perspektywie państwowości i humanizmu prądy, idące ze stron różnych do państwowego współżycia narodowościowego.

9 sierpnia, rok 1920, poniedziałek
Wiadomość pozawczorajsza o wzięciu Warszawy przez bolszewików nie potwierdza się. Widocznie była ona przedwczesna. Niemniej sytuacja pod Warszawą jest poważna. Zajęty został Przasnysz i bolszewicy zbliżają się do Mławy i Ciechanowa, dążąc do przecięcia kolei na Gdańsk i kierując się prawdopodobnie na Modlin i Płock. Spod Przasnysza linia biegnie mniej więcej na Rożan, stamtąd przez powiaty ostrowski i węgrowski pod Sokołów (w komunikacie polskim powiedziano: „na zachód od Sokołowa"). Nad Bugiem linia biegnie gdzieś zachodnim brzegiem do miasteczka Kodeń nieco na południe od Brześcia. Od miasteczka Kodeń pod Włodzimierz Wołyński bolszewicy jeszcze Bugu nie przekroczyli. W Chełmszczyźnie więc nie ma ich jeszcze. W Galicji Wschodniej linia biegnie częściowo nad Seretem, częściowo nad Strypą pod Buczaczem. W okolicy Brodów, to znaczy na drodze do Lwowa, Polacy przed kilku dniami osiągnęli nawet sukces, byli odparli bolszewików i odzyskali Brody. Sytuacja wojenna w Galicji jest chwilowo mniej aktualna. Główna akcja koncentruje się na północnym odcinku – pod Warszawą.
Wracam do wczorajszego posiedzenia loży. Zadanie, które staje przed naszą organizacją masońską i które w tej chwili byłoby najbardziej konkretnym w możliwościach działania, mianowicie wpływ na kształtowanie się stosunków państwowych na wschodzie Litwy i na politykę państwową tamże, jest bardzo aktualnym i pilnym. Ale tylko w takim razie mogłoby ono być należycie wykonane, gdyby organizacja nasza była liczna, rozgałęziona w lożach, obsadzona ludźmi różnych narodowości stosownie do szczególnego układu narodowego na ziemiach Litwy Wschodniej. Trzeba nam mieć przedstawicieli nie tylko Litwinów, których nam nie

zabraknie, ale także Polaków, Żydów, Białorusinów. Wtedy w drodze nie samych tylko posiedzeń lóż, ale konwentów można należycie rozwinąć program i plan działania. Słabością naszą wobec wielkości i aktualności zadania jest to, że jesteśmy bardzo nieliczni, bo zaledwie połapaliśmy szczątki naszej dawnej organizacji i dopiero jedną tworzymy lożę, i że poza Litwinami nie mamy prawie nikogo nie tylko z braci, ale i z kandydatów. Rozszerzanie się zaś liczebne nasze nie może iść zbyt forsownie, bo przyjmowanie kandydatów jest u nas z konieczności, ze względu na staranne badanie kwalifikacji i na konieczność doboru ludzi o pewnej wartości nie tylko politycznej, lecz także ideowej i moralnej, stanowi procedurę przewlekłą. Z tych względów podniosłem wczoraj w loży wątpliwości co do skuteczności naszego dalszego bytowania. Z przyjemnością wszakże stwierdziłem, że przywiązanie do organizacji jest jednak u braci innych duże i że te wiązadła założeń, które nas spajają w loży, są braciom drogie. Wszyscy – najmniej Janulaitis, który najkrócej był masonem – gorąco poparli ponownie zachowanie organizacji. Postanowiono i przyjęto kandydatury obecnego premiera dr Griniusa i ministra spraw wewnętrznych, a do niedawna prokuratora Sądu Okręgowego w Kownie – Skipitisa. Ponieważ wszyscy bądź znamy ich obu osobiście, bądź wiemy o nich dokładnie, więc postanowiliśmy zaniechać w stosunku do nich normalnej procedury śledczej i bezpośrednio przyjąć ich na najbliższym posiedzeniu, polecając bratu Ślażewiczowi pomówienie z nimi i upewnienie się o ich życzeniu wstąpienia do nas. Z Polaków stawiałem kandydaturę Łukomskiego, ale upadła, bo nawet Litwini zarzucają mu, że siedzi na dwóch stołkach, że jest nieszczery, że nawet umie kłamać. Zresztą muszę przyznać, że sam się w toku ciągłego stykania z nim w Polskim Biurze Informacyjnym w całym szeregu posiedzeń w tygodniu ubiegłym przekonałem, że nie jest on wyraźny i jednolity i że wciąż stara się lawirować i uchodzić za „swojego" człowieka zarówno u tych, co jak Janczewski, Wielhorski, Budzyński, wciąż jeszcze ciążą do imperialistycznej koncepcji polskiej, jak u tych, co, jak ja, Zygmunt Jundziłł, poseł Grajewski, stoją wyraźnie na stanowisku państwowości litewskiej. Zresztą o Polskim Biurze Informacyjnym, o moim w nim udziale i po całej serii posiedzeń w przeszłym tygodniu – napiszę w tych dniach osobno. Gdy kandydatura Łukomskiego upadła, postawiłem kandydaturę Grajewskiego, którego bardzo cenię i jako głowę, i jako serce, i jako ogromną prawość charakteru. Kandydaturę Grajewskiego w zasadzie przyjęto i wyznaczono brata Kairysa do „śledztwa", to znaczy do przedwstępnego zbadania go. Chciałbym bardzo, abyśmy pozyskali Grajewskiego. Nie tylko go cenię, ale też przekonałem się, że szczerze jest on do Litwy przywiązany. Z kandydaturami żydowskimi jest źle. Litwini, którzy tu ich w Kownie znają, nie znajdują ani jednego odpowiedniego. Kandydatów białoruskich też nie ma wcale.

10 sierpnia, rok 1920, wtorek
Gazety – puste; żadnych nowych szczegółów z pola walki nie podają. Są tylko wieści o tym, że bolszewicy zwlekają umyślnie w skomunikowaniu się z Polakami w przedmiocie nawiązania rokowań o rozejm i o pokój. Polacy wnieśli o to skargę do Związku Narodów i pomawiają bolszewików o złą wolę – zresztą skarga to platoniczna, mająca co najwyżej znaczenie moralne, bo Rosja Sowiecka do Związku Narodów nie należy i kpi sobie zarówno z niego, jak z Ententy. W jednej z depesz jest mowa o tym, że Lenin gdzieś się wypowiedział, że gdyby dziś rozejm został z Polską zawarty, to czerwona armia bolszewicka nie usłuchałaby rozkazu i nie zatrzymałaby się. Jest to bardzo możliwe. Lwów i Warszawa – to dwa główne cele bolszewickie, a może jeszcze tzw. korytarz polski pod Gdańskiem, przecinający Niemcy od morza wzdłuż lewego brzegu dolnej Wisły.

Spotkałem dziś wieczorem u Zygmunta Jundziłła pewnego pana, który przybył dziś z Warszawy i wprost z dworca zaszedł do Jundziłła. Z Warszawy wyjechał we środę, jechał na Prusy na Tczewo i Królewiec, potem na Kłajpedę. Opowiada, że w armii polskiej jest wielka dezercja i niechęć do walki. W Warszawie przed tygodniem paniki jeszcze nie było, ale wiele osób wyjeżdża na zachód, pociągi są przepełnione. Warszawa i cała Polska na zachód jest zalana falą uchodźców ze wschodu, północy i południa, z Białej Rusi, z Litwy, z Ukrainy, z Galicji Wschodniej, z północno-wschodnich i wschodnich powiatów Kongresówki. Naturalnie, że w prasie warszawskiej i w opowieściach kursują niestworzone pogłoski o Litwie; opowiadają tam, że Kowno jest zajęte przez bolszewików, że rząd litewski upadł.
Od rana do godz. 4 ½ popołudniu siedziałem dziś w sądzie na sesji cywilnej, która odbywała się pod przewodnictwem sędziego Preissa z udziałem moim i Budreckiego. Nie zachwycam się siedzeniem na sesjach. O ileż wolałem moje sesje karne w Łomży, na których sam kierowałem obradami!
Nic dotychczas nie wiem o losie mojej broszury w sprawie Litwy Wschodniej. Może nie ujrzy ona wcale światła dziennego. Byłaby szkoda, bo przywiązuję do niej dużą wagę. Jest ona obecnie przeszło od tygodnia w ręku pana, a raczej księdza Puryckiego, litewskiego ministra spraw zagranicznych w gabinecie doktora Griniusa. Trafiła ona tam w sposób następujący. Gdy Šaulys z Kairysem po przeczytaniu jej orzekli, że całkowicie aprobują mój pogląd na sprawę, jednak sami sprawą wydania jej się nie zajęli. Šaulys skierował mię do towarzystwa wydawniczego „Švyturys” względnie poradził mi wydać ją na własną rękę, drukując w drukarni państwowej. Ze swej strony zapewnił mi na koszta wydawnictwa kredyt w ilości 5000 marek z własnych funduszów. Ale w „Švyturysie” powiedziano mi, że mają także mnóstwo rękopisów i takie trudności z drukiem i papierem, że mogliby wydać broszurę chyba na Boże Narodzenie, co oczywiście chybiłoby celu. Wydawać na własną rękę byłoby zbyt trudno, bo prawie że niepodobna dostać papieru, a zresztą Šaulys wkrótce wyjechał do Rygi na konferencję państw bałtyckich. Przed wyjazdem Šaulys skierował mię do Puryckiego, z którym o moim rękopisie rozmawiał. Byłem u Puryckiego w poniedziałek w ubiegłym tygodniu. Purycki przyjął mię z wyszukaną grzecznością, nie szczędził mi komplementów, wspominał o tym, że chciałby ze mną wejść w kontakt bliższy i porozmawiać obszerniej, że ewentualnie moja praca w Litwie byłaby ogromnie cenną i że o tym trzeba będzie się nam porozumieć. Co do rękopisu mego, to zostawiłem mu go na dni kilka do przejrzenia, po czym mieliśmy pomówić o wydaniu go. Zastrzegłem, że broszura nie mogłaby być wydana pod firmą wydawnictwa urzędowego i że oczywiście wyraziłem w broszurze pogląd mój własny, który zmianom ulec nie może. W ostatnich dniach kilka razy zgłaszałem się do Puryckiego, alem go nie zastawał, a w tych godzinach, gdy można go zastać, zwykle ja jestem zajęty. Purycki zaś widocznie, będąc sam bardzo zajęty, zbyt do serca mojej broszury nie bierze. Od ks. Tumasa wiem, że dał ją do przejrzenia p. Klimasowi, jednemu z wybitnych pracowników Ministerium Spraw Zagranicznych. Jutro będę się dowiadywał w tej sprawie. Jeżeli Litwini będą lekceważyć takie głosy, jak mój w tej broszurze, to popełnią wielki błąd polityczny. Nie powinni oni stosować miary ścisłości talmudycznej do tożsamości konkretnych wniosków politycznych moich z ich pozycją, bo nie to stanowi główną wagę w sprawie Litwy Wschodniej w takich broszurach, jak moja.

11 sierpnia, rok 1920, środa
Z dzisiejszych gazet jest wiadomość o przecięciu przez bolszewików linii kolejowej, łączącej Warszawę z Gdańskiem, to znaczy o zajęciu przez nich Mławy i Ciechanowa. Ciekawe, czy pójdą oni stąd dalej wzdłuż granicy pruskiej w kierunku na Toruń i na

„korytarz” polski do Gdańska, czy też zawrócą na Modlin, organizując się na forsowanie Warszawy. Na lewym brzegu Narwi, w klinie między Narwią a Bugiem, linia wciąż jeszcze się trzyma koło Ostrowia. W kierunku na Siedlce bolszewicy zajęli na Podlasiu Białą. Lokalne powodzenie polskie pod Brodami na drodze do Lwowa zostało uzupełnione przez odebranie bolszewikom Radziwiłłowa. W Galicji Wschodniej walki się toczą między Seretem a Strypą. Chociaż na ogół ofensywa bolszewicka w Polsce wciąż postępuje systematycznie i planowo, jednak bądź co bądź idzie tu ona już znacznie powolniej, niż szła na Litwie i Rusi, to znaczy że opór polski jest tam jednak większy. Zajęcie Ciechanowa i Mławy zdaje się być faktem w ofensywie bolszewickiej wybitnym, bo on dopiero zorientuje nas o dalszych planach kampanii bolszewickiej.
Otrzymałem dziś list od Jakszuka. Jest to pierwszy list ze szczegółami, jaki otrzymałem od czasu mego wyjazdu z Bohdaniszek. W Bohdaniszkach wszystko dobrze. List Jakszuka pełen optymizmu. Przysyła mi on też 1000 marek dla przesłania Papie do Wilna. O Papie w dzienniku, zdaje się, nie wspomniałem w ostatnich czasach. Otóż Papa nie przyjechał wcale z Wilna, pomimo że przed wycofaniem się z Wilna Polaków miał już przepustki na wyjazd do Kowna. Przypuszczamy, że ugrzązł w Wilnie i że do Polski nie uciekł. W Wilnie mieszkał u stryjenki Bolesławowej Römerowej, a ponieważ i ona, jak słychać, pozostała, więc prawdopodobnie Papa jest u niej. Próbowałem parokrotnie skomunikować się z Papą lub zasięgnąć o nim ścisłych informacji z Wilna, ale dotąd na próżno. Teraz, ponieważ Wilno wkrótce już będzie przez bolszewików ewakuowane, to zapewne i Papę uda się stamtąd sprowadzić do Bohdaniszek, o ile tylko jest w Wilnie.
Korzystając z wolnego od posiedzeń sądowych czasu, poszedłem dziś przed południem do siedziby rządu w gmachu byłej Taryby przy ul. Donelaitisa, aby wreszcie dowiedzieć się od Puryckiego o losie mojego rękopisu. Ponieważ miałem też interes do premiera gabinetu, dr Griniusa, więc udałem się wpierw do niego (chodziło mi o jednodniówkę polską dla Wilna, zaprojektowaną przez Morawskiego; podług słów Morawskiego, rząd miał udzielić kredytu na tę jednodniówkę, której potrzeba była uzasadniona zamknięciem przez bolszewików wszystkich nie-komunistycznych pism w Wilnie, i Grinius zgodził się na moją redakcję; gdyby do tej jednodniówki doszło, miałem zaprosić do współpracy Zygmunta Jundziłła, ks. Tumasa i Janulaitisa; okazało się jednak, że na skutek ostatniego układu z bolszewikami o ewakuacji Wilna, prasa wileńska została wznowiona, wobec czego sprawa jednodniówki upada). Będąc u Griniusa, dowiedziałem się, że mój rękopis jest u niego. Wziął go od Puryckiego do przejrzenia osobiście. Jeszcze nie przeczytał całego, dopiero początek. Do rękopisu były dołączone jakieś notatki z uwagami, pisanymi zapewne przez Klimasa, któremu, jak wiem, Purycki dawał mój rękopis do zaopiniowania. Z tego, co mi Grinius zaczął mówić, zrozumiałem, że stanowisko, które zająłem w moim rękopisie w sprawie Litwy Wschodniej, nie odpowiada poglądom, dominującym w rządzie. Po pierwsze – jest nieporozumienie, bo, jak zrozumiałem ze słów Griniusa, ci panowie uważają, że praca moja ma na względzie propagandę federacji z Polską, podczas gdy ja wręcz tzw. program federacyjny (program Piłsudskiego w stosunku do Litwy) – zwalczam i jeno w perspektywach przyszłości mówię o możliwości pożądanej w pewnych warunkach kooperacji ludów od Finlandii do Rumunii, ale nie to jest wcale założeniem i tematem mojej pracy. Po wtóre – widocznie cały mój program polityki państwowej w stosunku do wschodniej części kraju nie odpowiada myśli pana Puryckiego, a to zapewne dlatego, że ideą moją jest spojenie tych ziem z Litwą w drodze uszanowania ich indywidualności i oparcie stosunku ich do państwa, a raczej form tego na zasadach wolnego układu wewnętrznego, podczas gdy Purycki, jak się zdaje, szuka tego rozwiązania w drodze ujarzmienia elementu polskiego. Oczywiście w targ z Puryckim

lub rządem wchodzić nie będę, bo mi chodziło nie o to, żeby broszura była wydawnictwem rządowym, jeno o ułatwienie sposobu wydania jej jako mojego głosu własnego, mojej myśli i mojej swobodnej, obywatelskiej, a nie rządowej koncepcji. Wycofam więc ją stamtąd. Zostawiłem ją jeno na dwa dni Griniusowi, który mię prosił o danie mu osobiście możności przeczytania jej.

12 sierpnia, rok 1920, czwartek
W gazetach nic nie ma z wojny. Można to uważać za wskazówkę powodzenia polskiego, bo trzeba stwierdzić, że jednak na ogół chętniej się tu w pismach litewskich podają wieści o niepowodzeniu oręża polskiego, niż odwrotnie. Pozornie zdawać by się mogło, że to jest nielogiczne, bo wielkie zwycięstwo bolszewików zagrażałoby w konsekwencjach wszystkim państwom, sąsiadującym z Rosją, a zwłaszcza drobnym państewkom tzw. kresowym. Toteż, chociaż zwycięstwo bolszewików usunęło faktycznie Polskę z Wilna i ziem wschodnich, do których słusznie pretenduje Litwa, i dało Litwie, dzięki dogodnym warunkom pokojowym z Rosją, możność faktycznego objęcia tych terytoriów, kwestionowanych dotąd przez Polskę, jednak w interesie jej, jak też wszystkich państw pogranicznych, powinno być życzenie, aby zwycięstwo Rosji nie było zupełne i było szachowane przez opór Polski. Rosja bolszewicka bowiem jest antytezą samej idei demokratycznych państw narodowych i to antytezą taką, która, chociaż dotychczas wcielona została tylko w Rosji, kiełkuje jednak w łonie wszystkich narodów i państw, dążąc do rozsadzenia ich i do wcielenia się powszechnego. Dlatego też bezwzględne zwycięstwo bolszewickiej Rosji godzi w same założenia wszystkich państw, bez względu na ich indywidualność. Ale dotychczas powszechność niebezpieczeństwa bolszewickiego dla ustrojów państwowych narodowych nie została jeszcze w całej pełni uświadomiona, a przynajmniej narody burżuazyjne nie uwierzyły jeszcze w realizm tego niebezpieczeństwa. Gdyby to sobie uświadomiły i w to uwierzyły, to musiałyby zaniechać porachunków między sobą, by czasowo zespolić się do wspólnej odporności. Zanim to nie nastąpiło, rywalizacja wzajemna i porachunki stoją na pierwszym planie. Polska dotychczas nie wyrzekła się formalnie Wilna i litewskich powiatów wschodnich, a dopóki tego nie uczyniła, dopóty Litwa ma podstawy do obawiania się jej i nie może bez obaw myśleć o tym, co by nastąpiło, gdyby Polska zdołała się jeszcze zdobyć na zwycięstwo nad bolszewikami. A gdyby nawet Polska, zmuszona okolicznościami, wyrzekła się formalnie swoich roszczeń do Wilna i litewskich ziem wschodnich, to i wtedy jeszcze któż by mógł Litwie zaręczyć, że przy pierwszej okazji w zmienionych warunkach nie nawróci do swych roszczeń dotychczasowych, które tkwią w psychologii narodowej polskiej i nawet w stosunkach gospodarczych i politycznych Polski głębiej, niż akty formalne, dyktowane względami chwili. Dlatego też stosunek Litwy do wojny polsko-bolszewickiej jest dwoisty: niebezpieczne jest zwycięstwo bolszewickie, ale zwycięstwo polskie jest niebezpieczne również, o ile się z nim mogą łączyć recydywy polskiej polityki na wschodzie. A recydywy te w tendencjach polskich są żywe i wykreślone z nich nie zostały. Litwinom więc chodzi o to, aby to, co nie daje się wykreślić z tendencji polskich państwowych, zostało wykreślone przynajmniej ze sfery aktualnej możliwości, by tymczasem Litwa mogła ugruntować się na swoich ziemiach wschodnich państwowo. Dlatego też Litwini wciąż się, pomimo niebezpieczeństwa bolszewickiego, nie mogą zdecydować na sprzyjanie orężowi polskiemu w tej wojnie, mimo że się już ona na ziemiach polskich toczy. Rozumiem w zupełności ich psychologię i nie przeczę, że ja sam osobiście w zakresie moich sympatii państwowych na rzecz spojenia z Litwą ziem wschodnich tak samo rozumuję i czuję. Niebezpieczeństwo bolszewickie jest wielkie, ale jest ono innego rzędu. Jest ono kataklizmem, który może runie na całą Europę, zaleje ją i

przejdzie wichurą. Dużo może on zniszczyć, ale wcześniej czy później wody tego potopu spłyną, a wtedy wyłonią się te same problemy i porachunki między narodami, jakie są teraz i które są trwałe. Kwestie, płynące ze stosunków polsko-litewskich, są w sferze społeczności burżuazyjnej narodowej stałe, niebezpieczeństwo zaś bolszewizmu jest tylko niebezpieczeństwem kataklizmu, a panowanie Rosji, jako państwa narodowego, jest dla Litwy bodaj mniej niebezpieczne, niż zakusy polskie na Wilno i powiaty wschodnie.
Rozumiem to. Ale właśnie dlatego, by Litwa mogła spoić ze sobą ziemie wschodnie, to znaczy zasymilować je państwowo, powinna ona nie zapanować nad nimi mechanicznie, lecz ustosunkować się do nich na zasadach współpracy w państwie. Do tego zmierza właśnie moja broszura i stąd płyną moje wskazania co do programu polityki państwowej na wschodzie. Jeżeli Litwa zaniedba tej drogi, może przegrać sprawę na wschodzie. A poza tym, jest jeszcze moment inny. Mogą być różne pojmowania zadań i programu polityki państwowej litewskiej na wschodzie – to rzecz polityki wewnętrznej. Wszakże najważniejszym momentem co do mojej broszury jest ten, że teraz, gdy Polska kwestionuje jeszcze Wilno na konferencji bałtyckiej, broszura ta stwierdzałaby głos z łona Polaków litewskich, traktujący sprawę tę wyłącznie w obrębie państwowości litewskiej, w perspektywie polityki wewnętrznej, a więc poza wszelkim jej kwestionowaniem państwowości. Sfery rządowe litewskie nie doceniają tego momentu.

13 sierpnia, rok 1920, piątek
Komunikaty wojenne obu stron wojujących, ogłoszone w dzisiejszych gazetach (w „Lietuvie"), wspominają znów o walkach pod Ciechanowem i Mławą na prawym skrzydle bolszewickim, dalej między Narwią a Bugiem żadnych konkretnych miejscowości nie wymieniają; na lewym brzegu Bugu walki się toczą na zachód od Węgrowa i na wschód i na południe od Siedlec; stamtąd linia idzie na Włodawę i dalej mniej więcej wzdłuż Bugu; w okolicach Sokola linia odchyla się od kierunku wschodnim i przechodzi gdzieś przez Świniuchy i Gorochów na Wołyniu; o sytuacji pod Brodami, gdzie ostatnio Polakom się powodziło, wyraźnych wskazówek nie ma; w Galicji Wschodniej linia biegnie między rzekami Seretem i Strypą; bolszewicy w komunikacie swoim wspominają o ataku na Buczacz. Centrum walki i postępu bolszewików zdaje się być w tej chwili Chełmszczyzna północna, Podlasie i okolice na północ od Warszawy w promieniu mniej więcej od Węgrowa do fortyfikacji prawego brzegu Narwi, których uwieńczeniem jest Modlin.
Wycofałem dziś mój rękopis broszury w sprawie Litwy Wschodniej od doktora Griniusa. Straciłem nadzieję, by mi się go udało wydać. Ponieważ jednak przywiązuję do niego wagę, ponieważ mam przekonanie, że myśli, które w nim poruszyłem, są bardzo żywotne, chciałbym go w jakikolwiek sposób zużytkować. W tym celu jeszcze pozawczoraj udałem się do ks. Tumasa i zaproponowałem mu urządzenie wieczoru dyskusyjnego na temat kwestii wschodniej w Litwie z moim referatem na wstępie. Za referat posłużyłby mi ten rękopis. Ks. Tumas zgodził się na to chętnie i zaproponował taki wieczór na przyszłą środę. W niedzielę mam się z nim porozumieć ostatecznie i dowiedzieć, czy wieczór taki da się urządzić. Tumas chciał, aby to był referat publiczny ze wstępem wolnym, ale ja oświadczyłem, że wolę referat z dyskusją niepubliczną w ściślejszym, choćby licznym, kole ludzi zaproszonych z różnych stronnictw, obozów i kierunków litewskich oraz z dopuszczeniem nań Polaków. Z paru względów wolę, aby ten wieczór na razie nie był publiczny. Po pierwsze, moje stanowisko sędziowskie utrudnia mi występowanie publiczne w zagadnieniach politycznych, które są jeszcze sporne i mogą budzić rozmaite ostre różnice zdań, a po wtóre, w kwestii tak ważnej

wolę na razie poddać wnioski moje opinii i uwagom ściślejszego koła ludzi, bo może sam jeszcze pod wpływem dyskusji skoryguję te wnioski; bądź co bądź, jestem jeszcze w kraju nowicjuszem i nie uważam za wskazane rzucać pierwszej wiązanki moich wniosków na szalę wielkiej dyskusji publicznej, gdy stanowią one dopiero próbę ujęcia tematu. Z tych względów także, zamierzając wydać broszurę, nie chciałem jej podpisywać imieniem i nazwiskiem moim, dając jej li tylko wyraz bezimiennego głosu Polaka-obywatela Litwy.
W rozmowie ks. Tumas wspomniał mi, że, jak powiada, ze strony pewnych kół są czynione intrygi przeciwko mojej osobie, skierowane do zdyskredytowania mię. Być może. Sądziłem, że jeżeli tak jest, to intrygi takie pochodziłyby z pewnych kół litewskich, a mianowicie takich, które są usposobione ultranacjonalistycznie i zdecydowanie wrogo do wszelkich idei porozumienia litewsko-polskiego w kraju i które przeto, czując w moim stanowisku obywatelskim czynnik pojednawczy i kojący, niejako most współżycia obywatelskiego powaśnionych synów wspólnej Ojczyzny, węszą we mnie niebezpieczeństwo uśpienia czujności litewskiej i dlatego, w imię tej czujności, ich zdaniem – koniecznej, chcieliby z góry zaszczepić Litwinom nieufność do mnie. Nie wątpię, że tego rodzaju stosunek do mnie może być w pewnych ultranacjonalistycznych kołach litewskich zjawiskiem rzeczywistym. Nawet kiedyś przed wojną, gdy jeszcze waśń polsko-litewska nie była w kraju tak ostra, jak jest nią teraz, zdarzało mi się taki stosunek doświadczać ze strony takich ludzi, jak ks. Dąbrowski-Jakštas, jak Antoni Smetona. Ale ks. Tumas miał, jak się okazuje, na myśli „intrygę" innego rodzaju. Są to usiłowania zdyskredytowania mnie w opinii Litwinów, płynące z pewnych źródeł polskich. Ks. Tumas nadmienił, że gdy w pewnej rozmowie Litwinów z Polakami cytowano ze strony litewskiej mnie jako przykład Polaka, który umie pogodzić swoją polskość z konsekwentnym stanowiskiem obywatelskim litewskim, odpowiedziano ze strony polskiej insynuacją, że Litwini są naiwni, jeżeli mi wierzą, bo pod pozorami obywatelskimi ukrywam tendencje zgoła inne i Litwini sami się przekonają, że jestem dla nich niebezpieczniejszy od tych Polaków, co otwarcie są do państwowości litewskiej w opozycji. Ciekaw jestem, z jakich to kół polskich płynęło. Wieczorem były pogłoski, powołujące się na źródło misji francuskiej, że bolszewicy zajęli – Radzymin. Jeżeli to prawda, byłby to dowód wielkiego postępu ofensywy bolszewickiej. Radzymin – to już pod samą Warszawą, u jej przedmieść niemal. Nie jest wykluczone, że to może być prawda, bo jeżeli wziąć w przekroju linię, łączącą Ciechanów z Węgrowem, to Radzymin nie jest daleki od niej.

14 sierpnia, rok 1920, sobota
Dzisiaj w gazetach znowu wiadomości dla Polaków bardzo ciężkie. Ogłoszony komunikat polski i komunikat bolszewicki. Potwierdza się wczorajsza wieść wieczorna o Radzyminie. Bolszewicy są pod samą Warszawą. Na prawym skrzydle bolszewickim linia stoi nadal na Mławie i Ciechanowie. Dalej wzięty Maków, wzięty Pułtusk. Dalej, na odcinku warszawskim linia walk, podług komunikatu polskiego, przechodzi przez Wyszków, Tłuszcz, Kałuszyn, Żelechów. Linia ta otacza półkolem Warszawę w najbliższym od niej sąsiedztwie. Komunikat bolszewicki uzupełnia tę linię wiadomością o wzięciu Radzymina, co jeszcze bardziej zbliża ją do Warszawy. Linia ta tuż-tuż dochodzi do Wisły. Kałuszyn wskazuje, że Siedlce są już w ręku bolszewickim i przeto całe Podlasie jest już stracone. Nie jestem pewny, gdzie jest Żelechów. Na mojej mapie znajduję na zachód od Łukowa i na północ od Dęblina miejscowość, oznaczoną nazwą „Żelejów". Przypuszczam, że jest to Żelechów właśnie. W takim razie i Łuków byłby w ręku bolszewików. Linia Ciechanów-Radzymin-Kałuszyn-Żelechów jednym skrzydłem czy węglem mierzyłaby w Modlin, drugim – w Dęblin, trzymając w szachu obie

twierdze wiślane, podczas gdy centrum jej godzi z frontu na Warszawę. Od Żelechowa linia zawraca na południowy wschód i biegnie nad Bug na Włodawę, która jest przez bolszewików wzięta. Pośrednio więc już nie tylko Chełm, ale i Lublin – są zagrożone. Dalej linia biegnie Bugiem w okolice Sokala. Niedaleko stąd, na północnym wschodzie Galicji, między Sokalem a Brodami, komunikaty wymieniają walki na linii Radzieszów (czy Radziechów)-Toporów; wskazuje to, że Brody znów przeszły w ręce bolszewickie. Pod Tarnopolem i Buczaczem są walki, ale jeszcze nic wyraźnego. Jeżeli tak dalej pójdzie, to zajęcie Warszawy może być już kwestią tylko bardzo krótkiego czasu. Chociaż na przeszkodzie stoi linia Wisły, trudna do sforsowania i przebycia, jednak przy jednoczesnym uderzeniu na Modlin i Dęblin i wobec dziwnie słabego oporu Polaków na tym stołecznym i politycznie bodaj najważniejszym odcinku frontu, trudno liczyć na przeszkodzenie zajęcia przez bolszewików Warszawy. Zresztą zdaje się, że Polacy kładą większy polityczny nacisk na obronę Lwowa, niż na obronę Warszawy. Pochodzi to prawdopodobnie z tej świadomości, że Warszawa politycznie kwestionowana Polsce być nie może, choćby była militarnie stracona, podczas gdy Lwów jest kwestionowany bardzo poważnie i gdyby był stracony – rewindykować go w drodze politycznej i międzynarodowej byłoby bardzo trudno. Dlatego też Lwowa pragnęłaby Polska bronić za wszelką cenę, choćby z narażeniem Warszawy, byle go z rąk nie wypuścić. Wieczorem zaczęto dziś mówić, że przyszła wiadomość o zawartym przez Polskę zawieszeniu broni z bolszewikami. Czy to prawda – nie wiem. Tyle już pogłosek okazywało się przedwczesnymi.
Myślę o przeniesieniu się na stanowisko sędziego okręgowego do Wilna, jak tylko Sąd Okręgowy zacznie się tam organizować. Choć już rychło Wilno ma być ewakuowane i choć było już ogłoszone, że sądownictwo bolszewicy ustąpili już tam Litwie, jednak dotąd nie słychać, aby rząd konkretnie zaczął organizować sądownictwo wileńskie, a przynajmniej Sąd Okręgowy. Zresztą wobec szalonego braku wykwalifikowanych sił prawniczych, a nawet praktyków sądownictwa, choćby nie-prawników, braku, który już na dotychczasowym terytorium Litwy daje się dotkliwie we znaki, zorganizowanie i uruchomienie sądownictwa w Wileńszczyźnie będzie zadaniem nie lada. Pragnąłbym bardzo być powołanym do udziału w samym organizowaniu sądownictwa w Wilnie. Nie wiem jednak, czy miarodajne koła litewskie będą uważały za „bezpieczne" dla interesów państwowych dopuścić do udziału w tej pracy organizacyjnej mnie jako Polaka, bez względu na moje stanowisko państwowe litewskie. Moim zdaniem, powołanie do udziału w pracy organizacyjnej choć kilku Polaków, tak już, zdawałoby się, pewnych, jak ja, uczyniłoby jeno wrażenie dodatnie na ludność tameczną, ale wszak napraszać się nie będę. Litwini, zdaje się, są tak pewni swego, że błędu tego się nie obawiają. W każdym razie sądzę, że jeżeli nie do udziału w organizowaniu, to przynajmniej na stanowisko sędziego przyjmą mię do Wilna chętnie. Z tego względu wczoraj oświadczyłem ministrowi sprawiedliwości Karoblisowi urzędowo, że zgłaszam moją kandydaturę na sędziego okręgowego do Wilna. Karoblis przyjął to do wiadomości. Zygmunt Jundziłł także skłania się do wstąpienia do Sądu Okręgowego w Wilnie. Namawiam go do tego ze wszech sił.
Wczoraj zacząłem, a dziś dokończyłem pierwszy wyrok motywowany w języku litewskim w sprawie karnej. Jest to mój pierwszy debiut po litewsku w motywowaniu wyroków, w czym celowałem zawsze. Zdaje się, że potrafiłem jednak uporać się nieźle z formą językową litewską.

15 sierpnia, rok 1920, niedziela
Z wypadków wojennych – nie wiem żadnych nowin. Gazet ze względu na niedzielę – nie było.

Poszedłem dziś pod wieczór do ks. Tumasa, by się dowiedzieć w sprawie zaprojektowanego przeze mnie referatu dyskusyjnego. Tumas mi powiedział, że owszem – na ich zebraniu partyjnym (partii „Pažangi” której organem jest redagowane przez Tumasa „Tauta”[70] przyjęto propozycję takiej pogadanki dyskusyjnej bardzo chętnie, tym bardziej, że wszyscy są bardzo ciekawi poznać moje poglądy i moje obecne oblicze ideowe w sprawach litewskich i sprawie stosunku do Polski. Dowiedziałem się przy tej sposobności od Tumasa rzeczy ciekawych, o których nie wiedziałem. Okazuje się, że moja osoba jest przedmiotem rozmaitych wniosków i opinii w kołach politycznych litewskich. Tumas powiada, że moja kandydatura jest bardzo poważnie stawiana na stanowisko, jak się wyraża, „generał-gubernatora” Wilna, to znaczy coś w rodzaju namiestnika czy może raczej pełnomocnika rządu litewskiego na Wilno i na dzielnicę wschodnią, wyzwoloną spod okupacji polskiej i bolszewickiej. Myśl o potrzebie mianowania takiego specjalnego zastępcy rządu na Wilno datuje się już od kilka tygodni. Myślą o tym Litwini, z podobnym też projektem występuję ja w mojej broszurze, proponując utworzenie osobnego ministerium dla dzielnicy wschodniej na czas przejściowy, i projekt ten został z mojej inicjatywy adoptowany przez Polskie Biuro Informacyjne, które zresztą potem rozszerzyło go na pojęcie całkowitej osobnej administracji dla Litwy Wschodniej, administracji z władzą niemal ustawodawczą, przesadzając, moim zdaniem, w tym kierunku, bo czyniąc z tego projektu *à priori* precedens separatyzmu kantonalnego. W pojęciu litewskim chodziłoby o rzecz skromniejszą – o pełnomocnika rządu, nie zaś o zarząd całkiem osobny z osobnym ustawodawstwem. Takim pełnomocnikiem rządu najpopularniejszym, na którego obie strony najchętniej by się zgodziły, byłby Michał Biržiška, który ma uznanie za swoją dotychczasową działalność w Wilnie u Litwinów i któremu ufają Polacy litewscy i Wilnianie, znając jego tendencje pojednawcze i jego zrozumienie i czucie psychiki i kultury Polaków litewskich. Przez cały czas rządów polskich w Wilnie Biržiška był faktycznie takim mężem zaufania rządu litewskiego, ale teraz pełnomocnictwa tego zrzekł się, bo wypadki i trudna rola w czasie okupacji polskiej wyczerpały jego siły. Słychać było, że rząd litewski myślał następnie o powołaniu na to stanowisko bądź Norejki, bądź Antoniego Smetony, ale obie te kandydatury nie zadawalały lewicy litewskiej, a zresztą obaj kandydaci zrzekli się, jak się zdaje, proponowanego im stanowiska. Otóż nie wiedziałem wcale, że w kołach litewskich jest omawiana kandydatura moja. Tumas twierdzi, że są bardzo poważne prądy do powołania mnie do tej roli, ale że skądinąd podnoszą się przeciwko mojej kandydaturze bardzo poważne zastrzeżenia i obawy. Mianowicie przeciwnicy mojej kandydatury podnoszą to, że służyłem w Legionach Polskich, że w roku zeszłym przyjeżdżałem do Kowna z propozycjami od Piłsudskiego, że długi czas, kiedy się tu właśnie wytwarzała państwowość litewska, nie byłem obecny w kraju, że wreszcie byłem w Łomży na służbie państwowej polskiej. Obawiają się więc, że przesiąkłem ideologią państwową polską, że stałem się dziś innym człowiekiem, niż byłem przed wojną, a może nawet wróciłem do Litwy z jakąś tajną misją polską albo z tajnymi zamiarami działania wewnątrz kraju. Nie dziwię się bynajmniej tym zastrzeżeniom i rozumiem, że u Litwinów powstają obawy, czy te ostatnie lata nie wpłynęły w ten sposób na moją ideologię, że byłoby dziś niebezpiecznie polecać mi tak odpowiedzialne stanowisko, nie sprawdziwszy moich przekonań i dążeń w sprawie państwowości litewskiej. Toteż dlatego tym bardziej ciekawi są Litwini mojego odczytu, by mieć możność poznania i poniekąd przeegzaminowania moich dążeń, sympatii i poglądów. Chcę stawiać rzecz otwarcie. Niech Litwini poznają, jakim jestem, a ja z mojej strony będę miał możność

---

[70] „Tauta“ – organ prasowy „Pažangi“.

poddania próbie moich wniosków co do Litwy Wschodniej i może sam na skutek dyskusji coś w nich zmienię. Nie chodzi tu o to specjalne stanowisko „generał-gubernatorskie”, które wątpię, bym przyjął, lecz o porozumienie się co do założeń współpracy obywatelskiej, która się w różnych kształtach wyrażać będzie.

16 sierpnia, rok 1920, poniedziałek
Od rana dziś mówiono, że nadeszły wiadomości o wzięciu Warszawy przez bolszewików. Popołudniowa „Lietuva” potwierdziła tę wiadomość. Została ona podana nie w postaci depeszy urzędowej, jeno depeszy wileńskiego oddziału „Elty” (Litewskiej urzędowej Agencji Telegraficznej), która komunikuje ją ze źródeł bolszewickich w Wilnie, podając, że wileńskie władze bolszewickie otrzymały odpowiednią wiadomość, wskutek której odbyła się uroczysta „parada” wojsk bolszewickich w Wilnie na Placu Katedralnym i demonstracyjny „pochód” przez miasto miejscowych komunistów wileńskich (w „pochodzie” tym uczestniczyło, jak podaje „Elta”, około 100 młodych Żydków wileńskich z dwoma czerwonymi sztandarami – niezbyt imponująca „manifestacja uczuć” ludności wileńskiej!). Czy wiadomość ta jest prawdziwą – trudno wiedzieć. Wieczorem w kołach polskich zaprzeczano tej wiadomości, twierdząc, że podług informacji, zasięgniętych w miejscowej misji francuskiej, nie ma dotąd o tym żadnej wiadomości urzędowej. Wobec ostatnich wieści urzędowych z wojny, które były ogłoszone w sobotę, zajęcie Warszawy wydaje się w każdym razie bardzo prawdopodobne. Jeżeli to się potwierdzi, będzie to oczywiście fakt doniosłości ogromnej. Jednocześnie zapoczątkuje to przeniesienie działań wojennych na lewy brzeg Wisły, co też strategicznie miałoby znaczenie ogromne. W pierwszym rzędzie, przesądziłoby to prawdopodobnie los Lublina, który jest zagrożony z dwóch stron, ze wschodu od strony Chełmszczyzny i z północy od strony Łukowa i Dęblina. Upadek zaś Lublina i posunięcie się bolszewików na całej linii do Wisły – zagroziłby znowuż z północy Lwowowi, zagrożonemu dotychczas tylko ze wschodu, i spowodowałby zapewne cofnięcie się Polaków z całej Galicji Wschodniej do linii Sanu. Poza tą wiadomością o zajęciu Warszawy, co wymaga jeszcze potwierdzenia, dzisiejsza „Lietuva” nie podaje żadnych innych wiadomości z wojny i żadnych komunikatów, ani polskich, ani bolszewickich.
Trzeba by mi było wspomnieć coś o Polskim Biurze Informacyjnym i o mojej w nim działalności. W tej materii urwałem notowanie wypadków na tym momencie, kiedy miała być uchwalona w Sejmie odezwa do ludności Litwy Wschodniej. Odezwa ta jednak do skutku nie doszła. Została ona zdjęta z porządku dziennego obrad sejmowych, a następnie zaniechana zupełnie. Wszakże działalność Polskiego Biura Informacyjnego, która się ożywiła na gruncie projektowanej odezwy, nie urwała się. W tym momencie w kołach, grupujących się w Biurze Informacyjnym, wzrosły nadzieje na znalezienie jakiegoś klucza porozumienia z Litwinami w sprawie polityki wschodnio-litewskiej, co by ewentualnie dało możność nawiązania wreszcie współpracy państwowej Polaków litewskich z Litwinami rdzennymi. Zbiegło się to akurat nie tylko z moim udziałem w Biurze, który sam przez się wprowadził do obrad Biura czynnik nowej orientacji i przyczynił się przeto ożywienia tej instytucji, ale również z przybyciem do Kowna dwóch nowych ludzi, którzy za czasów polskich przebywali w Wilnie i tam w ruchu politycznym udział brali. Ludźmi tymi byli Aleksander Meysztowicz i Zygmunt Jundziłł. Obaj zostali dokooptowani do Biura do jego sekcji politycznej. Obaj troszeczkę inaczej reagowali na stosunki państwowe litewskie i na stosunek Wilna oraz powiatów wschodnich do Litwy, niż większość członków Biura, która wciąż jeszcze żyła tradycją ideologii interwencyjnej polskiej z jej hasłami Litwy historycznej, sfederowanej z Polską, ewentualnie – podziałem terenów

litewsko-białorusko-katolickich między Litwę i Polskę na zasadach plebiscytowych. Obaj – i Meysztowicz, i Jundziłł – byli świadomi błędów i niekonsekwencji polityki polskiej na wschodzie, którym mieli możność przyjrzenia się, mieli poczucie porażki militarnej i politycznej Polski, której byli świadkami, i zdawali sobie sprawę, że społeczeństwo polskie w Litwie, nie wyłączając Litwy Wschodniej i Wilna, zająć powinno lojalnie stanowisko państwowe litewskie i na tym stanowisku, w łonie państwowości litewskiej, szukać rozwiązania swoich zagadnień narodowych (a w pojęciu Meysztowicza, skłonnego do utożsamienia polskości z obszarnikami – i społecznych także). Różnica była między nimi tylko ta, że Meysztowicz dochodził do tych wniosków bodaj tylko ze względów oportunistycznych, podczas gdy, u Jundziłła w grę wchodziły głębsze sympatie państwowe litewskie, tkwiące w nim jakimś instynktem starych Mickiewiczowskich tradycji.

17 sierpnia, rok 1920, wtorek
Urzędowo potwierdzenia o zajęciu Warszawy przez bolszewików – ani ze strony bolszewickiej, ani ze strony polskiej nie ma. Chodzą wersje, że to nieprawda. Jeżeli to jeszcze tym razem nieprawda, to już chyba teraz jest to kwestia bardzo krótkiego czasu, o ile nie zajdzie coś zgoła niespodziewanego. Linia bolszewicka tak się już zbliżyła do Warszawy, że obecnie stolica ulega już bezpośrednio jej naciskowi. Wczorajsza wieść o zajęciu Warszawy pochodziła tylko ze źródeł wileńsko-bolszewickich. Jak dziś wyjaśnia „Lietuva”– pogłoski o Warszawie są w wileńskich kołach politycznych niejednolite: między innymi, jest tam podawana wersja taka, że Warszawa nie została zdobyta przez bolszewików, lecz została opanowana przez miejscowych komunistów polskich i że ci ostatni chcą dopuścić do wkroczenia do Warszawy rosyjskich wojsk bolszewickich. Gdyby to było prawdą – byłby to, w moim przekonaniu, jedno z najlepszych rozwiązań. Rewolucja komunistyczna w Polsce, jeżeli wypłynie ona nie automatycznie z inwazji obcej jako mechaniczny twór przemocy zewnętrznej, lecz zdoła odseparować się od tejże jako czynnik samodzielny w Polsce, stanie się zaiste rewolucją polską, która zaważy na procesach społecznych w kraju i na psychice narodu. Choćby bolszewizm rosyjski nie uszanował jej i zgniótł ją, zastąpiwszy ją prostą kopią zarządzeń rosyjskich, narzuconych z zewnątrz, stworzy ona swoją kartę rewolucyjną w społecznym ruchu krajowym i może przeniknąć do psychiki ludowej w narodzie. Jeżeli zaś komunizm polski będzie tylko krwawą plantacją inwazji rosyjskiej, to pozostanie on w Polsce w istocie jałowym. Czy tylko komuniści polscy zdobędą się na taki zmysł psychologii masowej i czy zdołają się oprzeć naciskowi bolszewizmu rosyjskiego, upojonego zwycięstwem i skłonnego proklamować kontrrewolucyjnym wszystko, co mu nie ulega ślepo, a popieranego ewentualnie instynktami rabunkowymi elementów wszelkiego rozprzężenia, którym chodzi nie o rewolucję w Polsce, jeno o doraźne nasycenie wszelkiego rodzaju żądz pod płaszczykiem komunizmu i pod skrzydłem inwazji bolszewickiej. Jak się zdaje – Marchlewski, jeden z najczystszych i najrozumniejszych ideologów komunizmu polskiego, wkraczających do Polski z armią rosyjską, zdaje sobie sprawę z tego i pragnie rozwoju rewolucji polskiej, a nie plantacji bolszewickiej rosyjskiej. Ale fala bywa silniejsza od woli i rozumu ludzkiego, a, niestety, rząd polski wyłapał zawczasu starannie i internował wszystkich wybitniejszych ideologów komunizmu polskiego, jak Horwitz, Wacław Wróblewski i inni, którzy by dziś mogli odegrać rolę dodatnią, salwując rewolucję w Polsce od zatopienia jej w błocie mechanicznej inwazji! Tyle o Warszawie. Co do komunikatów wojennych, polskiego i bolszewickiego, ogłoszonych dziś w „Lietuvie”, to linia frontu przedstawia się mniej więcej tak: na północy bolszewicy zajęli skrawek działdowski Prus Wschodnich, który był na zasadzie Traktatu Wersalskiego bez plebiscytu wcielony

do Polski. Działdowo jest w ręku bolszewickim. Dalej linia bolszewicka posunęła się od kolei Mława-Ciechanów do rzeki Wkry. Niżej – Nasielsk i Serock zostały zajęte przez bolszewików. Linia dochodzi do Modlina, stamtąd idzie na Zegrze; dalej na Radzymin i stację Demby na Kolei Warszawsko-Siedleckiej. Mińsk Mazowiecki został więc już wzięty. Niżej linia dochodzi do Lubartowa, a więc sięga rzeki Wieprz, stamtąd odchyla się na południowy wschód, biegnie na wschód od Chełma, przez Hrubieszów na Sokal. Sokal – zajęty przez bolszewików. Dalej – Brody ewakuowane przez Polaków. Niżej – bez zmian.
Ewakuacja Wilna przez bolszewików postępuje w tempie szybkim. Mieżlaukis ze sztabem armii przeniósł się już do Grodna. Bolszewicy i ich „rewkom" wileński przekazują już Litwinom poszczególne instytucje. Wszakże skądinąd areszty i nawet egzekucje, dokonywane w Wilnie przez bolszewików – nie ustają. W ostatnich dniach nastąpiło znowu cała seria aresztów. Aresztowano kamieniczników, kupców, Żydów, chrześcijan. Między innymi, aresztowana została stryjenka Kazimierzowa Römerowa. Rozstrzelani zostali ziemianie – Wagner i Ludwik Mineyko.
Do Wilna oprócz mnie podał się na członka Sądu Okręgowego adwokat Bratchulis, Litwin, niedawno przybyły z Ameryki. Słychać, że kandydatem na prezesa Sądu Okręgowego w Wilnie jest Janulaitis; skądinąd słyszałem pogłoskę, że chce na to stanowisko kandydować prezes Sądu Kowieńskiego, Mačys. Osobiście pragnąłbym bardzo Janulaitisa. Mačys robi na mnie wrażenie ujemne. Nie ufam mu i nie chciałbym, by on był prezesem sądu w Wilnie. Napędzam Zygmunta Jundziłła, aby swą kandydaturę zgłosił.
Byłem u ks. Tumasa. Jeszcze nie wiadomo, czy mój referat odbędzie się jutro czy też w piątek. Osobiście pragnę go bardzo. Chcę stanąć wobec Litwinów z moją koncepcją, z przyłbicą otwartą. Niech mię poznają, niech wiedzą, jak myślę i co czuję. Mój los jest taki, że jestem „podejrzany" zarówno Polakom, jak i Litwinom. Bo ja jestem tym, który nosi jeszcze w duszy starą Litwę Mickiewiczowską, syntezę litewską i polską, chociaż rozumiem już Litwę nową, odrębną, Litwę, która powstaje z ludu.

18 sierpnia, rok 1920, środa
Warszawa jeszcze nie zajęta. Ale już bolszewicy są tuż-tuż pod Warszawą, bo, jak podają gazety berlińskie, otrzymane dzisiaj w Kownie, patrole kozackie ukazywały się już na Pradze. Najwybitniejsza wiadomość wojenna z gazet dzisiejszych jest ta, że na odcinku północnym bolszewicy ukazali się już w okolicach Sierpca. Jest to wielkie posunięcie się naprzód. O Sierpcu wspomina komunikat polski z dnia 13 sierpnia, drukowany w „Berliner Tageblatt", poza tym, jest o tym wzmianka w następnym kolejnym numerze pisma, zaś „Lietuva" dzisiejsza podaje komunikat z Moskwy, datowany z dnia 16 sierpnia, w którym wymienia się rzeka Szkwa; otóż, jeżeli nie mylę, Szkwą nazywa się rzekę, która przepływa w pobliżu Sierpca i wpada do Wisły za Płockiem. Sierpc jest już prawie na pół drogi od linii kolejowej Ciechanów-Mława do Torunia. Niedaleko już też od Sierpca do Włocławka, który wszakże położony jest za Wisłą. Co zaś do Płocka, to, posuwając się *via* Sierpc na Toruń i na Włocławek, bolszewicy go przez to samo okrążają i zajmą prawdopodobnie automatycznie. Zdaje się, że bolszewicy dostali się w okolice Sierpca, posuwając się od Mławy i Działdowa, to znaczy ławą przednią, sunącą stale naprzód wzdłuż granicy pruskiej i ciągle oskrzydlającą lewe skrzydło polskie, dziwnie niedołężnie bronione. Ten skrzydłowy odcinek frontu, stale przez bolszewików forsownie wysuwany naprzód, jest terenem działania ich wyborowej kawalerii. W całej ofensywie bolszewickiej jest stała metoda kawaleryjskiego flankowania skrzydła lewego, uskuteczniana wciąż z wielkim powodzeniem. Nie wiem dlaczego Polacy, zdobywając się energiczną obronę Galicji

Wschodniej, tak słabo reagują na ten manewr skrzydłowy na północy, który strategicznie daje bolszewikom wielkie atuty, a w najbliższym czasie dać im może i atuty polityczne ogromnej wagi, jeżeli się im uda wcisnąć w „korytarz" pomorski, odciąć ostatecznie Polskę od Gdańska, otoczyć dokoła Prusy Wschodnie i dotrzeć do właściwych granic niemieckich. Na całości frontu toczą się obecnie trzy wielkie kapitalne akcje: jedną jest owe posuwanie się skrzydłowe kawaleryjskie na Włocławek i Toruń, drugą – ofensywa na Warszawę, której jednym z elementów jest forsowanie Modlina i drugim – bezpośrednio na Warszawę; wreszcie trzecią wielką akcją jest akcja na Lwów; idzie ona z frontu *via* Brody, które już są znowu w ręku bolszewickim, i wielkim ruchem flankowym na Lublin, Zamość, Tomaszów. Z frontu Polacy walczą o Lwów dzielnie, bodajże najmocniej z całego frontu, a choć i tu bolszewicy jednak łamią stopniowo opór polski i zbliżają się do Lwowa, jednak sytuacja nie byłaby tam jeszcze tak groźna, gdyby jednocześnie nie było głębokiego oskrzydlania, jakim zdaje się być akcja bolszewicka na Lublin, sięgająca już rzeki Wieprz. Zdaje się więc, że już i los Lwowa jest przesądzony i że zdobycie go jest już także tylko kwestią czasu.
Byłem dziś znowu u ks. Tumasa. Referat mój został ostatecznie ustalony na piątek. Choć jestem głęboko przekonany, że moja praca bardzo trafnie ujmuje zagadnienie spojenia Litwy Wschodniej z całością państwa litewskiego (nie mówię o poszczególnych punktach programu polityki, bo te mogą ulegać dyskusji), jednak przeczuwam, że Litwini, słuchając mego referatu, dostrzegą w nim wszakże rzekomych wykroczeń przeciwko ich klasycznym pojęciom państwowości. Faktem jest bowiem, że jest u Litwinów pewna do mnie nieufność, pewne uprzedzenie, którego dawniej przed wojną nie było, a tam, gdzie jest podejrzenie, tam zawsze powstaną wątpliwości. Dziś w rozmowie z p. Felicją Bortkiewiczową dowiedziałem się, że w kołach litewskich – bodajże wśród ludowców – nieufność do mnie jest podsycana jakąś wersją, jakobym w jakimś wydawnictwie zbiorowym w Polsce, które wyszło bodaj że pod firmą PPS-owskiego „Naprzodu"[71], umieścił jakąś pracę, w której zalecałem kolonizowanie ziem litewsko-białoruskich przez chłopów polskich i wskazywałem na wykonalność tego rodzaju akcji politycznej. Podobno, jak twierdzą ci, co mię o autorstwo tego artykułu posądzają, był on podpisany literami M.R. i pisany stylem, przypominającym styl mojej „Litwy". Bóg mi świadkiem, że podobnym artykułem i podobną propagandą nie zgrzeszyłem nigdy, bo zawsze byłem konsekwentnym polityki kolonizacyjnej wrogiem. Wiem jedną rzecz, że będąc w Polsce, gdy od lat trzech z górą krystalizowały się tendencje państwowej polityki polskiej na wschodzie, byłem tej polityce tak przeciwny i tak od niej daleki, że nie mogłem w żadnym organie prasy polskiej zabierać głosu, bo mój głos i moje stanowisko w sprawie litewskiej nie odpowiadały stanowisku żadnego obozu i kierunku polskiego. Byłem samotny w Polsce i samotny jestem tutaj.

19 sierpnia, rok 1920, czwartek
Dziś są wieści o rozpoczętej kontrofensywie polskiej na północnym odcinku frontu. Zdaje się, że dotyczy to odcinka pod Modlinem i Warszawą. Depesza Elty, datowana z Paryża, komunikuje podług doniesień misji alianckich z Poznania z dnia 16 sierpnia, że rozpoczęta kontrofensywa polska na północy rozwija się skutecznie i że bolszewicy są zmuszeni do cofania się. Jednocześnie ogłoszony w „Lietuvie" ostatni komunikat wojenny bolszewicki donosi o tym, że Polacy przerwali linię bolszewicką i odzyskali Ciechanów, ale następnie bolszewicy znów stamtąd Polaków wyparli i znowu Ciechanów zajęli. Poza tym, komunikat bolszewicki nie podaje nic szczególnego, jeno znów wspomina o zajęciu Hrubieszowa i o pewnym postępie pod Tarnopolem. Wieści

[71] „Naprzód" – organ PPS.

ustne, pochodzące od Tyszkiewicza z Czerwonego Dworu, który świeżo przyjechał z Polski, podają, że pod Warszawą sytuacja się poprawiła dla Polaków i że bolszewicy, których podjazdy kawaleryjskie już się ukazywały na Pradze, zostali odparci o wiorst 60-70 od Warszawy. W tym samym numerze „Lietuvy" są depesze ze źródeł niemieckich o dalszym posuwaniu się bolszewików wzdłuż granicy pruskiej w kierunku na Grudziądz. Słowem – sytuacja w tej chwili nieokreślona. Z Mińska, gdzie już powinny były się rozpocząć polsko-bolszewickie rokowania rozejmowe i jednocześnie pokojowe, nie ma dotąd żadnych wiadomości.
Sam nie czytałem, ale słyszałem w tych dniach od Jundziłła, że w gazetach, bodajże w „Dzienniku Gdańskim", jedynym piśmie polskim, który tu dochodzi i ma debit legalny, ukazały się odezwy tzw. Konfederacji Ziemi Wileńskiej i Grodzieńskiej, protestujące uroczyście przeciwko przyłączeniu tych ziem do Litwy, traktujące to jako gwałt, nie liczący się z wolą ludności, i oświadczające, że ludność z faktem tym się nie pogodzi i narzuconą jej przemoc przełamie. Konfederacja ta jest oczywiście działem emigrantów z Wilna i Grodna, którzy schronili się do Polski. Nie należy się łudzić co do tego, że nie zaniechają oni knowań, jątrzenia i intryg zarówno na zewnątrz, jak wewnątrz kraju, aby prowadzić do przewrotu i do obalenia rządów litewskich w Litwie Wschodniej. Emigracja jest zawsze i wszędzie taką samą. Oderwana od gruntu krajowego, wykolejona, jest ona nieprzejednana i wciąż marząca o rewanżu, który ją powróci do kraju w chwale triumfatorów. U steru tej „Konfederacji" stoją ziemianie i wileńska inteligencja polska, która wraz z Polakami uciekła z Litwy. Jest to spółka dwóch elementów, które z różnych powodów tęsknią do powrotu panowania polskiego w Litwie Wschodniej. Ziemianie wiedzą dobrze, że pod panowaniem polskim ich interesy klasowe będą najlepiej zastrzeżone, bo oni stanowiliby w tym kraju najmocniejszy na wsi element państwowy polski, z którym państwo byłoby zmuszona się liczyć we własnym interesie. Stąd panowanie polskie jest dla nich najmilsze, bo najbardziej gwarantujące ich wpływy. Gdyby Polska tu nawet wykonywała reformę agrarną, wykona ona ją tak, żeby względnie najmniej osłabić ziemian. A co do inteligencji polskiej wileńskiej, zasmakowała już ona wpływów i słodyczy władzy za okupacji polskiej: wszystkie stanowiska były dla niej otwarte i z jej szeregów rekrutowały się kadry biurokracji rządzącej, tym milsze i dogodniejsze dla tych panów, że system rządów okupacyjnych nie krępował biurokratów kontrolą i odpowiedzialnością przed reprezentacją ludową. Toteż tęsknią oni do powrotu tych słodkich czasów, a wiedzą, że w państwie litewskim nie zdobędą rychło tych wpływów, przeciwnie – będą na indeksie jako napiętnowani udziałem w rządach okupacyjnych i w polityce państwa obcego. Toteż ziemianie i emigracja inteligencka z Wilna będą bruździć stale i wciąż spiskować z Polski. Chodzi tylko o to, czy i w jakim stopniu poprze ich lud miejscowy w kraju. Demokratyczna polityka litewska w sferze stosunków społecznych będzie niewątpliwie jednym z atutów, przywiązujących lud państwa i przeciwstawiających go intrygom emigracji. Ale nie trzeba zapominać, że człowiek nie składa się wyłącznie z żołądka i że ludy współczesne mają wybitne czucie narodowe. Dlatego też polityka litewska musi się zdobyć na duży takt w traktowaniu stosunków narodowych w kraju i wszystkich wypływających z nich zagadnień. Gra nie będzie łatwa i tak prosta. Litwa może wygrać w walce z emigrantami, ale musi działać bardzo rozważnie i bardzo umiejętnie.

20 sierpnia, rok 1920, piątek
Z wypadków wojny polsko-bolszewickiej są wiadomości ciekawe, które sytuację militarną stron walczących czynią krytyczną; jest ona zaiste w tej chwili w stanie kryzysu, który w najbliższych dniach musi się przesilić jaskrawie na korzyść tej lub innej strony, o ile zresztą rozpoczęte w Mińsku rokowania pokojowe, z których dziś

nadeszły pierwsze doniesienia, nie przetną tego węzła inną drogą. Jak przed kilku dniami wskazywałem, cały teren działań wojennych w ofensywie bolszewickiej daje się wyraźnie podzielić na trzy kapitalne operacje: 1. akcja oskrzydlająca na odcinku północnym wzdłuż granicy pruskiej, która zdaje się mieć za główny cel zajęcie „korytarza" polskiego i odcięcie Polski od Gdańska i od morza, a przeto i od dowozu amunicji, nawiązując jednocześnie bezpośredni kontakt bolszewicko-niemiecki; głównymi wytycznymi tego marszu bolszewickiego są w tej chwili Toruń i Grudziądz nad Wisłą; ubocznym celem tej akcji, którego zadania zdają się być czysto pomocnicze, jest wbicie klina między operację drugą, warszawską, a pierwszą – „korytarzową"; posuwając się na „korytarz polski" prosto wzdłuż granicy pruskiej, bolszewicy jednocześnie usiłują wbić klin za Modlinem, idący aż za Wisłę, który z jednej strony będzie wspierał ofensywę warszawską przez oskrzydlanie Warszawy, z drugiej – będzie wspierał akcję na „korytarz", sekundując ją ewentualnie z lewego brzegu Wisły; wytycznymi tej akcji klinowej były – Płock i Włocławek. 2. bitwa o Warszawę, która się skupia pod Modlinem i bezpośrednio pod Warszawą na prawym brzegu Wisły i u ujścia Bugu-Narwi oraz u zlewu Narwi z Bugiem, stanowiących wybitne fortyfikacje obronne w stanowisku warszawskim. 3. akcja na Lwów, która składa się z operacji frontowych od Brodów i z operacji flankującej z północy na Lublin. Takie jest tło trzech wielkich operacji. W tej chwili uwaga i kryzys są skupione na dwóch pierwszych, o których powiem niżej, zacznę zaś od trzeciej. Otóż tam w akcji na Lwów – komunikat ostatni bolszewicki donosi o przekroczeniu przez bolszewików górnego Bugu i zajęciu jakiegoś „Bucza" (czy nie Buska?) i Złoczowa. Co do flankującej akcji lubelskiej nie ma wiadomości żadnych. Również nic szczególnego na linii południowej od Tarnopola do Buczacza; jest tam wzmianka o walkach pod Buczaczem, ale to już blisko od trzech tygodni front trwa tam bez zmian na miejscu. Główna uwaga skupia się na operacji północnej i warszawskiej. Bitwa o Warszawę trwa już od dni kilku i jeszcze rozegrana nie jest. Jednak stolicy nie oddają Polacy tak łatwo, jak to szło gdzie indziej. Do tej właśnie wielkiej bitwy warszawskiej odnosiły się wczorajsze depesze, komunikowane z poselstw Ententy z Poznania *via* Paryż, o tym, że Polacy przeszli do kontrofensywy i odzyskali pierwsze czołowe stanowiska obronne Warszawy; tu akcja obronna, względnie kontrofensywna polska uderza głównie z Modlina, ewentualnie, jak czytałem dziś w pismach niemieckich, z linii Modlin-Płońsk; skutkiem tego uderzenia było też zapewne komunikowane wczoraj przez bolszewików chwilowe odzyskanie przez Polaków aż Ciechanowa, wkrótce znowu straconego; można jednak przypuszczać, że komunikowane wczoraj z Paryża powodzenie polskie pod Warszawą odepchnęło bolszewików gdzieś za Serock i na Wyszków, bo to by odpowiadało mniej więcej stanowiskom czołowym obrony Warszawy. Wielka bitwa toczy się tu dalej i rozegrana nie jest. Otóż w związku z tym wprost zdumiewające jest posuwanie się forsowne bolszewików na terenie operacji pierwszej w obydwóch jej kierunkach – grudziądzko-toruńskim i włocławskim. Zdawałoby się, że nierozegrana jeszcze wielka bitwa o Warszawę (bitwa warszawsko-modlińska) i możliwość dalszej kontrofensywy polskiej na Ostrołękę i na Bug w kierunku Białegostoku – powinna by paraliżować posuwanie się bolszewików na „korytarz", bo w razie powodzenia takiej kontrofensywy polskiej okazaliby się oni pod Mławą i Grudziądzem odcięci. Tymczasem nie tylko posuwają się oni jak najforsowniej na Grudziądz-Toruń, gdzie, podług wieści wczorajszych, zajęli oni na byłym terytorium pruskim Löbom, a podług dzisiejszych – są już pod Biskupicami, ale jednocześnie energicznym rzutem dokonali oni swojej operacji włocławskiej, sekundując tym widocznie bitwę warszawską, którą chcą sforsować na swoją korzyść tym radykalnym manewrem oskrzydlającym. Czy ryzykują rzucając na szalę bitwy warszawskiej ten manewr gwałtowny, czy też są tak pewni siebie, że się

kontrofensywy polskiej i odcięcia nie obawiają wcale. Słowem w gazetach niemieckich czytałem rano o tym, że zajęty jest Płock, i sądziłem, że to może omyłka lub jaki inny Płock, a potem w „Lietuvie” w komunikacie bolszewickim przeczytałem, że przekroczyli Wisłę i zajęli Włocławek! Jeżeli to jest już zajęcie mocne, to przez to samo przecięta została druga arteria komunikacyjna polska na Gdańsk, wiodąca na Łowicz-Kutno-Włocławek-Aleksandrów-Toruń. Zarazem da sukurs dla opanowania „korytarza”. Jutro napiszę o wieściach z rokowań w Mińsku i o moim odczycie, który się dziś pod wieczór odbył.

21 sierpnia, rok 1920, sobota
„Lietuva” dzisiejsza żadnych wiadomości z wojny nie podaje. Jedyne, co się dziś dowiedziałem, to pochodzi z „Berliner Tageblatt” z dnia 17 i 18 sierpnia. Zresztą też niewiele. Są tam już wzmianki o kontrofensywie polskiej. Jak z nich widać – kontrofensywa ta jest jednak czymś więcej, niż tylko bitwą pod Warszawą i lokalnym sukcesem w odzyskaniu stanowisk obronnych stolicy. Jednym elementem tej kontrofensywy jest uderzenie z Modlina, który okazał się jednak nie malowaną twierdzą, lecz istotnie skutecznym punktem oporu polskiego. Uderzenie z Modlina, prowadzone, zdaje się, przez generała Sikorskiego, mojego niegdyś dobrego znajomego z Piotrkowa (Departament Wojskowy NKN), który okazał w tej wojnie, że potrafi być nie tylko kiepskim politykiem, ale także dobrym wojskowym, doprowadziło nie tylko do odzyskania takich silnych i ważnych stanowisk, jak Serock, ale do posunięcia Polaków aż do Ciechanowa. I podczas gdy tu klin polski tak znacznie się posunął naprzód, a pod samą Warszawą z frontu wielka bitwa się toczy z całą zaciętością na linii mniej więcej Radzymina, który został przez Polaków po uporczywych walkach, przechodząc z rąk do rąk, odzyskany i gdy skrzydło tej bitwy sięga stacji Dembe, jednocześnie dalej na południe rozpoczęła się na rozległym froncie wielka kontrofensywa, ogarniająca od Wisły linię Wieprza i Bugu pod Chełmem i Hrubieszowem. Pod osobistym, jak się zdaje, dowództwem Piłsudskiego, uderzyli Polacy od Garwolina na bolszewików, usiłujących się przeprawić przez Wisłę pod Maciejowicami, zadali im porażkę i nacierają z całą siłą na cofających się, rozszerzając uderzenie na całej linii Wieprza, pędząc ich jednocześnie od Chełma za Bug. Dorohusk nad Bugiem na linii kolejowej Chełm-Kowel, i Hrubieszów – zostały odzyskane. Tyle wiadomości z gazet berlińskich. Pogłoski dziś twierdzą o odzyskaniu przez Polaków Brześcia Litewskiego.
Wczoraj w gazetach były pierwsze wieści z Mińska, gdzie otwarte zostały obrady polskiej i bolszewickiej delegacji pokojowej (w delegacji polskiej z moich dobrych znajomych uczestniczą: poseł Sejmowy z Łomży Adam Mieczkowski i poseł z Warszawy z PPS Norbert Barlicki, były niegdyś sekretarz redakcji mojej „Gazety Wileńskiej”, autor artykułu „Ogniste półkole”, za który byłem w roku 1909 sądzony w Wilnie). Przedstawiciel delegacji bolszewickiej w mowie inauguracyjnej zaznaczył to, o czym dawno już było rozgłaszane ze strony bolszewickiej: że bolszewicy, bez względu na swe zwycięstwo, zgodzą się na większe ustępstwa terytorialne Polsce, niż jej ofiarowała Koalicja (Anglia). Zaznaczył też, że Rosja nie myśli kwestionować Niepodległości i Suwerenności Polski i przeto narzucać jej formy rządu. Że jednak skoro Polska ma rząd „ziemiański” (czy obszarniczy, czytaj – szlachecki), to Rosja zmuszona jest zastrzec w traktacie pokojowym gwarancje, że Polska po zawarciu pokoju nie wznowi swej militarnej polityki agresywnej i nie rzuci się znowu na Rosję, odrywając ją od twórczej pracy organizowania się i zagospodarowania się wewnętrznego, do której Rosja chce się zwrócić; że gwarancji tych wszakże Rosja by nie żądała, gdyby rządy w Polsce były w ręku chłopów i robotników (gwarancjami tymi

są zapewne żądanie demobilizacji polskiej, ograniczenia kontyngentu wojska, powszechnego uzbrojenia zorganizowanych robotników itd., które już ze strony bolszewickiej były ogłoszone w prasie).
Wczoraj odbył się mój odczyt w jednej sal lokalu Związku Strzelców na „Laisvės Alel”[72]. Publiczności było sporo – około 60-80 osób. Publiczność tworzyli bodaj sami Litwini. Z Polaków widziałem tylko p. Marię Micewiczówną[73]. Przewodniczył organizator zebrania ks. Tumas (w ubraniu zresztą cywilnym, którego używa stale i co jest obecnie rozpowszechnione wśród księży Litwinów, uprawiających politykę, jak ks. Krupowicz, Purycki). Poprzednio, przed odczytem, przeczytałem sobie w domu jeszcze raz jeden mój rękopis i poczyniłem w nim pewne poprawki ostateczne. Publiczności polskiej nie było dlatego, że odczyt nie był publiczny w tym znaczeniu, że nie był ogłaszany, a nikogo z wybitniejszych działaczy z Polskiego Biura Informacyjnego, których chciałem zaprosić, jak Łukomskiego, Wielhorskiego, Janczewskiego, jak również posła Grajewskiego, nie było w Kownie (miał przyjechać z Czerwonego Dworu na mój odczyt Jundziłł, ale nie wiem, czemu nie był; żałuję, że nie był, bo to jest jeden z najbliższych mi ideowo ludzi w obozie polskim w sferze pojmowania sprawy państwowej litewskiej i układu stosunków narodowych wewnętrznych). Gdy się zebranie otworzyło, zagaiłem je po litewsku, a następnie odczytałem mój referat z rękopisu po polsku. Czytałem wyraziście i zdaje się, że styl mojego referatu, siła słowa i wyrazistość wymowy były jak najlepsze. Rękopis jest niemały, tak że referat trwał z 1 ½ godziny. Potem była dyskusja, o której dopowiem jutro. W dyskusji mówcy przemawiali po litewsku, ja zaś im odpowiadałem po polsku.

22 sierpnia, rok 1920, niedziela
Ponieważ jest niedziela, więc pism kowieńskich dzisiaj nie ma. W cukierni Perkowskiego jednak czytałem „Dziennik Gdański” z dnia 19 sierpnia. Pismo to, dyszące namiętną wściekłością do Niemców, z którymi wojuje, z ducha na wskroś militarystyczne, tchnące ideą wielkomocarstwowej potęgi Polski, całe od a do z przepojone wiarą w jedyną prawdę, którą jest imperializm polski, zbudowany na sile militarnej – uderza w ton triumfu i zwycięstwa. Dla takiego organu klęska polska i postępy bolszewików były oczywiście czymś, co przewracało całą jego ideologię i stanowiło tragedię, równą widokowi triumfujących dokoła z porażki polskiej Niemców. Im głębsze było upokorzenie ambicji narodowej tego wojowniczego pisma, tym większy jest teraz jego entuzjazm i radość odwetu na skutek powodzeń kontrofensywy polskiej; szpalty tego pisma po prostu trzęsą się z rozkoszy odwetu, nie tyle bodaj nad bolszewikami, ile nad butą niemiecką, która na skutek powodzeń bolszewickich podniosła głowę i urosła w pychę. Bardzo prawdopodobne, że w tym usposobieniu „Dziennik Gdański” przesadza, ale przesadza może raczej w różowych optymistycznych widokach na przyszłość, niż w faktach sytuacji wojennej. Same bowiem fakty świadczą jednak jaskrawie o sile i skuteczności kontrofensywy polskiej. Zdaje się, że rozrasta się ona w akcję istotnie wielką. Nie jest to już teraz bitwa pod Warszawą, ale wielka bitwa nad Wisłą, która zdaje się odrzucać bolszewików do Bugu, a kto wie – może i dalej. Na froncie między Warszawą a Bugiem środkowym wojska polskie odzyskały Łuków i Włodawę, walczą o Mińsk Mazowiecki i o Siedlce. Jednocześnie, jak podaje „Dziennik Gdański”, akcja, idąca od Modlina, posunęła już Polaków tak dalece naprzód, że doprowadziła do odzyskania Przasnysza i Mławy. Jeżeli to jest prawdą, to bolszewicy muszą forsownie uciekać z „korytarza” i spod Włocławka. Włocławek zresztą, jak wnosić można z „Dziennika Gdańskiego”, nie był przez

[72] „Laisvės Alėja” – Aleja Wolności, główna ulica w Kownie.
[73] Micewiczówna Maria – nauczycielka, działaczka polska na Litwie.

bolszewików zajęty, jeno był ostrzeliwany z dział i został mocno uszkodzony. Wyczytałem w „Dzienniku Gdańskim”, że w Łomży obrał sobie siedzibę tymczasowy rząd „sowiecki” polski. Tyle tymczasem o wypadkach wojennych.
Otrzymałem dziś z poczty list z Wilna, od naszej służącej Anusi Dyrżysówny. Jest to odpowiedź na mój list, pisany do niej również pocztą. List Anusi datowany z dnia 19 sierpnia. Potwierdza ona moje domniemanie, że zarówno Marynia, jak jej córka Ewa uciekły przed bolszewikami do Warszawy. O Papie pisze, że pozostał w Wilnie, ale żadnych szczegółów nie podaje. Zaraz po tym pisze, że od wczoraj, to znaczy od 18-go, ktoś zamieszkał w naszym mieszkaniu, ale tak stawia przecinki i punkty, że nie można zrozumieć, kto zamieszkał w naszym mieszkaniu – Papa czy bolszewicy. Zdaje się jednak, niestety, że bolszewicy. Niewesoła to wiadomość, bo tam, gdzie ci goście zamieszkają, to już bodaj nic z rzeczy nie ocaleje. Byłby chyba cud, gdyby się coś ostało.
Wracam do mojego odczytu pozawczorajszego, a raczej do dyskusji nad nim. Głos zabierali w dyskusji: ks. Tumas, prof. Voldemaras, Michał Ślażewicz i jakiś poseł sejmowy chrześcijański demokrata, którego nazwiska nie wiem. Ks. Tumas podnosił kilka tematów rzeczowych i właściwie nie polemizował ze mną, bo w istocie rozwinął i ilustrował kilka zagadnień z polityki imperialistycznej polskiej, które i ja w moim referacie w ten sam sposób, co on, ująłem. Ślażewicz wyraził się z wielkim uznaniem o moim referacie i stwierdził, że referat ten dał możność przekonać wszystkich, którzy mogli w ostatnich czasach wątpić we mnie i posądzać mię o zmianę przekonań, że w istocie pozostałem wierny memu stanowisku obywatelskiemu i moim ideałom dawnym względem Litwy. Chrześcijański demokrata powiedział coś mało znaczącego. Natomiast Voldemaras wystąpił z całym stekiem insynuacji. Wprawdzie zaczął od tego, że musi przyznać, iż ze stanowiskiem tak bezstronnym i sprawiedliwym względem Litwinów w sporze polsko-litewskim spotyka się ze strony polskiej po raz pierwszy i że uważa to za unikat jedyny, ale niemniej w dalszym ciągu swego przemówienia uczynił wszystko, aby mię zdyskredytować, podać intencje moje w wątpliwość i obudzić u słuchaczy nieufność do mnie, a nawet bodaj posądzenie, że moje wystąpienie jest jeno nową cząstką intrygi polskiej, jest obłudą i maską, ukrywającą zgoła inne cele. Z Voldemarasem osobiście prawie że się nie znamy. Ale pamiętamy się – obaj zapewne – dobrze z roku 1909 z mojego odczytu w Petersburgu, na którym on wystąpił z podobnymi względem mnie zarzutami. I w obecnym referacie, choć go po imieniu nie nazwałem, dotknąłem w jednym ustępie pewnego artykułu Voldemarasa, drukowanego niedawno w dzienniku „Tauta” i zalecającego politykę postrachu i twardej ręki względem ludności wileńskiej. O zarzutach Voldemarasa i o moich wrażeniach z tego odczytu i dyskusji dopowiem jeszcze jutro.

23 sierpnia, rok 1920, poniedziałek
Kontrofensywa polska rozszerza się, rozrasta i zaskakuje w terenie. Piłsudski i Sikorski pędzą Moskali z ziemi polskiej. Postępy tej kontrofensywy są tak gwałtowne, jak gwałtowne były poprzednio postępy bolszewików. Gdy armia polska odegnana została w ciągu miesiąca znad Dźwiny, Berezyny i Dniepru do Wisły od Grudziądza po Warszawę, z tej armii, która musiała być niechybnie zwycięska, pozostał tylko lotny piasek, niezdolny do oporu. A teraz znów gdy ona uderzyła, widowisko się zmienia diametralnie: gdzie Polacy uderzą – tam zyskują na terenie, a bolszewicy, którzy się posuwali jak lawina, pierzchają wszędzie z szaloną szybkością, jak fala w odwrocie. Po przypływie – odpływ: czemu przypisać, że wojny na wschodzie mają tę szczególną właściwość żywiołu, który, wezbrawszy i zdobywszy siłę rozpędu, pędzi niepowstrzymanie naprzód, zmiatając przeciwnika przed sobą jak miotłą, na olbrzymie

naraz przestrzenie, aby potem znów w odwrotnym kierunku w tymże wichrowym tempie przelecieć? Wojny na wschodzie toczą się na setkach i poprzez setki wiorst, jak rytmiczne fale olbrzymiego przypływu i odpływu. Od roku 1914 wielkie fazy wojny na wschodzie wciąż moją tę samą cechę. To Rosjanie zaleli Bukowinę i Galicję po Karpaty, to ich znowu zmiotła ofensywa niemiecka z roku 1915 aż pod Dyneburg, Mińsk, na Wołyń i Besarabię; w roku 1918 uderzyli Niemcy ponownie i het oparli się o Psków, pod Orszę, o Charków i po Kaukaz. W roku 1919 uderzyli Polacy i znad Bugu pchnęli bolszewików aż pod Dyneburg, Borysów, Bobrujsk, uderzyli ponownie i zaleli Inflanty, uderzyli jeszcze i osiągnęli Kijów, przekroczyli Dniepr. Potem uderzyli bolszewicy i popłynęli aż ku samemu sercu Polski. Teraz znów uderzyli Polacy i bolszewicy odpływają. Odwrót ich zdaje się mieć cechy takiegoż odpływu, jakim był niedawny odwrót Polaków. Takie są przynajmniej pierwsze tej kontrofensywy polskiej efekty. Czy to budowa fizyczna tych równin Europy Środkowo-Wschodniej, czy też natura i psychika ludów w tej części kontynentu tak ulega prawom inercji, że albo jest niepowstrzymany przypływ, albo równie niepowstrzymany odwrót? Podług wieści z gazet dzisiejszych, kontrofensywa polska osiągnęła już punkty następujące: Mława, Działdowo, Ostrów Mazowiecki, Drohiczyn, Brześć Litewski, Dubienko, Hrubieszów, Sokal, Busk. Tylko na odcinku południowym Galicji Wschodniej bolszewicy chwalą się w swoim komunikacie osiągnięciem linii Złotej Lipy. Zajęcie przez Polaków Mławy i Działdowa odcina chyba odwrót oddziałom bolszewickim, które się zaawanturowały nieopatrznie, nie czekając na zdobycie Modlina, pod Grudziądz i Włocławek. Ciekaw jestem, jakie będą dalsze tej kontrofensywy polskiej losy. Jeżeli tak pójdzie dalej, jak się zaczęło, to kto wie jeszcze, gdzie się Polacy oprą. Skądinąd zdaje się niepojęte, żeby tak nagle straciła z kretesem walor olbrzymia przewaga liczebna bolszewików i wszystkie te ich atuty, które ich tak szybko były doprowadziły do Warszawy. Ba, nic przewidzieć niepodobna, bo to wojna. Chciałoby się cieszyć z tego, że Polska oparła się dzielnie i dumnie najazdowi i że zarazem trochę ujmie buty bolszewikom, którzy mogliby być po tym zwycięstwie skłonni do deptania praw innych sąsiadów. Ale jednocześnie budzą się obawy innego rodzaju. Polacy, jak wszystkie niemal narody, są skłonni niczego się nie nauczyć i wszystko zapomnieć. Oby nie powtórzyli w wiernej kopii wszystkich poprzednich błędów swej kampanii wschodniej z okupacją Wilna, inwazją na Białoruś, piastowaniem Ukrainy Petlurowskiej itd. Byłoby to fatalne, a, niestety, narody nawracają zawsze do swej polityki, gdy się okazja po temu trafi. Trudno mieć nadzieję, żeby Polacy, o ile wojna da im możność, zdobyli się na inne, niż dotąd, potraktowanie sprawy Wilna i stosunku do Litwy. A jeżeli nawet tak daleko w swej kontrofensywie nie zajdą, to czy tym razem bolszewicy nie oświadczą, że sytuacja strategiczna o tyle się zmieniła, iż dla względów tej natury są oni zmuszani zatrzymać Wilno na czas dłuższy jako podstawę operacyjną, nie mogąc go w tych warunkach oddać Litwinom? Słowem – nowe perspektywy płynące z kontrofensywy polskiej mieszczą jeszcze w sobie różne zagadki, których działanie może być nie tylko dodatnie, ale i ujemne.
Wojna mi tyle miejsca w dzienniku zajmuje, że nie zostaje go wcale na inne tematy. Nie tylko nie mogę nic prawie napisać o sobie, o moim trybie życia w Kownie, o sądzie i o mojej pracy w nim, o wielu innych rzeczach, ale nawet rozpoczęte tematy pozostają w zawieszeniu. Tak oto odwleka się relacja z mojego piątkowego odczytu i dyskusji po nim, tak również odwleka się tygodniami relacja z niedawnych usiłowań Polskiego Biura Informacyjnego nawiązania stosunków z czynnikami rządowymi w Kownie w przedmiocie polityki państwowej litewskiej w Litwie Wschodniej, o czym też chciałbym napisać, bom w tym brał udział. Okropnie nie lubię sączyć jakiegoś tematu drobnymi urywkami, jakby po kropelce, urywając wątek myśli po kilku wierszach i

odkładając ciąg dalszy do jutra, co psuje nie tylko ciągłość, ale też ścisłość i plastyczność wykładu. Ale co robić. Wojna i perspektywy, płynące z jej zmiennych jak kalejdoskop wypadków mają taki przemożny wpływ na wszystkie stosunki i warunki, w jakich żyjemy, że z konieczności nasza myśl przywiązuje się do niej ze szczególnym wytężeniem uwagi.
Widziałem się dziś ze Ślażewiczem. Namawiał mię on do wstąpienia do partii „Socjalistów-ludowców-demokratów". Wyrażałem wątpliwości, w końcu powiedziałem, że się namyślę. Wątpię jednak, bym się na to zdecydował. Nigdy nie byłem partyjniakiem i czuję się zawsze lepiej, gdy mam ręce wolne. Zresztą w polityce nadaję się lepiej na obserwatora i analityka publicystycznego, niż na działacza partyjnego czynnego, forsującego jednostronnie partyjne prawdy. Wpływ mój może być większy poza partią, niż w niej. Dla tych samych przyczyn wolę być sędzią, niż adwokatem, dla których wolę być myślicielem i działaczem niezależnym, niż partyjniakiem. Poza tym, mam pewne specjalne wątpliwości co do ludowców i co do mojego udziału w tej partii litewskiej.

24 sierpnia, rok 1920, wtorek
Karta wypadków odwróciła się zupełnie. Jak z błyskawiczną szybkością, zwłaszcza w pierwszym okresie ofensywy bolszewickiej, cofali się Polacy, tak z takąż szybkością cofają się teraz bolszewicy, a natomiast postępują Polacy. Podług depesz, ogłoszonych w gazetach dzisiejszych, Polacy odzyskali Łomżę i Białystok. Wieczorem krążyły pogłoski, że przednie oddziały polskie zbliżają się już do Grodna. Bolszewicy uciekają w nieładzie, tylko gdzieniegdzie, jak pod Łomżą, stawiają opór zacięty, acz bezskuteczny. Wielka zdobycz w jeńcach i materiale wojennym wpada do rąk polskich. Tylko na południowym skrzydle frontu w Galicji Wschodniej sytuacja jeszcze nie uległa zmianie. Są pogłoski, że oddziały bolszewickie – kawaleria – które są za Mławą i Działdowem, zostały odcięte przez kontrofensywę polską, działają tam na własną rękę i pchają się tymczasem na Pomorze i dalej na „korytarz" polski; podobno nawet – choć nie wiem, ile w tym prawdy – zajęły one Toruń. Byłaby to sytuacja dość osobliwa. Cały tydzień dzieli nas od dnia 1 września, który na zasadzie dodatkowych układów litewsko-bolszewickich wyznaczony został za termin ostatecznego wycofania się bolszewików z Wilna i przekazania tegoż Litwie. Gdy jednak ofensywa polska idzie tym tempem, to zanim ten termin upłynie, w Wilnie mogą być znowu Polacy. Nie mogą tego nie czuć i nie rozumieć Litwini i nie ulega wątpliwości, że zechcą coś przedsięwziąć, aby tym razem nie dać się ubiec Polakom w Wilnie. Muszą oni uczynić wszystko, aby zająć Wilno przed Polakami, aby Polacy, zbliżając się do Wilna, stanęli wobec faktu, że w Wilnie są nie bolszewicy, z którymi Polacy wojują, ale Litwini. Słyszałem z ust Litwinów zdanie, że jeżeli bolszewicy natychmiast nie ustąpią z Wilna, trzeba będzie Litwinom wyrzucić ich stamtąd przemocą. Czy się na to zdecydują – zobaczymy. Ale być może, że i bolszewicy tym razem ustąpią dobrowolnie. Wieczorem opowiadano na mieście, że cała dywizja litewska wkroczyła do Wilna, by ostatecznie zająć miasto. Podobno jest to właśnie rezultatem decyzji litewskiej zajęcia Wilna i zmuszenia bolszewików w ten lub inny sposób do natychmiastowego opuszczenia stolicy. Mówiono nawet, że dywizja litewska stoczyła jakąś potyczkę z bolszewikami. Moment jest ciekawy i niezmiernie ważny. Wypadki w ciągu najbliższego tygodnia mogą mieć znaczenie decydujące.
Przechodzę do relacji z mojego odczytu piątkowego i dyskusji po nim. Na dyskusji tej przeciwko mnie wystąpił znany polityk i publicysta litewski, prof. Voldemaras. Wprawdzie zaznaczył na wstępie, że po raz pierwszy z ust Polaka słyszy takie sprawiedliwe potraktowanie Litwinów, ich stanowiska i dążeń państwowych oraz

stosunku litewsko-polskiego w zatargu o Wilno i wobec imperialistycznej polityki polskiej, ale niezwłocznie po tym wyrazie uznania przeszedł do zarzutów, tchnących taką insynuacją, że doprawdy trudno się przeciwko nim bronić. Zaczął bowiem nicować pewne poszczególne już nie zdania, ale wyrazy odczytu, pewne odcienie lub sposób ujęcia rzeczy, i węszyć w nich „zapach warszawski" (lit. „Varšuvos kvapas"). Powiada, że słuchał mię bardzo uważnie i że dlatego właśnie wyczuł ten „zapach warszawski", mimo że był on w odczycie moim bardzo starannie ukryty i trudno dostrzegalny. Po raz pierwszy poczuł leciutki odór tego zapachu, gdy w pewnym miejscu odczytu scharakteryzowałem Rosję mianem „barbarzyński wschód". „Dlaczego – wołał Voldemaras – ten wschód jest przez prelegenta nazwany „barbarzyńskim"? Jest w tym ukryta intencja przeciwstawienia mu „kulturalnego" zachodu, to znaczy Warszawy. A jednak ten „barbarzyński" wschód przyznał nam Wilno i nie kwestionuje naszych praw państwowych, podczas gdy cywilizowany grzeczny zachód, to znaczy gładka Warszawa *per fas et nefas* usiłowała nam wydrzeć nasze Wilno i nasze dziedzictwo narodowe!".
Że w moim odczycie dałem należytą ocenę tym imperialistycznym zakusom Polski na wschodzie w stosunku tak do Litwy, jak do Białej Rusi i Ukrainy – to p. Voldemaras w tej chwili zapomniał i nie chciał też dostrzec widocznie, że wschodowi, nazywając go „barbarzyńskim", przeciwstawiałem nie imperializm polski, lecz kulturę zachodnią.
Dalej „zapach warszawski" wyczuł p. Voldemaras w tym, że przychodzę z odczytem tym dopiero teraz, gdy polityka wschodnia Polski zbankrutowała w porażce militarnej (w dniu mojego odczytu porażka ta zdawała się jeszcze faktem nie kwestionowanym) i że go wygłaszam nie w Polsce lub Wilnie do Polaków, którzy zawinili względem Litwinów, jak sam to przyznaję, ale w Kownie do Litwinów, ucząc ich (pod strawnym dla nich szyldem krytyki imperializmu polskiego), jaką powinna być polityka państwowa w Litwie Wschodniej, i prawiąc im kazanie o zasadach tolerancji i sprawiedliwości, których wszak oni dotąd nie przekroczyli. Dalsze węszenie „zapachu warszawskiego" w tymże duchu. Widocznie dla ludzi w stylu p. Voldemarasa nawet Adam Mickiewicz byłby tym obywatelem II kategorii, trącącym „zapachem warszawskim", któremu wolno tylko piętnować Polaków w Warszawie, lecz nie przemawiać do współobywateli Litwinów. Gdym w odpowiedzi Voldemarasowi wskazał, że w Polsce nigdzie zabierać głosu nie mogłem, bo głosu tego nikt słuchać nie chciał, i że byłem tam skazany na milczenie, a tu tacy panowie w rodzaju Voldemarasa chcieliby mię prawa przemawiania pozbawić, odsyłając do Warszawy, podczas gdy ja chcę mówić tu, bo kocham Litwę nie mniej od obywateli rodowitych Litwinów i uważam się za równego im obywatela, a co do referatu mojego – to według jednych, nie chcą wydać drukiem, bo jest zbyt litewski, a Litwini – bo zbyt polski lub też, podług słów Voldemarasa – rzekomo tchnący „zapachem warszawskim", którego mi Warszawa i Polacy odmawiają, posądzając odwrotnie o „litwomanię" – dano mi sowite baty.

25 sierpnia, rok 1920, środa
No, zobaczymy, co to teraz znowu będzie. Ostatni tydzień przewrócił znowu wszystko do góry nogami. Sytuacja komplikuje się coraz bardziej.
W gazetach dalszych depesz o dalszych wypadkach wojennych nie ma. Tylko pogłoski donoszą o dalszym pochodzie Polaków, o tym, że podeszli oni pod Grodno. Są nawet pogłoski i takie, że Polacy już zajęli Grodno. Podobno nie tylko ta armia bolszewicka jest odcięta, która posunęła się za Mławę w „korytarz" polski, ale i ta także, która operuje między Łomżą a Augustowem. Istotnie, jeżeli Polacy doszli do Grodna, to bolszewicy nie mają z Grajewa i Augustowa żadnego odwrotu, bo albo muszą się przebić przez linie polskie pod Grodnem, albo przejść przez neutralne terytorium Litwy, która ich rozbroi. Zresztą zajęcie przez Polaków Grodna jeszcze nie jest pewne. O ile

wnosić można z prasy niemieckiej, opór bolszewików na linii wschodniej, to znaczy linii Bugu, jeszcze zwalczony przez Polaków nie został. Tylko północne skrzydła armii bolszewickiej zostały złamane i zdziesiątkowane, co dało Polakom możność odciąć duże odłamy działających tu armii bolszewickich i posunąć się tak głęboko na północ aż za Białystok.
Skądinąd Litwini, orientując się w nowej sytuacji, śpieszą wyciągnąć z niej konsekwencje i, uprzedzając nadejście Polaków, objąć czym prędzej przyznane im przez Rosję dzielnice terytorium, aby Polacy zastali granice Litwy obsadzone przez Litwinów i nie mieli formalnego pretekstu do wkroczenia w nie z tytułu wojny z bolszewikami. Jeżeli Litwini zdołają w tym względzie uprzedzić Polaków, to wówczas wkroczenie Polaków na terytorium Litwy będzie nie tylko już wyrazem wojny polsko-bolszewickiej, ale bezpośrednim zatargiem polsko-litewskim. Nie jest wykluczone, że Polacy pójdą na to, powołując się na dwa względy: 1. na to, że wymagają tego konieczności strategiczne wojny z Rosją, które nie mogą być pominięte, skoro Litwa nie zdecyduje się na wspólny front antybolszewicki z Polską, i 2. że Polska uznała *de facto* tylko niepodległość Litwy w granicach etnograficznych, podczas gdy terytorium Wilna i Grodna nie jest jeszcze przez Polskę uznane za państwowe litewskie i pozostaje sporne między Polską a Litwą, a ponieważ było ono terenem operacyjnym wojny polsko-rosyjskiej dotąd, więc nim pozostanie i nadal do czasu, gdy los tego terenu zostanie ostatecznie układem polsko-litewskim rozstrzygnięty, albowiem Polska nie może uznać traktatu, zawartego między Rosją a Litwą Kowieńską bez udziału Wilna za decydujący dla losów Wileńszczyzny i Grodna. Taka argumentacja Polski jest bardzo prawdopodobna i będzie logiczna ze stanowiska jej dotychczasowego stosunku do Wilna. Litwa oczywiście tej argumentacji nie uzna, traktując Wilno, Grodno i przyznane jej przez Rosję powiaty wschodnie za swoje dziedzictwo państwowe, nie ulegające dyskusji. Takie jest tło konfliktu, który się zarysowuje w perspektywach bliskich możliwości, o ile Polacy będą się posuwać dalej na północ. Litwini w każdym razie chcą mieć za sobą fakty dokonane, zanim Polacy nadejdą. Są zdecydowani objąć swe terytoria wschodnie i czekać na nich, co dalej będzie. Wtedy stroną zaczepną będą musieli stać się Polacy i oni też będą ponosić konsekwencje dalszego rozwoju konfliktu. W kołach litewskich w Kownie twierdzą dziś z całą stanowczością, że Wilno już zostało przez Litwinów zajęte, że wkroczyła tam dywizja litewska i że bolszewicy uciekają z Wilna. Są też wieści, pochodzące od Ślażewicza, który musi być dobrze poinformowany, że oddziały litewskie wkroczyły także do Grodna. Urzędowych doniesień o objęciu ostatecznym Wilna i wkroczeniu do Grodna dotąd jeszcze niema. Pogłoski mówią dalej, że Litwini są zdecydowani iść natychmiast dalej aż do swoich granic wschodnich, to znaczy do linii Niemna, do Lidy i do linii małej Berezyny (Niemieńskiej). Tam na granicach swoich czekać będą rozwoju dalszych wypadków. Zdaje się, że jednak w każdym razie wypadki te nie wyklarują się w dniach najbliższych i że jeżeli Litwini będą działać energicznie, to zdążą uprzedzić Polaków i stanąć u swoich granic, zanim Polacy nadejdą. Bo choć spod Grodna niedaleko Polakom do Lidy, a nawet do Wilna, to jednak trudno przypuszczać, aby Polacy pchali się wąską wydłużoną smugą na północ w kierunku Wilna, zanim nie cofną linii bolszewickiej na wschód od linii Bugu. Inaczej bowiem ich operacja północna byłaby zagrożona. Posunięcie się Polaków w kierunku Grodna, to znaczy do Niemna, było dopiero wyprostowaniem linii, a teraz z kolei najbliższym zadaniem kontrofensywy polskiej będzie przełamanie linii bolszewickiej na wschód i zyskanie terenu w tym kierunku, bez czego, zdaje się, byłoby trudnym kontynuowanie akcji północnej za Niemen. Jeszcze więc Litwini mają, jak się zdaje, dość czasu do dokonania swojej akcji.

W kołach polskich i sprzyjających Polakom tutaj panuje nastrój absolutnej pewności w triumf kontrofensywy polskiej, którą uważają za zwycięstwo ostateczne, a nawet skłonni uważać ją za początek końca bolszewików. Zdaje mi się jednak, że to są nadzieje zbyt śmiałe. Osobiście nie jestem jeszcze pewny, że kontrofensywa polska nie okaże się tylko epizodem, a po wtóre, gdyby nawet odniosła zwycięstwo zdecydowane, to jeszcze upadek bolszewickiej Rosji nie jest przeto bynajmniej przesądzony, jak nie został przesądzony ani przez powodzenie Kołczaka, Judenicza i Denikina w roku zeszłym, ani przez ogromne sukcesy polskie na linii Dźwiny, Berezyny i w pochodzie na Kijów. Ale w obecnej fazie wojny wchodzi w grę wyraźnie akcja francuska, która kieruje armią i polityką polską.

26 sierpnia, rok 1920, czwartek
Znowu nie ma nic w gazetach z wypadków wojennych. Jest w „Lietuvie" komunikat bolszewicki, nawet świeży, bo datowany z dnia 24 sierpnia, ale bezbarwny. Mówi on o walkach, toczących się ze zmiennym powodzeniem pod Brześciem i pod Białymstokiem, ale w gruncie nic szczególnego nie zaznacza. Tylko na południowym odcinku w Galicji Wschodniej chwali się, że wojska bolszewickie dotarły w kierunku na Halicz do rzeki Gniłej Lipy.
Zaczynają obiegać pewne pogłoski o tym, że kontrofensywa polska została wstrzymana, a są nawet już i takie pogłoski, że bolszewicy znowu gdzieś pobili Polaków pod Brześciem czy pod Białymstokiem. Ta ostatnia pogłoska, o ile wiem, pochodzi ze źródeł żydowskich z tzw. czarnej giełdy. „Czarnymi giełdami" nazywają gromady spekulantów żydowskich, zajmujących się na ulicy wymianą pieniędzy różnych walut i spekulujących na kursie pieniędzy; w każdym mieście ci spekulanci, których ilość w czasie wielkiej wojny i po wojnie ogromnie się rozmnożyła, bo w obecnym chaosie znaków pieniężnych i walut spekulacja na wymianie i na kursie pieniędzy stała się procederem bardzo ryzykownym, obierają sobie jakiś ruchliwy punkt miasta, na których wystają ich gromadki całymi dniami, łowiąc interesantów i robiąc interesy; każde miasto ma swoją czarną giełdę; w Łomży funkcjonowała ona na rogu Starego Rynku i ul. Farnej przy aptece Komornickiego, w Wilnie czarna giełda urzęduje na ul. Zawalnej w pobliżu ulicy Stefańskiej, w Kownie na „Laisvės Alei" w pobliżu Sądu Okręgowego; jest to rzeczywiście podobizna i zarazem karykatura giełdy; znaki pieniężne różnych gatunków są dziś tym, czym bywały dawniej akcje i różne papiery wartościowe; czarną nazywają tę giełdę dlatego, że jest ona rodzajem sprzysiężenia spekulacyjnego, spojonego szczególną solidarnością na rzecz okpiwania interesantów. Takie źródło pogłoski nie jest pewne, bo choć czarna giełda, jak w ogóle Żydzi, ma dobre zwykle informacje, ale potrafi też prawdę w odpowiednim pożądanym dla niej momencie ukryć albo też sfałszować wymyśloną pogłoską, gdy spekulantom chodzi o chwilowe wyśrubowanie lub obniżenie kursu tych lub innych pieniędzy. Skądinąd są pogłoski, że kontrofensywa polska zatrzymała się z powodu wyczerpania zapasów amunicji, której brak Polakom. A zresztą i jedno, i drugie może pochodzić tylko z tego, że Polacy, zbliżywszy się na północy do Grodna, zmuszeni są tu na czas jakiś przystanąć, zanim nie uzupełnią swego ruchu skrzydłowego na północ przez zyskanie odpowiedniego terenu w centrum frontu na wschód. Wstrzymanie szybkiego pochodu skrzydłowego na północy nie może być przeto samo przez się miarodajnym wskaźnikiem dalszych powodzeń operacji kontrofensywnej. Punkt ciężkości musi teraz przesunąć się ku centrum frontu na Brześć. Tam uwydatnić się winny teraz cechy, decydujące o dalszych losach operacji. Chodzić będzie o odcinek mniej więcej na linii Białystok-Brześć-Lwów.

Co do mnie osobiście, to przyznam szczerze, że obawiam się zarówno nadmiernej przewagi bolszewików, jak zbytniego efektu kontrofensywy polskiej. Upokorzenie bolszewików w ich butnej inwazji na Warszawę było pożądane, ale niemniej byłoby niebezpiecznym, gdyby Polska nie znalazła hamulców w swojej zwycięskiej kontrofensywie. Podkreślam to tym bardziej, że kontrofensywa polska została wykonana podług planu i pod kierownictwem naczelnym oficerów francuskich z generałem Weygandem na czele. Otóż dążenia Francji są aż nadto znane. Francji chodzi o obalenie bolszewizmu w Rosji i przywrócenie wielkiej mocarstwowej Rosji na wschodzie, która zapewni spłatę kapitałów francuskich z pożyczek dawnej Rosji carskiej i wznowi alians z Francją, uzupełniony obecnie udziałem Polski, zdolny do szachowania Niemiec ze wschodu. Jest to dążenie Francji do utworzenia wielkiego sytemu politycznego w Europie pod firmą Francja-Polska-Rosja. Na przeszkodzie temu stoi bolszewizm, który Francja chce obalić, by na jego gruzach odrodziła się stara Rosja aliancka. Stanowisko Francji poparła jaskrawie w ostatnich czasach Ameryka (Stany Zjednoczone). Dążenie to przeciwstawia się niepodległości państw „kresowych", to znaczy bałtyckich (Litwa, Łotwa, Estonia), bo oczywiście niepodobna odtwarzać starą mocarstwową Rosję jako aliantkę, pozbawiając ją jednocześnie tego, co jest jedną z konieczności jej stanowiska mocarstwowego, mianowicie dostępu do Bałtyku. Molochowi więc odrodzonej Rosji mają być dane w ofierze młode ludowe republiki Litwy, Łotwy i Estonii. W Polsce polityka francuska jest akceptowana najskwapliwiej przez Narodową Demokrację, która była zawsze przeciwna programowi Piłsudskiego, usiłującemu wskrzeszać Ukrainę i wytwarzać system ligi państw narodowych od morza do morza z frontem antyrosyjskim. Otóż kontrofensywa polska nie po to oczywiście była przez Francję zorganizowana, by jeno dała Polsce możność zyskania lepszych szans i warunków w układzie pokojowym z Rosją bolszewicką. Francja, która właśnie dopiero co uznała rząd Wrangla na południu Rosji za prawowity rząd rosyjski, nie może jednocześnie popierać w Polsce idei pokoju z bolszewikami. Oczywiście ceną pomocy francuskiej musi być uczynienie z Polski jednego z elementów, przeznaczonych do obalenia bolszewizmu i do restauracji starej Rosji (drugim elementem tegoż ma być Wrangel. W tych warunkach kontrofensywa polska, jeżeli będzie nadal na wielką skalę zwycięska, musi się rozwinąć w nowe rozpalenie pożaru wojny na wschodzie, pożar, moim zdaniem, miałby wszelkie cechy wielkiego awanturnictwa politycznego. Polska straciłaby tu swoją autonomię polityczną, o pokoju nie byłoby mowy, nawet program Piłsudskiego przestałby być aktualnym, a byłaby to już po prostu akcja Francji, wykonywana przez Polskę jako jej narzędzie.

27 sierpnia, rok 1920, piątek
Dzisiejsza „Lietuva" przynosi parę komunikatów wojennych polskich i jeden komunikat bolszewicki z dni ostatnich. Pogłoski wczorajsze, a również dzisiejsze, które rozpowiadały o nowym zwycięstwie bolszewików nad Polakami, a nawet o ponownym odebraniu przez bolszewików Białegostoku – w komunikatach tych się nie potwierdzają, ale w każdym razie zdaje się być faktem, że impet pierwotny kontrofensywy polskiej osłabł i że fanfary tryumfalne „Dziennika Gdańskiego" oraz optymistów zwycięstwa polskiego, dostrzegające w powodzeniu polskim ostateczne złamanie siły bolszewickiej i rozpowiadające już pochód polski – nieomal przechadzkę wojenną – bodajże już na Moskwę – były przedwczesne. Impet kontrofensywy polskiej osłabł. Toczy się walka żmudna na całym długim froncie centralnym na linii Białystok-Brześć-Hrubieszów bez widocznej jeszcze przewagi tej lub innej strony. Sytuacja ta się dopiero waży i bynajmniej na rzecz Polski przesądzona nie została. Na skrzydłach natomiast toczą się operacje poszczególne. Mianowicie na skrzydle północnym Polacy

są zaprzątnięci ściganiem i wyłapywaniem odciętych oddziałów bolszewickich; te odcięte oddziały tworzą dwie odrębne grupy; jedna grasuje na zachód od linii kolejowej Modlin-Mława, w okolicach Sierpca i wschodnich kresów województwa pomorskiego, druga – na wąskim pasie wzdłuż granicy pruskiej, sięgającym do niedawna aż pod Chorzele i ciągnącym się stamtąd na Myszyniec-Kolno-Szczuczyn-Grajewo pod Augustów, skąd przesmykiem łączy się z terenem bolszewickim pod Grodnem; Polacy nie mogą rozwijać swoich operacji od Białegostoku na wschód i północ, zanim się nie uporają z tymi bandami na tyłach, które grasują po lasach, łączą się w większe skupienia i atakują dokoła. Walki były szczególnie zacięte pod Kolnem, które ostatecznie zdobyte zostało przez Polaków. Stawiski, Osowiec – zajęli Polacy. Druga akcja ciekawa toczy się na skrzydle południowym w Galicji Wschodniej. Bolszewicy, jak wpierw na północy, tak teraz tam na południu, zdają się prowadzić głęboką akcję oskrzydlającą kawaleryjską, która na południu Lwowa sięga aż po Bóbrkę, Mikołajów i Stryj, a na północy od Lwowa toczy się gdzieś w pobliżu Kamionki Strumiłowej. Osobliwym „*pendent*" do tej akcji jest nagle wiadomość o zajęciu przez jakiś oddział polski... Równego! Polacy w Równem, a bolszewicy jednocześnie w Stryju! Oto obraz postrzępionego frontu, który przeradza się w jakąś osobliwą partyzantkę bez żadnej określonej linii!
Wstrzymanie impetu kontrofensywy polskiej i uwydatnienie trudności dalszej akcji obydwóch stron usposobi może strony do szczerszego podjęcia rachitycznych rokowań rozejmowo-pokojowych w Mińsku i zarówno oderwie bolszewików od dumnych marzeń o Warszawie i o podyktowaniu Polsce pokoju przemocy i upokorzenia, jak zwichnie u Polaków sny o złamaniu panowania bolszewickiego w Moskwie i o roli zbawców Wschodu. Daj to Boże! Już dziś nawet są w prasie wskazówki, że sama Francja w osobie swych generałów, organizatorów kontrofensywy polskiej, radzi Polsce umiarkować swoje ambicje wschodnie i nie przeciągać struny, by swoich atutów obecnych w rokowaniach pokojowych nie stracić. Wygląda to trochę dziwnie, gdy Francja doradza Polsce pośrednio pokój z bolszewikami, których przecie sama nie uznaje, uznając rząd Wrangla i opierając na nim politykę wskrzeszenia starej Rosji mocarstwowej. Pokój z Rosją bolszewicką i regulacja spraw wschodnich na zasadzie faktycznych czynników istniejących – to teza polityki anglo-włoskiej, dążącej coraz widoczniej do kontaktu z Niemcami i do uznania państewek bałtyckich. Jest to natomiast antyteza polityki i koncepcji francuskiej.
Od dnia wczorajszego Wilno jest formalnie i faktycznie we władzy wyłącznej litewskiej. Dziś już sztandar litewski powiewa ze szczytu Góry Zamkowej w historycznej stolicy Giedymina. O, Wilno! Wreszcie pieśń żołnierza litewskiego, o której w roku 1914 i 1915 na początku Wielkiej Wojny marzyłem u grobu Anny na pięknym cmentarzu ewangelickim w Wilnie, słuchając obcej pieśni wojsk rosyjskich kozaków, płynie wśród murów Twoich, nawiązując nić odwiecznej ciągłości narodu, odrodzonego po wiekach z łona chłopa Ziemi Litewskiej! O, Wilno, jakże tęsknię do Ciebie, jakżebym pragnął gorąco być tam w murach Twoich w szeregach pierwszych budowniczych Ojczyzny, odzyskującej utraconą stolicę! O, Wilno! Niestety, ciąży na mnie to, żem Polak z kultury i żem te lata, kiedy Litwa z grobu powstawała, Polsce służył i budowniczych Polski przebywał. Tak, to ciąży. Ciąży też na mnie, jako Polaku, cała dotychczasowa błędna polityka polska, której odpowiedzialność rozkłada się na wszystkich obywateli litewskich narodowości polskiej. Polacy litewscy przeszkadzali dziełu odrodzenia państwowego Ojczyzny i usiłowali wwiązać ją w koło państwowości mocarstwowej Polski. Toteż nie ufają im dziś Litwini i choć uznają prawo równości obywatelskiej dla wszystkich, nie odważają się powoływać ich do współpracy w budowaniu szczytów państwowości Litewskiej w stolicy. Smutne to, ale, niestety,

psychologicznie usprawiedliwione. Dopóki trwa możność powrotu Polski z jej roszczeniami, dopóki spór polsko-litewski o Wilno nie rozwiązany formalnie – dopóty Litwini boją się dopuszczać na stanowiska odpowiedzialne współobywateli kultury i narodowości polskiej, choćby to byli ludzie z ducha Litwy Mickiewiczowskiej. Smutno mi jest, bo tęsknię do Wilna i tęsknię do wielkiej pracy budowniczej w Ojczyźnie i w jej stolicy, w której najskuteczniej siły bym moje mógł zużytkować. Smutno i tęskno, ale nie szemrzę, bom, Litwo, był opuścił Ciebie. Pragnę wrócić do Wilna, choćby w postaci szeregowego sędziego w Sądzie Okręgowym. Ale nic tymczasem nie słychać, kiedy sąd się zacznie w Wilnie organizować i czy będę w liczbie tych, którzy pierwsi będą do kompletu tego sądu powołani. Widziałem się wczoraj i dziś z Žemaitisem, głównym pełnomocnikiem władz cywilnych litewskich na Wilno w dotychczasowej fazie obejmowania Wilna przez Litwę. Dużo się od niego ciekawych rzeczy dowiedziałem. Pod wpływem ostatnich wypadków na froncie polsko-bolszewickim bolszewicy ustąpili wobec ultymatywnych żądań litewskich natychmiastowego wycofania się z Wilna i nawet z pozostałych części kraju. Wobec tego wojska litewskie, a za nimi litewska państwowość piędź za piędzią odzyskiwać będzie swoje terytorium aż do granic właściwych.

28 sierpnia, rok 1920, sobota
Z wojny nic nowego. Komunikat polski podaje jeno różne detale walk z bolszewikami w okolicach Kolna i wokół Puszczy Kurpiowskiej. Walki te, choć powodzenie sprzyja w nich Polakom, nie stanowią jakiegoś szczególnie charakterystycznego zwycięstwa, bo są to utarczki, mające cechy polowania na odcięte i błąkające się oddziały bolszewickie, które na ogół bronią się dzielnie. Bardziej wydatne epizody tych walk miały miejsce pod znaną mi dobrze kurpiowską wsią Leman gminy Turośl. Poza tym z frontu – nic nadzwyczajnego. Jeden tylko podany epizod – uderzenie znienacka przez jakiś oddział polski na Kobryń.
Litwini posuwają się ciągle do granic swoich na południe i na wschód. Bolszewicy wycofują się z terytorium, przyznanego Litwie. Na południu stoją Litwini na linii Augustów-Lipsk-Jeziory pod Grodnem, na wschodzie na linii Nacza-Oszmianka. Gdyby Polacy mieli się posunąć dalej na północny wschód, zastaną już Litwinów, czuwających u swoich granic państwowych. Będą mieli wtedy do wyboru albo posuwać się w pościgu za bolszewikami wzdłuż granic Litwy, albo złamać opór litewski i wkroczyć przemocą na terytorium, uważane przez Litwę za swoje państwowe, rozpalając konflikt polsko-litewski. W dzisiejszej „Lietuvie" ogłoszony został tekst depeszy, wysłanej przez ministra spraw zagranicznych Litwy, Puryckiego, do ministra spraw zagranicznych Polski, Sapiehy. Purycki w imieniu rządu litewskiego ogłasza neutralność Litwy w wojnie polsko-rosyjskiej, żąda wydania zawczasu polecenia wojskom polskim, by nie przekraczały granic litewskich, strzeżonych przez wojsko litewskie i proponuje ustalenie linii demarkacyjnej polsko-litewskiej w Suwalszczyźnie. Rozmawiałem dziś z porucznikiem wojsk polskich Römerem (z Römerów galicyjskich herbu Jelita), który wraz z kapitanem Mackiewiczem przyjechali przed paru dniami do Kowna jako delegacja wojskowa polska[74]. Zapoznał mię z nim Zygmunt Jundziłł w kawiarni Perkowskiego. Okazuje się – czego się zresztą można było domyślać – że Polska ciągle jeszcze nawraca do swej poprzedniej polityki wschodniej, wciąż jeszcze kwestionuje przynależność Wilna i powiatów wschodnich do Litwy i nie uznaje formalnie traktatu, zawartego przez Litwę z bolszewicką Rosją. W sprawie pokoju Polski z Rosją dowiedziałem się ze słów porucznika Römera, że choć rokowania

[74] Szerzej o misji wojskowej polskiej, patrz P. Łossowski, Stosunki polsko-litewskie w latach 1919-1920, Warszawa 1966, s. 223 i następne.

pokojowe mają się nadal toczyć, Polska jednak nie liczy się z nimi poważnie i, ufna w wymowę argumentów militaryzmu, żywi w duszy ideę obalenia bolszewizmu w Rosji i nadzieję, że w tym obaleniu i ona też swą rolę odegra. Wszakże ze słów Römera widać także i to, że jednak czynniki Ententy, nie wyłączając Francji, nie zechcą Polski do angażowania się głęboko na wschód i nie będą skłonne dawać jej w tym względzie poparcie. Nie wyrzekła się też Polska swojej ulubionej roli orędowniczki ludów bałtyckich i w tej liczbie Litwy, to znaczy nie myśli się swoich ambicji mocarstwowych wyrzekać. Römer[75] i Mackiewicz, choć przyjechali w misji wojskowej, jednak zarazem są w ścisłym porozumieniu z Sapiehą, to znaczy z rządem polskim i jego polityką zagraniczną względem Litwy. Porozumiewają się też tutaj nie tylko z dowództwem litewskim, ale także z Puryckim i Griniusem. Ze słów Römera, rząd polski stawia sprawę litewską tak: Polska nie może uznać formalnie przynależności Wilna i powiatów wschodnich do Litwy z tytułów ustąpienia tych ziem Litwie przez bolszewicką Rosję, która sama praw do tych ziem nie posiada. Kwestia przynależności państwowej Wilna i powiatów wschodnich jest kwestią między Litwą a Polską, kwestią porozumienia między tymi dwoma narodami. Polska gotowa jest zrzec się roszczeń do tych ziem na rzecz państwowości litewskiej, ale tylko pod kategorycznym warunkiem ścisłego związku Litwy z Polską. Jest to znana piosenka dawna z obozu „Naszego Kraju", piłsudczyków i Witolda Abramowicza. W przeciwnym razie powinna rozstrzygać wola ludności Wilna i powiatów wschodnich w postaci plebiscytu, ewentualnie arbitraż międzynarodowy. Wygadał się jednak Römer, że nie tylko inne państwa Ententy, ale nawet protegująca Polaków Francja, wspierając kontrofensywę polską, zastrzegła się przeciwko aneksjom polskim na wschodzie poza terytorium Polski etnograficznej. Skoro więc Polska nie będzie miała możności stosowania argumentów aneksyjnych jako środka ostatecznego na wypadek niedojścia do porozumienia z Litwą, to wszelkie jej żądania względem Litwy są tylko pobożnymi życzeniami. Choć rząd i dowództwo wojskowe polskie domagają się wobec Litwinów, aby ci nie tamowali im dostępu do Grodna i Lidy ze względów strategicznych, jednak nie jestem bynajmniej przekonany, żeby Polacy zdecydowali się, bynajmniej w razie odmowy kategorycznej Litwinów, zająć przemocą Lidę, a tym bardziej Wilno. Gdym Römerowi wskazał, że żądanie *à priori* ścisłego związku Litwy z Polską jako warunku uznania Litwy w jej granicach wschodnich jest błędem, bo żaden naród, a tym mniej młody, nie zgodzi się uzależnić swojej państwowości od warunku związku z państwem obcym, i że natomiast, o ile Polska uzna Litwę w jej granicach wschodnich i potraktuje sprawę Ziemi Wileńskiej i Grodna tak, jak potraktowała przynależność Inflant do Łotwy, to zbliżenie Litwy do Polski nastąpi samo przez się *à posteriori*; Römer, choć na razie wysuwał pewne zastrzeżenia, wreszcie zaczął przyznawać rację temu i oświadczył, że może by Polska i na to by się zgodziła, ale musiałaby mieć gwarancje, że Litwa odpowiednio traktować będzie Wilno i powiaty wschodnie. Niestety – Polska wciąż bruździ. Nie rozumie ona, że gwarancje, dane państwu obcemu i przeto jakaś opieka państwa obcego najwięcej szkodzą tym obywatelom, którym mają służyć, bo czynią ich państwo pupilami potęgi obcej. Demoralizuje to ich samych i czyni ich w państwie jakimiś pupilami obcej interwencji. Ta ciągła opieka Polski i narzucanie jej Polakom litewskim jest dla Polaków litewskich i ich stanowiska w państwie zgubna. Czyni ich ona podejrzanymi w państwie i nadaje im cechę jakiejś ekspozytury obcej. Byłoby fatalne dla nich, gdyby ich rola miała się stać w Litwie taką, jaką były rola „innowierców", protegowanych w Rzeczypospolitej XVIII wieku przez Katarzynę II.

[75] Adam Römer (1892-1965) – dyplomata, publicysta. W interesującym nas okresie jako referent w biurze ewidencyjnym Oddziału II zajmował się zagadnieniami litewskimi, brał udział w rokowaniach polsko-litewskich w Kalwarii i Suwałkach. Szerzej: PSB, t. 31, s. 627-629.

29 sierpnia, rok 1920, niedziela
Gazet dziś nie było, nowin z wojny nie wiem. Nie słychać też było żadnych zgoła pogłosek. Widocznie nic osobliwego w ostatnich dniach na froncie polsko-bolszewickim nie zaszło.
Otrzymałem depeszę od Papy z Wilna, że dziś lub jutro bądź pociągiem bądź automobilem przyjedzie. Chwała Bogu, że już wraca. Choć w Bohdaniszkach zastanie stosunki nie nazbyt przyjemne, bo sprawa z gospodarstwem i szczególnie z parobkami jest coraz trudniejsza, a stanowisko dworów coraz ostrzej atakowane radykalnymi zarządzeniami, płynącymi z reformy agrarnej, ale przynajmniej biedny staruszek zazna tak dostatku materialnego, wypoczynku i spokoju po przejściach ostatnich miesięcy, jeżeli tylko zechce zrezygnować z usiłowań osobistej interwencji czynnej w gospodarkę i stosunki dworu z parobkami i wioskami. Bo gdyby Papa zechciał interweniować i mieszać się sam czynnie w ster spraw, powstałyby komplikacje i skutek zarówno osobiście dla Papy, jak dla majątku – mógłby być fatalny. Papa nie ma ani taktu, ani umiarkowania, koniecznego szczególnie w obecnych czasach, ani wyrozumiałości dla ludzi, okoliczności i warunków, a przywykł zawsze do nieograniczonej samowoli. Ale biedaczek jest już zdziecinniały, toteż choćby nawet zechciał, nie potrafi już rządzić, a zdaje się, że już i sam czuje, że nie może podołać rządzeniu w warunkach obecnych i przeto nie bardzo się zapewne już zechce kusić o to. Biedny kochany Papa! Ileż biedaczek doznał poniewierki, męki i ciężarów w tej swojej wyprawie w świat, która miała być niby kuracją. Bez pieniędzy, bez pomocy siedział miesiącami w Warszawie, żyjąc z dnia na dzień w nędzy, a gdy wreszcie już był w drodze powrotnej, musiał jeszcze trafić w Wilnie akurat na samą katastrofę lipcową polską i przesiedzieć dotychczas w Wilnie pod bolszewikami. Takie przejścia i taka poniewierka dla człowieka, który ma lat 75, to rzecz nie lada, a szczególnie, gdy jest nim człowiek, który przez całe życie przywykł do dostatku i nigdy braku gotówki i chleba nie doznawał. Nawet człowieka zdrowego w sile wieku takie przejścia mogą złamać, a cóż dopiero Papę, starca! Ileż ludzi młodych ta wojna i wszystkie związane z nią wypadki złamały, pozbawiły energii, zdrowia i równowagi psychicznej! Że Papa się posunął, że zdziecinniał i podupadł na umyśle – to słychać zewsząd. Sam to już przed rokiem spostrzegłem, ale ten rok ostatni musiał ten upadek pogłębić niezmiernie. Uprzedzali mię już o tym Pomorski i O'Rourke, gdy Papa dopiero do Warszawy przyjechał, alarmowały po tym tej wiosny siostry nieboszczyka Zysia Komorowskiego z Warszawy, gdy już Papa siedział tam bez pieniędzy, a ostatnio i Hela Ochenkowska, pisząc mi przed kilku dniami z Wilna o Papie, ostrzegała, aby Mu do rąk bezpośrednio pieniędzy nie przysyłać, bo wobec stanu umysłowego Papy byłoby to na nic. W liście tym Hela pisała, że Papa „po powrocie z Grodna" (chyba więc próbował uciekać przed bolszewikami, ugrzązł w Grodnie i w jakiś sposób zdołał powrócić stamtąd do Wilna) mieszka w Hotelu „Italia" i nie ma pieniędzy. Po liście Heli, mając już pewność, że Papa jest w Wilnie, wysłałem przez wracającego do Wilna Žemaitisa na imię Michała Biržiški pieniądze dla Papy, prosząc, aby je Biržiška wręczył Heli Ochenkowskiej. Posłałem 500 marek litewskich z tego tysiąca, które mi przysłał na ten cel z Bohdaniszek Jakszuk. Ale ponieważ Žemaitis, zdaje się, dopiero wczoraj wyjechał do Wilna, nie wiem, czy już Papa pieniądze otrzymał. Chwała Bogu, że Papa wraca, ale swoją drogą namęczy mię zapewne przez czas swego pobytu w Kownie.
Mam nadzieję, że bolszewicy nie zdążyli obrabować nasze mieszkanie w Wilnie. Gdyby byli zostali w Wilnie do 1 września, jak zamierzali, to pewno byliby wywieźli wszystkie meble i ogołocili całe mieszkanie. Ale szybka i nagła ich ewakuacja w ostatniej chwili ocaliła zapewne przynajmniej meble. Bolszewicy, a właściwie rewkom

wileński, wywozili z Wilna co się dało. W szczególności wywozili drukarnie, maszyny wszelkie, składy itd. Wiem od Žemaitisa, że wywieźli między innymi całe urządzenie kliniki chirurgicznej dr Dembowskiego, wszystkie narzędzie chirurgiczne, które dziś są bezcenne, aparaty Roentgena, wszystko; wywieźli też całą zawartość składu narzędzi rolniczych Nagrodzkiego, sklep maszyn i narzędzi Malinowskiego, dziesiątki i setki urządzeń innych fabryk, warsztatów, składów itd. Bibliotekę prywatną Obsta zniszczyli, bibliotekę Bronsztejna Žemaitis uratował, z biblioteki dr Zahorskiego zabrali tylko dwie naładowane platformy. Osób rozstrzelali przez czas swego pobytu w Wilnie urzędowo tylko kilkanaście, ale Žemaitis twierdzi, że ilość rozstrzelanych w rzeczywistości, bez wyroków formalnych, wynosi do 600. Aresztowanych, którzy przebywali w Wilnie, wywieść nie zdołali, bo Litwini przeszkodzili im w tym. Ale niektórych wysłali już do Mińska poprzednio, w tej liczbie księdza Michalkiewicza, Antoniego Tyszkiewicza, starego księgarza Wacława Makowskiego. Meble i własność prywatną, zwłaszcza tych, którzy byli uciekli z Wilna, wywozili masowo. Zresztą Žemaitis twierdzi, że nie wszystko, co bolszewicy „wywozili”, w rzeczywistości zostało wywiezione. Bowiem było zjawiskiem powszechnym, że synowie spekulantów żydowskich służyli w rewkomie i co synowie niby to wywozili, to ojcowie po drodze przejmowali.

30 sierpnia, rok 1920, poniedziałek
Z wojny żadnych nowin.
Rano byłem jeszcze w łóżku – było koło godz. 7 – gdym usłyszał ruch i głosy na dziedzińcu, stukanie do drzwi wejściowych, zapytanie służącej – kto taki, itd. W półśnie zdało mi się, że słyszę głos, wołający: „To jego ojciec przyjechał!”; dobrze głosu jeszcze nie rozróżniałem, ale od razu myśl mi błysnęła w głowie: to Papa! Wyskoczyłem z łóżka, narzuciłem koszulę. Nie omyliłem się: do pokoju mego wchodził Papa. Skoczyłem na powitanie, całowałem biedne ręce i twarz Ojca, ściskałem Jego zbiedzoną nędzną postać. Papa posunął się bardzo i wygląd ma biedaczek opłakany. Zmalał, skurczył się, ruchy ma ciężkie, z trudem włóczy nogami. Czyni wrażenie staruszka zupełnie zgrzybiałego. Ubrany nędznie, właściwie ledwie odziany. Czarny surdut poplamiony, brudny na odłogach, pod surdutem zamiast kamizelki jakaś stara poplamiona i w strzępach kurtka, zapięta pod szyją, zamiast kołnierzyka duży szalik, owinięty na szyi. Widok to smutny ruiny fizycznej i materialnej, na której znać ślady przebytej nędzy i poniewierki. Tylko głowa ta sama, piękna, siwa, o ślicznych rysach twarzy. Rzeczy ze sobą nie ma Papa żadnych z ubrania i bielizny, prócz tego, co ma na sobie – nic. Nawet palta nie ma Papa. Część rzeczy zostawił w Toruniu w zastaw za pożyczone pieniądze, trochę – pozostawił w Warszawie, a resztę w ręcznym kuferku Papy skradziono w Landwarowie, gdy na parę dni przed cofnięciem się Polaków z Wilna jechał Papa z Wilna do Kowna. Epopeja bowiem ostatniej tułaczki Papy za czasów bolszewickich była taka: na początku lipca miał już Papa przepustkę na jazdę w Wilna do Kowna i od władz polskich, i od Komitetu Litewskiego w Wilnie. Wybrał się już w tę drogę, gdy jeszcze Polacy byli w Wilnie, ale gdy już ucieczka się rozpoczęła. W Landwarowie miał zajść do Maryni, która we dworze dzierżawiła ogrody; rzeczy zostawił na stacji i poszedł do Maryni pieszo; Maryni nie zastał, bo już były uciekła, a tymczasem po powrocie na stację nie znalazł już rzeczy. Poradzono Papie, żeby jechał szukać rzeczy na Grodno, bo w tę stronę zmierzał cały tłum uchodźców wraz z uchodzącym wojskiem. Papa udał się do Grodna. Tam został odcięty przez bolszewików. Przez parę dni był w Grodnie bez dachu nad głową wśród kul i pocisków polskich, ostrzeliwujących miasto, zajęte przez bolszewików. W Grodnie pod bolszewikami przesiedział Papa aż do 15 sierpnia. Wreszcie jakimś szczęśliwym trafem dostał się do jednego z nielicznych pociągów bolszewickich, idących na Wilno, i w ten

sposób do Wilna dojechał. W Wilnie zamieszkał w hotelu Hana, otrzymał mój list i, dzięki pomocy pastora kalwińskiego Litwina Šepetisa, po wycofaniu się bolszewików z Wilna, przyjechał dziś pociągiem do Kowna. Ciężko było naturalnie Papie, ale nikt mu krzywdy nie robił. Nawet bolszewicy, to znaczy wojskowi Czerwonej armii – oficerowie bolszewicy, kozacy, litowali się nad zbiedzonym samotnym i zdziecinniałym staruszkiem, nie domyślając się w nim „burżuja" i obszarnika. Zaiste – sam wygląd zewnętrzny Papy, brudny, niechlujny, nędznie, omalże nie w łachmany ubrany, zawszony, nie mógł budzić podejrzeń w kierunku „burżujskim" kwalifikacji papy. Toteż nieraz nawet sami bolszewicy zapraszali Papę do swego towarzystwa na herbatę albo nawet na wódeczkę, częstowali, gawędzili przyjaźnie albo nawet, gdy był bez dachu nad głową, wyznaczali mu kwaterunek. Raz tylko jeden kozak uderzył Papę nahajką tak mocno, że Papa upadł, a potem go miał zaaresztować, ale nie doszło do tego. Żył Papa z drobnych pożyczek od znajomych litościwych osób, z łaski ludzkiej, czasem nawet z datków przygodnych w naturze.
Po przyjeździe Papa na razie bardzo zmęczony na skutek podróży nocnej. Był rozczulony, płakał jak zwykle, jadł dużo i był na ogół dość pogodny. Dla mnie był serdeczny, zapewniał mię ciągle, że mię kocha, nie wymówił mi ani razu, żem wrócił do Litwy i objął tu stanowisko sędziowskie w służbie państwowej, czemu był zawsze tak przeciwny i co mi do niedawna kategorycznie „zabraniał", pragnąc, bym pozostał w Polsce. Przeciwnie – zdawał się być nawet zadowolony z tego, żem wrócił do kraju i na ogół był życzliwie do Litwy i Litwinów usposobiony. Chwalił też takt Litwinów w Wilnie, zdawał się być wzruszony tym, że czuje się bliższy Bohdaniszek jako źródła „bogactwa" swego (Papa imaginuje, że jest po kilkakroć milionerem i że z Bohdaniszek można wyciągnąć ogromne dochody) i władzy. Ale nie jest to u Papy przywiązanie i miłość do Bohdaniszek jako takich, jeno do ich plonu pieniężnego do zużycia poza nimi. W miarę jednak, jak Papa po przespaniu się odzyskiwał stan sytości i wypoczęcia, pierwotne usposobienie ciche i skwaszone z tendencją do rozczulania się – ustępowało na rzecz kaprysów, złości, krzykliwości. Coraz bardziej stawał się drapieżnym i nieznośnym. Jest Papa nie tylko zdziecinniały, ale też całkiem już niepoczytalny umysłowo. Niewątpliwie jest Papa umysłowo chory. Fizycznie stan Papy jest także bardzo zły. Nogi Papy są coraz bardziej zbrzękłe. Chodzi z wielkim trudem. Liczę, że Papa już roku nie przeżyje.

31 sierpnia, rok 1920, wtorek
Miałem sesję w sądzie i to mi dało możność spędzenia dnia bez towarzyszenia Papie. Papa ma ochotę, żeby mu towarzyszyć, ale jest na ulicy i we wszelkich miejscach publicznych wprost niemożliwy; żadnego wędzidła sam na swoje kaprysy nie kładzie i nikomu też położyć nie pozwoli; zachowuje się tak, że siebie na pośmiewisko powszechne, a towarzyszących mu na wstyd jeno naraża. W domu już mniejsza o to, jak się zachowuje; można dużo znieść i darować, gdy się wie, że to starzec zdziecinniały i na wpół przytomny, nie będący już w stanie panować nad sobą. Ale w miejscach publicznych wobec gromady ludzi obcych – smutno i przykro być świadkiem błazeńskiego upokorzenia ojca. Ale chodzi Papa tak ciężko i jest tak słaby, że skądinąd trudno jest go zostawiać samego i przykro mu nie towarzyszyć. Jak wnoszę ze słów Papy – chciałby Papa siedzieć w Kownie jeszcze długo, a następnie, po drodze do Bohdaniszek, wstąpić jeszcze do Opitołok do Karola Zabiełły dla zaciągnięcia pożyczki. Perspektywa dłuższego pobytu Papy w Kownie, a tym bardziej w moim mieszkaniu, nie może być dla mnie wesoła. Pobyt Papy u mnie jest dla mnie niesłychanie uciążliwy. Po pierwsze, pozbawia mię to właściwie zupełnie własnego mieszkania, bo Papa jest taki, że sam się ani odrobinę nie zastosuje do mnie, a

przeciwnie, mieszkając u syna, uważa się za prawowitego gospodarza. Rzeczy swoje rozkłada i rozrzuca wszędzie, nie licząc się z moimi porządkami, dyryguje, dyktuje, rozkazuje jak pan sługom. Można byłoby się z tym pogodzić, zważywszy na tytuł Ojca i na wiek Papy i znieść tę niedogodność, gdyby kończyło się to tylko na niewygodzie z takimi jeszcze uzupełnieniami, jak ciągłe deptanie mię, łajanie, znęcanie się lub jak to, że ustąpiwszy Papie łóżko, sam muszę spać na podłodze bez żadnego siennika lub materaca i że skazany jestem na stałe niewyspanie, bo Papa kładzie się po północy, a już o godz. 4 rano zaczyna wstawać i naturalnie budzi mnie i zasnąć już nie daje, nie przestając mówić i zmuszając do pilnego słuchania – zresztą bez prawa odpowiedzi, bo każda odpowiedź lub uwaga moja budzi gwałtowny wybuch repliki Papy, połączonej z krzykiem, ewentualnie z biciem pięścią o stół lub przewracaniem mebli, a potakiwanie bierne budzi znów u Papy posądzenie, że potakuję nieszczerze i prowokuje ze strony Papy złośliwe docinki i wypominanie mi wszystkich moich wad, grzechów itd. Z Papą nie ma rozmowy; jest tylko węzeł wikłającej się ciągle narracji Papy, przeplatanej wybuchami gniewu i wyrzutów, a z mojej strony – męka słuchania, nie wiedząc, czy potakiwać, czy przeczyć, czy jeszcze jakoś inaczej na to wszystko reagować. Powiadam – można by to znieść, choć jest to przykre, ale są rzeczy gorsze. Mianowicie obecność Papy wyklucza wszelką możność pracy w domu, bo Papa nie zamilknie ani na chwilę, a jeżeli go poprosić, aby pozwolił popracować, to przyrzecze, ale za chwilę zapomina i znów zaczyna gadać. Najgorsze zaś są wszy, które się roją na Papie. Całe ciało Papy jest w strupach od skrobania się i pełne wszy. Bielizna i ubranie – zawszone. Na tużurku i na spodniach Papy spacerują całe stadka tych wstrętnych owadów, a w szwach i różnych zagięciach całe kolonie gnid, z których się nowe pokolenie wszy wylęgną. Papa nie liczy się z tym zupełnie i nie myśli o tym, że rozpłodzi wszy u mnie i że mi to może być przykre. Ubranie swoje, bieliznę, kapelusz, szaliki – rozrzuca po całym pokoju, po meblach miękkich, po dywanach, czesze się moją szczotką, na której już także wszy znalazłem, wreszcie wybiera z szafy moje ubranie, które mu się najlepiej podoba i nakłada je; poplamił mi i czymś oblał mój żakiet, jedyny strój wizytowy, jaki mam, nosi moją czapkę, śpi w moich spodniach, słowem – nie szanuje rzeczy moich i naturalnie zaprowadza w nich kolonie wszy: ze strachem już myślę o moim łóżku, w którym cała pościel będzie zawszona. Ha, co robić! Aby Papę skłonić do prędszego wyjazdu z Kowna, co dla Papy samego będzie zdrowsze i ewentualnie przenieść do hotelu, a zarazem zapewnić mu towarzystwo i opiekę, wezwałem dziś telegraficznie Jakszuka. Spodziewam się, że jutro przyjedzie. Ażeby też ewentualnie wpływać na Papę i odciągać go od różnych dziwacznych pomysłów, które ma, wezwałem telegraficznie także Elizkę Komorowską, z którą się Papa więcej liczy, niż ze mną. Usposobienie Papy na ogół jest zgryźliwe i dość ponure, choć wyraża się ono bynajmniej nie w milczeniu. Rzadko bywają u Papy chwile pogodniejsze, i to najczęściej tylko wtedy, gdy jest bardziej zmęczony i senny. Wtedy mięknie i chwilami odzywa się nawet w Papie serdeczność. Przelotne rozczulanie się, najczęściej nad samym sobą lub wspomnieniami z przeszłości, wyraża się w płaczu, który zresztą błyskawicznie przeradza się nieraz w gniew i krzyk. Hektora Komorowskiego nienawidzi Papa teraz z całej duszy i wyraża się o nim jak o łotrze równym Judaszowi. Nienawidzi go za to, że nie przysłał Papie pieniędzy, choć miał plenipotencję, nienawidzi za poniewierkę swoją, za wszy, za nędzę i tułaczkę bezdomną. Przeklina go i wpada w depresję, gdy o nim mówi. Zapowiada, że go pociągnie do odpowiedzialności karnej, że go wsadzi go więzienia. Nazywa „podlecem" i paskarzem. Wpada w złość nieopisaną, jeżeli się próbuje usprawiedliwiać Hektora lub odradzać Papie pomsty na nim i wstrzymania kroków sądowych, które zresztą będą próżne, bo Hektor żadnego nadużycia nie uczynił, a co najwyżej można mu zarzucić to, że z

pieniędzy kowaliskich nie wysłał Papie subsydium. Ale za to, że nie uczynił dla dziada w potrzebie żadnej ofiary ze środków własnych, nie można go robić karnie odpowiedzialnym za nadużycie plenipotencji. Nowa teraz u Papy bitka na kołku, nowi faworyci spośród wnuków – to Julek Komorowski i Ewa Meyerowa, córka Maryni; dawniej byli oni u Papy w niełasce.

1 września, rok 1920, środa
Dzięki Bogu – przyjechał Jakszuk, to mi lżej będzie z Papą, bo przynajmniej będzie opieka. Dziś jednak Papa jeszcze nocuje u mnie. Elizka zapewne nie przyjedzie, bo Jakszuk przywiózł wiadomość, że chwilowo nie ma jej w Kowaliszkach – pojechała do Bohdałowa do pp. Zaborskich. Na Hektora Papa jest tak zły, że gdy Jakszuk przywiózł i podał Papie list od niego, Papa go wpierw rzucił na stół, po niejakim czasie jednak wziął ze stołu, przeczytał z ironicznym uśmiechem i po przeczytaniu podarł na kawałki i kazał mi je rzucić do urynału; gdym chciał rzucić do kosza, zagniewał się i wyraźnie rozkazał rzucić do urynału, co też uczyniłem. Jakszukowi udało się namówić Papę wyjechać pojutrze wprost do Bohdaniszek bez zajeżdżania do Opitołok do Zabiełły, mimo że już Papa telegrafował wczoraj do Opitołok, uprzedzając o swoim przyjeździe. Papa zgodził się „odłożyć” podróż do Opitołok i twierdzi, że po jakimś tygodniu wybierze się tam z Bohdaniszek. Ale gdy dotrze do Bohdaniszek, nie będzie już Papie tak łatwo, jak się zdaje, wybrać się w drogę. Stan fizyczny Papy bowiem, nie mówiąc już o stanie umysłowym, jest bardzo kiepski. Od kilku lat Papie brzękną nogi. Ale w przeszłym roku była zbrzękła tylko jedna noga i tylko w stopie do kostki włącznie. Teraz zbrzękły obie nogi i wyglądają jak kłody; zbrzękły już nie tylko stopy, ale całe nogi powyżej kolana. W tym stanie nie wiem, czy Papa przeżyje jeszcze rok. Rokuję Papie życie na miesiące tylko. I fizycznie, i psychicznie jest to już tylko ruina człowieka. Ale Papa nie rozumie swego stanu i łudzi się jeszcze długim życiem. Jest zaniepokojony o swoje nogi – sam to przyznał, ale w najgorszym razie uważa, że dożyje do 80 lat wieku, co stanowiłoby jeszcze około lat 5. Jest jednak przekonany, że to się da uleczyć i że w takim razie żyć będzie jeszcze bardzo długo. Pierwszego dnia Papa ciągle mi wmawiał, że zobaczę, iż umrę jeszcze przed Papą, bo uważa mię Papa za fizycznie słabego i przeto bliższego grobu, niż Papa; toteż wciąż powtarzał, że nie ja Papę, lecz Papa mnie chować będzie, i zarazem płakał, rozczulając się nad domniemaną rychłą śmiercią moją. Ta jest między nami różnica, że ja się śmierci nie boję i nie myślę o niej, a od śmierci Anny straciłem zupełnie przywiązanie do mojego osobistego życia i umarłbym bez żalu, choć żadnych zgoła oznak bliskiej rzekomo śmierci nie czuję, podczas gdy Papa, który już biedaczek rzeczywiście stoi nad grobem, boi się tej śmierci okropnie i dużo myśli o niej. Ponieważ Papa umierać nie chce i wierzy, że może wrócić do zdrowia i pozbyć się puchliny nóg, którą uważa za jedyną słabość swoją, więc pragnie się leczyć. Że stan nóg się u Papy pogorszył, to przypisuje Papa wyłącznie winie Hektora, który Papie nie przysłał pieniędzy. Toteż teraz wraca Papa do Bohdaniszek bynajmniej nie dla spokojnego pobytu tamże, ale tylko po pieniądze dla nowej wyprawy w świat na kurację. Nie wyrzekł się bynajmniej żadnego z zamiarów swoich; chce jechać do Francji, chce być w Rzymie, oglądać Papieża, obstalować tam kopię jakiegoś sławnego obrazu dla kościoła krewieńskiego itd. Projekty Papy są bez granic. Chce zarówno kuracji, jak używania życia i ani myśli o zasklepianiu się w samotności bohdaniskiej. Zasmakował we włóczędze, w przygodnych znajomościach po różnych kawiarenkach i spelunkach toruńskich i warszawskich, w życiu z dnia na dzień w jakimś ruchu itd. Oczywiście pragnie w tej wymarzonej podróży mieć koło siebie młode kobiety (nie inaczej, jak ładne), bo zachował wybitny instynkt miłostek i zmysłowości, zdegenerowane w lubieżność starczą, a twierdzi nawet, że zachował

zdolność tężyzny płciowej i zapładniania, co wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne. Ta wędrówka ostatnia nie uleczyła Papy od tęsknoty używania, instynktu używania w więdnącym ciele i umyśle, niezdolnym już w istocie do zaspokojenia. Ta właśnie niemożność nasycenia tęsknot utrzymuje je w Papie w stanie ciągłym. Że się nie spełniły sny Papy o zdrowiu i doskonałym użyciu życia – to przypisuje Papa nie uwiądowi swemu, którego nie uznaje, jeno brakowi pieniędzy. Wraca więc tylko po to, aby się zaopatrzyć w pieniądze i znów się w wyprawę puścić. Ale jest tak słaby, że chyba już spełnić tego nie będzie w stanie. Zadaniem też będzie Jakszuka i Elizki, aby przeszkodzić ponownemu wyjazdowi Papy w świat, grożącemu śmiercią w samotności na tułaczce. Papa jednak na pewno nie da za wygraną i nie zrezygnuje ze swych postanowień, bo taka to już uparta i harda w Papie natura! Na razie mówił, że w Bohdaniszkach zabawi tylko dwa tygodnie. Ale bo łudził się tak swymi urojonymi bogactwami Bohdaniszek i lasu, że sądził, iż tu dziesiątki tysięcy znajdzie i że dość będzie wrócić i ręką sięgnąć, by je mieć. Miarkuje teraz po trosze, że w tych bogactwach potencjalnych nie sączą się tymczasem konkretne krynice pieniędzy; ale to nie zraża Papy bynajmniej, bo jest przekonany, że ta potencjalna siła bogactw, która dziś nie procentuje jeszcze, niemniej czyni go magnatem. Jest więc zdecydowany czynić wszystko, by pieniądze wytrzasnąć – pożyczką od Zabiełły, spieniężeniem wszystkiego, co się da w Bohdaniszkach. Będzie to rzecz bardzo trudna przeszkodzić w tym Papie, bo jest samowolny i arbitralny, a w postanowieniach i ich wykonaniu uparty jak skała i bezwzględny. W tym wykonaniu swoich postanowień ma upór, energię i przebiegłość wariata, bo wszak w istocie jest nim Papa. Jestem przekonany, że jeżeli nie otrzyma pożyczki od Zabiełły – a ten jej chyba Papie nie da – rozpocznie dewastację Bohdaniszek, spieniężając nie tylko takie rzeczy, jak dywany, rondle miedziane i itd., o czym już mówi, ale, o ile tego nie wystarczy, to spieniężając choćby całe zboże, krowy, konie itd., bo psychologia Papy coraz bardziej się zbliża do Ludwikowskiej tezy: „*après moi – la dé luge*”. W istocie nie kocha Papa nic, oprócz swej chęci używania. Ani przywiązania do dzieci, ani religijność, która im bliżej starości, tym więcej ma cech li tylko zaasekurowania sobie nieba, nie powstrzymają Papy i nie skłonią do pogodzenia się z losem i kończenia swych dni w Bohdaniszkach. Jeżeli my Papie nie zdołamy w tej dewastacji Bohdaniszek przeszkodzić, to chyba przyjdzie interwencja władz państwowych, bo dziś dwory nie są już traktowane w państwie jako swobodne pole do samowoli prywatnej.

2 września, rok 1920, czwartek
Wreszcie jutro rano Papa wyjeżdża z Kowna. Jakszukowi udało się zręcznie oderwać Papę od zamiaru jazdy do Opitołok i od dalszej zwłoki w Kownie. Jakszuk umie znakomicie okłamywać Papę tak, że Papa ani się spostrzega i bierze wszystko naiwnie za dobrą monetę. Zabiełło jest w Kownie, więc Papa miał się do niego tutaj udać, rezerwując niezależnie od tego jazdę do Opitołok na później. Ale Jakszuk wpierw skłamał, że Zabiełłę szukał w hotelu Wersalu i że go tam nie znalazł, więc niby nie wiadomo było, gdzie mieszkał, a potem skłamał po raz drugi, że dowiedział się od bawiącego w Kownie Jana Przeździeckiego, iż Zabiełło stara się o paszport do Berlina i wyjeżdża tam na czas jakiś w sprawach, związanych z naukami jego synów. Wobec tego Papa się zdecydował jechać do Bohdaniszek z tym, że „za tydzień” wybierze się specjalnie do Zabiełły do Opitołok. Że udało się Jakszukowi skłonić Papę do wyjazdu – to bardzo szczęśliwie. Oby tylko Papa zechciał usiedzieć w Bohdaniszkach i zaniechać projektów wyjazdu. Ale jestem pewny, że, niestety, nie zrezygnuje. Jak pijak, raz skosztowawszy wódki, nie zadowoli się jednym kieliszkiem, lecz pić będzie jeden za drugim, tak Papa przez ten wyjazd zeszłoroczny i włóczęgę przeszło półroczną tak się

w niej rozkochał, że nie wyobraża już sobie życia innego, jak w ciągłym ruchu i zmianie wrażeń. Dopóki siedział w Bohdaniszkach przez czas wojny, przez okupację niemiecką, bolszewicką i wreszcie za rządów litewskich aż do grudnia roku zeszłego, dopóty znosił i samotność i wszystkie ciężary pobytu w majątku porekwizycyjnym i ucisk stosunków wojennych. Gdy jednak raz się wyrwał za swej klatki samotności, wrócić do niej nie chce. Jakiś wstręt gna Papę z Bohdaniszek; pragnienie używania życia przed śmiercią i zmiany wrażeń stało się nałogiem; a poza tym ta półroczna przeszło włóczęga samopas starca wykoleiła go; kawiarnie, piwiarnie, restauracyjki, przygodne znajomości pochłonęły Papę i wyłuskały go ze wszelkich karbów systematyczności i regularnego trybu. Papa dziś łaknie cygańskiego życia i swobodnego rozpasania zachcianek. A choć wobec sił fizycznych i psychicznych Papy to cygańskie „życie" jest tylko karykaturą życia i swobody, jednak Papa tego nie rozumie i nie czuje. Zeszedł Papa po prostu do poziomu wykolejeńców, tłukących się z dnia na dzień po bruku wśród stosunków przygodnych. Słowem – wrócił Papa bynajmniej nie tym znękanym niedolą starcem, któremu się odechciało podróży i poniewierki i który spragniony jest tylko ciszy i spokojnego dobrobytu na starość u siebie, jakeśmy się spodziewali, ale wrócił obłąkanym wykolejeńcem, który, pomimo że jest ruiną fizyczną i psychologiczną, nie usiedzi na miejscu i nie wyrzeknie się swej manii wylotu. Nic nie zatrzyma Papy, żadne skrupuły nie ostają się wobec manii, który opanowała umysł zdziecinniałego starca. Żeby zdobyć pieniądze na swoje zachcianki, nie cofnie się przed dewastowaniem resztek dobra w majątku. Oczywiście niepodobna będzie dopuścić do ponownego wyjazdu, ale co wypadnie robić i jakież są perspektywy? Papa nie cofnie się przed niczym, nie da się ani przekonać, ani zatrzymać dobrowolnie. Trzeba więc będzie albo ustanowić formalną sądową kuratelę nad osobą i majątkiem Papy albo, jeżeli my tego nie zrobimy, to chyba zainterweniują parobcy i zainterweniuje rząd przeciwko dewastowaniu przez Papę gospodarstwa, obejmując Bohdaniszki w zarząd państwowy. Będę się starał skomunikować z siostrami na emigracji, aby może która z nich lub z ich dzieci zechciała osiąść w Bohdaniszkach i objąć zarząd po ustanowieniu opieki nad Papą. Bo ja osobiście nie mam żadnej ochoty brnąć w to bagno i wiązać moje życie niewdzięczną służbą dla rodziny na zdewastowanym majątku. Siostry lub ich dzieci – to co innego. Niejednej lub niejednemu z nich da to możność pracy i utrzymania lepszego, niż na emigracji i da jakieś oparcie stateczne na teraz i na przyszłość. Pomysły też Papy są dziwaczne i nadzwyczajne. Tak na przykład jest zdecydowany udać się do pełniącego obowiązki prezydenta państwa, marszałka Sejmu Stulgińskiego i zaofiarować „kilkanaście do dwudziestu" dziesięcin ziemi z Bohdaniszek na rozkolonizowanie dla żołnierzy litewskich na warunkach spłaty, jaką Sejm uchwali dla reformy agrarnej za wywłaszczaną ziemię, albo nawet bezpłatnie, poza tym – 1000 marek (nie wiadomo czy na skarb litewski, czy do rozporządzenia marszałka) i wreszcie – drzewo na opał dla ubogiej ludności bezpłatnie z lasów bohdanskich. Papa liczy, że przez takie „hojne" zaofiarowanie dobrowolne ochroni Bohdaniszki od reformy agrarnej i zyszcze sławę dobrodzieja Litwy i wzorowego obywatela. Nie wie i nie jest w stanie zrozumieć, że reforma agrarna jest czymś więcej, niż przymusową filantropią z kieszeni ziemian, że iści się w niej przewrót polityczny o wiele głębszy, niż zabranie jakiejś parcelki dla bezrolnych żołnierzy, że w obliczu dążeń reformy agrarnej datki tego rodzaju uwzględnione być nie mogą i nie zażegnają zastosowania jej metod ogólnych do poszczególnego majątku, że co do lasu, to już w zasadzie został on wywłaszczony, a drzewo na opał dla potrzeb uboższej ludności miejscowej pobiera się za pośrednictwem leśnych komisji gminnych bez względu na to, czy się to podoba właścicielowi majątku, czy nie; że przeto wszystkie łaski Papy nie są łaską, jeno ofiarowaniem dobrowolnie mniej, niż państwo w ramach praw obecnych – a

cóż dopiero w ramach reformy agrarnej po jej uchwaleniu – może wziąć przymusowo. Jest to to samo, jak żeby dłużnik, na którego wierzyciel ma tytuł wykonawczy, zaofiarował mu dobrowolnie mniej, niż opiewa tytuł, i to wtedy, gdy jest majątek na pokrycie całej należności i gdy majątek już został zajęty. Ale Papa jest tak tym swoim pomysłem zachwycony i przejęty, jak żeby dokonał odkrycia Ameryki.

3 września, rok 1920, piątek
Raniutko Papa wyjechał z Kowna pod opieką Jakszuka. Jedzie wprost do Kowaliszek, a dopiero stamtąd do Bohdaniszek. Hektora w Kowaliszkach nie zastanie, inaczej by może wcale do Kowaliszek pojechać nie zechciał, bo Hektora nienawidzi bez pardonu. Telegrafował już Papa z Kowna do p. Purenasowej w Rakiszkach, która jest tam notariuszem, zawiadamiając ją o skasowaniu plenipotencji dla Hektora. Wprawdzie to formalnie nie ma znaczenia, bo powinien był zwrócić się z tym do sądu, ale wskazuje to na stanowczą decyzję Papy zerwania z Hektorem. Dziś Hektor wieczorem przyjeżdża do Kowna, więc się rozminie z Papą. Biedna Elizka – teraz na nią spadnie ciężar znoszenia kaprysów i nerwów Papy przez te dni kilka i ciężar przykrości, jaką daje świadomość stanu Papy i bezradności naszej wobec Papy uporu i gniewu. Na mnie z Elizką spada głównie teraz obowiązek czuwania nad Papą, aby mu nie dać znów wyruszyć w świat i przeszkodzić w pomysłach jego oraz w dewastowaniu majątku, co grozi nie tylko ruiną materialną majątku, ale i interwencją władz państwowych oraz zagarnięciem majątku w administrację przymusową, a w razie ponownego wyjazdu Papy grozi mu tym razem już śmiercią na obczyźnie w tułaczce i poniewierce. Mam wrażenie, że jednak innego wyjścia, jak ustanowienie formalnej opieki nad osobą i majątkiem Papy, nie będzie. Wyobrażam sobie, co to będzie za gwałt, gdy się do tego zabrać będziemy musieli, co za awantury i gniew ze strony Papy, który uważa siebie za zdrowego i który będzie nam przypisywać chciwość, co za upokorzenie ambicji i hardej chęci władzy u Papy! Aż strach o tym pomyśleć! Strach nie tyle o przykrości dla nas, ile o boleść upokorzenia dla Papy, która może nawet przyśpieszyć Jego śmierć. Z tego ostatniego względu byłaby to rzecz, której bym chciał ze wszech sił uniknąć. Ale czy się uniknąć da – wątpię. Bardzo bym pragnął, żeby się dało wezwać do Bohdaniszek i osadzić w nich którą z sióstr naszych, przebywających na emigracji w Polsce, lub kogoś z ich dzieci. Wtedy może nawet obeszłoby się bez opieki formalnej. Biedny Papa! Gdy go się nie widzi, żal głęboki, współczucie serdeczne i miłość synowska tak się w sercu moim podnoszą i taką tęsknotą sympatii tę biedną postać starego Ojca otaczają, że chciałoby się go tulić do łona i pieścić biedaka, którego rychło już może nam zbraknie – na zawsze. Wszak to mój Ojciec kochany jedyny, Ojciec, którego elementy psychicznie nieraz w sobie odnajduję, pomimo że jesteśmy tak pod wielu względami biegunowo różni, ten mój Papa bohdaniski od lat dziecinnych dotychczas, Papa staruszek, nieszczęśliwy przez tę chorobę swoją i starość, wynędzniały, sponiewierany, gryziony przez wszy! Papa, którego rychło zapewne stracimy! Gdy go już nie będzie, to ileż razy będziemy wracali wspomnieniem do tych chwil z lat ostatnich jego życia, kiedyśmy go jeszcze widzieć żywego mogli i jakże gorzko nieraz żal się w nas obudzi na myśl, żeśmy go zaniedbywali i żeśmy mu... nieraz przebaczali! Ale gdy się Papę widzi, gdy się z nim jest, to się zapomina o tym, że stoi nad grobem i że go niebawem stracimy, bo sam Papa zachowaniem się swoim czyni wszystko, by nas od siebie odtrącić. Twardość Papy dla nas, jego niezgłębione samolubstwo, rozkochane w swoich zaletach, chwalące ciągle samego siebie i depczące wszystko i wszystkich dokoła, a już najbardziej nas – wywołuje po prostu niechęć głęboką i obrzydzenie. Nawet starość głęboka, zdziecinniałość, nędza, poniewierka i wszy – nie zmiękczyły charakteru Papy. Przeciwnie: stał się on jeszcze twardszy, jeszcze bardziej rogaty, pełny złości,

samolubny, dogadzający wszelkim kaprysom swoim, zarozumiały, pełny pychy i przekonania o swojej potędze i bogactwie. To czyni, że gdy się jest z Papą, to się przestaje odczuwać to, co jest w nim godnego współczucia i sympatii, co go nieszczęśliwym czyni, a widzi się i odczuwa to, co jest niesmaczne i brzydkie – i wtedy ma się w sercu uczucie złe dla Papy. Że Papie musi być nieraz ciężko, że, mając tyle dzieci i wnuków, jest tak samotny i opuszczony, tak mało doświadcza pomocy i troski o jego osobę i jego majątek, to sam sobie Papa winien. Jeżeli ktoś z nas usłyszy od Papy dobre słowo – jest to osobliwość; natomiast słyszy tylko złe słowa w oczy i obmowę za oczami. Miłość samego siebie i myśl o siebie zasłania w duszy Papy wszystko inne i głuszy wszelkie serdeczne uczucie do nas. Nie tylko nie doświadczamy, ale nie widzimy miłości Papy dla nas, jakiejkolwiek myśli o nas. Raczej dziwić się by należało, że jeszcze tak jesteśmy dla Papy względni i że wielki instynkt związku dzieci z rodzicami, instynkt przywiązania do Ojca zachowuje u nas jeszcze pewną tęsknotę do tego człowieka. Gdyby Papa był inny, gdyby nim chciał i umiał być, gdyby nie zachwaścił tak duszy swojej bezmiernym samolubstwem, jakże by był przez nas kochany i otoczony troskliwą opieką!

4 września, rok 1920, sobota
Już przed kilku tygodniami oświadczyłem ustnie ministrowi sprawiedliwości Karoblisowi mój zamiar przeniesienia się do Sądu Okręgowego w Wilnie, gdy tenże będzie organizowany. Karoblis przyjął to do wiadomości i powiedział, że gdy ta sprawa stanie się konkretną, to mię uprzedzi, bym wniósł podanie na piśmie. Otóż obecnie sprawa ta wchodzi na tory realne. Rząd litewski zabiera się konkretnie do organizowania sądownictwa w Wilnie i w szczególności też Sądu Okręgowego. Obawiałem się, że może wzgląd na to, że jestem Polakiem i pewna podejrzliwość, która jeszcze nie zupełnie znikła u wielu Litwinów w stosunku do mnie, utrudnią tę nominację. Obawiałem się, że może nawet zaczną się ujawniać także prądy, aby obywateli Polaków, ile możności, zachowywać na stanowiskach w służbie państwowej w zachodniej rdzennie litewskiej części kraju i jak najmniej mianować ich na wyższe stanowiska w Litwie Wschodniej, zapełniając tam odpowiedzialniejsze stanowiska rdzennymi Litwinami, by w ten sposób przeszkodzić kondensowaniu się wpływów polskich w państwowości na wschodzie. Chociaż rozumiem, że Litwini z konieczności muszą być ostrożni w wyborze Polaków przy obsadzaniu stanowisk państwowych i szczególnie bardziej na wschodzie, to jednak takie sztuczne przeflancowywanie Polaków na zachód i obsadzanie wschodu wyłącznie przez rdzennych Litwinów, przypominające analogiczne praktyki rosyjskie za caratu, gdy Polacy, Litwini i inni „innorodcy" mogli być generał-gubernatorami i senatorami w rdzennej Rosji, ale nigdy skromnymi urzędnikami we własnym kraju, byłoby błędem politycznym. Taka metoda pośrednio utrzymywałaby nawet separatyzm dzielnicy wschodniej, stanowiłaby pewnego rodzaju uznanie urzędowe tej dzielnicy za terytorium w państwie obce. Czyniłaby też ona złe wrażenie na wschodzie i nie sprzyjałaby spójni państwowej. I tak już Polacy narzekają, że rząd litewski nasadza w Wilnie urzędników Litwinów, że zaniedbuje, a nawet pomija element miejscowy – polski – przy organizowaniu zarządu. Te zarzuty nie są zupełnie słuszne, a to dlatego, że Litwini, chcąc stworzyć w Wilnie mocny aparat państwowy, nie mogą ignorować takiego względu zasadniczego, jak solidarność urzędników z państwem. Zaś Polacy litewscy zbyt mało ujawniają dziś instynktu państwowego litewskiego, aby Litwa mogła im w masie zaufać i oprzeć się na nich przy tworzeniu aparatu państwowego i mianowaniu urzędników. Faktem jest, że dość wojskom polskim odnieść zwycięstwo nad bolszewikami i zbliżyć się do Grodna, a tym bardziej dość, aby z Polski wyszły jakieś propozycje do Litwy, tchnące

kwestionowaniem znowu przynależności Wilna lub nawet tylko pogłoski o takim kwestionowaniu, aby już w jak najszerszych kołach Polaków litewskich odżyły nadzieje interwencyjne i ujawniły się orientacje w kierunku jeżeli już nie przynależności do Polski, to przynajmniej liczenia na jej protekcję. Dopóki tak jest i dopóki Polska nie zrzekła się kategorycznie roszczeń do Litwy Wschodniej oraz zamiarów interwencyjnych w jakiejkolwiek ich postaci, bądź militarnej, bądź gwarancyjnej, dopóty Litwini nie mogą bez zastrzeżeń na ślepo pokładać losy tak odpowiedzialnej rzeczy, jak budowa aparatu państwowego w Wilnie, w ręce Polaków litewskich i dopóty z konieczności muszą być względem obywateli narodowości polskiej bardzo ostrożni. Od samych Polaków litewskich zależy, by się stało inaczej i by odzyskali oni we wspólnym państwie należne im stanowisko równorzędnych w stosunkach państwowych obywateli. Równość nie formalna, ale faktyczna praw musi się zasadzać na równości obowiązków. Nie da się zaprzeczyć, że instynkt państwowy litewski jest w masie Polaków litewskich słaby i to nie może pozostać bez skutków przy budowie aparatu państwowego. Jednak w miarę możliwości, gdzie się tylko da, powinni Litwini wiązać obywateli Polaków z państwem i czynić to zwłaszcza na wschodzie. Okazało się, że moje obawy były przesadne. Wczoraj Karoblis, spotkawszy mię w sądzie, powiedział, abym już wniósł podanie, co też dziś uczyniłem. Na moje pytanie Karoblis oświadczył, że sąd w Wilnie będzie zorganizowany już w najbliższym czasie – może nawet w przyszłym tygodniu. Zdaje się, że rola Sądu Okręgowego w Wilnie będzie doniosła, bo wypadnie mu główne zadanie w zorganizowaniu całego w tamtej dzielnicy sądownictwa. Na razie komplet Sądu Okręgowego w Wilnie będzie nieliczny. Zdaje się, że będzie składał na razie z trzech osób: prezesem ma być Kalnietis (nie znam go i nie słyszałem o nim nic szczególnego i nic złego, tylko sędzia Preiss mówił mi, że to jest podobno karierowicz), członkami zaś mamy być: ja i sędzia okręgowy z Kowna Frydman (Żyd). Podoba mi się nawet, że ten pierwszy komplet sądu będzie miał w swym łonie Litwina, Polaka i Żyda. Jest w tym pewien symbol i pewien precedens dodatni. Bardzo już tęsknię do Wilna i chcę się tam dostać. Obiecuję też sobie w Wilnie szersze i skuteczniejsze pole do pracy publicznej poza sądową pracą. Nie boję się ani nowego najścia wojsk i polityki państwowej polskiej do Wilna, ani niepopularności, pochodzącej rzekomo stąd, że znaczna część Polaków wileńskich znów ma oczy zwrócone na Polskę i wobec Litwy chce być bierną i wyczekującą. Jestem zdecydowanym państwowcem litewskim, jestem przekonanym bez zastrzeżeń o słuszności praw państwowych litewskich do Wilna i wyciągam z tego konsekwencje dla siebie jak najbardziej czynne. Zresztą w nową awanturniczą politykę polską na wschodzie nie wierzę i mam podstawy ścisłe, aby uważać to za bardzo mało prawdopodobne. Może o tym w tych dniach jeszcze napiszę. Ale gdyby nawet awantura polityczna polska w Wilnie miała się powtórzyć, nie cofnę się teraz i nie będę wyczekiwać. W samej Polsce może nie braknąć apetytów do nowej próby zaczynania sprawy wileńskiej, ale są czynniki silniejsze od woli polskiej, które się opierają temu. Jest jeszcze kwestia – bardzo ważna – sprawy językowej w sądownictwie w Wilnie. Daj Boże, aby była załatwiona przez rząd litewski sprawiedliwie i rozumnie, ale zdecydowany jestem nie uzależniać nawet od tego – mojego udziału. Kwestia ta była na razie w uchwale Rady Ministrów załatwiona niewystarczająco, ale jest nadzieja, że interwencja p. Tadeusza Wróblewskiego, który przed kilku dniami był tutaj i omawiał z rządem tą sprawę, wprowadzi pożądane poprawki.

5 września, rok 1920, niedziela

Elizka Komorowska przysłała mi dziś list Maryni Römerowej, pisany do Elizki pocztą z Bydgoszczy na Pomorzu, gdzie bawi obecnie Marynia. List Maryni datowany z dnia 15

sierpnia. List Maryni daje nam przynajmniej pierwszą garstkę wiadomości o członkach naszej najbliższej rodziny, rozproszonych porażką polską. Otóż wieści są takie. Sama Marynia, po ucieczce z Wilna, oparła się na razie o Łomżę, gdzie, jak wiadomo, przebywała Kotunia Pruszanowska. W Łomży zabawiła 10 dni i musiała, już wraz z Kotunią, uciekać dalej ze względu na zbliżanie się bolszewików. Pojechała więc i osiadła w Bydgoszczy (Bromberg) na Pomorzu. Skarży się, że materialnie jest jej ciężko, że się czuje wykolejoną z gruntu rodzinnego i że się stara o posadę, co nie jest łatwe. O narzeczonym swoim, majorze Trześniowskim, nic nie wspomina. Jej córka Ewa Meyerowa ma nadal tę samą dobrą posadę, jaką miała w Wilnie, w tymże biurze Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, który widocznie nie został jeszcze zlikwidowany, choć już jest tylko byłym Zarządem „*in patribus infidelium*". Mąż Ewy, Konstanty Meyer, jak wyjechał po ślubie w początkach czerwca na front, tak dotąd nie ma o nim żadnej wieści. Kotunia Pruszanowska z małymi córeczkami zamieszkała przy mężu, Ezechielu, który ma posadę jakiegoś urzędnika **w** Brodnicy (Strasburg), małej mieścinie na wschodnim Pomorzu. Jedna z ich córek, Irenka Pruszanowska, wyszła za mąż za oficera polskiego Węgłowskiego, pochodzącego z Wołynia. Druga córka, Helka Pruszanowska, jest również zaręczona z jakimś oficerem polskim. Co do Elwiry Mieczkowskiej, to Marynia dokładnych wiadomości o niej nie ma. Wie tylko, że Elwira – zapewne z mężem i dziećmi – wyjechała z Obodowiec końmi, uciekając przed bolszewikami. Razem z nimi wyjechali Ignasiowie Bohdanowiczowie z Orpy, Józiowa Bohdanowiczowa z Maćkowców i szereg innych rodzin ziemiańskich z pow. wilejskiego. Ostatnie wieści o Elwirze, które miała Marynia, były te, że Elwira już dojechała za Lidę. Co się z nią dalej stało, czy uciekła i dokąd się schroniła, czy może – nie daj Boże – została w drodze zaskoczona przez bolszewików (bolszewicy najgorzej się obchodzili z uciekającymi ziemianami, których przyłapali w drodze) – to nie wiadomo. O Tanajewskich, o Henrysiu Wołłowiczu nie pisze Marynia nic. Dobrze, że choć tyle wiemy. Trzeba będzie zaraz napisać do Maryni i do Kotuni, zawiadamiając je o nas, o Papie, o Wilnie. Właśnie przed paru dniami wysłałem za pośrednictwem misji francuskiej list do panny Jadwigi Komorowskiej w Warszawie, prosząc ją o zakomunikowanie go siostrom naszym. Teraz można będzie to uczynić wprost. Byłoby bardzo dobrze, gdyby którakolwiek z naszych sióstr, zamiast tułać się po świecie i czuć się wykolejoną a szukać posady, zechciała wrócić do kraju i osiąść w Bohdaniszkach. Marynia ze względu na swoje projekty małżeńskie tego zapewne nie uczyni. Najprędzej by się na to zdecydowała Elwira. Szkoda, że nic o niej nie wiadomo, gdzie jest. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby mógł przyjechać i osiąść w Bohdaniszkach Henryś Wołłowicz, tylko że on służy w wojsku polskim i nie jest obywatelem litewskim.

Przez szereg dni, zajęty Papą, nie pisałem nic o wypadkach wojennych i związanych z nimi sytuacji politycznej. O ile chodzi o wojnę polsko-bolszewicką, to przez ten czas nic szczególnego nie zaszło. Od paru tygodni linia nie uległa żadnej zmianie zasadniczej. Stoi ona mniej więcej na granicach wschodnich obwodu białostockiego pod Brześć, a stamtąd wzdłuż Bugu. Tylko bardziej na południu, w okolicach Hrubieszowa, bolszewicy byli się posunęli dość głęboko w Ziemię Lubelską i podeszli pod sam Zamość. Podobno zostali już stamtąd odpędzeni i wyparci za Bug. W Galicji Wschodniej w kierunku na Lwów bolszewicy byli zajęli Bełz i na południu od Lwowa w kierunku na Stryj byli się też zapędzili daleko w stronę Przemyśla. Podobno i stamtąd ich odparto. Grodno było do ostatnich czasów w ręku bolszewików. Dziś były pogłoski, że rzekomo Grodno odebrali Polacy, ale to niepewne. Rokowania pokojowe polsko-bolszewickie w Mińsku, które szły kulawo, bo, zdaje się, obie strony były nieszczere i gdy której się powodziło na froncie, to wnet stawiała ona jakby umyślnie warunki przesadne, nie do przyjęcia dla strony przeciwnej – zostały przerwane i mają być

wznowione w Rydze czy w Estonii. Tymczasem są wiadomości o zwycięstwie bolszewików nad Wranglem, który ich w ostatnich czasach bił skutecznie. Gdy bolszewicy stłuką Wrangla, mogą znowu uderzyć na Polaków taką przewagą liczebną, że się im Polacy, nawet pod wodzą oficerów francuskich, nie ostoją. Zatrzymanie się kontrofensywy polskiej w okolicach Białegostoku, Brześcia i linii Bugu jest albo wyrazem wyczerpania się jej impetu, albo też wyrazem rozmyślnego i celowego planu, by nie iść dalej na wschód. Plan ten może być dyktowany względami strategicznymi ze względu na to, że rozciągnięcie frontu przy posuwaniu się polskim na wschód wprowadza rozpraszanie sił, co ewentualnie mogłoby ułatwiać ponowienie skuteczne ofensywy bolszewickiej i jej inwazji do Polski, albo też względami politycznymi na skutek zastrzeżenia czynników koalicyjnych, a zwłaszcza francuskich, z którymi się Polska najbardziej liczyć musi, by nie wszczynać na wschodzie żadnych zagadnień prawno-państwowych pod firmą polską. Ciekawy jest konflikt polsko-litewski, który doprowadził do krwawej hecy suwalskiej.

6 września, rok 1920, poniedziałek
Sierpniowa kontrofensywa polska była na razie obudziła u Polaków litewskich, a zwłaszcza u ziemian, nowe nadzieje na Polskę i jej wpływy. Była chwila, że nadzieje te sięgały tak daleko, że spodziewano się, iż Polska, która dopiero co upadała pod ciosami bolszewików, zmiażdży ich, pójdzie bodaj że na Moskwę, zada im „*un coup de grâce*" i przez to zbawi ostatecznie Europę od niebezpieczeństwa rewolucji powszechnej i oczywiście stanie się potęgą na wschodzie, która dyktować będzie ludom warunki układu politycznego. Liczono się też bardzo poważnie z odrodzeniem roszczeń polskich do Wilna i powrotem Polaków do wschodnich ziem litewskich i białoruskich. Zatrzymanie się ofensywy polskiej i coraz częstsze głosy w prasie europejskiej o tym, że Polacy nie powinni iść dalej na wschód i nie powinni wznawiać tamże polityki imperialistycznej, zaczęły wpływać studząco na obudzone na razie nadzieje. Natomiast w Wilnie w masach polskich dotychczas żywa jest nadzieja powrotu Polaków i ciągłe się utrzymują pogłoski, zapowiadające lada dzień wkroczenie zwycięskich wojsk polskich. Utrzymują tam te pogłoski liczni z pewnością agenci sprawy polskiej oraz masy kobiet, pełnych fanatyzmu nacjonalistycznego polskiego i nienawiści oraz uprzedzeń do Litwinów.
W istocie jednak nic nie zapowiada, zdaje się, nowej inwazji polskiej do Wilna i Litwy Wschodniej. Jeżeli może być mowa o takiej inwazji, to chyba tylko wyłącznie w zakresie względów strategicznych, o ile by Polacy zmuszeni byli posunąć się w wojnie z bolszewikami dalej na wschód, i to tylko do linii kolei Grodno-Mosty-Lida-Mołodeczno, która dotychczas jest jeszcze w ręku bolszewików. Sytuacja jest bowiem taka. W Europie daje się dostrzegać coraz wyraźniej nowy podział na dwa wielkie bloki, dwa systemy polityczne. Jednym jest blok anglo-włoski, który coraz wyraźniej dąży do kontaktu z Niemcami i prawdopodobnie skrystalizuje się z czasem w blok anglo-włosko-niemiecki. Blok ten sprzyja koncepcji tzw. państw kresowych na Bałtyku i szuka *modus vivendi* z Rosją bolszewicką. Ten blok jest zasadniczo przeciwny imperializmowi polskiemu na wschodzie i również przeciwny jest nowym próbom interwencji w Rosji pod jakąkolwiek bądź postacią. Z tym blokiem wszakże Polska by się liczyła, bo z konieczności jest ona przeciwna temu, co wzmacnia Niemcy. Drugim czynnikiem jest Francja, której stanowisko zostało świeżo poparte przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i która używa Polskę za narzędzie swoich wpływów, czyniąc z niej na wschodzie element polityki swojej. Francji Polska zawdzięcza bardzo dużo, zarówno w sferze swoich zdobyczy terytorialnych na Niemczech w Traktacie Wersalskim, jak w sferze wojennej. Ostatnia też kontrofensywa polska była dziełem

głównie Francuzów, wykonanym pod ich kierunkiem, podług ich planów i ich amunicją. Już to samo czyni Polskę zależną od Francji, bo bez pomocy francuskiej trudno by było Polsce przeciwstawiać się nadal bolszewikom. Dalej – warunki polityczne i międzynarodowe Polski zmuszają ją do solidarności z Francją. U Francji i Polski jest wspólny wróg historyczny – Niemcy – i Francja z Polską z natury rzeczy wzajemnie się asekurują wobec Niemiec. Polska na wschodzie zabezpiecza Francję od uderzenia Niemiec na zachodzie i odwrotnie. Otóż dążeniem zasadniczym polityki francuskiej jest wskrzeszenie na wschodzie wielkiej Rosji mocarstwowej i antybolszewickiej, Rosji – aliantki Francji. Chodzi o to Francji zarówno ze względu na długi, które ma Rosja wobec Francji, a których się bolszewicy nie kwapią uznać i płacić, jak ze względu na wzmocnienie obrony swojej od Niemiec. Rosji bolszewickiej, Rosji, szukającej kontaktu z Niemcami, Francja sobie nie życzy. Ale z tychże względów Francja nie życzy sobie stałego konfliktu polsko-rosyjskiego. Dlatego też koncepcja Piłsudskiego, dążąca do oderwania od Rosji najpiękniejszych jej prowincji, i to już nie tylko bałtyckich, ale nawet Białej Rusi i zwłaszcza bogatej Ukrainy, i uczynienia z nich bloku państewek niepodległych pod przewodem Polski z frontem jednocześnie antyniemieckim i antyrosyjskim, nie może być Francji na rękę. Tak okrojona Rosja, odcięta od mórz, ogołocona ze swych najbogatszych prowincji, byłaby w stałym konflikcie z Polską i szukałaby zbliżenia z Niemcami, by dokonać nowego rozbioru ziem tego bloku. Wówczas przyjaźń i solidarność antyniemiecka z Polską straciłyby dla Francji wartość realną, bo Polska, zagrożona stale ze wschodu od Rosji, nie mogłaby sekundować skutecznie Francji przeciwko Niemcom. Zasadniczym więc elementem polityki francuskiej jest taki układ na wschodzie, który uzgodniłby interesy Polski z interesami Rosji i zapewniłby solidarność tych dwóch państw. Francja zdaje sobie sprawę, że z utratą Ukrainy i dostępu do Bałtyku odrodzona demokratyczna Rosja nie pogodziłaby się nigdy. Trzeba więc stworzyć takie warunki, aby Rosja były zadowolona i zarazem aby Polska niczego się od niej nie potrzebowała obawiać.

7 września, rok 1920, wtorek
Cały dzień do późnego wieczora byłem zajęty na sesji cywilnej w sądzie. Sesje cywilne są tu nieznośnie długie, bo sąd jest tak przeładowany zaległymi sprawami, zwłaszcza apelacyjnymi, że na każdą wokandę stara się wypchnąć jak największą ilość spraw. Toteż, o ile sesje karne są tu zazwyczaj krótkie, bo się wyznacza przeciętnie 3-4 sprawy, o tyle sesje cywilne rozciągają się nieraz na cały dzień, a czasem nawet wypada część spraw przenieść na dzień następny. Najgorsze zaś to, że nie ma tu zwyczaju robić o pewnej stałej godzinie przerwy obiadowej sesji, wskutek czego zmęczenie sędziów staje się pod koniec tak wielkie, że ciężko jest myśleć. Siedziałem dziś na sesji z prezesem Mačysem i sędziami Oleką i Masiulisem, którzy się zmieniali. Ci dwaj ostatni – Oleka i Masiulis – są dzielnymi prawnikami. Masiulis jest młodziutkim sędzią, liczącym dopiero około lat 30, człowiekiem żywym i sympatycznym. Jako sędzia – jest bardzo staranny i pracowity, jest poza tym wielkim miłośnikiem litewszczyzny i znawcą języka; pochodzi z pow. święciańskiego spod Twerecza. Szkoda, że nie będzie go w sądzie w Wilnie. Co do sądu w Wilnie, to dowiedziałem się, że oprócz Kalnietisa, Frydmana i mnie, będzie tam mianowany sędzią okręgowym także adwokat Bratchulis, Litwin amerykański, który niedawno powrócił do kraju. Skończył on studia prawnicze w Ameryce i, jak wnosić można z jego wystąpień sądowych, nie zna zupełnie obowiązujących u nas ustaw i zwłaszcza procesu, a co gorsze – jest słabym prawnikiem. Nie będziemy chyba mieli z niego wielkiej korzyści w Wilnie, tym bardziej, że, o ile wiem, nie zna on wcale języka polskiego: w Wilnie będzie to brak dotkliwy, a nawet zdaniem moim – nie powinno by się takiego wyznaczać do Wilna. Jeżeli Litwa ma

traktować sprawiedliwie i liberalnie sprawę języków miejscowych, to, o ile taki Zygmunt Jundziłł nie może być w Wilnie mianowany sędzią okręgowym tylko dlatego, że nie umie po litewsku, o tyle nie powinien być mianowany taki, który nie rozumie wcale po polsku. Nie wiem jeszcze, jak ostatecznie będzie zadecydowana kwestia języków w sądownictwie na okręg wileński, ale w każdym razie, gdyby nawet była ona tam postawiona tylko tak, jak jest postawiona dotychczas tu w myśl przepisów obowiązujących, nieznajomość języków miejscowych (polskiego i białoruskiego) u sędziego w Wilnie byłaby sprzeczna z przepisami prawa. A przecież w żadnym razie prawa językowe w sądownictwie nie mogą być na okręg wileński dla języków miejscowych uszczuplone.
Wracam jeszcze do tego, com przerwał pisać wczoraj. Francja, pragnąc odrodzenia wielkiej mocarstwowej i burżuazyjnej Rosji, chce ją widzieć silną i zadowoloną, aby mieć z niej sojuszniczkę skuteczną. W koncepcji francuskiej Polska ma być także sojuszniczką francuską przeciwko Niemcom, ale nie taką, która się wzmocni kosztem Rosji. Francji dla jej celów chodzi o to, aby Polska i Rosja były między sobą solidarne, miały jak najmniej między sobą punktów spornych i były obie zwrócone frontem przeciwko Niemcom. Koncepcja Piłsudskiego o solidarnym bloku państewek „od morza do morza" i o Polsce z dwoma frontami – antyniemieckim na zachodzie i antyrosyjskim na wschodzie – nie dogadza Francji. Ze względu na siłę i zadowolenie Rosji Francja chciałaby jej poświęcić byt niepodległy państewek bałtyckich (Estonii, Łotwy i Litwy), nie mówiąc o integralności Rosji na Białej Rusi i Ukrainie. Dlatego też Francja nie sprzyja tworom państwowym nad Bałtykiem, akceptowanym, a nawet popieranym w koncepcji anglo-włoskiej. Choć Francja nie wypowiadała się urzędowo i tak ostro przeciwko państewkom, które się oderwały od Rosji, jak to uczyniły świeżo Stany Zjednoczone, jednak niewątpliwie nie sprzyja im ona i chce zarezerwować decyzje międzynarodowe w tej kwestii do czasu, gdy na gruzach bolszewizmu odtworzy się Rosja o instynktach burżuazyjno-państwowych. Dlatego też, podczas gdy Anglia i Włochy, ujawniające coraz większe poczucie solidarności z Niemcami, dążą do przyśpieszenia zasadniczej regulacji spraw wschodnich na podstawie międzynarodowego usankcjonowania *status quo*, jaki się wytworzył, z uznaniem państw bałtyckich, ustaleniem ich granic i stosunków wzajemnych oraz znalezieniem *modus vivendi* z Rosją bolszewicką, Francja ociąga się, szuka zwłoki, woli stan nieokreślony na wschodzie i usiłuje popierać wszystko, co może prowadzić do przyśpieszenia upadku bolszewizmu w Rosji. Taką jest koncepcja i polityka francuska, z której wypływa popieranie akcji polskiej w wojnie z bolszewikami i świeże uznanie kontrrewolucyjnego rządu Wrangla w Rosji południowej za prawowity rząd rosyjski. O wnioskach z tej sytuacji w stosunku do spraw Litwy Wschodniej i Wilna dopowiem jutro.

8 września, rok 1920, środa
Ludwik Abramowicz zaczął w ubiegłym tygodniu wydawać w Wilnie dziennik pod tytułem „Gazeta Krajowa". Dziennik ten stoi wyraźnie na stanowisku państwowości litewskiej, godząc z nią stanowisko narodowe polskie. We wstępnym słowie od redakcji nawiązał on swoje zadanie do tradycji „Gazety Wileńskiej" . Pismo Abramowicza jest przez niego redagowane i zapełniane, poza działami depesz i kroniki, wyłącznie piórami Ludwika i Heli Romer-Ochenkowskiej. Skąd Abramowicz ma pieniądze na to wydawnictwo, tego nie rozumiem. Wydawanie dziennika wymaga dziś nakładu pieniężnego olbrzymiego. Wiem od Tadeusza Wróblewskiego, że Ludwik ma na wydawnictwo sporą sumę, coś podobno do 150 000 marek (polskich?). Skąd te pieniądze – to tajemnica dla mnie. Sam on takiego kapitału nigdy nie miał, z Polski ich

otrzymać na wydawnictwo, które przeciwstawia się państwowości polskiej, nie mógł, żadna też organizacja, żadna grupa polityczna polska nie stoi za tym pismem. Społeczeństwo polskie w Wilnie jest tak rozbite nie tylko, niedawnym terrorem politycznym, ale jeszcze bardziej lipcową ucieczką z Wilna do Polski, i tak zdezorientowane wypadkami, że dopiero po trochę się teraz organizować zaczyna. Kto więc mógł złożyć na ręce Abramowicza taką sumę pieniędzy – na przepadłe – bo nie ma dziś mowy o opłacaniu się wydawnictwa – tego nie rozumiem. Gotów jestem istotnie przypuścić, że Abramowicz otrzymał te pieniądze z komendantury litewskiej w Wilnie, bo innego wytłumaczenia zagadki nie znajduję. Posądzenia takie podobno już są wśród Polaków w Wilnie, którzy na ogół stosują się z wielką rezerwą, jeżeli z niechęcią do rządów litewskich i krzywo patrzą na przedsięwzięcie Ludwika Abramowicza. Co do mnie – nie brałbym za złe, gdyby istotnie pieniądze pochodziły z kasy litewskiej, choć Abramowicz broni się przeciwko tym posądzeniom. Choć rząd obecny państwowy w Litwie wyraża w państwie tendencje jaskrawie nacjonalistyczne i choć wobec istniejącego zatargu polsko-litewskiego tak na zewnątrz, jak wewnątrz kraju, Polacy litewscy w dążeniach swoich są z konieczności, nawet w zakresie programu Abramowicza, w opozycji do rządu, jednak Litwa jako państwo nie jest dla Polaków litewskich, wyznających państwowość litewską, czymś, co się im przeciwstawia zasadniczo, a więc przyjęcie subsydium z kasy państwowej litewskiej, z zastrzeżeniem uchylenia wszelkiej ingerencji politycznej rządu, nie jest, zdaniem moim, czymś równoznacznym z przyjmowaniem „żołdu obcego”. Zresztą zastrzegam się, że nie wiem bynajmniej, czy jest choć szczypta prawdy w domysłach o źródle środków wydawniczych „Gazety Krajowej” . „Gazeta Krajowa” jest w tej chwili jedynym w Wilnie pismem polskim. Wychodzi tam jeszcze dziennik w języku polskim pod tytułem „Wiadomości Wileńskie” , ale jest to dziennik litewski po polsku, dalszy ciąg „Echa Litwy” i „Głosu Litwy”, jeden z trójcy redagowanych przez Michała Biržiški pism w trzech różnych językach: „Wiadomości Wileńskie” (po polsku) „Vilniaus Aidas” (po litewsku) i „Литва” (po rosyjsku). „Wiadomości Wileńskie” są raczej organem Litwinów mówiących po polsku i poniekąd dziś organem półurzędowym, podczas gdy „Gazeta Krajowa” Abramowicza jest organem Polaków – obywateli Litwy. Zresztą „Wiadomości Wileńskie” dalekie są od nacjonalizmu pism litewskich w Kownie, takich jak „Lietuva”, „Laisvė” itd. Są one redagowane ze zwykłym Michałowi Biržišce taktem i tendencją szlachetną do zrozumienia się wzajemnego i pojednania. Głoszą one zasady w stosunku do Polaków – nie tylko pojednania, ale miłości obywatelskiej i współpracy państwowej.
Ludwik Abramowicz przysyła mi co dzień po 10 egzemplarzy swego pisma. Przez Tadeusza Wróblewskiego posłałem mu w ubiegłym tygodniu artykulik, właściwie rękopis na dwa osobne artykuliki. Jeden z nich pod tytułem „Bez opieki” , w którym zastrzegam się przeciwko wszelkiej interwencji polskiej w stosunkach wewnętrznych litewskich pod pozorem gwarancji praw mniejszości i wykazuję zgubność opieki zewnętrznej dla Polaków litewskich, został wydrukowany w niedzielnym numerze „Gazety Krajowej”. Abramowicz zaopatrzył go w dopisek redakcyjny, zamydlający trochę pewien ton jaskrawy mego artykułu. Jak dowiaduję się teraz od Wielhorskiego, który jeździł do Wilna, mój artykuł wywołał wśród Polaków wileńskich poruszenie czy też „oburzenie” na „Gazetę Krajową”. Niech tam!. Mało mię to wzrusza. Wiem, że „oburzenie” to pochodzi z tych kół, które nigdy niczego się nie nauczą i nic nie zapomną i które znają jedną tylko ewangelię polityczną – wpatrywanie się w Warszawę. Choć większość ich uciekła z Wilna wraz z wojskiem polskim do Warszawy, jednak i wśród pozostałych jest ich dość. Tych nic nie przekona i nic dla wspólnej idei obywatelskiej litewskiej nie zjedna. Oglądać się na nich i chcieć im dogodzić – to tylko

modlić się do Polski, nie zaś Litwę naszą budować. Ale boję się, żeby Abramowicz, który w ogóle jest bardzo wrażliwy na otoczenie (ciekawa rzecz, że o ile jest on samodzielny i nawet samotny we własnych przekonaniach i sympatiach, o tyle jest wrażliwy i kompromisowy w czynie), zacznie się zbyt liczyć z tymi głosami krytyki i chcąc wszystkim dogodzić, a przynajmniej jak najmniej zrazić, rozwodni i zmarnuje swoje pierwotne krajowe stanowisko pisma.

9 września, rok 1920, czwartek
Byłem dziś zajęty przeważnie pracą publicystyczną. Napisałem mianowicie aż trzy artykuły dla „Gazety Krajowej". W artykułach tych zapoczątkowałem systematyczną pracę informowania publiczności polskiej wileńskiej o narodowym społeczeństwie litewskim, jego budowie, pracy, rozwoju. Pierwszy z tych artykułów jest wstępem do pracy informacyjnej i wskazuje na potrzebę poznania narodowego społeczeństwa litewskiego, drugi – traktuje o budowie społecznej narodu litewskiego jako podstawie do podziału stronnictw politycznych, wreszcie trzeci – jest pierwszym z cyklu analizy stronnictw politycznych litewskich i traktuje o stronnictwie „Tautos Pažanga". O takie artykuły informacyjno-analityczne prosił mię Ludwik Abramowicz. Z chęcią będę je dawać, bo w ogóle przywiązuję dużą wagę do takiego pisma, jak „Gazeta Krajowa", czuję w sobie wielką ochotę do oddziaływania na kształtowanie się stosunków krajowych i czasu mi wystarcza. W ogóle co do czasu, to o wiele więcej mi go tu zostaje wolnego, niż w mojej pracy sędziowskiej w Łomży. Podczas gdy tam miałem tygodniowo po kilkanaście wyroków do motywowania, tu mam ich tylko od trzech do sześciu, nie więcej. Mam też tutaj świadomość, której mi właśnie w Polsce brakło, że praca moja publicystyczna i społeczno-polityczna w ogóle jest owocną i żywą, bo w stosunkach krajowych orientuję się, jak mało kto, znam je, mam swoją linię wyraźną i imię mam w kraju znane, ustalone całą poprzednią przedwojenną działalnością moją jak kłos pełny ziarna, toteż ze słowem moim liczą się tu wszyscy, zarówno ci, którzy myślą podobnie do mnie, jak przeciwnicy. To poczucie wagi mojego słowa daje mi zadowolenie i chęć działania, a zarazem daje mi usposobienie do wytężenia sił, aby każdy mój krok i każde słowo były doskonalsze. Toteż w tych warunkach i chętniej, i lepiej pracuję. Wreszcie i to mię zachęca do działania, że rozumiem, iż warunki polityczne tak się układają, że właśnie moje dążenia zaczynają się realizować przedmiotowo i że dla ich oddziaływania nastaje moment właściwy. To wszystko pobudza mię do czynu, a jednocześnie długa bezczynność moja na polu publicznym w Polsce, gdzie nie miałem żadnych warunków do działania w myśl moich dążeń, wytworzyła we mnie nie lenistwo, lecz przeciwnie – nadmiar energii i tęsknotę czynu. O czynną pracę w „Gazecie Krajowej" chodzi mi tym bardziej, że znając Ludwika Abramowicza, obawiam się, aby nie uległ on dla względów własnej popularności dziennikarskiej prądowi kompromisowemu na rzecz zbytniego liczenia się z nastrojami wileńskimi i nie utopił pisma, rozpoczętego tak ładnie i wyraziście w określonym kierunku, w marazmie chwiejności, połowiczności i dogadzania wszystkim naraz. Wiem, że w Wilnie drzemią silne tęsknoty do powrotu Polaków, że pokątna silna agitacja w tym kierunku nie ustaje i nie ustanie, że bardzo dużo jest niechętnych państwowości litewskiej, którzy wyzyszczą każdy błąd lub trudną sytuację, by kompromitować w opinii tłumu państwowość i zwracać tęsknoty ku Warszawie. Wiem, że te elementy będą Abramowiczowi utrudniać pracę, będą się starały zdyskredytować go, złamać jego energię. Obawiam się, żeby się nie poddał zniechęceniu i nie osłabł w obranym kierunku. Tylko stanowisko wyraźne i mocne da mu zwycięstwo, stworzy mur choćby mniejszości w społeczeństwie polskim, ale za to mniejszości wiernej, mocnej, o którą się oprzeć będzie można i która, da Bóg, wytworzy podstawę i tradycję spoistości

krajowej i rozwiązania sprawiedliwego stosunków współpracy obywatelskiej Polaków litewskich z Litwinami. Nie tylko w Wilnie różne elementy będą się starały wszelkimi sposobami bądź skompromitować, bądź skorumpować energię Abramowicza. Również stąd z Kowna jeździć będą i jeżdżą do Wilna różni Wielhorscy, Łukomscy i inni, by tam siać w szeregi rzeczników pojednania i współpracy zwątpienie, a zwąchać się z elementami polsko-interwencjonistycznymi. Wreszcie i błędy samych Litwinów, popularny w wielu organach prasy litewsko-kowieńskiej ton specjalny w stosunku do Polaków, drażniący niewątpliwie miłość własną i godność polską dla lekkomyślnego przypodobania się masom, utożsamiającym Polaków z panami i nienawidzących polskość przez nienawiść do panów – wszystko to są kolce bolesne, które utrudniają uszczknięcie i posiadanie pięknej róży pojednania, miłości i współpracy obywatelskiej. Wielhorski mu tu opowiada po powrocie z Wilna, że tam są oburzeni na „Gazetę Krajową" za mój artykuł „Bez opieki" i że rzekomo sam Abramowicz żałuje, że go umieścił. A właśnie trzeba jak najwięcej takich artykułów. Dziesięciu będzie oburzonych, a dwóch się zastanowi, przyzna rację i umocni swoje przekonanie. Lepsze jest to, niż gdy się będzie starało dogodzić wszystkim, bo w pierwszym wypadku już w dwóch świadomościach pewien element przybędzie, a w drugim – nie zrobi się nic. I tak otóż moim artykułem „Bez opieki" dziesięciu się może oburzyło, a oto tu spośród Polaków winszowali mi już tego artykułu Władysław Komar z Bejsagoły i Benedykt Tyszkiewicz z Czerwonego Dworu.

10 września, rok 1920, piątek
Dzisiejsza „Lietuva" podaje w tłumaczeniu litewskim wyciągi z mojemu artykułu „Bez opieki" w „Gazecie Krajowej" i z dopisku redakcji do tegoż artykułu. Komentarzy od siebie nie podaje do tych wyciągów żadnych. W każdym razie, czyni dobrze, że cytuje z krajowej prasy polskiej te rzeczy, które ujawniają stanowisko państwowe Polaków litewskich i przeto mogę się przyczynić do wywołania także u Litwinów pewnej rewizji ich stosunku do współobywateli Polaków, podejrzanych w czambuł o wrogie dla Litwy usposobienie. Zbyt mało było dotąd z obydwóch stron czynów publicznych dobrej woli i dobrej wiary w stosunku wzajemnym, toteż dziś każdy taki element zbliżenia się wzajemnego i zaufania – jest cenny jako coś, co zamiast kopać i pogłębiać, zasypuje, choć w małej mierze, i niweluje rów niezgody między synami jednej ziemi.
Wreszcie też po raz pierwszy znalazłem w prasie litewskiej sprawozdanie z mego odczytu, wygłoszonego w dniu 20 sierpnia w sali Związku Strzelców. Pisze o nim „Socjaldemokratas" w numerze z dnia wczorajszego. Wyraża uznanie dla sposobu ujęcia przeze mnie tematu i dla wywodów referatu, podkreśla żywy i ciekawy wykład oraz, zdaniem sprawozdawcy, właściwą mi metodę i umiejętność sięgania do samej istoty zjawisk; wyraża żal, że odczyt się odbył w kółku tak nielicznym, i życzenie spopularyzowania go wobec szerszej publiczności i zwłaszcza w druku. Cieszą mię te przejawy uznania – ze strony litewskiej i przekonują, że praca moja w obranym kierunku, który zresztą jest moim kierunkiem stałym, porusza umysły i rzuca posiew wdzięczny, a nie tylko natrafia na takie refleksje dziwaczne, jakim dał wyraz p. Voldemaras w dyskusji nad referatem. „Socjaldemokratas" nie ogranicza się do pochwał i słów uznania, lecz daje w kilkunastu wersach krótkie streszczenie tez referatu, a więc nie tylko w części, dotyczącej mojej ujemnej oceny polityki polskiej na wschodzie, ale także w części, dotyczącej moich wniosków i wskazań dla polityki państwowej litewskiej w Litwie Wschodniej, w czym się oczywiście pismo socjalistyczne zgadza ze mną i zastrzeżeń nie ma żadnych. Podkreślenie tej drugiej części mojego referatu cieszy mię nie dlatego, żebym przywiązywał zbyt wielkie nadzieje do tego, że polityka litewska uwzględni i wykona podane przeze mnie

wskazania, bo wiem, że opinia socjalnych demokratów mało dziś zaważy na polityce państwowej litewskiej, ale dlatego, że przecież znalazł się wśród słuchaczy mego referatu odłam, który usłyszał i zechciał trawić w swoim umyśle nie tylko to, com wskazywał ujemnego w polityce polskiej, ale i to, co w referacie moim brzmiało ostrzeżeniem polityki państwowej litewskiej przed błędami, do których skądinąd bardzo skłonni będą Litwini, a które mogą się bardzo groźnie zemścić na spoistości państwowej i na istotnym zrośnięciu się Litwy Wschodniej z całością kraju.
Zauważyłem w dyskusji nad referatem moim, że wszyscy, którzy przemawiali, czy to ks. Tumas, czy Voldemaras, który silił się na udowodnienie jakiegoś specyficznego „zapachu warszawskiego" w moim odczycie, czy też Ślażewicz, który mi wyrażał uznanie, poruszali, a bodajże i usłyszeli w tym odczycie tylko tę część, która omawiała politykę polską na wschodzie, a zupełnie mimo uszu puścili to, co było ze stanowiska państwowego litewskiego o wielu ważniejsze – część pozytywną – o programie polityki państwowej, jak go ustalić należy. Ludzie są zawsze ludźmi: Litwini mają te same słabości, co mają wszyscy: dostrzegą doskonale wszystkie błędy i wady przeciwnika aż do drobnostek mikroskopijnych, ale nie lubią, gdy się ich ostrzega, i są tak pewni swojej doskonałości, że nawet nie słyszą, gdy się im wskazuje na niebezpieczeństwo możliwych z ich strony błędów; zaślepienie każe im po prostu nie widzieć możliwości błędów z ich strony, toteż nad tym wcale się zastanawiać nie chcą.
Z wiadomości, które dochodzą od osób, przyjeżdżających z Wilna, obraz stosunków tamecznych i usposobień przedstawia się nienajlepiej. Fermentuje tam duże niezadowolenie wielkiej ilości bezrobotnych, jest poczucie niepewności jutra, różne domniemania bądź o powrocie bolszewików, bądź o rychłym przyjściu Polaków, są błędy urzędników litewskich, które drażnią niepotrzebnie ludność polską, są nastroje pogromowe względem Żydów, a na tym tle chwiejnym krzewi się bujnie agitacja elementów wrogich Litwie i podniecających tęsknoty polskie. W pozawczorajszym liście Ludwika Abramowicza są też wskazania na te ciemne strony sytuacji wileńskiej. Zacytuję wyciąg z tego listu: „Na początek należy być bardzo oględnym, gdyż bardzo łatwo jest zrazić sobie ogół polski, a wówczas pismo traci rację bytu, bo nie będzie miało żadnego wpływu, przeciwnie – będzie potęgowało tylko nastrój abstynencji, bojkotu, niezadowolenia. A to ostatnie na gruncie Wileńszczyzny jest bardzo niebezpieczne i może doprowadzić do wybuchu, z którego skorzystają oczywiście bolszewicy. Być może w Kownie nie zdajecie sobie dokładnie sprawy z nastrojów tutejszych, ale są moim zdaniem po prostu groźne ze względu, iż ogarniają masy ludu miejskiego i wiejskiego, a są podsycane przez pewne koła inteligencji, być może nawet organizacje. Społeczeństwo jest chore i trzeba je leczyć, ale nie drażnić. Mam nadzieję, że jeżeli „Gazeta Krajowa" będzie istniała przez czas dłuższy, z wolna przełamie swym konsekwentnym stanowiskiem mur nieufności i pozyska w końcu dostęp do duszy wileńskiej. Muszę się wystrzegać przede wszystkim, aby nie posądzano pisma, że jest subsydiowane przez Litwinów, bo już takie podejrzenia zaczynają kiełkować...". Mam jednak powód do przypuszczenia, że Abramowicz kreśli tu sytuację w zbyt już czarnych barwach.

11 września, rok 1920, sobota
Ministerium Sprawiedliwości przedstawiło już dziś marszałkowi Sejmu, jako pełniącemu obowiązki prezydenta Rzeczypospolitej, kandydatury do mianowania do Sądu Okręgowego w Wilnie. Podobno marszałek Sejmu już dokonał aktu mianowania. W poniedziałek nowo mianowani będą o nominacjach zawiadomieni i niezwłocznie mają już jechać do Wilna dla rozpoczęcia urzędowania. Jak było zawczasu wiadomo, mianowani są: prezesem sądu – Kalnietis, członkami sądu – Frydman, ja i Bračiulis.

Dowiaduję się, że na prokuratora do Wilna mianowany został Rymsza, który dopiero od paru tygodni był prokuratorem przy Sądzie Okręgowym w Kownie, poprzednio zaś był prokuratorem przy Sądzie Wojennym (tzw. Sądzie Armii). Z nominacji Rymszy bardzo się cieszę, bo jest to człowiek, który ma doskonałą i, zdaje się, zupełnie zasłużoną opinię. Jest młody jeszcze, ale ma bardzo dużo taktu, niegłupi, nie nacjonalista, bardzo sprawiedliwy, zrównoważony, nie kierujący się w działalności sądowej żadnymi uprzedzeniami i stronniczością. O ile słyszałem o nim i o ile go poznałem z kilku jego zawsze taktownych i bezstronnych wypowiedzeń się, jest to najlepszy wybór człowieka na prokuratora do Wilna, na jaki się sądownictwo litewskie mogło się zdobyć. Człowiek ten, choć młody, posiada szacunek i uznanie zarówno Litwinów, jak Polaków w Kownie. Był on prokuratorem przy sądzie armii, którego właściwości podlegały polityczne sprawy polskie (liczne i drastyczne na tle zatargu polsko-litewskiego), a jednak nie tylko od nikogo z Polaków nie słyszałem żadnego względem niego zarzutu, ale przeciwnie – zawsze tylko słowa uznania. O nominacjach sędziów pokoju i sędziów śledczych do Wilna trochę już słyszałem, ale na razie mówić o nich jeszcze nie będę. Zobaczymy, jak się to będzie przedstawiać w Wilnie.
Zamierzam wyjechać z Kowna do Wilna dopiero w przyszłą sobotę. W Wilnie zamieszkam oczywiście w mieszkaniu Maryni przy ul. Ofiarnej w domu Stasia Wołodkowicza, które mogę uważać również za moje mieszkanie, to znaczy za dalszy ciąg naszego wspólnego przed wojną mieszkania. Są tam meble Maryni i moje, i moje rzeczy różne. Dziś była u mnie nasza wieloletnia służąca wileńska, Anusia Dyržisówna, która, okazuje się, przyjechała tu w charakterze tymczasowej służącej z jakimś oficerem litewskim, ale zdecydowana jest wracać ze mną do Wilna i pozostać za służącą u mnie. Wezmę ją naturalnie, bo lubię ją, a poza tym jest ona przez to dogodniejsza od każdej innej, że jest do mnie szczerze przywiązana, jest bardzo pewna, wierna, zna wszystkie rzeczy Maryni i moje, jest bardzo porządna i systematyczna; jest arbitralna i kapryśna, ale u mnie będzie sobie w mieszkaniu gospodynią, na poły służącą, a na poły domownicą. Zarówno z listu pana Solimaniego z Wilna, jak od Anusi, wiem, że meble w naszym mieszkaniu w Wilnie ocalały, że bolszewicy mieszkania nie zarekwirowali, jeno raz jedną tylko noc w nim spędzili, że natomiast Bastowska, która mieszka w tymże domu i która również służyła u Maryni, zapanowała w tym mieszkaniu, okradała rzeczy, dobrała klucze do biurka Maryni itd. Kto wie – może zechce nawet czynić mi przeszkody w dopuszczeniu mię do mieszkania, ale radę na nią znajdę.
Bardzo być może, że w Wilnie zdarzy mi się nieraz doświadczyć różnych przykrości z powodu przyjęcia przeze mnie stanowiska w sądownictwie litewskim. Nie wiadomo bowiem, jak wobec istniejących tam mocnych prądów antylitewskich wśród Polaków i podrażnienia, jakie tam panuje, będą się Polacy miejscowi stosowali do urzędów litewskich i w szczególności do sądu, tym bardziej, że sprawa języka w sądownictwie, a zwłaszcza w Sądzie Okręgowym, nie została dla Okręgu Sądowego Wileńskiego ustalona na jakichś zasadach odrębnych, a tak, jak jest ona ustalona ogólnie w Litwie, to dla Wilna, gdzie państwowy język litewski jest mało znany, jest niewystarczające. W moim przekonaniu jednak, w każdym razie Polacy litewscy, którzy się mają za obywateli Litwy, nie powinni się od współpracy państwowej w Wilnie uchylać, przeciwnie – iść do niej i stawać na wszelkich stanowiskach, aby się stać jak najbardziej potrzebnymi i zdobywać wpływy obecnością swoją, co z czasem zaważy dodatnio na ukształtowaniu się stosunków i ustaleniu praw polskich. Toteż mam przekonanie, że czynię dobrze, jadąc do Wilna.
Z wielu stron słychać o przykrych stosunkach w Wilnie i o fermentujących tam nastrojach antylitewskich. Słyszałem dziś (od Donata Malinowskiego i Dominika Siemaszki, dwóch prozelitów litewskich, którzy są właściwie z pochodzenia Polakami),

że podobno w Wilnie była przygotowana manifestacja uliczna polska na rzecz przyłączenia do Polski, która nie doszła do skutku tylko z powodu pogłoski o wkroczeniu bolszewików na przedmieścia wileńskie. Że pewne elementy pchają do tego rodzaju demonstracji, jątrzących stosunki – to bardzo prawdopodobne, ale, swoją drogą, może zbyt są przesadzone te wieści o wrogich Litwie nastrojach w Wilnie. Przed paru dniami widziałem się z Zygmuntem Žemaitisem, który był przyjechał z Wilna. Jest to jeden z ludzi, jak Michał Biržiška, usposobionych bardzo pojednawczo i sprawiedliwie do Polaków. Otóż rozpytywałem go i on mi mówił, że tak źle nie jest, że owszem – dość liczne szeregi ludzi garną się do pracy w instytucjach litewskich i że gdyby nie ciężka kwestia bezrobotnych, która przysparza malkontentów i utrzymuje ferment, to sytuacja byłaby wcale dobra. Sprawa bezrobotnych jest rzeczywiście w Wilnie bardzo ciężka i ostra. Od Žemaitisa dowiedziałem się, że władze oświatowe litewskie, które on tam reprezentuje, dążą do wznowienia tej jesieni wykładów na Uniwersytecie Wileńskim i że chcą stworzyć równoległe kursy czy cykle, względnie uzupełniające się wzajemnie – litewski i polski. Za wszelką cenę natomiast chcieliby nie dopuścić do wykładów rosyjskich, do czego usiłują doprowadzić Żydzi. W litewskich „Wiadomościach Wileńskich” była wymieniana moja kandydatura na profesora Uniwersytetu w liczbie Polaków, których należałoby zaangażować.

12 września, rok 1920, niedziela
Napisałem dziś następny z kolei artykulik z cyklu analizy litewskich stronnictw politycznych, przeznaczonego dla „Gazety Krajowej” w Wilnie. Cieszę się, że jest teraz wreszcie w kraju organ, dający możność zarówno propagandy stanowiska państwowo-obywatelskiego litewskiego wśród Polaków litewskich, jak rzeczowego informowania społeczeństwa polskiego o narodowym społeczeństwie litewskim. Te dwa odłamy jednej w istocie społeczności krajowej zbyt mało się dotąd znały i zbyt dużo dzieliło je uprzedzeń, gdy tymczasem współżycie ich jest koniecznością dziejową i gdy w rzeczy samej są one tak bardzo sobie pokrewne, jak dwie gałęzie, wyrastające z jednego drzewa. Artykuł dzisiejszy poświęciłem „Žemdirbių Sąjundze”, stronnictwu odradzających się agrariuszy chłopskich litewskich, z gruntu konserwatywnych, którzy odegrać mogą dużą rolę w kraju po rewolucji. Dotychczasowe artykuły z tego cyklu o stronnictwach – dotąd napisałem trzy – udały mi się bardzo dobrze. Dla dziennika formatu „Gazety Krajowej” mogą one być za długie, ale w istocie są w stosunku do tematu krótkie, jędrne, treściwie ujmujące istotę rzeczy. Przychodzi mi nawet na myśl, że byłoby dobrze zebrać je potem w jedną całość i wydać w broszurze osobnej. Byłaby to niewątpliwie publikacja użyteczna i dla publiczności polskiej bardzo ciekawa, a bodajże i dla samych Litwinów wartościowa, bo jest pisana przedmiotowo, bezstronnie i w ramach głębszej analizy społecznej. Muszę myśl tę podsunąć Ludwikowi Abramowiczowi, chociaż wątpię, niestety, czy się to da zrobić ze względu na kosztowność dziś wszelkiego wydawnictwa: zaoszczędziłaby się wprawdzie robota zecerska, bo artykuły będą składane dla dziennika, ale drukowanie, a zwłaszcza papier – to są dziś rzeczy bardzo kosztowne. Chyba mogłaby to wydać jakaś instytucja lub towarzystwo wydawnicze, ale czy dziś istnieją one w Wilnie? Wprawdzie formalnie Towarzystwo Przyjaciół Nauk istnieje, ale bodajże wszyscy członkowie jego zarządu uciekli, i czy Towarzystwo takie uznałoby pracę o stronnictwach politycznych, chociaż stanowi ona studium konkretnych zjawisk społecznych – za rzecz naukową?
Poruszę też kwestię, która ma niewątpliwie wielką wagę i która już od tygodnia przeszło jest aktualną, ale w której dotąd ze względu na różne okolicznościowe tematy nie wspominałem, odkładając ją z dnia na dzień. Mam na myśli krwawy incydent polsko-litewski w Suwalszczyźnie. Faktem jest, że konflikt litewsko-polski przerodził

się w Suwalszczyźnie w systematyczną walkę zbrojną, która trwa już od dni 10. Geneza tych wypadków była następująca. Przed lipcową porażką polską między Polakami a Litwinami była ustalona w Suwalszczyźnie linia demarkacyjna, zwana linią Focha, bo ustanowił ją marszałek Foch, wódz naczelny sił zbrojnych Koalicji, zwycięzcy Niemiec. Przy ustalaniu tej linii wola Litwinów nie była wcale uwzględniona, bo nie pytano ich wcale w tej kwestii. Linia była narzucona Litwinom, podyktowana przez Focha i przyjęta przez nich siłą nagiego faktu, bo Litwini nie byli w stanie oprzeć się wojskom polskim, które na tej linii stanęły. Po porażce lipcowej, gdy Polacy zmuszeni byli cofnąć się spod Grodna na Białystok i Łomżę, musieli oni z konieczności, bez nacisku bezpośredniego bolszewików, opróżnić całą Suwalszczyznę, bo ta zostawała na tyłach frontu. Wtedy w tę próżnię wkroczyli Litwini i zajęli środkową Suwalszczyznę aż po Kanał Augustowski. Tą drogą nie tylko okolice Sejn i północne litewskie granice powiatu suwalskiego, ale i Suwałki z całym powiatem i część powiatu augustowskiego dostały się faktycznie w ręce Litwinów, choć w tych ostatnich ludność jest dziś niewątpliwie polska, a w każdym razie nie litewska i za litewską się nie uważa wcale. Dopóki bolszewicy bili Polaków i posuwali się na Warszawę, nikt nie mógł rościć pretensji do Litwinów za faktyczne zajęcie tego terytorium, bo przynajmniej obecnością swoją Litwini ocalili tę ziemię od najazdu i gospodarki bolszewików. Trzeba jednak przyznać, że Litwini wtedy popełnili tam kilka nietaktów. Mianowicie zamiast się zachować jako przyjaźni okupanci, których zadaniem jest tylko zapewnienie bezpieczeństwa i opieki zewnętrznej, bez przesądzania przynależności państwowej tej nielitewskiej połaci kraju, zaczęli traktować ją jako swoją własność, zaczęli walczyć z tzw. zarządami ludowymi, które były tam powstały w trybie organizacji społecznej dla funkcji zarządu, i zaczęli narzucać swój bezpośredni zarząd państwowy, nie licząc się z czynnikiem obywatelskim miejscowym, co wywołało protesty i reakcję ludności polskiej. Po zwycięstwie polskim nad bolszewikami pod Warszawą wojska polskie zaczęły się zbliżać do Suwalszczyzny. Stawało się niezbędnym ustalić z Polakami zasady stosunku wzajemnego w Suwalszczyźnie. Obie strony czuły potrzebę takiego porozumienia, by uniknąć konfliktu. Delegacja wojskowa polska w osobach Mackiewicza i Römera, która przyjechała do Kowna, zaproponowała co do Suwalszczyzny powrót do linii Focha jako tymczasowej linii demarkacyjnej. Jednocześnie rząd litewski w nocie ministra spraw zagranicznych Puryckiego do ministra spraw zagranicznych polskiego Sapiehy zaproponował linię demarkacyjną w Suwalszczyźnie wzdłuż Kanału Augustowskiego, to znaczy na zasadzie *status quo* obecnego.

13 września, rok 1920, poniedziałek
Otrzymałem dziś nominację na sędziego do Sądu Okręgowego w Wilnie w postaci zawiadomienia ministra sprawiedliwości Karoblisa o podpisaniu nominacji przez marszałka Sejmu Ustawodawczego (Stulgińskiego), pełniącego obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej. Samej nominacji, to znaczy aktu za podpisem marszałka, na ręce nie otrzymałem. W zawiadomieniu ministra powiedziano, że mianowany jestem od dnia 9 września. Zdaje się, że w tym tygodniu już wszyscy mianowani do sądu wileńskiego wyjadą do Wilna. Na sekretarza (zapewne wydziału cywilnego) mianowany został Łowcewicz, Litwin, człowiek młody, inteligentny i sympatyczny, dotychczasowy podsekretarz Wydziału Cywilnego w Sądzie Okręgowym w Kownie. W przyszłym tygodniu rozpoczniemy więc już pracę organizacyjną w Wilnie. Jak wiem od sędziego Frydmana, ma być tam od razu dokonany podział funkcji między sędziami, żeby od początku objąć ścisły dozór nad kancelariami wydziałów i w ogóle uniknąć tego braku podziału funkcji między członkami sądu. Ja obejmę prawdopodobnie kierownictwo nad

Wydziałem Karnym, Frydman – nad Cywilnym. Chcemy też z Frydmanem ustalić taką zasadę w naszym sądzie w Wilnie, aby, ile możności, wszystkie kwestie, dotyczące sądu, jego działalności, wszelkich kandydatur itd., były omawiane na ogólnych zebraniach, aby w ogóle dać przewagę zasadzie kolegialnej i nie dać sobie zbytnio narzucać różnych niespodzianek przez ministerium. Podobno, jak mi mówił Frydman, prezes sądu w Wilnie p. Kalnietis, którego jeszcze nie poznałem osobiście, sprzyja tej zasadzie. Zdaje się, że jeszcze przed wyjazdem do Wilna mamy tu urządzić pierwsze coś w rodzaju ogólnego zebrania członków Sądu Wileńskiego.
Napisałem dziś jeszcze jeden artykuł dla „Gazety Krajowej". Stałem się płodny. Przechodzę do dalszego ciągu kwestii wczorajszej. Konflikt między Litwą a Polską stał się konkretny w stosunku do Suwalszczyzny. W stosunku do granic wschodnich Litwy, do Grodna, do Wilna, do kwestii, czy Polacy mogą w wojnie z bolszewikami wkraczać na terytorium, uznawane przez Litwę za jej terytorium państwowe, i w jakim zakresie – konflikt, pomimo nieustalenia jakichś zasad w tym względzie, nie dojrzał konkretnie dla tej prostej przyczyny, że Polacy nie doszli w wojnie z bolszewikami do tego terytorium i nie posunęli się dotąd dalej na północny wschód poza Sokółkę i Puszczę Białowieską. Natomiast co do Suwalszczyzny, konflikt stał się konkretny. Spór dotyczył w Suwalszczyźnie linii demarkacyjnej. Proponowana przez Polaków linia Focha jest dla Litwinów krzywdząca, bo takie punkty, jak Sejny i Puńsk, do których pretensje litewskie są zupełnie słuszne, pozostawia w ręku polskim. Formalnie Litwini mają przeciwko linii Focha także ten argument, że linia ta została ustalona bez ich wiedzy, więc ich obowiązywać nie może. Z drugiej strony, linia proponowana przez Litwinów – wzdłuż Kanału Augustowskiego – była przesadna w przeciwnym kierunku, bo zagarniała na rzecz litewską Suwałki i część terytorium niewątpliwie polskiego. Zresztą propozycje obydwóch stron dotyczyły nie granicy stałej, lecz czasowej linii demarkacyjnej. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że Polacy, rozpocząwszy z Litwinami rokowania w tym przedmiocie, postawiwszy propozycję swoją przez misję Mackiewicza i Römera (Polacy popełniają ten błąd, że wysyłają do rokowań z Litwinami ludzi z arystokracji ziemiańskiej, którzy po prostu ze względu na różnice psychologiczne nie umieją się dogadać z demokracją litewską) i otrzymawszy w tymże czasie propozycję litewską, nagle, nawet przed udzieleniem odpowiedzi na propozycję litewską, zlekceważyli Litwinów, zdeptali zasadę rokowań i zaczęli wytwarzać fakty dokonane, posunąwszy się przemocą w kierunku linii Focha. Akcja ta była kroplą, która spowodowała wylanie się wody z naczynia. Wywołała ona eksplozję i walkę zbrojną litewsko-polską. Polała się krew. Litwini na razie, zaskoczeni, cofnęli się, ale wnet uderzyli na Polaków. Od dni przeszło dziesięciu trwa faktyczna wojna litewsko-polska w Suwalszczyźnie i Litwinom się powodzi nieźle; mieli nawet sukcesy, odzyskali Sejny; zresztą walki te toczą się ze zmiennym szczęściem. Czynniki Koalicji zaczęły protestować przeciwko tej nowej walce krwawej, grożącej nową wojną. Litwini zacietrzewili się na Polaków, Polacy rozgłaszali po świecie, że Litwini łamią neutralność na rzecz bolszewików, że w szeregach litewskich walczą rzekomo czerwonoarmiejcy rosyjscy, że wojska litewskie uderzają w charakterze awangardy bolszewickiej. Ale może i dobrze, że doszło do tego wybuchu, wyładowującego energię konfliktu, bo to może przyśpieszyć drogę rokowań wreszcie istotnych, drogę układu częściowego, w którym strony przestaną wreszcie bagatelizować siebie. Jakoż zbiera się właśnie konferencja litewsko-polska w Kalwarii Suwalskiej dla wyjaśnienia nieporozumień z jednoczesnym zawieszeniem działań wojennych.

14 września, rok 1920, wtorek

Dziś rozpoczęte zostały w Kalwarii rokowania polsko-litewskie. Działania wojenne między Litwinami a Polakami zostały wstrzymane. Dałby Bóg, żeby doszło do zgody i do polubownego rozstrzygnięcia kwestii spornych! Od tylu wieków krew przelana nie dzieliła, lecz łączyła Litwę z Polską. Od czasów Jagiełły i Witolda, jeżeli krew litewska się przelewała z krwią polską na pobojowiskach, to tylko przeciwko wspólnemu wrogowi. Od Grunwaldu do r. 1863 tradycja przelewanej krwi łączyła oba narody. Po raz pierwszy w r. 1920 krew litewska polała się przeciwko krwi polskiej i odwrotnie, cofając dzieje wstecz pod tym względem do czasów wojen litewsko-mazurskich. Zresztą jest to konsekwencja odrodzenia narodowego Litwinów, które uczyniło z nich naród odrębny, przeciwstawiający się jako jednostka indywidualna innym narodom, a więc i Polsce. Wiem, że te względy mistyczne krwi przelanej nie są w polityce, operującej interesami konkretnymi, realne, ale niemniej są one dla obywatela litewskiego narodowości polskiej bolesne i przykre szczególnie. Są one także przeszkodą do tego, co stanowi dziś jedną z najpilniejszych potrzeb żywotnych Litwy, jedną z gwarancji zrośnięcia się w całość dwóch rozdartych psychicznie połów kraju, Litwy wschodniej z zachodnią: w Litwie wschodniej żywy jest bardzo duch starego braterstwa z Polską, duch historii pięciu wieków, który w Litwie zachodniej w dokonanym jej odrodzeniu narodowym umarł. Dla Litwy zachodniej, narodowej, wojna z Polską jest takim samym zagadnieniem polityki, jakim byłaby wojna z każdym innym sąsiadem; może ona nawet być popularną, może nasycać żale i uczucia przeróżne. Dla Litwy wschodniej, nasyconej uczuciem serdecznym dla Polski i w szczególności dla Polaków litewskich ta krew przelana litewsko-polska stanowi ból i może ją tylko od Litwy zachodniej, narodowej, oddalać, utrudniając warunki współżycia, rozkładając założenia spójni. Jeżeli rokowania kalwaryjskie doprowadzą do układu, będzie to atut dla Litwy nie tylko na zewnątrz, ale i na wewnątrz. Mam nadzieje, że dojdzie do tego, a zwłaszcza zależeć to będzie od tego, jak Polacy w rokowaniach postawią sprawę Wilna. Kwestia linii demarkacyjnej, czy nawet granic w Suwalszczyźnie sama przez się jest podrzędna. Ustąpienie Litwinom Sejn, Puńska i kilku innych miejscowości, do których mogą oni mieć słuszne zasady roszczeń, z łatwością, sądzę, ubije ich roszczenia do Suwalk itd. A jeżeli nawet co do poszczególnych miejscowości zgody obustronnej uzyskać się nie da, to pozostanie tylko detaliczny spór graniczny, który da się załatwić metodami kulturalniejszymi od wojny, jak plebiscyt, sąd rozjemczy, odwołanie się do Ligi Narodów itp. W sprawie Suwalszczyzny trudniejsze nieco będą zagadnienia neutralności Litwy w wojnie polsko-bolszewickiej i względy strategiczne dla Polski. Ale istotne jądro konfliktu tkwi w sprawie Wilna i granic wschodnich Litwy. Jeżeli Polska w tym względzie uzna żądania litewskie i wyraźnie zrzecze się roszczeń do Wilna i litewskich powiatów wschodnich, to można się nawet spodziewać u Litwinów zwrotu przychylnego dla Polski i poszczególnych ustępstw w innych kwestiach. Nic nie wskazuje, żeby Polska dziś miała jakiekolwiek tytuły międzynarodowe do pozyskania Wilna, a przeciwnie – wszystko się składa na rzecz niedopuszczenia Polski do przyłączenia Wilna, bo nawet Francja odmawia jej w tym poparcia, nie chcąc przesądzać sprawy wileńskiej na rzecz Polski, aby w przyszłości nie znaleźć się w konflikcie z odrestaurowaną Rosją. Polska ma więc wspaniałą okazję do zrobienia „*boune mime an manwaès jeu*" i formalnego zrzeczenia się roszczeń do Wilna na rzecz praw Litwy, zdobywając przez to atuty w innych przedmiotach stosunków polsko-litewskich. Polsce w tym względzie może być tylko jedna trudność – mianowicie wobec opinii publicznej u siebie, która przywykła do uważania Wilna za polskie, i wobec licznej w Polsce a niewątpliwie krzykliwej i zabiegającej emigracji wileńskiej, która za żadną cenę nie chciałaby się zrzec nadziei triumfalnego powrotu do Wilna pod osłoną Polski. Ale jeżeli Polska ma świadomość, że zrealizować Wilna nie jest w stanie, to

zyszcze na tym, jeżeli to uczyni sama, niż jeżeli będzie zmuszona do zrezygnowania decyzją Ligi Narodów. Tak mi się zdaje przynajmniej, jeżeli tylko Polska nie liczy na to, że przy innej konstelacji polityczno-międzynarodowej znów odzyszcze możność porwania Wilna. Z wielką uwagą będziemy się przyglądali rokowaniom w Kalwarii, które nie tylko na zewnątrz, ale i dla stosunków wewnętrznych w Litwie będą miały wagę wielką.
Swoją drogą, co do perspektyw szczególnego zbliżenia polsko-litewskiego i nawiązania jakiegoś kontaktu politycznego na najbliższą przyszłość – zapatruję się pesymistycznie. Dopóki Polska będzie miała wyraźny front antyniemiecki – a z konieczności musi go mieć – i dopóki będzie w systemie międzynarodowej polityki francuskiej, dopóty trudno o realną solidarność polityki polskiej z litewską, która z konieczności opierać się musi o koncepcję angielską i przeto germanofilską, tym bardziej, że Polska, wobec swego jaskrawego frontu antyniemieckiego, będzie musiała szukać wraz z Francją ugody z przyszłą pobolszewicką mocarstwową Rosją. Otóż jest bardzo prawdopodobnym, że warunkiem ugody z Rosją będzie musiało być uznanie jej apetytów na państwa bałtyckie, co oczywiście przeciwstawić musi Litwę tendencjom francuskim i [każe jej] szukać opieki gdzie indziej.

15 września, rok 1920, środa
Pod wieczór, po powrocie z miasta do domu, zastałem depeszę od Jakszuka tej treści (po rosyjsku): „*Приезжайте отец серьезно болен*”[76]. Depesza nadana z Rakiszek, terminowana, więc widocznie stan Papy jest groźny.
Kilka godzin przed tą depeszą otrzymałem od Papy pisany własnoręcznie list, datowany 8 września z Bohdaniszek, wysłany zaś z Rakiszek, jak wskazuje stempel pocztowy – pozawczoraj. List Papy zaczyna się tak: „Kochany Synu! Dobrze byś zrobił, gdybyś do mnie na dni kilka przynajmniej przyjechał. Miałbyś w zysku sporo gderań i wymówek, wszak i to już czegoś warte. – Mój drogi, co bym ja dał, gdybym na Twoim miejscu był! Nieszczęsny ze mnie człek, wszak ja ojca nie pamiętam, miałem bowiem 1 ½ roku, gdym go stracił; a on miał lat trzydzieści. O tyle ty, bałwanie miły, jesteś ode mnie szczęśliwszy! Tu nie ma dwóch zdań!”. Dalej idzie karcenie mię za to, że rzekomo poprzewracałem różne rzeczy Papy w Bohdaniszkach, narzekanie na mój rzekomy „bezład”, opowieść o dziadku Mieczysławie Tukalle (Ojcu Mamy) i o jego bracie Konstantym, a u dołu: „Ściskam cię i czekam. Ojciec Michał senior”. W dopisku Papa pisze: „Doktor Kozłowski przeraził się mymi obrzękłymi nogami. Kazał mi dwa tygodnie absolutnie leżeć, ale gdy leczyć się będę, robi nadzieję bardzo długiego wieku. Zalecił kokainę i kolę”. Zalecenie tak ostrego środka, jak kokaina, wskazuje, że stan Papy musiał już być ciężki. Depesza Jakszuka oznacza już chyba stan groźny. Domyślam się: doktor kazał Papie leżeć w łóżku. W wieku tak podeszłym, jak Papy, samo leżenie (stała pozycja leżąca) wywołuje zazwyczaj po kilku dniach zapalenie płuc, które w tym wieku jest śmiertelne. Toteż nie wróżę Papie życia. Daj Boże, abym go jeszcze zastał żywego! Mam przeczucie, że jadę na nieodwołalną śmierć Ojca. Jeżeli tak jest, to dzięki przynajmniej Panu Bogu, że doprowadził starca przed śmiercią do domu i że dał mu złożyć kości na ziemi rodzinnej i zejść do grobu u siebie w domu, w gnieździe swoim, w którym spędził życie, i zamknąć oczy przy córce (Elizce Komorowskiej) i synu, zamiast zginąć na tułaczce bezdomnej, z której dopiero co wrócił. Jeżeli umierasz, Ojcze, to zasypiasz w czas! Nie ujrzysz ruiny swojego dziedzictwa, nie będziesz już wydziedziczony za życia i rzucony, jak proletariusz, po

---

[76] „*Приезжайте отец серьезно болен*”(ros.) – Przyjeżdżajcie, ojciec ciężko chory.

konfiskacie Twego majątku w reformie agrarnej. Młodsze pokolenie, jeżeli to będzie konieczne, zniesie wszelki cios, ale Tobie cios ten byłby straszny.
Muszę śpieszyć. Ale jechać muszę nie wprost jeszcze do Bohdaniszek, lecz na Wilno. Byłem bowiem na wyjezdnym do Wilna, dokąd miałem jechać ze służącą Anusią Dyržisówną w sobotę. Teraz Anusia sama spakuje i powiezie w sobotę do Wilna moje rzeczy. Ale w Wilnie mieszkanie nasze jest na łasce Bastowskiej, która ma klucze i która Anusi z rzeczami nie wpuści. Muszę więc załatwić sprawę mieszkania w Wilnie. Jutro rano o ósmej jadę do Wilna. Może i mnie Bastowska będzie czynić przeszkody, to dam z nią radę, odwołam się do komendantury i klucze od niej odbiorę, a złożę je u szwajcarowej. Zawiadomiłem o tym Aniusę i wskazałem jej moje rzeczy, które ma, spakować i zabrać. Byłem też u prezesa Sądu Okręgowego Wileńskiego Kalnietisa i zawiadomiłem go o moim wyjeździe z powodu choroby Ojca, wobec czego nie stawię się na poniedziałek do Wilna (na poniedziałek Kalnietis zwołał pierwsze ogólne zebranie sądu w Wilnie). Ponieważ brakło mi pieniędzy, tym bardziej, że i Anusi zostawić coś muszę na podróż, więc pożyczyłem 500 marek u Grajewskiego. W Wilnie zabawię dzień jutrzejszy i, jeżeli tylko idą z Wilna pociągi na Święciany, Dukszty i Kałkuny, to pojadę do Bohdaniszek wprost tamtędy. Jeżeli nie idą, to pojadę na Koszedary i Radziwiliszki.

16 września, rok 1920, czwartek
Noc przespałem, nie rozbierając się, aby wcześnie się zerwać i podążyć zawczasu na dworzec, a zresztą pościel już zdjęta była z łóżka i złożona osobno w jeden kąt pokoju wraz ze wszystkimi rzeczami moimi, które w piątek w mojej nieobecności ma spakować do podróży Anusia. Źle mówię, że „noc przespałem". Wrażenie choroby Papy i ciągła myśl o Jego prawdopodobnej śmierci – może właśnie dlatego żyć jeszcze będzie długo! – odebrały mi sen. Przewracałem się z boku na bok, usiłowałem zasnąć – na próżno. Wstawałem, przechadzałem się po pokoju, zapalałem papierosa, znów się kładłem – zawsze bez skutku. Dopiero nad ranem ciężki sen mię zmorzył, ale rychło zbudził mię świt. Byłem zmęczony tą nocą, ale jasny słoneczny dzień, ciepły, jak prawdziwy dzień letni, nie jesienny, dodał mi życia. Poszedłem na dworzec kolejowy i o godz. 8 rano jużem jechał w kierunku na Wilno. Jechałem z p. Adolfową Grajewską, z młodym Oskarem Dowgiałłą, synem p. Dominika z Siesik, uczniem gimnazjalnym z Kowna, i z jego kolegą. W pociągu dużo też było innych osób znajomych: widziałem prezesa Trybunała Kriščiukajtisa, prokuratora Rymszę, mego towarzysza podróży kwietniowej z Wilna do Kowna – Bitowta z księgarni Zawadzkiego i wielu innych. Pociąg idzie dość szybko i akuratnie. Przystanek długi tylko w Koszedarach. Oto już Jewje – przekraczamy byłą linię demarkacyjną litewsko-polską, oto Landwarów, oto most na rzeczce Wace, niszczony bodaj za każdą zmianą władców, uciekających kolejno przed przeciwnikiem i w swej obecnej postaci drewnianej zbudowany w lipcu forsownie, ale mocno, przez bolszewików, oto tunel wileński, oto wreszcie – Wilno. Jestem w nim wreszcie, tym razem w Wilnie litewskim i tym razem już na pobyt stały, gdzie obiecuję sobie pracę usilną, zarówno sądową, jak nie mniej społeczną i polityczną, może czasami trudną i narażającą na różne przykrości, ale wierzę, że wdzięczną, do której chęć mam. W roku 1915 wyjechałem z Wilna do Polski, dziś wracam doń po pięciu leciech przez Kowno, z Litwą i dla Litwy.
Wrażenie Wilna z ulic – niezwykłe. Nie jest to ani Wilno przedwojenne, spokojne i pełne swoistego życia, ani Wilno nerwowe z pierwszych czasów rosyjskich wojny, ani Wilno okupacji niemieckiej, przepojone twardym militaryzmem niemieckim z góry, a zgnębione i szeptem żyjące u dołu, ani Wilno rozchwiane, chaotyczne, jakim je widział w końcu roku 1918 przed kresem okupacji niemieckiej i przed bolszewików pierwszym

wkroczeniem, Wilno spekulujące na gwałt i zarazem gotujące się bezładnie, bez własnej jednolitej myśli wyrazistej, do nieznanych przeczuwanych zmian i nowin, ani Wilno polskie bądź z kwietnia roku 1919, gdym je widział w dniach pierwszych wrażeń wyzwolenia od bolszewików i potem paniki przed ich powrotem, gdy pod murami miasta i na jego przedmieściach oddziały polskie odpierały nasuwające się mrowie Trockiego, bądź z kwietnia roku 1920, w pełni chwały i dumy panowania polskiego, rozświątecznione, rozchorągwione, gwarem Babilonu tętniące. Jest to dziś Wilno inne całkiem. Nie widziałem tylko Wilna bolszewickiego, poza tym, wszystkie jego oblicza w tych latach wojny żem oglądał. Wilno obecnie jest zmartwiałe, bierne, znękane. Przede wszystkim, uderza brak widoku inteligentów i jakiegokolwiek elementu zamożniejszego. Wilno dzisiejsze stało się miastem ludowym, miastem pospólstwa miejskiego. Na ulicach tylko najnędzniejszy tłum, bo cała niemal inteligencja uciekła z Polakami. Ruch na ulicach słaby i prawie wyłącznie pieszy, nie tak już zupełnie martwy, jak opowiadano w Kownie. W każdym razie, apatia duża i przygnębienie w masach, ciężko zwłaszcza bezrobociem dotkniętych. Cisza w mieście ogromna. Kawiarnie puste, restauracji prawie nie ma. Wojska litewskiego prawie że nie widać, z rzadka się spotyka inteligentów Litwinów, którzy dopiero, jako pierwsi zwiastuni Litwy, zaczynają myszkować po mieście, poszukując sobie mieszkań i gotując się do rychłego napływu masowego do Wilna z Kowna wraz z instytucjami centralnymi państwowymi, które wkrótce mają już tu zjechać. Masy są trawione tęsknotą do Polaków, którzy tu sypali pieniędzmi, czynili ruch, a więc łatwość zarobków, posad, przywożenie z Polski produktów. Bezrobocie i zastój materialny Wilna źle usposabiają tu lud do Litwy. Im prędzej tu zjadą instytucje centralne i wzmoże się ruch – tym lepsze widoki na poprawę sytuacji. Wilno przede wszystkim musi się spoić żywym układem stosunków z Litwą, ruchem. Przypuszczam też, że w środowisku wileńskim Litwini ulegać zaczną lepszemu uświadomieniu sobie czynników językowych i narodowych tutaj, które muszą być uwzględniane, jeżeli Wilno i Litwa wschodnia ma być wciągnięte w państwo.
Widziałem się też oczywiście z Ludwikiem Abramowiczem, Helą Ochenkowską i kilku innymi osobami, które spotkałem.

17 września, rok 1920, piątek
Noc spędziłem w mieszkaniu naszym na Ofiarnej. Bastowska wobec mnie nie odważyła się wszczynać żadnych kwestii i na żądanie moje wczoraj rano od razu bez zastrzeżeń doręczyła mi klucze od mieszkania, które dziś po zamknięciu złożyłem u szwejcarowej dla wręczenia Anusi, która przyjedzie w sobotę z moimi rzeczami. Być może Anusia, która się z Bastowską kłóci, przesadziła mi, opowiadając o kradzieżach i o opozycji Bastowskiej przeciwko mnie. Swoją drogą, są poszlaki, że Bastowska pewne nadużycia poczyniła, bo na to zwracały też moją uwagę i szwajcarowa, i służąca Stasia Wołodkowicza – Domicela. Baby te się cieszą z mojego przyjazdu. Wypadnie mi tu, zdaje się, nie tylko uporządkować mieszkanie, rozejrzeć się w meblach i rzeczach, zająć się też likwidacją ogrodów Maryni, ale także zająć się i kierownictwem ogólnym w administracji bezpańskiego domu Stasia Wołodkowicza. Ale to wszystko muszę odłożyć na czas inny, bo tymczasem muszę śpieszyć niezwłocznie do chorego Papy. Wstałem raniutko i pośpieszyłem na dworzec kolejowy. Jadę na Kałkuny, po raz pierwszy tą drogą od roku 1915. Publiczności cywilnej w tym kierunku jeździ jeszcze mało. Trochę jest jadących do Wilejki, do Święcian, do Dukszt. Ludność tej części kraju, choć bardziej litewska, niż w kierunku Lidy lub Mołodeczna, jeszcze się z nową sytuacją nie oswoiła. Po długich, przeszło rok trwających rządach polskich, które były tak pewne siebie, że głosiły powszechnie o trwałości swojej i zdawały się już być

niewzruszone, potem, po nagłej fali inwazji bolszewickiej, która tu zresztą trwała krótko, ludność jest nastraszona, zdezorientowana, niepewna każdego „dziś" i nieufna w jutro. Woli siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, pokazywać się i ruszać jak najmniej, a zresztą jest i gospodarczo osłabiona. Toteż wśród podróżnych cywilnych przeważający tacy, którzy tylko korzystają z tej komunikacji, jadąc na Ucianę lub Poniewież, albo tak zwani „Amerykanie", powracający do kraju zza morza. Podróżnych z miejscowej ludności prawie nie ma. Okazy ludności miejscowej oglądać można tutaj prawie wyłącznie wśród gapiów na stacjach. Jedzie też trochę żołnierzy, ale też niedużo, bo siły wojskowe litewskie, na ogół nieliczne, zgromadzone są bądź na froncie polskim w Suwalszczyźnie, bądź pod Grodnem, ewentualnie w kierunku Lidy. Pociąg wyrusza. Oto stacja Wilejka. Na stacji tej, cichej i ospałej obecnie, jak wszystkie na tej linii, dominuje język polski; język litewski tylko bardzo dorywczo się słyszy i przeważnie tylko łamany w ustach służby kolejowej, która zresztą ciszej rozmawia po polsku. Dalej – tak znajoma i miła wspomnieniami droga, jeszcze ciekawsza teraz, bo uzupełniona rozmaitymi wypadkami wojny. Oto Bezdany, pamiętne sławnym w roku 1907 czy 1908 napadem zbrojnym bojówki P.P.S., kierowanej przez Józefa Piłsudskiego, oto przecinamy Wilię między Bezdanami a Podbrodziem, oto rzeka Żejmianka wije się wzdłuż toru kolejowego aż do Święcian, oto Podbrodzie, znane przed wojną z całego gniazda letnisk żydowskich w lasku sosnowym, oto między Podbrodziem a Święcianami duże jałowe piaski szczerożółte albo siwym podleśnym mchem porosłe – to okolice majątku Zułowa, kolebki wielkiego Naczelnika Polski, Józefa Piłsudkiego. Stacja Święciany, ewentualnie Nowo-Święciany albo Święcianka, po litewsku, jak opiewa szyld – Švenčionelis. Tu już i odtąd dalej nie tylko w wagonach, ale i na stacjach zdobywa przewagę wyraźną język i element litewski. Czujemy się już w Litwie zupełnej, w kraju narodowo niewątpliwym. Za Święcianami, które zamykają nadwilejski teren piaszczysto-sosnowy, wjeżdżamy w krainę jezior. Ignalino, Dukszty. Zbliżamy się do linii wielkiego frontu Hindenburga, który tu przez lat trzy dzielił okupację niemiecką od Rosji i trzymał w nieustającym napięciu i ogniu śmiertelnym dwa wrogie światy. Wielki front Hindenburga z Wielkiej Wojny! Przed Turmontem wojenna stacja niemieckiej linii – Czarny Bród. Tu była wielka osada wojenna, ośrodek gospodarczo-komunikacyjny prawego skrzydła odcinka dyneburskiego. Stąd rozbiegają się rowy rezerwy, rowy łącznikowe, ziemianki, zamaskowane siedziby itd. Coraz częściej całe łąki zorane jamami pocisków granatów, napełnionymi wodą, wyrwy, druty kolczaste, zasieki, ruiny jakichś dworków i folwarków przedwojennych, wreszcie linia czołowa niemiecka, znaczona okruchami cementu, przedpole, linia czołowa rosyjska, urządzenia rezerw i urządzenia liniowe pomocniczych linii rosyjskich itd. w kierunku odwrotnym, to znaczy od czoła do tyłów, tylko ze słabszym o wiele, niż u Niemców, rozwojem kolejek polowych. Stacja Turmont jest przed samymi liniami czołowymi po stronie niemieckiej. Jedziemy dalej. Za Turmontem pod Kałkunami tor kolejowy wkracza na terytorium, zajęte przez Łotwę. Kałkuny – dziś stacja łotewska. Stajemy na chwilę, ale pasażerom tranzytu litewskiego nie wolno wysiadać z wagonów. Tylko przez okna przyglądamy się Kałkunom łotewskim, żołnierzom z łotewskim słońcem wschodzącym na czapkach, z przeciwnych okien wagonu rzucam okiem na perspektywę pobliskiego Dyneburga. Przejeżdżamy Kałkuny, wjeżdżamy znów na terytorium litewskie, w połowie drogi między Kałkunami a Jodłówką przecinamy powtórnie linię Hindenburga, która w lesie poza wszystkim innym znaczona jest także ruiną drzew, skoszonych artylerią na różnych wysokościach. O godz. 6 wieczorem przyjeżdżamy do Jodłówki. Tu się dowiaduję, że pociąg na Rakiszki idzie o drugiej po północy.

18 września, rok 1920, sobota
Gdy dawniej, jadąc z Wilna, trzeba było wysiadywać w Kałkunach czekając na zmianę pociągu, to teraz wysiadywać trzeba w Jodłówce. Dawny budynek stacyjny w Jodłówce spalony, zamiast jego jest domek drewniany, w którym jeden pokój przeznaczony na poczekalnię. Tu się przy obecnym rozkładzie pociągów spędza czas, jadąc z Wilna, osiem godzin, od szóstej wieczorem do drugiej w nocy. Mała poczekalnia przepełniona ludźmi. Większość ogromną stanowią żołnierze, poza tym kilku reemigrantów, wracających z Rosji do kraju, i kilka zwykłych podróżnych cywilnych. Jodłówka w czasie tej wojny po kilkakroć grała rolę osady wybitnie wojennej i stacji liniowej. Była nią w czasie wojny niemiecko-rosyjskiej od r. 1915 do 1918, jako ostatnia stacja kolejowa pod linią Hindenburga, potem w r. 1919 ostatnią stacją frontową linii wojennej litewsko-bolszewickiej, następnie linii demarkacyjnej litewsko-polskiej, obecnie – litewsko-łotewskiej. Toteż Jodłówka stała się i jest dziś ośrodkiem koncentracyjnym wojska litewskiego. Żołnierz litewski, gdy się z nim styka, czyni jednak wrażenie dodatnie; zachowuje się grzecznie, jest spokojny i umiarkowany.
O godz. 2 w nocy pociąg na Radziwiliszki odszedł z Jodłówki. Po godz. 3 byłem już w Rakiszkach. Zastałem tam na stacji furmana z Bohdaniszek, Łasińskiego, który odwiózł na kolej doktora Fronckiewicza, sprowadzonego z Kupiszek do Papy. Od Łasińskiego w drodze dowiedziałem się, że Papa żyje, że jest wszakże chory bardzo i z powodu wybrzękłych nóg pozbawiony władzy. W Bohdaniszkach zastałem Elizkę Komorowską, która od środy czuwa nad Papą, i Zitkę. Jest też nasz stary lokaj, Kazimierz Jankowski, który, za zgodą Papy, powrócił i pomaga Elizce w czuwaniu nad Papą oraz w usłudze. Stan Papy jest bardzo ciężki. W sobotę ubiegłą Papa, który wtedy jeszcze chodził, był w Rakiszkach u doktora Kozłowskiego. Kozłowski stwierdził, że stan serca Papy jest fatalny; na skutek słabej działalności serca brzękną nogi. Kazał Papie leżeć, zapisał środki, działające pobudzająco na serce, jak kofeina i strofand. W poniedziałek Papa się położył, w nocy z poniedziałku na wtorek stracił władzę w nogach. Od środy jest Elizka. Wczoraj był doktor z Kupiszek, był też ksiądz z Najświętszymi Sakramentami. Nadziei na wyzdrowienie Papy – nie ma. Stan jest śmiertelny. Dzięki środkom, podniecającym działalność serca, Papa jest trochę rzeźwiejszy i mniej senny, niż przed kilku dniami. Dzięki też temu, że leży z nogami trochę wzniesionymi do góry, obrzękłość nóg, które były jak olbrzymie kłody, i już zaczynały ociekać wodą, sączącą się przez skórę, spadła, ale w istocie nie polepsza to już stanu, bo woda z krwią, spływając z nóg, ścieka w plecy i wypełnia płuca, w których się wytwarzać musi stan zapalny. Zamierająca działalność serca i zapalenie płuc są z konieczności śmiertelne. Może Papa pożyć kilka dni, może nawet tydzień i więcej. Ale nadziei na wyzdrowienie nie ma. Papa ma trochę gorączki, ale poznaje wszystkich. Gdy mu powiedziano rano, żem przyjechał, uśmiechnął się. Leży w pokoju gościnnym na dole, dawniejszym sypialnym Rodziców, na sofie dużej salonowej, nie na łóżku. Rano był przytomny, wieczorem już bredził w malignie, chciał gdzieś jechać, kazał się ubierać, słyszał jakieś strzały, majaczył. Zawsze ma instynkt despotyzmu, nie prosi, lecz każe, gniewa się, próbuje nawet bić. Mówi prawie ciągle, ale bardzo niewyraźnie, głos ma zmieniony, twarz żółtą, oczy śmiertelne, rysy twarzy zaostrzone. Biedny nasz Papa. Myśli, że wyzdrowieje, snuje jeszcze czasem projekty na przyszłość, ale już coraz częściej wspomina o śmierci. O Hektorze przestał mówić, może przez wzgląd na Elizkę, a może już z osłabienia myśli.

19 września, rok 1920, niedziela
Stan zdrowia Papy pogorszył się. Słabszy jest Papa, niż był wczoraj, bardziej senny. O ile nie drzemie – majaczy, mrucząc coś urywanymi słowami. Rano mówił coś o mszy

jakiejś, która ma się odprawiać w wielkim pokoju, posłał Kazimierza, żeby kazał Kligysowi „dzwonić” na mszę, to znowu przez czas jakiś pod wieczór mówił tylko po rosyjsku i po francusku albo innym razem kazał palić w piecach w pokojach wielkim i jadalnym i posłał Elizkę i Kazimierza, aby to natychmiast uczynili. Chwilami oddech Papy stawał się ciężki, puls w ogóle był dziś słaby i przerywany, co do temperatury, to rano ona była niższa, niż wczoraj, wieczorem odrobineczkę się podniosła. Elizka była tak słabością Papy przejęta, że rano oświadczyła, iż Papa nie przeżyje dnia jutrzejszego. Piotr Rosen, który dziś z Gaczan przyjeżdżał i który się zna trochę na wyglądzie chorych, bo sam przez wiele lat uprawiał leczenie ludzi, twierdził, że katastrofa może nastąpić nawet za kilka godzin. Pozawczoraj Papa miał 39° gorączki, wczoraj przez cały dzień 38,2°, dziś już tylko 37,8°. Rosen powiada, że gdy temperatura spadnie niżej 37° i gdy obrzękłość nóg zupełnie minie, to się zacznie agonia. Tymczasem Papa pod wieczór się znowu ożywił i był silniejszy. Zaczął mówić przytomniej, odzyskał apetyt. Jakszuk twierdzi, że Papa jest jeszcze tak silny, że jeszcze tygodniami żyć będzie. Rzeczywiście w rękach ma Papa jeszcze dużo siły i głos ma jeszcze także mocny, gdy chrząka, kaszle lub gdy się zniecierpliwi. Na ogół Papa zachował jeszcze moc reagowania na bodźce umysłowe: gdy jest sam jeden lub gdy się nikt do niego nie odzywa, to majaczy, plecie coś i drzemie, gdy jednak o coś Papę spytać, to odzyskuje przytomność, oczy się ożywiają i odpowiada do rzeczy. Do mnie bezpośrednio Papa nie przemawia nigdy, ale patrzy nieraz na mnie i cieszy się z mojej obecności; w ogóle jest na mnie w ostatnich czasach łaskaw. Mówił do Elizki, że przyjechałem dlatego, że mi Papa przyjechać kazał i że jestem „posłuszny”, a choć mam inne, niż Papa przekonania, to jednak jestem człowiekiem zacnym i czuję w Papie ojca, a Papa we mnie – syna. Dzięki Bogu, że choć przed śmiercią nasz rozbrat z Papą przeminął i że poczucie związku krwi, a stąd i związku psychicznego wzięło przewagę nad dzielącymi nas kierunkami naszych przekonań. Papa na łożu śmiertelnym jakby się oczyścił z tych zboczeń zdziecinniałości, które go w ostatnich czasach spaczały, i wracać zaczął do swych cech elementarnych, stając się podobniejszym do siebie takiego, jakim był za lat dawnych. Smutną jest ta walka resztek życia starca ze śmiercią. Oto dogorywa Papa w swym domu, w którym spędził życie, oto z jednego z pokojów słychać jego głos urywany lub oddech chrapliwy, w którym dogasa życie, które wypełniało przez lat tyle ten dom. W oczach wyobraźni mojej powstaje i żyje w różnych epizodach we wnętrzu tego domu postać Papy z lat przeszłych, z lat dzieciństwa mego, z całego pasma życia przez lat trzydzieści; oto my, dzieci, oto Mama, oto cała nasze życie rodzinne w Bohdaniszkach się budzi w pamięci, oto On, Papa, jak dziś w pamięci żywy, młody jeszcze, w pełni sił lat 40, 45, potem w wieku 50, 60, coraz starszy, potem aż do lat ostatnich. Dziś człowiek ten, nasz Ojciec, schodzi ze sceny życia, umiera w tym domu, gdzie życie jego splatało się z całym biegiem i kształtowaniem się naszego w rodzinie życia. Tak mijają pokolenia i schodzą ludzie, aby świat biegł naprzód! Dziś umiera Papa, jutro umierać będziemy z kolei i my.

20 września, rok 1920, poniedziałek
Dziś Papa ma się lepiej. Nie był już Papa tak senny, nie majaczył tak, jak poprzednich dni, gorączka, która rano jeszcze była większa, niż wczoraj, po południu spadła do 37°, apetyt też był wcale dobry, oddech równiejszy, mowa wyraźniejsza. Łatwiej się też dziś Papa daje podnosić, ujawniając sam więcej sprężystości przy podnoszeniu, oczywiście tylko w górnej części ciała, bo nogi są zupełnie bezwładne. Ale stan nóg jest także lepszy. Czuje Papa w nogach swędzenie i kazał się Kazimierzowi skrobać; przy skrobaniu, nawet bardzo długim i dość mocnym, nie skarżył się na ból, mimo że poprzednio lewa noga była tak zbolała, że nie można się było do niej dotknąć. Ja się na

stanie chorych nie znam dobrze, ale Elizka, która ma doświadczenie, twierdzi dziś, że polepszenie jest bardzo znaczne, i coraz bardziej podziela wczorajsze zdanie Jakszuka, że Papa tym razem jeszcze wyżyje, choć już chyba władzy w nogach nie odzyszcze. Pomimo tych oznak polepszenia i pomimo Elizki wniosków, osobiście nie mogę się oprzeć przekonaniu, że jednak są to iluzje i że ratunku dla Papy nie ma. Wobec tego, jak lekarze kwalifikowali stan Papy, wyzdrowienie, a choćby tylko czasowe przedłużenie życia i uniknięcie śmierci w bezpośrednim skutku obecnej choroby byłoby chyba jakimś nieprawdopodobnym cudem. Zobaczymy, co się okaże w dniach najbliższych. Że jednak siły Papy dziś wzrosły, to fakt. Również faktem, niewątpliwie jednak przykrym, jest to, że jak tylko Papie sił przybywa, wnet staje się drapieżniejszym i złośliwszym. Nie tylko że nie ma dla nikogo słów serdecznych i uczuć wdzięcznych, ale przeciwnie – każdemu znajdzie coś przykrego i bolesnego do powiedzenia, każdego ukole w najdotkliwszym punkcie. Staje się znowu tyranem brutalnym, samolubnym, depczącym wszystkich i wszystko bezwzględnie. Elizka jest dziś tak znowu zrażona do Papy, że nie posiada się z oburzenia i cały jej żal i współczucie poprzednie znów prysły. Tylko dla mnie jest Papa tym razem jakoś nadspodziewanie łaskaw. Dziś wezwał mię do siebie i przez czas długi trzymał przy łóżku, udzielając mi różnych wyjaśnień i wskazówek o długach swoich z ostatniej podróży. O długach tych Papa ciągle myśli i ma je na sercu. Pod tym względem jest Papa niezmiernie skrupulatny i instynktownie uczciwy do pedanterii. Suma długów, zaciągniętych przez Papę, wynosi coś około 8000 marek polskich (niespełna 2000 marek litewskich), co jest niesłychanie mało wobec tego, że przez cztery miesiące siedział bez pieniędzy.
Elizka postanowiła sprowadzić jutro doktora Kozłowskiego z Rakiszek, aby ten dał swoją opinię w sprawie polepszenia zdrowia Papy i orzekł o dalszych metodach leczenia, bo ewentualnie, jeżeli to jest istotnie polepszenie, dalsze stosowanie tak ostrych środków, jak teraz, będzie bezcelowe, a nawet stałoby się szkodliwe. Jeżeli doktor Kozłowski stwierdzi rzeczywiście polepszenie, to Elizka z Zitką wyjedzie pojutrze z Bohdaniszek, pozostawiając Papę opiece Kazimierza, Jakszuka i mojej. Ale jeżeli to będzie istotne polepszenie, to niebawem i ja będę musiał wracać do Wilna.
Z Jakszukiem omówiłem dziś szczegółowe bieżące kwestie administracji Bohdaniszek, uiszczenia podatków, wyprzedaży lasu z działek staczeraskich itd. oraz poruszyłem projekt wydzierżawienia mu Bohdaniszek na rok 1921. Czy Papa umrze, czy żyć będzie – faktyczne decyzje odtąd muszą już należeć do mnie, niezależnie nawet od woli Papy.

21 września, rok 1920, wtorek
Był sprowadzony z Rakiszek doktor Kozłowski. Stwierdził, że rzeczywiście polepszenie w stanie zdrowia Papy jest bardzo znaczne. Serce jest obecnie w stanie b. dobrym, funkcjonuje regularnie; w płucach także nic groźnego nie ma. Gorączki nie ma. Doktor suponuje teraz, że rzeczywiście choroba Papy mogła być wywołana przejedzeniem i komplikacjami żołądkowymi, bo Papa po powrocie ze swej tułaczki zjadał niesłychane ilości pokarmów, co musiało przeładować żołądek, osłabiony poprzednio niedojadaniem. Niedyspozycja żołądkowa mogła osłabić działanie serca, co spowodowało natychmiast zwiększenie puchliny nóg, a stąd całą chorobę. Jeżeli tylko działalność serca została teraz przywrócona, to woda, która spłynęła z nóg do pleców, zostanie przez organizm przefiltrowana i rozejdzie się w normalnym krążeniu krwi, a wtedy, jak powiada doktor, Papa może jeszcze wyzdrowieć, po paru tygodniach odzyszcze władzę w nogach, będzie mógł chodzić i może żyć jeszcze lat parę. Ale doktor zastrzega się, że jest to tylko hipoteza, bo również możliwym jest, że jest to tylko pozorne polepszenie, które często poprzedza kryzys śmiertelny. Jeżeli polepszenie działalności serca jest tylko chwilowym skutkiem zastosowanym ostrych środków

podniecających i jeżeli choroba nie została w istocie zwalczona, to w ciągu kilku dni można oczekiwać reakcji i kryzysu, który sprowadzi śmierć. Doktor liczy się bardzo poważnie z prawdopodobieństwem takiego kryzysu. Jeżeli za jakichś 4-5-6 dni kryzys taki nie nastąpi, czego oznaką stałoby się ponowne brzęknięcie nóg, i jeżeli po upływie tego czasu polepszenie będzie trwało, to można będzie uważać, że niebezpieczeństwo minęło. W dalszym ciągu zapisał doktor strophand i kofeinę oraz wezonal na sen, bo Papa nocami w ostatnich dniach nie śpi, co go osłabia i denerwuje, a zarazem jest oczywiście ciężkie dla czuwającego nad Papą Kazimierza.
Wobec takiej diagnozy doktora Elizka z Zitką odjechała dziś do Kowaliszek. Biedna Elizka, która tyle troskliwości i opieki serdecznej dała Papie w tej jego chorobie, wyjeżdżała rozżalona i pod przykrym wrażeniem, bo nie doznała od Papy żadnej wdzięczności, żadnego niemal odruchu serca, a za to ileż brutalności i przykrego traktowania jej! Doprawdy Papa, który ma kaprysy i dziwactwa po Römerach, ma też samolubstwo bez granic, brutalność i obojętność dla dzieci i ludzi bliskich – po swojej matce, z domu Kobylińskiej. Jak matka Papy, babunia Witalia, porzuciła swoje dzieci niemowlętami po śmierci dziada Michała Römera, nie troszczyła się nigdy o nich, nie miała dla nich serca ani dobrego słowa, a żądała od nich zawsze wszelkich dla niej świadczeń i obowiązków, gdy jej było czegoś potrzeba, do tego stopnia, że nie tylko odebrała z funduszu swych dzieci swój posag i oprócz tego stale pobierała od nich alimenty na utrzymanie i wyciągała, co mogła, ale wreszcie zaskarżyła Papę nawet sądownie o alimenty, tak Papa nie poczuwa się też do żadnych względem nas obowiązków, nie troszczy się o nas wcale, uważa natomiast wszelkie świadczenia serca z naszej strony za jakiś nasz psi obowiązek, nie zaboli mu nigdy serce o nasz los, a potrafi nas tylko maltretować zawsze i w oczy, i za oczami. Jeżeli cokolwiek doświadczyliśmy dobrego od Papy, to zawdzięczamy tylko Mamie. Ona nas kochała i naszym życiem żyła, ona poświęceniem i ofiarą swego życia utrzymała więź rodzinną i ognisko domowe, zdobywając wszelkimi środkami przewagę nad Papą i wywalczając na nim wszystko, co było dla dzieci potrzeba, a Papa uganiał się za kochankami, romansował z nauczycielkami, deptał rodzinę, dręczył Mamę, choć się Jej bał, jak się boi i w jarzmie chodzi umysł niższy wobec wyższego, a po śmierci Mamy nie zatroszczył się nigdy, nie okazał pomocy, nie przygarnął żadnego z dzieci, gdy któremuś było ciężko. Gdy ja byłem w Szczypiornie, sprzeciwił się powrotowi memu do Bohdaniszek, choć sprzeciw ten mógł mię w obozie jeńców zatrzymać, gdyby nie poczciwe wstawiennictwo ludzi obcych, jak Józef Pomorski i Eustachy Sapieha; choć Maryni było za okupacji niemieckiej ciężko z dziećmi w Wilnie i choć musiała o własnych siłach się borykać, by zdobyć kawałek chleba i kontynuować wychowanie dzieci, Papa, siedząc sam jeden na Bohdaniszkach, nie przygarnął jej, nie dopomógł, choć i sam miałby z niej pomoc i opiekę. To samo z Kotunią, z Elwirą, gdy bolszewizm wyrwał im grunt i byt materialny spod stóp. Gdyby żyła Mama – Bohdaniszki byłyby dziś rojne i zagospodarowane. Czyżby Mama dopuściła do tego, żeby Kotunia i Elwira tułały się po obcych kątach bezdomne, gdy mają w Bohdaniszkach dom rodzicielski, lub żeby Maryńka przez cały czas wojny siedziała w Wilnie i walczyła z trudnościami bytu materialnego na kawałek chleba dla siebie i dla dziatek i na naukę dla nich, zamiast osiąść w Bohdaniszkach u Rodziców, mieć chleb zapewniony i pracę na własnym? Toteż ze śmiercią Mamy Bohdaniszki opustoszały i z gniazda rodzinnego stały się samotnią Papy, który wreszcie sam tę swoją samotnię znienawidził.

22 września, rok 1920, środa

Stan Papy jest taki sam. Apetyt wzrasta, głos mocniejszy, śpi Papa we dnie dużo, a za to w nocy nie śpi i nie daje spać Kazimierzowi. Dziś w nocy Kazimierz dał już Papie weronalu na sen.
Dzień mi schodzi w Bohdaniszkach okropnie monotonnie. Śpię długo, bo choć wstaję wcześnie, ale też wcześnie kładę się spać z wieczora. Czytam, piszę listy, dziennik, omawiam z Jakszukiem sprawy zarządu Bohdaniszek, trochę się idę przejść, jem obiad i kolację, do Papy zaglądam rzadko, bo zresztą Papa nie lubi ciągłego siedzenia przy nim, bo go to męczy. Kazimierza się Papa nie krępuje wcale i uważa go niemal za takiż sprzęt, jak mebel, jak coś, co istnieje tylko dla wygody Papy, natomiast obecność moja wymaga ze strony Papy pewnego wysiłku. Nie wiem, co to jest i skąd się to u Papy wzięło, że teraz mię szczególnie pokochał i że jest serdeczniejszy dla mnie, niż był kiedykolwiek, o ile zresztą w ogóle jest Papa zdolny do uczuć miększych i serdeczniejszych; zdolność ta jest u Papy bardzo niska i oczywiście tylko w zakresie tejże, jeśli można mówić, swej wdzięczności dla mnie. Na ogół Papa rano bywa złośliwy i popędliwszy, a za to wieczorem, szczególnie gdy jest senny, mięknie i miewa nawet odruchy rzewne i łagodne, co w naturze Papy jest czymś bardzo rzadkim. Zwykle rano i we dnie ma mi coś przykrego do powiedzenia i oprócz tego dość często mię wzywa dla wydania jakichś drobnych rozkazów w rodzaju przyniesienia czegoś z którejś z szaf itp. Zresztą nawet w mówieniu mi rzeczy przykrych, gdy jest w złym humorze i byle o co się niecierpliwi, jest względny. Dla Elizki był o wiele gorszy, niż dla mnie, bo nie może zapomnieć swojej nienawiści do Hektora i mimo woli ma stąd żal i do Elizki, jako Hektora matki, którą uważa w pewnym stopniu za wspólniczkę syna. Wczoraj, po wyjeździe Elizki, Papa mię przywołał, by ze mną wypić we dwoje szampana; jest to dowód wielkiej łaski, bo szampan z resztek zapasów piwnicy bohdaniskiej jest już nektarem w każdej kropli cennym i Papa pije go tylko na łyżki z tytułu choroby. Ale wczoraj zechciał nagle, abym z Papą wychylił po kielichu. Nalałem sobie tylko na dnie szklanki, Papie zaś nalałem cały kielich. Spytał, czego mi życzyć, a gdym powiedział, że życzyć trzeba, abym się doczekał pociechy z mej córki, Papa chciał wznieść toast na rzecz śmierci mojej małżonki Reginy, której nienawidzi, przeciwko czemu zaprotestowałem. Bardzo często mię też Papa żegna znakiem krzyża i błogosławi. Dziś, gdym o godz. 7 wieczorem zaszedł do Papy, ucieszył się, uścisnął, przytulił twarz moją do swojej, szepnął, że w tej chorobie pokochał mię bardziej, niż kiedykolwiek, potem błogosławił, kazał usiąść przy sobie, ale też wnet zasnął.
Zabawię w Bohdaniszkach jeszcze dni kilka. Zamierzam wyjechać w niedzielę wieczorem. Jestem przekonany, że na razie komplikacji żadnych ze stanem zdrowia Papy nie będzie. Napisałem dziś list do Maryni, opisując jej chorobę Papy i radząc, by przyjechała i osiadła w Bohdaniszkach. Byłoby to bardzo pożądane i dla Bohdaniszek, i dla Papy, i bodaj że dla niej samej zamiast się tułać bezdomnie po świecie i zarabiać na chleb nędzną i martwą pracą jakiejś kancelistki. Jeżeli wszakże Marynia nie wybiła sobie z głowy swego majora, to zapewne przyjeżdżać i osiadać tutaj nie zechce.

23 września, rok 1920, czwartek
Dziś po obiedzie jeździłem do Miczun, wsi, położonej w gminie i parafii krewieńskiej za dworem Pokrewniem i wsią Bojarami, na wzgórzach, przeciwległych bohdaniskim po przeciwnej stronie szerokiej doliny rzeki Krewny oraz bagien i nizin, ciągnących się długim pasmem od jezior abelskiego i antonoskiego do wielkiego jeziora Sorty. W Miczunach mieszka felczer Kliszonis, którego nam rekomendował doktor Kozłowski, gdybyśmy ewentualnie chcieli kogoś mieć do czuwania nad Papą. Jeździłem dowiedzieć się u Kliszonisa, czy by się nie zgodził za pewnym wynagrodzeniem osiąść przy Papie na stałe w Bohdaniszkach, mogąc stąd jednocześnie zajmować się nadal

praktyką felczerską. Kliszonis jednak nie podjął się tego, bo jest gospodarzem i gospodarki swojej porzucić nie może. Nie ma rady – Papa, o ile tylko nie przejdzie, będzie musiał pozostać na wyłącznej opiece lokaja Kazimierza. Ani ja, ani Elizka stale zamieszkać przy Papie nie możemy. Opieka Kazimierza jest zresztą doskonała – lepszej niepodobna wymagać, jeno minusem pewnym jest to, że Papa z Kazimierzem się nie liczy, bo przywykł go uważać za sługę i rozkazywać mu, toteż, gdyby się poczuł silniejszym, to już by sam Kazimierz nie wystarczył na opanowanie Papy. Coraz bardziej jednak wątpię, aby Papa wrócił jeszcze choć do względnego zdrowia. Niby jest Papie lepiej, gorączki nie ma, apetyt, a nawet łakomstwo – jest, brzęknięcie nóg ustało, ale istotnego polepszenia, jakiegoś wyraźnego postępu – nie widzę. Osłabienie jest bardzo wielkie, słabość ciągła, głos słaby, mowa bardzo niewyraźna. Większą część dnia Papa śpi: sen ma, jak zawsze, bardzo czujny, budzi się za lada szmerem, woła wciąż Kazimierza, gdy ten na chwilę odejdzie, z osobami, które zaglądają do Papy, zaczyna o czymś rozmawiać, a raczej do nich mówić, coś żądać, coś rozkazywać lub za coś gderać, ale robi to urywanymi słowami, wymawianymi z wielkim trudem i po kilku zdaniach zasypia. Za to nocami prawie nie śpi, ale go wtedy nie widzę. Rano jest Papa zwykle złośliwy i niecierpliwy. Do mnie dziś ciągle się o coś czepiał i był niełaskaw. Wobec Kazimierza i Jakszuków wygaduje ciągle na Hektora Komorowskiego i przeklina go. Zapowiada, że go zaskarży do sądu, a plenipotencję do popierania oskarżenia wyda – Kazimierzowi i... Zybalisowi ze Staczerag. Wobec mnie Papa nie wspominał ani razu o Hektorze, zapewne dlatego, żem go usprawiedliwiał w Kownie, co się Papie nie podobało. Dziś w nocy Papa wreszcie znalazł słówko serdeczne dla Kazimierza. Uścisnął go, ucałował, podziękował za troskliwość, powiedział, że się przekonał o szczerości przywiązania Kazimierza, który wrócił do Papy dopatrywać go w chorobie, pomimo że Papa zawsze źle się o nim wyrażał i pomimo że się naraża na niewygodę, bo Papa mu się wyspać nie daje i Kazimierz musi sprzątać wszystko, wynosić gnój itd., co nie należy do rzeczy przyjemnych. Papa obiecuje wynagrodzić Kazimierza „po wyzdrowieniu” i zawieźć go do Torunia. Myśli więc o nowej podróży nie wyrzekł się Papa. Pomimo rzekomego polepszenia się stanu Papy, nie wróżę już Papie dłuższego życia.
Siedzę w Bohdaniszkach bez gazet, nie wiem, co się dzieje na świecie. Czy się zbliża pokój, jaki jest bieg konferencji w Kalwarii i w Rydze, jaka jest sytuacja na froncie wojennym polsko-bolszewickim?

24 września, rok 1920, piątek
Jeździłem dziś do Kowaliszek. Zabawiłem tam krótko; rano wyjechałem z Bohdaniszek, o zmroku – byłem już z powrotem. W drodze rozminąłem się z Julkiem Komorowskim, który dziś właśnie przyjeżdżał do Bohdaniszek po nowiny o Papie. O ile na Hektora jest Papa zagniewany i uważa go za sprawcę wszystkich nieszczęść swoich, a więc także i swojej choroby obecnej, a gdyby miał umrzeć – to i śmierci, o tyle na Julka, którego nie lubił dawniej, jest łaskaw bardzo.
Papy dziś prawie że nie widziałem, bo gdym wrócił, Papa już chciał spać. Rano był, jak zwykle, w usposobieniu złośliwym i dla mnie był przykry. Za to wieczorem, gdym wstąpił do Papy o godz. ósmej, był znowu bardzo czuły, błogosławił mię, wyrażał szczęście, że posiada we mnie syna, obejmował i przyciskał do łona.
Przykro mi, że muszę w tych dniach odjechać i znowu Papa zostanie w Bohdaniszkach samotny. Jeszcze prawdziwa łaska Opatrzności, że jest Kazimierz. Gdyby nie on, to doprawdy nie wiadomo byłoby, co robić. Wiem, że Papa będzie zmartwiony moim wyjazdem; zdaje się, że ani się domyśla tego; choć wie, że zajmuję posadę sędziego, ale zdaje się – nie zdaje sobie sprawy z tego, że obowiązek służbowy mógłby mię co do

pobytu w Bohdaniszkach krępować. Przykro mi tym bardziej odjeżdżać, że właśnie nadchodzi święty Michał – tradycyjne imieniny Papy. Ale trudno – nie mogę już przedłużać nadal mego pobytu. Muszę śpieszyć do Wilna. I tak już źle się stało, żem nie był w Wilnie w pierwszych dniach otwarcia sądu, kiedy będą ustalane najważniejsze kwestie organizacyjne, w szczególności w sprawie języka. Decyzje, które zapadną na początku, mogą mieć wielkie znaczenie, bądź dodatnie, bądź ujemne, zależnie od ich treści. Żałowałbym, gdyby mój głos na decyzjach tych nie zaważył. Chodzi zwłaszcza o zakres używalności języka polskiego w praktyce sądowej w Wilnie i szczególnie o dopuszczenie posługiwania się językami miejscowymi, poza litewskim, przez adwokaturę.
Sprawy zarządu Bohdaniszek i załatwienie różnych interesów bieżących poleciłem Jakszukowi podług moich wskazówek. Jeżeli tylko Papa nie wyzdrowieje o tyle, aby mógł chodzić i wtrącać się w interesy, to wszystko pójdzie znośnie. Jakszuk trochę się obłowi – bez tego się nie obejdzie, szczególnie z wyprzedaży detalicznej lasu w działkach dozwolonego cięcia, ale na ogół bieg spraw w Bohdaniszkach pójdzie, zdaje się, nieźle. Nadzieja objęcia dzierżawy Bohdaniszek na rok przyszły, czego Jakszuk bardzo pragnie, a do czego niewątpliwie dojdzie, o ile tylko Marynia nie zdecyduje się osiąść, podniecać będzie staranność Jakszuka. Obecność Kazimierza też będzie krępować Jakszuka w jego praktykach spekulacyjnych. Zboże i koniczyna nasienna będą młócone maszyną, co utrudni Jakszukowi nadużycia na ziarnie. Gorzej będzie, jeżeli Papa zechce i będzie miał możność wtrącania się dyspozycjami swymi w dyspozycje moje. Papa jest tak arbitralny, że przeciwstawić się sobie nie pozwoli. A miewa Papa pomysły najosobliwsze. Oto jednym z pomysłów Papy jest robienie różnych łask poszczególnym ludziom, a w szczególności rozdarowanie ziemi, co w Papy pojęciu miałoby zażegnać zastosowanie do Bohdaniszek wywłaszczeniowych norm reformy agrarnej. Tak na przykład po przyjeździe do Bohdaniszek Papa nagle razu pewnego kazał zawołać leśników Sadowskiego i Januszkiewicza i byłego kucharza bohdaniskiego Napoleona Merkisa i oświadczył im, że darowuje każdemu z nich po kawałku ziemi. Kiedy Napoleon służył w Bohdaniszkach, Papa go nie lubił i sam go wbrew woli Mamy, wydalił za pijaństwo. Za czasów bolszewickich w tych stronach w r. 1919 Napoleon służył w milicji bolszewickiej w Rakiszkach i należał nawet do komunistów. Potem był uciekł z bolszewikami i wrócił w roku bieżącym. Łaski pozyskał Napoleon u Papy dzięki temu, że gdy Papę bolszewicy, po złożeniu przez Elizkę kaucji, wypuścili w roku zeszłym z aresztu, to Napoleon, który stał przy areszcie na warcie, pocałował wychodzącego Papę w rękę, a potem spotkał Papę na gościńcu jadącego do Użpola, gdzie się miał ukryć, i nie zadenuncjował Papy. Oczywiście Papy obietnica darowania ziemi Napoleonowi i innym skutków mieć nie będzie, bo niepodobna traktować na serio tego rodzaju rozporządzenia chorego człowieka, ale wytwarza to niepotrzebny zamęt i ferment.

25 września, rok 1920, sobota
Wczoraj miałem w ręku pierwszą gazetę od tygodnia i oprócz tego dowiedziałem się w Kowaliszkach ostatnich nowin politycznych od Hektora. Dowiedziałem się więc, że rokowania litewsko-polskie w Kalwarii nie doprowadziły do bezpośredniego układu, bo Polska nie ustąpiła nic z kategorycznego żądania cofnięcia się Litwinów do linii Focha czy Curzona. Konferencja w Kalwarii rozbiła się, ale rozejm litewsko-polski podobno trwa i kwestie sporne mają być przekazane do decyzji czy to Ligi Narodów, czy też konferencji w Rydze. Podobno te rokowania w Rydze, które pierwotnie miały być tylko polsko-bolszewickie w sprawie pokoju, obecnie wykazują tendencję do przekształcenia się w wielką konferencję międzynarodową z udziałem mocarstw zachodnich i państw

bałtyckich do zasadniczej regulacji spraw wschodnich. W tym kierunku podobno czynią się przygotowania. W „Lietuvie” przeczytałem bardzo ciekawe *exposé* litewskiego ministra wojny w Sejmie. Bardzo ciekawie kreśli ono sytuację, z której się wyłonił konflikt zbrojny litewsko-polski. Chodziło tu o kwestię neutralności Litwy i o niebezpieczeństwo uczynienia z niej terenu wojny polsko-bolszewickiej. Polacy po swej kontrofensywie warszawskiej żądali ustąpienia przez Litwinów terenów po linię Focha czy Curzona w Suwalszczyźnie dla zajęcia tyłów bolszewikom w Grodnie i dla uderzenia na nich z Sejn przez Druskieniki-Orany-Olitę. Gdyby Litwini się na to zgodzili lub zachowali się biernie, to bolszewicy mieliby podstawę do pozostania względnie do ponownego zajęcia Wilna i znowu Litwa, przynajmniej wschodnia, a może i cała, stałaby się terenem wojny. Litwini, obstając przy swojej neutralności aż do czynnej obrony tejże, musieli stanowczo uczynić wszystko, żeby na terenach, uznawanych przez nich za ich państwowe albo tylko zajętych przez nich, nie mogło nic służyć względom strategicznym wojujących stron. Z jednej więc strony przynaglili bolszewików do ewakuacji Wilna, popierając argument żądań ultymatywnych za obsadzeniem wojskowym skrzydeł wileńskich w Landwarowie i Wilnie, z drugiej – uniemożliwili Polakom akcję sejneńską na Grodno przez przeciwstawienie się ich pochodowi do linii Focha. Zdaje się, że działanie litewskie rzeczywiście było mądre i zasadne, dyktowane realną obroną neutralności, która ustrzegła Litwę od stania się ofiarą wojny.
Dziś przed jutrzejszym wyjazdem – darowałem Kazimierzowi jedną ze świnek bohdaniskich i oprócz tego wyznaczyłem dlań w lesie staczeraskim 15 ładnych jodeł. Jest to nagroda Kazimierzowi za jego bezcenną dla nas usługę dozoru nad chorym Papą. Bez pomocy Kazimierza nie wiedzielibyśmy, co robić. Nikt inny nie zastąpiłby go przy Papie. Z Kazimierza jest idealny pielęgniarz, staranny, cierpliwy, miękki, a w dodatku znający Papę jak nikt inny, bo całe życie spędził na usługiwaniu Papie. Wieczorem sprawdziłem rachunki Jakszuka i wydałem mu dyspozycje administracyjne i rachunkowe na przyszłość.
Z Papą znalazłem doskonały sposób do upozorowania mojego jutrzejszego wyjazdu. Było mi bardzo przykro oznajmić Papie o moim wyjeździe, gdy On jest jeszcze chory. Nie wiedziałem, jak to zrobić. Sam Papa mi to ułatwił. Już poprzednio kilka razy Papa wspominał o tym, żebym jechał do Torunia itd. dla spłacenia długów Papy i przygotowania terenu dla ponownej podróży Papy tamże. Zbywałem to dotąd różnymi wymówkami. Tymczasem dziś, gdy Papa znów wspomniał o tym, udałem, że biorę to na serio i że jadę. Papa był ucieszony i zdaje się nie wątpi w to, że spełnię jego „rozkaz” i pojadę. Niech sobie myśli, że jadę do Torunia. Każe mi Papa jechać do Grodna, do Warszawy, do Torunia – płacić jego długi, zapowiadać rychły jego przyjazd itd. Przez cały dzień był dziś w fazie dyktowania mi różnych zleceń, odezw swoich itp. Ta przyszła wielka podróż Papy – nie tylko do Polski, ale i do Francji i Rzymu – jest Papy *idée fixe*. Ciągle o tym myśli i mówi, czekając wyzdrowienia. Drugą *idée fixe* Papy jest, że jest wielkim człowiekiem, powszechnie znanym, mocarzem wpływów, z którego głosem liczą się nawet narody. Uważa się za potentata myśli, za proroka i apostoła prawdy, za pasterza ludów, które zbaczają z dróg miłości chrześcijańskiej i którym Papa powołany jest wskazywać drogi właściwe. Zresztą kierują Papą nie osobiste pobudki ambicji lub pychy, lecz tęsknoty sprawiedliwości i szlachetnego pojednania ludów. Oto dosłowny tekst epistoły, którą mi dziś Papa podyktował, nakazując przesłać ją na konferencję w Rydze: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen. Między Polakami, Łotyszami i Litwinami proponuję pokój, a również między powyższymi narodami i Rosją Sowiecką. Ja, niżej podpisany, życzliwy dla was wszystkich, wstydzę się, że jesteśmy, jak dzikie zwierzęta – *homo homini lupus* – pełni nienawiści, zamiast zgody i

ducha braterstwa, który najpełniej rozplenił się między większością nas i bardzo jest rozpowszechniony. Jeszcze dziś w końcu wieku XX, pomimo tylu nawoływań mądrych ludzi, zamiast o ugodzie i pokoju – pięściami sobie grożą, jak wściekłe zwierzęta. Starają się być *homo homini lupus*. Jako starszy między wami, Römer z Bohdaniszek parafii Krewno powiatu rakiskiego, najstarszy z was wszystkich, proszę i błagam was na kolanach, bracia mili – uciszcie się. Amen".
Papa wierzy, że odezwa ta sprawi wielkie wrażenie i będzie miała wpływ. Jest dumny z jej tekstu, z jej mądrości, wzniosłej myśli, która łączy szlachetność z pokorą.

26 września, rok 1920, niedziela
Wyjeżdżam zaniepokojony o Papę bardziej, niż podczas dni ostatnich, bo uważam, że stan Papy jest niebezpieczny, a polepszenie było tylko pozornym. Dwie zwłaszcza oznaki mię szczególnie niepokoją: pierwsza ta, że głos Papy słabnie z dnia na dzień; nawet w pierwszych dwóch dniach po moim przyjeździe do Bohdaniszek, kiedy stan Papy uchodził za beznadziejny i kiedy liczono Papy życie na dnie albo na godziny, i głos, i energia Papy były bez żadnego porównania silniejsze; Papa nie tylko mówił, ale podnosił czasem głos aż do krzyku, a nawet chwilami próbował śpiewać; w ostatnich zaś dniach głos jego był coraz słabszy i mowa coraz mniej wyraźna; wreszcie dziś głos Papy niewiele się wznosił ponad szept, a czasem szept ten był zaledwie poruszaniem warg; widoczny też jest ciężki wysiłek mówienia; wraz z głosem upada energia; i dziwna rzecz – temu słabnięciu energii i głosu nie towarzyszy upadek sił i funkcji żywotnych organizmu fizycznego: bo choć Papa władzy w nogach nie odzyskał i już chyba nie odzyszcze, jednak apetyt ma bardzo dobry i żołądek doskonały. Druga oznaka, który mię niepokoić zaczyna, to że Papa coraz bardziej skarży się na ból w lewej nodze; poprzednio, gdy ta noga była zbrzękła, bolało Papę tylko dotknięcie jej powierzchowne; teraz boli ona sama przez się bez dotykania, ulgę zaś sprawia skrobanie jej lub nacieranie oliwą, o co Papa co chwila prosi Kazimierza. Mam przekonanie, że stan Papy nie stanowi polepszenia, jeno już będzie tylko stopniowym powolnym dogorywaniem. Najcięższym będzie dla biednego Papy, gdy straci władzę mówienia, zachowując jeszcze pewne resztki przytomności.
Ale nie mogę przedłużać tu bez końca mojego pobytu, gdy niebezpieczeństwo bezpośrednie Papie nie grozi. Obowiązki mego stanowiska służbowego nakazują mi powrót, tym bardziej, że urlopu formalnego nie mam. Mam przeczucie, że rychło zostanę znów wezwany do Bohdaniszek do Papy; wtedy już wezmę urlop formalny. Papa jest przekonany, że wyjeżdżam w podróż dla spłacenia długów Papy i poniekąd w charakterze zwiastuna rychłego zawitania Papy w te strony, to znaczy do Torunia, Warszawy itd. Bo Papa wierzy, że wyzdrowieje i jest święcie przekonany, że po wyzdrowieniu pojedzie znowu w świat. Dlatego też nie smuci się, lecz się cieszy z mojego wyjazdu i zdaje się – jest rozczulony tym, że tak gorliwie spełniam wolę Papy i zajmuję się Jego sprawami. Papa się tylko niepokoił, że ja wyjeżdżam, a Papa zostaje bez grosza i że jednocześnie kasa bohdaniska jest pusta. Aby Papie tego niepokoju oszczędzić, zapewniłem go, że podatki są opłacone, że pieniądze na opłatę długów Papy są i oprócz tego dałem Papie do rąk tę garść gotówki, która była w pugilaresie Papy i w kasie żelaznej jeszcze od czasu mego wyjazdu z Bohdaniszek w lipcu. Wynosi to razem 530 rubli carskich, w tej liczbie sporo pięciorublówek, które mają dziś minimalną wartość, i 68 marek litewskich. Papa już nie pamiętał, że przecie sam miał te pieniądze, i był niesłychanie ucieszony, gdym mu je dał. Cieszył się jak dziecko z posiadania pieniędzy, jak dziecko, bo nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, że te setki, złożone z rubli carskich, są tak mało warte, że nie wiem, czy starczyłyby na honorarium za jedną wizytę lekarską w Bohdaniszkach. Papa wyobraża, że te pieniądze dają mu potęgę i że

wcielają w kształt realny jego marzenia o podróży. Niech się cieszy, niech się tym złudzeniem żywi w ciężkim okresie nadchodzącej nieubłaganie śmierci! Wzruszony jest moją dobrocią i „wzorowym porządkiem" (własne słowa Papy, które wyszeptał), który rzekomo zaprowadziłem w interesach bohdaniskich. Był bardzo dla mnie serdeczny i chwalił mię Kazimierzowi. Pieniądze kazał włożyć do swego pugilaresu, a pugilares pod poduszkę, a potem kazał go włożyć do kieszonki w kamizelce, a kamizelkę nałożyć na Papę i tak leżał.
Interesy Bohdaniszek są jednak trudne. Gdyby chodziło tylko o wydatki bieżące i spłatę długów Papy, to dałoby się radę, bo jeszcze z lasu i nasienia koniczyny będzie aż nadto dochodu, ale nie daj Boże w razie śmierci Papy jego pogrzeb i potem podatek spadkowy spadną takim ciężarem, że chyba tylko pomoc Kowaliszek może wyciągnąć z biedy. A czy Kowaliszki zechcą i będą mogły zdobyć się znowu na taki nakład dla Bohdaniszek? Zarząd Jakszuka o tyle jest dla Bohdaniszek dobry, że jest on sprężysty, zaradny i na każdą potrzebę sposób znajdzie. Ależ za to okrada bez pardonu. Wszyscy zupełnie jawnie na to wskazują. Ale trzeba go ścierpieć do czasu, bo gdy żaden z nas w Bohdaniszkach nie siedzi, on jeden umie zawsze w najtrudniejszych warunkach znaleźć radę i wybrnąć, jak kot z worka, którego położyć niepodobna. Wspomniałem Jakszukowi o perspektywie wydzierżawienia mu Bohdaniszek na rok przyszły. Jakszuk niezmiernie tego pragnie i ta nadzieja podniecа w nim staranność w gospodarstwie rolnym. Z tą myślą tak starannie w tym roku uprawił pole i zasiał żytem. Jeżeli tylko Marynia nie zdecyduje się na Bohdaniszki, to bardzo prawdopodobne, że do tej dzierżawy na rok przyszły przyjdzie. Dziś na jarmarku w Rakiszkach Jakszuk sprzedał ogierka trzylatka i za tą sumę kupił dwa młode roczne konie, siwaki, klacz i wałacha, co jest skarbem dla Bohdaniszek.

27 września, rok 1920, poniedziałek
Wczoraj wieczorem o godz. 10 wyjechałem z Abel na Wilno. W nocy musiałem przebyć czyściec w Iłówce (tak chyba będą nazywać tę stację, nie zaś Jodłówką, bo podobno rdzenną jej nazwą jest właśnie litewska „Įlaukė"). Siedzenie w czyśćcu iłówskim w oczekiwaniu na zbawienie dalszej komunikacji do Wilna – trwa od godz. 11 w nocy do godz. 6-7 rano. Akcesoriami tego siedzenia są: niewygoda (wyspać się niepodobna, w najlepszym razie ma się miejsce na jakiejś ławeczce do siedzenia) zmęczenie i chłód (w budyneczku drewnianym z desek stacyjnych w salce, która służy na poczekalnię i bufet, wybita cała jedna szyba w oknie, a na dworze ostry przymrozek w pogodną noc księżycową).
W ciągu całej podróży biedny mój staruszek Papa, dogorywający samotnie w Bohdaniszkach, nie schodził mi z myśli.
W Duksztach na stacji spotkałem się przypadkowo z Biesiekierską, żoną Józefa Biesiekierskiego, który przed wojną służył u mnie za leśniczego w Wiązowcu. Dowiedziałem się od niej, że jej mąż, który był w r. 1914 wzięty na wojnę, zaginął bez wieści od r. 1916. Od jakiegoś towarzysza jego na wojnie Biesiekierska miała wiadomość, że umarł, zatruty gazami trującymi na froncie niemieckim, ale żona nie traci jeszcze nadziei, że może jest jeszcze w niewoli niemieckiej i może powróci. Słaba nadzieja. Szkoda człowieka! Dowiedziałem się też od Biesiekierskiej, która pochodzi z gminy bogińskiej pow. dziśnieńskiego, że majątek Römerowski Zamosz, który jest położony w tamtych stronach, jest po litewskiej stronie granicy, nie zaś po bolszewickiej. Jest to wiadomość pomyślna i ważna. Zamosz bowiem, po śmierci starego generała Jana Römera i obu jego synów, generała Włodzimierza i Wacława, którzy byli bezdzietni i podług wieści bodajże ścisłych – zmarli obaj w czasie wojny – przechodzi w drodze spadku na dzieci mojej siostry Maryni Römerowej, to znaczy na

Ewę Meyerową i na Stefusia Römera, względnie na ich ojca Witolda Römera, o którym nie wiadomo, czy żyje. Współspadkobiercami ich są Siwiccy i Szwańscy. Majątek jest ładny. Ustalenie praw spadkowych wobec trudności ustalenia zgonów spadkodawców i ewentualnie Witolda – byłoby trudne bardzo, ale gra warta świecy. Byłby więc jeszcze jeden motyw do powrotu Maryni do kraju.
Po przyjeździe do Wilna dowiedziałem się przykrych nowin z zakresu konfliktu litewsko-polskiego. Sytuacja grozi bezpośrednio wojną między Polską a Litwą i bodajże nawet Wilno jest bardzo poważnie i bardzo aktualnie zagrożone ze strony polskiej. Po zerwaniu rokowań w Kalwarii, między Sapiehą a Puryckim toczy się wymiana not. Niby konflikt polsko-litewski ma być przekazany decyzji Ligi Narodów, na co obie strony się w zasadzie zgadzają, ale tymczasem nota Sapiehy, która czyni Litwinów odpowiedzialnymi za prowokowanie przelewu krwi i pomawia ich opór o zasłanianie koncentracji wojsk sowieckich, zapowiada, że dowództwo wojskowe polskie wyciągnie z tego stanu rzeczy konsekwencje, jakie samo uzna za konieczne ze względów strategicznych wojny z bolszewikami. Trzeba to rozumieć chyba w ten sposób, że choć Polska nie uważa siebie formalnie za będącą w stanie wojny z Litwą i zgadza się politycznie na przekazanie sporu Lidze Narodów, to jednak strategicznie, prowadząc wojnę z bolszewikami, nie będzie się liczyć z jakimś *status quo* terytorialnym Litwy i będzie Litwinów usuwać, skąd zechce i skąd uzna za potrzebne. Choć nie mówi się tam o Wilnie ani w ogóle o jakiejś określonej części terytorium, ale, znając zasadnicze stanowisko Polski, należy domyślać się, że oznacza to, iż Polska rezerwuje sobie wolną rękę działania bodajże w całym zakresie terenu państwowych roszczeń litewskich na wschód od dawnej linii demarkacyjnej polsko-litewskiej, co by ogarniało i Wilno także. Jednocześnie ofensywa polska przeciwko bolszewikom robi postępy, zwłaszcza na południu, gdzie bolszewicy stracili Równe i wyparci zostali z Galicji Wschodniej, ale także, jak się zdaje, i na północy, bo słychać, że Polacy już zajęli Lidę, a są nawet pogłoski, że wojska polskie doszły już do Ejszyszek. Zbliża się więc chwila, w której dowództwo polskie może uznać strategicznie za niezbędne zajęcie Wilna. Wilno jest już tym zelektryzowane i nastrój nerwowy udziela się ludności, która coraz mocniej wierzy w powrót Polaków. Powiadają, że bitwy między wojskiem polskim a litewskim znów się toczą i że wypadają one na niekorzyść Litwinów, którzy mieli w tych dniach ponieść bardzo ciężką porażkę. Są też gawędy, że nocy ubiegłej gdzieś w pobliżu Wilna wojsko litewskie stoczyło walkę z uzbrojonymi partyzantami polskimi spośród ludności miejscowej. Czy nie rozpoczyna się tylko kryzys nowej fazy w tym nieznośnym węźle gordyjskim wschodu? W samym Wilnie, gdzie większa część chrześcijańskiej ludności miejscowej była zawsze i jest usposobiona bardzo niechętnie względem Litwy i Litwinów, rośnie ostry nastrój nienawiści do rządów litewskich, a trzeba powiedzieć, że i sami Litwini nie zrobili prawie nic dla pozyskania sympatii miejscowych polskich, a natomiast szeregiem pojedynczych nietaktów wielu podrażnili i zniechęcili bardziej. Nieszczęściem jest ta niechęć Litwinów do samego języka polskiego, co bardzo drażni uczucia ludności polskiej.

28 września, rok 1920, wtorek
Nie schodzi mi z myśli nasz biedaczek Papa, który dogorywa tam samotnie w Bohdaniszkach. Smutno mi. Smutno zarówno ze względu na myśl o Papie, jak ze względu na ten stan niewesoły, który jest w atmosferze wileńskiej na tle tragicznego konfliktu litewsko-polskiego w stosunkach wewnętrznych i w związku zwłaszcza z zatargiem krwawym między Litwą a Polską. Choć wojny formalnej jeszcze niema, ale krew się leje i groźba wojny formalnej istnieje. Naprężenie w tym zatargu doszło do zenitu. Konferencja w Kalwarii nie zażegnała wojny, przeciwnie – doszło do jeszcze

większego zaognienia. Właściwie obie strony zgadzają się przecie na przekazanie spornych kwestii decyzji Ligi Narodów, ale czy to Liga jest za słaba lub za ociężała, aby wziąć za łeb obu przeciwników, podyktować im jakiś *status quo* tymczasowy do czasu powzięcia decyzji ostatecznych i wymusić posłuch dla swoich zarządzeń, czy też nie ma dobrej woli u stron, będących w sporze? Prawdopodobnie jest i jedno, i drugie. Liga Narodów jest ciałem młodym i jeszcze kulejącym, tym bardziej, że i sama niezupełnie jest pewno jednolita w swoich koncepcjach spraw wschodnich, a skądinąd dobra wola stron również w różnych fazach nie była zawsze zupełnie szczera. Pierwej zbyt się byli zagalopowali Litwini, ufni w swoją szczęśliwą gwiazdę i przeceniający osłabienie Polski. Nie tylko, że zaczynali już Litwini poprzednio traktować Suwałki niemal za coś zaanektowanego, co należy objąć w swoją władzę bezpośrednią, i nie tylko że przedstawili przesadne żądania ustalenia linii demarkacyjnej do Kanału Augustowskiego, a potem uderzyli lekkomyślnie w fanfary, przeceniając swoje pierwsze sukcesy pod Sejnami, jakby igrając z ogniem, ufni w nietykalność swoją pod osłoną czynników międzynarodowych, hamujących zbytnią ekspansję polską na wschód, ale jeszcze, jak się teraz okazuje, zlekceważyli nakazy zeszłorocznej Rady Najwyższej, popierane przez Ligę Narodów. Wprawdzie Litwa musiała bronić swej neutralności, lekceważonej z drugiej strony przez Polaków, i dzięki temu uniknęła niebezpieczeństwa, zapewne równego ze strony przeciwnej – bolszewickiej, ale niemniej zbyt sobie bagatelizowała Polaków, zbyt lekkim sercem prowokowała to niebezpieczeństwo i zbyt zaufała gwieździe swojej i powadze międzynarodowej, która Polaków powstrzyma, podczas gdy sama ona, Litwa, pozwała sobie na emancypowanie się od ścisłego posłuchu wobec woli mocarzy zachodnich. Dziś, gdy niebezpieczeństwo urosło do poważnych wymiarów i gdy Litwa ujrzała się osamotnioną i narażoną na ryzyko utraty wszystkiego, co była w ostatnich miesiącach szczęśliwymi zbiegami okoliczności uzyskała, to, choć rząd w Sejmie i sam Sejm przemawiają głosem niezłomnej gotowości do wojny i do odruchów poświęceń bez granic, jednak w istocie w zabiegach dyplomacji litewskiej widać cofanie się, poczucie przerachowania się i niepokój wielki, skłaniający do ustępstw, idących dość daleko, tym bardziej, że pono i na froncie sytuacja nie jest dla Litwinów pomyślna. Natomiast teraz wet za wet rośnie buta Polaków, rozzuchwalonych powodzeniem wojennym przeciwko bolszewikom i skłonnych zawsze, w myśl Piłsudskiego metody, tworzyć na swoją korzyść fakty dokonane, choćby one się nie zgadzały ani z wolą czynników międzynarodowych, ani z własnymi frazesami, które się wygłasza, ani nawet nieraz z postanowieniami swojego własnego przedstawicielstwa narodowego. Wojna litewsko-polska byłaby dla ludzi takich jak ja, którzy czują się szczerze obywatelami Litwy i kochają w niej Ojczyznę swoją oraz kochają sam naród litewski z jego sprawą, z drugiej zaś strony są Polakami z narodowości i kochają Polskę jako źródło swej kultury, jest rzeczą niesłychanie bolesną, która szarpie nerwy i męczy myśli i uczucia. Takie wypadki, jak obecne, są dla ludzi jak ja tragiczne, bo rozłamują w nich tą jakąś szczególną dwoistość czy syntezę litewsko-polską, która stanowi jedną z cech elementarnych ich duszy.
Dziś jest pewne uspokojenie, pewne jakby zacisze w perspektywach tego konfliktu. Albowiem gazety ogłaszają, że Sapieha nadesłał notę, w której proponuje jeszcze nową próbę rokowań w Suwałkach, na co się Litwini zgodzili. Jutro delegaci stron mają się w Suwałkach zjechać. Z drugiej strony są wieści, że Liga Narodów ujmuje energiczniej sprawę konfliktu litewsko-polskiego w swe ręce. Daj to Boże! Ale któż zaręczy, że rokowania w Suwałkach nie zawiodą, jak zawiodły w Kalwarii, a wtedy co będzie? Przykre i bolesne nastroje tego konfliktu są szczególnie męczące w nerwowej atmosferze wileńskiej, przepojonej miejscowym ostrym zatargiem w stosunkach między

Litwinami a ludnością polską. Chwilami żałuję, żem się rwał do Wilna i żem nie pozostał w Kownie.

29 września, rok 1920, środa
Dzień Papy i moich imienin. Co tam u biedaczka słychać w Bohdaniszkach, jak się czuje na swym łożu śmiertelnym, czy może jeszcze mówić i być rozumiany przez otoczenie? Zapewne Elizka Komorowska przyjechała dziś do Papy i jeżeli stwierdziła, że jest gorzej, to wezwie jutro doktora. Dzień św. Michała był tradycyjnie w Bohdaniszkach zawsze, ile pamięć moja sięga, obchodzony uroczyście jako imieniny Papy. Obecnie są już ostatnie imieniny Papy, schodzącego ze sceny życia. Smutny jest św. Michał w tym roku w Bohdaniszkach. Żaden gość imieninowy, nikt z sąsiadów nie zawita już w bohdaniskie progi. Przyjedzie Elizka, ale nie do solenizanta, jeno do chorego, który na swym łożu zamyka wiek długi. Urodził się Papa w roku 1845, to znaczy pochodzi jeszcze z pierwszej połowy wieku XIX. Pokolenie ludzi, datujących się z tamtej epoki, już swój okres życia przeżyło. Dziś już tylko szczątki jego schodzą do grobu. I ja tu dziś moich imienin nie czułem. Nikt mi nie winszował i nikt życzeń nie składał.
Noc była dziś niespokojna. Około północy od Góry Bouffałowej, od Pohulanki rozległy się strzały karabinowe, na razie nieliczne, potem gęstsze, a czasem dochodziły do tak gęstych, jak przy ostrzeliwaniu się w bitwie. Raz nawet rozległ się huk jakby pocisku działowego czy bomby. Te strzały powtarzały się od czasu do czasu, z przerwami, co trwało może około godziny. Nad ranem znów słyszałem kilka strzałów. W nerwowej atmosferze Wilna, w której się jakby czai jakieś oczekiwanie wypadków niezwykłych i niepewność jutra, pełnego tajemnic i niespodzianek, takie strzały nocne budzą ludzi ze snu i mają jakiś dźwięk złowrogi w ciszy nocnej. Ludzie wytężają słuch i pytają siebie: czy to się już zaczyna? Dla jednych są one sygnałem upragnionych tęsknot, dla innych – źródłem obaw i najwyższego nerwów napięcia. Wilno ludowe, z wyjątkiem żydowskiego i Litwinów, którzy napływają po trochę wraz z instytucjami państwowymi – nie tylko czeka, ale i pragnie przyjścia Polaków. A ponieważ pragnie, więc wierzy, że to nastąpi. Wiara ta żyje ciągle, ale w ostatnich dniach, pod wpływem wieści o zaostrzeniu się konfliktu litewsko-polskiego i o obecności wojsk polskich w okolicach Olity, Oran, Lidy – zamienia się w oczekiwanie z godziny na godzinę. W tym oczekiwaniu Polaków w Wilnie i wiarę w ich powrót jest duża analogia psychiczna do takiegoż oczekiwania i wiary w powrót Moskali –„nasi przyjdą" – z czasów okupacji niemieckiej zarówno tu, jak w Polsce. Nie trzeba przeceniać patriotyzmu polskiego tych uczuć ludowych w Wilnie, tak samo, jak nie objawem patriotyzmu państwowego rosyjskiego było oczekiwanie powrotu „naszych", to znaczy Rosjan w latach 1915-1917 w Polsce i Litwie. Działają tu przeważnie względy chleba i zarobków. Gdy przyszli Niemcy, a wraz z nimi trudności aprowizacji, zastój gospodarczy, system kartkowy i rekwizycje, to w pojęciach znękanej ludności Rosja sprzed r. 1915 przedstawiała się krajem obiecanym wszelkiej obfitości materialnej i niewyczerpanego dostatku. Toteż tęskniono do niej jako takiej. Obecnie ludność jest ciężko dotknięta bezrobociem, zastojem ekonomicznym, wywołanym przez ucieczkę elementów bogatszych i inne czynniki, trudnością zastosowania się do nowych warunków politycznych ze względu na język litewski, utrudniający różnym rzeszom drobnourzędniczym zarobek w instytucjach państwowych itd. Tymczasem za czasów polskich był tu ruch ogromny, było przelewanie się pieniędzy, obfitość zarobków przez to samo, tym bardziej, że władze polskie dla zjednania ludności umyślnie ze względów politycznych szafowały pieniędzmi i rozdawnictwem produktów, utrzymując całe armie pasożytniczych urzędników. Toteż całe gromady ludności miejscowej żywiły się państwowym

„pierogiem" polskim, do którego im teraz tęskno. Do dalszego zaakcentowania tych nastrojów przyczyniają się różne nieporozumienia językowe, poszczególne wypadki nietaktu Litwinów, przykre zajścia w rodzaju tych, które w ostatnich czasach miewają miejsce na gruncie zrywania przez żołnierzy litewskich orzełków polskich z czapek młodzieży lub rogatywek (konfederatek) itd. Otóż taka strzelanina nocna budzi w Wilnie podniecenie nerwowe. Wilno pamięta owe nagłe piorunowe wtargnięcie Polaków do Wilna w kwietniu roku zeszłego i takiejże niespodzianki oczekuje teraz. Każde strzały podniecają tą nadzieję. Gdy się nie sprawdza przyjście wojsk polskich, fama publiczna przypisuje strzały akcji partyzantów polskich. W istocie były to, jak się okazało, strzały z obławy na bandytów na cmentarzu ewangelickim, choć podobno były tejże nocy i strzały partyzantów, o których legenda różnie w mieście tak wśród Polaków, jak wśród Litwinów niesie.

30 września, rok 1920, czwartek
Słyszałem od p. Tadeusza Wróblewskiego, który ma na ogół informacje niezłe, bo stosunki ma rozległe i umie wyłowić ze stosunków tych najcharakterystyczniejsze i najaktualniejsze nowiny, że w sprawie Wilna projektuje się w Polsce osobliwsza intryga. Nie jest to może kombinacja rządowa, ale jedna z tych, które się czuje w pewnych kołach, zbliżonych do Piłsudskiego. Jak wiadomo, liczne koła polityczne polskie, a w szczególności koła zbliżone do Piłsudskiego, które reprezentowały jego politykę w Wilnie (z kapitanem Kościałkowskim[77] Marianem i redakcją „Naszego Kraju" na czele, i również koła emigrantów z Litwy – nie mogą i nie chcą się pozbyć jeżeli już nie zaboru Wilna na rzecz Polski, to przynajmniej głosu decydującego co do ostatecznych postanowień o Wilnie. Sam Piłsudski aneksjonistą w ścisłym znaczeniu nie jest. Jak dowcipnie mówi Wróblewski, marzeniem Piłsudskiego jest zabrać Wilno Litwinom i oddać je Litwie. To znaczy, zabrać nie dla zaboru, lecz dla oddania. Pytanie – po cóż zabierać dla oddania, kiedy go już Litwa ma? Otóż właśnie o to chodzi, aby Litwa miała Wilno nie inaczej, jak z rąk Polski czy też z rąk Piłsudskiego jako łaskę i dar, który ma ją wiązać. Romantyczna psychologia Piłsudskiego, który o ile w sprawach Polski jest niepodległościowcem konsekwentnym i ścisłym, o tyle niepodległości innych narodów, zwłaszcza z terytorium dawnej Rzeczypospolitej i bałtyckich, traktuje jako coś, co musi być nie z łona tych narodów samodzielnie wytwarzane, lecz przez Polskę dla nich zdobywane i darowane, aby spoić tą drogą jego ulubiony blok ludów od morza do morza pod przewodem Polski, nie zdaje on sobie sprawy z tego, że narody nie lubią zawdzięczać komuś swej niepodległości i swoich praw, prócz samym sobie, i że nie ma skuteczniejszej metody do zrażenia jakiegoś narodu, zwłaszcza małego, jak wiązać go łaską i narzucaniem swoich dobrodziejstw. Naród nie lubi czegoś drugiemu narodowi zawdzięczać, szczególnie mały wielkiemu i słabszy silniejszemu, bo łaska ta i obowiązek wdzięczności czyni go zależnym i pomniejsza jego suwerenność. Wie on bowiem, że łaska zawsze narzuca warunki i jest punktem wyjścia do interwencji. Tego Piłsudski nie rozumie i nie czuje i na tym polega tragiczne niepowodzenie jego polityki litewskiej. Litwa nigdy by się nie pogodziła z tym, żeby mając Wilno miała je stracić po to, aby je z rąk polskich otrzymać. Gdyby przyszło do tego, Litwa nie tylko nie pojednałaby się z Polską, lecz znienawidziła ją jeszcze bardziej. Piłsudski nie czuje tego i wciąż chce powracać z uporem Litwina do swoich błędów polityki litewskiej. Chciałby on od Litwy odbierać Wilno, by je dać tejże, co zakrawa wprost na paradoks nieprawdopodobny dla tych, którzy nie znają bliżej Piłsudskiego. Ale jednocześnie nie widzi Piłsudski tego, że, niezależnie od wadliwości zasadniczej tej swojej polityki, nie

[77] Zyndram-Kościałkowski Marian (1892-1946) – niepodległościowy działacz polityczny i wojskowy, minister i premier rządu RP.

byłby on ją w stanie wykonać, jak nie był już w stanie wtedy, gdy raz Wilno przez rok z górą posiadał. Łatwiej bowiem je było rękami polskimi wziąć, niż z rąk tych oddać, bo ręce, które chętnie się na rozkaz Piłsudskiego otwierały do brania, nie myślały po tym o otwieraniu się na jego życzenie dla oddania. Teraz Polska i Piłsudski czują i wiedzą dobrze, że zbyt dużo jest z zachodu przeszkód i oporu przeciwko zdobywaniu przez Polaków Wilna od Litwinów i że przeto krok taki jest dla Polski politycznie i międzynarodowo prawie niewykonalny, pomimo chwilowych możliwości czysto militarnych. Nawet w tym pochodzie Polski przez terytorium litewskie, które wywołało ostry zatarg obecny, chodzi właściwie nie o marsz na Wilno, jeno o marsz przez powiat trocki, grodzieński i lidzki na wschód poza Wilnem. Otóż pomysł, jak twierdzi Wróblewski, istnieje taki. W Grodnie, zajętym przez Polaków, obwołuje się samorzutnie jakiś „rząd" wileński, a więc polsko-litewski w duchu programu federacyjnego. Robi się to niby bez wiedzy Piłsudskiego, przy poparciu dywizji litewsko-białoruskiej, istniejącej w wojsku polskim. Wtedy Piłsudski i władze polskie, czyniąc zadość pozorom wobec Koalicji, niechętnej polskim pretensjom do Wilna i do matkowania Litwie, rozwiązują ten „rząd" i nakazują rozbrojenie dywizji litewsko-białoruskiej. Ta jednak, nie wykonując rozkazu rozbrojenia i tracąc cechę formacji, należącej do wojska polskiego, maszeruje na własną rękę na Wilno i zdobywa je. Polska urzędowo umywa ręce. To robi bowiem nie ona, lecz – dywizja litewsko-białoruska. Jest to wzorowane na praktykach niemieckich, które polegały na próbach dokonywania zaborów i zamachów stanu w krajach bałtyckich i Litwie przez jakieś luźne formacje w rodzaju armii Bermondta lub przez jakieś *grentzschütze* w prowincjach wschodnich przy pozornym neutralizmie urzędowych wojsk Rzeszy. Jest to zapewne tylko jedna z kombinacji, których musi się dużo w kołach interwencjonistów polskich obmyślać. W związku z tymi pomysłami zamaskowanej interwencji polskiej fermentują i tu na miejscu różne lokalne partyzantki i pomysły powstań i ruchawek. Wątpię, aby Polska zdecydowała się na urzędową interwencję zbrojną w Litwie, ale różne niespodzianki w drodze intryg i operacji ubocznych są bardzo możliwe.
W gazetach były wieści, że były z czasów polskich prezydent Wilna Bańkowski, osławiony wróg Litwinów, i adwokat Bronisław Krzyżanowski udali się do Rygi i przyjęci zostali do składu polskiej delegacji pokojowej. Cóż tam jeszcze robić zamierzają ci donkiszoci Polaków litewskich *in patribus infidelium*, reprezentanci polityczni emigracji, figurującej po stronie polskiej w rokowaniach pokojowych Polski z Rosją?! Ci się nie uspokoją nigdy. Może jeszcze na kongresach w jakiejś Argentynie szukać będą okazji do swoich zachcianek interwencyjnych wobec Litwy, twierdząc, jak Krzyżanowski, że realizują w ten sposób „stanowisko krajowe" na rzecz „niepodległości Litwy"?

1 października, rok 1920, piątek
Żadnych nowin o Papie nie wiem. Widziałem się dziś z Hektorem Komorowskim, który przyjechał do Wilna do Departamentu Leśnego w swoich sprawach dostawy szpał dla kolei, ale nic mi on o Papie powiedzieć nie mógł, bo do czasu jego wyjazdu z Kowaliszek nikt stamtąd do Bohdaniszek po moim wyjeździe nie jeździł. Hektor mówił, że na św. Michał miał pojechać do Bohdaniszek Witold Komorowski. Szkoda, że nie Elizka. Stryjenka Bolesławowa Römerowa, u której spędziłem dziś wieczór, bawiąc z nią i Helą Czarną Römerówną, gdym jej opisał stan Papy, ostrzegła, że swędzenie u Papy w lewej nodze jest oznaką złą, bo w analogicznych warunkach przy bardzo podobnym przebiegu choroby rozwinęła się u zmarłego stryja Bolesława Römera tzw. mokra gangrena w nogach, która spowodowała śmierć.

Byłem dziś na wieczór zaproszony także przez Helę Römer-Ochenkowską, do której miał przyjść p. Bienaimé, znany publicysta francuski z Paryża, pisujący w sprawach polskich i tzw. znawca tychże. Pan Bienaimé przybył w tych dniach automobilem z Paryża przez Polskę. Studiuje on sytuację w Wilnie. Przybył wraz z żoną, która jest Polką, pochodzącą z Litwy, Dowojnówną z domu, moją koleżanką z czasów moich studiów paryskich, bardzo poczciwą i zacną osobą. Ponieważ byłem już zaproszony do stryjenki Bolesławowej, nie mogłem przeto być u Heli, choć bardzo żałowałem głównie ze względu na Dowojnównę. Pana Bienaimé nie bardzo adoruję z tego, co o nim wiem. Jest to publicysta z geszeftu, który się wyspecjalizował na sprawie polskiej i pisze artykuły za grube pieniądze na obstalunek. Nie przywiązuję wielkiej wagi do informowania go, bo wiem, że chodzi mu nie tyle o poznanie prawdy, ile o materiały lokalne dla oświetlania sprawy w myśl pewnego *parti pris*. Może ich jeszcze spotkam jutro, choć, jak wiem od Heli, p. Bienaimé boi się pozostać dłużej w Wilnie ze względu na możliwość „przyjścia Polaków". Nie Polaków się boi, ale strzelaniny. Co do owego „przyjścia Polaków", co do którego w ostatnich paru dniach Wilno zaczęło się trochę uspakajać, to dziś wieczorem u stryjenki Bolesławowej słyszałem pogłoskę jako rzekomo nowinę telegraficzną, że na konferencji w Suwałkach doszło między delegacją litewską a polską do porozumienia. Daj Boże! Skończyłoby się może nieobliczalne awanturnictwo polskiej polityki faktów dokonanych i spór litewsko-polski przeszedłby już może na jedyne właściwe tory bądź rokowań bądź jakiegoś arbitrażu, zapoczątkowanego w Lidze Narodów. Zresztą przedwcześnie byłoby oddawać się różowym nadziejom, gdy tyle już nadziei zawiodło. Swoją drogą myślę, że jednak niezależnie od wyników konferencji suwalskiej, Polacy ze względów na czynniki międzynarodowe iść na Wilno bezpośrednio w obecnych warunkach się nie zdecydują. Wybiorą oni raczej inną drogę, drogę zabiegów międzynarodowych dla rozstrzygnięcia kwestii Wilna na swój sposób i może równolegle drogę pewnych wybuchów wewnątrz lub wycieczek niby to samorzutnych ze strony pewnych formacji wojskowych, wyłonionych z ludności miejscowej, o czym pisałem wczoraj. Jak widać dziś z gazet, Bańkowski z Krzyżanowskim uczestniczą w polsko-rosyjskiej konferencji pokojowej w Rydze w składzie delegacji polskiej w roli „przedstawicieli Wilna" i między innymi wstawili do postulatów pokojowych polskich jakieś żądanie samookreślenia Wilna i Grodna w przedmiocie przynależności państwowej tych miast. Co taka kwestia może mieć wspólnego ze sprawą traktatu pokojowego między Polską a Rosją, gdy już Rosja w traktacie z Litwą zrzekła się swoich praw i roszczeń do Wilna i Grodna? Mogłyby to być jeszcze kwestie między Polską a Litwą, ale co to ma do Rosji? Czyżby pp. Krzyżanowscy i Bańkowscy wraz z reprezentowaną przez nich emigracją polską z Litwy chcieli przyznawać Rosji więcej praw do Wilna, niż Litwie, i czynić Wilno przedmiotem sporu między Polską a Rosją, nie zaś Polską a Litwą, potwierdzając przez to posądzenia litewskie o to, że Polacy skłaniają się do idei targów z Rosją o Litwę i do podziału tejże między Polskę i Rosję? Że Bańkowski może się do takiej kombinacji politycznej skłaniać, to rozumiem, bo esdecy, których on stał się adeptem, nie są od takiej myśli dalecy, ale że macza w tym ręce Bronisław Krzyżanowski? Albo go nie rozumiem i nie wiem, o co chodzi, albo musiałbym przyznać, że w swoich manowcach wielkiego politykowania i dyplomacji zeszedł on zasadniczo z torów swoich założeń, co bym mu miał za złe i uznał za zdradę. Ten człowiek przepolitykował się i zaczyna trącić, niestety, karierą spekulanta. A szkoda, bo jest to człowiek zdolny i umysł żywy. Jutro postaram się napisać o naszym sądzie okręgowym. Roboty mamy dotąd w sądzie bardzo mało, tak że próżnowaliśmy kompletnie. Oprócz dwóch ogólnych zebrań nie stuknęliśmy palcem o palec. Dziś na ogólnym zebraniu ustaliliśmy pierwszy tymczasowy podział pracy. Mnie wyznaczono do kierowania Wydziałem Cywilnym, z

czego był bardzo nierad sędzia Frydman, który liczył na ten wydział dla siebie. Jemu dano pełnienie obowiązków starszego notariusza i dozór nad archiwum notarialnym. Wydział Karny zarezerwował dla siebie prezes Kalnietis, który jest kryminalistą.

2 października, rok 1920, sobota
W Sądzie Okręgowym roboty jeszcze nie ma. Zapracowany jest tylko prezes i sekretarz, ale ci mają robotę organizacyjną. My, sędziowie, mamy bezrobocie, bo spraw nie ma. Przewiduje się napływ spraw karnych, bo sędziowie śledczy roboty mają dużo, przestępstwa, szczególnie kradzieże i rozboje, są, jak zwykle w takich czasach przejściowych, bardzo liczne. Rychło więc będzie materiał dla posiedzeń gospodarczych i sądowych w sprawach karnych. Natomiast spraw cywilnych nie ma wcale: dotąd nie wpłynęła do sądu ani jedna. Tłumaczy się to tym, że ludzie ze względu na niepewny stan polityczny i na różne pogłoski o przyjściu Polaków, nie ufają jeszcze stałości rządów, a przeto i sądów litewskich, i boją się składać do sądu dokumenty. Zostałem wyznaczony do przewodniczenia w Wydziale Cywilnym, ale tymczasem jest to funkcja martwa. Sądy pokoju zaczęły już pracować; mają one dużo drobnych spraw karnych z protokołów milicji i trochę spraw cywilnych, ale prawie wyłącznie tymczasem mieszkaniowych ze względu na termin najmu mieszkań w Wilnie na św. Michał. Wkrótce więc napływać zaczną apelacje. Uspokajające wieści co do konfliktu litewsko-polskiego i co do dalszych zamiarów polskich wpłyną też zapewne na to, że i do sądu okręgowego zaczną być po trochę wznoszone sprawy cywilne. Odbyliśmy dotąd dwa ogólne zebrania sądu, na których przeważnie zastanawialiśmy się nad przyjęciem i zużytkowaniem kandydatów do posad sądowych i nad kwalifikacjami osób, które zgłosiły swoje kandydatury na stanowiska sędziów pokoju i śledczych. Ilość podań zgłoszonych jest duża. Bardzo pocieszającym objawem jest znaczny dopływ sił z fachowym wykształceniem prawniczym, czego w najwyższym stopniu brak było w okręgu kowieńskim, gdzie na posady sędziów pokoju i sędziów śledczych trzeba było mianować ludzi o bardzo niskich kwalifikacjach nie tylko już zawodowych, ale nawet ogólno-wykształceniowych i gdzie wskutek tego poziom magistratury sądowej niezmiernie się obniżył. Ogromny brak ludzi na stanowiska sądowe w okręgu kowieńskim sprawił, że na stanowiska te trafiali nieraz ludzie nie tylko nieodpowiedni, ale wprost szkodliwi, którzy nawet łapownictwo uprawiać zaczęli. Tu, przynajmniej na razie, zgłoszono dużo podań prawników. Pod względem narodowościowym kandydatury stanowią prawdziwą mozaikę: są tam Litwini, Polacy, Żydzi, Rosjanie, Karaimi, Tatarzy, Białorusini, Niemcy. W stosunku do odsetka i do względnego poziomu kulturalnego i inteligenckiego ludności polskiej w ogólnym zaludnieniu tej części kraju ilość zgłaszających się Polaków jest niewielka; pochodzi to stąd, że, po pierwsze, olbrzymia większość inteligencji polskiej uciekła przed przyjściem bolszewików, po drugie, krępuje Polaków nieznajomość języka litewskiego, która dla posad sędziego pokoju i sędziego śledczego stanowi utrudnienie, a dla dostępu do sądu okręgowego stanowi przeszkodę bezwzględną, i że wreszcie po trzecie, Polaków wstrzymują jeszcze względy na ewentualny powrót władz polskich i na ogólną nieufność, a nawet niechęć do Litwinów i ich działalności państwowej w społeczeństwie polskim. Za to Litwini z naszej wyższej magistratury sądowej, choć pod względem językowym obstają mocno za kursem nacjonalistycznym, ogromnie się cieszą z każdej zgłoszonej kandydatury polskiej i pragnęliby bardzo większego dopływu Polaków do stanowisk w magistraturze sądowej, chcąc w Polakach widzieć przeciwwagę Żydom i Rosjanom, których zachłanności się sami boją, i chcąc w osobach Polaków posiąść precedens przeciwko kiełkującej gdzieniegdzie w kołach polskich, choć nie sformułowanej dotąd, idei bojkotu urzędów litewskich. W pięknym

obszernym gmachu instytucji sądowych przy Placu Łukiskim rozległe ubikacje na I piętrze (licząc po wileńsku – na II-gim) są wyznaczone dla Sądu Okręgowego. Ponieważ sąd nasz jest tymczasem w stanie embrionalnym, więc ubikacji mamy do zbytku. Każdy z nas sędziów – ja, Frydman i Bračulis – wybrał sobie po pięknym gabinecie i przy każdym z tych gabinetów naszych mogłaby się pomieścić osobna obszerna kancelaria. Mój gabinet jest rogowy z oknami na Plac Łukiski i na byłą ulicę Kazańską, która nie wiem, jak się teraz nazywa. W gabinecie mam biurko, szafę na książki, półkę, garnitur miękkich mebli z kanapą i stołem.
Co do kolegów, z którymi będę współpracować, to prezes Kalnietis, sędzia Bračulis i prokurator Rymsza są Litwinami, Frydman – Żyd. Prezes Kalnietis jest bardzo grzeczny, ale zdaje się, że jednak jest twardy i że lubi postawić na swoim. Na ogólnych zebraniach jest trochę za gadatliwy i czyni wrażenie pedanta. Zdaje się, że jest nacjonalistą zdecydowanym, przynajmniej jest nim pod względem językowym więcej, niż to dla Wilna jest pożądane. Prokurator Rymsza sprawia na mnie wrażenie doskonałe jako człowiek z wielkim taktem i bardzo prawy, o wybitnym poczuciu sprawiedliwości i prawa; nie hołduje zdaje się ciasnemu nacjonalizmowi, a przynajmniej może się od niego oderwać w sprawach sądownictwa i wymiaru sprawiedliwości. Sędzia Bračulis, Litwin amerykański rodem z Druskienik (około 30 lat przebywał w Ameryce), nie zna ustawodawstwa obowiązującego w kraju i, zdaje się, w ogóle jest słabym prawnikiem i człowiekiem tępym, ale ma upór i charakter urobiony po amerykańsku, to znaczy niezależny i twardy. Robi wrażenie człowieka prawego i zacnego.

3 października, rok 1920, niedziela
Pan Taduesz Wróblewski, który stał się bardzo gorliwym państwowcem litewskim zarówno teoretycznie, jak w swojej działalności praktycznej, zainicjował małe zebrańka litewsko-polskie u siebie, na które zaprasza ścisłe grono Litwinów i Polaków. Na zebrańka te mają być zapraszani tylko ci z Litwinów, którzy nie hołdują nacjonalizmowi polakożerczemu i sprzyjają idei współżycia i współpracy obywatelskiej Litwinów z Polakami litewskimi, i ci z Polaków, którzy stoją mocno na stanowisku państwowym litewskim. Ideą tych zebrań ma być zbliżenie towarzyskie jednych z drugimi, danie możności poznania się i wzajemnego obcowania towarzyskiego, czego istotnie jest u nas brak między elementami sobie pokrewnymi obu narodowości. Zebrańka takie z czarną kawą p.Tadeusz wyznaczył na niedziele na godz. 11 rano w swoim pięknym mieszkaniu, które jest zarazem biblioteką, muzeum i archiwum, jednym z ciekawszych w Wilnie. Rzeczywiście – mieszkanie rzadkie, które więcej przypomina zbiory publiczne, niż mieszkanie prywatne. Czy się te zebrańka towarzyskie litewsko-polskie rozwiną i ustalą na dłuższą metę – to się okaże z praktyki, ale myśl jest niewątpliwie szczęśliwa i bardzo na czasie. Dziś przybyło zaledwie parę osób: oprócz p. Tadeusza Wróblewskiego byłem ja, Ludwik Abramowicz i Hela Römer-Ochenkowska oraz jeden Litwin – doktor Jerzy Šaulys. Byli też zaproszeni, jeno nie przybyli, z Polaków Stanisław Kościałkowski, z Litwinów – Jonynas i Zygmunt Žemaitis. Oczywiście też są przewidziani w tym gronie, jeno nieobecni są chwilowo w Wilnie: z Litwinów Michał Biržiška, który bawi w Suwałkach, należąc do składu delegacji litewskiej w konferencji z Polską, i z Polaków – Zygmunt Jundziłł. Po kawie, która tym razem z braku osób była mało ożywiona, gdy już Šaulys z Abramowiczem wyszli, przyszli do p. Tadeusza p. Bienaimé z żoną, Dowojnówną z domu, którzy po kilkudniowym pobycie w Wilnie dziś stąd wyjeżdżają. Po obejrzeniu przez pp. Benaimé zbiorów Wróblewskiego zawiązała się rozmowa, oczywiście po francusku, w której p. Bienaimé usiłował się zapoznać z kierunkiem państwowo-litewskim Polaków, reprezentowanego przeze mnie i przez Wróblewskiego. Bienaimé nie ma w istocie

żadnego pojęcia o naturze idei państwowej litewskiej i ruchu narodowego Litwinów, który w jego umyśle przedstawia się jako coś dziwacznego, wyimaginowanego przez garść księży i inteligentów świeckich, chciwych posad, zaś sama Litwa w stosunku do Polski przedstawia mu się w analogii stosunku Bretanii do Francji. Bezcelowa jest rozmowa z tym panem. Nie tylko że nas nie był w stanie zrozumieć, ale zaperzył się w dyskusji, tak że omal się na kłótni nie skończyło.

Ucieszyłem się dziś niezmiernie z jednej nowiny, którą w gazetach wyczytałem, mianowicie uchwały Rady Ministrów o dopuszczeniu posługiwania się przez adwokaturę w okręgu sądowym wileńskim językami miejscowymi. Zdawało się bowiem, że ustępstwo to, które stanowi minimum konieczne dla okręgu sądowego wileńskiego, jednak dopuszczone nie będzie. Była to dla mnie najprzykrzejsza czarna plama w perspektywach działalności sądowej w Wilnie, ogarniającej też moją działalność osobistą. Sprawa ta ma całą historię swoją. Podług ustawy prowizorycznej o urządzeniu sądownictwa litewskiego, językiem, w którym się odbywa sąd, jest język państwowy litewski, wszakże strony, nie znające języka państwowego, mogą się posługiwać wobec sądu językami miejscowymi, do których są zaliczone: polski i białoruski. To znaczy, że w tych językach strony mogą się zwracać do sądu ustnie i, jak ustaliła praktyka sądu w Kownie, na piśmie i że sąd powinien znać oba te języki, nie mogąc się wymawiać nieznajomością i nie mogąc żądać pośrednictwa tłumacza. Odpowiedni przepis ustawy zastrzega wyraźnie, że sędziowie obowiązani są rozmówić się ze stronami w tychże językach miejscowych. Poza polskim i białoruskim, żaden inny język, a więc żydowski i rosyjski, nie korzysta z prerogatyw miejscowego. To znaczy, że sędzia mógłby nie rozumieć po rosyjsku i że ściśle formalnie, w razie wniesienia podania lub dokumentu, pisanego po rosyjsku, miałby prawo żądać tłumaczenia lub wezwać tłumacza dla komunikowania się ze stroną, mówiącą po rosyjsku, choć faktycznie, ponieważ obecne pokolenie sędziów litewskich bez wyjątku rozumie i mówi po rosyjsku, język w praktyce toleruje się na równi z miejscowymi (ba, cóż mówić o Litwie, gdzie język państwowy litewski jest dla znacznej ilości obywateli i nieznany i gdzie w szczególności ludność żydowska posługuje się językiem rosyjskim na równi z żargonem, kiedy nawet w Polsce w Łomży, gdzie żadnych języków miejscowych poza państwowym ustawy nie znają, myśmy zawsze, i to nie tylko ja, ale i sędzia Skarzyński, skądinąd endek, posługiwaliśmy się bez żadnego tłumacza po rosyjsku w kontakcie ze świadkami, gdy się zdarzało – co zresztą zdarzało się rzadko – że jakiś świadek nie umiał po polsku, jeno po rosyjsku. Dopowiem o tym jeszcze jutro, jeżeli mi nic nie przeszkodzi.

4 października, rok 1920, poniedziałek

Praktyka sądowa kowieńska przez cały rok 1919 i aż do połowy 1920 nie czyniła w kwestii dopuszczalności języków miejscowych i rosyjskiego różnicy między adwokaturą a stronami. To znaczy – sądy zarówno od stron, jak od adwokatów przyjmowały podanie w języku polskim i rosyjskim (prawa miejscowego języka białoruskiego istniały tylko na papierze, ponieważ nikt się w tym języku, przynajmniej w okręgu sądowym kowieńskim, się nie zwracał). Również i na posiedzeniach sędziowskich nikt nie krępował adwokatów przemawianiem po polsku i po rosyjsku. Tak było aż do lipca roku bieżącego. Pierwszy Janulaitis, który jest członkiem Trybunału Najwyższego, rozpoczął walkę z tym zjawiskiem. Wychodził on mianowicie z tego założenia, że adwokatura nie może być utożsamiana ze stronami, albowiem chociaż w procesie przedstawia ona każdorazowo stronę, jednak w istocie w całości swej działalności pełni ona funkcję publiczną w wymiarze sprawiedliwości, jest jednym z organów mechanizmu tego wymiaru, jest przeto elementem sądu, a więc te szczególne

przepisy o korzystaniu z języków miejscowych przez strony, stanowiące wyjątek od reguły „sąd odbywa się w języku państwowym, to jest litewskim”, nie mogą one dotyczyć adwokatury. Taka była argumentacja prawna Janulaitisa. Merytorycznie zaś podnosił on ten wzgląd, że skoro większość ludności używa języka litewskiego, to adwokat, by móc potrzeby tej ludności obsłużyć, musi znać język litewski; że adwokaci, umiejąc zdzierać z klientów wysokie honoraria, powinni też się nagiąć do języka większości ludności, powinni móc przynajmniej rozumieć swych klientów i wysłuchać tychże; że jeżeli sami nie uważają tego za potrzebne i nie dbają o to, by móc się z klientami w języku tychże rozmówić, bez czego ich działalność będzie zawsze wadliwa, to w każdym razie sądy nie mają stosować zasady popierania tego zaniedbania adwokatury i rozciągania na nich przywilejów języków miejscowych. Poza tym wszystkim, Janulaitis, który jest w gruncie antysemitą (pomimo że należy do socjalnej demokracji), uważał, że żądanie ścisłe języka litewskiego od adwokatów podziała hamująco na rozwielmożnienie się Żydów w adwokaturze, a przynajmniej zmusi ich do uczenia się po litewsku, co jeno wypadnie na korzyść ogółu klientów i przeszkodzi przeforsowaniu przez Żydów języka rosyjskiego do sądownictwa litewskiego. Na skutek tej kampanii Janulaitisa Trybunał Najwyższy na wniosek prezesa Trybunału Krikščiukaitisa na jednym z posiedzeń gospodarczych swoich w ostatnich dniach lipca powziął uchwałę, w której, wyjaśniając dyspozycje art. 16 Ustawy Tymczasowej o Organizacji Sądownictwa Litewskiego, orzekł, że adwokatura może w sądownictwie Litwy posługiwać się wyłącznie językiem litewskim. Ja sam osobiście brałem udział w posiedzeniu Trybunału, na którym ta uchwała została powzięta, i sam też głosowałem za nią. Rzeczywiście, argumenty Janulaitisa trafiały mi do przekonania, przynajmniej w stosunku do okręgu sądowego kowieńskiego i mariampolskiego. Ta uchwała Trybunału stała się głośna, została ogłoszona w prasie, przyjęta do wiadomości przez sądy i została odtąd zastosowana do praktyki sądów. Wprawdzie gdzieniegdzie wywoływała ona wątpliwości, bo na przykład sam prezes Sądu Okręgowego w Kownie Mačys kwestionował jej prawomocność formalną ze względu na to, że Trybunał, jako instancja apelacyjna, nie może przywłaszczać sobie atrybucji byłego Senatu Rosyjskiego, który miał moc kompetentnego wyjaśniania przepisów ustaw poza konkretnymi sprawami, i że przeto uchwała Trybunału jako taka krępować sądów w samodzielnym pojmowaniu przez nie i stosowaniu ustaw nie może, jednak faktycznie cała praktyka sądowa stanęła odtąd mocno na stanowisku uchwały Trybunału. Nie podobało się to adwokatom, nie znającym języka litewskiego, ale nic na to poradzić nie mogli. Musieli bądź zaniechać występowania w sądach, bądź zacząć się uczyć po litewsku.

Nie przypuszczałem jednak nigdy, żeby teza, wyrażona w uchwale Trybunału, miała być zastosowana do okręgu sądowego wileńskiego. Tu bowiem względy merytoryczne, wystawiane przez Janulaitisa, traciły wartość, albowiem tu w większej części okręgu sądowego język litewski nie jest językiem większości ludności, a bodajże nawet przez większość nie jest rozumiany. Chociaż zaś uznawałem, że teza Janulaitisa jest prawnie ze stanowiska przepisów obowiązujących konsekwentna, jednak byłem przekonany, że dla okręgu wileńskiego same przepisy zostaną zmodyfikowane. Dla zmodyfikowania ich samo prawo wskazywało drogę prostą. Mianowicie art. 16 Ustawy Tymczasowej o Organizacji Sądownictwa Litewskiego jest zaopatrzony w uwagę, która opiewa, że przepisy tegoż artykułu, ustalające język sądowy i zakres dopuszczalności języków miejscowych, mogą być przez Radę Ministrów (samodzielnie, bez osobnej ustawowej sankcji Sejmu) stosownie do potrzeby – zmieniane, a więc przez to samo i zakres dopuszczalności języków miejscowych – rozszerzany. Byłem pewny, że Rada Ministrów uczyni to dla okręgu sądowego wileńskiego. Wierzyłem nawet, że w okręgu wileńskim sądownictwo zostanie ogłoszone za językowo utrakwistyczne, to znaczy że

obywatelstwo języków miejscowych – polskiego i białoruskiego – będzie zrównane z litewskim.

5 października, rok 1920, wtorek
Znowu był dziś dzień niepokojących wieści. Konferencja litewsko-polska w Suwałkach w pierwszych dniach ustaliła linię demarkacyjną i rozejm li tylko na lewym brzegu Niemna, to znaczy w Suwalszczyźnie. O ustalenie tej linii nie było trudno, bo była już ona *à priori* wiadoma; była nią bowiem tzw. linia 8.XII.1919, określona przez Radę Najwyższą Ententy i potwierdzona obecnie przez Ligę Narodów. Natomiast na prawym brzegu Niemna kwestia linii demarkacyjnej i rozejmu pozostała otwarta. Każda ze stron w rokowaniach suwalskich zgłosiła swoją propozycję, ale propozycje się różniły. Najbardziej sporną stała się kwestia Oran, które Polacy żądali dla siebie, oraz linii kolejowej Orany-Olita-Suwałki, z której Polacy chcieli otrzymać prawo korzystania, mimo że linia ta przechodzi przez terytorium litewskie. Litwini nie zgadzali się na propozycje polskie, podnosząc wzgląd, że udzielenie Polakom, wojującym z bolszewikami, tranzytu kolejowego przez terytorium litewskie nie daje się pogodzić z neutralnością Litwy. Na tym utkwił spór, a tymczasem Polacy, atakując Litwinów, posuwali się ciągle wśród walk na Orany. Dziś wreszcie komunikat sztabu litewskiego doniósł o wycofaniu się Litwinów z Oran, zdobytych przez Polaków. Można byłoby to uważać tylko za zrealizowanie przez Polaków drogą faktu dokonanego tych żądań, które były przez nich stawiane w Suwałkach, i nic więcej, ale tymczasem jednocześnie z wiadomością urzędową o zajęciu przez Polaków Oran zaczęły się rozchodzić wersje, że Polacy zajęli już Olkienniki, następnie że zajęli już Rudziszki, że patrole polskie ukazywały się nawet w Landwarowie. Wersje te wywołały znów nastrój taki, jak przed tygodniem. Cóż z tego, że w Suwałkach toczą się rokowania, że już zjechała tam Komisja Kontroli Ligi Narodów, że Paderewski z Voldemarasem ściskają sobie dłonie w Paryżu i oświadczają w teatralnej scenie, iż konfliktu polsko-litewskiego już nie ma, że Sapieha głosi z całym naciskiem, iż Polacy nie mają zamiaru iść i nie pójdą na Wilno, że generał Rozwadowski to potwierdza, że Polska oświadcza, iż z Litwą nie wojuje, jeno z bolszewikami, i że wszelkie starcia polsko-litewskie są jeno epizodami działań wojny z bolszewikami – kiedy w rzeczywistości dowództwo polskie widocznie się z tymi enuncjacjami dyplomatycznymi nie liczy i wojsko ciągle się posuwa coraz bliżej i bliżej pod Wilno! Toteż nastrój był dziś w mieście znowu pełny nerwowego niepokoju i oczekiwania. Wśród Litwinów przygnębienie i wściekłość, ale decyzja nieruszania się urzędów z Wilna, choćby mieli przyjść Polacy; wśród Żydów, bojących się Polaków, niespokojne poruszenie; w masach pospólstwa gorączkowe tęsknoty, które by się w chwili wkraczania Polaków wyraziły z pewnością w ekscesach nad Litwinami. Ale nastrój nerwowy oczekiwania w Wilnie wyraża się w tych czasach nie w jakimś zwiększonym ruchu w mieście, lecz przeciwnie – w jakimś pozornym uciszeniu się, jak przed burzą, w zmartwieniu miasta. Ulice się wyludniają, ruch zamiera i tylko lotna plotka krąży po domach, podniecając czujność przykucniętych ludzi. I tylko przy redakcjach gazet lub pod ścianami, gdzie rozlepione są okazowe numery dzienników polskich i rosyjskich, gromadzą się całe zastępy ludzi różnego wieku, stanu i płci, które w milczącym skupieniu, nie ufając sobie nawzajem i nie dzieląc się publicznie wrażeniami i domysłami, odczytują chciwie szpalty gazet od deski do deski. Taki był dzień dzisiejszy w Wilnie, dzień pogłosek i oczekiwania nerwowego. Oczywiście w sądzie też pustki zupełne, bo nikt nie odważa się wszczynać jakichś interesów i spraw. W pustym gmachu sądowym – tylko szczupłe kancelarie na posterunkach i – bezrobotni sędziowie. Sądziliśmy, że od poniedziałku ruch się w sądzie rozpocznie większy, zaczną wpływać sprawy, bo koniec ubiegłego tygodnia zaznaczył się uspokojeniem, aż

tu znowu wszystko na karcie nieświadomości jutra i ryzyka. Po obiedzie wszakże dowiedziałem się w redakcji „Wiadomości Wileńskich” od Stadziewicza i Wacława Biržiški, że nadeszła wiadomość urzędowa z Suwałk, iż linia demarkacyjna, a wraz z nią i rozejm, została już i na prawym brzegu Niemna ustalona. Przechodzi ona przez Orany, których stacja kolejowa ma być po stronie polskiej, a miasteczko – po litewskiej, i dalej idzie na Ejszyszki; w lidzkich stronach w pobliżu miejsca, gdzie się właśnie rozgrywają walki polsko-bolszewickie, linia demarkacyjna jeszcze nie ustalona. Ale już ustalenie linii i rozejmu od strony Grodna wniesie zapewne uspokojenie, bo Wilno znów przestaje być bezpośrednio zagrożone.
Nie jest bynajmniej przyjemny ten stan, w jakim jest Wilno. Stan nieokreślony, niepewność jutra, poczucie, jak żeby się było na wulkanie dymiącym, jest męczące i przykre. Żebyż to raz koniec wojny i wszystkich jej awantur! O, jakże się chce spokoju i możności pracy twórczej i zrównoważenia, w którym ludzie przestaliby się wreszcie nienawidzić, kłamać sobie nawzajem z wiarą, że kłamiąc spełniają święte dzieło, i zechcieli uszanować się nawzajem, by żyć sprawiedliwością i pracą.

6 października, rok 1920, środa
Podług gazet dzisiejszych, układ suwalski o linii demarkacyjnej i rozejmie jeszcze nie zakończony, ale już porozumienie co do linii ustalone. Delegacja polska przyjęła w ogólnych rysach linię, zaproponowaną przez Litwinów; pewną dyskusję wywołują jeszcze Orany, właściwie stacja kolejowa w Oranach, której żądają Polacy. Zdaje się jednak, że o ten szczegół rokowania się już nie rozbiją i że rozejm dziś podpisany zostanie. Nowa linia demarkacyjna pozostawia Merecz po stronie litewskiej i biegnie na Orany, a stamtąd na Ejszyszki i Bastuny. Obie te miejscowości pozostają, zdaje się, po stronie polskiej. Od Bastun dalej na północny wschód linia zostaje nieustalona, bo tam się już rozpoczyna teren operacyjny walk polsko-bolszewickich. Możliwość więc bezpośredniego wkroczenia wojsk polskich *manu militari* do Wilna ustaje, przynajmniej na teraz, o ile tylko jakieś komplikacje nie postawią znowu kwestii tej na kartę. Gazety donoszą, że delegacja polska oświadczyła w Suwałkach, iż Sapieha w specjalnej nocie do rządu litewskiego zapewnił uroczyście, iż Polacy na Wilno nie idą.
Miałem wieści o stanie zdrowia Papy, wczoraj od Elizki, dziś – od Jakszuka. Są one jednak datowane sprzed tygodnia. Przypuszczam wszakże, że stan takiż trwa dotychczas, bo w razie pogorszenia miałbym już depeszę. Elizka była w Bohdaniszkach u Papy na św. Michał. Zastała Papę bardzo sennego i źle wyglądającego. Przeraziła się i chciała posyłać zaraz po doktora, ale Kazimierz uspokoił, mówiąc, że Papa zwykle jest we dnie senny, a za to w nocy nie śpi. Papa poznał Elizkę, ale przez czas jej pobytu tylko na kilka chwil odzyskał przytomność, poza tym, jak się wyraża Elizka, spał „strasznym nieprzespanym snem”. Wieczorem jednak obudził się i gdy się dowiedział, że Elizka przywiozła mu na imieniny tort, zażądał tortu. Elizka karmiła Papę, kładąc mu do ust kawałki tortu i dając zapijać wodą, a potem wypił szklankę mleka. W nocy tegoż dnia, po wyjeździe Elizki, Papa nawet siadał, oczywiście nie spuszczając bezwładnych nóg i siedział tak przez kilka godzin. Ból w nogach jest u Papy ciągle. Obawiam się, że wywiąże się w nogach gangrena.
Dokończę o sprawie dopuszczenia języków miejscowych, to znaczy polskiego i białoruskiego, w praktyce sądowej adwokatów w okręgu wileńskim. Jak wspomniałem, uwaga do art. 16 Ustawy Tymczasowej o Organizacji Sądownictwa Litewskiego upoważnia Radę Ministrów do wprowadzania zmian w dyspozycjach ustawy co do zakresu praw używalności języków miejscowych w sądach. Oczekiwałem, a wraz ze mną oczekiwali i inni, że Rada Ministrów przy organizowaniu sądownictwa w Wilnie uchwali odpowiednie zmiany, idące dość daleko. Tymczasem, jeszcze za czasów

mojego pobytu w Kownie, dowiedziałem się, że Rada Ministrów ograniczyła się w tym względzie do tego, że zezwoliła, aby sędziowie pokoju i śledczy, nie znający języka litewskiego, mogli prowadzić protokoły i redagować rezolucje i wyroki w językach miejscowych. O adwokaturze – ani słowa. O językach w Sądzie Okręgowym – także żadnej wzmianki. To znaczy, że w Sądzie Okręgowym i w stosunku do adwokatury w Wilnie obowiązywać miały te same ogólne przepisy, które miały moc w okręgu kowieńskim, a więc i teza o adwokaturze, wyrażona w uchwale Trybunału, zachowuje moc w Wilnie. Było to oczywiście niewystarczające, bo w Wilnie prawie cała adwokatura byłaby *eo ipso* usunięta od praktyki w Sądzie Okręgowym dla tej prostej przyczyny, że nikt z adwokatów wileńskich, z wyjątkiem chyba 2-3, nie umie i nie rozumie po litewsku. Dla adwokatury wileńskiej byłoby to zabójcze, dla ludności też ciężkie, bo pozbawiłoby jej pomocy prawnej w sądzie; byłoby to niesprawiedliwe i zarazem szkodliwe tak dla ludności, jak dla wymiaru sprawiedliwości, a więc i dla państwa; zamiast zużytkowania sił fachowych prawniczych, których nadmiaru kraj nie ma, wyrzuciłoby się gwoli nacjonalizmu cały zastęp adwokatury dzielnej, wyrobionej, użytecznej. Poza tym, pozostałoby u adwokatury poczucie krzywdy i zwiększyłoby się rozgoryczenie w społeczeństwie wileńskim. Wątpię, by te skutki ujemne były zrównoważone przez wątpliwe korzyści takiej nagłej i gwałtownej litwinizacji. W początku września Tadeusz Wróblewski, bawiąc w Kownie, starał się na audiencji u prezesa Rady Ministrów Griniusa i ministra spraw zagranicznych Puryckiego przedstawić rządowi litewskiemu konieczność szerszego uwzględnienia praw języków miejscowych w funkcjach państwowych w Wilnie i w szczególności w sądownictwie. Złożył też o tym memoriał do rządu. Grinius i Purycki okazali się dla wywodów Wróblewskiego przychylni, natomiast minister sprawiedliwości Karoblis, któremu Wróblewski także sprawę tę referował, był zasadniczo przeciwny jakiemukolwiek rozszerzaniu praw języków miejscowych ponad to, co jest już dopuszczone w okręgu kowieńskim i co uchwaliła dodatkowo w stosunku do sędziów pokoju i śledczych Rada Ministrów. Gdyśmy wyjeżdżali z Kowna do Wilna, Frydman i ja, dwaj nie-Litwini, mianowani do Sądu Okręgowego w Wilnie, chcieliśmy sprawę używalności języków miejscowych przez adwokaturę wileńską podnieść na pierwszym ogólnym zebraniu Sądu Okręgowego w Wilnie i spodziewaliśmy się, że sprawa ta da się pomyślnie na tej drodze załatwić, nawet pomimo formalnych uchwał Rady Ministrów, ustalając po prostu w okręgu wileńskim praktykę, która była stosowana względem adwokatów w sądzie kowieńskim do czasu uchwały Trybunału. Będąc wezwany telegraficznie do Bohdaniszek, na pierwszym ogólnym zebraniu sądu w Wilnie nie byłem obecny. Gdym przyjechał do Wilna, dowiedziałem się od Zygmunta Jundziłła, że Sąd Okręgowy Wileński i prezes Kalnietis stoją kategorycznie na stanowisku żądania, by adwokatura w Sądzie Okręgowym mogła występować wyłącznie w języku litewskim. Frydman mi to potwierdził. Spróbowałem sam o tym pomówić prywatnie z Kalnietisem, ale okazało się, że jest on na tym punkcie bardzo stanowczy i ani gadania o tym nie dopuszcza, powołując się na przepisy prawa, na uchwałę Trybunału i na omawianie tej rzeczy z ministrem Karoblisem. Formalnie w myśl przepisów prawa byłem wobec stanowiska Kalnietisa w tej sprawie bezbronny.

7 października, rok 1920, czwartek
Gazety podają, że dziś spodziewane jest podpisanie w Suwałkach rozejmu litewsko-polskiego na podstawie ustalonej linii demarkacyjnej. Komisja Kontroli Ligi Narodów energicznie zabiega na miejscu, by zlikwidować zatarg, wyjaśnić sporną sprawę Oran i walk orańskich i nakazać obydwóm stronom posłuch. Można więc byłoby się spodziewać, że konflikt orężny rychło będzie zażegnany. Jednak w Wilnie uspokojenie

nie jest jeszcze mocne. Krążą wśród ludności najrozmaitsze pogłoski. Gadają, że kawaleria polska ukazała się gdzieś pod Jaszunami. Coraz więcej też zaczynają gadać o spodziewanym marszu na Wilno dywizji litewsko-białoruskiej, sformowanej w roku zeszłym w wojsku polskim. Wzmianki o tym ukazały się w gazetach wileńskich, co podsyca odpowiednie pogłoski i domysły. Niewątpliwie też są czynniki, które umyślnie rozdmuchują różne niepokojące wieści, aby utrzymać w masie ludności nastrój oczekiwania i niepewności, dla którego zresztą grunt jest tu bardzo podatny. Co do możliwości wystąpień dywizji litewsko-białoruskiej i ewentualnej skombinowanej akcji tej dywizji z zewnątrz z jednoczesnym wybuchem ruchów powstańczych od wewnątrz, to osobiście uważam to za bardzo prawdopodobne. Mam wrażenie, że Wilno czekają jeszcze różne niespodzianki, nim się jakaś sytuacja ostatecznie ustali. Dywizja ta składa się z ludzi pochodzenia miejscowego, którzy prawdopodobnie nie zechcą zrezygnować ani z powrotu do kraju, ani z faktu posiadania broni i organizacji wojskowej, toteż bardzo naturalnie może u nich powstać myśl wkroczenia do kraju i z bronią w ręku rokowania z Litwinami. Jeżeli sama dywizja litewsko-białoruska nie domyśli się do tego, to pchać ją będą w tym kierunku elementy emigranckie, które się zechcą nią posługiwać. I jeżeli sytuacja międzynarodowa usunie możność przesądzania spraw na rzecz wcielenia Wilna do Polski, to akcja prowadzona będzie pod znakiem zdobycia dla Wilna i dla Polaków litewskich odpowiedniego ustroju prawnego w państwie. Słowem, to, że stosunek formalny z Polską wkraczać zaczyna na tory jakiegoś rozejmu i pokojowego załatwienia sporu, nie gwarantuje nas jeszcze od różnych niespodzianek zatargów zbrojnych o układ stosunków wewnętrznych i może nawet od wojny domowej, której Wilno może być widownią. Możemy być jeszcze świadkami wypadków ciekawych i nadzwyczajnych, żyjemy bowiem na wulkanie. Zewnętrznym charakterystycznym zwiastunem tego stanu rzeczy jest ta cisza złowroga, która stale wisi w atmosferze Wilna. Swoją drogą, mam wrażenie, że te wypadki rozwiną się jeszcze nie zaraz. W tej chwili, pod okiem Komisji Kontroli Ligi Narodów i w momencie ustalenia formalnych przesłanek *modus vivendi* Litwy z Polską, gdy zarazem kończy się w pobliżu Wilna i ziem litewskich rozprawa Polski z bolszewikami, do wybuchu jeszcze prawdopodobnie nie dojdzie. Jeszcze pozostanie on jeszcze czas jakiś w rezerwie.

Miałem dziś znowu list z Bohdaniszek od Jakszuka, datowany 5.X. O stanie zdrowia Papy Jakszuk pisze bardzo optymistycznie. Powiada, że apetyt u Papy wyborny, żołądek regularny, pamięć – dobra, gorączki – żadnej, mowa niewyraźna tylko dlatego, że zęby (sztuczne) opadają i przeszkadzają mówić, puchliny w nogach nie ma, nawet Papa może zgiąć nogi. Wszystko to na pozór dobrze, gdyby nie jedno „ale", które Jakszuk nie uważa za groźne, ale które, zdaje się, w istocie jest najstraszniejsze i pozbawia nadziei. Oto bowiem w lewej nodze jest ranka, z której bardzo obficie sączy się materia i która sprawia ból. Jest to właśnie to, o czym mię ostrzegała stryjenka Bolesławowa Römerowa. Gdym jej opisywał stan Papy, stwierdziła ona zupełną tożsamość z przebiegiem choroby u jej zmarłego w lutym męża i uprzedzała, że jeżeli na nodze Papy znajdzie się plama, która się rozrani i z której się zacznie sączyć woda, będzie to oznaką tzw. mokrej gangreny, która niechybnie spowoduje śmierć. Przy mnie u Papy tego jeszcze nie było, ale to, o czym pisze Jakszuk, to jest to właśnie. Jakszuk ma sprowadzić do Papy doktora.

Słówko jeszcze w sprawie dopuszczenia używalności języków miejscowych przez adwokaturę w okręgu sądowym wileńskim. Gdym po przyjeździe do Wilna poruszył tę rzecz w rozmowie z prezesem sądu Kalnietisem, przekonałem się, że porozumiał się on zawczasu w tej sprawie z ministrem Karoblisem i że stoi twardo na stanowisku bezwzględnej niedopuszczalności tychże języków. Byłem tym przykro dotknięty, bo

rozumiałem, jak ta sprawa nie tylko będzie krzywdzić adwokaturę wileńską, ale też przyczyni się do dalszego jątrzenia stosunków, już bez tego zaognionych. Rozumiałem też, że wobec takiego stanowiska Kalnietisa nasz pierwotny z Frydmanem projekt podniesienia tej kwestii na ogólnym zebraniu i załatwienia jej w drodze pewnego kompromisowego *usus* – nie da się wykonać. Skoro bowiem już w Kownie ustawa obowiązująca została wyjaśniona przeciwko tej dopuszczalności języków miejscowych do adwokatury, to skoro ustawa nie uległa zmianie – nie można jej inaczej rozumieć w Wilnie, niż się ją rozumiało w Kownie. W dodatku, ja sam osobiście uczestniczyłem w Kownie w tej uchwale Trybunału, która w ten sposób wyjaśniła ustawę. Stanowisko więc Kalnietisa opiera się formalnie na ustawie i przeto w drodze uchwały ogólnego zebrania na to zaradzić niepodobna, bo Kalnietis po prostu nawet nie dopuści do omawiania tej kwestii na ogólnym zebraniu i formalnie będzie miał rację.

8 października, rok 1920, piątek
Około godz. 1 po południu siedziałem w gabinecie moim w sądzie i akurat przyszła do mnie w jakimś interesie stryjenka Bolesławowa Römerowa, gdy wtem przyniesiono mi depeszę. Przez myśl mi błysnęło, że to coś o Papie. Otwieram – czytam. Papa – umarł! Depeszuje mi Julek Komorowski. Pisze, że umarł Papa „wczoraj", to znaczy we środę 6 października, bo depesza wysłana 7-go popołudniu. Pogrzeb w sobotę w Abelach. Nie ma wątpliwości: ta ranka na nodze, o której wspominał w liście Jakszuk, z pewnością spowodowała śmierć; musiała to być gangrena.
Pogrzeb – jutro. Zatelegrafowałem do Kowaliszek, że depeszę otrzymałem dziś, że wyjadę z Wilna jutro, że proszę o odroczenie pogrzebu do czasu mego przyjazdu. Ale nie wiem, czy to się da zrobić, nie wiem, czy depesza moja będzie w Kowaliszkach otrzymana, i nie wiem nawet tego, czy wyjadę jutro z Wilna. Najbliższy bowiem pociąg na Kałkuny odchodzi jutro rano. W żaden więc sposób na jutro na pogrzeb trafić bym nie mógł, bo i na Kowno-Radziwiliszki nie prędzej bym dojechał. Ale tymczasem w ciągu dnia zaszły rzeczy, które w ogóle stawiają pod znakiem zapytania możność wyjazdu z Wilna. Od samego rana były wieści niespokojne o zbliżaniu się Polaków do Wilna. Wersje to różne. Jedni mówią ogólnikowo, że to podchodzą Polacy, inni – i ta wersja przeważa – że to nie regularne wojska polskie podchodzą, ale że to maszeruje na Wilno dywizja litewsko-białoruska czy też jakieś dwie dywizje, które się oderwały luzem od wojska polskiego. Jakkolwiek bądź – czy to jest właściwa armia polska, czy jakieś samopas dywizje – Polacy ci są pod Wilnem. Mówiono, że są o wiorst 15, inni mówili, że o wiorst 10. Skąd się zbliżają – nie wiem. Chyba że od strony Jaszun, bo na Landwarów pociąg do Kowna jeszcze dziś pod wieczór odszedł. Depesze dzienników dzisiejszych także były niepokojące. Mówią one o obecności Polaków w odległości 30 wiorst od Wilna, o posuwaniu się ich systematycznym na Wilno, a jednocześnie regularne walki toczą się gdzieś niedaleko od Oran, więc znacznie dalej od Wilna, jednocześnie mowa jest o mającym nastąpić przyjeździe do Wilna członków Komisji Kontroli Ligi Narodów, jednocześnie donosi się o tym, że w Rydze ma nastąpić podpisanie preliminarza pokojowego między Polską a Rosją bolszewicką. Logika zdawałaby się wskazywać, że skoro Polacy głoszą urzędowo, iż przeciwko Litwinom nie wojują i że wszelkie działania w tym kierunku są dyktowane jeno względami operacji wojennych przeciwko bolszewikom, że skoro Sapieha urzędowo i uroczyście zapewnia, że Polacy nie mają zamiaru iść na Wilno i nie pójdą zdobywać go z bronią w ręku na Litwinach, że skoro w Suwałkach dyplomacja polska wraz z delegacją wojenną i dyplomacja litewska doszły zgodnie do ustalenia linii demarkacyjnej, to marsz Polaków na Wilno w obliczu Komisji Kontroli Ligi Narodów i w chwili, gdy z Rosją ma być podpisany preliminarz rozejmu – miejsca mieć nie może. Jednak pogłoski i

wieści ze źródeł urzędowych o zbliżaniu się Polaków – brzmiały zupełnie kategorycznie. Ale jeszcze rano był stan takiż, jak innych dni. Tymczasem po godz. 2 zerwała się nagle wśród Litwinów panika. Widocznie się wieści pogorszyły, bo nakazana została ewakuacja. Ministerstwa, urzędy, instytucje wojskowe, stacjonowane w Wilnie, urzędnicy, zaczęli się pakować, ładować na fury i automobile i wyjeżdżać z miasta. Natychmiast zawrzało w mieście. Ulice się zaczęły napełniać ludźmi, wszędzie gromadki ciekawych, przyglądających się ewakuacji Litwinów. Miasto z godziny na godzinę czeka wkroczenia Polaków. Przywitanie będzie entuzjastyczne. Żydzi – w strachu. W chwili, gdy to piszę, jest godz.7 ½ wieczorem. Być może – dziś w nocy Polacy lub też owe dywizje zajmą Wilno. Czy Litwini będą bronić Wilna – nie wiem, ale zdaje się, że oddziały, które maszerują na Wilno, zaszły litewskim wojskom, operującym na froncie, tyły. Jeżeli dziś w nocy wkroczą Polacy, nie będę mógł jutro wyjechać, bo pociąg litewski już nie odjedzie. Nie wiem, jak dotrę do Bohdaniszek, a już chyba o obecności mojej na pogrzebie Papy nie będzie mowy. Mieszkanie moje znów puste, bo lokatorzy Litwini, którzy byli najęli pokoje, uciekli i uciekła też moja służąca Anusia Dyržisówna do Kowna. Jeżeli wyjadę ja, to wszystkie rzeczy zostaną na łasce Boskiej.

9 października, rok 1920, sobota
Godzina 10 ½ przed południem. Jestem w Wilnie. Noc przespałem na sofie w ubraniu, aby o świcie zerwać się i ruszyć na dworzec kolejowy, jeżeli można będzie. Sen miałem przerywany, czujny; każdy szum pędzącego automobilu budził mię. Noc przeszła spokojnie. Żadne zmiany nie zaszły. Nawet strzałów żadnych słychać nie było. Ciągle się w nocy wahałem – jechać czy zostać. Pogrzeb Papy i sprawy majątkowe w Bohdaniszkach nakazują mi jechać, tym bardziej, że zostaje mi tu bardzo mało gotówki na życie, natomiast puste mieszkanie, w którym ani żywej duszy nie zostaje i potrzeba opieki nad wszystkimi rzeczami moimi, które w mieszkaniu tym zostają, zaczynając od mebli, a kończąc na ubraniu, nakazują pozostać czasowo, tym bardziej, że na pogrzeb Papy już w każdym razie nie trafię. Zdecydowałem się jednak próbować wyjechać. Nie zabrałem ze sobą z rzeczy nic prawie, prócz tego, co się zmieściło w portfelu i w miniaturowej ręcznej walizeczce. O świcie pomaszerowałem na dworzec kolejowy. Tam jednak dowiedziałem się, że pociągi w żadnym kierunku nie chodzą i że wszelka komunikacja kolejowa z Wilnem jest przerwana. Wróciłem więc do domu, złożyłem rzeczy i poszedłem na śniadanie na miasto. W mieście są jeszcze Litwini. Kupiłem i przeczytałem przede wszystkim gazety ranne, które wszyscy chciwie czytają i komentują. Sytuacja, sądząc z gazet, osobliwa. Układ między Polską i Litwą o rozejmie na zasadzie znanej i ustalonej poprzednio linii demarkacyjnej – wczoraj w Suwałkach został podpisany. Wchodzi on w życie jutro 10 października. Komisja kontroli Ligi Narodów zajęta jest tymczasem dopilnowaniem wykonania linii demarkacyjnej w Suwalszczyźnie, ustalając na całej linii między stronami pas neutralny. A tymczasem Polacy się zbliżają pod Wilno od strony Jaszun. Wprawdzie komunikat sztabu litewskiego wspomina o odzyskaniu Jaszun przez Litwinów, ale wieść ta przez samych Litwinów nie jest traktowana jako objaw decydujący o polepszeniu na ich rzecz sytuacji. Niepodobna sytuacji obecnej inaczej zrozumieć i wytłumaczyć, jak że Wilno forsują nie wojska regularne polskie, lecz istotnie „dywizja litewsko-białoruska”. Masy ludowe chrześcijańskie w Wilnie nie odróżniają tej dywizji od wojsk polskich, uważają całą tę wersję o dywizji za bajkę i są przekonane po prostu, że to przychodzą Polacy. Natomiast cała inteligencja jest przekonana, że to się zbliża dywizja; przypuszczają, że ta dywizja wkroczy do Wilna i powstanie rząd odrębny, który się natychmiast obwoła za taki. Chodziłoby więc nie o bezpośrednią inwazję polską, jeno o zbrojny zamach

stanu, tylko inspirowany z Polski, dokonany zaś przez zorganizowane militarnie i politycznie czynniki krajowe polskie. Ano zobaczymy, co to będzie. Zagadka chyba się wkrótce rozwiąże. Było w gazetach rannych, że protektorat nad miastem obejmują czynniki międzynarodowych misji zagranicznych i że gubernatorem miasta z władzą nad milicją i stacjonującym w mieście wojskiem obejmuje szef misji francuskiej Reboul, pomocnikami zaś jego będą doktor Jerzy Šaulys i Tadeusz Wróblewski. Słyszałem jednak potem od Litwinów, że Reboul i alianci się cofają od tego pierwotnego projektu. Na ulicy Świętojerskiej ludzi mnóstwo. Przechadzają się, przyglądają, komentują, obserwują; naprzeciwko komendantury litewskiej i misji francuskiej gromadki ciekawych. Słyszałem od napotkanych znajomych Litwinów, że sytuacja jest dla nich zła i że dziś Polacy wkroczą do Wilna. Wacław Studnicki, którego spotkałem i który niedawno odważył się wrócić z Polski do Wilna, maszerując pieszo przez fronty i wysiedziawszy miesiąc w więzieniu w Kownie, gotuje się do wypuszczenia jednodniówki, która oczywiście dyszeć będzie ideą aneksji.
Godzina 11 ½ przed południem. Z niezbyt dalekiego oddalenia słychać wyraźne strzały armatnie. Strzały raz po raz, ale co kilka strzałów dłuższa pauza. Biedny mój kochany Papa. Zapewne akurat czas pogrzebu. Nie Tobie, Ojcze, te salwy armatnie, pociski waśni i nienawiści bratniej. Siedzę w domu.
Godzina 1.25 po południu. Wychodzę z domu na obiad. Na mieście cicho. Żadne dźwięki z ulicy nie dochodzą. Przez okna widzę na ulicy zwykłych przechodniów, zresztą rzadkich. Strzały dawno ustały. Oczywiście żadna zmiana nie zaszła. Gdyby byli wkroczyli Polacy, już bym słyszał ruch i głosy wiwatów. Zobaczymy, co mi da przechadzka po ulicy.
Godz. 3.50 po południu. Wróciłem z miasta do domu. Byłem na obiedzie w restauracji hotelu Żorża. W restauracji pustki. Potem poszedłem na szklankę herbaty do kawiarni Czerwonego Sztrala na Świętojerskiej. W całym lokalu byłem sam jeden. Przeszedłem się potem trochę po Świętojerskiej i następnie wstąpiłem do sędziego Frydmana, u którego zabawiłem z pół godzinki. Sytuacja na mieście jest krytyczna, ale też ciekawa. Reboul przejął władzę nad miastem i objął ją z ramienia trzech misji koalicyjnych – francuskiej, angielskiej i włoskiej. Ogłasza o tym obwieszczenie, zredagowane w dwóch językach – litewskim i polskim – rozplakatowane po mieście. W obwieszczeniu tym zawiadamia się, że władze litewskie opuszczając miasto, prosiły wymienione misje o zapewnienie spokoju i bezpieczeństwa w mieście. Przedstawiciele tych misji podejmują się tego zadania i obejmują władzę w zakresie milicji i komendantury miasta. Żołnierze litewscy, pozostali w mieście, to znaczy załoga komendantury, pełnić będzie funkcje wyłącznie policji. Przedstawiciele Francji, Anglii i Włoch delegują władzę przedstawicielowi Francji, pułkownikowi Reboulowi. Ogłasza się w Wilnie stan oblężenia. Znaczenie stanu prawnego, skreślonego w tej odezwie, należy rozumieć w ten sposób, że zarówno władza faktyczna litewska, jak litewska siła wojskowa jako taka, przestały w Wilnie działać. To znaczy, ewakuacja władz litewskich z Wilna w całym zakresie dokonana. Wojsko litewskie, które pozostało, nie jest tu już siłą zbrojną państwową; zostało ono zneutralizowane, to znaczy nie może być użyte do celów militarnych, jeno jest organem władzy policyjnej w mieście w ręku Reboula. Przez to samo Wilno zostało zneutralizowane i przeszło pod faktyczną władzę organu międzynarodowego. Nie wiem, czy komendant litewski pozostał. Jeżeli tak, to i on jest organem podwładnym wykonawczym. Z gmachu byłej komendantury litewskiej powiewają wielkie flagi – francuska i angielska. U drzwi wszakże są zatknięte i flagi litewskie. Słyszałem od prokuratora Rymszy, który pozostał w Wilnie i którego spotkałem na ulicy, że nowi panowie Wilna, przedstawiciele trzech mocarstw, przesłali do zbliżających się do Wilna Polaków czy też „dywizji” ultimatum, zakazujące im

wkroczenia *manu militari* do Wilna. W każdym razie zdaje się, że międzynarodowi władcy Wilna nawiązali rokowania z podchodzącymi. Zobaczymy, co to będzie. Czy może w ogóle Wilno na cały czas przejściowy zostanie zneutralizowane pod rządami międzynarodowymi w rodzaju Kłajpedy? W mieście coraz bardziej szerzy się przekonanie, że to nie marsz wojsk polskich na Wilno, lecz geneza wojny domowej Litwinów z Polakami litewskimi, a może też geneza układów i daj Boże porozumienia Litwy Kowieńskiej z Litwą Wileńską. Sądzę, że w każdym razie, choćby miała to być wojna, lepiej, żeby to była sprawa domowa, niż właściwa inwazja polska. Na ulicach miasta widać niezwykle dużo młodzieży w wieku żołnierskim. Jest to tym ciekawsze, że dotąd właśnie raził na ulicach brak takiej młodzieży. Sądzę, że to są partyzanci miejscowych organizacji polskich.
Przed zmrokiem, gdym jeszcze był u Frydmana, i po powrocie moim do domu przez czas jakiś wybuchała w różnych punktach miasta sporadyczna, ale gęsta strzelanina. Były strzały karabinowe, karabiny maszynowe, granaty ręczne. Ludzie mówią, że to akcja partyzantów. Z zewnątrz nikt dotąd do miasta nie wkroczył. Godzina 5.40 wieczorem. Od pół godziny cisza. Strzały ustały. Ulice opustoszały, mieszkańcy po domach. Jaką noc mieć będziemy? – Godz. 7 wieczorem. Na mieście cisza głucha. Zaraz się kładę spać. Pospólstwo gada, że już w mieście są „Legiony". Ale są to tylko wieści kucharek, zaludniających nasz dom. Nie mogę sprawdzić, bo pod wieczór nie wychodziłem na miasto, ale i te kucharki nie wychodziły także. Zobaczymy jutro.

10 października, rok 1920, niedziela
Godzina 8.25 rano. Noc przeszła spokojnie. Wprawdzie spałem tej nocy snem kamiennym, nie budząc się ani razu, ale sądzę, że gdyby była większe strzelanina, byłbym się obudził i słyszał. Z wyglądu ulicy Portowej przez okna mego mieszkania nic zmiarkować nie mogę: zwykły ruch poranny pospólstwa. Sądzę, że wojsk polskich w mieście nie ma, bo ruch byłby inny. Zaraz wychodzę na miasto i tam się zorientuję. Na Świętojerskiej właściwa giełda nowin; co prawda, jest i druga giełda – kucharek i stróżów, ale ta druga jest giełdą nie nowin, lecz plotek i życzeń.
Jakem wyszedł z domu, tak wróciłem o godz. 4.30. Polacy są w mieście. Okazuje się, że nie tylko są, ale wkroczyli jeszcze wczoraj, właśnie w czasie tej strzelaniny wczorajszej około godz. 4 po południu. Ponieważ wczoraj podczas tej strzelaniny wróciłem do domu i aż do dnia dzisiejszego nie wychodziłem, więc nic o tym fakcie dokonanym nie wiedziałem. Podobno wkroczeniu Polaków towarzyszyły owacje ze strony ludności cywilnej, ofiarowywanie kwiatów żołnierzom itd. Sprawdza się to, że na Wilno szła nie właściwa armia polska, jeno oddziały tzw. kresowe, jak dywizja litewsko-białoruska i inne, które formalnie oddzieliły się od wojska polskiego, urządziły pozorną rewoltę i pomaszerowały samopas na Wilno. Wodzem naczelnym tych wojsk, wykonawcą militarnym przedsięwzięcia jest generał Żeligowski, który się tytułuje wodzem naczelnym wojsk Litwy Środkowej. W ogóle cała impreza ma charakter tworzenia nowej formacji państwowej pod nazwą Litwy Środkowej. Polityczną ekspozyturą tego embrionu państwowego jest „Tymczasowa Komisja Rządząca", której skład stanowią pp. Witold Abramowicz, Aleksander Zasztowt (!), Bobicki, Szopa i adwokat Engel. Na ulicach rozlepione obwieszczenia Komisji Rządzącej. W ciągu dnia widziałem się i rozmawiałem z kilku osobami, przybyłymi z nowymi gośćmi, w szczególności z Wiktorem Wąsowiczem, Aleksandrem Zasztowtem i Konstantym Gordziałkowskim. Wiktor Wąsowicz, ten sam, z którym kolegowałem niegdyś w I kompanii I pułku Legionów i z którym dzieliłem niewczasy w Szczypiornie, i ten sam, który był do lipca roku bieżącego oficerem łącznikowym polskim w Kownie, przybył tutaj, jak powiada, przygodnie; był rzekomo wysłany do Lidy dla dokonania jakichś czynności

likwidacyjnych w dywizji litewsko-białoruskiej, nic nie wiedząc o gotujących się wypadkach; dywizji w Lidzie już nie zastał, bo wymaszerowała ona tymczasem na Wilno i tu ją dognał; ma tu z ramienia dowództwa polskiego dokonać tej likwidacji formalnej. Twierdzi, że nie ma nic wspólnego z całym tym przedsięwzięciem. Wąsowicz coś mi tam gadał o całym tym przedsięwzięciu polityczno-wojskowym „Litwy Środkowej", mówił o udziale w tym Mariana Kościałkowskiego, Prystora, ale gadał, po swojemu, chaotycznie i epizodycznie. Nie bardzo w ogóle orientuje się sam w arkanach politycznych sprawy. Aleksander Zasztowt uściskał się ze mną bardzo serdecznie, spotkawszy się na ulicy; gdym mu wyraził moje zdziwienie z powodu udziału jego w kierowniczych tej akcji elementach, zaczął mi mówić, że długo się wahał, że wreszcie doszedł do przekonania, że innej drogi rozwiązania sprawy nie ma, że przeto zdecydował się zrobić ze swojej osoby ofiarę i rzucić siebie na kartę wypadków, mając świadomość, że znalazł się w towarzystwie może nieodpowiednim i może nawet wyjdzie zwyciężony i, jak się wyraził, zbrukany, jeżeli w dziele tym zwyciężą czynniki, które są przeciwne jego zamierzeniom. Zasztowt, z którym łączyły mnie dawniej najściślejsze węzły ideowe, wyraził gorącą chęć pomówienia ze mną obszernie w całej tej sprawie, co odłożył wszakże na czas inny, bo się bardzo śpieszył, mając mnóstwo różnego zajęcia na stanowisku członka Komisji Rządzącej. Najwięcej informacji udzielił mi Konstanty Gordziałkowski, mój dawny kolega i przyjaciel z czasów paryskich. Jest on tu w roli jakiegoś przedstawiciela czy łącznika z ramienia jakiejś Konfederacji Ziem Wschodnich czy czegoś podobnego przy generale Żeligowskim. Otóż powiada, że przedsięwzięcie to opiera się formalnie na zasadach rewolty wojskowej oddziałów tzw. kresowych, które samowolnie pod wodzą Żeligowskiego oddzieliły się od armii polskiej i pomaszerowały na Wilno, dając podstawę materialną dzieła „Litwy Środkowej". Autorzy afery traktują Litwę Środkową jako twór samorzutny w granicach między byłą (do lipca roku bieżącego) linią demarkacyjną polsko-litewską a granicami na wschodzie, przyznanymi przez Rosję Litwie w traktacie pokojowym bolszewicko-litewskim. Są zdecydowani zdobyć i zająć cały ten obszar i konstytuować na nim samodzielną organizację państwową. Dążeniem ich będzie zwołanie w tych granicach Sejmu Ustawodawczego, który ewentualnie mocen będzie wejść w kontakt i układy tak z Litwą Kowieńską, jak z Polską. Zresztą już obecnie Komisja Rządząca „Litwy Środkowej" wysłała notę do Kowna, wskazując, że nie żywi do Litwy narodowej w granicach etnograficznych żadnych zamiarów wrogich, uznaje jej prawa do bytu samodzielnego i proponuje rozpoczęcie układów na zasadzie uznania przez Litwę Kowieńską takichże praw dla Litwy Środkowej. Wysłana też nota do rządu Rzeczypospolitej Polskiej, zawiadamiająca go urzędowo o powstaniu rządu Litwy Środkowej. Autorzy tej imprezy liczą na „*désinteressement*" Rosji bolszewickiej w zakresie wypadków i układu sił w terenie, ustąpionym przez nią Litwie. Liczą na to, że Rosja bolszewicka, zresztą rozbita przez Polskę i wyczerpana, nie zechce się mieszać w to, co się dziać będzie na ustąpionych przez nią Litwie terenach, a nawet się na interwencję nie odważy, bo choć preliminarz pokojowy i rozejm między bolszewikami a Polską już został w Rydze podpisany, co formalnie rozwiązuje ręce bolszewikom do swobodnego działania, to jednak będzie się bała, że w razie wmieszania się przez nią czynnego w wypadki, toczące się na terytorium Litwy, Polska ujmie się za sprawą „Litwy Środkowej" i uderzy na Rosję. W stosunku do Polski sprawa Litwy Środkowej opiera się formalnie i pozornie na „rewolcie" wojskowej, ale w istocie jest w kontakcie cichym z takimi czynnikami, jak Belweder (Piłsudski) i Sapieha (łącznikiem między Belwederem a akcją czy też „rewoltą" Litwy Środkowej jest Aleksander Prystor, który tu jest na miejscu). Narodowa Demokracja w Polsce, jak również takie czynniki w rządzie polskim, jak wiceprezes gabinetu Daszyński, podobno

wcale o tym przedsięwzięciu nie były powiadomione i zostały nim zaskoczone. Dowództwo wojskowe polskie, jak również głowa dyplomacji polskiej Sapieha umaczali w tym ręce. Jest więc ta sprawa faktycznie jednym z posunięć polityki polskiej, która formalnie, umywając ręce i niby o niczym nie wiedząc, podpisała jednocześnie w Suwałkach układ o rozejmie i o linii demarkacyjnej z Litwą, czyniąc to jawnie wobec Komisji Kontroli Ligi Narodów. Komisja ta zjechała dziś do Wilna. Jak wiem od Grodziałkowskiego, członkowie tej Komisji w pierwszym widzeniu się z Żeligowskim napadli ostro za tę akcję i oświadczyli, że zainscenizowanie tej afery przez Polskę nie ujdzie jej płazem i że Liga Narodów znajdzie sposób na ukrócenie tej akcji, zastosowując wobec Polski natychmiastową blokadę. Na to Żeligowski miał odrzec, że Litwę Środkową nic nie obchodzi, co Liga przedsięweźmie wobec Polski, bo Polska i Litwa Środkowa – to dwie różne rzeczy. Gordziałkowski twierdzi, że Komisja Ligi Narodów była zdumiona i zaskoczona rewelacjami o pochodzeniu afery tej z rewolty. Wątpię, by Komisja ta była tak źle poinformowana i tak naiwna, by mogło ujść jej wiedzy to, że w istocie jest to inspiracja Piłsudskiego i Sapiehy. Wiedzą o tym prości śmiertelnicy i wróble o tym na dachach ćwierkają.

11 października, rok 1920, poniedziałek
Rano zastanawiałem się nad ewentualnym wyjazdem z Wilna. Chodzi o to, że misje koalicyjne – Francuzi, Anglicy, Włosi – wyjeżdżają z Wilna do Kowna, ponieważ rządu „Litwy Środkowej” nie uznają, i zabierają ze sobą wszystkich pozostałych w Wilnie urzędników litewskich, którzy życzą wyjechać. Ma być podany pociąg specjalny, który zabierze wyjeżdżających. Toteż rano w lokalu misji francuskiej na Świętojerskiej oficer francuski wraz z oficerem litewskim, przydzielonym do tejże misji i korzystającym z tego tytułu z przywileju eksterytorialności, rejestrował wszystkich zgłaszających się do wyjazdu urzędników litewskich. Na wszelki wypadek zarejestrowałem się i ja, ale o godz. 3 po przepustkę nie poszedłem, bo zdecydowałem się jeszcze pozostać. Chociaż bowiem tak ze względu na potrzebę jazdy do Bohdaniszek, jak ze względu na brak gotówki do życia w Wilnie, musiałbym śpieszyć z wyjazdem, korzystając z okazji, o którą potem będzie trudniej, to jednak przywiązuje mię do Wilna mieszkanie i rzeczy moje, których porzucić tu bez opieki nie odważam się. Ostatecznie jakoś dam sobie radę, a przynajmniej dopilnuję mieszkania i rzeczy. Dopiero gdy mi się uda znaleźć jakichś pewnych lokatorów na mieszkanie, by móc powierzyć rzeczy ich opiece, będę mógł stąd wyruszyć, a przez ten czas może się i sytuacja cokolwiek wyjaśni. Zresztą obserwacja wypadków najbliższej przyszłości w Wilnie będzie same przez się ciekawa. Wczoraj mówiono w mieście, że nowe władze postanowiły internować wszystkich urzędników litewskich, którzy do dnia dzisiejszego nie opuszczą Wilna. Ostatecznie nie gniewałbym się, gdyby mię internowano, i owszem nawet, tylko jednej bowiem rzeczy bym się obawiał, aby przy ewentualnej rewizji nie znaleziono i nie zabrano mi mego dziennika, który tak starannie od lat dziesięciu prowadzę i którego wszystkie zeszyty po przyjeździe do Wilna wycofałem z Biblioteki Wróblewskiego, gdzie były one w depozycie od wiosny złożone. Ale Zasztowt, Witold Abramowicz, Konstanty Gordziałkowski zapewniają mię solennie, że mowy nie ma o tym, abym był internowany. Owszem wszyscy oni, jak również inni działacze i rzecznicy nowego rządu namawiają mię, bym pozostał i z nimi pracował, wzmacniając ich skrzydło krajowe przeciwko prądom aneksyjnym. O jakiejkolwiek jednak współpracy mojej z nimi ani mowy być nie może, raz dlatego, że nigdy nie przyłożę ręki do sprawy, która rozpoczęta została pod znakiem wojny domowej, po drugie dlatego, że w sprawę tą nie wierzę, uważam ją za chybioną i potępiam ją zasadniczo, mimo że w uczciwość intencji

i w dobrą wolę takich ludzi, jak W. Abramowicz, Zasztowt, Gordziałkowski – wierzę; zastrzegam się, że tylko w uczciwość intencji jednostek, ale nie całej sprawy.
To, com pisał wczoraj ze słów Gordziałkowskiego i innych o naturze żądań autorów „Litwy Środkowej", dotyczy właściwie tylko jednego skrzydła tego ruchu i tych działaczy, mianowicie skrzydła „krajowego". Ludzie tego skrzydła istotnie pragną utworzenia Litwy i wierzą, że ich droga stanowi w obecnych warunkach jedyną metodę skuteczną do rozwiązania państwowego problemu Litwy w sposób, który nie tylko zadowoliłby Litwinów i Kowno, ale także Polaków litewskich i Wilno. Mówią oni – a najdobitniej podkreśla to Witold Abramowicz – że gdy Litwini (to znaczy rząd i Sejm w Kownie) poczują z tej strony siłę, to dopiero zmiękną i będą musieli pójść na układ, by nie stracić Wilna, a układ taki zastrzeże sprawiedliwe stanowisko Wilna i Polaków litewskich w państwie, co nada państwowości litewskiej spoistość, której nigdy mieć nie będzie, o ile Litwini mieliby nad Wilnem panować mechanicznie. O ile wiem, ta koncepcja W. Abramowicza jest najbliższą koncepcji Piłsudskiego. Konstanty Gordziałkowski jest jeszcze bardziej pojednawczo względem Litwy usposobiony. Dziś w dłuższej rozmowie, gdym go nacisnął, o co im właściwie chodzi, gdym sprostował i ustalił należycie, jaki był charakter rządów litewskich w Wilnie i gdy wreszcie zaczął on konkretyzować żądanie i cele, odróżniające w jego pojęciu ich akcję od sprawy dotychczasowej państwowości litewskiej, okazało się, że gdyby do obecnej ordynacji wyborczej litewskiej do Sejmu wprowadzić poprawkę w systemie proporcjonalnym wyborów w kierunku mianowicie dopuszczenia sumowania tzw. resztek głosów z różnych okręgów wyborczych, co zagwarantowałoby mniejszościom zupełną obronę od zmajoryzowania ich przez większość, to już on, Gordziałkowski, byłby się na wszystko zgodził. Aż zdumiałem się, że można dla tak drobnej w istocie rzeczy usprawiedliwiać wszczynanie aż takiej awantury i rozpalać wojnę domową! Ale to świadczy tylko o chaosie dążeń, który kotłuje się w głosach tych ludzi i w całości ich przedsięwzięcia. Skrzydło „krajowców" w tej aferze, choć w obecnej Komisji Rządzącej liczy podobno większość (W. Abramowicz, Zasztowt i podobno Bobicki) i choć opiera się na potężnych inspiratorach całej afery z samym przede wszystkim Piłsudskim na czele (tu jest i wszechpotężny w całej aferze Prystor, osobisty przyjaciel Piłsudskiego, który figuruje w charakterze „łącznika z Belwederem" i choć ma rolę nieurzędową i niejawną, jednak bodajże więcej znaczy sam jeden w całej tej akcji, niż pięciogłowa Komisja Rządząca i niż generał Żeligowski), jednak skrzydło to w istocie ma w całości ruchu mniejszość. Drugim skrzydłem są aneksjoniści, którzy pragną jednej tylko rzeczy: wcielenia Wilna do Polski, a żadnej Litwy, ani Środkowej, ani innej – nie życzą sobie wcale. Dla nich cała ta afera jest tylko metodą do aneksji, jest tylko wybiegiem prawnym. Sejm w Wilnie, zwołany z „Litwy Środkowej", jest w ich pojęciu tylko zamaskowanym plebiscytem, środkiem do proklamowania przez „lud" aneksji. O tym skrzydle i o perspektywach tarć i rozdwojenia w aferze – pomówię jutro.
Z wielu względów skądinąd mi się całe to przedsięwzięcie „Litwy Środkowej" przedstawia. Jeżeli tylko Koalicja czy Liga Narodów odetnie je od Polski, od dopływu stamtąd pieniędzy, amunicji i ludzi, to sądzę, że bez większych wysiłków z zewnątrz afera ta bardzo szybko się zakończy katastrofą. Tymczasem dalszy tok afery na gruncie wileńskim jeszcze się nie skonkretyzował. Po pierwszych odezwach wczorajszych dziś nic nowego nie było ogłoszone, a że to poniedziałek, więc i gazet nie było.

12 października, rok 1920, wtorek
Głównych źródłem moich informacji o krokach i zamiarach „powstańców Litwy Środkowej" jest Konstanty Gordziałkowski, z którym spotykam się często na ulicy lub w kawiarni. Jako wydelegowany przez „Związek Federalistów" do boku generała

Żeligowskiego i będący w ciągłym kontakcie z Żeligowskim, Prystorem i Komisją Rządzącą, Gordziałkowski jest o wszystkim poinformowany doskonale. Zdaje się, że dziś Gordziałkowski wyjeżdża do Warszawy na czas jakiś, będę więc pozbawiony czasowo jego informacji, ale będę miał wiadomości i z innych ust, jak od Zasztowta, etc. Otóż dziś rano dowiedziałem się od Gordziałkowskiego, że już został ustalony skład Rządu Tymczasowego „Litwy Środkowej"[78]. Teki ministrów mają objąć: Witold Abramowicz – sprawy wewnętrzne, Jerzy Iwanowski, jeden z czterech historycznych braci Iwanowskich, były minister w Polsce w gabinecie Moraczewskiego i potem Paderewskiego – sprawy zagraniczne, Wacław Iwanowski, rodzony brat powyższego, Białorusin – aprowizacja, Stanisław Kościałkowski – oświata, Achmatowicz, Tatar litewski, prawnik, senator z czasów rosyjskich, potem przez czas jakiś minister w „Republice Krymskiej", potem sędzia Sądu Apelacyjnego w Wilnie z czasów okupacji polskiej – sprawiedliwość, Taraszkiewicz, Białorusin – nie pamiętam, jaką tekę, Aleksander Zasztowt – roboty publiczne, Antoni Jankowski – finanse, wreszcie Szopa i Engel – nie pamiętam tek tych dwóch ostatnich. Zdaje się, że to już wszyscy. O tym składzie gabinetu wiem tylko prywatnie. Dotąd gabinet ogłoszony nie został. Być może, że w składzie tym zajdą jeszcze jakieś zmiany. Co do osoby premiera, to ta jeszcze dotąd ustalona nie została. Jak mówi Gordziałkowski, ogromną ochotę zostać premierem ma Witold Abramowicz, ale przeciwny jest temu Piłsudski, który uważa, że Witold Abramowicz w roku zeszłym na stanowisku burmistrza miasta Wilna okazał się nieudolnym i „nie zdał egzaminu". Jest to nowym dowodem, jak dalece cała ta afera „powstańcza" „Litwy Środkowej" jest ściśle związana z Piłsudskim, zależna od niego i przezeń za pośrednictwem Prystora we wszystkich szczegółach wytwarzana. Jest projekt zaproszenia na premiera gabinetu p. Restytuta Sumoroka, człowieka bezpartyjnego i bardzo szanowanego powszechnie. Jeno że Sumoroka nie ma w Wilnie, bo bawi on gdzieś na wsi w pow. lidzkim czy oszmiańskim, i że sami inicjatorowie wątpią, żeby on zechciał przyjąć to stanowisko. Zasmuciła mię głęboko wiadomość, że Stanisław Kościałkowski ma wziąć udział w tym rządzie. Jest to człowiek apolityczny, bardzo szlachetny, cichy pracownik kulturalny wielkiej wartości. Był on jednym z tych Polaków wileńskich, którzy stali szczerze na stanowisku państwowości litewskiej i którzy posiadali zaufanie rzetelne Litwinów. Był on z ramienia rządu litewskiego mianowany inspektorem generalnym szkolnictwa polskiego w Litwie. Jeżeli i tacy ludzie staną do udziału w aferze Litwy Środkowej, która najboleśniej kaleczy państwowość litewską, to na kimże z Polaków potem będą się mogli oprzeć Litwini i na jakichże wreszcie elementach będzie się mogła zasadzać tak strasznie teraz nadwerężona kultura porozumienia i współżycia litewsko-polskiego w kraju? Ta idea porozumienia i współpracy dopiero, jak wątła roślinka, kiełkować zaczęła była w Wilnie wysiłkami nielicznych ludzi dobrej woli z obydwóch stron. Afera Litwy Środkowej zadała jej cios, z którego bardzo trudno będzie ją dźwignąć, a taki oto fakt, jak akces Stanisława Kościałkowskiego do tej afery, jeno pogarsza szanse porozumienia na przyszłość. Zapewne Kościałkowski traktuje ewentualne objęcie teki oświaty, jako czynność li tylko kulturalną, nie – polityczną, ale niemniej jest to aktem udziału w rządzie, a więc aktem z natury rzeczy politycznym. W gabinecie tym, prócz większości polskiej, jest Tatar Achmatowicz i dwóch Białorusinów – Wacław Iwanowski i Taraszkiewicz. Obaj ci Białorusini przyjechali do Wilna wraz z armią „środkowo-litewską" i Komisją Rządzącą i obaj od dłuższego czasu należą do grona aktywistów białoruskich orientacji polskiej. Wacław Iwanowski jest zresztą dobrym organizatorem i ma dobrą głowę. W całym gabinecie byłby on jednym z najwybitniejszych mężów. Z

[78] Na temat składu, patrz P. Łossowski, Stosunki polsko-litewskie 1918-1920, op. cit., s. 308

rozmowy, którą miałem z nim wczoraj, wiem jednak, że ma on duże wątpliwości co do skuteczności całego tego przedsięwzięcia i że bardzo trzeźwo patrzy na rozwielmożnienie się tendencji aneksyjnych w tym przedsięwzięciu Litwy Środkowej. Wiem od Antoniego Łuckiewicza, że miejscowa organizacja narodowa białoruska urzędowo zachowuje zupełną neutralność wobec nowej sytuacji i wobec wstąpienia do rządu Litwy Środkowej Iwanowskiego i Taraszkiewicza, którzy wchodzą do rządu tylko personalnie na własną rękę. Ponieważ sytuacja jest jeszcze niewyraźna i szanse afery Litwy Środkowej niepewne, więc Białorusini formalnie angażować się nie chcą, aby się przedwcześnie nie skompromitować wobec władz państwowych litewskich na wypadek ich powrotu do tej części kraju, mimo że stosunek ich do rządu litewskiego ustalił się jak najgorszy i że ze względu na zatarg ich z litewskim ministrem do spraw białoruskich Siemaszką poróżnił ich radykalnie z Litwinami. O neutralności swojej wobec afery Litwy Środkowej delegacja narodowego komitetu białoruskiego zakomunikowała wczoraj szefowi misji francuskiej przy rządzie litewskim Reboulowi przed jego wyjazdem do Kowna. W istocie jednak ta neutralność białoruska jest tylko aktem dyplomacji i przezorności. Porozumiewali się oni z Iwanowskim i Taraszkiewiczem i wspólnie ułożyli tak, aby ci dwaj wstąpili do rządu na własną odpowiedzialność. Jak każdy narodzik słaby, nie mogący liczyć na własne siły, Białorusini asekurują się na wszystkie strony i czepiają się każdej silnej strony, wszędzie mając swoich mężów zaufania, figurujących pod odpowiedzialnością własną. Gordziałkowski rachuje, że spośród tych nowych „ministrów" tylko trzech – Szopa, Engel i Jankowski – nie należą do „krajowców", to znaczy do tych, których celem jest scementowanie państwowości litewskiej. Z nich Szopa i Engel hołdują idei aneksji do Polski. W ich pojęciu i dążeniach, cała ta afera Litwy Środkowej jest tylko metodą, podyktowaną warunkami, ale niemniej mającą doprowadzić do wcielenia Wilna do Polski. Szopa proponował nawet ustalenie urzędowej nazwy „Białopolska" zamiast „Litwa Środkowa", na co się jednak nie zgodzono. Za niewyraźnego i chwiejnego w kwestii „krajowości litewskiej" czy „aneksji do Polski" uważa też Gordziałkowski Jerzego Iwanowskiego, ale pociesza się tym, że to jest człowiek słabej woli, który ulegnie prądowi dominującemu. Gordziałkowski, powołując się na liczebną przewagę w składzie „gabinetu" krajowców, uważa, że kierunek „krajowy", to znaczy rzekomo państwowy-litewski w akcji nowego rządu i całej tej akcji Litwy Środkowej jest zapewniony. Naiwny! Zdaje mu się, że historia i kierunki jakichś ruchów określają się doborem ludzi kolegialnych, nie zaś naturą i dążeniami środowisk, na których się te ruchy opierają i na których ci ludzie zasadzają swoją działalność. Skład gabinetu „Litwy Środkowej" bardzo mało wpłynie na naturę i kierunek ogólnego zjawiska.

13 października, rok 1920, środa
Byłem rano w litewskim kościółku św. Mikołaja na nabożeństwie żałobnym i następnie na eksportacji zwłok poległych w Wilnie w sobotę żołnierzy litewskich, zastrzelonych przy zajmowaniu miasta przez oddziały arlekinów quasi-powstańczych. Na katafalkach stały dwie białe drewniane trumny, ozdobione białymi kwiatami i zielonymi wieńcami. Władze pozwoliły Litwinom miejscowym na pochowanie tych zwłok. Nazwisko jednego z poległych – Šliupas, nazwisko drugiego – nieustalone. Nabożeństwo było wyznaczone na godz. 8 rano. Przyszedłem przed 8 – i już egzekwie się odprawiały. Po egzekwiach była msza żałobna. Kościółek zaczął się szybko napełniać. Było bardzo dużo młodzieży, zapewne ze szkół litewskich, dużo kobiet i w ogóle ludu z pospólstwa i prawie wszyscy miejscowi inteligenci Litwini. Byłem zdziwiony, że jednak garstka Litwinów, pomimo ucieczki ich masowej z Wilna przed wkroczeniem quasi-powstańców, pozostała jeszcze tak liczna. Jeszcze bardziej byłem zdziwiony, gdym

ujrzał liczbę tłumu na eksportacji zwłok. Liczba ta sięgała co najmniej 3000 głów. Ta więc mniejszość litewska nie jest w swojej stolicy tak już znikoma, jak się o niej lubią wyrażać Polacy, a mocą jej jest zwartość wielka, świadomość i wybitne poczucie odrębności. Czuć w tej mniejszości wolę zbiorową i siłę swoistych uczuć. Pogrzeb dzisiejszy był manifestacją tej twardej woli narodowej i solidarności w sprawie swojej litewskiej. Była to manifestacja cicha, skupiona, smutna, owiana żałobą straty Wilna i powagą smutnej wojny domowej, której ofiary Litwini dziś chowali. Na mnie samego poczucie tej krwi litewskiej, przelanej ręką bratnią w wojnie domowej, działało w najwyższym stopniu podniecająco, budząc jakąś formę mistyczną i jakiś zmysł nowy czucia ostatnich wypadków. Zaiste przez pryzmat krwi przelanej jakaś ohyda otacza dzieło owej „Litwy Środkowej". Smutnie i poważnie, ale z podniesionym czołem, jako nie sprawcy, lecz ofiara wojny bratobójczej, kroczyli w orszaku żałobnym Litwini, a serca tego ludu pasły się krwią. Niech jej ciężar spadnie na sumienie tych, którzy dziś zasiedli w fotelach ministerialnych rządu Litwy Środkowej, a zwłaszcza na tych, którzy rzekomo mienią się być „krajowcami" i chcą metodą rozlewu krwi budować spójnię państwową litewską! Do tych spośród autorów arlekinady i afery środkowo-litewskiej, którzy, jak Szopa i Engel, chcą aneksji Wilna do Polski, nie kieruję zarzutu. Ci są logiczni i ściśli. Dla nich to nie jest wojna domowa, dla nich jest to forma walki Polski z Litwą o posiadanie Wilna, o realizację praw, które w ich rozumieniu należą się Polsce. Inaczej jest w stosunku do tych, co niby chcą tą metodą realizować jeno poprawki do budowy państwowości litewskiej. Ci ponoszą ciężar wojny domowej, ciężar argumentów krwi, które chyba muszą się przeciwko nim zwrócić, a w każdym razie plamić ich będą, gdyby nawet dzieło ich zbankrutowało. Nie mogą tego nie czuć oni sami, a przynajmniej wrażliwsi z nich. Mówił mi Zasztowt, że gdy, jadąc do Wilna, usłyszał głosy strzałów, serce mu się ścisnęło i wzdrygał się na myśl, że droga powrotu do Wilna prowadzi go przez krew litewską. Ale cóż z tego, że się serce ściska, skoro pomimo to idzie.
Przez cały ranek huczały dziś w pobliżu Wilna strzały armatnie. Toczyła się bitwa z Litwinami, jedni mówią – pod Zameczkiem, inni – pod Bołtupiem. Po obiedzie strzały ustały.
Ogłoszony dziś w gazetach skład nowego rządu. Zamiast ministeriów są departamenty, zamiast ministrów – dyrektorowie departamentów. Stanisław Kościałkowski nie objął teki oświaty, jeno Wydział Oświaty Polskiej w Departamencie Oświaty obok Taraszkiewicza w Wydziale Oświaty Białoruskiej; wydziały oświaty żydowskiej i litewskiej wakują. Wakują teki sprawiedliwości, finansów i rolnictwa (ta ostatnia prowizorycznie w ręku Białorusina Wacława Iwanowskiego), ponieważ upatrzeni kandydaci są nieobecni; posłano po nich; są nim Achmatowicz, Antoni Jankowski i na rolnictwo Ludkiewicz, podobno – Zdzisław. Jeżeli teka rolnictwa będzie powierzona Zdzisławowi Ludkiewiczowi, byłemu redaktorowi ziemiańskiego „Tygodnika Rolniczego" w Wilnie, który choć jest fachowcem-agronomem, jednak społecznie trzymał się zawsze klamki pańskiej i już nałogowo przywykł nie tylko do obrony interesów ziemiańsko-obszarniczych, ale do apoteozowania ich, to liczyć na zapowiadany przez lewicę tych panów radykalizm reformy agrarnej będzie niepodobna. Będzie to reforma nie na rzecz programów chłopskich, ale reforma ustępstw programu ziemiańskiego. A mam wrażenie, że reforma rolna będzie właśnie głównym probierzem mocy całego przedsięwzięcia. Radykalna chłopska reforma agrarna byłaby jednym z najsilniejszych atutów sprawy Litwy Środkowej. Czy jednak ci panowie odważą się na nią i czy nie skapitulują wkrótce wobec sprzeciwu obszarników – to kwestia. Jeżeli skapitulują – to się osłabią bardzo, a jeżeli nie skapitulują – to zacznie się między nimi a Litwinami licytacja, którą płacić będą ziemianie.

Wczoraj napisałem dla „Echa Litwy” , które zostało wznowione, artykuł pod tytułem „Naiwni”, w którym wykazuję naiwność tych rzekomych „krajowców”, co sądzą, iż operując uczuciem narodowym polskim, polskimi narodowymi godłami, barwami itd. skierują ruch nie do Warszawy, lecz do kontaktu z Kownem i do spojenia Litwy. Dałem dziś ten artykuł Stadziewiczowi. „Echo Litwy” dziś nie wyszło, bo władza zamknęła pismo ze względu na to, że nie postarało się o pozwolenie, ale udzieliły pozwolenia na „Głos Litwy”, który jutro wyjdzie. Do „Gazety Krajowej” pisać już nie mogę, bo stanęła ona na gruncie „faktu dokonanego” i zaczęła ostro i niesprawiedliwie atakować Litwinów, działając na rękę antylitewskiej hecy.

14 października, rok 1920, czwartek
Przed południem słychać było i dziś huk wystrzałów armatnich, ale już bardziej oddalonych, niż wczoraj. Litwini zostali bowiem odparci dalej od Wilna. Jedne gazety podają, że Litwinów odparto o 20 wiorst od Wilna, na Mejszagołę, inne – drukują komunikat sztabu wojsk Litwy Środkowej, podług którego Litwini zostali odparci do linii rzeczki Rzeszy.
Wczoraj i dziś do obiadu, widocznie z powodu toczącej się bitwy, która spowodowała użycie wojsk na froncie, ulice Wilna znowu jakoś bardzo opustoszały. Żołnierzy spotyka się w mieście bardzo mało, kawiarnie i restauracje świecą pustkami, na ulicach ruch ludności – słaby. W ogóle Wilno, które w niedzielę, nazajutrz po wkroczeniu wojsk quasi-powstańczych, wyległo tłumnie na ulicę i w osobie ludności chrześćjańsko-polskiej manifestowało z zapałem na Placu Katedralnym, już od poniedziałku znowu się uciszyło. Przedsiębiorcy różnych zakładów jadłodajnych, pamiętając ożywiony ruch i przelewanie się rzek pieniędzy za czasów poprzednich rządów polskich w Wilnie, pośpieszyli od niedzieli otworzyć szereg swoich restauracji i kawiarni, które za czasów bolszewickich i litewskich były nieczynne. Nagle namnożyło się restauracji, zwłaszcza eleganckich pierwszorzędnych („Bristol”, „Myśliwska” i wiele innych), jak grzybów po deszczu. Liczono, że „powstańcy” Litwy Środkowej, których lud wileński utożsamiał z wojskiem polskim, przybywając gromadą, jak niegdyś Polacy, sypną gotówką i znów się rozpoczną w Wilnie złote czasy wielkiego ruchu. Tymczasem restauracje i kawiarnie po dawnemu, jak za czasów litewskich, świecą pustkami, a nawet mniej, zdaje się, miewają gości, niż w ostatnich czasach pobytu Litwinów, kiedy się już zaczęły przenosić z Kowna do Wilna instytucje państwowe wraz z urzędnikami litewskimi i kiedy to Żydzi poruszali się po mieście swobodnie, nie bojąc się niczego. W ogóle po entuzjazmie niedzielnym rozpoczęło się wśród pospólstwa wileńskiego pewnego rodzaju otrzeźwienie, pewien zaród sceptycyzmu do nowych władców, pewna reakcja zastanowienia. Pospólstwo polsko-wileńskie zna Litwę i Litwinów, do których żywi różne żale i urazy, zna Polskę, ale nie zna i nie rozumie „Litwy Środkowej”. Toteż już pierwsze odezwy nowej władzy, czytane skwapliwie przez ludność, ostudziły nieco zapały i dały do myślenia. Zaczęto przebąkiwać o tym, że to są powstańcy, że to coś niepewnego, że rzecz nie jest tak wyraźna, jak się z początku zdawało. Na ogół nie można powiedzieć, żeby zapał znikł zupełnie, ale że nieco się umitygował i że zaczęły gdzieniegdzie wśród ludu powstawać zastrzeżenia – to fakt. Woźni różnych instytucji publicznych, niżsi urzędnicy itd. – zaczęli medytować. A ponieważ przewiduje się powszechnie, że nowy rząd będzie miał wielkie trudności finansowe i aprowizacyjne, z którymi nie wiadomo, jak się upora, więc i entuzjazm z pewnością nadał przygaśnie jeszcze. Nie będą to owe czasy polskie, kiedy to Polska, poniekąd automatycznie przez wielki ruch wojska i przez skoncentrowanie w Wilnie wielkiego aparatu administracyjnego w postaci Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, a poniekąd rozmyślnie przez politykę zjednywania sobie ludności, sypała w Wilnie hojnie

pieniędzmi i importowanymi z Polski, nieraz kosztem jej własnego niedostatku, produktami, utrzymywała w Wilnie zbytkownie całe armie pasożytniczych pracowników i urzędników ponad potrzebę rzetelnej pracy i nie tylko ich opłacała sowicie, podnosząc co parę miesięcy coraz to różne dodatki do pensji, ale jeszcze obdarzała tak obfitym „deputatem" żywnościowym, że znaczną część jego odbiorcy mogli sprzedawać na stronę, znakomicie powiększając swoje dochody. A ludność jest ogromnie w sympatiach swoich wrażliwa na pieniądz i na produkty.
Dziś po południu wkroczyła do Wilna kawaleria Dąbrowskiego[79]. Ludność żydowska – w strachu. Bo kawaleria Dąbrowskiego – to znana z dzielności bojowej, ale także z radykalizmu reakcyjnego, a więc i z antysemityzmu o zabarwieniu pogromowym, formacja ochotnicza kresowych litewsko-białoruskich paniczów i ich ekonomów i furmanów. Jest to coś w rodzaju kozaków polsko-obszarniczych; pełno tam temperamentu dzikiego, awanturnictwa, ducha hajdamaków szlacheckich. Żołnierz to doskonały do bitwy, do hulanki wściekłej i do awantury, kochanek wszystkich dziewcząt wileńskich, natury półdzikie, w których gra krew przodków kresowych z XVII stulecia. Na Placu Katedralnym odbyła się uroczystość przywitania dąbrowczyków, których ludność wileńska ustroiła w pęki kwiatów, zdobiąc zarówno rycerzy, jak konie. Malownicze to wojsko przejechało ul. Świętojerską i rozłożyło się wielkim obozowiskiem na Placu Łukiskim. Miasto się ożywiło, ul. Świętojerska zaroiła się kobietami, a wieczorem pędziły już po ulicach dorożki, napełnione śpiewającymi i grającymi na harmonijkach żołnierzami, restauracje poiły rycerzy i panny wileńskie słodko gwarzyły z dąbrowczykami, tając z rozkoszy w przedsmaku nocnych objęć żylastych muskułów męskich. Obecność dąbrowczyków dodała nowego animuszu polsko-chrześcijańskim Wilnianom i Wilniankom, stropionym nieco niezrozumiałą kombinacją „Litwy Środkowej". W obliczu dąbrowczyków, którzy są jakby wcieleniem ducha wojny i bujnego życia, nie znającego kresów i misternych sieci pajęczych polityki i dyplomacji, frajdą jest cała „Litwa Środkowa".
Spotkałem w tych dniach na ulicy sędziego pokoju z Kolna, Radgowskiego, w mundurze szeregowca. Gdy bolszewicy zajęli Kolno, wstąpił do armii ochotniczej, tworzonej przez Hallera, i na skutek różnych przydziałów dostał się do formacji dywizji litwsko-białoruskiej. Tą drogą zawędrował do Wilna i zabrnął wbrew woli i wiedzy w awanturę „powstańczą", nie mając ani z nią, ani z Wilnem i Litwą nic wspólnego. Narzekał przede mną na to wojsko, które nazywa „grandą", to znaczy szumowin zbiorowiskiem, i myśli tylko o jednym, aby czym prędzej stąd się wycofać i umknąć do Polski, otrząsając proch ze stóp swoich. Powiada, że żołnierze chwalą się otwarcie przed ludnością narabowanymi pierścionkami i zegarkami, oficerowie patrzą na to przez palce, skargi skutku nie odnoszą, a inteligent jest w środowisku żołnierskim przedmiotem szykan, nienawiści i drwin, co czyni pobyt w tym wojsku trudnym do zniesienia.

15 października, rok 1920, piątek
Strzały armatnie znów słychać było, ale już w znacznym oddaleniu. Zresztą Litwini, choć się cofają przed naciskiem wojsk Żeligowskiego, jednak walczą ciągle i bronią piędź za piędzią terenu. W dniu wczorajszym, jak donosi komunikat sztabu „Litwy Środkowej" wojska litewskie (nie „środkowe") odparte zostały na linię Suderwy. Że Litwini bronią energicznie terenu, o tym świadczy nie tylko powolne posuwanie się wojsk generała Żeligowskiego, ale także duża ilość rannych, przywożonych z frontu. Od tygodnia, odkąd zawitały do Wilna quasi-powstańcze wojska „Litwy Środkowej",

[79] Dąbrowski Jerzy (1888-1933), major wojsk polskich, historyk wojskowy. Odznaczony m. in. za akcję wileńską gen. Żeligowskiego Krzyżem Zasługi Litwy Środkowej.

ceny wszystkich towarów. a zwłaszcza produktów spożywczych wzrosły już przeszło dwukrotnie. Sam chleb razowy, który za czasów litewskich kosztował po 6 marek polskich funt, dziś dochodził już do 18, 19 i 20 marek polskich funt. Kartofle, jaja, mięso, słonina, tłuszcze wszelkie rosną w cenach jak na drożdżach. Przyczynia się do tego zarówno brak podwozu ze wsi i dowozu z zewnątrz, jako też niepewność sytuacji politycznej i powszechna świadomość wielkich trudności finansowych i aprowizacyjnych, jakie powstają wobec nowych władz. Ludzie, najbardziej zbliżeni do tych władz, a nawet one same nie tają w rozmowach, że perspektywy aprowizacyjne są w stanie rozpaczliwym i że perspektywy finansowe są równie ciężkie. Samo wyżywienie wojska napotyka na trudności nieprzezwyciężalne, bo musi się ono żywić z kraju, który jest ubogi z natury i wyniszczony ciągłymi wojnami i okupacjami. Pieniędzy władze odczuwają brak wielki. Komunikacji z Polską jeszcze regularnej nie ma, a jeżeli nawet zostanie nawiązana, to na duży i regularny dopływ trudno liczyć już choćby dlatego, że Polska, zmuszona do pozorowania neutralności, nie będzie mogła jawnie i na dużą skalę subsydiować quasi-powstańczej Litwy Środkowej pieniędzmi i produktami, nie mówiąc już o tym, że Polska sama ma środki ograniczone. Przyczynia się to do dalszego rozluźnienia dyscypliny w wojsku, do niezadowolenia, wzmagania się rabunków, spotęgowania rekwizycji itd. Bardzo prawdopodobne, że spowoduje to coraz większy odpływ z wojska licznych w nim elementów królewiackich i poznańskich, przynajmniej uczciwszych, rozgoryczenie ludności wiejskiej, ulegającej rekwizycjom, i ludności miejskiej, która liczyła na powrót złotych czasów okupacji polskiej, sypiącej pieniędzmi i produktami, a której grozić zaczyna głód. Już teraz sarkanie w mieście ludności uboższej jest coraz większe, chociaż skierowuje się ono głównie na rzekomą spekulację i na Żydów. Jak dalece nowe władze nie mają pieniędzy, to sądzić można choćby z tego, że, jak wiem od Gordziałkowskiego, jest to głównym powodem, iż dotąd żadna akcja dyplomatyczna w Europie przez czynniki Litwy Środkowej nie mogła być wszczęta. A akcja taka jest przecie po prostu potrzebą życia całej tej imprezy, ale kosztuje bardzo drogo, nie tylko dlatego, że samo utrzymanie agentów w stolicach Europy kosztuje drogo, ale jeszcze bardziej dlatego, że trzeba sum ogromnych na propagandę w wielkiej prasie europejskiej. Tu każdy dzień zmarnowany na targowisku polityczno-międzynarodowym jest niebezpieczny. Litwini nie drzemią i tymczasem poruszają na swoją korzyść przeciwko „Litwie Środkowej" wszystkie sprężyny, które im są dostępne. Maksimum wysiłkówześrodkowali oni na akcję dyplomatyczną. Purycki, Voldemaras, Ślażewicz bawią osobiście za granicą i kierują akcją forsownie. A Litwini mają już w Europie w ciągu dwóch lat praktyki dyplomatycznej swoje drogi, stosunki, wpływy, punkty oparcia, które wyzyskiwać będą z całą mocą, nie szczędząc wysiłków i środków. Natomiast Polska, która by poparła chętnie swoją pupilkę „Litwę Środkową" i która wpływy ma w Europie nie mniejsze, choć inne, niż Litwini, jest skrępowana swoją komedią neutralności i niby „rewolty" przeciwko niej, z jakiej się pozornie narodziła „Litwa Środkowa". Sama zaś „Litwa Środkowa" dotąd z braku pieniędzy – i ludzi także – akcji własnej nie podjęła w Europie, poza tym, jest tworem nowym i Europie podejrzanym, żadnych stosunków, wpływów i dróg kontaktu z rządami Europy i prasą nie ma. Akcja dyplomatyczna tych panów ograniczyła się dotąd na wysłaniu trzech not – do rządu Rzeczypospolitej Polskiej, do Kowna i do wszystkich mocarstw europejskich oraz Ligi Narodów. Żadnej odpowiedzi na te noty nie otrzymano. Że Kowno, negujące „Litwę Środkową", która nań napadła i którą ona traktuje za pospolity rozbój militarny, nie odpowie – to więcej niż pewne. Że rządy europejskie i Liga Narodów milczy – to też zrozumiałe, bo twór „Litwy Środkowej" nie jest przez nikogo uznany i Europa w najlepszym razie sama jeszcze nie wie, co o nim sądzić. Ale i Rzeczypospolita Polska dotąd nic nie

odpowiedziała, bo, choć cała ta afera jest dzieckiem Piłsudskiego i Sapiehy, jednak *primo* Polska się nie wyczerpuje na Piłsudskim i Sapieże, *secundo* musi Polska się liczyć z pozorami swej neutralistycznej inscenizacji tej afery i musi wpierw wyczekać wrażenia w Europie, na które tymczasem tylko pokątnie oddziaływać może, zachowując pozorną rezerwę ostrożności, by się nie wyrwać przedwcześnie pierwszej z uznaniem „Litwy Środkowej” i nie zdemaskować gry swojej. Czynniki rządowe „Litwy Środkowej” są wciąż jeszcze na rozdrożu i wierzą tylko w jeden swój atut – w fakt dokonany, który śpieszą mocno, zwłaszcza militarnie, utrwalić. Dla wybadania sytuacji w Warszawie i nawiązania nici dla przyszłej akcji dyplomatycznej wyjechał do Warszawy Aleksander Prystor.
Już się ujawniają w kołach głównie wojskowych prądy do rozszerzenia afery w kierunku „marszu na Kowno”. Jak wiem od Gordziałkowskiego, nawet Żeligowski chwilami skłania się do tej myśli, choć na ogół tymczasem wstrzymuje wojsko od tego. Że prądy takie zyskują na popularności w wojsku – to jest psychologicznie bardzo zrozumiałe. Nie ręczę bynajmniej, że do tego nie dojdzie. Trudności aprowizacyjne, niedostatek w wojsku i świadomość, że tuż obok w Litwie Kowieńskiej, miodem i mlekiem płynącej, jest raj obfitości, muszą też ten prąd podniecać. Czynniki polityczne tzw. „krajowców”, którzy dziś są u władzy w Wilnie, są pod tym względem rozdwojone. Jeżeli zostaną one zepchnięte przez aneksjonistów, co jest bardzo prawdopodobne, to w sferze czynników politycznych „marsz na Kowno” zapewne będzie odrzucony, ale kto wie, czy w całej aferze wezmą górę czynniki polityczne czy soldateska. Jeżeli dojdzie do marszu na Kowno, to tam będzie zapewne grób całej awantury, bo chłop litewski powstanie tak, jak w roku zeszłym powstał przeciwko bermondczykom i zgotuje krwawą łaźnię śmiałkom.

16 października, rok 1920, sobota
I dziś także słychać było strzały armatnie, zwłaszcza po obiedzie, nawet dość gęste i to głośniejsze, niż wczoraj, więc zdawałoby się, że raczej z mniejszej, niż dalszej odległości. Gazety ranne doniosły, że wojska „Litwy Środkowej” zajęły wczoraj Landwarów i Stare Troki, a Konstanty Gordziałkowski, który jest bliski generała Żeligowskiego, twierdzi, że dziś wojska te zdobywają Jewje, to znaczy, że dochodzą do byłej linii demarkacyjnej litewsko-polskiej, którą Żeligowski w swym pierwszym dekrecie, jakby konstytucyjnym, datowanym z dnia 12.X., ogłosił za granicę zachodnią Litwy Środkowej. Huk strzałów dzisiejszych zdawałby się wskazywać, że bitwa toczy się nie tak daleko, ale być może, że górzyste okolice Wilna mylą echo zależnie od tego, skąd głos idzie.
Gdy wojska Litwy Środkowej dojdą do byłej linii demarkacyjnej, to zobaczymy, czy staną na niej, czy też zdecydują się posuwać się dalej. Tendencja do „marszu na Kowno” będzie niewątpliwie wielka. Będzie nęcić zamożność Kowieńszczyzny, zachęcać będzie powodzenie dotychczasowe, poczucie, że szczęście odważnym sprzyja, wreszcie – chęć radykalnego zlikwidowania całej sprawy przez militarne przesądzenie jej na swoją korzyść. Wojsko, które już raz weszło na tory samodzielnego załatwiania orężem spraw politycznych i życzeń swoich, nie licząc się z żadnymi innymi względami, prócz woli swojej, niełatwo daje się zatrzymać u jakichś granic konwenansowych. Nie trzeba też zapominać, że wojsko to wraz z jego dowództwem zdaje sobie sprawę z awanturniczości całego przedsięwzięcia, z trudności finansowych i wszelkich innych, które sprawa napotyka i napotykać będzie, wreszcie z tego, że czynniki międzynarodowe będą sprawę wikłały i może usiłowały zlikwidować. Czują, że dużo jest czynników przeciwko nim, a po ich stronie tylko ich własny militarny czyn. Toteż rozumieją, że w tych warunkach połowiczne przewlekanie sprawy jest dla nich

szkodliwe i będą dążyły do tego, aby wyzyskać swoje powodzenie radykalnie, pchnąć je do końca, wyciągnąć z niego wszystkie konsekwencje militarne, sforsować Litwę i zmusić Litwinów do przyjęcia narzuconych logiką oręża warunków. Wszystko sprzyja temu, aby psychologia wytwarzania bezwzględnych faktów dokonanych zwyciężyła wszelkie inne względy. Nie wiem, czy głosy rozwagi i umiarkowania polityków cywilnych zdołają powstrzymać ten rozpęd psychologii i czynu militarnego. Zresztą z różnych stron podnoszą się za tym i głosy ludzi cywilnych, którzy pragnęliby tą drogą bądź zaspokoić swoją nienawiść i żale do Litwinów, bądź obronić Polaków litewskich i ziemian polskich w Kowieńszczyznie od krzywdy Litwinów. Na razie politycy jeszcze wstrzymują dowództwo wojskowe, ale co będzie dalej – to jeszcze nie wiadomo. Wiem od Gordziałkowskiego, że jednak Żeligowski kilka już razy wracał do tej myśli, że dziś jeszcze Bobicki, szef sztabu Żeligowskiego i dyrektor Departamentu Obrony Krajowej w Komisji Rządzącej, twierdził, że niezbędne jest zajęcie co najmniej Koszedar. Skądinąd „krajowcy" z lewego skrzydła Komisji Rządzącej, jak Aleksander Zasztowt, z którym miałem wczoraj długą rozmową i dyskusję o jego udziale w tej aferze, są zdecydowani za wszelką cenę się opierać dążeniu do inwazji na Kowno, uznając, że byłoby to pogwałceniem elementarnych praw suwerennych narodu litewskiego, i gdyby miało do takiego „marszu" przyjść, są zdecydowani wystąpić z protestem publicznym i wycofać się z całej sprawy.

Gazety dzisiejsze przyniosły streszczenie deklaracji prezesa gabinetu polskiego Witosa na posiedzeniu Sejmu w Warszawie w sprawie wypadków wileńskich. Z ust Gordziałkowskiego znam mniej więcej *in extenso* całą deklarację Witosa. Treść jej polega na tym, że Witos stwierdza, iż rząd Polski, uznając zasadę samookreślenia ludów, nie może odmówić uznania rządowi, który powstał „samorzutnie" w Wilnie; że wszakże, pomny, iż ludność terenów, nazwanych „Litwą Środkową", niejednokrotnie bardzo kategorycznie wyraziła swą wolę należenia do Polski, rząd warszawski musi wpierw otrzymać od rządu wileńskiego gwarancje ścisłe tego, iż ludności będzie dana możność formalnego samookreślenia się państwowego, które sfałszowaniu nie ulegnie; że niezależnie od tego, przez wzgląd na dyscyplinę wojskową, będzie w Polsce wdrożone śledztwo względem owego samowolnego wymarszu oddziałów kresowych na Wilno i że winni (chyba o tyle, o ile się oni znajdą lub wrócą na terytorium polskie) ulegną karze. To ostatnie, jak zresztą cały ton mowy Witosa, są oczywiście jeno dowcipnym pozorowaniem wobec Europy rzekomej niby nieświadomości Polski zawczasu o całym tym przedsięwzięciu. Ciekawe są jednak w deklaracji Witosa zwroty, wskazujące, że rząd polski nie tylko się nie wyrzeka, ale poniekąd nastaje na zabezpieczenie przez rząd „Litwy Środkowej" praw polskich do aneksji tego kraju, czemu chyba ci nasi „środkowo-litewscy" „krajowcy" nie mogą sprzyjać. Ale zresztą pod tym względem głowy naszych rzekomych „krajowców" są pełne bigosu. Ale co najciekawsze, a co również wiem od Gordziałkowskiego, że przed otrzymaniem przez radio wileńskie tekstu deklaracji Witosa było otrzymane od Piłsudskiego osobiście doniesienie o treści tej deklaracji ze wskazaniem, żeby sobie nic w Wilnie z pozornie groźnych słów Witosa nie robić. Piękna komedia, którą gra Polska, a w szczególności Piłsudski! Piękna mi „neutralność", wygrywana przed Europą! I piękne spiskowanie Naczelnika Państwa!

Zanotuję jeden przyjemny szczegół. Oto Stanisław Kościałkowski, o którego udziale w budowie rządu wileńskiego wspominałem, cofnął się i żadnego udziału nie bierze. Cieszę się z tego serdecznie, bo przynajmniej ten człowiek ocalał dla przyszłego ewentualnie i tak trudnego po tym, co się stało, budowania porozumienia litewsko-polskiego w kraju.

W chwili, gdy to piszę, jest godzina 10.30 przed północą. Działa grają w oddali; słychać huk ich wyraźnie. Bitwa więc się toczy. Jednak więc Litwini biją się ciągle i nie dają się pędzić jak barany. Jeżeli są zmuszeni się cofać, to czynią to dzielnie.

17 października, rok 1920, niedziela
Jeszcze Jewje nie zostało wzięte. Opór Litwinów jednak wcale słaby nie jest. Przez tydzień wojsko Żeligowskiego posunęły się naprzód zaledwie o 20-25 wiorst, pomimo że niewątpliwie w obecnych warunkach przewaga liczebna jest po ich stronie. Litwini bowiem zapewne ściągają dopiero swe wojsko z Suwalszczyzny, a zresztą zmuszeni są część tychże zachować wzdłuż linii demarkacyjnej polskiej w Suwalszczyźnie i na północy wzdłuż linii faktycznego zetknięcia się z wojskami również polskimi, które usunęły aż po Dźwinę bolszewików i z którymi dotąd linia demarkacyjna ustalona jeszcze nie została. Tymczasem wojska Żeligowskiego, opierając się tyłami o zajętą przez Polaków Lidę, skąd nie tylko są zabezpieczeni, ale jeszcze mają stałe źródło sukursu w postaci dopływu amunicji i ewentualnie zasiłku ludzkiego, operują w niewielkim promieniu Wilna. Oni więc mają siły skoncentrowane i mocno o tyły w postaci Polski oparte, podczas gdy Litwini tylko część sił mogą przeciwko nim zużytkować. Chociaż Polska jest niby w aferze tej „środkowo-litewskiej" neutralna i niby afera ta opiera się pozornie na „rewolcie" względem dowództwa polskiego, to jednak wiadomo dobrze, że w istocie nowotwór „Litwy Środkowej" jest dziełem Polski, jest strumieniem zamaskowanej interwencji militarnej polskiej w sprawy litewskie i że Polska dzieło „Litwy Środkowej" popiera. Otóż gdy Żeligowski z Wilna posuwa się na Jewje[80] i gdy Litwini stawiają mu opór, jednocześnie na dwóch przeciwległych skrzydłach tego wileńskiego teatru tragikomedii wojny domowej, w Oranach i Święcianach, stoją quasi-neutralne wojska polskie, które obserwują walkę, ale w razie niepowodzenia Żeligowskiego mogą w każdej chwili przejść ze stanu biernego w stan czynny i rzucić się na Litwinów, gdyby ci brali górę, ściskając ich z dwóch stron. To oczywiście musi krępować bardzo Litwinów w akcji przeciwko Żeligowskiemu, zmuszając ich do czujnego strzeżenia i obserwacji skrzydeł polskich. Co do „neutralności" bowiem Polski, to bardzo charakterystyczny jest ustęp w deklaracji sejmowej Witosa, o którym wczoraj nadmienić zapomniałem. Mówi on tam mianowicie, że gdyby ktoś z zewnątrz usiłował przemocą zadać gwałt rządowi „Litwy Środkowej", to Polska uważałaby to za pogwałcenie prawa samookreślenia ludności Ziemi Wileńskiej i nie mogłaby tego tolerować. Oczywiście tym „kimś" może być tylko Litwa właściwa. Jest to więc groźba, skierowana wyraźnie do Litwy, że jeżeli ona zajmie militarnie Wilno, to Polska tego nie ścierpi i zainterweniuje bezpośrednio na rzecz Żeligowskiego i „Litwy Środkowej". Jak wiadomo, na podstawie suwalskiego rozejmu polsko-litewskiego, wojska polskie zajmują linię demarkacyjną Orany-Ejszyszki-Bastuny. Dalej ustalonej linii demarkacyjnej tymczasem nie ma. Otóż Polska, posunąwszy się stamtąd w wojnie z bolszewikami dalej na północ, zajęła na terytorium litewskim, ustąpionym Litwie przez Rosję, Oszmianę, Soły, Święciany i zaproponowała Litwie nową konferencję dla ustalenia linii demarkacyjnej od Bastun przez powyższe punkty (Oszmiana-Soły-Święciany). Tą drogą Polska opasała półkolem Wilno (Orany-Ejszyszki-Bastuny-Oszmiana-Soły-Święciany), a w środek tego półkola wpuściła swego pupila Żeligowskiego, grożąc interwencją, gdyby mu Litwini wyrządzili krzywdę. Jednocześnie na zasadzie rozejmu ryskiego z bolszewikami Polska uzyskała dla siebie powiaty wilejski i dziśnieński jako korytarz północny do granicy łotewskiej, biegnący wzdłuż wschodniej granicy litewskiej i oddzielający na całej linii Litwę od

---

[80] (Jewje) Jewie. Nazwa w użyciu litewskim – Vievis.

Rosji. Tą drogą akcja Żeligowskiego została przez Polskę zabezpieczona ze strony rosyjskiej. Tak wygląda „neutralność" Polski w sprawie wileńskiej, która faktycznie została zupełnie przez Polskę ujęta w swoje ręce, a Litwa postawiona została wobec faktu, który groźbą interwencji polskiej związuje jej ręce. Tak realizuje Piłsudski hasło „wolni z wolnymi i równi z równymi" i tak fabrykuje on swobodę „samostanowienia" ludów. Jest to oczywisty rozbój na otwartej drodze, bandytyzm polityczny, który się zamaskować nie daje. Pozycja Litwy jest bardzo trudna. Będzie ona szczególnie trudna, jeżeli czynniki międzynarodowe nie zdołają czy nie zechcą zmusić Polski do zachowania ścisłej neutralności. Wtedy Litwa na razie być może istotnie nie zdoła uporać się z dziwacznym nowotworem „Litwy Środkowej", który stanie się formą przejściową do aneksji Wilna na rzecz Polski. Na dłuższą jednak metę w żadnym razie te misterne kombinacje Piłsudskiego, polegające na tworzeniu aktywistycznych Ukrain i Białych Rusi na wschodzie, pozbawionych oparcia w masowych ruchach narodowych, na korytarzach wilejsko-dziśnieńskich, operujących ludnością prawosławną, kategorycznie wrogą Polsce, i na wykrajaniu Wilna z Litwy na rzecz tworów pośrednich hermafrodyckich w rodzaju „Litwy Środkowej", szans żywotności nie mają i są jeno awanturnictwem politycznym, z którego skorzystać może tylko przyszła po-bolszewicka mocarstwowa Rosja. Jeżeli afera Żeligowskiego i „Litwy Środkowej" nie zostanie wcześniej ubita przez zmuszenie międzynarodowe Polski do neutralności, to uważam, że „marsz na Kowno", który jest w tutejszych kołach wojskowych, jak co dzień zbieram na to dowody, bardzo popularny, będzie ze stanowiska państwowego litewskiego, pomimo ofiar, które wywoła, pożądany. Bo, po pierwsze, skompromituje on aferę „Litwy Środkowej" wobec świata, a po wtóre, albo Żeligowski na tym złamie kark, albo jeżeli się ten „marsz" ma uwieńczyć powodzeniem, to przynajmniej będzie nie podział Litwy i aneksja części wileńskiej, lecz scałkowanie jej, a scałkowana Litwa, choćby jej została narzucona unia czy inny związek z Polską, będzie miała większość narodową litewską; obudzony będzie instynkt państwowy litewski i większość narodowa państwo swoje niepodległe utworzy. Tak czy inaczej się stanie – zapatruję się optymistycznie i wiem, że Litwa nie zginie.

18 października, rok 1920, poniedziałek

Zdawało mi się, że rano słychać było odgłosy strzałów armatnich, ale bardzo dalekie; może to bitwa o Jewje. Słyszałem od Narkiewicza, że Bobicki, szef sztabu Żeligowskiego i dyrektor Departamentu Obrony Krajowej w Tymczasowej Komisji Rządzącej (to samo, co minister wojny), człowiek jeden z głównych w całej aferze Litwy Środkowej, wyraził się, że dzień dzisiejszy będzie dniem rozstrzygającym, ale co przez to miał na myśli, tego nie wiem ja i nie wie Narkiewicz. Przypuszczam, że chodzi tu nie o sprawy militarne. Może dotyczy to jakichś układów i jakiejś umowy, którą podobno podpisał dziś w Lidzie z ramienia „Litwy Środkowej" Zasztowt z pełnomocnikiem Rzeczypospolitej Polskiej w obecności podobno reprezentantów Francji i Włoch. Dobrze nie wiem, co to za umowa. Słyszałem, że dotyczy ona komunikacji i tranzytu przez Polskę do Litwy Środkowej.

Dziś przyszedł pierwszy, zdaje się, pociąg z Lidy – podobno tylko do stacji Porubanek, ostatniej przed Wilnem. Jest to więc nawiązaniem komunikacji z Polską. Pociągiem tym już przyjechało sporo osób z Warszawy, wracających do Wilna. Ze znajomych, którzy tym pociągiem przyjechali, widziałem Aleksandra Burchardta, Wolańskiego, Sławińskiego. Mówią oni, że uchodźcy wileńscy, którzy w lipcu uciekli masowo do Polski, gotują się gremialnie do powrotu. Wkrótce Wilno znów się masą swoich inteligentów zaludni i cała endecja wróci na swe stanowiska, zawiązując znowu swoją akcję aneksyjną. Może „*tu ne l'as pas voulu, Georges Daudin!*" – powiedzmy do

„krajowców" „Litwy Środkowej", ale cóż robić – dzieło naszych panów „krajowców" dało grunt dla roboty aneksjonistów; oczywiście ci ostatni nie zaniedbają wyzyskać go. Bawili dziś w Wilnie przedstawiciele litewskiego Ministerium Komunikacji z Kowna, którzy przyjechali tu wczoraj automobilem francuskim wraz z paru oficerami francuskimi. Przywieźli oni z Kowna pieniądze dla wypłaty zaległej pensji kolejarzom wileńskim za czas ich służby litewskiej. Przywieźli też pieniądze w ogóle na akcję litewską i na potrzeby litewskie w Wilnie. Sam się z nimi nie widziałem, ale słyszałem od Litwinów wileńskich, że przywieźli między innymi wiadomość o tym, że Voldemaras, po powrocie z Paryża, składał Sejmowi w Kownie relację o sytuacji międzynarodowej Litwy i stosunku mocarstw Koalicji do wypadków wileńskich; mówił, że wszystkie rządy europejskie stosują się wrogo do afery „Litwy Środkowej" i zdają sobie w zupełności sprawę z tego, że jest to dzieło Polski, a nie jakiś odruch samorzutny oddziałów „kresowych" Żeligowskiego. Zresztą nic więcej z Kowna na skutek przyjazdu tych panów się nie dowiedziałem. Natomiast od Sławińskiego[81] (jest to człowiek młody i światły, profesor czy asystent na Uniwersytecie Wileńskim za rządów polskich, rodem spod Wilna czy też z samego Wilna), który przyjechał z Warszawy i którego spotkałem u p. Tadeusza Wróblewskiego, słyszałem, że w Polsce są dobrej myśli co do stanowiska państw europejskich w sprawie wileńskiej. Najbardziej wrogie i nieprzejednane stanowisko zajmuje podobno Anglia, która zagroziła nawet Polsce blokadą Gdańska, ale podobno Ameryka, choć też nie sprzyja aferze wileńskiej, na blokadę się nie zgodziła. Włochy i Japonia podobno nie są tak wrogie, a Francja nieurzędowo podobno patrzy wcale nie tak źle na tę kombinację, choć podobno jest niezadowolona z rozejmu i gotującego się pokoju Polski z Rosją. W Warszawie podobno są dobrej myśli i liczą na to, że jeżeli rząd litewski w Kownie nie pójdzie na kompromis i układy bezpośrednie w sprawie afery wileńskiej, co osobiście uważam za wykluczone, to państwa Ententy czy też Liga Narodów podejmą same inicjatywę uregulowania tej sprawy między Polską a Litwą. Ewentualnie, gdyby ani Kowno nie poszło na układy, ani interwencja mediacji międzynarodowej nie doszła do skutku, to w kołach Piłsudskiego i sympatyków jego programu litewskiego jest uważany za wskazany „marsz zbrojny na Litwę Kowieńską", by po obaleniu jej obecnego rządu zarządzić na całym terenie Litwy wybory do nowej wspólnej Konstytuanty. *Relata refero*. Ci panowie „krajowcy", federaliści „demokraci", piłsudczycy etc., etc. liczą na to, że takie zdobycie Litwy Kowieńskiej zaszachuje aneksję Wilna do Polski i na to również, że do wspólnego Sejmu Ustawodawczego w Wilnie da się doczepić też i Białoruś, co zniweluje ewentualną większość narodową litewską w tym sejmie i przeszkodzi ostremu separatyzmowi Litwy. Tak oto pragnęliby oni spreparować dziwoląg państwowości litewskiej, powolnej Warszawie i mocarstwowemu imperializmowi polskiemu. Nie rachują tylko na bagatelę: na to, że żadne z mocarstw Europy Zachodniej, jak również Ameryka i Japonia, na kombinację białoruską, doprzężoną do Litwy, nie udzieli bodaj pod żadnym pretekstem swego *placet*.

Takie są plany piłsudczyków, „demokratów" etc., etc. Ale poczekajmy maluczko. Rychło Wilno się napełni endekami, rychło pracować zaczną w swoich warsztatach czystej krwi aneksjoniści wszechpolscy. Trudne będzie wtedy zadanie panów „krajowców" i demokratów z Komisji Rządzącej. Tłum polsko-wileński bowiem, który gorąco witał wojsko Żeligowskiego, nie entuzjazmuje się bynajmniej ani dla „Litwy Środkowej", ani dla wspólnego sejmu w Wilnie z Litwą Kowieńską. To pospólstwo ma instynkt trafny: rozumie ono, że chodzi albo o Polskę, albo o Litwę narodową. I gdy nie

---

[81] Sławiński Kazimierz(1870-1941), chemik, profesor USB w Wilnie do 1936 r.

chce ono Litwy narodowej, to chce Polski, ale nie jakiejś Litwy pośredniej, skombinowanej, kantonalnej itp. Te tłumy, które w niedzielę 10 października z powodu wkroczenia wojsk Żeligowskiego manifestowały na Placu Katedralnym, manifestowały na rzecz Polski. Gdy mi Konstanty Gordziałkowski lub Zasztowt powoływali się na tę manifestację tłumu polsko-wileńskiego jako na argument popularności i mocy ludowej ich dzieła, tom im na to odrzekł, że są w grubym błędzie, bo tłumy wyrażały bynajmniej nie to, czego pragną Zasztowt lub Gordziałkowski, to znaczy nie taką lub inną Litwę, lecz to, czego pragną i czemu służą w Komisji Rządzącej Szopa i Engel – wcielenia do Polski, aneksji. A to im bardziej „Litwa Środkowa" dokuczy pospólstwu drożyzną, rekwizycjami, bolączkami aprowizacji i finansów, tym bardziej znienawidzonym się będzie stawał program „krajowców" i tym głębszą będzie tęsknota do aneksji polskiej. Panowie „krajowcy" są w tym dziele sami mimowolnymi w dużym stopniu agentami aneksji, choć jej niektórzy z nich wcale nie życzą.

19 października, rok 1920, wtorek
Wiem już od Narkiewicza, co wczoraj miał ma myśli pułkownik Bobicki, mówiąc, że dzień wczorajszy jest rozstrzygający. Narkiewicz, jako lekarz wojskowy w szarży majora, stołuje się w kasynie oficerskim i spotyka się tam z wyższymi wojskowymi, a w tej liczbie i Bobickim. Otóż wczoraj na kolacji Bobicki skonkretyzował swoje poprzednie powiedzenie. Chodzi o akcję militarną wojsk litewskich. W chwili obecnej w działaniach wojennych Litwini wzięli inicjatywę w swoje ręce. Nie tylko że powstrzymali oni swoje cofanie się stopniowe, ale przeszli do ataków i w tej chwili wojska Żeligowskiego są w stanie defensywy. Litwini ściągnęli już swoje wojska z Suwalszczyzny i w sile ośmiu pułków rozpoczęli akcję zaczepną. Podobno, jak twierdzą wojskowi tutejsi, te osiem pułków wyczerpują całą siłę zbrojną litewską; mieli podobno Litwini ogółem dziesięć pułków, z których wszakże dwa zostały rozbite, to znaczy częściowo zniszczone i częściowo wzięte do niewoli, w walkach z Polakami w Suwalszczyźnie w ubiegłym miesiącu, pozostało więc im osiem pułków. Obecnie Litwini rzucili na szalę całą swą siłę zbrojną i, atakując z czoła, usiłują podobno jednocześnie zajść tyły wojskom Żeligowskiego; usiłując posuwać się wzdłuż linii demarkacyjnej polskiej, chcą odciąć wojska Żeligowskiego od kontaktu z armią polską, co oczywiście, gdyby się Litwinom powiodło, osłabiłoby, a bodaj i obezwładniło wojska Żeligowskiego. Te wojska „Litwy Środkowej" są noworodkiem, spłodzonym przez Polskę, który żywi się jeszcze przez pępek z organizmu matczynego. O ile by się Litwinom udało dokonać operacji przecięcia pępka, noworodek nie wytrzymałby samodzielnego bytowania. Ale zadanie nie jest dla Litwinów łatwe, bo kontakt, który łączy wojska Żeligowskiego z linią wojsk polskich, ciągnie się szerokim pasem w półkole wokół Wilna, pono od Ejszyszek do Święcian. W każdym razie, jak przyznaje Bobicki, Litwini walczą dzielnie i strzelają celnie. Rannych, przywożonych z pola bitwy do Wilna, jest bardzo dużo. Narkiewicz, który, jako lekarz wojskowy, opatruje i leczy rannych, powiada, że ranni też potwierdzają o waleczności i celnym strzelaniu Litwinów. To mię cieszy, niezależnie od wyniku bitwy. Krwawy chrzest niepodległości jest dla młodego narodu zawsze dodatni. Im więcej krwi ofiarnej w obronie niepodległości przeleją, tym bardziej niepodległość pokochają i tym będą silniejsi. Bitwa wczoraj rozstrzygnięta jeszcze nie została i dziś zapewne toczy się dalej. Nie wiem dlaczego jednak – strzałów działowych w Wilnie nie słychać: czy to wiatr się zmienił, czy artyleria jest z obu stron nieliczna, czy może pozycje artyleryjskie są daleko od Wilna. Bobicki i w ogóle żeligowczycy są jednak dobrej myśli i żadnego zaniepokojenia nie zdradzają. Zresztą po co im się niepokoić, kiedy oto, jak powiada Narkiewicz, jak tylko sytuacja stała się trudniejsza, znowu jeden pułk polski ze

stojących na linii demarkacyjnej „zbuntował się” i poszedł na sukurs wojskom Żeligowskiego. Tą drogą Żeligowski może mieć niewyczerpaną rezerwę: ile mu wojska potrzebnego zabraknie, tyle na zawołanie się z wojska polskiego „zbuntuje” i przyjdzie mu w sukurs. Bobicki uważa, że obecna akcja czynna wojska litewskich wyczerpie siłę litewską, którą jest cała rzucona do walki, co potem ułatwi zadanie wojskom Żeligowskiego. Ale z pewnością Litwini nie zasypiają gruszek w popiele, organizują dalsze kadry swojej armii i tworzą śpiesznie nowe rezerwy. Słychać, że w całej Litwie ogłoszony pobór do wojska do lat 40 i że organizacja wolnych strzelców wzrosła do liczby 50 000. Wolnych strzelców Litwa zapewne na front nie zużytkuje, jest to bowiem cenna rezerwa dla partyzantki na wypadek inwazji wojska Żeligowskiego w głąb Litwy. Jeżeli wojska Żeligowskiego wraz z całą aferą „Litwy Środkowej” nie będą odcięte od Polski i Polska nie będzie przez Europę zmuszona do przestrzegania ścisłej i istotnej neutralności, to Litwinom w walce liniowej trudno się będzie z nimi uporać. Jeżeli jednak to nastąpi, to sądzę, że Litwini z samymi wojskami Żeligowskiego potrafiliby dać sobie radę.
Trzeba mi już będzie zacząć myśleć o wydostaniu się stąd i o wyjeździe do Kowna i Bohdaniszek. Co mię tu głównie trzymało – to mieszkanie moje puste i rzeczy w nim moje bez opieki. Teraz zamieszkał już w moim mieszkaniu Narkiewicz, który część mieszkania sam zajmie, a drugą część odnajmie komuś innemu. Będzie więc opieka nad meblami i nad rzeczami. Doktor Narkiewicz – to mój przyjaciel dawny, człowiek bardzo zacny. Jest to jeden z plejady współpracowników „Gazety Wileńskiej”, jeden z tych, co pozostali dotychczas najwierniejsi sztandarowi ideałów tejże. Służy on w dywizji „litewsko-białoruskiej” w charakterze lekarza, ale zawsze był przeciwny interwencji zbrojnej na Litwę i przeciwny był w zasadzie także obecnemu pochodowi zbrojnemu na Wilno i załatwianiu wewnętrznego sporu litewsko-polskiego w Litwie metodą wojny domowej. Gdy to się jednak stało, liczy się on z „faktem dokonanym”, ale niemniej jest kategorycznym wrogiem zewnętrznego podziału Litwy i postulatom aneksji Wilna do Polski. Jest zdecydowanym wyznawcą niepodzielnej i niepodległej państwowości litewskiej. Człowiek to w każdym razie był czysty ideowo i jeden z najgorętszych Litwy wyznawców w szeregach uczestników „Litwy Środkowej”. Kłócimy się z nim zresztą często na temat spraw litewskich, ale w celach jesteśmy zgodni i szanujemy się oraz lubimy wzajemnie. Pochodzi on ze Żmudzi głębokiej, znad granicy pruskiej.

20 października, rok 1920, środa
Wieczorem zaszedłem do Wiktora Biržiški, trzeciego z braci Biržišków, niedawno jeszcze osiadłego w Wilnie, który w zastępstwie swego nieobecnego brata Michała pełni obowiązki dyrektora gimnazjum litewskiego i wespół z Andrzejem Rondomańskim redaguje „Głos Litwy”. Usłyszałem od niego wiadomość, która mi się wydaje nieprawdopodobną. Powiedział mi mianowicie, że przed chwilą otrzymał wiadomość, iż dziś w nocy wojska Żeligowskiego wycofają się z Wilna. Wiadomość ta pochodzi od Żydów, którzy wiedzą o tym w kahale i mu ją zakomunikowali. Przyczyny tego mają leżeć z jednej strony w tym, że Liga Narodów zażądała od Polski ultymatywnie zlikwidowania incydentu wileńskiego do dziś po północy, wskutek czego Polska nakazała Żeligowskiemu wycofanie się z Wilna, z drugiej zaś – w tym, że wczoraj rzekomo Litwini zadali dość znaczny cios wojskom Żeligowskiego. Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Możliwą jest i lokalna, nawet dość znaczna porażka wojsk Żeligowskiego, bo o tym dziś na mieście mówiono i sami wojskowi przyznają, że Litwini atakują silnie i biją się dobrze, możliwym jest także i ultimatum Ligi Narodów Polsce wraz z formalnym, ale zapewne tylko pozornym, nakazem ze strony Polski do

„zbuntowanych" wojsk wycofania się z Wilna, ale w samo wycofanie się trudno uwierzyć. Jeżeli Piłsudski mógł, komunikując „prywatnie" Wilnu treść deklaracji sejmowej prezesa ministrów Polski Witosa, udzielić rady „poufnej", żeby nie brać jej b. poważnie do serca, to mogła i teraz Polska, komunikując urzędowo ewentualne żądanie Ligi Narodów i srożąc się pozornie na „buntowników", jednocześnie zawiadomić „poufnie", że nie należy zwracać na to uwagi. W każdym razie trudno przypuścić, żeby autorowie incydentu wileńskiego, którzy zdecydowali się na tak śmiałe zainscenizowanie swego przedsięwzięcia, tak rychło zrezygnowali ze swych zamiarów, nie będąc do tego zmuszeni żadną ostatecznością. Gdy się tu raz zainstalowali, to nie tak łatwo dadzą się wyprosić. Incydent „Litwy Środkowej" nie wydaje się jednak tak łatwym do zlikwidowania. Ci panowie będą się tu trzymać wszystkimi pazurami, tym bardziej, że liczni są wśród nich Wilnianie, którzy już raz spróbowali emigracji i wiedzą, że nie jest ona bynajmniej słodka, a gdyby im teraz uchodzić znowu przyszło, to powrót nie będzie dla nich łatwy, bo nawet prywatnie trudniej im będzie powrócić, niż było poprzednio. A i masy Wilnian, którzy siedzieli na miejscu, będą ich popierać, zdając sobie sprawę, że lepiej im tu będzie, a przede wszystkim łatwiej o posady, gdy będą rządzić Polacy litewscy, niż gdy obejmą rządy Litwini rdzenni, zwłaszcza teraz, gdy już Litwini Polakom wileńskim zupełnie ufać przestaną i widzieć w nich będą jeno spiskujących wrogów. Dopóki panowie z „Litwy Środkowej" nie wygrają wszystkich swoich atutów, dopóty chyba nie zrezygnują dobrowolnie. Czują też oni dużą potencjalną pomoc Polski w postaci wiszącej możliwej interwencji, toteż i wojsk litewskich niezbyt się boją, gdyby nawet one zdobyły przewagę. Jak każdy nowy twór, który ma za sobą tylko stan faktyczny bez żadnych zobowiązań prawnych i międzynarodowych, autorowie incydentu wileńskiego nie mają nic do stracenia i niczym skrępowani nie są. Żadna odpowiedzialność przed Europą im nie grozi. W najgorszym razie wróciliby oni do tego, co było przed ich śmiałym wypadem: to znaczy wróciliby na łono Polski i byłoby po wszystkim; Polska zawsze by im darowała winę „buntu", który był tylko pozorny. Toteż nie mając nic do stracenia, a do wygrania – co się da, i nie będąc skrępowani żadną odpowiedzialnością, będą próbowali aż do ostatka. Mają oni wciąż nadzieję, że Litwa Kowieńska będzie musiała rozpocząć z nimi rokowania i na rokowania te poszliby najchętniej; chwyciliby się tych rokowań jako głównej podstawy, bo to by im dało sankcję uznania ich za stronę, a więc podstawę prawną, której nie mają, wisząc dotąd w powietrzu. Wprawdzie w obecnej chwili i sytuacji rozpoczęcie przez Litwę Kowieńską z nimi rokowań wzmocniłoby bardzo kierunek państwowo-litewski w tym incydencie przeciwko prądom aneksji polskiej, bo autorowie „Litwy Środkowej" chwyciliby się tej okazji jako jedynego środka ich legalizacji, rozumiejąc, że Polska, skrępowana względami międzynarodowymi w tak żywotnych jej interesach, jak sprawa Śląska Górnego, sprawa Gdańska itd., nie może wbrew woli Europy zalegalizować ich stanu i wziąć ich pod swe skrzydła, to jednak wątpię, aby Litwini zdecydowali się na rozpoczęcie rokowań, dopóki nie stracili wszystkich szans gry międzynarodowej przeciwko incydentowi wileńskiemu: bo przez rozpoczęcie rokowań Litwini uczyniliby akt uznania antreprzy Litwy Środkowej i straciliby możność międzynarodowego zwalczania tej antreprzy, a cóżby zyskali? Litwini czują, że przez tę „Litwę Środkową" otworzyliby swoje państwo na wpływy przemożne polskie i podpadliby sami pod supremację polityczną polską, której się boją i której mają wszelkie powody nie ufać. Jednocześnie Wilno, aczkolwiek zostałoby przez to formalnie utrwalone na rzecz państwowości litewskiej, jednak w istocie wyszłoby spod ich bezpośredniego wpływu narodowego i byłoby tylko w połowicznym posiadaniu państwa, a może nawet – kto wie – przy pierwszej okazji wyrwałoby się z

Litwy całkiem do Polski. Toteż trudno liczyć na to, aby Litwa była skoro do układów i wchodzenia w tej chwili w jakiekolwiek kombinacje.

21 października, rok 1920, czwartek
Naturalnie, że wczorajsze pogłoski wieczorne o mającym w nocy nastąpić wycofaniu się z Wilna wojsk Żeligowskiego nie sprawdziły się, a przynajmniej okazały się przedwczesne. Co jednak jest objawem, który mię niezmiernie cieszy, to to, że Litwini nie tylko stawiają opór dalszy inwazji wojsk Żeligowskiego, ale istotnie biją się dzielnie i zyskują szacunek nawet u swoich przeciwników. Ci ostatni, wkraczając do Wilna, lekceważyli sobie żołnierza litewskiego i skłonni byli uważać wypędzenie Litwinów za byłą linię demarkacyjną za prostą niemal przechadzkę zbrojną, za coś w rodzaju marszu. Gdy w kołach wojskowych i polityków „Litwy Środkowej" mówiono o ewentualnym sforsowaniu Kowna, nie nazywano tego nigdy inaczej, jak „marsz na Kowno". Pospolicie wyrażano się po prostu pogardliwie o wojsku litewskim, które uważano za „zbolszewiczałe", za pozbawione cnót rycerskich, tchórzliwe, niezdolne do oporu. Cały naród Litewski, jako „chłopski", uważano za „pacyfistyczny", któremu imponuje pięść i który wobec pięści i siły skapituluje, bo ten argument najdobitniej do jego psychiki przemawia. Przechwałki były na porządku dziennym. Aż przykro było słuchać, jak się o Litwinach wyrażano. Tacy rzekomo specjaliści i „znawcy" wojska litewskiego, jak Wiktor Wąsowicz, który je w Kownie „obserwował", aranżując w zeszłym roku w Kowieńszczyźnie organizacje powstańcze polskie, których członkowie siedzą już od dawna pod kluczem w Kownie, głosili, że oficerowie i żołnierze litewscy ani myślą się bić, że każdy z nich myśli jeno o poddaniu się, że to tylko „rząd litewski", zaprzedany Niemcom, terroryzuje potulną ludność i żołnierza litewskiego, że zresztą Litwini tylko wobec bezbronnych umieją być twardzi i drapieżni, ale byle kilka strzałów, byle widok kułaka nauczy ich moresu i zmieni całą ich psychologię. Łatwo było „zrewoltowanym" (o, jakże romantycznie brzmi obłudna nazwa!) oddziałom Żeligowskiego wkroczyć do Wilna i „zdobyć" je na Litwinach, gdy poprzednio Polska, przygotowując teren dla sukcesów uplanowanej „rewolty", zajęła siły litewskie walkami w Suwalszczyźnie, a następnie atakami na Orany i zatrzymaniem w swym ręku tego węzła kolejowego, łączącego litewską Olitę w Suwalszyźnie z Wilnem, uwięziła tam armię litewską, pozbawiając Litwinów możności szybkiego skoncentrowania sił do obrony Wilna, zaatakowanego szybkim i nagłym marszem Żeligowskiego od strony Lidy, gdy Litwini mieli tu zaledwie jeden czy dwa pułki. Do wytworzenia się tej lekceważącej o Litwinach opinii przyczyniły się też znakomicie rozsiewane przez prasę polską i bardzo starannie układane przez komunikaty polskie rzekome „fakty" niezdarności bojowej Litwinów, umiejących napadać tylko znienacka i pokątnie, jak złodzieje, i tchórzliwych, niedołężnych w spotkaniu otwartym. Toteż przez pierwszy tydzień drwiono tu sobie z oporu Litwinów i liczono na rozprawę z nimi co najmniej do byłej linii demarkacyjnej za zabawkę, a dalej – to zależnie tylko od woli i fantazji zwycięzców. Zdawać by się mogło, że ten „marsz na Kowno" zależny jest tylko od tego, czy Żeligowski go podyktuje, czy nie. Tymczasem tydzień ostatni ostudził pierwszy impet pewności siebie. Dziś miny „zwycięzców" zrzedły. Litwini się bronią. Opór ich wzrasta. Strzelają znakomicie, biją się dzielnie. Przyznają to też coraz powszechniej wojskowi, potwierdzają ranni. Żołnierze z frontu twierdzą, że to przeciwnik, z którym liczyć się trzeba, że to nie bolszewicy, którzy, gdy się ich raz bić zacznie, pierzchają jak woda spływająca z gór. Dziś Wilno jest prawie zupełnie ogołocone z wojska. Wszystkie oddziały Żeligowskiego są rzucone na front. W Wilnie żołnierzy prawie nie widać. Oprócz ordynansów, trenów i sztabu – nie ujrzysz na ulicach miasta żołnierzy. Litwini skoncentrowali już swoje siły. Obecnie już powiadają,

że Litwini wprowadzili do walki 13 pułków. Bitwa uporczywa, twarda, ciągła, toczy się w okopach. Nie tylko „na Kowno", ale nawet do byłej linii demarkacyjnej jakoś nie tak się łatwo dochodzi, jak się zapowiadało. Wśród ludności wileńskiej zaczyna narastać przekonanie, że Litwini jeszcze wrócą. Wojskowi i politycy „Litwy Środkowej" mówią o „ogromnej przewadze liczebnej" Litwinów. Daje się wyczuć wyraźny wzrost szacunku dla Litwinów. O, Ojczyzno, honor swój podnosisz! Żołnierzu litewski, nie próżno walczysz i giniesz! Litwie chrzest krwi dajesz, stwarzasz jej epopeję i legendę Wolności, która jest najcenniejsza. Niepodległość nie tylko perłą, ale też dźwignią żywą! Baczność! Litwa historię i prawo swe pisze! Dziś o zmroku huk dział, którego już od dni kilka nie było słychać, znów zagrzmiał wyraźnie. O, jakże słodki jest tym razem ten dźwięk śmiertelnych pocisków! Jakkolwiek się tu sprawa rozstrzygnie, Litwa wojną tą wzrośnie w mocy swojej. Nie, synowie chłopscy choć z natury pacyfiści, kochają jednak Litwę swoją i potrafią być silni o pazurach twardych i sercu mocnym i mężnym! Być może – afera „Litwy Środkowej" ma w sobie pewien element prawa tych synów ziemi wileńskiej, którzy powrócili do domów i chcą się upomnieć o swoje stanowisko gospodarzy krajowych u siebie. Ale nie mogą pretendować do gospodarstwa wyłącznego, jeno do współgospodarstwa z Litwinami, a wzięli na sumienie grzech wojny domowej. I to byłoby im darowane ze względu na to, że może Litwini zbyt ich zlekceważyli i zbyt jaskrawie nacjonalizm swój okazali, i zbyt go gwałtownie do sprawy Wilna mieszali. Ale czego darować nie można – to interwencji obcego państwa, Polski, którą operują. W tym względzie opór Litwinów jest czystym i prostym wyrazem Wolności Litwy, jej Niepodległości i jej Prawa. Brońcie się, rycerze Litwy, synowie Litewskiego Narodu. Można wnosić, że jeżeli Polska nie wmiesza się czynnie w tę walkę i jeżeli zostanie do neutralności zmuszona, to Litwini mogą nawet po prostu o własnych siłach zlikwidować tą aferę.

22 października, rok 1920, piątek
Dziś otrzymałem od Wiktora Biržiški z funduszów, dostarczonych przez rząd litewski z Kowna, 1300 marek litewskich (ost) tytułem reszty należnej mi pensji sędziowskiej za wrzesień. To mię trochę postawi na nogi, bo kasa moja jest w stanie opłakanym. Gdy Litwini opuszczali Wilno, miałem w kieszeni zaledwie 150-200 marek litewskich i 500 marek litewskich otrzymałem od prezesa sądu Kalnietisa jako zaliczkę na zaległą pensję wrześniową. Przy cenach obecnych mogę z takim zapasem gotówki zaledwie wegetować. Wszakże z tego szczupłego zapasu przeżyłem już dwa tygodnie i jeszcze mi około 200 marek litewskich dziś zostawało w kieszeni. Choć kurs ost-marek, tak samo jak marek niemieckich właściwych, wynosi około 5 marek polskich za jedną ost lub niemiecką, jednak ze względu na trudności komunikacyjne, nie dające handlarzom pieniędzy możności wypuszczenia nabytych marek ost lub niemieckich na wielkie ich rynki w Warszawie lub Kownie, kantory wymiany i czarna giełda płacą tu w Wilnie za 1 markę ost lub niemiecką tylko od 3.80 do 4.15 marek polskich, ponieważ suto liczą sobie ryzyko straty na kursie na wypadek spadku marki niemieckiej. Na zamianie więc marki polskie ciągle tracą w stosunku do kursu. Ograniczyłem potrzeby moje i wydatki do minimum. Poza utrzymaniem, nie wydaję na nic zgoła. Staram się tak wymiarkować, aby dzień kosztował mię nie więcej, jak 100 marek polskich. Wydatki moje codzienne – to obiad, kawiarnia raz albo dwa razy dziennie (jest to konieczna okazja do spotykania się z ludźmi i jeszcze bardziej do przeczytania gazet, przez co unikam wydatku na kupowanie tychże, a zresztą w kawiarni nic innego poza szklanką herbaty z cytryną nie spożywam), funt chleba dziennie, coś na kolację, jak śledź lub ¼ funta wędliny, co drugi dzień – świeca, co kilka dni – ⅛ funta tytoniu i setka tutek. Oto bodaj wszystko, czym żyję i na co wydaję. Jeżeli policzyć, że obiad z napiwkiem, ale bez żadnych

dodatków kosztuje do 50 marek polskich, szklanka herbaty w kawiarni – 10 marek polskich, funt chleba razowego – 12 marek (chleb od kilku dni trochę staniał, ale bądź co bądź jest droższy, niż za czasów litewskich, kiedy kosztował 6 marek polskich), śledź – minimum 8 marek., wędliny ¼ funta od 15 do 23 marek polskich, świeca najtaniej – 8 marek polskich, a tytoń – od 35 do 50 marek polskich, to oczywiście przy takim budżecie ledwo można koniec z końcem związać. Toteż są dni, kiedy odmawiam sobie obiadu. A przecież trafiają się i wydatki nadzwyczajne: na przykład trzeba było zapłacić 300 marek polskich za zelówki, zaległości za światło elektryczne jeszcze za Marynię – około paruset marek polskich, a to znów czasem ślusarz potrzebny, trzeba też będzie bieliznę wyprać itd. Słowem – trzeba żyć, choćby ograniczając się do ostatka. A tymczasem źródeł stałych dochodu nie ma i przyszłość nieokreślona, bo przecież z ramienia „Litwy Środkowej" żadnej pracy i posady nie przyjmę. Czy zaś się stąd wydostanę, kiedy i jak – o tym jeszcze nie mam pojęcia. Oprócz tej zaległości pensji sędziowskiej, którą dziś odebrałem, mam jeszcze przyrzeczoną pożyczkę osobistą od Aleksandra Zasztowta i spodziewam się coś osiągnąć ze sprzedaży futerka, zdjętego z mojego futra, przerobionego latem na palto watowane. Z tym wszystkim mógłbym dociągnąć do Bożego Narodzenia, oszczędzając się jak dotąd, ale jeżeli mam wyjechać, to muszę mieć jakiś zapas na podróż, która obecnie jest niesłychanie kosztowna, tym bardziej, że podróż jest teraz z „Litwy Środkowej" do Litwy połączona ze wszelkimi możliwymi niespodziankami.
Wczoraj byłem u Witolda Abramowicza, który obecnie jest wielką figurą w rządzie „Litwy Środkowej". Rozmawiałem z nim o sytuacji i o ich perspektywach. Witold bardzo pragnie oczywiście znalezienia możności kontaktu z Litwinami w Kownie. Dla niego, jak dla całego skrzydła „krajowców" w rządzie, nawiązanie rokowań z Litwą Kowieńską miałoby tę wagę, że dałoby im nad skrzydłem aneksjonistów przewagę, albowiem ci ostatni, szykując się teraz w Wilnie do akcji na własną rękę w celu wyrwania cugli z rąk „krajowców", nie mają mocnego oparcia w Polsce ze względu na niemożność Polski forsowania sprawy przyłączenia Wilna bez oglądania się na Europę, trzymającą Polskę w ręku nierozwiązanymi sprawami Gdańska i Śląska Górnego. W tej chwili więc, zanim aneksjoniści się nie zorganizowali i jeszcze „krajowców" z siodła nie wysadzili i zanim nie są w stanie oprzeć się mocno o Polskę dla swego postulatu aneksji, „krajowcy" w nawiązaniu kontaktu i podstawy dla rokowań z Kownem wzmocniliby się znacznie i zyskaliby wielki atut realny. W postulatach do porozumienia, które mi wyrażał Witold Abramowicz, większa część nadawałaby się do dyskusji z Litwinami; jest wszakże jeden punkt, przy którym Witold twardo obstaje, a który bodaj uniemożliwia kontakt, to warunek *à priori* dla Litwy ścisłego związku, rodzaju federacji z Polską. Dowiedziałem się od Witolda, że „krajowcy" myślą o zużytkowaniu dla próby zbadania gruntu do układów z Kownem – ks. biskupa wileńskiego Matulewicza[82]. Wątpię, aby to mogło mieć jakiś skutek, gdyby Matulewicz nawet podjął się tej roli. Matulewicz, Litwin, ma taktu dużo; Polacy na ogół, prócz endeków, ufają mu; osobiście posiada on też zaufanie Litwinów. Ale sekretarzem jego jest ks. Wiskont, Litwin, ale usposobiony ugodowo do Polaków, któremu Litwini bezwzględnie nie ufają, bo uważają, że grał on rolę podwójną za czasów okupacji polskiej. Wiskonta uważają za człowieka, który kieruje Matulewiczem. Toteż we wszelkich krokach porozumiewawczych Matulewicza Litwini będą upatrywać rękę Wiskonta, co stanowczo już samo przez się zdyskredytuje wszelką akcję Matulewicza. Witold Abramowicz bardzo gorąco też chce się zająć ułatwieniem powrotu do Wilna Michałowi Biržišce, który wyrażał chęć powrotu i który, jak wiadomo, reprezentuje

[82] (Ks. biskup Jerzy Matulewicz) Matulaitis-Matulevičius Jurgis – biskup wileński, patrz najnowsza monografia biograficzna o Błogosławionym Matulewiczu autorstwa ks. Tadeusza Górskiego, OFM.

ideę porozumienia, nie odstępując zresztą od zasadniczych założeń niepodległościowych Litwy. Michał Biržiška dziś jest jedną z postaci, najbardziej popularnych i wpływowych w Litwie. Na niego, jako ewentualnego łącznika między Litwą a „krajowcami" z obozu „Litwy Środkowej", Witold Abramowicz i jego przyjaciele liczą także.
Wczoraj i dziś latał nad Wilnem około południa aeroplan litewski, gwałtownie ostrzeliwany z miasta. Dowiedziałem się wieczorem od Narkiewicza, że ułani wzięli dziś pod Szyrwintami do niewoli litewskiego generała Nastopkę ze sztabem dywizji.

23 października, rok 1920, sobota
Jest pewna analogia, ale jeszcze głębsze są różnice między obecną aferą „Litwy Środkowej" a zeszłorocznym projektem kwietniowym Piłsudskiego, w którym ja miałem odegrać jedną z ról wybitnych i w której to sprawie jeździłem wtedy z Łomży do Kowna. Wtedy bowiem po zajęciu Wilna przez wojsko polskie, ale nie z rąk litewskich, jeno z rosyjsko-bolszewickich, miał się również obwołać w Wilnie rząd samorzutny, zwrócony przeciwko ówczesnej „Tarybie" litewskiej, ale rząd nie „Litwy Środkowej", to znaczy nie państwa dzielnicowego, jeno rząd całej Litwy jako rząd całego państwa i zbudowany z Polaków litewskich wraz z Litwinami. Teraz rzecz się zrobiła zupełnie inaczej. Wilno było zdobyte nie na bolszewikach, nie na usunięciu inwazji rosyjskiej, jeno na Litwinach. Formalnie zostało one zdobyte nie przez wojsko polskie, lecz niby to przez „zbuntowane" przeciwko Polsce, krajowe z ziemi wileńskiej oddziały generała Żeligowskiego, a więc metodą wojny domowej między Litwinami a Polakami litewskimi, między Litwą zachodnią, etnograficzną, a Litwą wschodnią, czyli podług terminologii, zalegalizowanej przez „powstańców" i wskazującej wyraźnie na otwarte miejsce dla trzeciej jeszcze jakiejś Litwy, a więc oczywiście Białej Rusi – Litwą „Środkową". Rząd też powstaje nie dla całej Litwy, jak miało być w roku zeszłym, lecz tylko dla tej jednej „Litwy Środkowej". Aranżowanie afery „środkowo-litewskiej" nie neguje już obecnie państwowości, wytworzonej przez Litwinów, która się już teraz opiera nie na jakiejś tam, jak mówiono wtedy, „zaprzedanej Niemcom" Tarybie, ale na Sejmie Ustawodawczym, pochodzącym z wyborów powszechnych ludności. Uszanowują oni prawo Litwinów do tworzenia własnego państwa litewskiego (czy będą w uszanowaniu tym konsekwentni i czy nie złamią je przez tzw. „marsz na Kowno" – to się jeszcze pokaże, a najprawdopodobniej zależeć będzie od siły oporu militarnego Litwinów), jeno odmawiają Litwinom prawa do decydowania o tej części kraju, która była do lipca r.b. zajęta przez Polaków i która nie uczestniczyła ani w dotychczasowej budowie państwa wraz z Litwinami, ani w wyborach do Sejmu w Kownie, a którą oni, Polacy litewscy, uważają za swoje dziedzictwo, gdzie gospodarzami, mogącymi stanowić o losach kraju, są tylko oni, a właściwie ludność tej dzielnicy, która w pojęciu Polaków litewskich utożsamia się z nimi. Te szczegóły różnią bardzo głęboko i dzielą tegoroczne dzieło od koncepcji zeszłorocznej. W roku zeszłym, gdym ja miał przyłożyć rękę do tej sprawy, postawiłem za warunek, że zacznę od porozumienia z Litwinami w Kownie i że tylko o tyle przyłożę do tego ręce, o ile Litwini, a przynajmniej pewne poważne odłamy narodowe litewskie pójdą na tą rzecz. Piłsudski był już wtedy zdania, że o ile Litwini nie pójdą, to trzeba robić choćby bez nich. Wtedy zaoponowałem przeciwko temu i bez udziału Litwinów stanowczo odmówiłem kooperacji mojej w takiej ewentualnej próbie. Rozumiałem bowiem, że usiłować tworzyć państwo litewskie bez Litwinów i przeciwko nim jest czczą chimerą, a opierać takie budownictwo na Polakach litewskich jest naiwnym, bo próby takie zaprowadzić mogą tylko do Polski, ale nigdy nie do Litwy. Wtedy ta rzecz na tym utknęła. Byłem w Kownie, ale nikt z Litwinów na tę kombinację nie poszedł. Dzisiaj

jest dla mnie wyraźne, że Litwini mieli dobry instynkt, odmawiając udziału w tej niedoszłej imprezie. Narażaliby oni bowiem swoje zapoczątkowane już wówczas, choć jeszcze wątłe i niedoskonałe, dzieło państwowe na rzecz czegoś, co wprawdzie pozornie przynosiło im w wianie Wilno, ale było samo przez się bardzo wątpliwe, bo, opieranie się na bagnetach wojsk nie litewskich, lecz polskich groziło zawsze spaczeniem dzieła w kierunku pochłonięcia go przez Polskę z pomocą czynną Polaków litewskich, a nawet kto wie, czy w najlepszym razie nie w kierunku tylko zrobienia z Litwy jakiegoś nikłego aneksu do mocarstwowej sprawy polskiej. Tak wtedy nie doszło wcale do zrealizowania pomysłów Piłsudskiego, który ograniczył się do utworzenia prowizorium w postaci rządów Osmołowskiego (Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich), które po roku przeszło działalności nie zadowoliły zgoła nikogo. Dziś, acz w innych warunkach i na innych zasadach budowy, znaleźli się ludzie, którzy się podjęli realizacji pomysłu Piłsudskiego. Czynią to oni w postaci „Litwy Środkowej", która dla jednych z obozu nacjonalistów wszechpolskich jest tylko przejściowym stadium organizacji „Ziemi Wileńskiej" dla inkorporacji jej do Polski, dla drugich – „krajowców" – jest drogą do wytworzenia państwa litewskiego na takich zasadach, które wyrażają kooperację państwową Litwinów z Polakami litewskimi. Ci ostatni usiłują iść po drodze budowania Litwy bez Litwinów, a nawet nie tylko bez nich, ale wprost przeciwko nim, rozpalając wojnę domową z Litwinami. Oczywiście – tą metodą nie zrobią tego, o co im chodzi, jeżeli chodzi istotnie, chyba że znaleźliby drogę układów z Litwinami. Są oni dla mnie wprost śmieszni. Nie to jest ważne, czego chcą, lecz co robią. Myślą oni, że zdołają oszukać aneksjonistów, zręcznie operujących uczuciami i uprzedzeniami tłumów. Gdy widzą, że aneksjoniści w postaci różnych „Straży Kresowych" już się organizują, zakładają prasę swoją, zwołują wiece i likwidują dla siebie konsekwencje logiczne „zamachów" „krajowców", zatracają się, rozkładają ręce, wzdychają: „myśmy nie tego chcieli!" i stoją bezradni.
Ta bezradność jest fatalna i naiwna. Wszak mają swoją logikę czyny. Nie można robić jedno, a chcieć drugiego i dziwić się, że czyny wydają owoce, odpowiadające ich naturze.

24 października, rok 1920, niedziela
Dnie płyną, płyną już tygodnie – i żadnych wyraźniejszych rozwiązań afery wileńskiej nie przynoszą. Jak słychać – Litwini są dobrej myśli i są mocno przekonani, że ich skombinowana akcja dyplomatyczno-wojenna zwróci im Wilno. Dotąd jednak sprawa pozostaje jeszcze w mgławicy. Litwini biją się dzielnie, co im przyznają bez zastrzeżeń nawet ich przeciwnicy, ale choć impet wojsk Żeligowskiego osłabili, jeszcze go nie powstrzymali całkiem. Linia frontu, chociaż powoli, wciąż jeszcze oddala się od Wilna na niekorzyść tymczasem Litwinów. Obecnie zachodzi ona za stację Rudziszki i za Mejszagołę. Zasiłek, który wojska Żeligowskiego ciągną z Polski w postaci dopływu uzupełnień ludzkich i materiału wojennego, daje im dotąd przewagę, której jeszcze Litwini złamać nie zdołali. Ale i Litwini szykują w dalszym ciągu energicznie swoją obronę. Ogłosili oni mobilizację powszechną podobno do lat 45, słychać, że przyjmują do armii swojej Niemców (Polacy się tym oburzają, ale kładąc Litwinom nóż na gardle, sami to prowokują, a zresztą sami posługują się zasiłkiem z zewnątrz, z Polski), organizacja wolnych strzelców litewskich wzrosła podobno do 50 000 ludzi. Jeżeli się Litwinom uda w drodze akcji międzynarodowej zmusić Polskę do przestrzegania ścisłej neutralności w wojnie domowej Litwy, to suponuję, że militarnie mogą o własnych siłach zwyciężyć. Władze „Litwy Środkowej" też się szykują do maksimum wysiłku w kraju. Postanowiony już został pobór na terenie „Litwy Środkowej", który w tych dniach zostanie ogłoszony.

W nadchodzącym tygodniu Liga Narodów zajmie się rozpoznaniem stosunków polsko-litewskich w związku z incydentem wileńskim. Zobaczymy, jaki będzie przebieg tej rozprawy i jakie decyzje. W zasadzie prezydium Ligi Narodów już wyraziło protest przeciwko roli Polski w sprawie Wilna. Również rządy Francji i Anglii zaprotestowały wobec rządu polskiego jednobrzmiącymi notami. Noty jednak nie wyczerpią sprawy i nie wpłyną na jej przebieg i likwidację, jeżeli nie będą poparte zarządzeniami konkretnymi. Opinia polska, zwłaszcza w obozie piłsudczyków, i tutejsze koła miarodajne wraz z szeroką opinią Wilnian liczą właśnie na niedołęstwo papierowej akcji dyplomatycznej, która nie będzie w stanie położyć kresu żywemu czynowi dokonywanych faktów. Litwini jednak poruszają wszelkie sprężyny akcji dyplomatycznej międzynarodowej. Litwini muszą wiedzieć, że Europa specjalnie ich jako takich nie umiłuje i nie upomni się o ich krzywdy, gdyby tu tylko o Litwę, nie uznaną dotąd *de iure* w Europie i niechętnie przez niektóre wielkie mocarstwa widzianą, chodziło. Zdają z pewnością sprawę z tego, że incydent wileński jeno bardziej jeszcze kompromituje sprawę niepodległości Litwy w Europie, bo skoro Europa w ogóle nie uważa państwowości Litwy i drobnych państewek bałtyckich za sprawy poważne i żywotne, które można przeciwstawiać koncepcji Wielkiej Rosji, to tym mniej poważnie się to przedstawia, jeżeli jeszcze powstają takie komplikacje od wewnątrz, jak oto ten incydent wileński. Tym mniej budziłoby to ochoty u niechętnej mocarstwowej Europy do pielęgnowania tego nowotworu Litwy. Ale rozumieją też Litwini, że jeżeli mocarstwom zachodnim, jak zwłaszcza Francji i Stanom Zjednoczonym Ameryki, nie chodzi o Litwę, której są niechętne i której uznać nie chcą, to również, a może jeszcze bardziej chodzi im o to, aby nie dać Wilna jako klucza do wbicia głębokiego klina w przyszłą Wielką Rosję, Polsce, która jest przez te mocarstwa uznana *de iure*, formalnie sprzymierzona nawet z nimi i budowana przez nie tak, aby służyła za posterunek przeciwko Niemcom, nie zaś broń Boże przeciwko przyszłej Wielkiej Rosji. Ze stanowiska tych mocarstw pchnięcie Polski na wschód przeciwko Wielkiej Rosji, a Wilno byłoby właśnie takim pchnięciem, prowadzącym konsekwentnie do dalszych ekspansji mocarstwowych Polski na wschód przeciwko Rosji, zagroziłoby całemu dziełu Traktatu Wersalskiego z roku 1919. Z tego względu przeciwna jest, a przynajmniej ma bardzo poważne zastrzeżenia przeciwko incydentowi wileńskiemu nawet Francja, która na ogół najgorliwiej matkuje Polsce. Polityka i dyplomacja litewska wie o tym dobrze i nie omieszka wyzyskać te tendencje mocarstw Europy i Ameryki w sprawie Wilna przeciwko Polsce. Niechętne Litwie i państwom bałtyckim mocarstwa zachodnie traktują Litwę, Łotwę i Estonię za formacje tymczasowe, które przechowują depozyty terytorialne nad Bałykiem dla przyszłej Rosji, mającej się odrodzić po upadku bolszewizmu i upomnieć o swe dziedzictwo bałtyckie z rąk depozytariuszy. Otóż Litwa, jeżeli nie zdoła zrewindykować międzynarodowo swoich praw państwowych do Wilna z tytułu swej kwestionowanej na zachodzie niepodległości, to raczej oprze się na tytule ewentualnego depozytu na rzecz przyszłej Rosji *in spe*, niżby się wyrzekła Wilna na rzecz Polski. Tak się przedstawiają widoki akcji dyplomatycznej Litwinów w tej sprawie, kierowanej przez Ślażewicza. Litwa, zmuszona ostatecznością, raczej by poszła na federację z przyszłą Rosją, niż na stratę Wilna i na podział kraju, a wie ona dobrze, że wszelki kontakt z Polską prowadziłby dziś fatalnie do podziału Litwy.

25 października, rok 1920, poniedziałek
Od kilka dni „Straż Kresowa” zaczęła wydawać w Wilnie dziennik pod nazwą „Gazeta Wileńska”. Z przykrością czytam tę nazwę w tytule organu Straży Kresowej. Jest to bowiem tytuł mojej „Gazety Wileńskiej” z roku 1906, która w dziejach publicystyki

wileńskiej i myśli politycznej polskiej w Litwie odegrała, pomimo krótkiego istnienia, rolę pierwszorzędną. Dała ona początek sprawie demokratycznej i ludowej w społecznym ruchu polskim w kraju i idei tzw. „krajowej” w dążeniach politycznych Polaków litewskich. W odrodzonej po roku 1905 prasie wileńsko-polskiej „Gazeta Wileńska” była zwiastunką haseł humanizmu, demokracji, praw ludu, wolności, wreszcie – współżycia i współpracy obywatelskiej narodów Litwy. Ustaliła ona w tym względzie tezy i stworzyła tradycję, na której się potem opierały różne dalsze zapoczątkowania i wysiłki, wywodzące się z tychże haseł. Stała się ona dobrem pospolitym, stała się pochodnią i źródłem, do którego się odwołują ideowo rzecznicy ruchów, streszczających w sobie pierwiastki myśli wolnościowej, demokratycznej i „krajowej”. Rzecznicy tych ruchów są dziś poróżnieni, same ruchy odnośne, płynące pod barwami demokracji, ludu, „krajowości”, zróżnicowały się i nieraz przeciwstawiają jedne drugim, ale niemniej wszystkie darzą szacunkiem i uczuciem miłości swoją macierz wspólną – „Gazetę Wileńską”, uważając siebie za jej prawowitych spadkobierców. Wypaczone zostały niejedno z haseł „Gazety Wileńskiej”, zwłaszcza hasło „krajowości” w obecnej chwili, i gdyby ludzie, którzy dziś na przykład tę „krajowość” w aferze „Litwy Środkowej” realizować myślą, zajrzeli do rocznika „Gazety Wileńskiej” i pomedytowali nieco nad tym, co czynią, przekonaliby się z łatwością, jak dalece odbiegli od założeń, które były niedawno ich własnymi. Ale mimo to genetycznie poprzez wypadki i warunki ostatnich lat 14 – ciągłość wszystkich tych czynów i ruchów sięga „Gazety Wileńskiej”, która jest czymś w rodzaju testamentu idei. Jest autorytet i aureola mogą jeszcze odegrać swą rolę w przyszłości i może nawet niejeden błąd sprostować, gdy się warunki zmienią i gdy studia nad publicystyką wileńską przypomną ludziom konkretny wyraz jej założeń ideowych. Dziś jest ona legendą i nawet jako taka ma wartość dodatnią. A może do legendy dołączy się jeszcze i konkretyzacja jej haseł. Toteż przykrą dla mnie profanacją jest przywłaszczanie tytułu „Gazety Wileńskiej” przez Straż Kresową. Dotąd przez lat 14 nikt nie tknął jej nazwy. Przeciwnicy haseł dawnej „Gazety Wileńskiej” nie czynili tego, bo tytuł zbyt jaskrawie przypominał dążenia przeciwne. Ci, dla których pamięć „Gazety Wileńskiej” była wyrazem ich tradycji, nie używali tej nazwy, aby utrzymać czystość legendy, nie zmąconej aktualizmem. Obecna „Gazeta Wileńska” Straży Kresowej nie służy Litwie i nie dba o nią. Jest ona organem podziału Litwy i aneksji Wilna do Polski. Nie jest to pismo endecji, jak nie jest endecką Straż Kresowa, ale pod względem państwowo-politycznym w stosunku do Litwy służy, metodami niebezpieczniejszymi od endeckich, tymże, co endecja, celom.
Bawi w Wilnie Zygmunt Jundziłł, którego majątek Jurkiszki, położony gdzieś w okolicach Suderwy czy Rzeszy, znalazł się już po stronie „środkowo-litewskiej” frontu. Ten należy do tych nielicznych „krajowców”, którzy umieją być konsekwentni i choć przeciwstawiał się zawsze nacjonalizmowi litewskiemu i ubolewał nad błędami tegoż w Wilnie za rządów tu litewskich, potępia dziś aferę „środkowo-litewską” i ubolewa nad incydentem, który groźną dla niepodległości Litwy jest chmurą.

26 października, rok 1920, wtorek
Wypadł dziś pierwszy większy śnieg. Przed kilku dniami raz prószył trochę, ale żadnego śladu nie zostawił. Natomiast dzisiejszy śnieg zasłał ziemię i dachy domów lekkim czystym białym całunem. Choć odwilż spędziła go pod wieczór z chodników i jezdni ulic, deptanych stopami przechodni i koni, jednak na ogrodach, placach, górach – utrzymał się. Za miesiąc powinniśmy więc mieć już zimę i sannę.
Zaczynam już na serio myśleć o wybieraniu się w podróż do Kowna. Przedłużać tu pobyt nie zda się na nic. Trudno liczyć na to, aby incydent wileński został rychło w ten

lub inny sposób zlikwidowany. Dopóki jeszcze mam pieniądze i dopóki nie są jeszcze wyczerpane źródła pożyczek, trzeba próbować wyjeżdżać, bo gdy się zasoby wyczerpią, to i tutaj trudno będzie żyć bez zarobku, i wyjechać nie będzie można, szczególnie że i zima nadejdzie. Mam już kandydata na towarzysza podróży do Kowna w osobie niejakiego Michajłowicza, Karaima, byłego adwokata przysięgłego, który za czasów litewskich był mianowany sędzią pokoju na pow. wileński. W każdym razie, we dwóch raźniej podróżować. Myślimy jechać z Wilna na Lidę-Grodno-Suwałki, a stamtąd przez linię demarkacyjną polsko-litewską końmi na Kalwarię. Tą drogą puścił się dziś w podróż hr. Łubieński. Zdaje się, że jest to jedyna względnie najmożliwsza. Ale właściwie i ta jest jeszcze nie wypróbowana; trzeba ją dopiero torować. Trochę strasznie, bo a nuż się gdzieś ugrzęźnie w tej drodze, tymczasem pieniądze się rozejdą i potem ani naprzód, ani nazad. Gdyby nie trudności pieniężne, to żadne próby nie byłyby straszne.

Z frontu żadnych szczególnych nowin nie ma. Komunikaty „sztabu obrony Litwy Środkowej" – puste. Zewsząd tylko słychać, że Litwini biją się dobrze, że żołnierz litewski okazał się – niespodziewanie dla panów „Litwy Środkowej" – pełny animuszu i wielkiej zaciętości. Pochwały dla żołnierza litewskiego są, dzięki Bogu, powszechne w ustach jego wroga. Słyszę ciągle zdanie od oficerów tutejszych takie, że choć żołnierz litewski jest bardzo dobry, to jednak wojsku litewskiemu brak odpowiednio uzdolnionych oficerów, co utrudnia Litwinom walkę. Niewątpliwie jest w tym dużo prawdy; w wojsku litewskim z braku wykwalifikowanych oficerów Litwinów służy dużo oficerów Polaków i Rosjan. Oficerowie ci, zwłaszcza Polacy, są elementem do wojny z Polakami niepewnym. Tym się też tłumaczy ten fakt, o którym tu nieraz słyszałem, że w walkach poprzednich z Polakami w Suwalszczyźnie w liczbie jeńców litewskich był ogromny procent oficerów; oczywiście oficerowie Polacy chętnie się poddawali wojsku polskiemu. Na to Litwini będą musieli chyba zaradzić angażowaniem oficerów Niemców, którzy z Polską i jej ekspozyturami w rodzaju „Litwy Środkowej" będą się bili do upadłego, bo dla nich Polska jest ich wrogiem narodowym. Słabą stroną Litwinów w walkach obecnych z Polakami litewskimi armii Żeligowskiego jest ta okoliczność, że teren, na którym się toczy wojna, jest zamieszkały przez ludność mieszaną, wśród której duży odsetek uważa się za Polaków i był przez półtora roku agitowany przez rozmaite Straże Kresowe. Stąd wśród ludności cywilnej jest dużo elementów sprzyjających Polakom, uprawiających szpiegostwo i zdradzających Litwinów. Niestety – w całym pasie przyfrontowym po stronie litewskiej rozgałęzione jest szpiegostwo, które służy sprawie polskiej i pełni funkcji wywiadowcze dla przeciwnika. Takiej też zdradzie zawdzięczają wojska Żeligowskiego ujęcie do niewoli generała Nastopki ze sztabem dywizji. Faktem jest, że cała niemal ludność polska po stronie litewskiej tworzy jedną wielką organizację szpiegowską, toteż trudno się dziwić, że w obecnych warunkach wojny, stawiającej na kartę właściwie suwerenność Litwy i w roznamiętnieniu, jakie to musi wywoływać po stronie litewskiej, rodzą się w Kownie takie projekty, jak podobno zgłoszony przez posła sejmowego ks. Krupowicza, żeby wszystkich Polaków, zamieszkałych w Litwie, to znaczy nie wyłączając obywateli litewskich narodowości polskiej, internować o obozach koncentracyjnych. Jeżeli taki wniosek jest przesadny, to jednak co do pasa przyfrontowego, oczyszczenie go od elementu polskiego może się zaiste stać dla Litwinów koniecznością strategiczną. Pomimo dzielnego oporu Litwinów, czynniki „Litwy Środkowej" czują się jednak dzięki poparciu polskiemu pewni swojej pozycji. Pod względem międzynarodowym liczą oni na niedołęstwo Ligi Narodów i jałowość argumentów takich, jak protesty i protokoły papierowe, a natomiast liczą na stanowisko międzynarodowe Polski, które wzmocnione zostało znakomicie jej zwycięstwem nad Rosją bolszewicką. W sferze zaś

wojennej są spokojni, bo dotąd, pomimo bitności Litwinów, mają nad nimi przewagę liczebną, bo posiłki wciąż dopływają. Poza tym, mają oni świadomość, że gdyby Litwini brali nad nimi górę i zaczęli się posuwać na Wilno, to Polska całą potęgą swego wojska ruszy im na odsiecz, a wtedy bieda Litwinom. Sprawa „marszu na Kowno" wciąż jeszcze jest żywotna w kołach wojskowych i niektórych politycznych. Dziś w gazetach ogłoszona jest druga nota „Litwy Środkowej" do rządu kowieńskiego, wzywająca Litwinów do układów. Że Litwini na propozycję tę, w której jest zarazem warunek względnego cofnięcia się wojsk litewskich do byłej linii demarkacyjnej polsko-litewskiej, nie odpowiedzą, to więcej jak pewne.
Otóż z pewnych miarodajnych kół „Litwy Środkowej" są inspirowane głuche pogłoski, że pozostawienie przez Kowno tej noty bez odpowiedzi może w najbliższych dniach przesądzić decyzję „marszu na Kowno". Rząd „Litwy Środkowej" sprowadził do Wilna specjalnym samochodem p. Restytuta Sumoroka, upatrzonego kandydata na prezesa Tymczasowej Komisji Rządzącej. Wiem od Witolda Abramowicza, że p. Restytut dotąd nie zdecydował się na przyjęcie tej propozycji, ale czynniki rządowe nie tracą nadziei i bardzo nań nalegają, bo chodzi im bardzo o firmę tego człowieka, otoczonego szacunkiem i zaufaniem powszechnym.

27 października, rok 1920, środa
Sprawa mojego wyjazdu posuwa się. Zdecydowany jestem wyruszyć z Wilna już w przyszłym tygodniu. Główną rzeczą jest zgromadzenie odpowiedniego zapasu gotówki. Otóż dzień dzisiejszy mię pod tym względem wzmocnił. Pożyczyłem od Zasztowta 4000 marek polskich i od Zygmunta Jundziłła – 1000 marek polskich. Ze sprzedaży futerka za pośrednictwem domu komisowego Abłamowicza mam otrzymać ± 2500 marek polskich (tyle mi ocenił Abłamowicz futerko), wreszcie mam jeszcze tysiąc i kilkadziesiąt marek litewskich. Wszystko to razem wzięte, po potrąceniu kosztów utrzymania mego w Wilnie przez tydzień jeszcze, uczyni w markach polskich okrągłe 10 000 na drogę. To powinno wystarczyć, gdyby nawet nie tylko z Suwałk, ale już z Grodna trzeba było jechać końmi. Co do przepustek, to dowiedziałem się ostatecznie, że na wyjazd z Wilna do Lidy nie potrzeba żadnych. Wystarcza pospolity dowód osobisty, to znaczy paszport z fotografią. A w Lidzie są już władze polskie. Stamtąd dalej jedzie się stosownie do przepisów polskich.
Sytuacja skomplikowanego stosunku „Litwa Środkowa – Polska" jest wciąż bardzo niewyraźna, tak że nic ani co do ostatecznych rozwiązań, ani nawet co do najbliższych faz wypadków przewidzieć niepodobna. Jeżeli wojska Żeligowskiego dojdą wkrótce do byłej linii demarkacyjnej litewsko-polskiej, którą władze „Litwy Środkowej" uznały za swoją granicę zachodnią, to cóż dalej, skoro Litwa Kowieńska na żadne propozycje rokowań nie odpowiada? Czy iść dalej – na Kowno, czy stanąć na linii demarkacyjnej z bronią u nogi i odpierać biernie ataki Litwinów, którzy tymczasem organizują swoje wojsko, przeprowadzają mobilizację i szykować się będą do ofensywy na Wilno? Czynniki, stojące u steru „Litwy Środkowej", łamią sobie obecnie głowę nad wyjściem dalszym z sytuacji. Gdyby Polska miała rozwiązane ręce, nie była skrępowana żadnymi zobowiązaniami międzynarodowymi ani zaangażowana żadnymi interesami, jak sprawa Gdańska i Śląska, zależnymi od czynników Europy, i gdyby mogła po prostu już zaraz obwieścić inkorporację Wilna, jak by tego pragnęli nasi aneksjoniści, i pochłaniając „Litwę Środkową", wziąć na siebie jej obronę – wtedy stosunek do Litwy Kowieńskiej byłby prosty. Żadne mobilizacje Kowna nie byłyby straszne, bo Polska militarnie dałaby Litwinom radę. Ale Polska tak od razu dokonać inkorporacji nie może. Aneksjoniści z obozu „Litwy Środkowej" sami nie liczą na to. Ich metoda polega na tym, aby tak rozpalić w masach ludowych Wilna i okolic tendencje wcielenia do Polski,

działając drogami demagogii, wieców itd., a wreszcie pod tym samym hasłem dokonać wyborów do sejmu w Wilnie, który potwierdzi żądanie wcielenia do Polski, aby potem Europa nie mogła już odmówić Wilna Polsce i „darować" je komukolwiek i aby sama Polska zyskała w „wyrażonej formalnie woli ludności" argument na rzecz wcielenia Wilna, paraliżujący wszelkie kombinacje, skierowane do przeszkodzenia temu. Ale zanim się ta akcja zakończy, zanim się dokonają wybory do Sejmu i Sejm się zbierze, tymczasem Litwini mogą zorganizować swoje siły, uderzyć, pobić, może i odebrać Wilno, a w każdym razie popsuć wszystkie szyki. Aby temu przeszkodzić, trzeba iść na Kowno, zadać cios decydujący Litwinom i unieszkodliwić ich. Aneksjoniści w zasadzie przeciwni są pochodowi na Kowno i zaczepianiu Litwy etnograficznej, rozumiejąc, że to komplikuje prosty postulat wcielenia Wilna do Polski i może się stać poniekąd wodą na młyn „krajowców", którzy w zjednoczeniu Litwy Wileńskiej z etnograficzną Kowieńską znajdą większą podstawę do budowania z całokształtu jakiejś państwowości litewskiej. Ale wyżej wskazane względy sytuacji politycznej zmuszają nawet aneksjonistów, niechętnych myśli o forsowaniu bezpośrednio Litwy etnograficznej, którą woleliby oni zostawić jej własnemu losowi, do liczenia się poważnie i skłaniania się coraz bardziej do myśli „marszu na Kowno", aby rozbić wojsko litewskie, zanim się ono zorganizuje. Zastrzegają się oni, że chodzi tylko o względy strategiczne, nie zaś polityczne, których tykać w pochodzie na Kowno nie myślą. Swoją jednak drogą, gdyby na Kowno poszli i gdyby tam weszli, to jestem przekonany, że podniosłyby się w stosunku do Kowna różne kwestie właśnie polityczne, nie wyłączając kwestii aneksyjnej. Wszakże istnieje pewien prąd taki, który tu niejaki p. Sokołowski[83] reprezentuje, że Kowno i pow. kowieński powinny być także do Polski wcielone. W tym duchu już dziś „Gazeta Wileńska " Straży Kresowej nawet artykuł wydrukowała. „*L'apétit vient en mangeant*" – to tak zawsze. Druga nota do rządu kowieńskiego, wysłana pozawczoraj przez rząd Litwy Środkowej z propozycją „rokowań", która, jak z góry dobrze wiadomo, przyjęta przez Kowno nie będzie, ma być właśnie przygotowaniem podstawy do pochodu strategicznego na Kowno. Ano – zobaczymy. O stosunku „krajowców" do tych spraw pomówię jutro.

28 października, rok 1920, czwartek
Niewiele się różnią tzw. „krajowcy" od aneksjonistów w ocenie dalszych perspektyw sytuacji i akcji militarnej. Bo co cóż wymyślą innego, niż usiłowanie „sforsowania" Kowna, aby biernym zachowaniem się nie dać Litwinom możności zorganizowania się militarnego nie tylko do obrony, ale i do uderzenia, które, w razie jakichkolwiek przeszkód do uderzenia przez Polskę udzielą czynnej Wilnianom „środkowo-litewskim" pomocy, grozić może zlikwidowaniem całego przedsięwzięcia wileńskiego? Oczywiście logika militarnej genezy czynu ma swoje konsekwencje żelazne, które nie pozwalają panom „krajowcom" w stylu Zasztowta ograniczyć się do swoich pierwotnych zamierzeń i ustać wpół drogi. Kto sieje wiatr – zbiera burzę, powiada przysłowie. Przysłowie to zaczyna się na panach „krajowcach" sprawdzać. Wszak oto jeszcze nie dalej, jak prze 10 dniami, zaklinał mi się uroczyście Zasztowt, że za żadną cenę nie zgodzi się na to, aby akcja militarna „Litwy Środkowej" przekroczyła wytkniętą w zasadzie linię demarkacyjną, stanowiącą kres ich aspiracji i że gdyby wbrew jego opozycji zwyciężył kierunek, popularny w pewnych kołach wojskowych i zarządzony został „marsz na Kowno", to on, Zasztowt, zerwie z całą aferą i z głośnym publicznym protestem wycofa się z Komisji Rządzącej. A oto już wczoraj, gdym z nim

[83] Ignacy Sokołowski, działacz polityczny I społeczny w Kownie, prezes Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego (1919); wydalony z Litwy, osiadł w Wilnie, gdzie w latach 1920-1922 działał w organizacjach Polaków z Kowieńszczyzny.

rozmawiał, rozważał on możliwość takiej akcji jako rzecz wcale prawdopodobną, omal już konieczną, która wypłynie logicznie, jeżeli tylko Litwini w najbliższym czasie nie pójdą na rokowania, bo innego wyjścia nie będzie. Tak, nie będzie, to fakt. Bo albo trzeba będzie zdecydować się na to, że Litwini skorzystają z przerwy i bierności przeciwnika, aby wzmocnić swe siły, zorganizować je do skutecznego ciosu i uderzyć, co ewentualnie może dać im wygraną, albo trzeba się starać doprowadzić swoje dzieło rozpoczęte do końca i próbować zgnieść Litwinów, nie oglądając się już na teoretyczne rozumowania. Kto zaczyna wojnę, nie może odrzucać jej konsekwencji i uchylać się od kończenia jej; jeżeli się będzie uchylać – to się narazi na przegraną. A oczywiście nikt nie zaczyna wojny inaczej, jak życząc ją wygrać. Co prawda – nie zawsze chęć wygrania i logiczne wysnuwanie konsekwencji wojny ustrzeże od przegranej. O „marszu na Kowno" dużo się mówi i coraz bardziej się czuje i rozumie fatalną konieczność tego dla wygranej, ale przez to „marsz" ten nie jest jeszcze tak pewny w wykonaniu. Nie zawsze to, co jest łatwe do powiedzenia, jest równie do wykonania łatwym. Jeszcze się i do nakreślonej „linii demarkacyjnej" nie doszło. Od tygodnia komunikaty „sztabu obrony" nie mają się zgoła czym chwalić i choć bitwy się toczą i choć się bardzo dużo mówi i już szczerze przyznaje do tego, że żołnierz litewski dobrze się bije, sytuacja wciąż, podług brzmienia komunikatów, jest „bez zmiany". A by dojść do Kowna – na to trzeba osiągnąć niemałej „zmiany". A zresztą czyż Kowno rozstrzygnie? Jeżeli chodzi o wzgląd strategiczny na to, by nie dać możności Litwinom „zorganizowania się", to z Kowna trzeba będzie iść na Szawle, a z Szawel na Telsze, aby wreszcie żadnej piędzi Litwinom nie zostawić dla „zorganizowania się". A to nie jest tak proste i tak łatwe, gdy ci Litwini są tacy uparci i tak biją się dobrze, że nawet do Jewja tymczasem się dojść nie zdołało. Szczególnie zaś nie jest to łatwe, gdy zbliżają się chłody i gdy żołnierz „Litwy Środkowej", który, wyruszając z Lidy, był pewny, że wyprawa jego będzie tylko „marszem" i że wojsko litewskie jest „zbolszewiczałą" bandą tchórzliwych cywilów, która umie tylko uciekać lub poddawać się, nie ma ani dobrego zaprowiantowania, ani, co gorsza, wyekwipowania do tego stopnia, że jak przyznają oficerowie, na linii na kompanię jest zaledwie po 10 płaszczy i cała nadzieja i „dorobek" na tym, co się z pleców jeńców ściągnie, podczas gdy Litwini są dobrze zaopatrzeni i ciepło ubrani. Chyba Polska pomoże! Bo bez tej pomocy trudno będzie w zimie bez płaszczy nie tylko dotrzeć do Kowna lub tym bardziej do Szawel, ale nawet pod Jewjem wytrzymać.

Nie wszyscy jednak „krajowcy" z obozu „Litwy Środkowej", to znaczy nie wszyscy ci, co przekładają budowanie państwa litewskiego nad podział Litwy i anektowanie jej dzielnicy wileńskiej do Polski, traktują sprawę „marszu na Kowno" podobnie do Zasztowta lub Witolda Abramowicza. Nie wszyscy uważają to za ewentualną tylko „konieczność strategiczną". Są wśród nich i tacy, że wymienię tu Świechowskiego i Mariana Kościałkowskiego, co są zdecydowanymi ideologami sforsowania całej Litwy, aby ją zmusić w całości do przyjęcia takiej budowy państwowej, jaka się w umysłach tych „państwowców" Litwy rysuje. Rozumują oni tak: dopóki istnieje rząd litewski, wywodzący się z „Taryby" i budujący Litwę na pierwiastku nacjonalistycznym litewskim, nie może być mowy o porozumieniu i wspólnej budowie. Trzeba obalić to, co zrobiono w Kownie, trzeba zrobić *tabule rasae* z całej dotychczasowej organizacji Litwy, z Sejmu itd. Trzeba zniszczyć wszystko, zdławić, uprzątnąć, a wtedy, zająwszy Litwę militarnie, zarządzić wybory powszechne do Sejmu w Wilnie i zacząć budować od początku. Ci „krajowcy" chcą konsekwentnie „marszu na Litwę", którego się boją aneksjoniści. Chcą, bo wiedzą – i nie można im pod tym względem zaprzeczyć pewnej logiki – że tylko z całości Litwy, a nie z jakiejś jeno ułamkowej kalekiej „Litwy Środkowej" można budować państwo litewskie.

Polska, idąc torami Piłsudskiego, zrodziła oto takie widowisko: kończąc formalnie wojnę, zawierając rozejm w Rydze z bolszewikami jako preliminarz pokoju i zawierając w Suwałkach rozejm z Litwą, jednocześnie wypuściła w trzy różne strony dwa strumienie wojsk, które niby nie mają z armią polską związku i za które Polska formalnie odpowiedzialności nie ponosi: na Litwę – Żeligowskiego, na Białoruś – Bałachowicza i na Ukrainę – Petlurę. Każdy z tych trzech manekinów interwencji polskiej na własną niby rękę i na własną odpowiedzialność ma tworzyć: Litwę, Białoruś, Ukrainę, oparte oczywiście o Polskę. Tymczasem oto dochodzą wieści – nie wiem, czy prawdziwe – że nauka w las nie poszła i że bolszewicy też ze swej strony wypuścili jakąś armię litewsko-białoruską, która niby „oddzieliła się" formalnie od bolszewickiej i „nie uznając" traktatu Rosji z Polską, na własną rękę chce prowadzić wojnę z Polską czy też z ekspozyturami Polski. Czy więc ten „pokój" nie jest tylko dalszym rozkładem regularnej wojny na jakiejś samozwańcze wojenki już nie państw, lecz różnych jakichś watażków, atamanów, kondotierów i generałów, jak już jest od dwóch lat w Rosji i na Ukrainie. Taka „wojna" – to już nie wojna, lecz jakiś chroniczny stan wojowania przygodnego, rozkładającego się na partie, partyjki, rządy, rządziki itd.

29 października, rok 1920, piątek
Czyżby panowie z Tymczasowej Komisji Rządzącej „Litwy Środkowej" przypuszczali na serio, że Kowno może udzielić jakiejkolwiek odpowiedzi na ich „noty" pokojowe, proponujące rozpoczęcie „rokowań" między Wilnem a Kownem? Jeżeli ktoś z nich tak sądzi, jest znowuż naiwnym. Bo jakże to? Dotychczas autorowie „Litwy Środkowej" nie zgłosili Kownu żadnych żądań swoich, żadnych warunków, nie wskazali, czego właściwie sami chcą i jaki jest ich cel. O czymże więc Kowno miałoby z nimi rokować? Aby rokować – trzeba wiedzieć, czego obie strony chcą, do czego dążą. Jakie jest stanowisko Kowna, o tym dobrze wiadomo. Zarówno samo Kowno, jak Wilno – wiedzą o tym. Ale czego chcą dzisiejsi władcy Wilna, czym jest ich „Litwy Środkowa", tego nie wie nie tylko Kowno, ale nikt, bo nie wiedzą nawet sami twórcy „Litwy Środkowej". Wiadomo, czego chce Szopa, można się domyślać, czego chce Witold Abramowicz, Zasztowt, Wacław Iwanowski, ale czego chce Komisja Rządząca – nie wie nikt, a nawet ona sama. Co głowa – to inny pomysł, inny cel. Jedni chcą aneksji Wilna i Grodna do Polski, inni – niepodzielnego państwa litewskiego z jedynym sejmem w Wilnie, połączonego unią, federacją lub konwencjami z Polską, jeszcze inni chcą Litwy, złożonej ze sfederowanych kantonów, a wreszcie są i tacy, jak zapewne Wacław Iwanowski, którym właściwie chodzi ani o Litwę, ani o stosunek do Polski, jeno o dźwignięcie Białej Rusi pod firmą Litwy i do pochłonięcia Wilna przez Białoruś. Że mogą być różne opinie i życzenia w prasie, w społeczeństwie, w ugrupowaniach politycznych – to bardzo naturalne. Ale tutaj nie wiadomo, czego chce rząd, czego chcą ci, którzy stoją u steru i którzy na siebie odpowiedzialność polityczną czynu przyjęli. Niezależnie od wszelkich innych względów, nie może być mowy o podjęciu rokowań przez Kowno, dopóki Kowno nie wie, z kim ma do czynienia i czego się przeciwnik domaga. Bo jakże się cała rzecz stała? Wszak przed wkroczeniem wojsk Żeligowskiego do Wilna „powstańcy" nie postawili Litwinom żadnych żądań, żadnego nawet ultimatum. Po prostu, korzystając ze swej przewagi, nie wystawiając żadnych żądań, nagle napadli, wypędzili Litwinów z Wilna i po dokonaniu tego – proponują „rokować"! Ależ o czym i na jakim gruncie? Po paru tygodniach znowu „nota" i znowu propozycja rokowań. Wszak jeżeli „Litwa Środkowa" ma być tylko stadium przejściowym do aneksji na rzecz Polski, to cóż ma Litwa do rokowania w tej kwestii? Może ona na to odpowiedzieć tylko jedno: „Ba, jeżeli militarnie i dyplomatycznie się wam to uda, to trudna rada – zaanektujecie, ale przeciwko woli naszej, więc cóż to ma

do rokowań!”. Rokowania mogłyby być tylko w takim razie, gdyby panom z „Litwy Środkowej” chodziło wyraźnie o wspólną budowę Litwy. Ale w takim razie trzeba to wpierw powiedzieć wyraźnie i postawić, a przynajmniej dać poznać swoje warunki. Tego nie zrobiono. Przeciwnie – Komisja Rządząca wciąż wyraża swoją „neutralność” urzędową wobec prądów aneksji czy też państwowości litewskiej, odwołując się do przyszłej „woli ludu”, a jednocześnie członek Komisji, p. Szopa, daje w mowie swej wyraźnie do zrozumienia, że chodzi o połączenie Wilna z Polską. Ani Komisja *in corpore*, ani nikt z niej nie dezawuuje p. Szopy. Dziwny to twór „państwowy” ta „Litwa Środkowa” i dziwny rząd: nie chce niczego chcieć i zakłada „państwo” dla celów – „plebiscytowych”. W tych warunkach propozycja „rokowań” jest czczą, bo nie można rokować z kimś, kto jeszcze sam nie wie, czego zechce. Taka „propozycja rokowań” jest po prostu wezwaniem do kapitulacji: poddaj się temu, co ja zechcę, a czego jeszcze sam określić nie umiem. Toteż dotychczasowe urzędowe „propozycje” „rokowań” są tylko komedią, obliczoną na efekt w wojsku, w opinii ludności, a może i dla Europy, żeby pokazać dobrą wolę do porozumienia, przerzucić odium przelewu krwi z bark swoich na barki Litwinów i ewentualnie przygotować sobie uzasadnienie do „marszu na Kowno”. Ale oczywiście Litwinom, którzy nie mają powodu do kapitulowania tymczasem, trudno będzie wykazać Europie wartość takich „propozycji rokowań” i przeszkodzić obarczeniu ich odpowiedzialnością za przelew krwi. Są jednak w Komisji Rządzącej i w kołach jej bliskich czynniki, którym niewątpliwie chodzi szczerze o nawiązanie kontaktu z Litwinami na rzecz porozumienia. Są to czynniki, dość liczne nawet, które rozumieją, że to dałoby najlepszą w tej chwili sankcję rozpoczętemu dziełu, utrwaliłoby je, usuwając ciężkie ryzyko, które wisi nad nim, i zarazem zaszachowałoby aneksję polską. Ale droga do tego prowadziłaby nie przez noty urzędowe, jeno przez ciche zbadanie gruntu w Kownie na rzecz znalezienia możności i warunków i układu i musiałoby to być zapoczątkowane nie przez całą Komisję Rządzącą urzędowo i *in corpore*, bo w Komisji tej uczestniczą i aneksjoniści, niechętni układom, jeno przez niektóre jednostki z Komisji, przez jej „frakcję”. Zresztą nie wiem, czy i tą drogą dałoby się coś zrobić, bo o ile wiem – w Kownie u Litwinów jest bardzo silny prąd za tym, żeby bezwzględnie do żadnych rokowań i układów czy to z Polską, czy z „Litwą Środkową” w przedmiocie wewnętrznej budowy Litwy i jej stosunków na zewnątrz nie dopuścić, choćby to miało sprowokować inwazję bądź wojsk Żeligowskiego, bądź Polski w głąb Litwy Kowieńskiej. Prąd ten nie obawia się tej inwazji, choćby na razie militarnie Litwa miałaby upaść i choćby to ją kosztowało ruinę gospodarczą. Rzecznicy tego prądu liczą na to, że inwazja taka zbudziłaby jeno tę część narodu, która jeszcze drzemie i zachowuje obojętność na sprawy narodowe i państwowe i zgotowałaby ona najeźdźcom drugą Hiszpanię, jak za czasów wojen napoleońskich.

30 października, rok 1920, sobota
Prawie wszystko już załatwiłem z moich interesów i gotów jestem w tych dniach do wyjazdu. Chciałbym wyjechać we czwartek. Nie mogłem się tylko jeszcze skomunikować w moim domniemanym towarzyszem podróży, Karaimem Michałowiczem czy Michajłowiczem. Rozmawiałem z nim o tym przed kilku dniami tylko na ulicy, ale zapomniałem go spytać o adres. Szukałem go dziś, ale nie znalazłem. Będę znów szukać jutro, bo muszę się porozumieć szczegółowo co do wspólnego wyjazdu. Podróż we dwóch – to podróż o połowę tańsza i podwójnie wygodniejsza, nie mówiąc już o przyjemności towarzystwa.
Coraz więcej przybywa ludzi do Wilna, oczywiście z tych, co byli uciekli przed bolszewikami do Polski. Co dzień spotyka się więcej twarzy znajomych na ulicy. Mnie jednak dzieli od nich wszystkich mój stosunek ujemny do afery Żeligowskiego i Litwy

Środkowej, której oni wszyscy są naturalnie zwolennikami, bo otworzyła im ona drogę powrotu, a ewentualnie i dostęp do grania tu jakiejś roli lub zdobycia posady.
Dziś ukazał się na bruku wileńskim Bronisław Krzyżanowski, mąż wielkich nadziei „Litwy Środkowej", jedna z najlepszych głów w obozie „demokratów" Witolda Abramowicza, patentowany od dwóch lat „dyplomata" Polaków litewskich, przedstawiciel *in spe* interesów „Litwy Środkowej" w Paryżu itd. Byłem u niego i rozmawiałem z nim. Powiada on, że się dopiero orientuje, jest, jak zawsze, pełny różnych zastrzeżeń, szuka w wypadkach swojej własnej oryginalnej linii myślenia i działania, ale zasadniczo, o czym nie można było wątpić, hołduje ideologii polityki mocarstwowej polskiej, a jego „krajowość" i pojmowanie „państwowości Litwy" zasadza się wyłącznie w sferze wielkiego ośrodka – Polski. Zresztą takimi są wszyscy „krajowcy" z grupy tzw. „demokratów". Od Krzyżanowskiego, który z Warszawy wyjechał we czwartek wieczorem, słyszałem, że Liga Narodów, po rozpoznaniu we wtorek incydentu wileńskiego, zaproponowała stronom, to znaczy Polsce (nie rządowi Żeligowskiego), której przedstawicielem był Szymon Askenazy, i Litwie, której przedstawicielem był Voldemaras, plebiscytarne rozwiązanie sprawy wileńskiej. Rząd polski rozważa obecnie tę propozycję, ale choć plebiscyt w Wilnie i okręgu wileńskim przyniósłby bez wątpienia zwycięstwo Polsce, rząd polski boi się jednak zaakceptowania tej metody ze względu na to, że są poszlaki, iż ta sama metoda zostałaby wtedy zastosowana i do Galicji Wschodniej, gdzie plebiscyt dałby Polsce porażkę i gdzie przeto Polska nie życzy go sobie. Tak twierdzi Krzyżanowski na podstawie ostatnich informacji z Ministerium Spraw Zagranicznych w Warszawie, za którego kulisy ma on łatwy i poufny dostęp.
Przez moje trzy artykuły, które się ukazały w prasie wileńskiej w tych tygodniach (artykuł „Naiwni" w „Głosie Litwy", artykuł „Czyż ciągle i tylko nienawiść?" tamże, którego tytuł został przez cenzurę skreślony, i artykuł „Jeszcze o logice" w pozawczorajszym numerze „Gazety Krajowej") dałem się jaskrawie poznać Wilnu jako zdecydowany przeciwnik afery „Litwy Środkowej" i kategoryczny konsekwentny rzecznik Niepodległości Litwy, której zawiązek utworzył się tylko w Kownie, ale w żadnym razie nie w dziełach „krajowców środkowo-litewskich", i która metodami interwencji polskiej i polskiego interesu mocarstwowego budowana być nie może, bo taka budowa gwałci w samym założeniu suwerenność państwową Litwy i czyni z niej służebnicę, nie zaś kraj wolny. Artykułami tymi spaliłem mosty za sobą. Moje stanowisko tak głęboko się różni i odbiega nie tylko od powszechnych tu nastrojów Polaków litewskich, ale i od kierunku myślenia wszystkich „krajowców", że stałem się tu od razu wszystkim Polakom w Wilnie obcy. Zdaje się, że ogromna większość uważa mię za „litwomana". Ba, stanowiska mego zmienić nie mogę, bo rzetelnie i nade wszystko pragnę Niepodległości Litwy, która dla mnie jest celem, podczas gdy dla „krajowców" jest ona tylko metodą ich udziału we władzy, toteż tylko warunkowo pod tym kątem budować by ją chcieli. Z tych trzech moich artykułów pierwszy i trzeci udały mi się dobrze, to znaczy, że rad z nich jestem i że wyrażają one dobrze moją krytykę afery wileńskiej.
Grupa „Kowieńczuków", przeważnie ziemiańska, zaczęła się w ostatnich dniach bardzo ruszać. Podnieciła ich wisząca w powietrzu możliwość pochodu wojsk Żeligowskiego na Kowno i w głąb Litwy etnograficznej. Forują oni interwencję zbrojną, agitują za tym w prasie, zwołują ogólne zebrania „Kowieńczuków" i projektują założenie „Związku Polaków Kowieńskich". Na czele tej akcji stoją, jak mi wiadomo, Ignacy Sokołowski i Marian Świechowski. Łączy ich to, że pragną interwencji na Litwę Kowieńską i że chcą rozpalić prąd w tym kierunku. Są wszakże i różnice między nimi głębokie w tym, do czego dążą. Gdy jedni (Sokołowski) dążą do tego, aby wydzielić z „Litwy

etnograficznej" Kowno z powiatem kowieńskim i pono aż całą dolinę Niewiaży pod Poniewież jako rzekomo kraj „etnograficznie polski" i bądź wraz z Wilnem wcielić do Polski, bądź też połączyć z „Litwą Środkową" jako ewentualny osobny kanton polski w państwie litewskim, drudzy, jak Świechowski lub Marian Kościałkowski, chcą interwencji militarnej i politycznej na Litwę Kowieńską, aby dokonać z gruntu całkowitej przebudowy wewnętrznej całego państwa litewskiego, zachowując stanowczo państwowość Litwy, ba – nawet Litwy całej, to znaczy historycznej wraz z Białą Rusią w granicach co najmniej 1772 roku. Akcją swoją jednak czynią oni to, że Litwini w Kownie słusznie mogą twierdzić, wszyscy Polacy nastają na suwerenność Litwy i wzywają gwałtu polskiego i że przeto każdy Polak – to wróg wewnętrzny, co daje uzasadnienie represjom względem Polaków w Kownie.

31 października, rok 1920, niedziela
Odszukałem dziś mego domniemanego towarzysza podróży, Michajłowicza, ale się okazało, niestety, że jego jazda ze mną jest jeszcze bardzo niepewna. Jeszcze się namyśla i w tych dniach ma mi dać odpowiedź ostateczną, ale mam wrażenie, że nie wybierze się. Cóż robić – będę próbować tej podróży sam jeden. Przestrasza mię ona trochę, bo Bóg raczy wiedzieć, czy można dojechać do Suwałk i w jaki sposób, a stamtąd przez linię demarkacyjną do Litwy, a tymczasem w tej podróży i pieniądze się mogą wyczerpać, a wtedy – osiadłbym na mieliźnie, z której nie wiadomo jak się wydostać. Nie wiadomo, jakie okażą się potrzebne dla tej podróży przepustki i jakich trzeba będzie używać środków lokomocji. A tu już i mrozy nastały na dobre. Dnie pogodne, dzień w dzień po kilka stopni mrozu, rankami mróz dochodzi już do - 8° R, od wczoraj w Wilnie już sanna. Ale z drugiej strony – siedzieć tu bez końca w Wilnie, bez żadnych perspektyw, środków dla życia przy rosnącej szalenie drożyźnie, żyjąc z przygodnych pożyczek, nie mieć żadnych szans na wyjazd, gdy tymczasem choćby dla samej sprawy Bohdaniszek obecność moja tam jest konieczna – to oczywiście jeszcze gorsze, niż ryzyko próby jazdy. Wyjazd muszę odłożyć z czwartku na sobotę, bo, jak się dowiaduję, pociąg na Lidę odchodzi z Wilna tylko dwa razy tygodniowo, we środy i soboty. Co do Bohdaniszek, to się bardzo obawiam, że mogły one zostać teraz bez żadnej opieki, bo Hektor i Julek Komorowscy mogli być wzięci do wojska na skutek zarządzonej w Litwie mobilizacji, a Jakszuk, jako obcy poddany i Polak, mógł być, wobec zaostrzenia przez wojnę stosunków, internowany.
Oprócz tego, jest mi tu prawdziwie boleśnie być w Wilnie. Nie umiem bowiem patrzeć na rzeczy przez tragiczny optymizm Witolda Abramowicza. A zbyt kocham Niepodległość Litwy ze stolicą w Wilnie, abym mógł patrzeć spokojnie na fatalną logikę wypadków, odrywającą Wilno od Litwy. Dla mnie jest jasne jak na dłoni, że afera „Litwy Środkowej", o ile w jakikolwiek sposób sobie karku nie skręci lub o ile nie zajdą nadzwyczajne i niespodziewane wypadki, takie, jak na przykład pochód wojenny Żeligowskiego na Kowno i na Litwę etnograficzną lub nawiązanie rokowań Wilna z Kownem – a jedno i drugie jest mało prawdopodobne – doprowadzić może tylko do aneksji Wilna na rzecz Polski. Witold Abramowicz i „krajowcy", uczestniczący w tej aferze, przypominają mi kurę, która wysiaduje jajka kacze. Kura może być święcie przekonana, że z jajek wylęgną się pisklęta, które mieć będą naturę swojej matki-kwoki, a więc kurczęta, ale nie mniej rzeczywiście wylęgną się z jaj kaczych – kaczęta. Choć „Komisja Rządząca Litwy Środkowej", w której sporo jest „krajowców", usiłuje brać swoją „Litwę Środkową" na serio, to jednak aneksjoniści coraz bardziej w opinii publicznej, w prasie itd. podnoszą głowę i oblewają robotę „krajowców" zimną wodą. Na razie godzili się oni z „Litwą Środkową" jako chwilowym kompromisem, ale dziś już coraz bardziej uderzają w nią, by zrzucić z niej maskę i odsłonić jej istotne oblicze,

którym jest – aneksja. To, czego się „krajowcy" bali i co zresztą przewidywali, usiłując wmówić w siebie lekkomyślnie, że jakimiś misternymi sztuczkami zdołają zmienić rzeczywistą logikę i naturę swego dzieła – zaczyna się już sprawdzać. Aneksjonizm już ich ze wszech stron zalewa, a każdy dzień z każdą partią nowych przybyszy, powracających z emigracji, wzmacnia ich szeregi i potęguje ich stanowisko. „Krajowcy" są tylko cieniutką warstewką u rządu bez żadnego realnego oparcia. Gazety dzisiejsze pełne już są nowych wieści o propozycji plebiscytu w Wileńszczyźnie, uczynionej przez Ligę Narodów. Polska mogłaby mieć pewne zastrzeżenia co do zaakceptowania zasady plebiscytu ze względu na ewentualny, niebezpieczny dla niej precedens plebiscytowy dla Galicji Wschodniej, ale aneksjoniści miejscowi triumfują. Wiedzą oni bowiem, że plebiscyt tu wypadnie na rzecz Polski, a poza tym cieszy ich rzecz zasadnicza – że wreszcie Europa stawia kwestę Wilna pod dyskusję i nie stoi już, jak stała dotąd, na bezwzględnym stanowisku negowania praw polskich do Wilna. Jest to triumf niewątpliwy. A co jeszcze ważniejsze – to to, że Europa traktuje cały incydent wileński Żeligowskiego li tylko między Polską a Litwą, nie licząc się wcale z tworem „Litwy Środkowej" i różnych intencji „krajowców" itp. , usiłowanych realizować pod postacią „Litwy Środkowej" przez pewne grono polityków naszej Komisji Rządzącej. Europa zna tylko spór między Polską a Litwą i nic więcej. Z „władzami" „Litwy Środkowej" Europa nie gada wcale i z ich pomysłami nie liczy się, a nawet ich nie zna. To jest też kapitalna słabość „krajowców", która płynie z ich „grzechu pierworodnego" – oparcia się o interwencję polską. Polska dała siłę i pomoc do opanowania Wilna, dziś daje „Litwie Środkowej" poparcie i protekcję międzynarodową, a więc czyni to oczywiście na rzecz swoich własnych roszczeń i interesu państwowego, a nie na rzecz urojeń i odrębnych zamiarów panów „krajowców". Polska konfirmuje oczywiście tę aferę dla siebie, na swoją korzyść. Ona udzieliła środków, toteż i owocu dla siebie pragnie jako swego prawowitego zysku.

1 listopada, rok 1920, poniedziałek
Wieść wczorajsza o tym, że Liga Narodów zaproponowała rządom polskiemu i litewskiemu – plebiscyt w Wileńszczyznie i Grodzieńszczyznie, dokonany pod kontrolą tejże Ligi, podziałała na niektórych „krajowców" z obozu „Litwy Środkowej" deprymująco. Używając terminu „krajowcy", trzeba zawsze pamiętać, że termin ten nie oznacza ani stronnictwa, ani jednolitego programu. Można prawie powiedzieć, że ilu jest „krajowców", tyle jest rozmaitych programów. „Krajowcem" jest Ludwik Abramowicz, jest nim Witold Abramowicz, jest Bronisław Krzyżanowski, jest dr Adolf Narkiewicz, jest Marian Świechowski, Marian Kościałkowski, Zygmunt Jundziłł, Aleksander Zasztowt, jest niby także Stanisław Bagiński i wielu, wielu innych. Każdy z nich jednak zupełnie inaczej tę swoją „krajowość" rozumie, czego innego chce i inaczej myśli tę „krajowość" realizować. Łączy ich chyba to jedno wspólne, że wszyscy są przeciwnikami prostej inkorporacji części Litwy (przynajmniej Wilna) do Polski, co różni ich od aneksjonistów i pragną osobnej państwowości Litwy, ale tylko takiej, która nie będzie państwem narodowym litewskim i która w ten lub inny sposób będzie w stałym organizacyjnym kontakcie (związku) z Polską. Ale gdy dla jednych aksjomatem jest tylko Litwa historyczna w granicach z roku 1772 albo co najmniej w granicach Dźwiny i Berezyny, ogarniająca więc również Białoruś prawosławną, inni gotowi są zbliżyć się do koncepcji litewskiej, to znaczy Litwy katolickiej, mniej więcej w granicach traktatu lipcowego litewsko-bolszewickiego, z pewnymi poprawkami na wschód i południe; gdy jedni chcą państwa jedynego, zbudowanego na zasadach jednej wspólnej Konstytuanty w Wilnie, inni są zwolennikami budowy kantonalnej, złożonej z trzech zasadniczych kantonów – północno-zachodniego, czyli narodowego litewskiego,

środkowego, to znaczy wileńskiego z przewagą narodową polską i wschodniego, czyli białoruskiego z ośrodkiem w Mińsku; jedni pojmują związek z Polską w postaci ścisłej unii czy federacji, inni zadowoliliby się konwencjami, łączącymi tę Litwę z Polską, zwłaszcza zaś konwencją wojenną, a w każdym razie żądaliby tego, by Litwa była koniecznie w systemie polityki międzynarodowej Polski; jedni chcą dojść do tego drogą układów z Kownem, inni – metodą tzw. interwencji, to znaczy sforsowania orężnego Litwy Kowieńskiej i zniewolenia jej przez fakty dokonane. Takie są główne prądy w koncepcji „krajowców", a wewnątrz tych prądów i pomiędzy nimi są jeszcze różne odcienie różnic szczegółowszych. Prawie, że co głowa – to system.
Spostrzegłem wczoraj, że wśród „krajowców" wieść o plebiscycie, proponowanym przez Ligę Narodów, wywoływała depresję. Bo mają oni świadomość, że plebiscyt, zastosowany do „Litwy Środkowej" na rzecz referendum: „do Polski" czy „do Litwy" – dałby w obecnym usposobieniu mas tutejszych zwycięstwo inkorporacji. Rozmawiałem o tym wczoraj z Narkiewiczem i ze Świechowskim. Narkiewicz zresztą był w ogóle zasadniczo przeciwny zbrojnemu przedsięwzięciu Żeligowskiego, choć, gdy się ono dokonało, stanął na jego gruncie. Świechowski wszakże był zawsze zwolennikiem zdecydowanym interwencji zbrojnej, posuniętej aż do końca, to znaczy na całą Litwę Kowieńską jako metody scałkowania całej Litwy i dokonania dopiero budowy całokształtu państwowego Litwy podług jednolitego planu. Czyn zbrojny Żeligowskiego witał on jako krok stanowczy w tym kierunku, krok, który powinien być doprowadzony do logicznego końca, za który uważa on sforsowanie Litwy Kowieńskiej. Mediacja Ligi Narodów przed „marszem na Kowno" zaniepokoiła go, a decyzje plebiscytowe – przeraziły. Był przygnębiony, bo kunktatorstwo co do marszu na Kowno uważa za klęskę programu „państwowego" Litwy. Utyskiwał na brak szybkich i stanowczych postanowień, wróżył czarne horoskopy podziału Litwy i – rzecz charakterystyczna – wyrażał pragnienie, aby bądź natychmiast wojska „Litwy Środkowej" rozpoczęły energiczną wyprawę zbrojną na Kowno, bądź Litwini osiągnęli zwycięstwo i wkroczyli do Wilna! Byle tylko rozdarcie Litwy na dwie połowy nie przeciągało się i nie utrwalało, dając podstawę do kombinacji podziałowych.
Jednak dziś dowiaduję się, że czynniki rządzące „krajowców" z Witoldem Abramowiczem na czele są wciąż pełne optymizmu i nie zrażają się propozycjami plebiscytowymi Ligi Narodów. Optymizmu Witolda Abramowicza nic zbić z tropu nie jest w stanie. Uważa on te propozycje plebiscytowe za wyraz niedołęstwa Ligi Narodów, za papierowe próby rozwiązania sprawy, którym należy przeciwstawiać nadal konsekwentną linię rozpoczętego czynu. To, że Liga Narodów pertraktuje tylko z Polską i Litwą właściwą, nie powinno, zdaniem Abramowicza, krępować i hamować samodzielnego działania „Litwy Środkowej". Propozycjom plebiscytowym Europy należy przeciwstawić zasadę Sejmu „Litwy Środkowej" w Wilnie, nie oglądając się na protokoły Ligi, które zresztą formalnie „Litwy Środkowej" nie krępują. Stanowisko to widocznie w Komisji Rządzącej, przynajmniej w stadium obecnym, zostało przyjęte, bo dziś zapadła decyzja ogłoszenia wyborów do Sejmu, co jutro ma być obwieszczone. Na koniec listopada będzie zapowiedziane ogłoszenie ordynacji wyborczej, a na początek stycznia – wybory.
Wieczorem mówił mi Narkiewicz, że wojska Żeligowskiego cofnęły się z Giedrojć i że Szyrwinty są też w ręku litewskim. Czy wycofanie się z Giedrojć jest ruchem strategicznym dobrowolnym, czy też wymuszone było przez sukces litewski – tego Narkiewicz nie wie.
Ponieważ prawdopodobnie efemerydą tylko jest Litwa Środkowa, więc efemerydalnymi zapewne będą i jej marki pocztowe jako przyszła osobliwość filatelistyczna. Jako takie – umieszczam je w dzienniku.

2 listopada, rok 1920, wtorek

Dobrze, że dziś spotkałem Ignasia Bohdanowicza, który mię poinformował, że na jazdę przez Lidę, aby otrzymać stamtąd przepustkę na dalszą jazdę do Polski, trzeba mieć z Wilna przepustkę ze starostwa do Lidy, wizowaną przez wydział defensywy przy dowództwie wojennym. Poszedłem do starostwa i tam mi to potwierdzono. Dla otrzymania tego glejtu potrzebne są pewne formalności i zaświadczenia od jakichś właścicieli nieruchomości w Wilnie, potwierdzone przez policję. Jednak Witold Abramowicz, do którego się udałem, był tak uprzejmy, że dał mi takie poświadczenie od siebie, uzupełniając je dopiskiem, by mi nie czyniono żadnych trudności. Jutro rozpoczynam starania. Mam nadzieję, że rekomendacja Witolda Abramowicza, dygnitarza i wodza politycznego „Litwy Środkowej", pełniącego obowiązki prezesa Tymczasowej Komisji Rządzącej, będzie miało wagę dostateczną. Jednak boję się, aby Marian Kościałkowski, osoba decydująca w wydziale defensywy, wiedząc, że jestem przeciwnikiem politycznym „Litwy Środkowej", nie zechciał mi czynić przeszkód. Chwilami niepokoi mię jeszcze rzecz jedna. Nie tyle właściwie niepokoi, ile błyska przypuszczeniem, która mi się zresztą samemu wydaje nieprawdopodobnym. Oto słyszę od wojskowych, że Litwini rozpoczęli kontrofensywę. Oto ogłoszony dziś komunikat sztabu obrony Litwy Środkowej stwierdza, że na skutek uderzenia litewskiego wojska Żeligowskiego zmuszone były cofnąć się pod Giedrojciami. Oto ja pojadę do Suwałk i tam kołatać będę o przekroczenie linii demarkacyjnej litewskiej, aż tu nagle tymczasem Litwini wejdą do Wilna. Rozumiem jednak, że to chyba mało prawdopodobne, a raczej nieprawdopodobne, a przynajmniej zdaje się być takim. Zwycięstwo Litwinów nad wojskiem Żeligowskiego jest zupełnie możliwe. Gdyby chodziło tylko o pojedynek wojenny między „Litwą Środkową" a Litwą właściwą, wojska litewskie dałyby sobie prawdopodobnie radę. Ale Piłsudski, który zainscenizował „Litwę Środkową", i Polska, która uważa „Litwę Środkową" za jabłko dojrzewające dla niej – czuwają i jeżeli Litwini zaczną zdobywać stanowczą przewagę i zagrażać Wilnu, to zapewne Polska nie pozostanie widzem obojętnym i pchnie „na odsiecz" swoje siły zbrojne, skoncentrowane na linii demarkacyjnej. Przypuszczam, że Polska nie ograniczyłaby się w takim wypadku do pogróżek, które już niedwuznacznie wypowiadała. Wszak „Litwa Środkowa" to bardzo istotny element polityki wschodniej Piłsudskiego i Polski. Gry tej, rozpoczętej tak radykalnie, Polska chyba nie porzuci, a wtedy konsekwencje byłyby nieobliczalne, a w każdym razie trudno byłoby liczyć na bezpośrednie sforsowanie Wilna przez Litwinów.

Chwilami dziś zdaję się słyszeć bardzo głuche i odległe strzały armatnie. Zdaje się, że słuch mię nie myli.

Ogłoszono dziś dekret o Sejmie „Litwy Środkowej". Na koniec listopada zapowiedziano ogłoszenie ustawy wyborczej, a na 9 stycznia wybory „na całym terytorium" Litwy Środkowej. Ogłoszony też został dekret o mobilizacji ośmiu roczników poborowych.

Niełatwy jest problem Wilna, zwłaszcza po skomplikowaniu go incydentem „Litwy Środkowej". Europa traktuje go jako zagadnienie między Litwą a Polską, a są wszelkie wskazówki na to, że chce go wraz z losem wszystkich państw bałtyckich zarezerwować w istocie dla trzeciego wielkiego kontrahenta przyszłości – dla Wielkiej Rosji – i że wszystkie te propozycje plebiscytu itd. są manewrami jeno dla zyskania na czasie. Zarówno Litwa, jak opinia publiczna w Polsce traktują problem wileński i całą obecną aferę jako spór między Polską a Litwą, spór dwóch państwowości. I w samym Wilnie oraz w powiatach sąsiednich masy ludności traktują tak ten problem także. Tylko Piłsudski z pewnymi kołami lewicy w Polsce traktuje problem wileński jako klucz do

wielkiego systemu politycznego na wschodzie, którego ośrodkiem byłaby Polska, otoczona blokiem solidarnych państewek i którego jednym z elementów byłaby państwowość litewsko-białoruska, sfederowana z Polską. W samym Wilnie tylko cienka warstewka „demokratów" z garścią poza tym ideologów inteligenckich usiłuje w promieniu koncepcji Piłsudskiego budować ten twór federacyjny Litwy, zużytkowując dlań „Litwę Środkową" i przeciwstawiając się dominującym prądom narodowym państwowości polskiej czy litewskiej.
Litwa przez czas swojej władzy w Wilnie nie doceniła może siły, jaką tu miała państwowość polska w psychice ludu. W psychice tej waży się alternatywa państwowości polskiej czy litewskiej. Są pewne elementy, które sprzyjają sprzęgnięciu wschodnich powiatów litewskich z Litwą, ale w świadomości ludu w obecnym stadium o wiele bardziej przeważają elementy, działające na rzecz państwowości polskiej i na wypadek plebiscytu zwyciężyłyby zapewne te ostatnie. Toteż należało Litwie działać tu bardzo oględnie, by nie zrazić ludu, nie dotknąć zwłaszcza jego obaw o język polski i oprzeć się na zasadzie samookreślenia ludności powiatów wschodnich przy budowie stosunku ich do całości państwa. Trzeba było starannie unikać wszelkich pozorów zapanowania, narzucenia Wilnu i powiatom wschodnim czegoś ustalonego bez nich. W tym właśnie kierunku zmierzały moje tezy o polityce państwowej w powiatach wschodnich, sformułowane przeze mnie w moim odczycie sierpniowym, wygłoszonym w Kownie, na które za mało zwrócono w opinii kół miarodajnych litewskich uwagi. W myśl moich tez – z nieznacznymi poprawkami – został też sformułowany w sierpniu projekt postulatów polityki, ułożony przez Polskie Biuro Informacyjne w Kownie, którego delegacja w osobach Janczewskiego[84], Zygmunta Jundziłła i jeszcze kogoś trzeciego przedstawiła go na osobnej audiencji rządowi litewskiemu w osobach prezesa ministrów Griniusa i ministra spraw zagranicznych Puryckiego. Ale rząd zbagatelizował tę sprawę, zbyt ufny w siebie.

3 listopada, rok 1920, środa
Ze starostwa wileńskiego przepustkę na wyjazd już mam, ale z oddziału defensywy wizy jeszcze nie mam. Będę się o nią starać jutro. Jeżeli nic nie przeszkodzi, wyjadę w sobotę. Do Suwałk dojadę zapewne z łatwością. Cała kwestia będzie polegała tylko na tym, czy uda mi się otrzymać w Suwałkach przepustkę na przekroczenie linii demarkacyjnej. Jeżeli mi się to nie uda, to mam zamiar nie wracać do Wilna, lecz ruszyć z Suwałk do Warszawy, tam skomunikować się z siostrami, które są w Polsce, wydostać skądkolwiek pieniądze na dalszą drogę i jechać do Litwy naokoło przez Pomorze i albo Gdańsk-Kłajpedę, albo Prusy Wschodnie.
Niewiele dziś będę pisał w dzienniku, bo nie ma co. Nadmienię chyba jeszcze to, że powstała myśl zużytkowania mojego wyjazdu do Kowna w celu nie nawiązania rokowań między „Litwą Środkową" a Litwinami, bo z wielu względów niepodobna jeszcze w tej chwili marzyć o rokowaniach formalnych, jeno zbadania w Kownie gruntu dla ustalenia, czy może się znaleźć jakakolwiek podstawa do kiełkowania prądów obustronnej ugody. Szczególnie Jundziłł chciał, abym się nad tym zastanowił w przedmiocie mojego wyjazdu. Abym się podjął być pośrednikiem formalnym czy agentem czynników „Litwy Środkowej" w tej sprawie – mowy być nie mogło. Toteż odmówiłem wszelkiej myśli o urzędowej konferencji mojej z przedstawicielami władzy „środkowo-litewskiej" w związku z moją do Kowna podróżą. Wobec tego miało być tylko prywatne, niby przygodne, spotkanie się moje na herbatce u Jundziłła z kilku ludźmi z „Komisji Rządzącej", a mianowicie projektowane było z Witoldem

---

[84] Janczewski Kazimierz (1878-1959) – znany polski działacz na Litwie, dziedzic Blinstrubiszek w pow. rosieńskim. M.in. członek i przewodniczący Rady Miasta Kowna. Członek polskiego „Olimpu".

Abramowiczem, Zasztowtem i dyrektorem Departamentu Spraw Zagranicznych Jerzym Iwanowskim. Ale ostatecznie i do tego nie doszło. Istotnie jest to mało celowe. Bo i bez takiego spotkania wiem aż nadto dobrze, jakie są dążenia w łonie Komisji Rządzącej Litwy Środkowej i czego chce w szczególności ten lub inny z polityków z obozu „krajowego”. Oczywiście Litwinów w Kownie o tym informować będę, a na jakie tam natrafię nastroje i co kiełkującego tam dostrzegę – o tym się dopiero w Kownie dowiem. Żadnej przecie „misji” nie przyjmuję i żadnej przyjąć bym nie mógł. O ile w pewnej chwili okazałby się grunt jakiś realny, to dopiero wtedy byłoby do pomyślenia przedsięwzięcie ewentualnych kroków mediacji. Na razie zapatruję się na takie możliwości, niestety, bardzo pesymistycznie. Jeżeli Litwini popełnili błędy w pierwszych krokach swej polityki w Litwie Wschodniej (obecnie „Środkową” nazwanej), to interwencja polska, której użyli Polacy litewscy, nie wyłączając „krajowców”, jeszcze bardziej sprawę układu zdyskredytowała. Niemniej jestem przekonany, że jeżeli ma być tu Litwa budowana, to oprzeć się ona wcześniej czy później musi na układzie. Armaty lub nienawiść nie zbudują same gmachu współżycia państwowego. Gra armat chwilowo musi być konieczna, ale ostatecznie musi dojść do głosu układ albo też nic się nie zbuduje. Mechaniczne zapanowanie nie załatwi sprawy, czy przyjdzie ono z tej, czy też z innej strony.
Jest wysuwana na stanowisko dyrektora Departamentu Spraw Zagranicznych kandydatura Bronisława Krzyżanowskiego na miejsce Jerzego Iwanowskiego. Nie zdaje mi się, aby w stosunku do Litwy ta kandydatura wróżyła coś dobrego.

4 listopada, rok 1920, czwartek
Złożyłem moją przepustkę do Wydziału Defensywy dla wizy. Jutro wiza ma być gotowa, jeżeli... jeżeli defensywa nie wpadnie na trop moich zamiarów wyjazdu do Kowna i mojej opozycyjności względem afery Litwy Środkowej, bo w takim razie, pomimo przychylnej opinii szefa Komisji Rządzącej Witolda Abramowicza, gotowa mi swej wizy odmówić. Defensywa bowiem jest instytucją potężną, która ma swoje autonomiczne widzimisię, nie liczące się z cywilnymi władzami politycznymi. Niezależnie od tego wziąłem od Witolda Abramowicza list polecający do prezesa Sądu Okręgowego w Suwałkach, p. Romana z prośbą o ułatwienie mi starań o przepustkę na przekroczenie linii demarkacyjnej litewskiej.
Niespodzianie przybył mi ewentualny towarzysz podróży w osobie dr Andrzeja Domaszewicza. Domaszewicz, poszlakowany o współdziałanie z bolszewikami w czasie ich pierwszego pobytu w Wilnie w roku 1919, był więziony przez Polaków i wreszcie wywieziony i internowany w obozie koncentracyjnym pod Krakowem aż dotychczas. Obecnie został zwolniony z udzieleniem mu pozwolenia na powrót do miejsca urodzenia – do Poniewieża. Przyjechał w tych dniach do Wilna, ale ponieważ stąd bezpośrednio do Litwy Kowieńskiej dostać się nie może, więc ma jechać również, jak ja, na Suwałki. Ewentualnie więc, jeżeli mu dana będzie możność jazdy tą drogą, pojechałby razem ze mną.
Nie wiem zresztą, czy nazajutrz będę mógł wyjechać. Będzie to jeszcze zależało od tego, czy zdążę wszystko przez dzień jutrzejszy załatwić.
Są wieści, że wojsko litewskie, rozpocząwszy kontrofensywę, posuwa się wciąż coraz bliżej ku Wilnu. Już dziś słyszałem w redakcji „Gazety Krajowej”, że Litwini zajęli Mejszagołę i Niemenczyn. Mówią też z pogłosek babskich, że podjazdy litewskie widziano w Rzeszy. Komunikaty sztabu obrony „Litwy Środkowej” są wciąż bardzo lakoniczne i zaznaczają skromnie, że „na froncie spokój” i że „sytuacja jest bez zmiany”. Gdybym wyjechał na Suwałki w celu dostania się do Kowna, a tymczasem Litwini wkroczyliby do Wilna, byłbym dobrze „pokiwany”. Ale wątpię, żeby do tego

przyszło. Objawów niepokoju w kołach wojskowych nie widać. Tylko między pospólstwem są szepty, że możliwym jest wkroczenie Litwinów. W kołach politycznych twierdzą, że zajęcie Wilna przez Litwinów jest stanowczo wykluczone, dając do zrozumienia, że gdyby taka możliwość stała się realną, to Polska nie dopuściłaby do niej i zainterweniowałaby bezpośrednio albo co najmniej dałaby się „zbuntować" jeszcze jednej dywizji. W kołach zaś wojskowych tłumaczą cofanie się wojsk Żeligowskiego „manewrem".
Widziałem się dziś w Antonim Łuckiewiczem, który jest bardzo podrażniony rewizją, dokonaną u niego przed dwoma dniami przez żandarmerię. W ogóle Białorusini nie zachwycają się rządami „Litwy Środkowej", mimo udziału w nich swego rodaka Wacława Iwanowskiego. Ich stanowisko opozycyjne rośnie. Łuckiewicz rozmawiał ze mną o ewentualnym odegraniu przez Białorusinów roli pośredniczącej w likwidacji polubownej stosunku Wileńszczyzny do państwa litewskiego i o zbadaniu gruntu i warunków w Kownie, na podstawie, których Białorusini mogliby poprzeć stanowisko państwowe litewskie w konflikcie obecnym.

5 listopada, rok 1920, piątek
Mam wszystko: przepustkę, wizę defensywy, list W. Abramowicza do Romana w Suwałkach dla ułatwienia mi dróg przedostania się za linię demarkacyjną. W imię Boże – w drogę. Postanowiłem nie odkładać jazdy, a więc mam mocne postanowienie wyjechania jutro. Gdybym nie wyjechał, musiałbym czekać na następny pociąg do środy, co kosztowałoby mię z tysiąc marek polskich, bo każdy dzień pobytu w Wilnie jest coraz droższy, a moje środki oszczędzać muszę bardzo na Suwałki, skąd tylko końmi dalej jechać można.
Na godz. 5 po obiedzie byłem dziś zaproszony do Zygmunta Jundziłła, do którego przyszli też Witold Abramowicz, Aleksander Zasztowt i Bronisław Krzyżanowski. Było to spotkanie bardzo prywatne, nieobowiązujące, ale umyślne w związku z moją podróżą do Kowna i pragnieniami ugodowymi tych panów wobec Litwinów. Oczywiście nie ma mowy o tym, abym podejmował się roli przedstawiciela „Komisji Rządzącej" tutejszej lub choćby jej skrzydła „krajowego", ani też agenta „Litwy Środkowej". Oni sami też rozumieją to dobrze i takiej roli mi nawet nie proponowali. Rozmowa nasza przy herbatce trwała parę godzin. Omawialiśmy sytuację, jaka się wytworzyła przez „czyn zbrojny" generała Żeligowskiego i „powstanie" „Litwy Środkowej" w Wilnie. Oni wyrażali swój pogląd na szanse i atuty rokowań i układu z Kownem dla sprawy państwowości Litwy i przedstawiali swoje stanowisko i widoki. Ja wyrażałem moje zastrzeżenia i krytykę ich „dzieła", które, niestety, pełne jest grzechów – oby tylko nie były one śmiertelne dla sprawy Niepodległości i całości Litwy z Wilnem! Możność układów i porozumienia jest bardzo trudna i jest wątpliwa, niepodobna się łudzić. Nie byłaby może taka trudność zasady stosunku wschodniej („środkowej") części Litwy do państwa, bo, moim zdaniem, wcześniej czy później stosunek ten musiałby się oprzeć na samookreśleniu wewnątrz państwa, a więc na układzie, albo go wcale nie będzie, a w żadnym razie zapanowanie nie scementuje na trwałe tego stosunku, ale trudność największa płynie z metody, którą „krajowcy" budować zaczęli tę „Litwę Środkową", mającą być w ich rozumieniu wstępem do Litwy całej i niepodległej. Aby Kowno mogło pertraktować z Wilnem, musi to ostatnie dążyć do wyzbycia się charakteru ekspozytury Warszawy, przeciwnie bowiem pertraktowanie byłoby jałowe i Kowno mogłoby mieć do czynienia li tylko z Warszawą. Z drugiej strony, wszelki krok ze strony Kowna do pertraktowania nie z Warszawą, lecz bezpośrednio z Wilnem pomógłby do emancypacji Wilna od Warszawy. To są główne założenia kwestii.

Polska, stojąca za plecami „Litwy Środkowej" – oto główna dziś przeszkoda układu Kowno-Wilno.
Zamykam ten zeszyt dziennika, bo zabierać go ze sobą i wieźć przez linię demarkacyjną, to narazić na ewentualną utratę. Składam go wraz ze wszystkimi poprzednimi zeszytami – znowu u p. Wróblewskiego w depozyt. A więc w imię Boże – jazda marsz!

Michał Römer
Wilno, 5.XI.1920